



BRUNONIA BARRY

Współczesne Salem, malowniczo położone
na chłostanym wichrami wybrzeżu Atlantyku.
Historia kilku pokoleń kobiet i opowieść
o przeszłości zaklętej w terażniejszości.

PIĄTY
PŁATEK
RÓŻY

Powieść autorki „Wróżb z koronek”

FILIA

BRUNONIA BARRY

PIĄTY
PŁATEK
RÓŻY

Przełożyła
Joanna Dziubińska

FILIA

Dla Gary'ego

To krew wola, mówią: krew krwi pragnie,

Gadały drzewa, chodziły kamienie...

William Szekspir, *Makbet* [1]

[1] W. Szekspir, *Makbet*, tłum. L. Ulrich.

PROLOG

*1 listopada 1989
Salem, Massachusetts*

Czy to trochę nie za późno na modlitwę? – pomyślał Tom Dayle, ale nie powiedział tego na głos.

Dziecko siedziało na oddziale ratunkowym szpitala w Salem na łóżku oddzielonym parawanem, trzymając w dłoniach coś, co jak na jego oko niepraktykującego katolika wyglądało na różaniec.

To był dziwny obrazek: mała dziewczynka, mająca pięć, może sześć lat, z różańcem zwisającym spomiędzy jej zaciśniętych, zbieleńców, tak kurczowo obejmujących medalik, że aż popłynęła krew, a rdzawobrazowe stróżki rozeszły się od zagieć pomiędzy palcami po przedramionach... Ręce i nogi dziecka pokrywały bolesne zadrapania. Gdyby nie krew, wyglądałaby jak aniołek z malowideł Rafaela: ciemne loczki spływające po plecach, alabastrowa skóra nietknięta jeszcze ani lampami solarium, ani promieniami letniego słońca.

Dwie towarzyszące jej zakonnice dopełniały niebiańskiego obrazka: młodsza siedziała obok dziewczynki z własnym różańcem w dłoniach i monotonicznie szeptała

modlitwę, starsza zaś, w której rozpoznał siostrę przełożoną ze szkoły imienia świętego Jakuba, stała tuż za ich plecami, chcąc najwyraźniej mieć na wszystko oko.

To zakonnice ją znalazły. On dowiedział się o wszystkim dopiero w drodze na miejsce. W trakcie zbrodni dziecko siedziało ukryte w krzakach, modląc się na różańcu. Kobiety przyznały, że już w nocy słyszały krzyki, ale znalazły dziewczynkę dopiero rano, kiedy wrzask zmienił się w żalony jęk. Poszły za tym odgłosem wzdłuż rzeki North i znalazły małą nad rozpadliną, do której wrzucono ciało jej matki oraz dwóch innych, nierozpoznanych jeszcze wtedy kobiet.

– Może powinna się była modlić, żebyście szybciej wezwały policję – mruknął Dale do starszej z zakonnice. Nie rzekł tego z okrucieństwa, ale by jemu samemu nie pękło serce na widok tej małej istotki. Była mniej więcej w tym samym wieku, co jego wnuczka.

Jeden z policjantów jeszcze na miejscu zdarzenia zapytał zakonnice, dlaczego zwlekała z wezwaniem policji, skoro słyszała krzyki przez całą noc.

– W Salem trwało Halloween – powiedziała ze smutkiem. – Gdybyśmy nie słyszały krzyków, to dopiero byłoby dziwne.

Inny funkcjonariusz na miejscu myślał początkowo, że zna jedną z ofiar zbrodni. Ale przyjrząwszy się bliżej jej ciału, które właśnie było wyciągane z rozpadliny, zmienił zdanie.

Tego ranka zatrzymali osobę, która mogła być w to zamieszana – mieszkankę Salem z Daniels Street, jednak policjant nie miał zamiaru dzielić się tą informacją z zakonnice.

– Nadal próbujemy zidentyfikować ofiary.

– Jedną z nich była matka dziewczynki – rzekła cicho zakonnica.

– Skąd siostra o tym wie? – zapytał Dayle, jak gdyby pierwszy raz o tym słyszał.

– Mała nam powiedziała. Rozmawiała z nami, gdy tu przyszliśmy. Zamilkła dopiero przy panu.

Przez wszystkie lata służby detektyw Tom Dayle nigdy nie widział czegoś równie makabrycznego, jak to, co zdarzyło się ostatniej nocy na niewielkiej skarpie Proctor's Ledge. Trzem młodym kobietom poderżnięto gardła, po czym ich ciała wrzucono do wąskiej szczeliny skalnej, tego samego masowego grobu, do którego przed wiekami bezceremonialnie strącono ciała osób posądzonych i skazanych za odprawianie czarów w czasach histerii, jaka rozpętała się w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku.

Do rozmawiających dołączyła pielęgniarka, która zaczęła opatrywać zadrapania na nogach i rękach dziewczynki. Dziecko skuliło się w sobie.

– Przepraszam cię, skarbie, ale muszę to zdezynfekować.

– Jak się zadrapałaś? – zapytał Dayle dziewczynkę.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na niego, jakby był powietrzem.

– Przez większą część nocy ukrywała się w ciernistych krzewach – wyjaśniła siostra. – Stąd ślady.

Pielęgniarka poszła po bandażu.

– Będzie musiała dostać zastrzyk przeciwțęczowy – powiedziała, kiedy pojawiła się znowu.

– Nie! – Mała jakby obudziła się z przypominającego trans stanu i po raz pierwszy, odkąd się tu znalazła, zachowała się typowo dla przestraszonej dziewczynki: zaczęła płakać.

– Nie martw się, skarbie – pocieszała ją pielęgniarka. – Zastrzyki przeciwțęczowe nie bolą.

Dziecko jednak od razu wyczuło kłamstwo i zaczęło szlochać jeszcze mocniej.

– No dobrze. Zobaczmy najpierw, co powie lekarz. – Pielęgniarka skapitulowała. – Może nie będą potrzebne żadne zastrzyki.

– Chcę do Rose – powiedziała dziewczynka już spokojniej.

Rose.

To samo imię nosiła kobieta, którą zgarnęli na cmentarzu przy Broad Street. Rose Whelan. Gdy ją znaleźli, była cała we krwi i mamrotała coś bez sensu. Patrolowy, który się na nią natknął, był wynajętym ochroniarzem. Salem często z nich korzystało podczas Halloween. Początkowo uznał, że Rose pewnie zbyt mocno zabalowała poprzedniego wieczoru i potrzebowała wytrzeźwieć. Cóż innego miał myśleć. Ale kiedy uświadomił sobie, że krew pokrywająca jej skórę i ubranie nie była sztuczną tanizną, którą sprzedaje się w sklepach z przebraniem – a przez te wszystkie lata widział wystarczająco dużo bójek w barach i wypadków samochodowych, by dostrzec różnicę – zabrał ją na posterunek, gdzie kobieta niemal natychmiast została rozpoznana, a cała historia stała się przez to jeszcze dziwniejsza.

Rose Whelan była uznaną historyczką. Napisała kilka książek na temat dziejów Salem, założyła też miejskie Centrum Badań nad Historią Procesów o Czary oraz bibliotekę, która przyciągała naukowców z całego świata. Była powszechnie szanowana. Ale cóż, najwyraźniej pomiędzy wczorajszym wieczorem a dzisiejszym rankiem straciła rozum.

– Cały czas pyta o Rose – powiedziała matka przełożona. – To Rose wepchnęła ją w krzaki i kazała jej się modlić. Od niej dostała ten różaniec.

– Ocaliły ją paciorki różańca – rzekła młoda zakonnica, wyciągając w kierunku policjanta swój. Ciało Chrystusa na krzyżu kiwało się jak wahadło. – To cud!

Pielęgniarka skończyła oczyszczać zadrapania, ale nie zajęła się większą raną na dłoni dziecka.

– Lekarz już idzie... Nie otwieraj rączki, skarbie, żebyś znów nie zaczęła krwawić, dobrze? Trzymaj ją tak, jak do tej pory, aż przyjdzie pan doktor. – Wyszła za parawan.

Mając pielęgniarkę z głowy, Dayle skupił się na dziecku. Przysunął sobie krzesło, licząc, że na siedząco będzie wyglądał mniej groźnie.

– Jak masz na imię? – zapytał najłagodniejszym tonem, na jaki go było stać.

Milczała. Wyraźnie się go bała.

– Nie bój się, to pan policjant. Możesz mu powiedzieć – zachęcała młodsza zakonnica.

Dale przyciągnął krzesło bliżej łóżka.

– Ile masz lat?

Znów milczała. Zacisnęła tylko mocniej dłonie i zwinęła palce, blada jak duch. Po wewnętrznej stronie przedramienia zaczęła jej spływać pojedyncza kropla krwi. Na ten widok młoda zakonnica przyspieszyła tempa w bezgłośnym odmawianiu *Zdrowaś Mario...*, jak gdyby ta natychmiastowa inwokacja mogła cofnąć wszystko, co się zdarzyło ostatniej nocy.

– Mam wnuczkę w twoim wieku – powiedział Dayle, zmuszając się do uśmiechu. – Ile masz lat? Cztery?

– Pięć!

– Pięć? No proszę. Pięć lat to już bardzo dorosły wiek.

Dziecko wlepiło w niego wzrok.

– Chcę do Rose – powiedziała z lekką paniką w głosie.

– Może będę mógł ci pomóc? – odparł. – Znasz nazwisko Rose?

Skinęła głową.

– Rose Whelan.

– A wiesz, gdzie znajdę tę Rose Whelan? – Znów się uśmiechnął. – Gdybym chciał po nią pojechać. Wiesz, gdzie mieszka?

Znów pokiwała głową.

– Podasz mi nazwę ulicy? – Nie był zadowolony z faktu, że ją tak nabiera, ale musiał sprawdzić.

– Ja też tam mieszkam – powiedziała mała obruszonego tonem.

– Podasz mi w takim razie swój adres? – W tych czasach niemal każde dziecko go znało. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczył swoją wnuczkę.

– Daniels Street 62, Salem, 01970 Massachusetts – wyrecytowała gładko.

W tym momencie do środka wszedł lekarz, niweczając wszelkie szanse na dalszą rozmowę.

Dayle wstał i odsunął krzesło, by nie przeszkadzało.

– Obejrzyjmy tę ranę – powiedział doktor.

Dziewczynka zrobiła niepewną minę.

– Nie bój się, możesz już puścić. – Delikatnie dotknął jej dłoni.

Jeden po drugim rozluźniała palce z modlitewnego zacisku i w końcu wszyscy zobaczyli, co tak rozpaczliwie chowała w rączce.

W jej dłoń wciśnięty był drewniany symbol, którego Dayle nie rozpoznawał: okrągły i wyrzeźbiony, o ostrych krawędziach, które wrzynały się dziecku w skórę. Nie wiedział, co to jest, ale zdecydowanie nie był to krucyfiks.

Przy pomocy skalpela, aby uwolnić przyschnięte krawędzie, doktor odczepił delikatnie drewniany różaniec, który upadł na podłogę. Dayle schylił się po niego.

Minęła chwila, zanim krew znów zaczęła krążyć w dłoni dziewczynki. Po chwili rana zmieniała się z białej w czerwoną, a krew wypełniła każdą warstwę skóry, tworząc szkarłatne odzwierciedlenie medalionu, który Dale trzymał w dłoniach: idealną, pięciolistną różę.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

*31 października 2014
Salem*

*W 1692 roku w Salem nie było wiedźm, ale teraz żyją tu z powodzeniem,
i jest ich bardzo dużo.*

Rose Whelan, Czarownice z Salem

Rafferty nie widział jeszcze na Chestnut Street tylu dzieci zbierających cukierki w Halloween. Nigdy nie było mu też dane prowadzić tak wielkiego Marszu Czarownic na Gallows Hill. W tym roku było ich przynajmniej sto pięćdziesiąt – wyznawczynie Wicca, Druidki, Celtki, matki-hipiski ze skłonnościami parapsychologicznymi, panteistki i politeistki – wszystkie szły za jego cudem uratowanym ze złomowiska cruiserem, rocznik osiemdziesiąty. Ze względów bezpieczeństwa kilka ulic zostało zamkniętych. Ruch uliczny wycofano na Highland Avenue, bo do miasta na obchody Halloween zjeżdżali liczni turyści.

Mieszkał w Salem już od blisko dwóch dekad. Jeszcze w latach

dziewięćdziesiątych turyści zaglądali tu tylko w wakacje i wczesną jesienią, w środku lata w centrum miasta nie dało się znaleźć miejsca do parkowania, co było strasznie uciążliwe. Ale pierwszego listopada można było zaparkować wszędzie. Teraz czasy się zmieniły. Salem nie było już ani zapomnianym miasteczkiem portowym, ani starzejącym się miastem przemysłowym. Salem zostało odkryte, i to nie tylko jako miejscowość turystyczna, ale modne miejsce, w którym warto zamieszkać. Ostatnimi czasy trzeba było mieć dużo szczęścia, żeby zaparkować w centrum miasta, i to niezależnie od pory roku. Właśnie dlatego Rafferty zawsze jeździł cruiserem, nawet w wolne dni. Jako komendant policji mógł parkować na drugiego, gdzie tylko chciał. Poza tym dość często turyści prosili go, aby zapozował przy swoim aucie ze względu na zdobiące je logo z Miasta Wiedźm: policyjną odznakę z czarownicą na miotle i w szpiczastej czapce.

To było jednak nic w porównaniu z tym, co działo się tu w październiku. W fakcie, że miasteczko zyskało przydomek Halloweenowej Stolicy Świata, nie było jeszcze nic dziwnego. Nikt jednak nie spodziewał się, że obchody rozciągną się do miesiąca. A ostatnimi czasy trwało to nawet dłużej niż miesiąc, co bardzo opłacało się lokalnym sklepikarzom: każdego roku w październiku populacja Salem zwiększała się o przynajmniej trzysta tysięcy potencjalnych klientów. Rok w rok policja w Salem ściągała więc do pomocy dodatkowe posiłki z Bostonu, Lynn, a nawet odległego Connecticut, i co roku brakowało im ludzi.

Tego wieczoru tłum był imponujący. Nawet tu, w dzielnicy historycznej, zbierające słodczyce dzieci czekały na cukierki w długich kolejkach pod rezydencjami federalnymi, odpowiednio udekorowanymi na tę okazję.

Rafferty przejechał przez Chestnut Street pod prąd, aż do skrzyżowania z Flint.

– Hej, Rafferty – krzyknął mężczyzna przebrany za pirata i znany miejscowym jako Robal. – Wypisz sobie mandat. To jednokierunkowa!

Każdego roku rekonstruktorzy historyczni przebrani za piratów zbierali się w muzeum w Phillips House – jedynym zabytkowym domu na Chestnut Street otwartym dla zwiedzających – aby śpiewać dzieciom i... może lekko je przestraszyć.

– Ty huncwocie! – żartobliwie burknął jego kompan, Mickey Doherty.

– Arrr! – warknął na nich Rafferty.

– Tym słowem chcesz mnie sprowokować, John? – odparł Mickey, podchodząc do cruisera.

– „Arrr” to nawet nie jest słowo, Mickey – rzucił Rafferty. W mieście nie było drugiej tak przedsiębiorczej osoby, jak Mickey Doherty. Miał dwa nawiedzone domy na Derby Street i sklep piracki na nabrzeżu, gdzie na boku sprzedawał trawę. Ale ponieważ posiadanie jej od niedawna było jedynie wykroczeniem, a Mickey nie oferował syfu dzieciom, Rafferty przymykał na to

oko. – A jeśli tego nie wiesz, to powinieneś przystopować z rumem. Czy to nie jest przypadkiem impreza dla dzieci?

Mickey roześmiał się i wałnął pięścią w karoserię cruisera.

– Tylko dzięki niemu jestem w stanie znieść te małe diabły!

Rafferty pokręcił głową z dezaprobatą.

– Jak tam na ulicach? – dopytywał Mickey. – Ann już mnie ostrzegła. Ponoć krąży dziś jakaś dziwna energia.

Ann Chase. Najbardziej znana czarownica z Salem współczesnych czasów.

– Kto wie lepiej niż ona – odparł Rafferty, na co Mickey się roześmiał. – Jak na moje oko sytuacja jest pod kontrolą – stwierdził. Mówił prawdę.

Jesień przyszła w tym roku późno, ale teraz powietrze przeszywało chłodem, a ciemność wydawała się wszechogarniająca. Skinął do Mickeya, włączył syrenę, po czym wycofał się, blokując auta jadące na Essex Street, aby uczestnicy procesji ze świecami mogli przekroczyć ulicę. Jakiś niecierpliwy kierowca uderzył w klakson, inni dołączyli do niego w sprzecznie wobec opóźnienia. Wiedźmy szły powoli, niczym panny młode.

Kiedy ostatnia z czarownic przekroczyła ulicę w drodze do Gallows Hill Park, Rafferty mógł odetchnąć z ulgą. Jego eskorta nie była już potrzebna. Zrobił rundkę po mieście, by skontrolować wynajętych policjantów i policję konną.

Dziwna energia.

Zauważył, że pomnik Josepha Hodgesa Choate'a na rogu Essex i Boston Street został obrzucony girlandami z papieru toaletowego – nie było w tym nic nowego ani szczególnie dziwnego. Dzieci w przebraniach poruszały się tu nieco swobodniej, w większości bez rodziców: młodsze podskakiwały, nabuzowane cukrem, starsze rozglądały się, co by tu zbroić. Dostrzegł kilku nastolatków na parkingu przed warsztatem samochodowym na Boston Street. Rozpierzchli się, kiedy go zauważyli – pewnie ubijali właśnie narkotykową transakcję. Ostatnio w tej okolicy był to częsty proceder. Rafferty miał nadzieję, że nowe centrum dla seniorów, jakie miało tu powstać, odmieni to miejsce. Budynek zbyt długo już stał pusty.

Zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i z impetem zajechał na parking przed sklepem Dairy Witch tylko po to, by zaraz z niego odjechać. Właśnie dostał wezwanie, że przed marketem Walgreens ma miejsce zakłócenie porządku publicznego.

– Zajmę się tym – powiedział, myśląc, że to pewnie te same dzieciaki. Ale kiedy wjechał na parking, nie zauważył nastolatków.

Podjechał od tyłu i dostrzegł karawan zaparkowany przy Proctor's Ledge. Przejazdki podobnym pojazdem stanowiły świetny interes w Salem. Po drodze amatorzy makabrycznych wycieczek odwiedzali wszystkie lokalne atrakcje, od nawiedzonych domów po budynek mieszkalny na Lafayette Street, w którym

Dusiciel z Bostonu we wczesnych latach sześćdziesiątych zabił swoją jedyną ofiarę na Północnym Wybrzeżu. Przedsiębiorcy z Salem byli gotowi na wszystko, byle przestraszyć turystów, zwłaszcza w Halloween, choć logo „Przerażających Wycieczek” namalowane ręcznie z boku karawanu kojarzyło się raczej z duszkiem Casperem niż Jakubem Marleyem z *Opowieści wigilijnej*.

I choć sąsiedzi nieustannie wnosili skargi, policja zwykle nie robiła zbyt wiele, aby zniechęcić przedsiębiorców do tego typu wycieczek czy podobnych pomysłów, które przynosiły zysk ludziom zarabiającym głównie w Halloween. Ale to miejsce to nie był teren publiczny, lecz prywatny, a właściciel Walgreens, podobnie jak sąsiedzi na wzgórzu, nienawidził najazdów turystów. Zwłaszcza ostatnio, kiedy miejsce słynnych morderstw z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku – sprawy wciąż nierozwikłanej – stało się ulubionym punktem turystycznym na mapie miasta.

Już z tego miejsca Rafferty zobaczył świece i rozpoznał głos miejscowego gwiazdora o ksywce Aktor Bob, który tak się dorobił na byciu lektorem w reklamach pogrzebów na morzu, że kupił sobie stary karawan i wyposażył go w pikowane siedzenia wyłożone satyną, jak w trumnie. Dziś baryton Aktora Boba był dużo mniej kojący, niż przy zachwalaniu nietypowych pochówków. Stał się chropawy i pełen udręki.

– Jesteśmy przy Proctor’s Ledge – mówił swoim nawiedzonym głosem. – Choć niektórzy będą wam mówić co innego, wiele osób wierzy, że to właśnie tu, a nie na Gallows Hill, Salem dokonało w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku egzekucji dziewiętnastu wiedźm. To również tutaj, w Halloween tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku brutalnie zamordowano trzy piękne, młode kobiety: Olivię Cahill, Cheryl Cassellę i Susan Symms, którą w dodatku pozbawiono części jej upiornie białych włosów i fragmentów skóry, by użyć ich w rytuale satanistycznym.

Po zbulwersowanym tłumie rozszedł się szmer.

Rafferty kilka razy słyszał już, jak Aktor Bob oprowadza wycieczkę. Zawsze grał pod publiczność, zmieniając i ubarwiając historię dla lepszego efektu, ale tę ostatnią część dodał niedawno – i to ukoloryzowaną ponad wszelką miarę.

– Zapamiętajcie ich nazwiska. I przydomek, jaki nadali im mieszkańcy miasteczka. Te młode kobiety były tak urzekające, że wszyscy nazywali je Boginiami.

Znowu szmer.

– Sąsiedzi na Boston Street i wzdłuż rzeki North słyszeli w nocy ich krzyki, ale nikt nie wezwał pomocy aż do rana. Jak gdyby na całe Salem zostało rzucone zaklęcie i nikt nie był w stanie go złamać. To, co w pamiętne Halloween robiły te dziewczyny, zostało zakazane jeszcze w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku. Próbowaly poświęcić zbiorową mogiłę swoich pięciu przodków, które zostały

stracone w tamtych mrocznych czasach za podpisanie paktu z diabłem.

Bob zrobił krótką przerwę.

– W halloweenowy wieczór osiemdziesiątego dziewiątego roku – mówił dalej – Boginie złamały purytańskie prawo z siedemnastego wieku. Poświęcenie ziemi, w której pochowano czarownicę, było niegdyś karane śmiercią. I, jak na ironię, to właśnie spotkało te trzy piękne, młode kobiety. Ktoś lub coś postanowiło je ukarać.

– O dziwo, ciała wszystkich wiedźm skazanych w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku zniknęły na krótko po powieszeniu i nigdy ich już nie odnaleziono. To jedna z największych tajemnic Salem. Ale ciała Bogiń można było oglądać. Zwłoki z poderzniętymi gardłami wrzucono do tej samej zbiorowej mogiły, w której przed wiekami spoczęły ich przodkinie.

Kolejne kłamstwo – pomyślał Rafferty. Ciało Bogiń nigdy nie wystawiono na widok publiczny. Skąd Bob wytrzasnął te bzdury?

– Tamtego wieczoru osiemdziesiątego dziewiątego roku przeżyły tylko dwie osoby: kobieta w średnim wieku i mała dziewczynka. Kobietę znaleziono na cmentarzu przy Broad Street całą we krwi ofiar... Majaczyła o nieziemskiej istocie, która, jak twierdziła, zabiła dziewczyny. Większość ludzi uważa, że to ona była winna. Szanowana niegdyś badaczka historii straciła tamtej nocy rozum i nigdy już nie wróciła do zdrowia. Po dziś dzień można ją spotkać na ulicach Salem, jak wieszczy bliską śmierć wszystkim, których spotka. Nigdy nie postawiono jej zarzutów. Nikt nie był w stanie dowieść jej winy. Niektórzy uważają ją za chorą psychicznie, inni sądzą, że w jej ciele zamieszkała dużo bardziej złowieszcza istota, lamentujący duch starożytnych mocy, który powraca w każde Halloween po nowe ofiary.

Niczym na zawołanie powietrze za plecami Rafferty'ego przeszył ludzki krzyk.

Turyści jęknęli.

Rafferty odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak współnik Aktora Boba pierzcha do lasu.

– Właśnie, lepiej uciekaj – mruknął pod nosem, po czym zaczął się przepychać przez zarośla, klnąc w duchu, gdy odgięta gałąź strzeliła go w twarz.

– A co się stało z dziewczynką? – Dobięł go głos jednego z turystów. – Co się z nią stało?

– Nikt tego nie wie – odpowiedział Bob, raz jeszcze milknąc, by dodać opowieści dramatyzmu. – Dziewczynka zniknęła niedługo po morderstwach. Nikt już później jej nie widział ani o niej nie słyszał.

Na stęknienie, od którego Rafferty nie potrafił się powstrzymać, przerażeni turyści odwrócili się gwałtownie w stronę ciemnej ściany lasu. Nawet Aktor Bob wstrzymał oddech.

– Skończyłeś już? – zapytał z ironią komendant, gdy już wy dostał się z zarośli. – Czy to jeszcze nie koniec absurda lnej historii, którą sprzedajesz tym biednym ludziom? Bob, wiesz, że nie wolno ci tu tego robić.

Rafferty nie mógł znieść, że ta wciąż nierozwiązana sprawa stała się pożywką dla wycieczek i sposobem na wyciąganie dolarów od turystów. Równocześnie rozrosła się do mitycznych rozmiarów, obfitując w przesadzone i zwyczajnie wyssane z palca szczegóły. Morderstwa miały miejsce, zanim komendant pojawił się w Salem, ale, zdaniem Rafferty’ego, zaniechanie dochodzenia było plamą na honorze komisariatu policji, który prowadził.

Rafferty odprowadził turystów do karawanu, po czym opuścił parking na Boston Street. Skręcił w lewo na skrzyżowaniu i jechał dalej, aż na koniec Essex Street, czyli prawie do centrum.

Jak zwykle pasażerowie dla pieszych były pełne imprezowiczów: piratów, seksownych wiedźm, potworów i zombie. Tysiący zombie. Żywe trupy przewyższały liczebnie piratów i czarownice dziesięć do jednego. Z tłumu dobiegały go tubalne głosy ewangelistów głoszących moralitety do hulaków na temat ognia i siarki, skazując ich dusze na piekło, o ile nie okażą skruchy i nie skończą z szaleństwami. W tym roku wzmacniali swoje kazania werblami i cymbałami, które odzywały się za każdym razem, kiedy kaznodzieja wspominał o piekle. Imprezowicze śmiali się i bili brawo. Nie zapowiadało się na to, aby między grupami miało dość do konfrontacji.

W grupie stojącej na rogu Rafferty zauważył rodzinę w domowej produkcji kostiumach, z zakrwawionymi kikutami tam, gdzie powinny być nogi. Ciągnęli mały wózek pełen różnych części ciała. Spojrzał na innego mężczyznę stojącego na uboczu, przebranego za piekarnik z palnikami, które co chwilę włączały się i wyłączały. Bardzo przekonujący duet zlepionych ze sobą taśmą klejącą psów syjamskich przebiegł mu przed cruiserem, podgryzając się nawzajem po pyskach, sfrustrowany nienaturalnym ograniczeniem. Nie zabrakło zestawu obowiązkowego: Frankensteinów i mumii, pozujących do zdjęć na swoich zwyczajowych stanowiskach przy Peabody Essex Museum, i oderwanych od rzeczywistości wampirów w połyskujących brokatkach à la *Zmierzch*.

Za rok będą tu stały zombie – pomyślał Rafferty. Wampiry już od jakiegoś czasu stały się w Salem passé.

Było mu żal niektórych właścicieli sklepów, płacących czynsz za lokale, do których przez te tłumy nikt nie był w stanie się dostać. Działo się tak co roku. Tuziny jasnowidzów ustawiały swoje stoiska na Essex Street tuż przed zwykłymi sklepami, które ubiegały się o tych samych klientów. Jeszcze przed kilku laty rywalizacja pomiędzy rezydentami a przyjezdnymi jasnowidzami była sporym problemem. W rezultacie Salem udzielało teraz licencji wróżbitom, i tylko ci z pozwoleniem mogli w październiku wystawić swoje tymczasowe stoiska.

– Jak udziela się licencji jasnowidzowi? – zapytał Rafferty, kiedy usłyszał o takim zamiarze. – Każę się im przepowiedzieć przyszłość, a potem czeka kilka miesięcy, żeby sprawdzić, czy przepowiednia się spełniła?

– Pójdziemy za przykładem San Francisco – wyjaśnił mu urzędnik miejski. – Wykorzystamy ich standardy licencjonowania jasnowidzów.

– Oczywiście. – Roześmiał się Rafferty, czując ulgę, że nie będzie musiał wymyślać czegoś tak nedorzecznego. Okazało się, że muszą jedynie sprawdzić kartotekę, zanim wydadzą licencję. Teraz każdy z odpowiednią przepustką mógł przewidzieć przyszłość.

Z Essex Street komendant pojechał do przystani na Pickering Wharf. Ruch i tu był spory. Niektórzy wyjeżdżali z miasta przed fajerwerkami kończącymi wieczór, ale wielu nadal próbowało dostać się do Salem. Z zadowoleniem stwierdził, że grupka na przystani wydaje się dość potulna. Opuścił szybę, aby porozmawiać z funkcjonariuszem, który podszedł od strony Jamaica Plain.

– Zostań tu, aż ruch zelżeje, a potem idź do domu albo na bal w Hawthornie. To ponoć najlepsza halloweenowa impreza w mieście.

– Tak zrobię, dzięki, szefie.

Hawthorne Hotel co roku organizował słynny Bal Czarownic na kilka dni przed Halloween. Tego wieczoru miał się odbyć nieco bardziej tradycyjny bal kostiumowy z nagrodami za najlepsze przebrania. Kilka lat temu Rafferty i jego żona, Towner Whitney, byli w jury.

Zaparkował przy sklepie z alkoholami Bunghole i poszedł na przystań.

Ann Chase zamykała swój Sklepek Cieni wcześniej niż zwykle.

Kobieta mierząca metr osiemdziesiąt wzrostu, o rozpuszczonych, gęstych, rudych włosach sięgających jej do połowy pleców, która sama nazywała siebie szarą czarownicą, nie praktykowała ani białej, ani czarnej magii, a coś pomiędzy. Dziś wieczór miała na sobie tradycyjną szatę czarnej wiedźmy. Z każdym jej krokiem suknia poruszała się jak stado kosów, sprawiając, że wygląd kobiety wydawał się jeszcze bardziej magiczny niż zwykle, jeśli w ogóle było to możliwe.

Ludzie twierdzili, że Ann ma w sobie nadzwyczajny, magnetyczny ładunek energii. W zależności od własnej biegunowości zwykle znajdowała się albo za daleko, albo za blisko Ann Chase. Rafferty nie bez przyczyny zaliczał siebie do tej drugiej kategorii – choć bardzo tego żałował. Ze względu na ich wspólną historię starał się zachowywać dystans.

Ann wytłumaczyła mu kiedyś, dlaczego wybrała praktykowanie szarej magii, a nie bardziej popularną białą, którą interesowała się większość wiedźm z Salem. Czarownica praktykująca czarną magię – ta zła i groźna, jaką widuje się w telewizji albo w *Czarnoksiężniku z Oz* – to jednowymiarowa karykatura, której nie chciałaby uosabiać żadna szanująca się wiedźma z Salem. Zresztą każda czarownica, która jest czegoś warta, wie, że wszystkie rzucone „czarne” zaklęcia

wracają do ich nadawcy w trójnasób.

– A dlaczego nie zajmujesz się miłosnymi eliksirami i zaklęciami na wygranie w totka, które sprzedaje większość tutejszych czarownic? – zapytał.

– Świat jest zbyt pochrzaniony, żeby bawić się w amatorszczyznę, Rafferty. Czasem trzeba stanąć do walki. Ze wszystkich ludzi ty powinieneś wiedzieć o tym najlepiej.

Ann zwykle grała więc dobrą wiedźmę i sprzedawała wszystko: od ziołowych lekarstw po koronki. Ale czasem lubiła wszystkich przestraszyć. Zwłaszcza w Halloween.

– Masz już dość turystów, co? – zaśmiał się Rafferty.

– Mało powiedziane.

– Mickey wspominał, że puściłaś plotkę o jakiejś złej energii krążącej w powietrzu – rzucił lekceważąco. Raz jeszcze spojrzął na przystań. Nic nie wyglądało podejrzanie. Ludzie oglądali teraz fajerwerki wybuchające nad portem, które oświetlały zacumowaną tam replikę statku Friendship. Spoglądając na wspaniały żaglowiec, Rafferty przez chwilę wyobrażał sobie siebie na początku dziewiętnastego stulecia, kiedy wielkie statki wciąż wypływały z Salem, najbogatszego niegdyś portu Nowego Świata.

– Nie wierzysz mi, co? – Ann wydawała się rozbawiona.

– Nie ośmieliłbym się. – Znów się roześmiał wbrew swojej woli.

– Mamy krwawy księżyc – powiedziała z przekonaniem. – I zaćmienia. – Pokazała na niebo. Chmury nieco się rozproszyły, ukazując przybywający kształt sierpa bez śladu czerwieni. Zaćmienie księżyca sprzed kilku tygodni miało miejsce w ciągu dnia i nie było widoczne ze Wschodniego Wybrzeża, ale tamtej nocy pełen „krwawy księżyc” miał kolor rdzy. Rafferty wiedział więc, o co chodzi. Jego babka, z pochodzenia Irlandka, nazywała go księżycem myśliwych, ale pogańskie ukuli bardziej złowieszczy przydomek. A przecież była to zwyczajna, październikowa pełnia.

– Krwawy księżyc wzeszedł parę tygodni temu – powiedział Rafferty. – Wątpię więc, żeby to miało jakiś związek.

– Mamy tetradę, Rafferty – westchnęła Ann, jak gdyby tłumaczyła coś dziecku. – Cztery zaćmienia księżyca. Ta dziwna energia, w którą nie wierzysz, będzie obecna aż do września przyszłego roku.

Jak gdyby na dowód, że Ann ma rację, nagle wokół nich zerwał się wiatr, wydając świst, który doskonale pasowałby do nawiedzonego domu na Derby Street. Ucichł równie szybko, jak się zaczął.

– Znów robisz jakieś tanie sztuczki? – zapytał Rafferty.

– Hej, to nie ja. To przyszło z zaświatów.

Pogańskie tradycje. Halloween i jego pogański poprzednik, Samhain, były uznawane za ten moment roku, kiedy zasłona pomiędzy światami żywych

i umarłych była ponoć najcieńsza. Ileż Rafferty się nauczył, odkąd się tu wprowadził! Oczywiście nie wierzył w żadną z tych rzeczy.

– Uważasz, że to jakieś ostrzeżenie?

– Sądzę, że raczej wstęp... – Utkwiła w nim wzrok, gdy wypowiadała te słowa. Mówiła poważnie.

Mimo sceptycyzmu Rafferty poczuł na plecach dreszcz.

* * *

Fajerwerki się skończyły, a wiedźmy rozeszły. Rose Whelan postawiła swój wózek pod jedynym dębem rosnącym na Gallows Hill, niedaleko altany z zapadającym się dachem, cuchnącej moczem. W uszach grała jej dziś muzyka banshee, a śmierć była wyczuwalna wszędzie.

Każdej jesieni liście wyglądały na wyczerpane, zanim zaczęły odsłaniać swoje prawdziwe barwy spod maski zieleni. Co roku, gdy poczuły nieunikniony oddech śmierci, demonstrowały swoją czerwień, pomarańcz i żółć, ściągając turystów do Nowej Anglii. Klony, których liście zawsze pierwsze zmieniały kolor, były teraz nagie i zamiatały splątanymi gałęziami na tle ciemnego nieba niczym miotłami czarownic. Tylko dęby wciąż zachowały swoje szkarłatne płomienie.

Starsza kobieta też była wyczerpana. Przywitała się z drzewem, gdy pod nim usiadła. Potem odezwała się do gołębi i wytłumaczyła, że dołączy do nich na jedną noc. Wkrótce zaczęła zapadać w sen, to odpływając w nieświadomość, to się z niej wyrывая, śniąc swój nawracający koszmar z pobytu w szpitalu psychiatrycznym. W tej strasznej wizji drzewo, na którym wieszano czarownice, zostało ścięte, po czym jego masywny pień puszczono po rzece North w stronę otwartego oceanu niczym statek wikingów niosący dusze martwych ku Valhalli. Ten sen ją obudził, jak zawsze gdy do niej przychodził. Mimo że nie drzemała długo, nie od razu zorientowała się, gdzie jest. Naprowadziło ją gruchanie gołębi: Gallows Hill – szubieniczne wzgórze – park o mylącej nazwie, która nie miała nic wspólnego z tym, co tu się naprawdę wydarzyło.

– Gdyby nie ja – Rose wytłumaczyła ptakom – historycy nadal twierdziliby, że w Salem wybudowano szubienicę, by dokonać egzekucji. W tym właśnie miejscu. – Pokręciła głową. – Nie mieszkalybyście tu, gdyby tak było. Nie wybudowałybyście gniazd w miejscu, w którym zdarzyło się coś takiego, prawda? Oczywiście, że nie.

Miejsce egzekucji na Proctor's Ledge znajdowało się – nieoznaczone, opuszczone i zarośnięte – tuż obok parkingu przy supermarkecie. Drzewo, na

którym stracono potępionych, dawno zniknęło i nawet rozpadlina, która posłużyła za ich zbiorową mogiłę, była teraz ledwie widoczna, ale Rose wciąż czuła, że tam jest, nieuświęcona i rzucająca cień nieszczęść na całą okolicę. Wielki pożar w Salem w tysiąc dziewięćset cztertnastym roku, który zaczął się właśnie wzdłuż tamtej ulicy, zniszczył setki domów i pozbawił dachu nad głową połowę mieszkańców. Aż do dziś miasto nie mogło uporać się z przestępstwami, przemocą i ciemnością. Jedyнным sposobem było dokończenie błogosławieństwa rozpoczętego na Proctor's Ledge w noc, kiedy zamordowano dziewczyny.

Tamtej nocy Rose popełniła błąd, zabierając je ze sobą. Nie dlatego, że miejsca nie należało poświęcić, ale z tego powodu, że szczątków straconych w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku osób już tam nie było. Niedługo po zakończeniu całej tej hysterii ciała zaczęły znikać z rozpadliny, do której je wrzucono. Zwłoki dwóch oskarżonych zostały stamtąd zabrane i urządzono im stosowny pogrzeb, ale szczątki pozostałych zwyczajnie rozpląnęły się w powietrzu. Co się z nimi stało? „Znajdź wisielcze drzewo, a rozwiążesz zagadkę”. – Dęby bezustannie powtarzały Rose, a ona zaczynała im wierzyć. „Znajdź drzewo i dokończ błogosławieństwo. Bo nie tylko ci niesłusznie straceni zasługują na boską litość, ale i drzewo... Za rolę, jaką było zmuszone odegrać”.

Rose uważnie słuchała, kiedy drzewa zaczęły do niej mówić. Tamtej strasznej nocy w osiemdziesiątym dziewiątym roku dęby ją uratowały i miała wobec nich dług wdzięczności. Od tamtej chwili znalezienie wisielczego drzewa stało się jedynym celem w życiu Rose.

Na ptakach wydawało się nie robić to wrażenia i kobieta znów zamknęła oczy, wzdychając.

– Wisielcze drzewo istniało – wymamrotała. Mówiła wolniej, im bardziej robiła się senna. – To prawda. O tam. – Pokazała w stronę Proctor's Ledge. Od pamiętnej nocy Rose nie wróciła więcej na tamto miejsce. Teraz znajdowała się najbliżej, jak tylko odważyła się podejść.

– Wisielcze drzewo zniknęło... Wszystko zniknęło. Drzewo, szczątki dziewiętnastu kobiet uznanych za czarownice, a nawet młode kobiety, które kiedyś znałam. – Rose zaczęła przysypiać. – Pewnego razu wy też znikniecie – wymamrotała do ptaków jeszcze wolniej. – Nie wiecie tego, ale taka jest prawda. Wszystko znika. Zabiera ich banshee... – Głowa opadła jej na pierś.

– Ej, babciu, wszystkie czarownice poszły już do domów.

Rose gwałtownie otworzyła oczy. Przed nią, w bardzo bliskiej odległości, stało trzech wyrostków. Ten, który do niej mówił, mógł być najwyżej piętnastolatkiem. Spuszczone w kroku spodnie i ciężkie buty odejmowały mu lat, w przeciwieństwie do wytatuowanego OG na ręce.

– Nie jestem czarownicą.

Podszedł jeszcze bliżej, uśmiechając się złośliwie. Jego błękitne oczy

wyraźnie kontrastowały z mrocznym spojrzeniem, które utkwił w Rose.

- Dobrze wiem, kim jesteś. I wiem, co zrobiłaś.
- Nie podchodź bliżej – ostrzegła go Rose.
- Nie zamierzam – powiedział, wachlując się. – Nieźle śmierdzisz, babciu.

Kiedy ostatnio brałaś prysznic?

- Idź do domu – odezwał się drugi dzieciak, popychając ją.
- Ona nie ma domu, prawda, babciu? – Zaśmiał się OG.
- Łapy precz – ostrzegła Rose, dociskając plecy do drzewa. W uszach jej pulsowało. – Nie boję się was.
- A powinnaś – odparł drugi dzieciak, śmiejąc się.
- To wy powinniście się bać – rzuciła starsza kobieta.
- Tak? A niby czemu? – zadrwił drugi. – Zabijesz mnie jak tamte?

Krzykiem?

- Krzykiem? – Zaczął się śmiać OG. – Nie zabiła ich krzykiem. Tak tylko powiedziała policji! Podcięła im gardła.
- Wiem – odpowiedział drugi.
- Nie chcę nikogo zabić. – Rose miała nadzieję, że nie będzie musiała.

Pomyślała o Olivii, Susan i Cheryl.

- To wariatka – odezwał się trzeci, milczący dotąd chłopak. – Spadajmy stąd.

Spodobał się Rose. Jego oczy nadal były łagodne. Odezwała się bezpośrednio do niego:

- To jej powinniście się obawiać, nie mnie.
- Kogo? – zapytał Łagodnooki, rozglądając się niepewnie.

Znów spojrzała na OG.

- Ona może cię zabić w każdej chwili i nikt jej nie powstrzyma.
- Słyszeliście? Ona mówi, że może mnie zabić. – OG wyciągnął z kieszeni nóż. – Ale wygląda na to, że dziś to ja trzymam ostrze. Bój się, babciu. Bardzo się bój. – Szybkim ruchem przejechał tępą stroną noża po jej szyi.

Rose zerwała się z miejsca.

- Nie mówiłem, że możesz sobie iść, babciu – powiedział OG.
- Mówił – mruknął Łagodnooki do drugiego. – Kazał jej pójść do domu.
- Właśnie że nie – odezwał się twardo OG. – Siadaj z powrotem. – Pchnął ją tak mocno, że Rose uderzyła plecami o drzewo, tracąc dech.
- To ty powinieneś usiąść – wykrztusiła. – Jeśli tego nie zrobisz, umrzesz.

OG roześmiał się.

- Niby jak?
- Jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Czyha na ciebie banshee.
- Kto? Pan Szi? – zapytał Łagodnooki.
- Znacie tę historię – oświadczył drugi wyrostek. – To ona zabiła te

dziewczyny. A powiedziała, że robiła to jakaś banshee. Krzykiem.

– Właśnie – przytaknęła Rose. – Was też może zabić.

– Mówiłem wam, że to wariatka – mruknął Łagodnooki. – Chodźcie, spadajmy stąd.

– Nie ma szans – powiedział OG, uśmiechając się do Rose szeroko. – Chcę to usłyszeć. Opowiedz mojemu koledze o banshee. Jest Halloween, babciu. Chcę usłyszeć jakąś straszną historię. – Przytknął ostrze noża do jej policzka.

Widziała jego życie. Już wcześniej była w nim przemoc, dużo przemocy. Przed nim dostrzegała szereg brutalnych wypadków. Nie widziała jego śmierci, tak jak potrafiła zobaczyć w przypadku większości ludzi. Ale kiedy spoglądała mu głęboko w oczy, widziała za to śmierć wszystkich wokół niego.

– Opowiedz mu albo cię tu zabiję. Mnie też nikt nie powstrzyma. Opowiedz mu tę samą historię, którą zaserwowałeś glinom. O banshee – nalegał OG.

Znów spojrzała na tego o łagodnych oczach. To on pewnego dnia będzie musiał zrozumieć.

Ciężko przełknęła ślinę.

– Opowiedz mu! – rozkazał OG. – Pewnego razu... – zaczął na zachętę, mocniej dociskając nóż do jej skóry.

– W porządku. – Rose wzięła głęboki wdech. – Kiedy byłam mała, moja babka, z pochodzenia Irlandka, powiedziała mi, że w jej dawnym kraju stoi święty dąb, zwany Drzewem Banshee. Był to stary, dziki połamaniec, przed wielu laty trafiony przez piorun.

Łagodnooki tylko się na nią gapił.

– Niektórzy wierzyli, że zanim nadeszła burza, przez wiele lat była w tym drzewie uwięziona celtycka bogini życia i śmierci, przechytrzona przez katolickich księży, którzy przybyli do Irlandii, aby nawrócić celtyckie plemiona, i nie mieli zamiaru tolerować żadnych innych bóstw prócz własnego, o boginiach nawet nie wspominając. Ich Bóg był jedyny, powiedzieli, aby usprawiedliwić jej pojmanie. Niektórzy mówią, że była to Cailleach, ale nazywano ją też innymi imionami. Widzicie, było wiele bogiń, które zajmowały się sprawami życia i śmierci. Niewola zmieniła naturę bogini, zmniejszając ją do rozmiaru wrózek, które mieszkały wśród wzgórz. To była ogromna tragedia.

Przerwała na chwilę, po czym kontynuowała:

– Ale drzewo pokochało boginię i ulitowało się nad nią. Nie będąc jeszcze lojalne wobec księży, którzy ledwie przybyli na tę ziemię, uknuło plan: aby uwolnić boginię, dąb ściągnął na siebie uderzenie pioruna.

Drugi z dzieciaków prychnął.

– Co ty, kurwa, opowiadasz?

– Zamknij się, to dokończy – burknął OG.

– Nikt nie pamiętał tak gwałtownej burzy, jak ta, która zabiła drzewo. Krzyki

i zawrozczenie wiatru okrążyły miasto raz, drugi raz, a potem trzeci, wprawiając wszystkich w przerażenie. W wyniku uderzenia pioruna woda w drzewie wyparowała, rozsadzając jego gałęzie, i – jak twierdzą niektórzy – uwalniając uwięzioną boginię. Ale wyswobodzenie jej było najgorszą rzeczą, jaką mogło zrobić drzewo, bo lata zamknięcia przemieniły ją w banshee, i to nie taką, która, jak może słyszeliście, przewiduje śmierć, lecz taką, która naprawdę zabija.

– Banshee-zabójczynie – prychnął znów drugi dzieciak. – Jasne...

– A ja myślałem, że banshee to rodzaj quada – powiedział Łagodnooki.

– Drzewo powinno było zatrzymać boginię w swoim więzieniu, bo uwolnienie jej wiązało się z nieoczekiwanymi konsekwencjami. W bogini była ogromna nienawiść. Miała niewielkie rozmiary, jej moce, by decydować o życiu lub śmierci, zmałyły. Potrzebowała ciała. Życie już jej nie interesowało. Pragnęła tylko śmierci. Jej pokarmem stały się nienawiść i strach, a tam, gdzie mieszkaly te emocje, bogini zawsze mogła znaleźć chętnego gospodarza. Drzewo ucierpiało w tym wszystkim najbardziej, bo musiało być świadkiem rzezi, jaką wywołało. Po uderzeniu pioruna, który uwolnił odmienioną boginię, po wsze czasy soki drzewa zmieniły kolor na czerwony, jakby krwawiło.

– Krwawiące drzewo? – mruknął drugi dzieciak. – Bogini zamieniona...

Rose wzdrygnęła się na samą myśl o tym, jak tamta bogini się zmieniła. W pamiętną noc tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Rose straciła je wszystkie przez istotę, którą stała się bogini: banshee. Te młode kobiety zabite przez banshee były dla niej jak córki.

W tamtą straszną noc, gdy było po wszystkim, a przeraźliwy pisk ustał, świat się uspokoił i zniknął. Rose patrzyła w wieczną, nieskończoną pustkę, która rozciągała się we wszystkie strony. Kiedy usłyszała lament, sądziła, że dźwięk ten wydają jej własne usta. Wtedy zauważyła, jak konary i gałęzie drzew zaczynają się poruszać już z samym oddechem dźwięku, a resztki ich liści płoną na czarnym niebie jak żarzący się papier.

Wtedy drzewa zaczęły przemawiać. „Idź już” – mówiły. „Idź”.

Ich żalobny lament przepływał z jednego drzewa na drugie, a Rose za nim. Ale ich rytuał coś wtedy wyzwolił. To, co miało być błogosławieństwem, w zamian wywołało coś innego, coś, co wstąpiło w Rose.

– Zglupiałaś, starucho – powiedział OG, uśmiechając się na widok błysku swojego noża w świetle księżyca, gdy po raz wtóry przejechał nim po policzku Rose, tym razem rysując na skórze czerwoną pręgę.

Była to ostatnia rzecz, jaką zobaczył, zanim zaczął się nieziemski wrzask.

ROZDZIAŁ 2

31 października 2014
Salem

Niewyczuwalny wiatr to niebezpieczny wiatr, bo przyzywa banshee.
Księga drzew Rose

Rafferty zaparkował przed posterunkiem na miejscu zarezerwowanym wyłącznie dla niego. Ledwie kilka minut wcześniej, kiedy wyjeżdżał z przystani, jakieś dziecko rzuciło w jego cruisera jajkiem. To był celny strzał. Wiedźma na miotle miała teraz spienioną, żółto-brązową brodę. Do sukni przykleiło się kilka skorupki.

– Ani słowa – powiedział Rafferty do funkcjonariusza, który schodził po schodach posterunku z rozbawioną miną.

– Nie ważyłbym się.

– Kogo tu mamy?

– Kilku pijaczków.

- To wszystko?
- I parę bójek w barach. Nic wielkiego.

Komendant wszedł do środka i zatrzymał się przy recepcji, żeby spojrzeć na listę aresztantów.

Jay-Jay LaLiberte, funkcjonariusz dyżurny, był po trzydziestce, ale nadal wyglądał jak chudy licealista. Włosy miał nieuczesane, koszulę munduru wypuszczoną ze spodni.

- Jakież wiadomości? – zapytał Rafferty.

Sięgając po nie, Jay-Jay przewrócił napój, po czym upuścił kartki w kałużę płynu.

- Przepraszam, szefie.

Rafferty chwycił przewróconą puszkę i powąchał ją, zanim oddał.

- Tym razem jestem trzeźwy, przyrzekam – odezwał się Jay-Jay.

Rafferty westchnął, kiedy podwładny podał mu rozmiękły plik. Dwie pierwsze wiadomości były od jego żony Towner.

Rafferty poszedł do swojego biura i zamknął drzwi. Wyciągnął z biurka tabliczkę czekolady, odwinął i nagryzł. Następnie podniósł słuchawkę i zadzwonił do domu.

- Co tam?
- Nic, po prostu się stęskniłam. Kiedy wrócisz?
- Może za godzinę.

Podniósł kubek zimnej kawy, którą zostawił na biurku, powąchał ją i odłożył. Włączył na telefonie tryb głośnomówiący.

- Ile zbłąkanych owieczek już zgarnęłaś? – zapytał.

W każde Halloween Towner miała oko na dziewczyny, które po fajerwerkach były zbyt pijane, żeby wrócić do domu. Aż nazbyt dobrze wiedziała, jakie kłopoty mogą na siebie ściągnąć, więc postanowiła się zaangażować. „Zbłąkane owieczki” zawsze były mile widziane w ich domu. Rafferty lubił to w swojej żonie. Szczerze mówiąc, lubił w niej właściwie wszystko. Raz prawie ją stracił i ciężko przychodziło mu o tym myśleć.

- Ile? – zapytał raz jeszcze, świadomy, że żona unika odpowiedzi.

Ale ona tylko się roześmiała.

- Uważaj – powiedział. – Nie chcę znaleźć ani jednej z nich z nami w łóżku.

- O Boże, zapomniałam o tym! Pamiętasz jej...

Jay-Jay wpadł do środka bez pukania.

- Mamy morderstwo! Na Gallows Hill!

- Na pewno nie piłeś? – wypalił Rafferty, zanim zdołał ugryźć się w język.

– Co się dzieje? – Głos Towner w telefonie pobrzmiwał niepokojem. – Czy to Jay-Jay?

Rafferty wyłączył głośnik.

– Przysięgam, to prawda! Nie żyje jakiś dzieciak. Jego przyjaciele mówią, że zabiła go jakaś starsza kobieta... – upierał się Jay-Jay. – Porter był na Pope Street i już zatrzymał podejrzaną.

– Oddzwonię do ciebie. – Rafferty rozłączył się i zwrócił do Jay-Jaya. – Powoli. Powiedz mi, co się stało. Kto nie żyje?

– Billy Barnes! A jego dwaj koledzy twierdzą, że ona go zabiła.

– Ona, czyli kto?

– Ta stara bezdomna kobieta. Ta, która nazywa siebie banshee.

– Rose Whelan? – Co do diabła? Właśnie o niej myślał. Teraz Rafferty słyszał wybuchający w korytarzu chaos.

– Porter ją aresztował?

– Tak. Odczytał jej prawa i w ogóle. Właśnie wsadzają ją do celi. Trochę się miota. Jakby walczyła z czymś, czego żadne z nas nie widzi. Musisz to zobaczyć. Wygląda trochę strasznie.

Rafferty wyszedł z biura i doszedł na koniec korytarza, zanim Jay-Jay zdołał go dogonić.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – Rafferty zapytał Portera, przysadzistego mężczyznę po czterdziestce.

To wszystko dzieje się za szybko.

– Wiesz, że nie możesz sobie, ot tak, kogoś aresztować.

– Napisała zeznanie – wyjaśnił Porter. – Podpisała je i w ogóle. – Podał Rafferty'emu kartkę papieru, na której napisane było: „Powiedz Rafferty'emu, że zabiłam dzieciaka. Musiałam to zrobić. Przemieniłam się”.

Rafferty rozpoznał charakter pisma i był właściwie pewien, że to przyznanie się do winy zostało napisane na kartce wyrwanej z dziennika Rose. Oglądał go kilka razy: oprawiony w skórę, z nietypowym, robionym ręcznie papierem. Jedyne, co wcześniej w nim widział, to rysunki drzew.

– Co to, do cholery, znaczy? Powiedziała coś?

Porter wzruszył ramionami.

– W samochodzie cały czas coś mamrotała – odparł. – Ale trudno było zrozumieć.

– Czyli co? – zapytał Rafferty.

– Coś o „mniejszym źle”.

Rafferty wlepił wzrok w Portera.

– Tak powiedziała?

– Tak jakoś to brzmiało.

– Ma paskudną ranę – wtrącił się Jay-Jay. – Musimy tu kogoś ściągnąć, żeby ją opatrzył.

Dwóch innych policjantów, którzy obserwowali zdarzenie w areszcie, wyszło.

Rafferty zajrzał do środka. Rose siedziała na pryczy i wydawała się spokojna. Na policzku miała krwawą ranę. Jay-Jay, który o tym wspomniał, zrobił krok w tył.

– Ja do niej nie podejść.

– Na miłość boską. – Rafferty ściągnął apteczkę wiszącą na ścianie przy wyjściu i wszedł do celi. – Rose – powiedział, klękając przy niej. – Nic ci nie będzie. Zajmiemy się tobą. – Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, ale kobieta cofnęła się, jakby coś ją użądliło. – Nie bój się – powiedział. – To tylko ja, Rose. Rafferty. Znasz mnie.

Dźwięk, jak usłyszał, początkowo przypominał niskie warczenie. Był tak delikatny, że Rafferty nie miał pewności, czy na pewno go słyszy, aż jego tonacja się podniosła i stał się donośniejszy. Nagle przerodził się we wrzask, który odbijał się od pustakowych ścian i sprawił, że funkcjonariusze po drugiej stronie krat zatkali uszy.

– Chryste – krzyknął Jay-Jay. – Uciekaj stamtąd!

Rafferty szybko wycofał się z celi, zupełnie wytrącony z równowagi.

– Okej, Rose – powiedział, gdy był już na zewnątrz. – Na razie zostawię cię samą. – Nie wchodzi do środka – poinstruował jednego z funkcjonariuszy, którego przydzielił do pilnowania celi. – I nie podchodź zbyt blisko – ostrzegł, choć niepotrzebnie. Policjant stanął tak daleko od celi, jak to tylko było możliwe, jednocześnie pozostając w korytarzu.

– Gdzie świadkowie? – zapytał Rafferty.

– Są na komisariacie – odezwał się Porter. – Mieli mnóstwo do powiedzenia na Gallows Hill, ale teraz upierają się, że nie będą rozmawiać bez obecności prawnika.

– No pewnie. – Rafferty westchnął i przeczesał dłonią włosy. – Wracaj do biurka, Jay-Jay.

Komendant poszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Wybrał numer Zee Finch, psychiatry, która od lat z przerwami zajmowała się Rose. Żałował, że musi niepokoić ją po godzinach.

– Tu Zee... – Wydawała się nieco oszołomiona.

– Przepraszam, że nękam cię telefonem o tej porze – tłumaczył się Rafferty.

– Ale mamy problem.

Zee słuchała w milczeniu, gdy komendant przekazywał jej, co do tej pory wiedział.

– O Boże, znowu się zaczyna – powiedziała, kiedy skończył. – Ubiorę się tylko i zaraz będę.

– Dziękuję. – Rafferty rozłączył się i wybrał kolejny numer, tym razem Barry'ego Marcusa, obrońcy, który, jak wiedział, pracował czasem *pro bono*.

– Chodzi o Rose Whelan, tak? – domyślił się Barry. Nie spał. – O co jest tym

razem oskarżona?

– O zabicie Billy’ego Barnesa.

– Billy’ego Barnesa? – powtórzył Barry. – Co za nieszczęście...

– Zależy, jak na to spojrzeć – odparł Rafferty. Znał Barry’ego na tyle, że mógł być z nim uczciwy. Wszyscy w Salem wiedzieli, że Billy Barnes to same kłopoty. Ale chłopak miał koneksje. Jego cioteczna babka Helen była jedną z najbardziej wpływowych mieszkanek Salem.

– Ty ją aresztowałeś? – zapytał Barry.

– A jak sądzisz?

– Podejrzewam, że nie. Więc kto?

– Porter.

– Czemu mnie to nie zaskakuje?

Porter miał skłonność do tego, by najpierw wsadzać do aresztu, a dopiero potem zadawać pytania, przez co już wcześniej pakował się w kłopoty.

– Co powiedzieli świadkowie?

– Jeszcze ich nie przesłuchałem. Poprosili o prawnika. Co oznacza, że uważają, że usłyszą jakieś zarzuty.

– A usłyszą?

– Jeszcze nie wiem.

– Przefaksuj mi raport. – Barry westchnął. – Przyjadę rano. Do tego czasu nie pozwól Rose z nikim rozmawiać. Nie powtórzmy błędów z przeszłości.

– Zgoda. – Rafferty się rozłączył.

Nie przestawał myśleć o morderstwach z osiemdziesiątego dziewiątego – najśłynniejszej nierozwiązanej zbrodni z Salem. Rose Whelan zawsze była nieoficjalnie winiona za morderstwa, mimo że, z tego co słyszał, nie było na to absolutnie żadnych dowodów. Mieli jedynie poszlaki, które, jak widział w przypadku Aktora Boba, zostały udratyzowane i wyolbrzymione dla zbijania zysku na turystach. Fakty były inne i jeszcze bardziej niejednoznaczne: zamordowano trzy młode kobiety. To była prawdziwa rzeź: ofiarom podcięto gardła, przez co szybko się wykrwawiły. Jednej z kobiet, albinosce, brakowało części skóry i włosów. Dziecko i sama Rose były jedynymi osobami, którym udało się przeżyć. Miało to miejsce prawie pięć lat przed przyjazdem Rafferty’ego do Salem. Na początku komendant chciał ponownie otworzyć sprawę, ale w tym mieście zawsze było coś pilniejszego do roboty, a to narkotyki, a to przestępczość na ulicach czy przemoc domowa – wszystko realne i dziejące się tu i teraz. No i jeszcze Halloween, które z roku na rok trwało coraz dłużej.

– W Halloween dzieją się tu dziwne rzeczy – powiedział mu jego poprzednik, Tom Dayle, kiedy przekazywał następcy akta nierozwiązanych spraw. Papiery tak zwanych „morderstw Bogiń” znajdowały się na samym spodzie sterty.

Rafferty słyszał już plotki o Dayle’u. Cztery lata przed pełną emeryturą

detektyw przeszedł załamanie nerwowe, przez które cały ten czas spędził na zwolnieniu lekarskim. Inni policjanci szeptali między sobą, że to ta nierozwiązana sprawa go do tego doprowadziła.

– Reszta akt jest w magazynie – powiedział Dayle na odchodne. – Nie marnowałbym na to czasu, niczego tu nie ma.

Po przejrzeniu z Raffertym bieżących spraw, co zajęło jedno popołudnie, Dayle poszedł na rentę. Oficjalnie nie ze względu na załamanie nerwowe, a „uporczywy artretyzm w kolanach”. Podobne pieniądze, lepsza wymówka.

Rafferty słyszał na mieście wiele historii o tej sprawie sprzed lat, przypadkowych szczegółów, które podsycaly jego zainteresowanie. Teraz, z dwudziestoletnim stażem pracy, Rafferty miał przyjrzeć się jej bliżej. Wyrzucił resztę czekolady, zrobił sobie świeżą kawę i próbował sobie przypomnieć wszystko, co wie.

Nigdy nie rozumiał, dlaczego mieszkańcy miasta uważali, że Rose Whelan była sprawczynią, a nie jeszcze jedną ofiarą. Poznał ją bliżej przez lata, sądząc na początku, że jest jedną ze „zblakanych owieczek” Towner. Ale ta kobieta była kimś więcej. Była naukowcem, specjalizowała się zarówno w mitologii, jak i historii kolonializmu, a szczególnie interesowały ją procesy czarownic z Salem. Kiedy zapytał ją któregoś dnia o to zestawienie dwóch pozornie przeciwstawnych dziedzin, zbyła go, jakby to było coś oczywistego.

– Aby zrozumieć, co stało się z purytanami w Salem, trzeba najpierw poznać pogańskie wierzenia, których tak się obawiali. Dla purytanów katolicka akceptacja istniejących świąt pogańskich była jak wzywianie szatana.

Jednak wszystko zmieniło się dla Rose wraz z okrutną śmiercią trzech młodych kobiet. Doznała poważnej traumy w wyniku zdarzenia, a ze względu na jej stan umysłowy oraz obecność na wzgórzu tamtej nocy, podejrzania zaczęły być kierowane w jej stronę. Koniec końców ofiary mordu mieszkały w jej domu. Zgodnie z tym, co usłyszał Rafferty, Rose nie akceptowała ich zachowania i dawała im kilka szans, aby je zmieniły, aż w końcu kazała im się wyprowadzić. Słyszał, że rytuał, który wykonywały w noc swojej śmierci, był ich ostatnim zgromadzeniem, spełnieniem jakiejś starej obietnicy, jaką kobiety złożyły Rose w zamian za możliwość mieszkania u niej.

Kiedy zginęły brutalną śmiercią w niewyjaśnionych okolicznościach, w stronę Rose zaczęły płynąć oskarżenia. Zebrała się ława przysięgłych, ale – dla Rafferty’ego nie było to żadne zaskoczenie – nie znaleziono wystarczających dowodów, by skazać Rose. Wszyscy jednak zgodnie przyznali, że Rose Whelan, niegdyś szanowana miejscowa historyczka i autorytet w kwestii procesów czarownic, od tego strasznego wieczoru na Proctor’s Ledge nie była w pełni władz umysłowych.

Rafferty wierzył w niewinność Rose. Poza nią był jeszcze jeden świadek

zdarzenia – a przynajmniej w pewnym sensie był to świadek – pięcioletnia córka jednej z ofiar. Dziecko niezamordowane upierało się przy zeznaniach, że Rose Whelan pomogła się jej ukryć „przed czymś złym”, po czym pobiegła ratować kobiety.

Ostatecznie Rose, zamiast pójść do więzienia, została umieszczona kolejno w kilku szpitalach psychiatrycznych. Po roku spędzonym bez wypowiedzenia ani jednego słowa nagle odzyskała głos i zaczęła opowiadać nieprawdopodobną historię o tym, co się stało z trzema zamordowanymi kobietami, którym do tamtego czasu media i mieszkańcy miasta nadali przydomek „Boginie”. I to był właśnie powód, dla którego Barry Marcus nie chciał, aby Rose rozmawiała z Raffertym czy kimkolwiek innym bez obecności adwokata: lata temu, po przedłużającym się przesłuchaniu, Rose oświadczyła, że młode kobiety zostały zabite przez banshee. Rafferty znał banshee z opowieści swojej babci na temat Irlandii: w mitologii banshee była duchem kobiety, której żalosne lamenty uznawane były za omen śmierci. Irlandzka babka zawsze twierdziła, że w rodzinie Rafferty’ego była banshee, która przez pokolenia przewidywała każdy zgon.

Jednak nigdy nie słyszał, aby banshee sama zabijała. Starsza kobieta twierdziła, że po dokonaniu morderstw banshee w nią wskoczyła i teraz ona, Rose, więzi w sobie tę istotę, aby więcej już nie zabijała. Gdyby miała prawnika, poradzono by jej, żeby nikomu czegoś takiego nie mówiła, a w szczególności policji.

Rafferty znał Rose na tyle, by wiedzieć, że nastąpiły dla niej gorsze czasy. Na litość! Straciła dom, ale nie była zabójczynią! Jego policyjny instynkt nigdy go nie zawiódł. Za Rose mógłby dać głowę...

* * *

– Powiecie mi, co się stało?

Rafferty usiadł naprzeciw dwóch nastolatków w pokoju przesłuchań. Dopił resztkę kawy i utkwiał w nich wzrok. Widział ich już wcześniej. W ciągu ostatniego roku brali udział w kilku przepychankach. Nie było z nimi prawnika, ale obaj najwyraźniej z kimś się skonsultowali, zanim zgodzili się na rozmowę. Na posterunek nie przyjechał też jeszcze żaden rodzic ani opiekun.

Dużo lepiej znał zamordowanego chłopaka, Billy’ego Barnes’a. Billy był złym dzieciakiem. Nie dało się tego inaczej ująć. W zeszłym roku w Halloween zaczął się bić na noże z małym chłopcem z Lynn, według plotek członkiem gangu Latin Kings. Choć Billy sam nie należał do gangu, jego tatuaż OG miał mówić

wszystkim, że lubi przemoc i przed niczym się nie cofnie. Jasne, „Oryginalny Gangster” – pomyślał Rafferty. Nic bardziej mylnego. Chłopak był pozerem, pragnął rozgłosu i pochodził z uprzywilejowanej rodziny. Nie zmieniało to faktu, że był niebezpieczny.

Wtedy nikt nie wniósł zarzutów, podobnie jak przy innych, licznych okazjach wcześniej i później, kiedy Barnes a zgarniała policja. Za każdym razem pojawiał się jakiś elegancko ubrany prawnik, który ze wszystkiego go wyciągał. Żaden z zarzutów, które złożył przeciw niemu Rafferty, długo się nie utrzymał. Komendant nie sądził, żeby szczególnie uprzykrzał życie temu młodemu. Nawet więcej – gdyby Billy był synem Rafferty’ego, kazałby mu spędzić noc w więzieniu albo i dłużej, aby dać mu posmakować, jak wygląda poprawczak w Middleton. Wysłoby mu to pewnie na dobre – przywołałoby go do porządku. Gdyby jego własna córka zaczęła się kiedyś zachowywać jak Barnes...

– Już mówiliśmy. Zabiła go Rose Whelan.

– No tak... – wycedził Rafferty. Zmierzali donikąd. Chłopcom najwyraźniej doradzono, aby nic nie mówili z wyjątkiem tego prostego oświadczenia. – A skąd się wzięła rana na jej policzku? To sprawka któregoś z was?

Chłopcy wymienili spojrzenia. Żaden z nich nie powiedział ani słowa.

– Chcecie dzisiaj wrócić do domów czy zająć celę naprzeciwko Rose Whelan?

– Nie może nas pan zatrzymać – powiedział starszy, o nazwisku Monk.

Rafferty się roześmiał.

– Kto wam to nawciskał?

Kiedy nie odpowiedzieli, Rafferty posłał ich do celi, wprawdzie nie naprzeciwko Rose, ale na tyle blisko, aby nieco się zdenerwowali. Zaczekał, aż zaparzy się nowy dzbanek kawy, zanim znów ich wezwał, tym razem oddzielnie. Najpierw przyszedł Monk, unikając kontaktu wzrokowego.

– Wiem, co widziałem – powiedział. Po chwili poprawił zeznanie. – Co słyszałem.

Młodszy chłopak, James, był inny. Kiedy usiedli z Raffertym sami, był dużo bardziej rozmowny.

– Ostrzegę cię, że będzie musiała to zrobić – powiedział. – Sądziła, że to *on* ma zamiar zabić *ją*.

– A miał taki zamiar?

– Nie wiem. – James wzruszył ramionami. – Może... – Wyglądał, jakby miał się rozpłakać.

– Co się stało z nożem? – zapytał komendant. Nóż, którym Billy Barnes groził Rose, przepadł.

– Monk wyrzucił go do lasu.

– Jeśli kogoś tam wyślę, to go znajdzie?

– Nie wiem.

Rafferty utrzymał kontakt wzrokowy, ale się nie odezwał.

– Nie sądzę – dodał James. – Teraz już nie.

– Tego dotyczył telefon do jednego z twoich kumpli-gangsterów? Zadzwoń do kogoś, żeby pozbył się noża?

James ucichł. Trzął się na całym ciele.

Rafferty przyglądał się chłopakowi przez długi czas.

– Opowiedz mi raz jeszcze wszystko od początku. Wszystko, co się stało pomiędzy Billem a Rose.

– Monk próbował ją przegonić, ale nie dała się.

Komendant nie był zaskoczony. Ludzie często dokuczali Rose. Musiała się nauczyć, jak się nie dać. Przez lata umiejętności, jakich potrzebowała, by przeżyć na ulicy, przyjęły formę oporu, który inni odczytywali jako albo szaleństwo, albo arogancję, albo i to, i to.

– Powinna była sobie pójść... – Jamesowi zbierało się na płacz.

– Co stało się potem?

– Billy zaczął jej grozić. A potem ona jemu.

Rafferty uniósł brew.

– Zaczęła mu grozić? Czy to nie Billy trzymał nóż?

– Tak – odparł James.

– W takim razie jak Rose mogła mu zagrozić, jeśli to on miał broń?

– Ona... Kazała mu usiąść. Powiedziała, że jeśli tego nie zrobi, będzie musiała go zabić. – Teraz chłopak dostał ataku hiperwentylacji. – Mówię prawdę! – krzyknął. – Opowiadała szalone rzeczy o banshee i boginiach, i krwawiących drzewach uderzonych przez piorun.

Rafferty znał niektóre historie Rose. Umiała opowiadać, choć w większości z nich było niewiele sensu.

– Weź głęboki wdech i wstrzymaj go na chwilę – zasugerował.

Dzieciak posłuchał. Po chwili, idąc za wskazówkami Rafferty'ego, powoli wypuścił powietrze.

Komendant wstał, aby przynieść mu wodę z lodówki. Teraz usiadł ponownie i przyglądał się, jak chłopak powoli pije.

– Lepiej?

James pokiwał głową, wycierając oczy.

– Dobrze, to teraz powiedz mi, co zdarzyło się później.

– Usłyszeliśmy silny wiatr. Jakby wycie, a potem... pisk. Okropny pisk. W życiu czegoś takiego nie słyszałem. Aż bolało! Niczego nie widziałem, bo nagle zrobiło się kompletnie ciemno, a potem... Billy leżał na ziemi. – James znów zaczął płakać. – Oczy miał wytrzeszczone, jakby nadal patrzył na to, co go zabiło.

– Myślałem, że mówiłeś, że to Rose go zabiła.

- Bo to była ona!
- Powiedziałaś: „to, co go zabiło”.

Chłopak przestał łkać.

- Zapowiedziała, że to zrobi i zrobiła.

– Przyjechała doktor Finch – oznajmił Jay-Jay, kiedy Rafferty wyszedł z pokoju przesłuchań. – Wpuściłem ją do celi Rose.

Rafferty nie ufał decyzjom Jay-Jaya, i to nie pierwszy raz. Pobiegł w stronę celi Rose. Jeszcze zanim zaczął przesłuchiwać świadka, zajrzał do aresztowanej. Dzięki Bogu, wyglądała na spokojniejszą.

Zee Finch siedziała teraz na pryczy obok Rose i opatrywała jej ranę. Podniosła wzrok, gdy zauważyła Rafferty’ego i odgarnęła za ucho luźne pasmo kasztanowych włosów.

- Trzeba założyć szwy.

Rafferty pokiwał głową. Rose zdawała się wpatrywać w coś, czego nie widział nikt poza nią.

– Jak długo jest w takim stanie? – zapytała Zee, kończąc opatrunek. – Powiedziała, co się stało?

– Nie – odparł Rafferty. Stał przy przeciwległej ścianie, mając oko na korytarz, chcąc mieć pewność, że nikt im nie przeszkodzi.

- Postawisz jej zarzuty?

– Niby jakie? – zapytał. – Zabicie chłopaka krzykiem?

– Jay-Jay twierdzi, że macie pisemne przyznanie się do winy.

– Zgadza się.

– Nie pokażesz mi go?

– Najpierw pokażę je adwokatowi – odpowiedział.

– W porządku. Ale dzisiejszą noc Rose musi spędzić w szpitalu. Załatwię jej łóżko na oddziale psychiatrycznym.

Rafferty westchnął. Nie mógł się pogodzić z myślą, że Rose znów trafi na oddział, ale nie chciał jej zwolnić ani też postawić zarzutów, niezależnie od tego, czy mieli przyznanie się do winy, czy nie. Ratownicy medyczni twierdzili, że ciało chłopaka było czyste. Najmniejszych śladów walki.

– To, moim zdaniem, najlepsza opcja – skwitował komendant. – Nie będę w stanie pomóc, dopóki się nie zorientuję, z czym mamy do czynienia. Na tę chwilę nie wiem nawet, czy popełniono przestępstwo. Nie będziemy tego wiedzieli, dopóki nie wykonamy autopsji i nie dostaniemy wyników toksykologicznych. To nie CSI, to Salem.

Oboje wiedzieli, że uzyskanie tych wyników trochę potrwa.

– Rose – powiedziała miękko Zee. – Zadzwoń do szpitala i załatwię ci miejsce. Odpoczywaj do czasu, aż to wszystko rozwikłamy.

Aresztowana nie odpowiedziała.

Zee wzięła ją za rękę. Starsza kobieta, która nie zareagowała w żaden sposób, gdy Zee oczyszczała jej ranę, teraz, podkurczając palce niczym kot pazury, rzuciła się zniemacka Zee do oczu i podrapała po twarzy od skroni po podbródek. Rafferty złapał lekarzkę za ramię i odciągnął od Rose.

– Co, do cholery, stało się na tym wzgórzu!? – krzyknęła Zee, gdy już zdołała się opanować.

– Dziś czy dwadzieścia pięć lat temu? – zapytał Rafferty.

* * *

Poznał Rose niedługo po tym, kiedy on i Towner zamieszkali razem w jej rodzinnym domu. Pewnego wieczoru wrócił do domu i zastał ją śpiącą pod dębem na podwórku.

– Miałeś ciężki dzień, co? – zagadnęła Rose bez ogródek?

– Kim ty, do cholery, jesteś? – zapytał. – I co robisz na moim podwórku?

– To nie jest twoje podwórko. To podwórko Evy Whitney, a ona dała mi to drzewo.

Zorientował się, że kobieta, która przed nim stoi, to Rose, o której do tej chwili jedynie słyszał. Miała rację. Eva Whitney, babcia Towner, jasno wyraziła się co do dębu w swoim testamencie. Swoją ogromny ceglany dom, herbaciarnię i wszystko, co miała, zostawiła Towner, ale dąb oddała Rose. „Niniejszym zapisuję dożywotnie prawo do tego dębu Rose Whelan” – dokładnie określiła w testamencie. „Gdybym mogła, zapisałabym jej każdy dąb w Salem. Oby pomogło jej to poznać sekrety drzew”.

Po tym pierwszym nietypowym spotkaniu ich znajomość zaczęła się rozwijać. Rose zawsze tam była, niczym stały element krajobrazu, zawsze się witała i zadawała pytania o to, jak mu minął dzień. Rafferty prowadził z Rose niezobowiązujące rozmowy, czasem nawet filozoficzne dysputy, kiedy wracał z późnej zmiany. Traktował ją jak mentorkę, niemal wyrocznię. Nie żeby zawsze miała zdolność przewidywania. Wiele z tego, co mówiła, zakrawało na totalny absurd. Ale od czasu do czasu powiedziała coś, co miało na niego głęboki wpływ. Lubił te ich rozmowy.

To Towner opowiedziała mu historię tej kobiety.

Rose nie zawsze była dziwna. Przed sprawą Bogiń prowadziła poważne badania naukowe. Przypisywano jej ustalenie prawdziwej lokalizacji miejsca egzekucji czarownic z tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, za które przez wieki uznawano Gallows Hill Park. Wysunęła także niedawno przyjętą

teorię, że podczas egzekucji nie użyto szubienicy, a raczej grubego drzewa, które niedługo później zniknęło, podobnie jak ciała straconych.

Ale Rose zmieniła się od czasu morderstwa Bogiń. Jej fiksacja na punkcie śmierci sprawiała, że ludziom przechodziły ciarki po plecach. Mówiła im, jak i kiedy umrą. W najlepszym wypadku sprawiało to, że ludzie czuli się przy niej bardzo niezręcznie. Sytuację pogarszał fakt, że niektóre z jej przepowiedni się spełniły. W rezultacie większość mieszkańców unikała jej jak ognia.

Przykładem jej makabrycznych zdolności stała się śmierć, którą Rafferty sam mógł przewidzieć – pijaka o żółtej skórze i malarycznych oczach, którego znał z AA i który potrafił wypić więcej, niż ważył. Rose przewidziała jego rychłą śmierć na ulicy, i to w otoczeniu świadków. Następnego dnia ciało pijaka leżało rozpostarte na Lafayette Street przed Red Lulu Cocina. Czysty przypadek, ale ludzie zaczęli węszyć w tym coś bardziej złowieszczonego. I chcieli też wierzyć, że miejscowa dziwaczka była temu winna.

Czasami, kiedy Rafferty późno wracał do domu, Rose potrafiła powiedzieć coś, nad czym zastanawiał się potem całymi dniami.

– Nikt nie rodzi się taki, że od razu dostrzeżę we wszystkich śmierć. To się dzieje z czasem i stopniowo, aż pewnego dnia okazuje się, że widziałeś już tyle strasznych rzeczy, że to cię odmienia. Wtedy może w ciebie wskoczyć banshee.

W Salem działo się wiele rzeczy, w które Rafferty zbyt nie wierzył, wierzył za to w istnienie stworzeń takich, jak banshee, choć się z tym nie obnosił. Kiedyś opowiedział o tym Towner. Słyszał wycie i jęki banshee w noc śmierci swojej matki, był o tym przekonany. I widział ją: staruchę lamentującą na tyłach jego rodzinnego domu. Kiedy się do niej zbliżył, zniknęła, wyparowała niczym wodna zjawka. Oczywiście miało to miejsce, kiedy jeszcze pił. A tamtego dnia on i jego bracia wychylili kilka piw. Przez lata robili sobie z niego żarty, że „widzieli starą kobietę”. Tylko że Rafferty naprawdę ją widział! Upiorną postać siedzącą na aluminiowym krześle ogrodowym w Queens, oplakującą śmiertelne bóle jego matki.

Ale realna banshee? Z krwi i kości? W to już ciężko było mu uwierzyć.

Rozmawiał o tym z Rose przy kilku różnych okazjach. Choć była ekscentryczna, a może nawet szalona, jak sądziła większość mieszkańców Salem, dysponowała imponującą wiedzą. I potrafiła ją wykorzystać w rozmowie na każdy temat, jaki Rafferty'emu przychodził do głowy, a mitologia była jedną z jej ulubionych dziedzin. Od Rose Whelan niemal zawsze można się było czegoś nauczyć.

Bywało jednak, że Rose zachowywała się zbyt dziwnie nawet jak dla Rafferty'ego. Spoglądała na niego wówczas, jakby potrafiła zajrzeć w głąb jego duszy i... jakby czegoś jej tam brakowało.

Pewnego wieczoru wrócił do domu po szczególnie ciężkim dniu, w którym

zajmował się ofiarą przemocy domowej ze schroniska dla kobiet na wyspie Yellow Dog. Liczył na to, że może Rose będzie już spać pod drzewem, jak często się zdarzało, gdy pracował do późna.

Starsza kobieta z zaciekawieniem zmierzyła go jednak wzrokiem, przechylając głowę na bok.

– Sądzisz, że w środku każdy z nas jest mordercą?

– Co takiego?

– Gdybyś wiedział, że śmierć to mniejsze zło, byłbyś w stanie odebrać komuś życie?

– Nie myślę o takich rzeczach – powiedział Rafferty.

– Powinieneś. Ze względu na pracę.

Rafferty pospiesznie ruszył w stronę schodów.

– Zabiłeś kogoś kiedyś?

– Nie – odpowiedział Rafferty i szybko wszedł do środka.

– Kłamca!

Trafiła prosto w jego duszę.

ROZDZIAŁ 3



*1 listopada 2014
Northampton, Massachusetts*

Wiesz, kim jesteś. Zawsze byłaś inna.

Księga drzew Rose

Kobiety siedziały w kręgu, z zamkniętymi oczami. Dźwięk niósł się echem, krążąc po pomieszczeniu i zmiękczając wszystko, czego dotknął, usuwając szorstkość, zaokrąglając rogi, rozluźniając siedzących.

Callie stała przed grupą, przeciągając różdżką po misie dźwiękowej. Z daleka wyglądała tak, jakby mieszała w garnku z gulaszem albo pichciła coś w kotle czarownic, ale tak naprawdę przejeżdżała różdżką po zewnętrznej krawędzi misy, nie w środku. Ton, jaki wydawał instrument, jasny i czysty, krążył i narastał, aż w końcu stał się tak głośny, że Callie poczuła wibracje w kościach. Odłożyła różdżkę na stół i słuchała fal dźwiękowych, nadal generowanych przez misę.

Próbowała leczyć je osobno, ale energia grupy była tak silna, kiedy kobiety medytowały razem, że bez dwóch zdań była to dla nich najlepsza metoda uzdrawiania. Dziś działała na wszystkie uczestniczki sesji z wyjątkiem biednej Margie, która cierpiała na parkinsona w zaawansowanym stadium. Callie podeszła do niej i położyła kobiecie dłoń na ramieniu.

– Coś sprawia ci trudność?

– Nie mogę się skupić przy tym jazgocie – odparła Margie.

– Przez misę? Nigdy nie miałaś nic przeciwko temu... – odpowiedziała Callie zmieszana.

Raptem, gdy odgłosy instrumentu przycichły, Callie usłyszała południowy serwis informacyjny dudniący z pokoju obok. Wiele starszych pensjonariuszek Domu Opieki pod wezwaniem Wszystkich Świętych, gdzie Callie pracowała jako muzykoterapeutka, cierpiało na upośledzenie słuchu, więc telewizor w pokoju obok zawsze hałasował.

– Telewizor. – Skrzywiła się Margie. – To telewizor mi przeszkadza.

– Poczekaj. – Callie podniosła palec. – Zaraz wrócę.

Zamknęła za sobą drzwi i ruszyła korytarzem. W powietrzu unosił się zapach gotowanego kalafiora. Zajrzała do świetlicy. Telewizor był nastawiony na stację WCVB.

– Byliśmy tam przez cały tydzień – zaintonował prezenter. – Widzieliśmy wiedźmy, piratów, a nawet konkurs na najbrzydszego psa, tak jak co roku, odkąd relacjonujemy obchody Halloween w Salem. I choć czasami można się było przestraszyć czy natknąć na „ducha” – zrobił wymowny gest, oznaczający cudzysłów – zawsze było bezpiecznie i przyjaźnie dla rodzin.

– Nie zawsze – skomentował drugi prezenter.

– Za głośno? – zapytała Edith, gdy dziewczyna weszła do środka. Edith była jedną z kobiet, które nie chciały uczestniczyć w muzykoterapii, mimo że Callie wiedziała o artretyzmie, z którym zмага się emerytka. Będzie musiała porozmawiać z siostrą Ernestyną. Może przekona Edith, by dołączyła do grupy.

– Tylko odrobinę, Edith. Dasz mi pilota?

I właśnie wtedy prezenter powiedział słowa: „mordercza banshee”. Callie błyskawicznie odwróciła w kierunku ekranu.

Pojawiło się na nim zdjęcie starszej kobiety ciągnącej torbę na kółkach. Jej długie, siwe i nieokiełznane włosy wlokły się za nią, a na twarzy malował się nienawistny grymas. Napis pod spodem głosił: BANSHEE Z SALEM.

Callie wpatrywała się w nią jak zaczarowana. Wyglądała bardzo znajomo, choć kobieta nie mogła sobie przypomnieć, skąd ją zna.

– Gdyby można było zabić spojrzeniem... – powiedział pierwszy z prezenterów.

– Wygląda na to, że chyba można – skomentował drugi. – Ta bezdomna,

domniemana – podkreślam – domniemana zabójczyni-banshee nazywa się Rose Whelan.

Pilot z łoskotem upadł na podłogę.

– Jeśli to nazwisko brzmi znajomo dla niektórych naszych stałych widzów, to nie bez powodu – dorzucił drugi prezenter. – Rose Whelan była niegdyś główną podejrzaną w nierozwiązanej dotąd sprawie morderstw Bogiń w Salem.

Callie stała jak skamieniała. Nie schyliła się po pilota, tylko wpatrywała w telewizor i pocierała lewą rękę.

– Nic ci nie jest, skarbie? – zapytała Edith.

– Policja ujawni tożsamość ofiary po skontaktowaniu się z jej rodziną.

Gdy Callie nachyliła się po pilota, Edith zauważyła coś na lewej dłoni młodej terapeutki, czego wcześniej nie widziała.

– Zraniłaś się? – zagadnęła. – Czy to jakiś tatuaż? Nie, nie tatuaż. Może ślad po oparzeniu? Albo blizna.

Cokolwiek to było, rzucało cień na całą dłoń młodej kobiety. Starsza pani wyteżyła wzrok. Miała rację. To była blizna. Dlaczego wcześniej jej nie zauważyła? Na dłoni Callie, w samym jej centrum, znajdowało się symetryczne odzwierciedlenie ulubionego kwiatu Edith – róży.

ROZDZIAŁ 4

*1 listopada 2014
Salem*

Nie zezwalano na udzielenie katolickiego pochówku powieszonym za czary w 1692 roku. Mimo to przypadek syna Rebeki Nurse, który spłynął niemal dziesięć kilometrów rzeką North, aby odzyskać ciało matki i wyprawić jej prawdziwy pogrzeb, jest dobrze znany. Później, choć nikt dokładnie nie wie kiedy, szczątki innych oskarżonych i straconych w tamtym ponurym roku zwyczajnie zniknęły z rozpadliny, do której bezceremonialnie wrzucono ich ciała. W sposób logiczny nasuwa się tu pytanie: dokąd je zabrano?

Rose Whelan, Czarownice z Salem

Rafferty odprowadził Barry'ego Marcusa do drzwi komisariatu. Pomijając mały diamentowy ćwiek w uchu, prawnik wyglądał tak, jak powinien się prezentować skuteczny adwokat w drodze do sądu: ciemnoniebieski garnitur, biała koszula, krawat w czerwone i niebieskie prążki. Rafferty zapiął kurtkę, zasłaniając

wczorajszą pomiętą koszulę, która teraz prezentowała w dodatku plamę po kawie na kieszonce.

Niedługo po wschodzie słońca Rose przewieziono karetką do szpitala w Salem. Rafferty kazał ją wyprowadzić przez tylne drzwi komisariatu i poinstruował załogę karetki, aby pojechali Jefferson Avenue, od tyłu szpitala, i weszli do środka przez oddział ratunkowy.

– Wiesz, że nie możesz jej przetrzymywać – tłumaczył mu teraz Barry. – Nie wolno ci nawet postawić jej zarzutu bez wyników autopsji chłopaka. Z tego, co mi wiadomo, krzyczenie na młodocianego gangstera, który grozi ci nożem, nie jest przestępstwem.

– Nie istnieją żadne plany postawienia jej formalnych zarzutów. A przynajmniej na razie takich nie ma. Rose pozostaje w szpitalu zgodnie z zaleceniem swojej lekarki, Zee Finch.

Ledwie wyszli na pierwsze promienie słońca, a reporter już podsunął Rafferty'emu mikrofon pod nos.

– Czy to prawda, że znaleziono związek pomiędzy wczorajszym zabójstwem a morderstwami Bogiń?

– Kto ci tak powiedział? – zapytał Rafferty, nie starając się nawet ukryć irytacji.

– Kilka osób – odparł dziennikarz prowokującym tonem.

– No to nie wiedzą, o czym mówią. – Kiedy tylko to wybrzmiało, zobaczył, jak Barry podnosi brew, i od razu pożałował, że się odezwał. Był wyczerpany. Wypił przynajmniej sześć kubków kawy, nie licząc tego, który na siebie wylał, i w ogóle nie pojechał do domu, a nawet nie zadzwonił do Towner, żeby powiadomić ją o rozwoju sytuacji.

Kiedy ruszyli dalej, Barry nachylił się do niego.

– Następnym razem powiedz: „Bez komentarza”.

Przed szpitalem aż mrowiło się od ekip telewizyjnych.

– Czy to prawda, że zabiła dziecko głosem?

– Jest potomkinią czarownicy, zgadza się?

– Czy zmusił ją do tego szatan?

Ludzie, co wy? Nie można zabić kogoś głosem! – Chciał do nich krzyknąć Rafferty. Spojrzał jednak na Barry'ego Marcusa i mruknął tylko:

– Bez komentarza.

Wjechali na siódme piętro, gdzie mieścił się zamknięty oddział psychiatryczny szpitala, i przeszli przez automatyczne drzwi. Czekala już na nich za nimi Zee. Przywitała się z Barrym.

– Co ci się stało w twarz? – zapytał adwokat, zauważając plaster.

– Rose jej się stała – odparł Rafferty.

– Chciałabym zobaczyć to rzekome przyznanie się do winy – powiedziała

psychiatra, kładąc dłoń na drzwiach pokoju Rose.

– Powiedziałem jej, że ty o tym zadecydujesz – wyjaśnił komendant.

Barry sięgnął do aktówki i podał Zee kopię kartki wyrwanej z dziennika Rose. Przeczytała tekst kilka razy, po czym podniosła wzrok.

– To nie może być wiarygodny dowód, prawda? – oddała kartkę Barry’emu.

– Kiedy nadejdzie taka potrzeba – jeśli w ogóle nadejdzie – tak to będę argumentował sędziemu. To chyba zrozumiałe – dodał Barry. – Ale powiem dla jasności: podczas pobytu tutaj Rose nie będzie przyjmować żadnych wizyt. Do jej pokoju wchodzi tylko członkowie rodziny i lekarze.

– Już wydałam taką dyspozycję – odparła Zee. – I przypomnę personelowi, że obowiązuje nas HIPAA[2]. Będziemy musieli zdobyć nakaz sądowy na przetrzymanie jej tutaj.

– Nie ze względów prawnych – powiedział Barry.

– Jest podejrzana w sprawie o morderstwo – odezwał się Rafferty. – To wystarczający prawny powód.

– Nie żeby zatrzymać ją w szpitalu.

– Na moje polecenie. Dla jej własnego dobra – wyjaśniła Zee. – Leczę Rose już od pewnego czasu. Ale teraz wyraźnie potrzebuje hospitalizacji. Mimo to musimy postępować zgodnie z procedurami, skoro ona nie reaguje.

Barry pokiwał głową.

– Kto jest sędzią?

– Zwykle Tremblay.

– Nie jest zły, ale muszę być na posiedzeniu. Daj mi tylko znać, kiedy.

Otworzyli drzwi i znaleźli się w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Rose gapiała się w sufit, przywiązana do łóżka w czterech miejscach.

– Czy to naprawdę konieczne? – Barry wykrzywił usta.

– Na komisariacie była agresywna – wyjaśnił Rafferty, pokazując wymownie na twarz Zee.

– Pobudzona – poprawiła go Zee.

– Jaka jest diagnoza?

– Za wcześnie na diagnozy...

– Okej. To jaka była diagnoza dwadzieścia pięć lat temu? Po morderstwach

Bogin?

– Zaburzenie konwersyjne w wyniku złożonej traumy.

– Jak długo była w stanie katatonii?

– Nie wiem, czy katatonia to odpowiednie słowo.

– Przeformułuję. Jak długo brakowało z nią kontaktu?

– Prawie rok.

– Okej – powtórzył. Przez niezręczną chwilę cała trójka patrzyła na Rose.

W końcu Barry pokręcił głową: – Nie wygląda na to, żebym zdołał wiele z niej

wydobyć. Daj znać, kiedy odbędzie się rozprawa. Jestem z wami w kontakcie. – Raz jeszcze spojrzal na krępujące Rose więzy. – I jak najszybciej ją odepnijcie. – Ruszył do drzwi.

Rafferty otworzył je przed nim w tej samej chwili, kiedy przed drzwiami ustawił się na straży umundurowany policjant.

Zee i Rafferty w ciszy obserwowali, jak plecy Barry’ego znikają na końcu korytarza.

– Nie zazdroszczę ci tej sprawy – powiedziała psychiatra.

– Z wzajemnością – odparł komendant.

– Chodziło mi o to, że prywatnie nie jest ci pewnie łatwo – wyjaśniła lekarka. – Ty i Rose jesteście przyjaciółmi.

Dawała mu możliwość, by porozmawiał o swoich uczuciach, jak zrobiłby dobry terapeuta. Ale nie była jego terapeutką, choć kiedyś leczyła Towner.

Rafferty zacisnął usta i wzruszył ramionami. Szczerze mówiąc, czuł się nieco niezręcznie w obecności Zee Finch. To ona i żona Rafferty’ego tak naprawdę się przyjaźniły – pracowały razem w schronisku dla kobiet i dzieci – ofiar przemocy domowej, prowadzonym przez rodzinę Towner na Yellow Dog Island, oraz w herbaciarni Towner znajdującej się w mieście, w której zatrudniano były mieszkanki schroniska, gotowe wrócić do świata. Przyjaźniły się nawet wcześniej... Straszne dzieciństwo Towner i jej załamanie nerwowe zyskały w Salem status legendy. Potrzebowała terapii, a Zee rozumiała złożoną traumę z osobistej perspektywy, co czyniło z niej odpowiedniego specjalistę. Bardzo pomogła Towner się pozbierać. Rafferty czuł jednak, że Zee wie zbyt wiele o przeszłości jego żony i ich burzliwej drodze do pojednania po separacji. Kiedy zbyt długo przebywał z doktor Finch, zaczynał się czuć niekomfortowo.

– Wiem, że zależy ci na Rose – podjęła Zee.

– Wszystkim nam na niej zależy – odparł.

Zee czekała, aż powie coś jeszcze.

– Nie chcę przerywać tej sprytnie zawaolowanej sesji terapeutycznej, ale muszę wracać do pracy.

Zee zaśmiała się i wzruszyła ramionami.

– Kiedyś zagonię cię na kozetkę, przyjacielu.

– Możesz się nie doczekać.

[2] HIPAA (Health Insurance Portability and Accountability Act) – ustawa o przenośności i ochronie danych w ubezpieczeniach zdrowotnych, gwarantująca między innymi poufność informacji na temat stanu zdrowia pacjenta.

ROZDZIAŁ 5

*1 listopada 2014
Salem*

Choć Salem najbardziej słynie być może z procesów o czary z 1692 roku, to kolorowe miasto na wybrzeżu ma dużo do zaoferowania zarówno mieszkańcom, jak i gościom: zróżnicowaną kulturowo populację, bogate dziedzictwo związane z żeglugą, imponującą zabytkową architekturę i wspaniałe historie, które obejmują blisko cztery wieki.

Kompletny przewodnik po Salem

Callie wyjechała z Northampton, zjeżdżając z drogi międzystanowej Mass Pike na 128, a następnie szosą 114 w kierunku Salem. Po drodze przegapiła zakręt i ostatecznie znalazła się nad przystanią. Skręciła w lewo, przejechała obok parku, okrążyła pomnik Rogera Conanta, aby zawrócić i skierować się z powrotem w stronę komisariatu.

Rose żyje? Jak to możliwe? Powiedzieli mi, że umarła.

Kiedy zakończył się serwis informacyjny, Callie po prostu wyszła z domu opieki. Nie zapytała o zgodę przeoryszy, od lat stojącej na czele zarówno domu opieki, jak i sierocińca, w którym Callie spędziła większość swojego dzieciństwa. Siostra nazywała się Mary Agatha, ale dziewczynki z domu dziecka nadały jej ksywkę „Siostra Mary Agonia”, którą wszyscy szybko podchwycili. Choć jakaś jej część chciała wpaść do gabinetu Agonii i zażądać wyjaśnienia, dlaczego została okłamana, Callie nie mogła tego zrobić. Nie teraz. Całkowicie straciłaby nad sobą panowanie. Musiała się tylko stąd wydostać. Nie powiedziała nikomu, że wychodzi. Pojechała do domu, spakowała rzeczy na jedną noc i ruszyła w drogę do miejsca, w którym – jak niegdyś sobie obiecała – jej noga więcej nie postanie. Jechała, jakby była w transie.

Rose żyje!

Salem zupełnie nie przypominało miejsca, które Callie pamiętała z dzieciństwa: zmagającego się z problemami miasta, historycznego portu morskiego, który pamiętał lepsze czasy z przystanią pełną zapuszczonych domów i kilkoma sklepami czarownic. Teraz zobaczyła szereg ekskluzywnych butików, restauracji i odnowionych posesji, które rozmachem dorównywały przedwojennym posiadłościom z Południa. Niestety, krajobraz miasta tu i ówdzie trącił kiczem związanym z wiedźmowym interesem, wraz z nawiedzonymi domami i studiami wróżbitów.

Choć Callie zachowała niewiele wspomnień z życia w Salem, chwile, które pamiętała, były żywe i wyraźne, przypominały zdjęcia lub nagrania, na których uwieczniono dokładne momenty w czasie, bez śladu tego, co działo się pomiędzy. Jej terapeuta – a miała kilku (zakonnice tego dopilnowały) – próbował sprawić, by wypełniła puste miejsca, nakreśliła im pełniejszy obraz, ale Callie nie widziała w tym żadnego sensu. Podejmowane próby wydawały jej się czymś nienaturalnym albo – jeszcze gorzej – miała wrażenie, jakby próbowała zadowolić terapeutów, zaspokoić ich chorobliwą ciekawość na temat tamtej nocy. Ostatecznie zakończyła terapię i przestała o tym wszystkim myśleć.

Callie była praktyczną dziewczyną. Powracanie do najgorszego etapu w jej życiu nie mogło jej uleczyć, bo tylko jej o wszystkim przypominało. Jeśli więc istniały czasy, których nie pamiętała, nie przeszkadzało jej to.

Pamiętała jednak Rose. Nie z nocy morderstw, ale sprzed nich. Do jej biblioteki badawczej – miejsca, które matka Callie i jej przyjaciółki określały mianem Centrum – przyjeżdżali ludzie z całego świata, by zgłębiać historię procesów o czary zarówno z powodów naukowych, jak i po to, by poznać dzieje swoich rodzin. Każda z kobiet, która tamtej nocy znalazła się na wzgórzu, początkowo przyszła do Centrum szukać informacji o swoich przodkach, przeskakując nad współczesnymi gałęziami drzewa genealogicznego do korzeni sięgających tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Z tego też powodu

Rose zawsze uważała, że dziewczyny są pewnego rodzaju rodziną i traktowała je, jakby była ich matką.

Wobec reszty miasta Rose demonstrowała profesjonalizm, akademicki chłód i oddanie swoim naukowym pasjom. Elity Salem trzymała na dystans. Dla Callie i pozostałych dziewczyn była jednak inna... Callie pamiętała, jak Rose odbierała ją z przedszkola i we dwie spacerowały po mieście, po czym wracały do domu na Daniels Street. Zawsze albo prawie zawsze to Rose ją odbierała, bo z pewnością nie jej matka, Olivia. Kiedy szły razem, patrzyła, jak podskakuje długi warkocz Rose, i czuła, jak jej własny, krótszy kucyk wykonuje ten sam ruch. Ciocia Rose – bo tak ją nazywała – lubiła wiązać włosy Callie satynową wstążką, inną na każdy dzień tygodnia.

Callie skręciła w prawo na Derby Street, uważając, by tym razem nie przegapić przecznicy, i raz jeszcze skręciła w Central, którą pojechała w stronę komisariatu. Ale komisariat najwyraźniej został przeniesiony, bo w miejscu, które zapamiętała, znajdował się teraz blok. Zaparkowała i wychyliła się przez okno, aby zapytać o drogę pierwszego napotkanego przechodnia. Uśmiechnęła się zalotnie, aby zwrócić jego uwagę, i zachęcająco kiwała głową, kiedy udzielał jej wskazówek, jak dojechać do nowego komisariatu. Wiedziała, że był rozczarowany, gdy odjechała.

Musiła dwukrotnie objechać Ridley Plaza, zanim zauważyła wozy transmisyjne blokujące schody. Znalazła miejsce do parkowania, zamknęła volvo, po czym przepchnęła się przez ekipy telewizyjne i schodami ruszyła w kierunku recepcji.

– Chcę się zobaczyć z Rose Whelan – oznajmiła bez żadnych wstępów.

– Kazałem wszystkim zaczekać na zewnątrz – oświadczył służbowym tonem oficer dyżurny. – Dziś nie będziemy już udzielać wywiadów żadnym reporterom.

– Nie jestem reporterką – wyjaśniła Callie. – Jestem jej siostrzenicą.

To było małe kłamstewko, ale okazało się skuteczne. Funkcjonariusz wyglądał na zaskoczonego. Po chwili podniósł słuchawkę telefonu i wybrał jakiś numer.

– Mam tu dziewczynę, która twierdzi, że jest siostrzenicą banshee.

Chwilę później drzwi się otworzyły i wyłonił się zza nich wysoki mężczyzna. Zrobił unik, by nie uderzyć we framugę, bardziej z nawyku niż konieczności. Umięśniony, ze szczecinowatymi ciemnymi włosami i brązowymi oczami, był przystojny na ten specyficzny szorstki sposób. Wyglądał, jakby urodził się ze zmęczoną miną.

– Z tego, co wiem, Rose nie ma rodziny – powiedział.

– Nazywam się Callie Cahill. – Starła się wyglądać na opanowaną. Terapeuta zawsze jej powtarzał, że świetnie jej idzie ukrywanie niepokoju. Poznała po twarzy policjanta, że skojarzył jej nazwisko. – Nie jestem właściwie jej rodzoną

siostrzenicą...

– John Rafferty – przedstawił się, po czym przytrzymał jej drzwi do swojego biura. Szybko je za sobą zamknął, gdy zaczęli się przed nimi zbierać inni funkcjonariusze.

Choć kojarzył nazwisko, nadal był podejrzliwy.

– Jaką mam pewność, że nie jesteś jakąś dziennikarką, która podszywa się pod Callie Cahill?

– Gwarantuję, że nie jestem. – I zamiast dalej tłumaczyć, położyła dłoń na biurku i otworzyła zaciśniętą dotąd pięść, ujawniając jej wnętrze.

Stygmata.

O tym szczególnie historii wszyscy słyszeli i wszyscy chcieli zobaczyć to na własne oczy. Zakonnice z parafii świętego Jakuba twierdziły, że odnalezienie żywej Callie następnego dnia po morderstwach było cudem. Nazwały ją nawet „świętym dzieckiem”, które od śmierci uratował znak Chrystusa. Załatwiły z opieką społeczną, aby Callie trafiła do prowadzonego przez nie domu dziecka w zachodniej części Massachusetts, obiecując, że znajdą jej odpowiednią rodzinę zastępczą. Sądziły pewnie, że natknęły się w Salem na coś nadprzyrodzonego. Później jednak, kiedy śledztwo ruszyło i na światło dzienne zaczęły wypływać kolejne, coraz bardziej ponure szczegóły morderstw Bogiń, rozeszła się plotka o „okultystycznej ceremonii”, którą miały odprawiać młode kobiety i Rose w tamten halloweenowy wieczór. Callie pamiętała, jak szybko zmieniła się wtedy wersja zdarzeń.

Rafferty odwrócił wzrok, jakby samym patrzeniem przekraczał dozwolone granice prywatności.

– Czy to boli?

Callie nie spodziewała się takiego pytania. Długo nie odpowiadała.

– Czasem. – Poczula się niezręcznie i szybko wróciła do tematu Rose.

– Jak zginął ten chłopiec na wzgórzu?

– Nie mogę tego wyjawić.

– W wiadomościach nazwano Rose zabójczynią-banshee.

– Zgadza się.

– Co to znaczy?

Po chwili zawahania Rafferty uznał, że powinien grać z Callie w otwarte karty.

– Rose powiedziała, że musiała zabić tego chłopca, ponieważ się przemieniał.

– Przemieniał? O co chodzi?

– Jeszcze tego nie wiemy. Twierdzi także, że zabiła go krzykiem, co, jak wszyscy wiemy, jest niemożliwe.

Przez chwilę Callie przeszło przez myśl, że Rafferty może się mylić.

Używając głosu, człowiek jest w stanie rozbić szkło, prawda? I czyż nie słyszała doniesień o broni sonicznej testowanej przez rząd, która jest w stanie ranić, a nawet zabijać? Dźwięk zdecydowanie potrafił uzdrawiać – wielokrotnie korzystała z jego leczniczych właściwości w domu opieki. Jeśli dźwięk miał moc uzdrawiać, czy nie byłby w stanie też zabić? Ale nawet jeśli istniała taka możliwość, Rose Whelan, którą pamiętała Callie, nie byłaby zdolna z rozmysłem zabić kogokolwiek.

– Kim jest ten chłopiec?

– Jest, to znaczy... Był prawnikiem lokalnego bramina.

– Może pan to wyjaśnić?

– Zły dzieciak z dobrej rodziny.

– Rose wyjawiała, dlaczego uważa, że jest za to odpowiedzialna?

– W tym momencie Rose w ogóle niczego nie mówi. Chyba uważa, że zabiła go banshee, która w niej mieszka.

Callie utkwiała w nim wzrok.

– Jak wiele wiesz o Rose? – zapytał komendant.

– Aż do dziś sądziłam, że nie żyje.

Rafferty spojrzał na nią zaskoczony.

– Tak powiedziały mi siostry w sierocińcu. Moja matka, Cheryl i Susan umarły. Tak samo jak ciocia Rose. A przynajmniej tak twierdziły.

– Okłamały cię?

– Najwyraźniej.

– Rose nie ma się najlepiej – wyjaśnił Rafferty. – Od pamiętnego Halloween nie jest już taka, jak kiedyś.

– Wyobrażam sobie – odparła Callie. – Jak mogłaby po tym wszystkim być taka, jak kiedyś? Nikt by nie mógł.

– Byłaś tam tamtej nocy. Co się stało? Jaki rytuał wykonywałyście?

Callie utkwiała w nim wzrok. Ton głosu policjanta brzmiał nieco oskarżycielsko. Przypomniawszy jej głos zakonnicy.

– Poszliśmy pobłogosławić niepoświęcony grób naszych przodków – odpowiedziała spokojnie. – Pięciu oskarżonych wieźm straconych dziewiętnastego lipca tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. – Po morderstwach tyle razy recytowała już tę historię, że równie dobrze mogłby to być wiersz, którego nauczyła się na pamięć jako dziecko.

– Rose przeszła załamanie – rzekł Rafferty. – Przez bardzo długi czas przebywała w szpitalu psychiatrycznym. Kiedy z niego wyszła, nie była już tą samą Rose. Uwierzyła też, że swoją matkę i pozostałe kobiety zabiła banshee.

– Już to słyszałam – zauważyła Callie. – Nie jestem tylko pewna, co to oznacza. Zwłaszcza jeśli chodzi o Rose.

– Zgodnie z irlandzkimi wierzeniami banshee to pewnego rodzaju zjawy, która ukazuje się bliskim umierającej osoby. Ale mitologia stworzona przez Rose

idzie o krok dalej. Banshee ponoć potrafi zabić, jeśli zamieszka w ludzkim ciele, które się „przemienia”.

– To znaczy?

– Rose jest przekonana, że banshee, która zamordowała tamtego wieczoru twoją matkę i jej przyjaciółki, wskoczyła potem w jej ciało, a ona przez te wszystkie lata trzymała ją w sobie, by nikogo więcej nie zabiła.

– Przecież to szaleństwo!

– Ona w to wierzy. Znam Rose od kilku lat, ale czasem trudno ją zrozumieć.

Rose, którą pamiętała Callie, była inna. Bezpośrednia i precyzyjna. Jeśli już, to pozostałe kobiety – matka Callie i jej przyjaciółki – wprowadzały w domu zamieszanie.

Callie z trudem była w stanie przypomnieć sobie opowieści Rose o elfach i różne mity. Wiele z tych historii miało irlandzki rodowód i prawdopodobnie Rose знаła je z rodzinnego domu, choć wychowała się tutaj, w Ameryce. Ale to były bajki lub stare legendy, które Rose opowiadała jej do poduszki. Ciocia Rose umiała niezłe snuć fabuły, ale nie w mylący czy trudny do zrozumienia sposób.

– Czasem opowiadała mi o wrózkach... – Callie się zamyśliła. – Ale nie pamiętam nic o banshee.

– Niewiele o nich wiem – powiedział Rafferty. – Nigdy jednak nie słyszałem, żeby ktokolwiek prócz Rose sugerował, że banshee to morderczynię w tradycyjnym znaczeniu. Albo że to w ogóle ludzkie istoty.

Raz jeszcze Callie zamilkła. W końcu wyrwała się z ciemnego miejsca, do którego wiodła ją wyobraźnia.

– Mogę się z nią zobaczyć?

– Oczywiście. Zawiozę cię do szpitala.

* * *

Rafferty kierował się na miejsce oznaczone tabliczką: TYLKO PERSONEL MEDYCZNY. Skręcił jednak zbyt szybko i gwałtownie zahamował, przez co szarpnęło ich do przodu, a potem odrzuciło w tył.

– Przepraszam – bąknął.

Callie spojrzała przez szybę na szpital w Salem. Budynek, który pamiętała, był dużo mniejszy. Leżała na oddziale dziecięcym przez kilka tygodni. Wystarczająco długo, by zakonnice, które znalazły ją nad skrajem rozpadliny ze zranioną, krwawiącą dłonią, zmieniły zdanie: w ich oczach została zdegradowana ze świętej do przeklętej.

Ludzie przychodzili i odchodzili: policja, reporterzy, a nawet księża pojawiali się, odsłaniali bandażę i bez końca kazali pokazywać sobie ranę. Odpowiadała szczerze na wszystkie ich pytania. Bez końca musiała powtarzać, co się zdarzyło... Teraz wiedziała jednak, że siostry ją okłamały. Te pierwsze dni były jak zły sen: spacerowała po niewielkim szpitalu z pielęgniarką, która się nią zajmowała, próbując zrozumieć, co się stało, i odtwarzając w pamięci tę historię wiele razy, aż zaczęło do niej docierać, że to wszystko zdarzyło się naprawdę i że wszyscy nie żyją: Susan, Cheryl i jej matka, Olivia. Nie od razu wspomniano jej o Rose, nie powiedziano jej, że nie żyje, dopóki siostry nie zabrały jej z Salem do domu dziecka w Northampton, gdzie mogły ją chronić przed szalonymi spekulacjami i oskarżeniami, które dopiero miały nadciągnąć.

Dziś zorientowała się, że szpital jest ogromny, z wieloma nowymi skrzydłami i wielkim znakiem ogłaszającym jego powiązanie ze szpitalem Mass General.

– Przyjechało jeszcze więcej vanów? – zapytała Callie, pokazując palcem.

– Tak, chodźmy do środka.

Szpital został usytuowany na zboczu wzgórza, a jego główne wejście znajdowało się na poziomie piątego piętra. Przeszli nieoznakowaną klatką schodową piętro wyżej, dwa razy przystając przy automatycznych drzwiach, by zostali wpuszczeni, aż w końcu dotarli do stanowiska pielęgniarek.

– To siostrzenica Rose Whelan. – Rafferty przedstawił dziewczynę dyżurnej pielęgniarence. – Jej najbliższa krewna. – Nie spojrzał na Callie, kiedy powtórzył to kłamstwo.

– Możecie wejść, ale tylko na kilka minut. Maksymalnie dziesięć. Niestety nie nastąpiła żadna zmiana.

Policjant, którego umieszczono przed drzwiami Rose, wyrwał się ze snu, kiedy podeszli w jego stronę, i rzucił im pełne poczucia winy spojrzenie. Rafferty skinął głową, nie zwracając uwagi na to niedociągnięcie. Zawahał się i odwrócił do Callie.

– Przepisy obligują nas do postawienia policjanta przed drzwiami osoby podejrzanej o morderstwo – powiedział. A potem, jakby chciał się zrehabilitować, dodał: – Znalazłem dla niej prawnika, zanim jeszcze zaczęliśmy ją przesłuchiwać. Dobrego, który broni jej *pro bono*. – Otworzył drzwi.

Callie widziała wprawdzie zdjęcia Rose w wiadomościach, ale nie była przygotowana na to, co zobaczyła. Starsza kobieta była przypięta do łóżka za ręce i nogi. Pustym wzrokiem wpatrywała się w sufit, nie mrugając nawet powiekami.

– Jest w tym stanie od zeszłej nocy – wyjaśnił Rafferty.

Nawet jeśli Rose była świadoma, że weszli do pokoju, nie dała tego po sobie poznać. Rafferty dostrzegł, że Callie jest zdruzgotana tym wszystkim, i zdał sobie sprawę, że dziewczyna potrzebuje chwili samotności.

– Muszę wykonać telefon – powiedział. – Zostawię was.

Callie nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Mimo to sytuacja była gorsza, niż oczekiwała. Rose tu nie ma – zaświtało jej w głowie. Czuła, jak zaciska się jej gardło, gdy próbowała powstrzymać łzy. Przez ostatnie kilka godzin chciała jedynie odzyskać Rose. Zganiła siebie za tę głupią nadzieję. Podeszła do łóżka.

– To ja, ciociu, Callie. Przyjechałam.

Nachyliła się, próbując umieścić swoją twarz na linii jej pustego wzroku, przejrzeć mrok oczu leżącej i coś za nim dostrzec. Oczy Rose zawsze były takie jasne i skupione. Jej matka i inne Boginie nazywały ją „Sokole Oko”, bo nic nie umykało jej uwadze. Przenigdy, ku ich wielkiemu rozczarowaniu.

– Co ci się stało? – szepnęła Callie. I rozplakała się. A lata, którymi starała się oddzielić od najgorszego momentu w swoim życiu, zniknęły.

* * *

Mniejsze zło.

Rafferty nie mógł przestać myśleć o tych dwóch słowach. W całym zamieszaniu zapomniał oddzwonić do Towner. Wybrał jej numer na komórce.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Usłyszał w odpowiedzi. – Oglądałam wiadomości. – A po chwili dodała: – A więc dziewczynka, która była świadkiem morderstw, wróciła?

– To było w wiadomościach? – Rafferty miał przerażony głos.

– Nie.

– To skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

Pokręcił głową. Wiele razy był świadkiem, jak Towner to robi – wie o czymś, zanim ktoś o tym powie – ale niezmiennie go to zadziwiało. Większość szczegółów sprawy z osiemdziesiątego dziewiątego przekazała mu właśnie Towner. Nie mieszkała w Salem, gdy doszło do morderstw, ale jej babcia Eva, która przyjaźniła się z Rose, wszystko jej opowiedziała.

* * *

Kiedy schodzili po schodach, Callie zatrzymała się i odwróciła do

Rafferty'ego.

– Dlaczego mnie okłamały? Dlaczego twierdziły, że Rose nie żyje? Była dla mnie jak matka! Tak bardzo za nią tęskniłam, a ona przez cały czas tu po prostu była? Dlaczego mi to zrobiły?

Rafferty nie miał pojęcia, co powiedzieć. Po tym, co słyszał, było dla niego jasne, że Callie doświadczyła ogromnej traumy. Ale tak okłamać dziecko? Wydawało mu się to wielkim okrucieństwem. Zwłaszcza że Rose była jedyną osobą, jaka Callie została. Sięgnął do kieszeni kurtki, wyciągnął na wpół pełną paczkę chusteczek i podał jej.

– Rose ma szczęście, że teraz tu jesteś.

W drodze powrotnej na komisariat milczeli. Rafferty zauważył, że Callie wszystkiemu przygląda się z zaciekawieniem.

– Gdzie masz samochód? – zapytał, kiedy wjechali na policyjny parking.

Twarz dziewczyny i jej szyja były w czerwonych plamach, oczy przekrwione.

– Czy ten hotel przy parku nadal jest otwarty?

– Zostajesz?

– Jeśli uda mi się dostać pokój. Mój samochód stoi tam. – Pokazała na tył parkingu.

Rafferty pokiwał głową i ruszył z nią we wskazanym kierunku. W pewnej chwili zawahał się, jakby zmienił zdanie.

– Później przyjedziemy po twój samochód – zaproponował. – Najpierw powinnaś kogoś poznać.

* * *

Rafferty jechał przez miasto, oddalając się od komisariatu w stronę parku w Salem i mijając po drodze Hawthorne Hotel. W końcu zaparkował na długim podjeździe okazałych rozmiarów domu z cegieł.

Callie przeczytała napis widniejący na bocznych drzwiach: HERBACIARNIA KORONKOWYCH WRÓŻB U EVY.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył komendant.

Zatrzymali się na końcu podjazdu, przed nieco mniejszym domem w stylu starej wozowni. Na drabinie obok dębu rosnącego przy bramie na dziedzińcu stała smukła kobieta o włosach koloru truskawkowy blond i ścierała graffiti namalowane sprayem na korze.

– Cholera – wymamrotał Rafferty.

Callie zajęło chwilę, zanim zdała sobie sprawę, że graffiti wygląda jak róża. Nie jak staranny, pięciolistny kwiat na jej dłoni, lecz bardziej realistyczny, z kolcami i podpisem: ZABIĆ BANSHEE!

– Nie martw się. Spróbuję to zamalować, jeśli tylko znajdę kolor pasujący do kory – powiedziała kobieta do Rafferty’ego, kiedy wysiadał z samochodu. Zeszła z drabiny i podała mu wiadro. Pocałowała go na przywitanie, po czym spojrzała na Callie.

– Callie, to moja żona, Towner Whitney. Towner, poznaj Callie. – Dostrzegł kątem oka kilka dziewczyn z kawiarni i to powstrzymało go od wypowiedzenia jej nazwiska. Towner pochwyciła jego spojrzenie i od razu zrozumiała, o co chodzi.

Wyciągnęła rękę na powitanie.

– Miło cię poznać, Callie. Żałuję jedynie, że spotykamy się w takich okolicznościach.

– Ja również – odpowiedziała dziewczyna.

– Miałem zamiar pomóc Callie zarezerwować pokój w hotelu – powiedział Rafferty.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła Towner. – Nie musisz płacić za nocleg. Możesz skorzystać z pokoju Rose.

– Liczyłem, że to powiesz. – Twarz mężczyzny rozjaśniła się w uśmiechu.

– Rose tu mieszka? – zapytała Callie, bezwiednie zaciskając razem dłonie. – W wiadomościach mówili, że jest bezdomna.

– Cóż... Zwykle śpi u nas na podwórku pod swoim drzewem. – Towner pokazała na wielki dąb. – Właściwie ten dąb jest własnością Rose, ale to cała historia, innym razem ci opowiem. – Uśmiechnęła się, gestem wskazując jej drzwi. – Urządziliśmy jej pokój w domu. Czasem tam sypia, jeśli uda mi się ją na to namówić. Wejdz, proszę, do środka.

Rafferty i Callie poszli za Towner po frontowych schodkach do holu, w którym znajdowała się spiralna klatka schodowa, sprawiająca wrażenie zawieszanej w powietrzu, a prowadząca na dwa wyższe piętra. Po obu stronach holu Callie ujrzała dwa tej samej wielkości salony, rozmiarem przypominające sale balowe, w których znajdowały się kominki z czarnego marmuru.

– Już tu kiedyś byłam – szepnęła wzruszona.

– Zgadza się – potwierdziła gospodyni. – Moja babcia wspominała mi, że mieszkałaś tu krótko ze swoją mamą, zanim przeniosłyście się do Rose.

– Nie kojarzę tego – powiedziała Callie. – Ale pamiętam te schody.

– Pokój Rose jest na drugim piętrze.

– Dacie sobie radę beze mnie – powiedział Rafferty i szybko się pożegnał.

Kobiety poszły schodami do dużego pokoju. Łóżko wyglądało na wygodne, w rogu była umywalka. Ścianę zdobiły oprawione w czarno-białe ramy zdjęcia dębów.

– Rose je zrobiła?

Towner pokręciła głową.

– Nie, ja. Próbowałam zwabić ją nimi do środka. Niestety, nie poskutkowało. Przychodzi tu tylko wtedy, kiedy na tyle mocno leje, że w miejskich parkach stoi woda.

– Dziwne. – Dopiero gdy jej głos rozniósł się echem po pokoju, Callie uświadomiła sobie, że powiedziała to głośno.

– Rose ma misję.

– Jaką misję?

– Chce znaleźć szczątki drzewa, na którym powieszono skazanych w procesach o czary z tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. To, które później zostało ścięte w... Cóż, nikt nie wie, kiedy. Miała wizję, w której celowo przeniesiono drzewo, i poprzysięgła sobie, że je znajdzie. Sądzi, że to ją doprowadzi do zaginionych szczątków ofiar straconych w tamtej egzekucji.

Callie zrobiła zaskoczoną minę.

– Niby jak?

– Nie mam pojęcia. Ale Rose wierzy, że dęby w Salem ją poprowadzą. – Towner spojrzała na Callie, zanim zaczęła mówić dalej. – Twierdzi, że drzewa do niej mówią.

– Aha – odparła dziewczyna.

– Ostatnie lata były dla niej bardzo ciężkie.

– Tak słyszałam. – Rozedrgany głos zaprzeczył jej spokojnym słowom. – Mimo to gadające drzewa...

– Wiem – przyznała Towner. – Cóż, czasem prawie jej wierzę. A myślę, że moja babcia, Eva, naprawdę jej wierzyła.

– Tak?

– Evę i Rose łączyła szczególna więź.

Callie czekała, aż Towner wyjawi na ten temat nieco więcej, ale gospodyni nie rozwinęła myśli.

– Rose uważa znalezienie wisielczego drzewa za swój życiowy cel. Tak, jak kiedyś traktowała odkrycie prawdziwego miejsca egzekucji, czego rzeczywiście udało się jej dowiedzieć. Nie wiem, jaki jest związek między odnalezieniem zaginionych szczątków ofiar procesów w Salem a współczesnymi dębami albo banshee, ale na pewno jakoś musi się to łączyć. A przynajmniej tak jest w głowie Rose. Może będziesz mieć więcej szczęścia w znalezieniu związku, jeśli namówisz ją, by znów zaczęła mówić.

Zapadła długa cisza.

Callie przypomniała sobie, jak inna była Rose, kiedy widziały się po raz ostatni, nie licząc dzisiejszego spotkania w szpitalu. Tak wielu rzeczy nauczyła Callie i jej matkę. Opowiadała im różne historie. Rose dbała, by poznały dzieje

swoich przodkiń, które nawet teraz Callie była w stanie wyrecytować z pamięci niczym rotę przysięgi na wierność albo *Ojciec nasz*. Bo to Rose, a nie zakonnice, które ostatecznie ją wychowały, nauczyła małą Callie tej modlitwy. Wyobrażanie sobie Rose w stanie, w jakim widziała ją dzisiaj, sprawiło, że Callie zrobiło się niewyobrażalnie przykro.

– Poznaję to – powiedziała, walcząc ze łzami, i pokazała na przeciwną stronę pokoju. Na ścianie wisiała oprawiona w ramkę mapa przedstawiająca Salem z tysiąc sześćsetnego roku, zanim regulacja rzeki North unicestwiła jej sporą część.

– Wychowałam się przy tej mapie. Rose używała jej, kiedy uczyła nas o swoich przodkach.

– Tę mapę stworzył Sidney Perley. Rose mi ją dała – wyjaśniła Towner. – Uznała, że zna na pamięć każdy jej cal.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – odparła Callie, patrząc na punkt, który Rose obrysowała na czerwono i podpisała: PROCTOR'S LEDGE. Tam właśnie udały się w noc morderstw, blisko miejsca, w którym według mapy znajdował się most. Przypomniał się jej fragment wiersza. Zdaje się napisanego przez autora mapy:

*Poezja! Klejnot, co zdobi
świat pisany i daje
Wyraz pięknu duszy*[3].

Był to jeden z pierwszych wierszy, jakiego nauczyła ją Rose. Widziała tę książkę w swojej pamięci – jej niszczącą okładkę i rozerwany grzbiet, na którym widniał tytuł: *Poeci Hrabstwa Essex*.

Dotknęła okręgu na mapie i przypomniała sobie, jak Rose siadała z nią do nauki. Jak uczyła ją czytać, zanim Callie poszła do szkoły, poprzez wiersze, które recytowała na pamięć, co matce i jej przyjaciółkom wydawało się bardzo zabawne. Kiedy Rose nie było w domu, koleżanki matki często kazały je sobie powtarzać – niekiedy w obecności gości, innym razem dla własnej rozrywki. Rose zaznałomiła ją też z historią – prawdziwą historią Salem.

– Jak pewnie pamiętasz, Rose była kiedyś uznaną badaczką procesów czarownic. – Towner jakby czytała w myślach swojego młodego gościa. – Odkryła wiele nieścisłości pomiędzy zapisami historycznymi a ich przyjętymi interpretacjami. Kiedy była wykładowczynią na Boston University, dostała granty na przeprowadzanie badań od Towarzystwa Historycznego w Massachusetts i nawet odznaczenie od muzeum Smithsonian. Ludzie zapominają dziś, jaka była ważna.

Callie zapamiętała też kilka innych rzeczy związanych z badaniami prowadzonymi przez Rose. Na przykład to, jak purytańskie Salem szczegółowo

odnotowywało w księgach wszelkie wydatki. I jak w żadnej z tych ksiąg nie wspomiano o budowaniu szubienicy. To właśnie na tej podstawie historyczka wysnuła wniosek, iż dużo bardziej prawdopodobne jest, iż purytanie użyli wytrzymałego drzewa, prawdopodobnie dębu, aby powiesić oskarżone. Opisy wydarzenia wspominały o „wiszących ciałach widocznych już z North Street”. Publicznego spektaklu wymagało prawo – miał być ostrzeżeniem przed konsekwencjami „podpisania paktu z diabłem”.

„Ciała nie byłyby widoczne z Gallows Hill” – powtarzała zawsze Rose. Ponieważ oskarżonych przewożono furmanką i ponieważ taki transport był trudny, badaczka uznała, że skazańcy zostali zabrani na pierwsze wzgórze za granicami miasta, widoczne z centrum. Nie było to Gallows Hill, lecz właściwe miejsce powieszzeń, do którego w siedemnastym wieku dużo łatwiej można było się dostać koniem i wozem.

– Przepraszam. Zagadałam się... Pokażę ci, gdzie jest toaleta – powiedziała Towner, wyczuwając poruszenie Callie wywołane wspomnieniami. Poprowadziła gościa korytarzem. Gdy podchodziły do łazienki, wyszła z niej kobieta. Skinęła głową Towner, ale Callie obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem, zanim poszła dalej.

– Łazienka jest wspólna, mam nadzieję, że to nie problem.

– Jeśli dla niej nie, to dla mnie też – odpowiedziała Callie.

Towner otworzyła bieliźniarkę.

– Tu znajdziesz czyste ręczniki i prześcieradła, choć pościel w twoim łóżku była zmieniana dziś rano. – Zamilkła na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiając.

– Większość mieszkających tu kobiet pochodzi z wyspy Yellow Dog.

– Co to za miejsce?

– Ośrodek dla kobiet, które padły ofiarą przemocy, prowadzony przez moją rodzinę. Te, które są gotowe na powrót do świata, czasem przez jakiś czas tu mieszkują, zarabiając na utrzymanie pracą w herbaciarni. To taki jakby program adaptacyjny. Nie bierz więc tego do siebie, jeśli będą zachowywać się... niespokojnie. To nie z twojego powodu. Zresztą jutro cię przedstawię, ale nie bój się, nie zdradzę twojego nazwiska. Nikt się temu nie będzie dziwił, bo większość moich podopiecznych przynależy do programu Ochrony Ofiar Przemocy w Rodzinie i ich tożsamość jest utrzymywana w tajemnicy na wypadek, gdyby ich oprawcy próbowali je odnaleźć.

Callie знаła zarówno ten program, jak i ofiary tego typu przemocy. Kiedyś zgłosiła się na ochotnika jako muzykoterapeutka do schroniska w Northampton.

Towner spojrzała na nią i, nadal mówiąc ściszym głosem, dodała:

– Sama rozumiesz, że w Salem nie powinnaś obnosić się ze swoim nazwiskiem. W miasteczku nadal żyje wiele osób, które pamiętają, co się stało.

Callie milczała, kiedy Towner odprowadzała ją do pokoju. Przy drzwiach zatrzymała się, jak gdyby chciała jeszcze zadać jakieś pytanie, ale w ostatniej

chwili zmieniała zdanie.

– Dziękuję za gościnę na tę noc. Jeśli uznam, że powinnam zostać w Salem na dłużej, znajdę sobie pokój w hotelu.

– Zobaczymy, co będzie z Rose. Tak czy inaczej jej pokój jest do twojej dyspozycji tak długo, jak zechcesz.

– Dziękuję – powtórzyła Callie.

– John i ja mieszkamy w powozowni. Zapraszamy na kolację, jeśli tylko masz ochotę.

– Jestem bardzo zmęczona – wyznała szczerze Callie. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie powiedziała tego na głos.

– Dobrze. W takim razie odpocznij. Możesz skorzystać z lodówki na dole, jeśli obudzisz się złakniona. Od siódmej do ósmej trzydzieści herbaciarnia jest otwarta dla głodnych i niezamożnych. A potem raz jeszcze otwieramy o dziesiątej, już dla zwykłych klientów. Jeśli jesteś w pierwszej grupie, jesz za darmo, ale pomagasz obsłużyć gości albo sprzątać. W drugiej – płacisz za śniadanie. Menu jest mniej więcej takie samo, możesz więc zdecydować rano, do której grupy chcesz należeć. Jeśli o mnie chodzi, to nie ma reguły na to, w której grupie się znajdę.

Młoda kobieta próbowała się uśmiechnąć.

– Cieszę się, że w końcu mogłam cię poznać, Callie – powtórzyła Towner. – Dobrze, że John cię do nas przywiózł. – Po tych słowach zniknęła na długich schodach.

Callie usiadła na łóżku i wyjrzała przez okno na ogromne drzewa i ozdobne, żeliwne barierki parku. W jego centrum znajdowała się estrada. Dziewczyna nie kojarzyła, aby mieszkała w tym domu z Evą, pamiętała za to, jak wraz z mamą spały na zimnej podłodze tej estrady, zanim ciocia Rose wzięła je do siebie.

Nie mogła zasnąć, choć była wyczerpana. Zdała sobie też sprawę z prostego faktu, że torba z jej rzeczami została w samochodzie. Była jednak zbyt zmęczona, aby po nią pojechać, poza tym nie chciała znowu robić kłopotu Rafferty'emu. Przejrzała rzeczy w szafie Rose, szukając czegoś, w co mogłaby się przebrać, ale kiedy niczego nie znalazła, rozebrała się i powiesiła swoje ubrania na oparciu krzesła, po czym wsunęła się pod pościel w samej bieliźnie. Próbowała skoncentrować myśli na Rose, przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała, o kobiecie, która była niegdyś dla niej jak druga matka. Miały wspólnych przodków. Na ich drzewach genealogicznych widniało nazwisko: Rebecca Nurse. To przez ten genetyczny związek ona i Olivia zaczęły nazywać Rose „ciocią”.

Wszystkie młode kobiety zamordowane tamtej nocy były potomkiniami ofiar egzekucji, która odbyła się dokładnie tego samego dnia roku w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku. Tak właśnie się odnalazły i stąd Rose знаła dziewczyny, które regularnie przychodziły do Centrum. Większość była słabo

wykształcona i nie miała pojęcia o prowadzeniu badań historycznych, Rose brała je więc pod swoje skrzydła, by je uczyć, a potem, kiedy poznała ich sytuację, zapraszała je do swojego domu. W tym sensie Rose i Towner wydały się Callie podobne. Był to też prawdopodobnie powód, dla którego młoda terapeutka od razu polubiła żonę Rafferty'ego. Wyglądało na to, że zarówno ona, jak i Rose poświęcały się pomaganiu mieszkańcom Salem, którym nie poszczęściło się w życiu. Callie miała nadzieję, że los Towner potoczy się lepiej niż Rose.

Zacząła pogrążyć się we śnie, gdy nagle obudził ją głośny trzask. Włączyła światło, ale niczego nie zobaczyła. Znów najwyraźniej coś się jej śniło. Ten dźwięk zawsze był częścią snu – odgłos łamanych gałązek. A potem po pobliskim drzewie zaczynała wspinać się wiewiórka.

Pamiętała ten trzask z Halloween, zanim wszystko się zaczęło. Czy to była tylko wiewiórka? Jej wspomnienia sięgały za daleko, robiły się zbyt szczegółowe. Nie chciała odtwarzać w pamięci tamtej części przeszłości, nie dzisiejszej nocy. Musiała się od tego powstrzymać. Będzie walczyć o to, by pozostać w tu i teraz...

Za każdym razem, gdy udało jej się zasnąć, ze snu wyrывało ją kolejne wspomnienie, jakiś dawno wyparty z pamięci szczegół, jakaś lekcja, której nauczyła ją Rose. Strzępy wierszy Longfellowa, Emersona, Yeatsa[4]. Oto widzi, jak Rose uczy ją nowych słów. Jej matka i inne kobiety śmieją się do rozpuku, a ona próbuje wymawiać trudne zbitki głosek, które kazały jej recytować.

Poczuła palący ból w dłoni, taki sam, jak wtedy, kiedy po tym wszystkim w końcu zaczęło wracać jej czucie. Przez ponad rok ręka była odrętwiała. Lekarze mówili jej, że dłoń z blizną zapewne pozostanie taka już na zawsze, ale pewnego dnia zaczęła ją mrowić, potem boleć, a na końcu piec. Wrażenie pieczenia trwało tygodniami, zanim krew zaczęła krążyć na dobre.

Potarła dłoń i schowała ją wnętrzem do góry pod chłodną poduszkę z pierza. Nauczyła się tak robić w domu dziecka. Jeśli zdołała ją ułożyć w odpowiedni sposób, uczucie pieczenia na chwilę ustawało.

Zanim zasnęła i zaczęła śnić, przypomniała sobie, jak pewnego dnia płakała, bo piekło ją znamię na dłoni. Siostra Agonia powiedziała jej wtedy: „W Europie nie wieszano czarownic, tak jak tu powieszono twoje przodkinie. W Europie palono je na stosie”.

Płynął w dół rzeką North. Dłonie, całe w pęcherzach, piekły go po prawie dziesięciokilometrowej przeprawie. Gdy wyciągnął łódź na brzeg, natychmiast zaczął wspinać się po wzgórzu, czując narastające przerażenie, im bliżej był dołu.

Nie śmiał spojrzeć na wisielcze drzewo: już samo jego istnienie nappełniało go gniewem. Patrzył więc w dół, szukając rozpadliny, do której wrzucono jego matkę. Zawahał się, zanim zszedł pomiędzy ciała... Najpierw dotknął zimnej nogi, potem ramienia. Podążył palcami po skórze i dotknął czyjejs twarży. To była

Susannah Martin. Wydał siebie stłumiony jęk, gdy zobaczył jej szerniałą język i wylupiaсте oczy... Zaczął go dławić potworny płacz.

Musiał ją tu zostawić. Miał siłę wynieść tylko jedno ciało i była to jego matka Rebecca, po którą przyplłynął. Choć powtarzał sobie, że wróci po innych, wiedział, że tak się nie stanie. Wracać do Salem Town? To byłoby zbyt niebezpieczne. Musiał znaleźć matkę, zabrać ją do domu i wyprawić jej stosowny, chrześcijański pogrzeb. Stojąc głęboko w szczelinie, zewsząd otoczony ludzkimi zwłokami, w końcu natrafił na dłoń, którą tak dobrze znał, dłoń, która tak często trzymała jego własną. Nie widział jej twarzy: w swojej litościwości niebo ściemniało, zasłaniając widok, którego pewnie by nie zniósł. Resztkami sił dźwignął sztywniejące ciało matki na plecy i szedł ze wzgórza do łodzi.

[3] Wiersz ten (nieopatrzony tytułem) został zamieszony jako motto na stronie tytułowej zbioru poetyckiego autorów pochodzących z hrabstwa Essex. Utwór, podobnie jak inne fragmenty poetyckie przytaczane w tej powieści, tłumaczyła J. Dziubińska [przyp. red.].

[4] Henry Wadsworth Longfellow (1807–1882) – amerykański poeta romantyczny, tłumacz i wykładowca, jeden z najpopularniejszych twórców swojej epoki. Ralph Waldo Emerson (1803–1882) – amerykański poeta związany z transcendentalistami, jeden z najważniejszych myślicieli XIX wieku. William Butler Yeats (1885–1939) – irlandzki poeta, laureat literackiej Nagrody Nobla.

ROZDZIAŁ 6

*2 listopada 2014
Salem*

Kilka spraw wykazuje uderzające podobieństwo do zdarzeń z 1989 roku. Rose Whelan pozostaje pod nadzorem psychiatrycznym w szpitalu w Salem, nie została jednak postawiona jeszcze w stan oskarżenia.
„Dziennik Salem”

Callie obudził zapach cynamonowych bułeczek, który wślizgnął się szparą pod drzwiami. Była głodna jak wilk.

Koszmary nie pozwoliły jej zapaść w głęboki sen. Nie zmieniło się to od dzieciństwa i żadna terapia nie była w stanie nic na to poradzić. Czasami śniła urywki z nocy śmierci matki, wymieszane z fragmentami jej własnego życia. Innym razem, jak minionej nocy, widziała rzeczy, które nie mogły być jej wspomnieniami.

Spojrzała na telefon. Była prawie dziesiąta. W ten sposób stała się dziś

jednym ze „zwykłych” klientów herbaciarni, choć wcale nie czuła się jak zwykle. Łupało jej w głowie i nie była w stanie pozbyć się resztek energii, jaką pozostawił dziwny sen, umyła się więc i ubrała we wczorajsze rzeczy, wygładzając jedynie zagięcia na tkaninie, po czym zeszła po schodach do herbaciarni.

Na ścianach widniały freski kojarzące się trochę z Włochami. W pomieszczeniu stały ciasno rozstawione stoliki. Wszędzie – od obrusów po zasłony – w wystroju królowała korona. Na stołach na obowiązkowo koronkowych serwetkach stały imbryki – na każdym stoliku inny – oraz swobodnie zestawione różne filiżanki i spodki. Na długiej szklanej ladzie w przeciwnym rogu pokoju Callie dostrzegła ręcznie podpisane pojemniki z herbatą. Całe setki pojemników. Ten widok sprawił, że nagle zapragnęła kawy.

W środku było tylko kilku klientów: dwie eleganckie starsze panie pogrążone w rozmowie przy stoliku pod oknem oraz młoda kobieta, która siedziała przy drzwiach. Callie zajęła najmniejszy stolik blisko kominka, gdzie nie dobiegały jej niczyje głosy.

– Nie serwujemy kawy. – Kelnerka podała jej menu. – Tylko herbatę.
Świetnie.

Setki rodzajów, od ziołowych i kwiatowych po ręcznie mieszane mikstury o nazwach takich, jak Problemata i Czakra Czaj. Zaczęło jej pulsować w głowie. W końcu zdecydowała się na zwykłą czarną z nutą pomarańczy i mięty.

– Daj jej się naciągnąć, aż przeleci piasek. – Kelnerka przyniosła imbryk i postawiła przy nim małą klepsydrę. Szybko wróciła za bar, zanim Callie zdążyła zamówić coś do jedzenia. Chwilę później wróciła jednak z talerzem pełnym wypieków: angielskich maślanych bułeczek, croissantów i brioszek.

– Nie zamawiałam ich – powiedziała Callie.

– Towner zawsze każe podać na stół wybór wypieków. Ale płacisz tylko za to, co zjesz.

– Aha. Dziękuję. – Callie sięgnęła po croissanta z migdałami. Zamówiła dodatkowo jajko na miękko i owoce. Jajko podano w małym, srebrnym kieliszku postawionym na porcelanowym talerzyku, idealnie pasującym do jej filiżanki. Dalej zobaczyła gruszkę pokrojoną w plastry i rozłożoną na talerz w idealny wachlarz, delikatnie polaną miodem.

Callie zjadła powoli, zapłaciła, nie zapominając o hojnym napiwku, po czym poszła do kuchni.

– Jak ci się spało? – zapytała Towner, kiedy przedstawiła ją już Sally i Gail. Dziewczyny zajęte były sprzątaniami w kuchni.

– Całkiem nieźle – skłamała Callie. – Łóżko jest bardzo wygodne.

W Gail rozpoznała kobietę, którą spotkała wczoraj przy drzwiach łazienki. Callie dostrzegła, jak wymienia porozumiewawcze spojrzenia z Sally.

– Cieszę się.

– Chciałabym pomóc. – Callie przyglądała się pracującym dziewczynom. – Co mogę zrobić?

– Absolutnie nic – odparła gospodyni. – Jesteś dziś płacącym klientem.

Callie zignorowała jej słowa i wraz z Gail i Sally zaczęła wkładać do zmywarki brudne sztućce.

– No dobrze, w takim razie dziękuję – powiedziała Towner. – Muszę się zabrać za sałatkę na lunch – wyjaśniła i poszła do spiżarni.

Callie czuła na sobie spojrzenia pozostałych kobiet. Żadna się nie odezwała. Zauważyła jednak, jak znów wymownie na siebie zerkają. Odwróciła się do nich.

– Mogę wam w czymś pomóc?

Sally nie odpowiedziała, Gail jednak była odważniejsza.

– Znasz Rose?

– Tak. – Nie mogła sobie jakoś wyobrazić, żeby to Towner rozpuściła wieści, ale bez wątpienia informacja szybko się rozniosła. – A co?

Gail się nie odezwała.

– Dziwna jest – wypaliła Sally.

– Co to ma niby znaczyć? – Callie patrzyła jej w oczy.

Onieśmielona Sally schowała się za koleżanką.

– Jest trochę straszna – wyjaśniła Gail.

Callie miała już zamiar bronić Rose, kiedy Towner wróciła do kuchni z wielką misą. Po kolei obrzuciła wzrokiem trzy kobiety.

– Co tu się dzieje?

– Nic – nieco zbyt pospiesznie odpowiedziała Gail.

Wraz z Sally szybko ulotniły się do herbaciarni, żeby przynieść kolejne brudne naczynia.

– Widzę, że już zdołałaś się z kimś zaprzyjaźnić – skwitowała cierpko Towner.

– Pytały mnie o Rose. – Callie zmarszczyła czoło. – Uważają, że jest dziwna.

– Bo jest dziwna – przyznała Towner. – Ale w dobrym sensie... Wkrótce się przekonasz, że w tym mieście ludzie mają dużo do powiedzenia na temat Rose, i niestety niewiele dobrego. – Towner postawiła misę na blacie i zaczęła wrzucać do niej mieszankę sałat.

– Czekaj! – Callie złapała ją za rękę.

Towner odwróciła się i spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Używasz tego jako misy do sałatki? – Dziewczyna była przerażona.

– Zwykle tak.

– To misa dźwiękowa!

Towner patrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Jest zrobiona z kwarcu! – Callie zaczęła się rozglądać po kuchni, szukając sposobu, aby zademonstrować, o czym mówi. W końcu wzięła gumową szpatułkę.

Wyciągnęła sałatę z miski i delikatnie odłożyła ją na deskę do krojenia, po czym zaczęła przeciągać szpatułką po zewnętrznej krawędzi miski, w tej samej chwili, kiedy Gail i Sally wróciły z kolejną stertą naczyń. Callie uśmiechnęła się do siebie, wiedząc doskonale, że dwie kobiety za chwilę uznają ją za równie „dziwną”, co Rose.

I bardzo dobrze – pomyślała. – Może wtedy przestaną plotkować.

Kobiety zatrzymały się w pół kroku, kiedy usłyszały dźwięk. Rozpoczął się delikatnym dzwonieniem, następnie nabrał głośności, aż rozszedł się po całym pomieszczeniu, wypełniając powietrze czystym tonem.

Kiedy dźwięk zaczął słabnąć, Callie spojrzała na Towner, która utkwiała wzrok w misie.

– Wow. – Pokręciła głową. – Zawsze sądziłam, że to zwyczajna misa na sałatkę – powiedziała, kiedy dźwięk całkowicie umilkł. – Znalazłam ją w spiżarni, kiedy przejełam dom po Evie.

Callie zaśmiała się po raz pierwszy, odkąd znalazła się w Salem.

– To zdecydowanie nie jest misa na sałatkę. Jestem muzykoterapeutką, więc wiem, co mówię.

– Gail, pójdziesz do spiżarni i przyniesiesz jakąś inną miskę? – poprosiła Towner. – Najlepiej taką, która nie gra. – Gail skinęła głową z miną wyrażającą wdzięczność, że ma pretekst się wymknąć. Sally pobiegła za koleżanką.

– Jesteś muzykoterapeutką? – Zainteresowała się Towner.

– Tak. Pracuję w domu opieki w Northampton i prowadzę tam też swój gabinet.

– Słyszałam wiele dobrego o muzykoterapii – oznajmiła właścicielka herbaciarni. – Chyba stosują ją też w szpitalu Brigham. Podobno przynosi ulgę pacjentom po operacjach, przydaje się też w leczeniu paliatywnym.

– To tradycyjna muzykoterapia. Taką studiowałam. Ale misy są nieco inne. Trochę bardziej... alternatywne.

– Na moje oko Gail i Sally już mają je za alternatywne.

Callie się roześmiała.

– A właśnie, obiecałam Johnowi, że podwiozę cię na komisariat, żebyś mogła odebrać samochód. Jeśli możesz chwilę poczekać, aż skończę sałatkę...

– Nie trzeba – odpowiedziała Callie. – Jesteś zajęta, a to przecież niedaleko stąd. Przejdę się.

– Jesteś pewna? Bo chętnie cię podwiozę.

– Szczerze mówiąc, przyda mi się odrobinę świeżego powietrza. – Głowa nadal ją bolała, pomyślała więc, że oceaniczne powietrze może okazać się dla niej zbawienne.

– Niech będzie – odparła Towner i wróciła do przyrządzania sałatki.

Callie potrafiła trafnie oceniać ludzi, przez co nie miała zbyt wielu

przyjaciół, zwłaszcza wśród kobiet. Zdecydowanie bardziej swobodnie czuła się przy mężczyznach. Winiła za to zakonnice. Siostry wiecznie posługiwały się ogólnikami, których nigdy do końca nie rozumiała – udzielały rad będących gdzieś na granicy prawdy i fikcji, mówiąc za każdym razem, że to „wszystko dla jej dobra”. Ale Towner była inna – bezpośrednia, lecz rzeczowa. Przypominała jej Rose. I było coś jeszcze. Nie zadawała zbyt wielu pytań. Zdawała się rozumieć pewne sprawy, choć nie zostały one wypowiedziane. Callie to doceniała.

– Pójdę też odwiedzić Rose – dodała jeszcze dziewczyna na odchodne. – Mam nadzieję, że mi na to pozwolą.

– Raczej na pewno – odparła Towner. – Poszukaj...

– Myślisz, że ją tam zastanę?

– Rose? – Towner spojrzała na nią podejrzliwie. – A dlaczego miałoby jej nie być w szpitalu?

– Przepraszam. Sądziłam, że każesz mi poszukać lekarki Rose. – Callie zareagowała nerwowo.

– Taki miałam zamiar – odpowiedziała gospodyni z zaciekawieniem. – Poznałaś wczoraj doktor Finch?

– Nie. – Callie zdecydowała się na szczerość. – Po prostu... odgadłam, co zamierzasz mi powiedzieć. Czasem tak mam. Przepraszam.

Towner przyjrzała się Callie przez dłuższą chwilę, po czym zaczęła mówić dalej.

– Znajdziesz Zee Finch w skrzydle biurowym. To po drugiej stronie ulicy od głównego budynku szpitala. Od dawna jest lekarzem Rose.

* * *

Callie szła deptakiem na Essex Street i z zaciekawieniem patrzyła, jak zmieniły się przez te wszystkie lata okoliczne budynki. Salem było dla niej zarówno znajome, jak i obce. Przy Riley Palaza przeszła obok kiosku z gazetami i zerknęła na bijący po oczach nagłówek „Dziennika Salem”: BANSHEE ZNÓW ATAKUJE?

Pod spodem znajdowało się zdjęcie Rose, to samo, które widziała w telewizji: Rose na Derby Street z torbą na zakupy na kółkach, wściekłą miną i rozwianymi włosami ciągnącymi się za nią jak siwy całun.

Callie zastała swój samochód przed komisariatem, tak jak go zostawiła. Wsiadła i od razu skierowała się do szpitala. Przejornie postanowiła skorzystać z tylnego wejścia, aby uniknąć reporterów, którzy wciąż tłumnie pod nim

koczowali. Poszła do pokoju Rose, po drodze skinieniem głowy witając się z policjantem przed drzwiami i szykując się na to, co zastanie w środku. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, było to, że krępujące pacjentkę pasy zostały zdjęte i jakaś kobieta masowała Rose nadgarstki, aby przywrócić krążenie.

– Doktor Finch?

Kobieta odwróciła się.

Zee Finch była po trzydziestce, jej kasztanowe włosy zaczynały tracić powoli swoją intensywność. Ubiera się jak lekarz – pomyślała Callie. Nie w niebieskie fartuchy chirurgiczne, jakie widziała na korytarzu, a w gustowną, jedwabną sukienkę i marynarkę.

– Tak, to ja – odpowiedziała Zee.

– Jestem Callie... – W ostatniej chwili powstrzymała się od podania swojego nazwiska. – Siostrzenica Rose. W pewnym sensie.

Callie od razu przyłapała Zee na tym, że przygląda się jej dłoni. Towner albo Rafferty pewnie już ją uprzedzili.

– Jest jakaś poprawa? – zagadnęła.

– Przynajmniej stan się nie pogorszył – odparła lekarka. – Podejrzewam, że Rose ma zaburzenia dysocjacyjne po złożonej traumie. Już to kiedyś przechodziła.

Callie nie musiała pytać, kiedy.

– Porozmawiaj z nią – zachęciła Zee, szykując się do wyjścia. – Choć tego po niej nie widać, istnieje spora szansa, że jest świadoma wszystkiego, co się wokół niej dzieje.

– O czym mam mówić?

O tym, jak sądziłam, że nie żyje? – dodała już tylko w myślach.

– Cóż, o niczym, co mogłoby ją zaniepokoić – odparła Zee, uśmiechając się cierpko.

Callie pokiwała głową.

– Nie widziałam jej od tamtej nocy aż do wczoraj.

– Może więc opowiesz jej o tym, jak od tamtego czasu potoczyło się twoje życie? – zasugerowała Zee bez wahania. – O dobrych rzeczach. Opowiedz jej, co u ciebie.

Zanotowała coś na karcie Rose.

– Przyjdę jutro, Rose – zwróciła się do pacjentki, po czym sięgnęła do kieszeni i podała Callie swoją wizytówkę. – Przyjmuję w schronisku na Yellow Dog trzy poranki w tygodniu, a popołudniami, przez większość tygodnia, jestem w herbaciarni. Ale jeśli będziesz mieć jakieś pytania na temat opieki nad Rose, możesz do mnie zadzwonić o dowolnej porze.

– Dziękuję. – Callie odprowadziła Zee do drzwi. Patrzyła, jak lekarka przystaje, aby porozmawiać z pielęgniarkami, po czym kieruje się w stronę schodów.

Dziewczyna zrobiła głęboki wdech i przyciągnęła krzesło dla gościa do łóżka Rose.

Porozmawiaj z nią.

Callie zwykle była raczej słuchaczem. Poza pracą nie czuła się komfortowo, kiedy słyszała dźwięk swojego głosu. Nauczyła się powściągliwości, diagnozowania intencji ludzi, zanim zaczęła z nimi rozmawiać. Ale to była przecież Rose! A doktor Finch powiedziała, że to może pomóc. Czy nie po to tu przyjechała?

Usiadła twarzą do starszej kobiety.

– Siostry powiedziały mi, że nie żyjesz. Że zostałam tamtej nocy zabita. Że wszystkie wtedy zginęłyście.

O Boże, czy to naprawdę pierwsza rzecz, jaką powiedziałam? – zadrzała.

– Przepraszam... Chodzi mi o to... Powiedziałam to na wypadek, gdybyś się zastanawiała, dlaczego nigdy nie próbowałam się z tobą skontaktować. – Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze z płuc, zanim znów się odezwała. – Zakonnice wywiozły mnie z Salem. Nigdy tu nie wróciłam, aż do teraz.

Rose się nie poruszyła, nie mrugnęła okiem. Jej przekrwione niebieskie oczy patrzyły prosto przed siebie.

– Następnego dnia po... Po tym, co się stało... – Callie nie chciała powiedzieć: „po morderstwach”. Nie, jeśli Rose ją słyszała. – Bardzo się bałam. Zakonnice ze świętego Jakuba mnie znalazły i wysłały do domu dziecka we wschodnim Massachusetts. Bez przerwy im powtarzałam, że mnie ocaliłaś. Wiedziałaś o tym? Policji też tak mówiłam...

Nic zbyt niepokojącego.

Jak mam opowiedzieć historię swojego życia i nie wspominać o niczym niepokojącym? – zadawała sobie pytanie.

– Siostry dobrze mnie traktowały – podjęła po chwili. – Znalazły mi pracę w domu opieki. Namówiły mnie, żebym poszła na studia. Ty zawsze mi wpajałaś, że powinnam studiować. Pamiętasz? Byłam na University of Massachusetts. Zaczęłam od studiowania muzyki. Pamiętasz? Zawsze mi powtarzałaś, że jestem muzykalna. Potem przenieśliam się na wydział muzykoterapii i tam zrobiłam magisterkę.

Z każdym kolejnym zdaniem Callie coraz bardziej widziała, jak przypadkowo toczyło się jej życie. Oczywiście, istniały przyczyny i skutki, były też decyzje. Ale siedząc w tym szpitalnym pokoju, uświadomiła sobie, że jedyną rzeczą, jakiej można było być pewnym na tym świecie, była zmiana. Wczoraj Rose była dla niej martwa. Dziś okazało się, że żyje... tyle że jest w stanie wegetacji.

Callie obserwowała, jak starsza kobieta gapi się w sufit nieobecnym wzrokiem.

Przez wiele lat wierzyła, że to wigilia Wszystkich Świętych „zabiła” jej

matkę i pozostałe kobiety. Siostry powtarzały z przekonaniem, że to jedyna noc w roku, w której zło panoszy się na świecie bez boskiej interwencji. Powiedziały też, że udzielanie błogosławieństwa bez księdza – tak jak zrobiła Rose – to straszny grzech. A jeszcze gorszy był fakt, że kobiety nazywały się „Boginiami”. Według sióstr, było to dla Boga nie do zniesienia. To dlatego odwrócił wzrok, pozwalając im otrzymać karę za swoją arogancję.

Callie ocknęła się z zadumy.

Czy jestem w stanie myśleć o czymś, co nie jest makabryczne? – Prawie krzyczała na siebie w duchu. Kusiło ją, żeby zacząć kłamać, snuć radosną historię przetykaną obecnością przyjaciół, ale powstrzymała się. Pomijając banshee i gadające drzewa, Rose, którą zapamiętała Callie, zawsze chciała faktów i nauczyła swoją siostrzenicę nie zadowalać się czymś, co nie jest prawdą. Mimo to po wszystkim, co się stało, nigdy nie przyszło jej na myśl zakwestionować interpretacji zakonnicy...

Callie wyszła z pokoju.

Zadzwoiła z komórki do domu opieki, zostawiając wiadomość, że nie pojawi się aż do odwołania, po czym oddelegowała pacjentów z prywatnego gabinetu do kolegi – terapeuty, którego знаła jeszcze ze studiów. Miała trochę oszczędności, mogła więc sobie pozwolić na kilka dni wolnego. Postanowiła, że będzie odwiedzać Rose codziennie, jeśli to coś pomoże. Była zadowolona, że w domu opieki nikt nie podniósł słuchawki – nie miała ochoty rozmawiać teraz z którąkolwiek z zakonnicy. Bóg wie, co mogłaby usłyszeć. Callie słynęła z tego, że mówiła rzeczy, których nie powinna. Dowiedziała się na terapii, że to mechanizm obronny, za pomocą którego radzi sobie ze strachem, jakiego doświadczyła w okresie dorastania. Pracowała nad tym, by to zmienić. Jednak jak do tej pory nie odniosła w tym polu zbyt wielu sukcesów.

Choć pewnie nie było to konieczne, Callie zostawiła kolejną wiadomość w mieszkaniu w Amherst, które przez ostatnie kilka lat dzieliła ze zmieniającą się plejadą studentów piszących prace magisterskie, żeby dać im znać, iż przez jakiś czas jej nie będzie. Nie znała ich zbyt dobrze. Choć wynajmowała pokój, często nie wracała na noc do domu. Zwykle miała jakiegoś chłopaka, choć, prawdę mówiąc, wszystkie jej związki były krótkotrwałe, a często jednorazowe. Zapewne więc nikt nie wezwałby Gwardii Narodowej, gdyby przepadła na dzień lub dwa.

Wróciła do pokoju Rose, usiadła i dalej opowiadała swoją historię, starając się z całych sił, aby miała pozytywny wydźwięk.

– A pamiętasz piosenkę, którą śpiewałyśmy? – Zaczęła nucić celtycką melodię, której nauczyła ją Rose. Starsza kobieta znała tę kołysankę od swojej irlandzkiej babci i śpiewała ją Callie co noc tuż przed pójściem spać.

Rozpoczęła się nowa zmiana pielęgniarek i do pokoju weszła salowa, żeby poprawić pozycję Rose na łóżku.

– Cieszę się, że ktoś ją odwiedza – powiedziała. – To na pewno pomaga.

– Mam taką nadzieję – odparła Callie.

Salowa przystanąła na chwilę i przerwała pracę. Przyglądała się Callie.

– Chyba skądś cię znam.

– Nie sędzę.

– Mogłabym przysiąc...

Callie utkwiała w niej wzrok, milcząc jak Rose, w nadziei, że kobieta odpuści, zanim skojarzy fakty.

* * *

W bibliotece w Salem Callie była wiele razy z Rose. To było jedno z jej ulubionych miejsc na spędzanie wspólnych popołudni. Dla małej Callie frontowe schody były zbyt strome, więc Rose zwalniała swój zwykle pospieszny krok, uśmiechając się, kiedy dziewczynka ostrożnie stawiała gigantyczne jak na nią kroki, i przytrzymywała jej ciężkie, drewniane drzwi, by mała mogła wejść do środka. Dzisiaj Callie przyjęła zwyczajowe tempo Rose i sama otworzyła sobie drzwi. Choć twarze były inne, stary ceglany budynek niewiele się zmienił od czasów jej dzieciństwa. Bibliotekarka podniosła wzrok, gdy zobaczyła, jak dziewczyna wchodzi do środka, po czym znów spojrzała w monitor komputera. Callie wzięła z biurka dzisiejszy numer „Dziennika Salem”.

Wnętrze pachniało książkami i grzejnikami, charakterystycznym stęchłym zapachem, który uwielbiała. Spojrzała w stronę działu dziecięcego i opanowała ją nagła ochota, by tam wejść, usiąść w jedynym z miękkich foteli, w którym niegdyś siadywały razem z Rose, i przejrzeć ilustracje z *Wyspy skarbów* albo z pierwszej książki z wierszykami, jaką Rose jej przeczytała: *Strofy z dziecięcego ogrodu*. Przypomniała sobie jeden ze swoich ulubionych:

*W domu, gdy zapadnie noc,
A mama pod brodę naciągnie mi koc,
Patrzę jak tłum ludzi kroczy,
Widzę ich na własne oczy...[5]*

Nie pamiętała ani pozostałych strof wiersza, ani jego tytułu. Już zamierzała pójść na dział dziecięcy, aby to sprawdzić, ale zamiast tego podeszła do biurka bibliotekarzy. Mężczyzna w średnim wieku, z muszką pod szyją i w wykrochmalonej koszuli, podniósł na nią wzrok.

– Mogę w czymś pomóc?
– Gdzie znajdę archiwalne numery tej gazety? – Pokazała mu „Dziennik Salem”.

– Który rocznik?
– Osiemdziesiąty dziewiąty – powiedziała lekkim tonem, licząc na to, że bibliotekarz nie skojarzy...

Nawet jeśli skojarzył, nie dał tego po sobie poznać, tylko skierował ją do sali z mikrofilmami. Znajdowała się na uboczu, za kilkoma regałami. Wnętrze rozświetlały jedynie świetlówki w suficie. Stały tam cztery drewniane stoły z czytnikami do mikrofilmów, a przy ścianie wypełnionej szafkami katalogowymi siedział pomocnik.

– Ta pani szuka „Dziennika”. Z osiemdziesiątego dziewiątego – wyjaśnił mężczyzna w muszce.

– Który miesiąc? – zapytał Callie asystent.

– Późny październik, wczesny listopad.

Pomocnik wskazał Callie jeden ze stolików.

– Mam pokazać, co i jak?

– Nie trzeba – odparła dziewczyna. – Dam sobie radę.

Zanim zaczęła przeglądać mikrofilmy, przeczytała dzisiejszy „Dziennik Salem”, ten, który wzięła po drodze. Artykuł o Rose był niepokojący, tak jak się spodziewała. Podenerwowani mieszkańcy miasta wyrażali oburzenie, że policja nie postawiła Rose w stan oskarżenia za zbrodnię popełnioną w Halloween, ani nawet nie ustaliła, czy zbrodnia rzeczywiście została popełniona. Wydawało się oczywiste, że to zdarzenie zbyt wielu osobom przypominało o morderstwach z przeszłości, o które podejrzewali dawną panią historyk.

Callie potrzebowała trochę czasu, aby zlokalizować to, czego szukała na mikrofilmach, a kiedy w końcu to znalazła, od razu pożałowała. Lokalna gazeta, zwykle pasjonująca się remontami ulic i zbiórkami strażackimi, zdawała się rozkoszować faktem, że stanowi najlepsze źródło posępnych plotek i insynuacji, podając szczegóły, które, zadaniem Callie, nie mieściły się w standardach szanującej się gazety. Dzień po dniu... Każdy kolejny numer ociekał coraz bardziej makabrycznymi detalami. Jeden nawet zawierał realistyczne zdjęcia zwłok wydobywanych ze szczeliny: zakrwawione twarze ofiar były niemal nie do rozpoznania. Callie nigdy nie widziała tych fotografii. Kolejna rzecz, którą ukryły przed nią zakonnice. Patrzyła teraz na te obrazy i czuła, jak jej ciało ogarnia wstrząs, dłoń pulsuje, a potem drętwieje.

Artykuły były mniej sensacyjne niż zdjęcia, ale miały pewien podtekst, którego Callie nie była w stanie do końca zdefiniować. Raporty były czysto informacyjne, rzeczowe i nadzwyczaj chłodno opisywały zdarzenia, które bez dwóch zdań można by uznać za makabryczne. Callie czytała je kilka razy, nie

znalazła jednak nic na potwierdzenie swoich odczuć. Podawały zdarzenia, daty, miejsca, fakty w bezpośrednim kontraście do zdjęć. Jeśli fotograf był zszokowany fotografowanymi obrazami, autor artykułu już nie. Z dziennikarskiego punktu widzenia historia została potraktowana prawidłowo, ale cały medialny przekaz robił dziwne wrażenie.

Kiedy skończyła czytać artykuły z tygodnia następującego po morderstwach, zaczęła studiować kontynuacje z następnych miesięcy. Wraz z upływem czasu pojawiało się coraz więcej redaktorskich opinii. Niektórzy spekulowali, że młode kobiety należały do grupy satanistycznej, inni twierdzili, że tworzyły rekreacyjny klub erotyczny lub pracowały jako „dziewczyny do towarzystwa”. Jeden z dziennikarzy przedstawiał szczegółowe teorie na temat sposobu podcięcia ich gardeł, sugerując, że użyto do tego noża introligatorskiego albo brzytwy, a nie zwykłego noża. Callie nie mogła czytać tego dłużej. Musiała wyjść na świeże powietrze, by nieco odetchnąć. Trochę jej zajęło, zanim zebrała się w sobie, żeby wrócić i czytać dalej.

Każdy artykuł zdawał się kryć jakąś odmienną teorię. Jeden tekst opatrzony był zdjęciem rany na dłoni Callie z podpisem: „Współczesny cud?”. Było kilka zdjęć ofiar, które nazwali w prasie „Boginiami”: Olivii Cahill, Cheryl Casselli i Susan Symms. Biała, albinoska skóra tej ostatniej wydawała się jeszcze bledsza po śmierci niż w prawdziwym życiu. Napisano też, że podczas mordu z ciała Susan ściągnięto trofea w postaci fragmentów skóry i części włosów.

Były też zdjęcia zrobione przed morderstwami i te naprawdę poruszyły Callie. Wszystko wydarzyło się tak dawno... Callie była tak mała, że posiadała jedynie szczątkowe wspomnienia i zdążyła zapomnieć, jak naprawdę wyglądały jej matka i pozostałe kobiety. Pierwsze ujęcia przedstawiały Susan i Cheryl.

Są młodsze niż ja teraz. – Zdała sobie sprawę Callie. – I takie piękne...

Kiedy dotarła do fotografii matki, zaczęła płakać. O dziwo, kiedy myślała o Boginiach, zawsze największy problem miała z przywołaniem twarzy matki. W jakiś sposób Olivia była daleka i trzymała się na uboczu. Kiedy Callie wyobrażała sobie Olivię, widziała eteryczną, ciemnooką piękność o rozmytych rysach, które nigdy się nie wyostrzały. Ale zdjęcie przed jej oczami nie było ani odległe, ani eteryczne: oświetlony od tyłu obraz na mikrofilmie wyglądał aż nader ludzko. Callie od razu rozpoznała matkę. Nieokiełznane ciemne włosy, oczy cyganki, na wpół anioł, na wpół... I ta jej mina. Buntownicza. Śmiała. Waleczna. „Zadrzyj ze mną” – mówiła. „Tylko spróbuj!”

Była to twarz, którą Callie codziennie widziała w lustrze.

Kiedy skończyła czytać ostatni artykuł i wyłączyła czytnik, wspomnienia tamtej nocy wróciły do niej z chirurgiczną precyzją...

– To naprawdę to miejsce? – zapytała Cheryl, kiedy przeciskały się przez

gęste zarośla na Proctor's Ledge. Mówiła nieswoim głosem, jakby niższym i wolniej niż zwykle. – Jesteś pewna?

– Całkowicie – oświadczyła Rose, poprawiając okulary w oprawkach ze skorupy żółwia i spoglądając na młodsze kobiety, które prowadziła.

– Ale wiemy idą na Gallows Hill – wybełkotała Susan, pocierając dłonie, jakby było jej zimno.

– Wiadźmy się mylą. – Rose przystanęła i spojrzała najpierw na Susan, potem na Cheryl, a na koniec na Olivię. – Mimo swojej nazwy Gallows Hill nie jest miejscem, na którym życie stracili nasi przodkowie. – Przewiercała je wzrokiem. – Co z wami? Znacie tę historię!

Zacząły niezręcznie przestępować z nogi na nogę.

– Byłam pewna, że znów mnie wystawicie, tak jak w lipcu – mruknęła Rose.

– Jesteśmy, tak jak obiecałyśmy – odparła Olivia.

– Jasne... Spóźnione, pijane i do tego w skąpych halloweenowych kostiumach. – Rose obrzuciła krytycznym wzrokiem wydekoltowany strój Susan, pasujący raczej dla króliczka Playboya, choć miał być ponoć inspirowany „Alicją w Krainie Czarów”. Zajęcie uszy idealnie komponowały się z jej śnieżnobiałymi włosami. – W taki sposób czcicie swoich przodków? Mam nadzieję, że znalazłyście czas między imprezami, żeby spakować swoje rzeczy.

Żadna nie odpowiedziała.

– Mówię poważnie. Jutro ma was u mnie nie być.

Rose ubrana była na tę okazję w posępną czerń, a swój długi kasztanowy warkocz zatknęła pod czepek, który wyglądał nieco purytańsko.

– Bardzo nisko upadłaś, nawet jak na ciebie – powiedziała do Olivii przebranej za Szalonego Kapelusznika, w cylindrze, w obcisłych czarnych spodniach i takim samym fraku z rozwianymi połami. – I jak zwykle czekamy na Leah.

Młode kobiety wymieniły skruszone spojrzenia, ale nic nie powiedziały.

Rose machnęła ręką lekceważąco i zaczęła iść w górę.

– Ruszajmy i miejmy nadzieję, że Leah nas dogoni. – Przedzierała się przez zarośla jeżyn, uparcie wspinając się po zboczu, aż doszła do gęstego pasma wędnących krzewów o grubych i zeschniętych gałęziach, które strzelały niczym gumki-recepturki, kiedy kobiety próbowały przez nie przejść.

– Trzeba by mieć maczetę, żeby się przez to przedrzeć – wymamrotała Cheryl pod nosem.

Susan potknęła się i zdusiła jęk.

– Cii – upomniała ją Cheryl.

– Pospiesz się – szepnęła Olivia. Wzięła córkę za rękę i pociągnęła ją za sobą.

Za nimi trzasnęła gałąź. Wiewiórka przebiegła im drogę, wspięła się po

pobliskim sumaku, a potem przeskoczyła zwinnie na wyższe drzewo, uciekając z gałęzi na gałąź. Mała Callie śledziła ją wzrokiem, aż zwierzątko zniknęło w ciemności, pozostawiając za sobą jedynie odgłos wiatru szumiącego w splątanych koronach.

Kiedy w końcu doszły do polany, Callie stanęła jak wryta. Matka ciągnęła ją za rękę, ale ona nie chciała się ruszyć na krok.

– Co znowu? – Rose odwróciła się z irytacją.

Światło księżycy rzuciło zza gałęzi przecinane żyłkami cienie na ich twarze. Rozpadlina rozwierała się w ciemną nicość. Callie знаła to miejsce z historii, które wiele razy opowiadała jej Rose. To tutaj się to stało... To ten dół, do której wrzucono ciała po egzekucji.

– Boję się – powiedziała dziewczynka.

– Wszystko dobrze – odparła Olivia. – Nie ma się czego bać. – Próbowała zachęcić dziecko, aby dogoniło Rose, która stała już na skalistej krawędzi przepaści, czekając na nie.

Callie nie chciała się ruszyć.

– Nie – powiedziała trzęsącym się, niemal niesłyszalnym głosem. Spojrzała na Rose, stojącą za matką. – Chcę do domu, ciociu Rose.

– Och, skarbie. – Rose podeszła bliżej i nachyliła się do niej, tak by spojrzeć Callie w oczy. W świetle księżycy widziała, jak po buzi dziewczynki płyną łzy. – Twoja mama tu jest, nie masz się czego bać. Już nie.

Callie nie wyglądała na przekonaną.

– Dlatego płaczesz?

Dziewczynka pokręciła głową na „nie” i już miała podać inne wytłumaczenie, kiedy odezwała się Olivia:

– Chciała zbierać cukierki, ale powiedziałam jej, że w zamian musimy przyjść tutaj i że wyrzucisz nas z domu, jeśli się nie pojawimy.

Ta uwaga miała wzbudzić w Rose poczucie winy.

– To było przed czy po tym, jak zabrałaś ją na imprezę tylko dla dorosłych? – odparła Rose.

Olivia ściągnęła cylinder Szalonego Kapelusznika, ale nic nie powiedziała.

– To był bal przebierańców – powiedziała Callie, starając się pomóc mamie.

– Byłam Alicją w Krainie Czarów.

– Właśnie widzę... – Rose starała się, by jej głos brzmiał łagodnie. – Bardzo ładnie wyglądasz jako Alicja.

– Chcę iść już do domu – upierała się Callie, czując, że za chwilę znów się rozplacze. – I proszę, nie wyrzucaj nas.

Rose rzuciła Olivii wymowne spojrzenie. Nachyliła się jeszcze bardziej i zbliżyła swoją twarz do buzi Callie.

– Nie martw się tym teraz, skarbie. Dziś jest wyjątkowy wieczór, o którym

rozmawialiśmy. Dziś wieczorem zrobimy coś ważnego, co należało zrobić już dawno: odmówimy modlitwę i poświęcimy miejsce, w którym powieszono i pochowano naszych przodków. – Uśmiechnęła się czule. – Pamiętasz, jak nazywała się twoja praprababka?

– Rebecca Nurse?

– Zgadza się. – Rose gładziła dziewczynkę po policzku.

– Miejmy to w końcu z głowy – mruknęła Cheryl.

– Nie możemy zacząć, dopóki nie przyjdzie Leah – oparła Rose.

– Leah nie przyjdzie – wypaliła nagle Olivia.

– Jak to nie przyjdzie!?! To nasza ostatnia szansa, by zrobić, co trzeba.

Planowałyśmy to od miesięcy!

Młode kobiety znów wymieniły spojrzenia.

– Czego mi nie powiedziałyście?

– Ona nie przyjdzie, Rose – potwierdziła Cheryl, machając niezręcznie ogonem swojego kostiumu myszy.

– Wytłumaczcie się – zażądała ich opiekunka.

– Nie musimy ci się tłumaczyć – warknęła Olivia. – Nie jesteś naszą matką.

Pożałowała swoich słów od razu, gdy je wypowiedziała. Rose gotowała się ze złości.

Nagle za nimi znów rozległ się trzask gałęzi.

– Co, do cholery? – Cheryl odwróciła się w chwili, kiedy z zarośli wyskoczyły kolejne dwie wiewiórki. Jedna z nich przebiegła bezpośrednio po stopie Susan, sprawiając, że Marcowy Zajac zaczął piszczeć, zaś drugie stworzenie czmychnęło na pobliski wiąz.

Na polanie zrobiło się chłodniej i Callie zaczęła się trząść. Rose ściągnęła swoją ciemną kurtkę i zarzuciła ją dziewczynce na ramiona, tworząc długą pelerynę zakrywającą niebieską sukienkę z białym fartuszkim.

– Możemy przejść do rzeczy? – zapytała Olivia. – Muszę ją zabrać do domu.

Rose zastanowiła się przez chwilę.

– Tak, ale tylko ze względu na dziecko.

Kobiety zebrały się, tworząc okrąg nad brzegiem rozpadliny, tak jak wielokrotnie ćwiczyły. Rose wzniosła ręce do nieba i odchrząknęła:

– Matko Święta, wiemy, że nasze koło modlitewne nie jest pełne, ale modlimy się, by nasza intencja i siła pokonały wszelką nieobecność. Uświęć tę ziemię, Droga Matko, w imię naszych pięciu przodków, które umarły tu dziewiętnastego lipca tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Pobłogosław wszystkie dziewiętnaście biednych dusz, które zostały powieszono w tamtym tragicznym roku, i jedną, zmiażdżoną na śmierć. Wszystkie niewinne ofiary aprobowanego przez rząd morderstwa. Maryjo, w imię Twoje i Twojego Syna, naszego Pana, Jezusa Chrystusa, pobłogosław dusze swoich wiernych, którzy odeszli. – Przesunęła

w palcach pierwszy płatek swojego starego, drewnianego różańca, który zamiast krzyża miał wyrzeźbioną różę. – Elizabeth Howe – powiedziała, po czym odwróciła się do Susan i równocześnie przeszła palcami do kolejnego płatka.

– Susanah Martin – powiedziała Susan. W świetle księżyca jej skóra wyglądała na jeszcze bledszą niż zwykle.

Wszystkie spojrzały wyczekująco na Cheryl.

– Sarah Wildes – powiedziała Cheryl, a Rose dotknęła trzeciego płatka różańca, po czym przesunęła się do czwartego, kiedy Olivia i jej córka, wciąż trzymając się za ręce, odezwały się jednym głosem, a Rose im zawtórowała:

– Rebecca Nurse.

Rose przesunęła palce na ostatni, piąty płatek. Słyszac szept słów niesionych wiatrem, Callie odwróciła się, ale nikogo nie zobaczyła. Rose zaczęła się rozglądać, jakby też coś słyszała.

Wiatr ustał i zrobiło się kompletnie cicho, kiedy Rose wymawiała nazwisko ostatniej przodkini:

– Sarah Good.

– Amen – chóralnie odpowiedziały kobiety.

Rose zaintonowała starą irlandzką modlitwę z celtycką melodią. Muzyka zawisła w powietrzu i przemieszczała się pomiędzy splątanymi drzewami otaczającymi polanę, zdając się je rozsypywać. Przez chwilę wszystko zastygło w bezruchu.

Callie podniosła wzrok i zobaczyła wizję wisielczego drzewa, którego jeszcze przed chwilą tu nie było, tego, o którym Rose opowiadała jej tyle razy. Zobaczyła zwłoki zwisające z konarów, wystawione na widok ludzkich oczu niczym makabryczne ostrzeżenie, cena grzechu. Patrzyła, jak ciała – jedno po drugim – zostają w końcu odcięte i opadają do jamy poniżej, powoli, jak gdyby poruszały się w wodzie. Zaciśnęła powieki, aby zablokować wyrazisty obraz stworzony przez jej wyobraźnię.

– Zmówmy teraz „Ojcze nasz” – zaproponowała Rose.

– Ojcze nasz... – zaczęły jednym głosem.

Później wszystko potoczyło się przerażająco szybko. Modlitwa została brutalnie przerwana i zrobiło się kompletnie cicho. Callie otworzyła oczy, ale księżyc schował się za chmurą, zostało jedynie słabe światło gwiazd. Rose stała w tym samym miejscu, dokładnie naprzeciw niej, nadal zaciskając dłonie na koralikach różańca, ale nie odmawiała już modlitwy. Usta miała otwarte, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Jedynym odgłosem było głośnie i rozpaczliwe ssanie. W osłupieniu Rose gapiała się na Susan, która leżała twarzą do ziemi, otoczona purpurową kałużą, rozchodzącą się po uschłej trawie.

Cheryl podbiegła do niej i odwróciła przyjaciółkę, odsłaniając głęboką, brzydką ranę na jej szyi.

Olivia zaczęła krzyczeć, kiedy została chwycona od tyłu, oderwana od grupy i zaciągnięta w stronę rozpadliny, na zawsze puszczając dłoń córki.

Zanim Callie miała szansę zaprotestować, ktoś złapał ją za ramię.

– Uciekaj! – krzyknęła Rose.

Callie poczuła, jak coś ciągnie ją do tyłu, a jej nogi próbują asekurować ciało przed upadkiem.

To ciocia Rose ją obróciła i teraz pchała ją po ścieżce.

– Tędy! – krzyknęła i we dwie pobiegły razem ile sił w nogach, aż znalazły gęstą kępę zarośli.

Rose wpychała Callie w chaszczę, które drapały ją po skórze swoimi kolcami, aż w końcu dziewczynka znalazła się głęboko w gnieździe splecionych pnączy.

– Zostań tu. Wrócę po ciebie!

– Ale mamusia...

– Cicho! – syknęła Rose.

Oczy Callie były wielkie z przerażenia.

– Nie zostawiaj mnie! – wypowiedziała błagalnym szeptem.

Rose włożyła dziecku w dłonie drewniany różaniec.

– Trzymaj. Zamknij oczy i nie otwieraj, aż po ciebie wrócę. I módl się!

Potem Rose zniknęła.

Callie zamknęła oczy i zacisnęła w dłoni różaniec tak mocno, jak tylko potrafiła, aż zaczęły ją piec dłonie i poczuła krew spływającą jej po palcach z miejsc, gdzie wyrzeźbione krawędzie płatków wrzynały się jej w skórę. Próbowała sobie przypomnieć różańcowe modlitwy, jakich uczyła ją Rose, ale słowa zniknęły w ciemności wraz z jej matką i innymi kobietami, które miała za rodzinę. Usłyszała zawodzący odgłos, najpierw niski, potem coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy, coraz bardziej wibrujący, aż zabrzmiał jak skowyt dzikiego zwierzęcia. Był nieziemski – dźwięk zarówno agonii, jak i siły.

Czekała, jak jej się zdawało, całą wieczność, aż w końcu dźwięk umilkł, a ciemność ustąpiła światłu poranka. Czując ciepło słońca przedzierającego się poprzez gałęzie, Callie otworzyła oczy.

Nikt po nią nie wrócił.

[5] *Young Night-Thought* Roberta Louisa Stevenson.

ROZDZIAŁ 7

*9 listopada 2014
Salem*

Kilku wpływowych mieszkańców Salem wnioskuje o zebranie materiału DNA nie z ciała Williama Barnes'a, który zmarł 31 października, a trzech kobiet, zwanych Boginiami, zamordowanych w 1989 roku, w której to sprawie Rose Whelan była niegdyś uważana za główną podejrzaną.

„Dziennik Salem”

Rafferty oglądał zdjęcia Bogiń przez cały poranek. Z archiwum dostarczono mu sześć pudeł z aktami, a spodziewał się jeszcze siedmiu kolejnych. Oficjalnie nie otworzył sprawy ponownie, otworzył za to pudła i wyciągnął ich zawartość, a teraz wpatrywał się w sfatygowany polaroid z wizerunkiem Olivii.

Callie wyglądała zupełnie jak matka: czarne, kręcone włosy ścięte prosto do ramion. Brązowe oczy tak ciemne, że trudno było odróżnić tęczówkę od źrenicy – jedyna cecha kontrastująca z anielską porcelanowością jej skóry. Uroda Olivii

obrosła legendą, podobnie jak jej reputacja oraz reputacje innych Bogiń.

Podobieństwo między nimi było bardzo znamienne. Dobrze, że Towner poradziła dziewczynie, by nie używała swojego nazwiska. Na szczęście imienia Callie nie podały żadne media, ale jej nazwisko pamiętało jeszcze wielu miejscowych.

Zgodnie z aktami ojcem Callie był muzyk, którego Olivia poznała w Nowym Orleanie, nie podano jednak żadnych personaliów, sama Callie też zresztą nie miała pojęcia, kim jest jej ojciec. Olivia przyjechała do Salem, aby prześledzić drzewo genealogiczne swojej rodziny, które sięgało czasów procesów czarownic. Plotki głosiły, że w Nowym Orleanie sama parała się czarną magią, choć nie istniały na to żadne dowody. Jej zachowanie w Salem, jak i zachowanie pozostałych dziewczyn, zdecydowanie było „oczarowujące”, choć bardziej ze względu na uwodzenie mężczyzn niż zaklęcia. Pomyślał, że mógł być to jeden z powodów, dla którego Boginie były w miasteczku tak znienawidzone. Wszystkie zachwycaly urodą, ale bardziej zachowywały się jak mężczyźni niż szanujące się młode damy.

Pokażną część poranka poświęcił też na wielokrotne oglądanie kaset z przesłuchań Callie. Były naprawdę niesamowite. Callie była taka maleńka... I niezaprzeczalnie kochała Rose. Powtarzała tę samą historię bez względu na to, jak śledczy próbowali ją podejść: „Rose starała się nas wszystkie uratować” – powtarzała to bez końca. Nigdy nie zawahała się w swojej wersji zdarzeń. Jeśli miał jakiegokolwiek podejrzenia co do Rose, zeznania Callie ostatecznie przekonały go o niewinności podejrzewanej kobiety.

Dowody potwierdzały, że Callie ma rację. Owszem, Rose była na miejscu zbrodni. Tak, na jej ubraniu znaleziono krew ofiar, nie miała jednak na ciele żadnych śladów walki, a ostatnia ofiara, Cheryl Cassela, walczyła aż do końca. Rose nie posiadała też przy sobie żadnej broni ani tym bardziej „trofeów”, które ściągnięto z ciała Susan Symms – płatu skóry z przedramienia i kępy białych włosów wraz ze skórą, odciętych z jej głowy. Cokolwiek widziała Rose, permanentnie ją to rozstroiło. Nic dziwnego, że wymyśliła jakąś szaloną historię. Zdecydowanie doznała dysocjacji. Widywał już osoby, które w podobny sposób radziły sobie z wielką traumą.

Kiedy Jay-Jay zadzwonił, by dać mu znać, że idzie do niego Callie, Rafferty wepchnął pudło z dowodami pod biurko. Dziewczyna zwierzyła mu się, że miała wizję podczas pobytu w bibliotece i w tym tygodniu odwiedzała go prawie codziennie, żeby opowiedzieć mu o przypadkowych rzeczach, jakie sobie przypominała. Zadawała też pytania. Dziś on miał kilka pytań do niej.

– A co z Leah, o której wspomniałaś wczoraj? Tą, na którą czekałyście i która miała być częścią błogosławieństwa? Była jedną z Bogiń?

– Nie wiem.

– Przypomniałaś sobie już jej nazwisko?

Pokręciła głową.

– Przykro mi.

– Mieszkała z wami?

– Z tego, co pamiętam, to nie... Pamiętam za to, jaka zdenerwowana była tamtej nocy Rose, kiedy czekałyśmy na Leah. Mówiłam ci, że groziła nam nawet, iż wyrzuci nas z domu.

– Tak. – Już wcześniej o tym słyszał, a Callie dodatkowo potwierdziła to wczoraj. Powiedziała mu wszystko, co pamiętała. Jej wspomnienia były dość szczegółowe, ale bez wątpienia miały luki.

– Dziś jak o tym myślę, nie sędzę, żeby to była tylko groźba. Kazała się nam pakować. Pamiętam, jak powiedziała Olivii, że mamy się wyprowadzić dzień po Halloween. Co tłumaczy, dlaczego musiałyśmy wykonać błogosławieństwo właśnie tamtej nocy. Wydaje mi się, że ona naprawdę chciała nas wyrzucić.

– Dlaczego właśnie wtedy?

– Nie wiem. Czasem robiły imprezy, kiedy Rose była w pracy. Mówiłam ci.

Pokiwał głową.

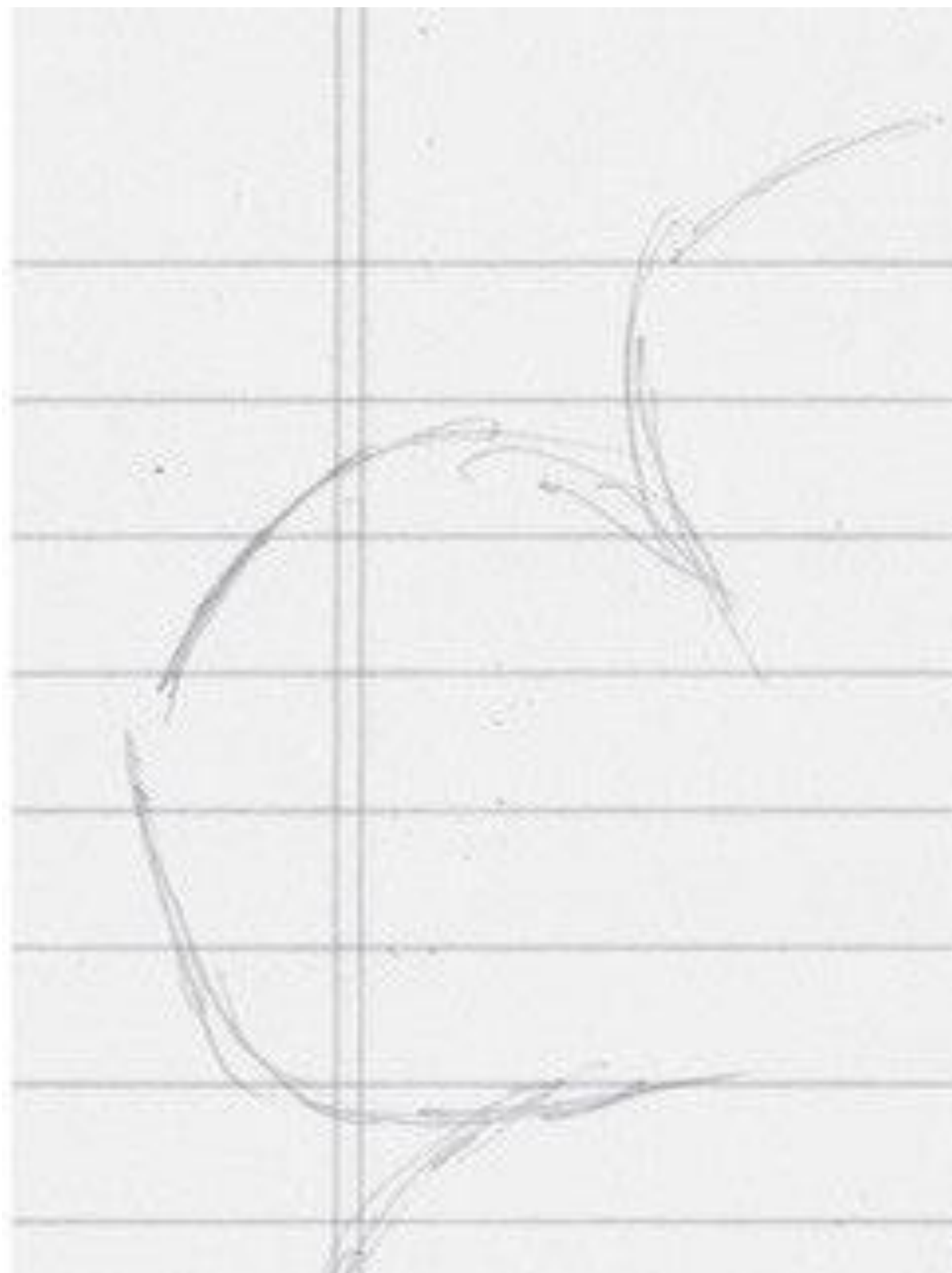
– Sędzę, że to mogło mieć coś wspólnego z tymi imprezami – podjęła Callie.

– Wiem, że Rose ich nie lubiła i że mówili jej o tym ludzie w Centrum. I sąsiedzi. Wzywali policję. Gliny cały czas do nas przyjeżdżały. „Miarka się przebrała” – To właśnie powtarzała Rose. Sędzę, że zaczynała ją to drażnić. A potem ta sprawa z Leah... Cokolwiek to było.

– Sędzisz, że Leah była piątym płatkiem, Callie?

– Jak to piątym płatkiem?

Zadając to pytanie, Rafferty namalował pięciolistną różę w notesie w linie. Odwrócił go, żeby mogła zobaczyć. Rysunek wyglądał dokładnie jak blizna na jej lewej dłoni.



Wspomniał jej wczoraj o czymś, co znalazł w aktach – czymś, do czego Rose nawiązała po morderstwach, kiedy była na tyle przytomna, żeby dać się przesłuchać. Powiedziała, że wszystkie dziewczyny były płatkami róży. Odnosiła się do różańca, który dała Callie. Każdy płatek miał reprezentować jedną z pięciu kobiet skazanych w czerwcu tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku i odpowiadał też ich potomkiniom.

– Wiem, że ty i twoja matka byliście krewnym Rebeccy Nurse.

– Tak samo jak Rose – powiedziała Callie.

– Zgadza się. Wiedziałem o tym. I znalazłem też powiązania Cheryl i Susan. Ale potem się pogubiłem. Zgodnie z twoim wspomnieniem Rose wymówiła też dwa inne nazwiska: Elizabeth Howe i Sarah Good.

Callie zastanowiła się przez chwilę.

– Jestem niemal przekonana, że Rose była spokrewniona z więcej niż jedną ofiarą.

– Skąd taki wniosek?

– Rose mi o tym wspominała. Powiedziała, że to dlatego w ogóle zainteresowała się procesami czarownic. Bo okazało się, że jest spokrewniona z więcej niż jedną osobą spośród straconych.

Rafferty słyszał, że wiele osób w okolicy ma więcej niż jednego oskarżonego lub skazanego krewnego. Towner dowodziła, że to dlatego tutejsi ludzie nie są aż tak bardzo zainteresowani całą historią, jak turyści. Mają już dość, bo ich bliscy tego doświadczyli. Najwyraźniej dla Rose było zupełnie odwrotnie.

– Zatem Cheryl i Susan to dwa płatki róży – powiedziała Callie. – I moja matka. I ja. Kolejnym jest pewnie Rose.

– Może – odparł. – Ale jeśli ty, twoja matka i Rose jesteście spokrewnione z Rebeccą Nurse, to czy nie byłybyście na tym samym płatku?

– Może...

– A skoro Rose łączyło pokrewieństwo z innymi straconymi z Salem, być może jej imię znajduje się też na innym płatku.

– Brzmi sensownie.

– Ponieważ wypowiedziała jeszcze dwa nazwiska, spodziewam się, że jedno należy do jej kolejnej krewniej, a drugie – tej Leah, która miała z wami być.

– Okej – odparła Callie, podążając za tokiem jego rozumowania.

– Daj mi znać, jeśli przypomnisz sobie jej nazwisko. Albo jeśli coś ci jeszcze przyjdzie do głowy.

– To wszystko?

– Raczej tak – powiedział. – Ale na pewno będzie więcej. Wiem, gdzie cię

znaleźć.

– Chcesz przez to powiedzieć: „Nie wyjeżdżaj z miasta”?

– Tak. – Rafferty się roześmiał. – I jeszcze jedno... – Sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął zdjęcie jej matki, które znalazł w aktach, zrobione, kiedy jeszcze żyła. Przesunął je do niej po blacie biurka. – Bardzo ją przypominasz – powiedział.

– Wiem – odparła, wciąż zaskoczona tym ich podobieństwem.

– Nie wydaje mi się, żeby samo nieużywanie nazwiska, tak jak zasugerowała moja żona, wystarczyło. Uważam, że powinnaś też przefarbować włosy.

– Naprawdę?

– Im mniej znajoma będzie się wydawała ludziom twoja twarz, tym lepiej. Jeśli masz rację co do niewinności Rose, to prawdziwy morderca może być gdzieś niedaleko. A teraz znów jesteś w mieście: jedyny w miarę wiarygodny świadek. Możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Komendant wstał.

Callie oddała mu zdjęcie.

Kiedy wyszła, Rafferty raz jeszcze obejrzał nagranie. Była bardzo dzielna, zwłaszcza biorąc pod uwagę jej ówczesny wiek. Choć się denerwowała – cały czas zadawano jej te same pytania – nie płakała. Patrzyła tylko prosto w obiektyw, wyraźnie w szoku, włosy potargane i obandażowana dłoń ułożona ostrożnie na kolanie do góry i pod dziwnym kątem, jak gdyby była niepołączona z ciałem...

Nawet na tym wczesnym nagraniu Callie niesamowicie przypominała matkę.

Pomyślał o swojej własnej córce, kiedy była w tym wieku, i zachciało mu się płakać. A po tym, co słyszał od Towner o życiu Callie po morderstwach, wiedział, że nie było jej lekko.

Poczuł niemal ulgę, kiedy wszedł Jay-Jay, żeby przekazać, iż dzwoni zastępca prokuratora generalnego. Ale wszelkie ślady ulgi minęły, gdy usłyszał słowo: „ekshumacja”.

* * *

– Mają zamiar ekshumować Boginie? – jęknęła w zdumieniu Towner, przeglądając poranną gazetę.

– Będą próbować.

– Chyba im na to nie pozwolisz, prawda?

W normalnych okolicznościach Rafferty chętnie przystałby na wszelkie próby uzyskania dowodów DNA. To było wszak potrójne morderstwo. Gdyby to

się zdarzyło współcześnie, nie byłoby wątpliwości, czy przeprowadzać badania DNA. Do diabła, nalegałby na nie. Nawet dwadzieścia pięć lat później nie był to zły pomysł, choć Rafferty wiedział, że uzyskanie jednoznacznych rezultatów nie było wcale pewne. Takie badania były drogie i czasochłonne, a w przypadku ekshumacji wymagały dodatkowo nakazu sędziego.

Mimo wszystko w tym dochodzeniu myśl o badaniach sprawiła, że zaczął się denerwować. Rose mieszkała z ofiarami, a na jej ubraniu i ciele były ślady ich krwi. Jeśli pozostało jakieś obce DNA po tym, jak dokonano autopsji i przygotowano ciała do pogrzebu, to prawdopodobnie należało właśnie do Rose. A ekshumacji domagali się ludzie, którzy chcieli, by postawiono jej zarzuty. Jeszcze nie otworzył sprawy ponownie, a miejscowi już podpisywali petycję. Przypominało to polowanie na czarownice...

Z drugiej strony pytanie Rose z nocy, w której popełniono morderstwa, i rozmowa, jaką odbył z nią wcześniej, cały czas do niego wracały. „Sądzisz, że w środku każdy z nas jest mordercą?”. I zdanie, które wypowiedziała dalej, to, które powtórzyła, gdy aresztował ją Porter: „Mniejsze zło”. To najbardziej niepokoiło Rafferty’ego. Czy Rose to właśnie miała na myśli? Czy mówiła o tym, co zdarzyło się tyle lat temu na Proctor’s Ledge? Czy może o Billym Barnesie? Czy myślała o tym, by zrobić mu krzywdę, czy może, podobnie jak Towner, Ann Chase i kilka innych osób, które poznał, odkąd przeprowadził się do Salem, była w stanie zobaczyć urywki zdarzeń, zanim do nich doszło?

Chciał zgromadzić resztę dowodów, zanim określi swoje stanowisko co do badań DNA. Jeśli fizyczne dowody będą kompletne, kolejne badania mogą nie być konieczne. Dlatego kiedy tylko wrócił do swojego gabinetu, wykonał kolejny telefon do archiwum, żeby przyspieszyć procedurę.

Rafferty odłożył gazetę i przeczesał dłonią włosy.

– Wiele osób dzwoni w sprawie badań DNA. Śmierć chłopaka i... udział Rose w całej sprawie wywołały panikę. Ludzie chcą odpowiedzi.

– Jacy ludzie? – zapytała Towner, nalewając mężowi drugą filiżankę kawy z ukrytego zapasu, który trzymała w herbaciarni specjalnie dla niego.

– Głównie Helen Barnes – przyznał. – Zebrała naprawdę imponującą liczbę podpisów pod petycją.

Helen namówiła sporą grupę sąsiadów z McIntire District, aby się podpisali, jak również kilka osób z Washington Square. Ale to podpisy ludzi z mniej zamożnych dzielnic najbardziej martwiły Rafferty’ego – tych z Point i Boston Street. Wielu niedawno emigrowało tu z Dominikany i Haiti, gdzie uprawianie czarnej magii, i w ogóle czarów, nadal budziło obawy. Fakt, że petycja Helen oskarżała Rose o bycie wiedźmą, nie pomagał.

– W ogóle cała ta sprawa Billy’ego Barnesesa za bardzo przypominała ludziom o przeszłości, a to działało na niekorzyść Rose.

– Myślisz, że tym razem będą próbowali dopiąć swego?

– Za wcześnie, by to stwierdzić. Ja bym na to nie pozwolił. Nie, dopóki nie zobaczymy wszystkich pozostałych dowodów. Ale to sędzia podejmie ostateczną decyzję, nie ja.

SARAH WILDES
Cheryl Casse d'Ar

REBE
Olivia
Callie
Rose

Towner wpatrywała się w notatnik, w którym John narysował pięciolistną różę. Na każdym płatku znajdowało się imię i nazwisko jednej z kobiet straconych w lipcu tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Na tym samym płatku znajdowało się również nazwisko potomkini, która przybyła, aby oddać jej cześć w tragiczną noc kilka wieków później. Olivia, Callie i Rose dzieliły płatek z Rebeccą Nurse, Susan z Susannah Martin, Cheryl z Sarah Wildes. Pozostałe dwa nie zostały jeszcze wypełnione.

– Czy tu nie powinna być Rose? – Towner wskazała palcem na płatek Elizabeth Howe. – Czy Callie nie mówiła, że tamtej nocy Rose wymówiła jej nazwisko?

– Tamtej nocy Rose wypowiedziała trzy nazwiska: Elizabeth Howe, Rebeccy Nurse i Sarah Good. Jedna z nich prawdopodobnie była spokrewniona z Leah – dziewczyną, która nie przyszła.

Napisał ołówkiem jej imię, ale nie na płatku, tylko nad rysunkiem. Potem spojrzął na zegarek i włożył naczynia do zlewu.

– Wspomniałaś Callie o petycji? – zapytała Towner, idąc za nim.

– Jeszcze nie. Choć pewnie dowie się o tym z dzisiejszego szmatławca, tak jak zresztą całe miasto.

– To może na nią źle podziałać.

– Jest twardsza niż myślisz – odparł po chwili zastanowienia, po czym spojrzął na żonę. – Właściwie to Callie trochę mi Ciebie przypomina.

– Naprawdę? W jaki sposób?

– Przeżyła wielką traumę. Posiada jedynie fragmentaryczne wspomnienia z dzieciństwa. Historia jej życia jest oczywiście inna niż twoja. Sądzę jednak, że, tak jak ty, swoje przeszła.

– Miejmy nadzieję, że poradziła sobie lepiej niż ja.

Rafferty nie chciał sobie nawet przypominać, z czym musiała się zmagać Towner. Ofiara przemocy w dzieciństwie doznała traumy trwającej dłużej niż w przypadku Callie i potrzebowała więcej czasu, aby się z tego podnieść. Ale potem znalazła swój cel w życiu – pomagać ludziom, którzy ucierpieli w podobny sposób. Rafferty był pełen podziwu dla odwagi swojej żony. Jej problemy i determinacja, by je pokonać, uczyniły z niej silną i pewną siebie kobietę.

Ucałował Towner w czubek głowy, po czym ruszył w stronę drzwi.

– Zobaczmy, jaki będzie stan Rose, zanim zaczniemy ją martwić ekshumacją. Jeszcze trochę to potrwa, zanim jakkolwiek sędzia się na to zgodzi. A nawet gdyby Rose wyrwała się ze swojego transu, nie wyjdzie szybko z oddziału psychiatrycznego. Mam nadzieję, że do tego czasu nikt już nie będzie pamiętał

o całej tej petycji.

* * *

Callie zauważyła ulicznych sprzedawców przed bramą wejściową na cmentarz Greenlawn i zjechała na pobocze. Biała chryzantema. Idealny kwiat. Używała ich podczas zajęć z medytacji, aby pobudzić czakrę serca.

Kupiła cztery. Trzy umieściła po jednej na każdym z grobów: dla Susan, Cheryl i Olivii. Ostatnią zatrzymała dla Rose.

Nagrobki były proste. Surowy granit z wygrawerowanymi nazwiskami kobiet. Zakonnice w domu dziecka powiedziały, że za grobowce zapłaciła katolicka organizacja charytatywna Catholic Charities, ale nie chciała pochować Bogiń na katolickim cmentarzu, w zamian wybrała cmentarz miejski. Siostry uznały, że to dlatego, iż Boginie nie były katoliczkami – kolejne kłamstwo, bo przecież Olivia była. Co do pozostałych Callie nie miała już takiej pewności. Wiedziała jedynie, że Rose nalegała, by wszystkie Boginie nauczyły się *Ojciec nasz* w wersji z „bo Twoje jest królestwo, potęgą i chwała na wieki wieków” na końcu.

Biorąc pod uwagę to, czego się ostatnio dowiedziała, podejrzewała, że historia jest bardziej złożona, niż jej powiedziano, i prawdopodobnie ma coś wspólnego z „hybrisem” – jak to określały zakonnice – u kobiet, które uważają, że mają odpowiednie kwalifikacje, aby pobłogosławić miejsce egzekucji.

– Tylko ksiądz może poświęcić miejsce śmierci czarownic z Salem – oświadczyła jedna ze starszych zakonnice w domu dziecka w Northampton. – Choć nie sądzę, żeby jakikolwiek kapłan się na to zgodził.

Callie spojrzała na chryzantemę, którą zachowała dla Rose, i poczuła, jak oczy zachodzą jej łzami. Przypomniła sobie wieczory Halloween, kiedy ta sama, staromodna zakonnica zamykała drzwi placówki w obawie przed „złymi duchami”. Dzieciom nie wolno było chodzić po cukierki. Drzwi otwierano dopiero następnego ranka, w dzień Wszystkich Świętych, w którym, jak mówiły siostry, Bóg otworzył bramy niebios i wszystkie dusze zeszyły na dół, aby uwolnić ziemię od ciemności minionej nocy.

Stojąc tego ranka nad grobem matki, Callie na nowo odczuła bolesną stratę, której nie mogła zbyt długo oplakiwać jako dziecko. Pozwoliła łzom spływać po policzkach, aż same się wyczerpały. Zmówiła własną modlitwę, nie do żadnej wszechmocnej siły, a do kobiet, których groby odwiedziła.

– Proszę, pomóżcie mi odzyskać Rose – powiedziała. – Potrzebuję jej tak bardzo, jak ona mnie.

* * *

Próbowała z Rose muzykoterapii, podstawowych utworów, które odtwarzała z komórki. Bez rezultatu. Kiedy przyjechała do szpitala, paplała bez sensu, opowiadając Rose historie o studiach, a nawet swoim mieszkaniu w Amherst. Szybko kończyły się jej tematy.

Kiedy w końcu przypomniała sobie, by wstawić ostatnią białą chryzantemę do wody, okazało się, że zwlekała zbyt długo. Jeden z płatków oderwał się i opadł na samo dno szklanki. Pojedynczy płatek. To miało jakieś znaczenie, prawda? Co to było? Jeśli pojedynczy płatek chryzantemy wpadnie do kieliszka z winem, oznacza to długie i szczęśliwe życie. Łatwe życie. Ktoś jej tak kiedyś powiedział. Może nawet Rose? Callie uważnie przyjrzała się pustej minie cioci. O jej życiu można by powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że było łatwe. Dziewczyna zmówiła po cichu modlitwę, by ten los odmienił się na lepsze.

Podeszła do okna. Ponieważ drzewa były nagie, mogła dostrzec ocean. Przebłysk napiętej linii horyzontu, znikającej za odległym wzgórzem.

Co mogła powiedzieć, by Rose poczuła się lepiej? Każda historia, którą zaczęła dziś rano, prowadziła do ślepego zaułka, o którym nie mogła opowiadać: wieczoru na wzgórzu. Biała chryzantema była symbolem prawdy, a mimo to Callie nie mogła się na nią zdobyć, przynajmniej nie w całości. Tak ciężko jej było myśleć pozytywnie, kiedy opowiadała o swoim życiu. Jedynym rozwiązaniem było mówić o czymś kompletnie innym. Tylko czym?

Spuściwszy wzrok, Callie z zaskoczeniem zauważyła *Księgę drzew* Rose na parapecie. Była pewna, że jeszcze wczoraj tam nie leżała. Widziała ją podczas wcześniejszej wizyty w niezamkniętej szafce z resztą rzeczy cioci, ale najwyraźniej ktoś ją wyciągnął i teraz leżała otwarta na rysunku zimowej gałęzi, której nagie pnącza rozciągały się na dwie kolejne strony. Callie zaczęła przeglądać dziennik pełen podobnych obrazów. Składał się z samych rysunków – wykonanych ołówkiem szkiców różnych drzew w różnych porach roku: całych w liściach, potem przeredzonych, a dalej nagich gałęzi pokrytych śniegiem.

Zdając sobie sprawę z tego, że narusza prywatność Rose, Callie zamknęła dziennik. Wzburzona, że ktoś przeglądał własność Rose, podeszła do stanowiska pielęgniarek.

- Ktoś szperał w rzeczach pacjentki. Wiesz, kto?
- Nie oskarżaj mnie – odparowała pielęgniarka.
- Ale ktoś to zrobił. Salowa? Strażnik, który pilnuje przed drzwiami?

Pielęgniarka wróciła do swojego komputera.

– Zgłoś to jej lekarce – poradziła oschle.

Callie zdała sobie sprawę, że powinna była się wykazać większą dyplomacją. Ale fakt, że ktoś dotyka rzeczy Rose i narusza jej prywatność, uderzył w czułą strunę z przeszłości.

To samo przydarzyło się jej samej w domu dziecka. Od czasu do czasu siostry grzebały w rzeczach podopiecznych, szukając kontrabandy: słodczy, później narkotyków. Pierwszy ojciec zastępczy przetrząsnął jej rzeczy w ten sam sposób. Zawsze się zastanawiała, co chciał znaleźć.

Wróciła do pokoju Rose i otworzyła szafkę, żeby zobaczyć, czy coś nie zniknęło. Sfatygowany płaszcz Rose i jej czarne spodnie wisiały starannie powieszony, zniszczone buty do biegania zostały ułożone równo na podłodze. Mała torba na zakupy na kółkach stała złożona w pół i wetknięta w głąb wąskiej szafy, wciąż zawierając nieliczne rzeczy Rose. Nie wyglądało na to, by czegoś brakowało. Callie schowała dziennik w torbie na zakupy, nakrywając go wynędzniałym swetrem, który wymagał prania, i – dla pewności – butami Rose. Następnie zamknęła szafę, a klucz schowała do kieszeni. Jeśli... Kiedy Rose się obudzi, Callie ją otworzy, ale przynajmniej teraz prywatne rzeczy cioci były dobrze chronione.

Nie miała siły już więcej mówić. Nie dzisiaj.

W zamian postanowiła pomedytować. Kiedy pracowała z trudnym klientem, często zaczynała od medytacji prowadzonej. Żałowała, że nie znajduje w sobie tyle pewności, by poprowadzić Rose w podobny sposób.

Callie zamknęła więc oczy i przy łóżku Rose rozpoczęła cichą medytację. Wyobraziła sobie, jak jej własne ciało wypełnia się wodą, a potem powoli się z niej opróżnia, poczynając od głowy. Inni, których znała, narzekali, że trudno było im oczyścić umysł, ale Callie potrafiła przejść w stan medytacyjny, jakby to było dla niej coś naturalnego. Czasem uczyła medytacji studentów z uniwersytetu jako uzupełnienie leczenia dźwiękiem. Szczerze mówiąc, wołała ten stan od prawdziwego życia. Tu nie było dla niej barier i mogła z łatwością podróżować, łączyć się z innymi i widzieć to, co oni, aby zrozumieć, przez co przechodzą. Tu wszystkie byty były jednością, trudną do wytłumaczenia laikowi. Miało to coś wspólnego z otwartością i z zamiarem. Ale najpierw trzeba było się pozbyć przeszkód i stworzyć pustkę, która pozwoli przyjąć takie scalenie.

Pozwoliła więc swojej uwadze zatrzymać się na każdym miejscu, w którym czuła blokadę: od bolesnego skurczu w szyi od spania na materacu Rose po zaciśnięte gardło i mięśnie klatki piersiowej od przelżykania łez. Kiedy wyobraziła sobie spływającą po jej ramionach i wytryskującą z koniuszków palców wodę, ruch przeszedł ze spokojnego strumienia w kapanie. Poczwała bliznę na swojej lewej dłoni. A potem poprzez zamknięte powieki zobaczyła, jak pokój spowija cień,

i poczuła chłodny wiatr skradający się do niej przez umierające liście pobliskiego drzewa, co wyrwało ją z medytacji.

Otworzyła oczy.

Zbyt jasne szpitalne światła. Za oknem nie było ciemniej niż przed chwilą. Samotny dąb na wzgórzu po drugiej stronie parkingu wyglądał tak samo.

Dziwne.

Callie znów zamknęła oczy i powróciła do medytacji, cofając się o krok, do łokci. Wyobraziła sobie, jak płyn wypływa z niej przez palce. Tym razem strumień był bardziej wartki i reszta ćwiczenia poszła gładko. Nie było więcej blokad ani cieni, żadnych innych przeszkód przed osiągnięciem stanu medytacyjnego.

Potarła dłonie o siebie i położyła je na dłoniach Rose.

Otworzyła usta, ale nie zaczęła śpiewać. W zamian wydała z siebie bezgłośnie „om”. Jej intencją było połączyć się z Rose i odkryć jej naturalny ton, częstotliwość, z jaką najlepiej czuło się jej ciało, tę, która stanie się kluczowym elementem jej terapii. Każdy człowiek miał jeden, naturalny dla siebie ton gamy. Czasem Callie musiała się mocno wsłuchać, aby go usłyszeć. Kiedy była w stanie połączyć się z kimś poprzez medytację, ton ten często w niej rozbrzmiewał, przenikał przez jej palce, potem w górę, w końcu wychodził przez usta, wyrażony poprzez czysty dźwięk, jak w piosence.

Udawało jej się wcześniej osiągnąć taki rodzaj więzi – miała talent do tego, by wyzbywać się siebie samej, kiedy ktoś był bardzo chory albo kiedy podejrzewała błędną diagnozę. Czasem takiemu typowi uosobienia towarzyszyło empatyczne uzdrawianie.

Ale dziś nic się nie wydarzyło.

Niełatwo było wejść w ciało Rose. Callie wiele razy zatrzymywała się i zaczynała od nowa, kończąc serię głębokich ćwiczeń oddechowych, zanim doświadczyła uczucia spadania i dobiegł ją zapach pomarańczy, który zawsze towarzyszył zespoleniu.

Dla Callie dźwięk, który słyszała podczas medytacji – nazwała go „muzyką sfer” – przypominał delikatną morską bryzę. Im bardziej się w niego zagłębiała, tym dźwięk robił się bardziej złożony, ujawniając dodatkowe warstwy. W szczególnie dobre dni stawał się serią harmonii, w którym, niczym w cichym koncercie natury, mogła usłyszeć wszystkie dźwięki.

Dziś nie usłyszała niczego. Im bardziej zbliżała się do miejsca zamieszkiwanego przez Rose, wszystkie dźwięki milkły. Nie była to właściwie cisza, a raczej... nicość. Wrażenia wizualne, jakich doznawała, także się zmieniały, przechodząc z jasności pochodzącej ze środka w ciemność, która spowijała wszystko. W przestrzeni, którą zamieszkiwała Rose, nie było strasznie ani boleśnie. Tam po prostu było pusto.

Pusto.

Przez cały czas gdy Callie opowiadała Rose historię swojego życia, towarzyszyły jej obawy, że fakt, iż historia nie ma pozytywnego wydźwięku, będzie dla Rose niepokojący. Martwiła się nawet, że już sam jej głos, słyszany po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat sprawi, że stan pacjentki się pogorszy. Teraz wiedziała jednak, że tak nie było. Mimo opinii Zee Finch dla Callie w momencie wydobywania się z transu stało się jasne, że w ostatnich dniach do Rose nie docierało ani jedno słowo.

* * *

Callie weszła po schodkach do domu Towner. Późnym popołudniem herbaciarnia była nieczynna, ale gospodyni jak zwykle siedziała w środku. Ku swojemu zaskoczeniu Callie zobaczyła Zee, która nadal zajmowała jeden ze stolików, pochylona nad imbrykiem herbaty.

– Przyłącz się do nas. – Towner uśmiechnęła się na widok Callie. Wzięła spodek i filiżankę z innego stolika i przygotowała dla niej miejsce.

– Co pijecie?

– Nazywa się Problemata – powiedziała Towner.

– Dostała taką nazwę na cześć Towner w okresie dorastania – wyjaśniła Zee, uśmiechając się od ucha do ucha.

– I to całkiem zasłużenie – dodała Towner. – To mieszanka, którą zwykle robiła moja babcia Eva: czarna herbata z pieprzem cayenne i cynamonem oraz odrobinką kolendry.

– Brzmi okropnie – wypaliła Callie. Trzęsły jej się ręce, położyła je więc wnętrzami do dołu na chłodnym stoliku przed sobą.

Towner się roześmiała.

– Tak miało być.

– A mnie całkiem smakuje – oświadczyła Zee. – Ale ludzie albo ją lubią, albo nie znoszą.

– Może coś ziołowego na uspokojenie? – zasugerowała Towner, zmierzając już w stronę kredensu, gdzie znajdowały się pojemniki z herbatą.

– To aż tak widać?

– Właśnie wróciłaś ze szpitala? – zapytała Zee.

– Tak. – Callie wzięła do rąk łyżeczkę i zaczęła obracać ją w palcach, patrząc na nią, zamiast na Zee. – Nic nie działa. – Westchnęła. – Poza tym ktoś szperał w rzeczach Rose. Znalazłam jej *Księżę drzew* na parapecie. To nie ty, prawda? – Odłożyła łyżeczkę i spojrzała czujnie na lekarkę.

– Nie – odpowiedziała lekarka. – Ale porozmawiam o tym z pielęgniarkami.
– Zgłosiłam to pielęgniarce na oddziale – wyjaśniła Callie. – Chyba mocno ją wkurzyłam.

– Coś zginęło? – zaciekała się Towner.

– Nie wiem. Schowałam dziennik i zamknęłam szafkę. – Callie pokazała klucz, który miała w kieszeni.

– Dobry pomysł.

Towner wróciła do stolika z kolejnym czajniczkiem, tym razem mniejszym, malowanym w róże.

– Niech się chwilę zaparzy – powiedziała, stawiając imbryk.

Callie położyła na nim dłonie, aby je ogrzać.

Zee zerknęła na Towner, a potem znów na Callie i podsunęła jej z drugiego końca stołu talerz bułeczek. Dziewczyna machnęła na nie ręką.

– Nie masz apetytu na nic słodkiego? To niedobry znak.

– Jestem sfrustrowana. Nie widzę żadnej poprawy i nie wiem, co robić.

– Nie da się zrobić nic więcej – pocieszyła ją Zee. – Chcemy, żeby Rose do nas wróciła, próbujemy nawiązać z nią kontakt. I to właśnie robisz – codziennie do niej mówisz. Nie będziesz wiedziała, czy coś zadziało, dopóki się nie obudzi.

– Na tym polega problem. Wydaje mi się, że ona mnie nie słyszy.

– Czemu tak sądzisz? – zapytała psychiatra.

Callie wzruszyła ramionami. Coś powstrzymało ją przed opowiedzeniem o ciemności, jaką czuła we wnętrzu Rose podczas medytacji.

– Jestem muzykoterapeutką. Powinnam uleczać.

Zawsze miałam wątpliwości co do moich uzdrowicielskich umiejętności – pomyślała Callie. Mimo wielu pozytywnych rezultatów, w stosowaniu metod New Age zawsze odkrywała ziarno powątpiewania, zasiane w niej przez zakonnice, wśród których się wychowała. Zatrudniły ją, by pracowała z pacjentami w domu opieki i mimo że w swoich najgorszych momentach zastanawiała się, czy nie zrobiły tego z litości, wiedziała, iż oznacza to, że mają przynajmniej isierkę wiary w jej umiejętności. Nawet one musiały przyznać, że w Biblii też pojawiali się uzdrowiciele – sam Jezus był tego najlepszym przykładem. Ale o talentach Callie zawsze mówiono jakby w cudzysłowie, jak gdyby miały mroczne źródło i mogły przynieść więcej szkody niż pożytku. Ta wątpliwość stała się powodem, dla którego zawodowo Callie nigdy nie wyszła poza dom opieki i kilku prywatnych klientów. Ludzie u kresu życia byli bezpieczni. Zwykle była w stanie im pomóc, a jeśli nie potrafiła... Cóż, przynajmniej mogła im ulżyć.

Towner nadal wpatrywała się w nią, czekając na komentarz.

– Dziwnie jest przedstawiać się jako uzdrowicielka, zwłaszcza przed prawdziwą lekarką Rose.

Zee spojrzała na nią podejrzliwie.

– Nie minęło wystarczająco dużo czasu, żeby wiedzieć, czy pomagasz, czy nie. – Wstała i zaczęła zbierać swoje rzeczy. – Muszę się dostać na Yellow Dog. Nie było mnie tam dziś rano – powiedziała, zerkając na zegarek. – Rób dalej to, co robisz.

– Poprzednim razem Rose ocknęła się dopiero po roku – dodała Towner.

– Wiem. Ale wyczerpałam już wszystkie tematy. Nie mogę opowiadać jej tego samego przez rok.

– Nikt tego od ciebie nie oczekuje – powiedziała psychiatra.

Towner uniosła pokrywkę czajniczka i sprawdziła napar, po czym naląła go do filiżanki.

Zapadła długa cisza.

– Dzięki – powiedziała Callie, kiedy upiła nieco gorącego płynu. A potem, zerkając w stronę spiżarni, zapytała: – Towner?

– Tak?

– Mogę pożyczyć od ciebie tę misę na sałatkę?

Sam dźwięk zdawał się nie mieć wpływu na Rose, ale wibracje angażowały zupełnie inny zmysł. Je się czuło. Warto było spróbować.

– Chodzi ci o misę dźwiękową? – zapytała właścicielka herbaciarni. – Chcesz też gumową szpatułkę?

– Poproszę.

Zee miała zdezorientowaną minę.

– Chcesz coś ugotować dla Rose?

– Jeśli pozwolisz.

ROZDZIAŁ 8

*10 listopada 2014
Salem*

W społeczeństwie, które tworzyło Salem, stracono dziewiętnaście osób oraz dwa psy. Samuel Sewall, sędzia tymczasowego sądu karnego, przez cztery lata prowadził dziennik. Notatnik jest pusty w miejscu przeznaczonym na lato 1692 roku. Badacze wysnuli wniosek, że dokonane przez Sewalla pominięcie wynikało z „dobrowolnej amnezji wywołanej zbiorowym poczuciem winy, z powodu której cierpi całe miasto Salem”.

Rose Whelan, Czarownice z Salem

Callie nie reagowała na zdziwione spojrzenia pielęgniarek z oddziału psychiatrycznego, kiedy szła korytarzem, niosąc misę i szpatułkę. Funkcjonariusz pilnujący pokoju Rose także podejrzliwie zmierzył ją wzrokiem.

– Co masz zamiar z tym zrobić?

Pielęgniarki nic mu nie przekazały.

– Będę grać – powiedziała. – Mam pozwolenie.

Wyraził powątpiewanie, ale pozwolił jej przejść.

Callie szybko rozejrzała się po pokoju. Wszystko wydawało się być na swoim miejscu, tym razem nikt nie majstrował przy rzeczach Rose. Postawiła misę na stoliku nocnym, po czym przesunęła go na środek pokoju, tak by najlepiej ustawić pozycję naczyń w stosunku do czterech ścian.

Uderzyła misę, żeby wywołać wibracje, po czym powoli zaczęła objeżdżać jej krawędź szpatułką i ta się rozśpiewała. Okrążała misę, aż dźwięki narosły na tyle, że woda w dzbanku przy łóżku Rose zaczęła się marszczyć na powierzchni. Callie widziała też fale w opróżnionej do połowy kroplówce, która zwisała przy łóżku pacjentki, i miała wrażenie przetaczania, kiedy elipsa dźwięku zaczęła przemieszczać się po pomieszczeniu. Było tam tylko jedno okno. Nieduże i wysoko umieszczone, ledwie przerywające masywną ścianę. Przy zamkniętych drzwiach dźwięk w czterech ścianach kwadratowego pokoju odbijał się od gładkich powierzchni, tworząc coś na kształt niekończącej się fali. Dziewczyna wyobraziła sobie, jak dźwięk się porusza, dostrzegała kolory, jakie tworzy, okrążając Rose i przenikając przez jej nieruchome ciało. Ledwie przez moment wydawało jej się, że kobieta zadrżała, ale już po chwili jej ciało zrobiło się na powrót nieruchome, a drzwi się otworzyły. Stały w nich pielęgniarka i salowa. Za nimi sterczał policjant z niepewną miną.

– Albo wchodzicie, albo wychodzicie – powiedziała do nich Callie, bo dźwięk zaczął się już rozpraszać. Pielęgniarka i salowa weszły do środka, ale policjant wrócił na swoje stanowisko, zamknąwszy za sobą drzwi.

Callie raz jeszcze zaczęła okrążyć szpatułką brzeg misy i tym razem instrument był już rozgrzany. Nowo przybyłe kobiety obserwowały z otwartymi szeroko oczami, jak dźwięk się nabudowuje, aż w końcu stał się niemal nie do zniesienia i jeszcze raz okrążył pokój. Callie odłożyła szpatułkę i zaczęła przyglądać się Rose. Czuła, jak blizna na jej dłoni pulsuje od trzymania narzędzia. Zaczęła ją mimowolnie pocierać, nie spuszczać oczu ze starszej kobiety.

Dreszcz, który widziała wcześniej, jeśli w ogóle się wydarzył, już się nie powtórzył. Ale wibracje trwały jeszcze przez długi czas, dłużej niż Callie wydawało się to możliwe i dużo dłużej niż pierwszym razem, zanim otworzyły się drzwi.

Pielęgniarka i salowa nie poruszyły się, dopóki dźwięk nie przycichł, a potem zniknął.

Pierwsza odezwała się salowa.

– Co to ma działać? Uzdrowić ją?

– Zharmonizować – odparła Callie, nie odrywając wzroku od Rose.

– Fascynujące – zgryźliwie oświadczyła pielęgniarka.

Wróciła do biurka. Salowa została jeszcze chwilę, zerkając to na Callie, to na

Rose. W końcu także odwróciła się i wyszła.

Rose wyglądała dokładnie tak samo, jak przed sesją.

– No, ciociu Rose – szepnęła, na wpół prosząc, na wpół rozkazując. – Wróć do mnie.

Podeszła do drzwi i starannie je zamknęła, tworząc hermetyczną przestrzeń.

Znowu zaczęła grać.

Minęła chwila, zanim vibracje narosły, ale kiedy już tak się stało, Callie czuła je nie tylko w swoich palcach, ale w każdej kości i każdym mięśniu.

Grała, aż zaczęły jej pulsować nadgarstki, a mięśnie pleców rozboleły od schylania się nad misą. Już miała się poddać, kiedy znów zobaczyła ten dreszcz. Raz jeszcze okrążyła brzeg misy, wkładając w to większą siłę i pozostawiając na niej ślad gumowatego pyłu. Przyłączyła się do dźwięku, wypowiadając samogłoskowe tony i tworząc modalną harmonikę, gdy ten przemieszczał się po skali w górę i w dół: „om”, „aa”, „ee”. W końcu jej głos znalazł naturalną nutę Rose, choć była słaba, i utrzymał ton. Natężenie dźwięku krążyło i wzmagало się, aż stało się tak głośne, że Callie całą siłą woli musiała się powstrzymać od zatkania dłońmi uszu. W kulminacyjnym momencie zatrzymała się i stanęła idealnie nieruchomo, pozwalając dźwiękowi się wyciszyć aż do odgłosu bezruchu, który muzykoterapeuci uznają za święty.

Rose zamrugowała powiekami.

Callie wpatrywała się w nią w trwającej ciszy, żałując, że nie ma tu nikogo, kto mógłby temu zaświadczyć.

– Rose?

Starsza kobieta odkaszlęła. A następnie, patrząc prosto przed siebie, zaczęła mówić.

– Jestem szyfrem.

Callie utkwiała w chorej wzrok.

– Nie mam ciężaru, wartości, wpływu. Niczego sobą nie przedstawiam. Nie istnieję.

Rose mówiła jakby do kogoś – albo czegoś – będącego poza zasięgiem wzroku. Po chwili powoli usiadła na łóżku, czym uruchomiła alarm, który zastąpił pasy bezpieczeństwa.

Do pokoju wpadły salowa i pielęgniarka, przepychając się przed Callie do łóżka Rose.

– Ostrożnie – powiedziała pielęgniarka, podtrzymując pacjentkę. – Pomogę ci.

Rose wyrwała się, jakby coś ją użądliło.

– Wszystko w porządku – zapewniła pielęgniarka. – Nic ci nie jest.

Starsza kobieta syknęła na pielęgniarkę, wytykając ją palcem wskazującym, niczym czarownica:

– Patrzysz w inną stronę, mijając mnie na ulicy.

W drzwiach stanął strażnik. Rose zwróciła się do salowej:

– Uciekasz przede mną, kiedy powinnaś mnie objąć. – Salowa cofnęła się o krok. – Ale, uciekając, pamiętaj o tym: powołałaś mnie do istnienia. Nie jestem przyczyną, a jedynie skutkiem.

Salowa znów się cofnęła. Pielęgniarka puściła Rose.

– Wezwę doktor Finch.

Policjant stał nieruchomo przy drzwiach, jakby wrósł w ziemię.

Wtedy Rose zwróciła się twarzą do Callie i wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Nagle jej oczy powoli zaczęły wypełniać się łzami i wzięła dziewczynę za rękę.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 9

15 listopada 2014
Salem

To nie do pomyślenia, że jeszcze nie postawiono jej zarzutów. Pora, żeby to miasto złamało miotłę tej czarownicy.

@TRUTHSEEKER247

Rafferty gryzł tabletkę na nadkwasotę. Od wybudzenia się Rose zrezygnował ze swoich zwyczajowych czterech filiżanek kawy dziennie i zaczął żyć na proszkach, czasem nawet zapominając zjeść aż do końca dnia. Wiadomości szybko się rozniosły, szpitalna klauzula poufności poszła do kosza, ktoś opowiedział o wszystkim mediom... Równie dobrze mógł to być jego własny funkcjonariusz. Tak czy inaczej, ktoś puścił farbę i doniósł ludziom o szalonym przemówieniu Rose. Teraz Rafferty odpowiadał na kilkanaście nieprzyjemnych telefonów dziennie od prawych obywateli, którzy chcieli wiedzieć, kiedy policja postawi Rose zarzuty w związku z niedawną śmiercią nastolatka i z morderstwami Bogiń

sprzed dwudziestu lat. Za sprawą petycji Helen Barnes coraz więcej mieszkańców Salem domagało się ekshumacji zamordowanych kobiet. Co za koszmar.

Komendant spodziewał się siedmiu kolejnych pudeł dowodów z archiwum, ale w tym tygodniu przyjechało tylko sześć, co w sumie dawało dwanaście kartonów, zaklejonych i z etykietami ponumerowanymi od jeden do trzynaście. Numeru dziewięć wciąż brakowało. Codziennie dzwonił, aby przypomnieć, że nadal czeka na przesyłkę, a nawet sam pojechał po dokumenty do archiwum, nigdzie ich jednak nie było.

Im bardziej zagłębiał się w dowody, tym więcej widział uwikłanych osób. Dziewczyny, które zostały tamtego wieczoru zamordowane, miały wielu wrogów z motywami – wściekłe żony, porzuceni kochankowie, cnotliwi moralisci. Było to równie frustrujące, jak nieposiadanie żadnych podejrzanych. Jeśli istniały jakiegokolwiek informacje o Leah, dziewczynie, którą zaczął nazywać „piątym płatkim”, nie znajdowały się w żadnym z otrzymanych pudeł. Kolejnym brakującym elementem były ubrania, które miały na sobie dziewczyny tamtego wieczoru – kostiumy, które tak nie podobały się Rose. Policja zatrzymałaby je przecież jako dowody, sprawdziła znajdujące się na nich wydzieliny, krew, spermę, włosy... Kostiumy musiały bez wątpienia znajdować się w brakującym pudle. Może badanie DNA istniejących dowodów wystarczyłoby, aby zadowolić tłum.

Po raz kolejny zadzwonił do archiwum.

Nie mógł wręcz znieść myśli o ekshumacji Bogiń. Jeśli wykopią te biedne dziewczyny i jeśli zostało z nich jeszcze tyle, by dało się przeprowadzić badanie, mógł się założyć, że wszędzie na nich będzie DNA Rose. Na miłość boską, przecież z nią mieszkały! Oznaczało to, że dla Rose sprawa może wkrótce stać się poważna, zwłaszcza że coraz więcej osób chciało, żeby była winna. W najlepszym wypadku niczego nie znajdą w szczątkach. Sprawdził to. Stopień rozkładu ciała mógł się znacznie wahać w zależności od czynników środowiskowych, z czego wilgotność gleby była największą zmienną. Jeśli jednak rozkład był minimalny, uda im się znaleźć DNA.

Zaledwie wczoraj po południu musiał wysłać dwa radiowozy do szpitala w Salem, ponieważ gang gimnazjalistów strzelał z wiatrówki w, jak im się zdawało, okno Rose. Osiągnęli tyle, że do końca dnia została sparaliżowana praca centrum chirurgicznego. Trzeba było jeszcze dorzucić komentatorów online... Oni lubią puszczać anonimowe opinie o kobiecie, której nigdy nie poznali... Tak więc Rafferty miał do czynienia z prawdziwym problemem, a jego skala stale rosła.

Od Towner, która zaprzyjaźniała się już z Callie, słyszał, że Rose miewa lepsze i gorsze dni. Traciła i odzyskiwała świadomość, czasem mówiła zupełnie do rzeczy, innym razem wygłaszała tyrady o banshee. Przez większość czasu komendant trzymał się z dala od szpitala, o ile nie miał tam jakiegóż oficjalnej sprawy.

Towarzyszył Barry'emu Marcusowi podczas odwiedzin u Rose niedługo po tym, jak odzyskała świadomość. Niestety, tego dnia była bardziej nieobecna niż obecna. Kiedy tylko Barry został przedstawiony jako prawnik, powiedziała:

– Banshee wskoczyła we mnie w noc morderstw Bogiń. Poświęciłam wszystko, co mam, by powstrzymać ją od zabijania.

– Musisz stąd iść – powiedział Barry. Otworzył drzwi i przytrzymał je Rafferty'emu.

Szczerze mówiąc, komendantowi ulżyło, że może sobie pójść. Zbyt wiele słyszał już o banshee i o Rose. Ludzie codziennie do niego dzwonili i zachowywali się tak, jak gdyby banshee była prawdziwa. „Jeśli – jak upiera się Rose Whelan – to banshee zabiła Boginie, a potem wskoczyła w jej ciało, to ona jest morderczynią!”. Taka była logika opinii publicznej.

Tamtego dnia z ulgą poczekał na adwokata na zewnątrz.

– Nie ma zbyt wielu wątpliwości co do tego, jaka jest linia jej obrony – powiedział Barry, kiedy w końcu wyszedł z pokoju Rose. – Jeśli w ogóle będzie potrzebna obrona, bo przecież nie ma żadnych dowodów zabójstwa. Możesz jakoś przyspieszyć raport toksykologiczny zwłok tego dzieciaka?

Mieli już wyniki autopsji, ale niewiele one wyjaśniły. Billy Barnes zmarł z powodu krwotoku śródmózgowego. W żaden sposób nie wskazywało to na ingerencję Rose, ale też nie pomagało uciszyć szalonych plotek na jej temat. „Krzyk banshee sprawił, że dzieciakowi eksplodowała głowa!” – brzmiał pierwszy komentarz w internecie, na jaki natrafił Rafferty. Raport toksykologiczny miał powiedzieć więcej o tym, co naprawdę się wydarzyło. Ale to, niestety, musiało trochę potrwać.

Rafferty'emu nie spieszyło się do tego raportu tak bardzo, jak Barry'emu. Wiedział, że Rose jest bezpieczna przed skutkami plotek i wściekłymi mieszkańcami Salem dopóty, dopóki przebywa w szpitalu. Nie mieszkała na ulicy, było jej ciepło i sucho, spała w łóżku i jadła regularne posiłki. A to dawało mu czas.

Rafferty rozsiadł się wygodnie na swoim krześle, zastanawiając się, czy nie wziąć kolejnej pastylki na nadkwasotę. Na tym etapie bardziej martwił się o Callie. Słyszał i o niej plotki: nazywano ją uzdrowicielką, dziewczyną, która wybudziła Rose ze snu. Nikt nie wspominał o tym, kim naprawdę była Callie Cahill. Jeszcze. Z tego, co wiedział, jedyne pogłoski, które na razie krążyły, dotyczyły cudownego ozdrowienia, dokonanego za pomocą „czarodziejskiej” misy. Pozostawało jednak tylko kwestią czasu, aż ludzie zaczną rozpoznawać dziewczynę i wtedy ruszy lawina... Musiał poczynić większe postępy w nowym śledztwie na temat Bogiń, zanim dojdzie do tej przeklętej ekshumacji. Odnalezienie czegoś, co przegapiono za pierwszym razem, było jedynym sposobem, by Rose i Callie nie znalazły się na celowniku opinii publicznej.

* * *

Rafferty siedział za biurkiem, kiedy w końcu przyszedł raport toksykologiczny. Przeczytał go dwa razy, żeby się upewnić, że dobrze zrozumiał.

Cały ranek trwały późne jak na tę porę roku burze i gradobicia, które spowodowały wgniecenia na niektórych wozach parkujących pod komisariatem. Zwinęły się też ekipy telewizyjne i była to pierwsza rzecz, która rozbawiła Rafferty'ego od czasu, gdy Rose znalazła się w szpitalu i zaczął się ten cały medialny cyrk. Choć na zewnątrz wciąż lało, komendant włożył kurtkę przeciwdeszczową i pojechał do szpitala.

– Hej, komendancie – wrzasnął jakiś dziennikarz na parkingu. – Da pan zgodę na odkopanie tych Bogiń?

– Bez komentarza.

* * *

Strzepnął krople deszczu z kurtki w progu pokoju Rose. Skinął do strażnika, zastanawiając się raz jeszcze, czy to jeden z nich był źródłem przecieku do prasy. Przepytał ich na tę okoliczność, ale żaden nie przyznał się do winy.

Otworzył drzwi.

Rose siedziała na łóżku w towarzystwie Callie, Towner i Zee. Odchrząknął i wszystkie kobiety odwróciły się w jego stronę.

– Mam wieści – powiedział. – Przyszły pełne wyniki autopsji. Wiemy, że Billy Barnes umarł w wyniku krwotoku śródmózgowego, ale raport toksykologiczny wykazuje, że w jego ciele znajdowały się duże ilości kokainy i heroiny.

– To świetna wiadomość! – zakrzyknęła Towner.

Rafferty rzucił żonie ostre spojrzenie, na co ona postanowiła się szybko poprawić.

– To znaczy, nie dla niego. Dla ciebie, Rose.

Kobieta miała zagubioną minę.

– Nie zrobiłaś tego, Rose – powiedział Rafferty. – Nie jesteś odpowiedzialna za śmierć Billy'ego Barnes'a. Wylew najwyraźniej spowodowała mieszanka

narkotyków.

– Ale ja... – zaczęła mówić starsza kobieta.

Rafferty uniósł dłoń.

– Nic nie mów. Nie ma żadnej banshee. Mózg nie eksplodował mu od twojego krzyku i, proszę, nie sugeruj nawet, że było inaczej. Zmarł z przedawkowania. To koniec. Skup się teraz tylko na tym, by wyzdrowieć.

Szybko się pożegnał i wyszedł, nie zwracając uwagi na strażnika przy drzwiach. Następnie pojechał na posterunek, aby zająć się skutkami opadów.

Przypomniał sobie, że kiedy zamykał drzwi szpitalnej sali, usłyszał, jak Towner zaprasza Callie na coroczną galę dobroczynną na rzecz schroniska na Yellow Dog.

I bardzo dobrze – pomyślał. – Może sobie wziąć mój bilet.

ROZDZIAŁ 10

*22 listopada 2014
Salem*

Niestety, jedna rodzina w Salem nie będzie mieć szczęśliwych Świąt Dzięczynienia. „W tym roku nie ma zbyt wielu rzeczy, za które warto dziękować” – powiedziała Helen Barnes. Matka Williama jest tak głęboko pogrążona w żałobie, że wystawiła dom na sprzedaż – dom, który był w rodzinie Barnesów od niemal trzystu lat.

„Dziennik Salem”

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – Blond na pudełku farby L’Oréal był bardzo jasny. – Czy to w ogóle chwyci? – Pokazała na swoje ciemne loki.

– Czas pokaże – odparła Towner, nakładając Callie czepek kąpielowy na głowę i ściągając rękawiczki. – Powinnaś pewnie pójść do kolorystki.

Callie się roześmiała.

– Świetna pora, żeby mi to powiedzieć.

Rafferty obawiał się, że ktoś rozpozna dziewczynę w miejscowym salonie fryzjerskim, poprosił więc żonę o pomoc. Podczas całego procesu farbowania Towner biegła w tę i z powrotem pomiędzy herbaciarnią i powozownią. Dziś brakowało jej kelnerek. Jedna z dziewczyn, której dzieci znalazła się w rodzinie zastępczej, spędziła cały dzień w sądzie, próbując je odzyskać.

– Nie jestem fanką rodzin zastępczych – skwitowała Callie. Opowiedziała już Towner, że więcej niż raz zmieniała opiekunów, nigdy z powodzeniem.

– Za pierwszym razem było najgorzej. Ojciec rodziny odstawił mnie do domu dziecka i zostawił na schodach z przypiętą do piersi karteczką.

– No co ty. – Towner wlepiła w nią wzrok.

– Słowo honoru – powiedziała Callie.

– Co było napisane na tej kartce?

– Nie chcesz wiedzieć – odpowiedziała Callie, przypominając sobie jej treść. Towner czekała.

– To był cytat z Biblii. Księga Przysłów, rozdział piąty, wers piąty. Znasz Księgę Przysłów?

– Nie bardzo – przyznała Towner.

– „Nogi jej stępują do śmierci, a kroki jej przechodzą do piekła”[6].

– O Boże! – oburzyła się Towner. – Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę wydarzyło.

Callie starała się to zbyć wzruszeniem ramion.

– A jednak. Chyba nie sądził, że umiem czytać. Potem byłam jeszcze w trzech rodzinach zastępczych. W niektórych było dużo dzieci i mało dyscypliny czy uwagi, a rodzice przyjmowali kolejnych podopiecznych tylko dla pieniędzy. Do ostatniego trafiłam już jako nastolatka. Matka pracowała na dwóch etatach poza domen, za to ojciec poświęcał mi bardzo dużo uwagi. Za dużo.

– Jezu...

Półtorej godziny i dwa pryszniczki później Callie siedziała w herbaciarni, próbując obejrzeć tył swojej głowy w lusterku ręcznym trzymanym przez Towner.

Efekt był uderzający. Jasny kolor farby zlewał się niemal z porcelanową bielą skóry.

Towner podniosła lusterko, czekając na aprobatę.

Callie przyjrzała się włosom.

– Zdecydowanie nie wyglądam jak ja – oświadczyła. Przez chwilę poczuła chłód. Callie wyglądała jak Susan w jej wspomnieniach: białe włosy i pozbawiona pigmentu skóra. – Jesteś pewna, że dzisiejszy wieczór to dobry pomysł? – Gala dobroczynna miała się odbyć za kilka godzin i Callie zaczynały dręczyć wątpliwości.

– Nie martw się niczym – uspokoiła ją Towner. – Wiele sponsorek jest tak starych, że i tak nie widzą dalej niż półtora metra przed sobą... Boże, popatrz tylko

jak wspaniale błyszczą teraz twoje oczy.

Towner znów podniosła lusterko i Callie spojrzała na swoje odbicie. Przynajmniej widziała swoje oczy, a nie różowe oczy Susan. Wydawały się prawie czarne. po tej metamorfozie wyglądała jak negatyw czarno-białego zdjęcia z lat trzydziestych, które Olivia wycięła kiedyś z jakiegoś starego magazynu.

Ignorując wywieszkę z napisem „zamknięte”, do herbaciarni energicznym krokiem weszła jakaś kobieta. Podeszła do stolika, przy którym Callie i Towner delectowały się późnopołudniową Problematą, i położyła przed właścicielką lokalu stos dokumentów i luźnych kartek, które przytaszczyła pod pachą.

– Marto, poznaj Callie – powiedziała Towner. – Marta organizuje dzisiejszą imprezę.

– Miło cię poznać, Callie. – Nieznajoma przyglądała się jej z zaciekawieniem.

Marta miała ciemne oczy, była atrakcyjna i stylowa, choć nie szczyciła się klasyczną urodą. Wyglądała znajomo, jak typowa mieszkanka Nowej Anglii, którą Rose określiłaby mianem „przystojnej kobiety”. Charyzmatyczna – pomyślała Callie.

– Callie niedawno przeprowadziła się do Salem.

– Dlaczego ktoś przy zdrowych zmysłach chciałby to robić? – zażartowała Marta.

Na ułamek sekundy dziewczyna się zawahała. Wiedziała, że pytanie jest retoryczne, ale ktoś może je jej kiedyś zadać na poważnie, a jak do tej pory jeszcze nie przemyślała sprawy na tyle, aby sformułować jakąś sensowną odpowiedź.

– Daj spokój, Marto, sama tu wróciłaś.

– Tylko dlatego, że moja matka była umierająca.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Callie, przypominając sobie stratę własnej matki.

Marta zbyła troskę machnięciem dłonią.

– To było dawno temu. Tak tylko mówię: dlaczego ktoś miałby chcieć mieszkać w tym okropnym miejscu, gdyby nie musiał?

Ale ja musiałam – pomyślała Callie, choć nie powiedziała tego głośno. Sposób, w jaki Marta się jej przyglądała, sprawiał, że dziewczyna czuła się niezręcznie. Odruchowo dotknęła swoich pofarbowanych włosów.

Tymczasem Marta wskazała na papiery, które położyła przed Towner.

– Może usiądziesz z nami? – zapytała właścicielka herbaciarni. – Zaczynam się denerwować, kiedy tak nade mną wiesz.

– Tylko na minutkę – odpowiedziała Marta ze śmiechem, po czym zajęła miejsce przy jednym z koronkowych nakryć.

Towner podniosła dzbanek, ale Marta powstrzymała ją ruchem dłoni.

– Muszę zaraz wracać, żeby dopilnować, czy hotel nic nie pomiesza

z usadzeniem gości.

Towner rzuciła okiem na listę podaną jej przez Martę.

– Imponująca.

– Sprzedaliśmy właściwie wszystkie bilety.

– Jak zwykle, wszystko dzięki tobie – pogratulowała Towner, po czym zwróciła się do Callie: – Gdyby nie Marta, ten wieczór nie doszedłby do skutku.

Marta zlekceważyła komplement.

– Co roku organizuje to wydarzenie – dodała Towner. – I nikt tak jak ona nie potrafi zbierać funduszy.

– Gdybym była choć w połowie tak dobra w zarabianiu pieniędzy, jak jestem w działalności dobroczynnej, to zaoszczędziłabym na podatkach, ufundowała sobie emeryturę i wróciła, skąd przyjechałam.

– To chyba nie jest dozwolone – zaśmiała się Towner.

– A szkoda – powiedziała Marta.

– Skąd się tu przeniosłaś? – zapytała Callie.

– Z Manhattanu.

– Wróciła z powodu matki, ale została, bo bardzo tęskniła za Nową Anglią. – Towner się uśmiechnęła.

Marta stęknęła, po czym zaczęła zbierać swoje papiery i włożyła je do torby, której pasek zwiisał jej z ramienia.

– Dzięki ludziom takim, jak Towner, to miejsce jest przynajmniej nieco znośne. Przyjdiesz dzisiaj, Callie?

– Jest moją osobą towarzyszącą – oświadczyła Towner.

Marta się roześmiała.

– Założę się, że Rafferty odetchnął z ulgą, że ma to z głowy.

– I to jak – roześmiała się Towner.

– Do zobaczenia wieczorem. – Marta poszła do drzwi, dochodząc do nich w tej samej chwili, gdy do środka próbowały wejść dwie starsze kobiety. – Herbaciarnia jest nieczynna. – Wskazała na tabliczkę z godzinami otwarcia. – Zapraszamy jutro. – Poczekała, aż kobiety odwrócą się i powoli zejną po schodach. Nie potrafiąc ukryć frustracji ich powolnymi ruchami, przewróciła oczami, zerkając na Towner.

– Interesująca osoba – przyznała Callie.

– Dokładnie.

* * *

Ze swoimi lustrami i złoceniami sala bankietowa w Hawthorne Hotel odzwierciedlała staroświecką elegancję. Towner i Callie przeszły przez całą salę, zatrzymując się co kilka kroków, aby z kimś się przywitać albo przedstawić.

Po ufarbowaniu włosów przyszła pora na zmianę nazwiska.

– Wybierz coś – namawiała Towner, zanim tu przyszły. – Coś, co łatwo zapamiętasz.

Callie zdecydowała się na O'Neill, nazwisko swojej pierwszej matki zastępczej, która zmarła.

– To moja ulubiona impreza dobroczynna – zwróciła się do Towner miejscowa zamożna wdowa w sukience z kropy z długimi rękawami i nieco zbyt głębokim dekoltem. – May musi być z ciebie bardzo dumna!

– Mam taką nadzieję – życzliwie odpowiedziała właścicielka herbaciarni.

Callie szła za Towner, uśmiechając się przy powitaniach i ściskając dłonie, gdy ją przedstawiano. Towner opowiedziała jej o May Whitney, matronie w rodzinie, która prowadziła ośrodek na wyspie Yellow Dog. Ich wzajemne stosunki wyraźnie były napięte, częściowo przez ich przeszłość, a częściowo dlatego, że May zostawiła Towner większość zadań związanych z gromadzeniem funduszy. May słynęła ze swojej wprawy we władaniu strzelbą i z bycia niebywale nietowarzystką.

– Nie pamiętam, żeby w ciągu ostatnich kilku lat zeszła na stały ląd. Zarówno organizacja, jak i bycie gospodynią imprezy przypada więc mnie.

– To dużo pracy jak na jedną osobę.

– Nie robię wszystkiego sama. Mam grupę wolontariuszy, którzy mi pomagają. No i oczywiście jest Marta. Gdyby nie impreza dobroczynna i pieniądze zarabiane na dzierganych przez mieszkanki wyspy koronkach klockowych, schronisko dla kobiet zostałoby zamknięte już lata temu. Ale kiedy widzi się pracę, jaką tam wykonują... Zdecydowanie warto się zaangażować. Wszelkie skargi, jakie mam na tę galę, robią się absurdalnie, wręcz samolubne.

– Jest tu dziś chyba ze dwieście osób – powiedziała Callie, rozglądając się, by sprawdzić, czy odpowiednio się ubrała.

Kupiła na tę okazję prostą, czarną, obcisłą sukienkę z cienkimi ramiączkami, która podobała się Towner, ale dziewczyna wciąż była niepewna swojego wyglądu. Niektórzy ludzie prezentowali się tak, jakby przyszli prosto z pracy, ale większość starszych kobiet była ubrana bardziej wystawnie, jakby przywdziały na tę okazję biżuterię uzbieraną przez całe życie – a przynajmniej kilka małżeństw. Sala pobłyskiwała diamentami, światłem załamywanym przez kryształowe żyrandole i płomieniami świec rozstawionych na każdym stole.

Mimo że wyglądała ładnie, Callie czuła się w tym tłumie dość niezręcznie. Większość ludzi rzucało jej przelotne spojrzenia, po czym wracało do swoich rozmów. Zauważyła jednak, że kilka kobiet dziwnie jej się przygląda. Czy ktoś ją

rozpoznał? Sporo obecnych tu osób było zdecydowanie w odpowiednim wieku, aby pamiętać Olivie.

Dziewczyna poczuła ulgę, kiedy mistrz ceremonii poprosił gości o zajęcie miejsc. Towner popchnęła Callie do stolika blisko sceny. Kiedy podeszły, przystojny, młody mężczyzna w ciemnym garniturze, towarzyszący dystyngowanej kobiecie w średnim wieku, grzecznie wstał. Ich spojrzenia się spotkały, a serce Callie przyspieszyło. Ta impreza dobroczynna właśnie zrobiła się ciekawsza – pomyślała dziewczyna.

– Emily, Paul, bardzo nam miło, że spędzimy ten wieczór w waszym towarzystwie. Przedstawiam moją przyjaciółkę Callie O’Neill. Callie, to Emily Whiting i jej syn, Paul. Emily i jej mąż Finn prowadzą Fundację Whitingów. Wykonują doskonałą pracę charytatywną w Nowej Anglii. Emily jest też największym darczyńcą ośrodka. Nie przegapiła żadnej dobroczynnej kolacji.

– Bardzo miło cię poznać, Callie. – Emily wyciągnęła rękę. Jej sukienka była dużo bardziej subtelna niż inne, które Callie już widziała, ale też o wiele bardziej elegancka – mleczny kaszmir i idealnie harmonizujący z tkaniną krótki żakiet. Włosy kobiety sięgające do ramion miały kolor ciemnego brązu poprzetykanego kilkoma siwymi pasmami na skroniach. Callie zauważyła szmaragdowy pierścionek na jej prawej dłoni, na lewej zaś prostą platynową obrączkę z pojedynczym diamentem.

Callie uściśnęła dłoń Emily, po czym zwróciła się do Paula. Coś w jego piaskowych włosach i zdumiewających, niebieskich źrenicach sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, czy gdzieś go wcześniej nie widziała.

Najpierw odsunął krzesło Towner, a następnie Callie. Usiadła, nadal z ciekawością mu się przyglądając. Miał niesamowite oczy. Zawsze zwracała uwagę na oczy. Okna duszy. Rozbawiło ją, że pomyślała o tym wyświechtanym banale.

– Callie to muzykoterapeutka, o której tyle ci opowiadałam – powiedziała Towner do Emily.

– Ach! Ta, która wybudziła Rose Whelan.

Callie wyczuła w jej głosie nutę sceptycyzmu.

Whitney wtrąciła się, by wyjaśnić.

– Wspominałam Emily o misie dźwiękowej i muzykoterapii. I o spektakularnym efekcie, jaki osiągnęłaś w przypadku Rose.

– Znasz Rose? – Callie zapytała Emily.

– Nie, nigdy nie miałam przyjemności. – Odwróciła się od dziewczyny i skupiła na Towner. – A gdzie jest dziś Rafferty?

– Oddał swój bilet Callie.

– Jaki wspaniałomyślny.

– Zrobił to raczej dla siebie – odparła Towner ze śmiechem. – Wiesz, że

nienawidzi tego typu imprez. Świetnie wyglądasz. Rozumiem, że badania kliniczne przynoszą efekty.

– To wszystko zasługa Chanel i La Mer, a nie chemioterapii. Finn raczej też nie przyjedzie – powiedziała Emily. – Przekazuje ubolewania. I książeczkę czekową fundacji. Zresztą mam przystojniejsze towarzystwo, nie sądzisz?

Chemioterapia.

Zastanawiała się, z jakim typem raka walczy Emily. Nie wyglądała na wyczerpaną, jak często bywało z pacjentami przechodzącymi chemię, których leczyła Callie. Po tym, jak Emily zerknęła na syna, Callie od razu wiedziała, że jest jej oczkiem w głowie.

Idealny syn – pomyślała. – Pociecha każdej kobiety, która próbowała uformować swojego męża i poniosła klęskę... Natychmiast zganiła się za stereotypowe myślenie. Nie miała pojęcia ani kim jest Finn Whiting, ani jaka relacja łączyła go z żoną.

Callie nieuważnie przysłuchiwała się ich rozmowie. Było jasne, że Emily woli raczej rozmawiać z Towner, co jej nie przeszkadzało, a nawet pasowało. Dziewczyna nie lubiła gadek-szmatek, zwłaszcza jeśli musiała się przy nich wysilać. W zamian rzucała ukradkowe spojrzenia Paulowi, który z łatwością zagadywał dwie starsze kobiety w typie kuguarów po drugiej stronie stolika. Nawet ze swojego miejsca czuła zbyt mocny zapach piżmowych perfum.

Skąd ja go znam?

Czując na sobie jej spojrzenie, Paul odwrócił się.

– Gapisz się na mnie.

– Wcale nie. – Callie roześmiała się, równie zawstydzona, co rozbawiona tym, że została przyłapana.

– Poplamilem koszulę winem, czy coś? – Spojrzał na siebie, ale po chwili, niczego nie widząc, strzelił jej uśmiech, czekając, aż się wytłumaczy.

– Skądś cię znam – mruknęła Callie.

– To chyba powinna być moja kwestia.

– Niezły z ciebie podrywacz, panie Whiting. – Odwzajemniła uśmiech. – Poważnie, czy my się skądś znamy?

– Nie sądzę. – Patrzył na nią z rozbawieniem.

Pokręciła głową. Nie miała pamięci do nazwisk, ale z twarzami było inaczej. Gdzieś go widziała. Zdawało się jej?

– Gdybym poznał cię wcześniej, na pewno bym pamiętał. – Paul nie odrywał od niej oczu. – Od stycznia mieszkałem w Materze. Więc o ile nie poznaliśmy się wcześniej albo ostatnio odwiedzałaś...

– Włochy – weszła mu w słowo Callie.

– Tak! – odparł zaskoczony. – Znasz Materę?

– Nigdy o niej nie słyszałam.

– Okej – skwitował, przeciągając każdą sylabę.

Zastanawiała się, czy mu nie powiedzieć, że zawsze chciała pojechać do Włoch, ale to by było kłamstwo. Prawdy też mu nie zdradziła – że często wie, co powiedzą ludzie, zanim się odezwą. Tak samo, jak zdarzało się jej wiedzieć, co się wydarzy, zanim to się naprawdę stało.

– Czerwone czy białe? – Kelner chciał nalać Callie wina.

– Proszę jej nalać czerwonego – odpowiedział zamiast niej Paul.

Najwyraźniej on nie miał podobnego talentu.

– Poproszę białe – sprostowała Callie.

– Zaufaj mi, czerwone jest dużo lepsze.

– Czerwone jest nieco zbyt intensywne jak na mój gust.

Paul od razu pojął aluzję. Uśmiechając się szeroko, uniósł w górę kieliszek jak do toastu.

– Jak chcesz.

Upiła łyk i od razu się skrzywiła.

– A nie mówiłem? – zaśmiał się Paul.

– Co mnie ominęło? – Marta przysiadła na wolnym krześle koło Emily.

Wyglądała na starszą od niej, choć nieznacznie. W przeciwieństwie do wielu obecnych kobiet nie miała na sobie żadnej biżuterii, nawet ślubnej obrączki.

Paul zaczął podnosić się z krzesła, ale Marta gestem kazała mu siedzieć.

– Nic a nic – powiedziała Towner.

W herbaciarni Towner przedstawiła je sobie jedynie imionami. Teraz, gdy Callie spojrzała na program wieczoru, przeczytała nazwisko Marty.

– Hathorne – przesyłabizowała Callie. – Jesteś spokrewniona z Nathanielem[7] ?

– On nazywał się „Hawthorne” przez „w” – odparła Marta po chwili niezręcznego milczenia. – Ale owszem. To inna gałąź tego samego drzewa genealogicznego. Które, niestety, obejmuje także sędziego tymczasowego sądu, skazującego czarownicę na śmierć przez powieszenie. To zażenowanie tym faktem sprawiło, że młody Nathaniel zmienił pisownię swojego nazwiska.

Callie nie spodziewała się tak długiego wyjaśnienia. Odniosła też wrażenie, że ta przemowa była przetrenowana. Pewnie często zadawano Marcie to pytanie.

Pani Hathorne dała znak kelnerowi i pokazała na swój kieliszek, nie spuszczając wzroku z Callie.

– Różnica pomiędzy częścią jego rodziny a moją – ciągnęła, tym razem bardziej swobodnie – jest taka, że my jesteśmy silniejsi i bardziej odważni. Ale też my, którzy ośmieliliśmy się zachować oryginalną pisownię, nie dostrzegliśmybyśmy komercyjnego potencjału historii Hester Prynne. Nie widzielibyśmy tu wielkiej tragedii. Każdy z nas nosiłby tę szkarłatną literę jak order za odwagę.

Paul zakrztusił się winem, a matka rzuciła mu ostre spojrzenie.

Zapadła długa cisza.

Callie zdała sobie sprawę, że poza aluzjami literackimi Marta puściła jakiś żart dla wtajemniczonych, który ona przegapiła. Nie było to dla niej czymś niespotykanym, biorąc pod uwagę, w jaki sposób dorastała. Poczła więc ulgę, kiedy pojawił się kelner, by przyjąć ich zamówienia.

Jak można się było spodziewać, do wyboru miały pieczoną wołowinę, łososia albo kurczaka, ale sałatę podawano na końcu, po europejsku. Rozmowa przy posiłku okazała się przewidywalną, niezobowiązującą wymianą uprzejmości, wyuczoną przez lata lekcji etykiety i kotylionów. Callie czuła się zagubiona.

Na szczęście prywatne żarciki wkrótce ustały. Paul zadał zwyczajowe pytanie.

– Gdzie dorastałaś?

– Najpierw w Nowym Orleanie – powiedziała Callie. – Potem w Northampton. – Nie wspomniała o Salem.

– To musiała być dla ciebie ogromna zmiana kulturowa.

– Byłam bardzo mała, kiedy się przeprowadzałyśmy. Nie pamiętam zbyt wiele z Luizjany.

Kelner postawił przed nimi talerze z deserami – połączenie musu czekoladowego i magdalenek. Paul gestem odmówił swojej porcji.

– W zamian poproszę brandy.

Kelner zrobił minę, jakby chciał zaprotestować, ale pochwycił wzrok Marty. Skinął głową.

– Oczywiście, proszę pana – odpowiedział.

– Napijesz się czegoś? – Paul zapytał Callie, dotykając dłonią jej przedramienia. – Brandy lub czegoś innego?

– Dziękuję.

Dłoń Paula pozostała na jej przedramieniu chwilę dłużej, niż to było konieczne. A potem zaczął zadawać kolejne pytania. Gdzie chodziła do szkoły, jak to się stało, że została muzykoterapeutą... I co to w ogóle, do diabła, była muzykoterapia!

Próbowała odbijać piłeczkę z każdym pytaniem, ale on był w tym dużo lepszy. W pewnym momencie zauważyła, jak dwie wyperfumowane kobiety zerkają w ich stronę, po czym zaczynają ze sobą zawzięcie dyskutować. Co o niej mówiły? Poczła ulgę, kiedy rozpoczęła się aukcja.

Pierwszym przedmiotem wystawionym na licytację był obraz przedstawiający szopę rybacką nad brzegiem, podarowany przez Rackera Sherve'a, podziwianego miejscowego artystę.

– Piękny – musiała przyznać Callie. Doceniła grę światła i wiatru na wodzie w scenerii wyglądającej jak dawny port w Salem w świetle księżyca.

– Cień i światło – zgodził się Paul.

– Dwieście! Czy mam dwieście pięćdziesiąt? – burknął licytator. – Dwieście pięćdziesiąt! Czy dostanę trzysta?

Licytacja zakończyła się po przekroczeniu tysiąca dolarów. Kolejnym przedmiotem okazał się mały obraz H.L. Barnes'a – odtworzona z detalami prezentacja jednego ze statków kupieckich, które wypływały z Salem na początku dziewiętnastego wieku. To płótno sprzedano za jeszcze więcej.

Trzeci obraz był jeszcze mniejszy. Callie zauważyła go wcześniej, został bowiem wyeksponowany przy wejściu. Marta sprytnie ustawiła przedmioty licytacji przy drzwiach prowadzących na salę, żeby wszyscy musieli koło nich przejść, udając się do stolików. Callie przyjrzała się wtedy wszystkim trzem dziełom. Choć pierwsze dwa były piękne, na widok ostatniego oniemiała z zachwytu, choć nie była pewna, dlaczego. Był to stary olejny portret pięknej kobiety z sową na ramieniu.

– Obraz nieznanego artysty pochodzi z kolekcji Ann Chase. Zatytułowany jest *Minerwa. Bogini mądrości, uzdrawiania i muzyki* – powiedział licytator. – Proszę zauważyć sowę na ramieniu. Jak wiemy, sowa jest symbolem mądrości.

Licytator podniósł portret, by wszyscy mogli go zobaczyć. Ale był dużo mniejszy niż pozostałe dwa obrazy i trudno było go zobaczyć nawet z frontowych stolików. W rezultacie licytacja na początku szła dość opornie.

– Czy mam sto dolarów? Drodzy państwo, sto dolarów to prawie darmo za taki piękny obraz.

W końcu ktoś podniósł swój lizak.

Licytator kontynuował, uzyskując sto dziewięćdziesiąt dolarów, zanim aukcja się zatrzymała.

– Przecież to śmieszne – mruknął Paul. Podniósł swój lizak i powiedział głośno: – Pięćset dolarów.

No proszę – pomyślała Callie. Obraz był piękny, ale pięćset dolarów ot tak, bez mrugnięcia okiem?

– Sprzedane. – Licytator szybko podał obraz swojej asystentce, pokazując w stronę Paula, po czym przeszedł do następnej rzeczy.

Dalej pod młotek poszło kilka wartościowych przedmiotów: szybko znalazł nabywcę weekend w domku letnim w New Hampshire. Weekend dla smakoszy w Nowym Jorku wraz ze śniadaniem w pobliżu Tiffany'ego wywołał gorącą licytacyjną wojnę, ale dopiero degustacja win połączona z posiłkiem dla dziesięciu osób w miejscowej restauracji, organizowana przez rodzinę Whitingów, doprowadziła ludzi na skraj szaleństwa.

Emily Whiting nie licytowała żadnych przedmiotów. Callie zrobiła w głowie pobieżny rachunek, a kiedy aukcja się zakończyła, oszacowała, że tego wieczoru zebrano na ośrodek pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Do stolika podeszła asystentka, uśmiechając się szeroko na widok Paula.

Podala mu podkladke z dokumentami do podpisania oraz rachunek z karty kredytowej.

– Przytrzymam ci twoja kobiete przy stoliku z tylu – powiedziala do niego zalotnie. – Mozesz ja odebrac, gdy bedziesz wychodzic.

– Przyniesz ja tutaj – odparl. – Jest za ladna, zeby siedziec tam z tylu sama.

Dziewczyna zarumienila sie i pobiegla po portret.

Callie pokręcila glowa.

– Co?

– „Jest za ladna, zeby siedziec tam z tylu sama”?

– Przeciez jest!

– To najmarniejszy podryw, jaki slyszalam w zyciu.

– Nie taki marny jak „skads cie znam”.

Callie sie zasmiala.

Gdy aukcja sie skonczyła, publiczność zaczęła bic brawo. Marta wstala z krzesla i poszla na podium.

– W tym roku nie wyglosisz przemowienia? – Emily usmiechnela sie do Towner.

– Bardzo zabawne – odparla zapytana. A odczytujac ciekawski wzrok Callie, dodala: – Publiczne przemowienia nie sa moja dobra stroną.

– Wlasciwie wszystko publiczne – zazartowala Emily. – To u was rodzinne...

– To znaczy? – zapytala Callie. Meczylo ja to, ze nie zostala wtajemniczona w zart.

Emily sie usmiechnela.

– Rodzina Towner zwykle unika publicznych zgromadzen. May Whitney nie opuścila wyspy od ilu lat? Piciu?

– Prawie – odpowiedziala wlascicielka herbaciarni.

Tymczasem Marta powiedziala kilka slow na przywitanie, dziekujac gościom za przybycie w tak deszczowa noc i za ich nieslabnace wsparcie. Nastepnie obnizyla mikrofon i podeszla do niego blizej, sciszajac glos, az wszystkie rozmowy i szmery przygasly do okazjonalnego szczeknięcia filiżanki o spodek.

– Powiem krótko, ale treściwie. Rok dwa tysiące cztertnasty byl finansowo ciezki dla schroniska, jak wszyscy wiecie. Na wyspie Yellow Dog kazdego roku schronienie znajduje srednio piodziesiat kobiet. W tym roku jednak przyrost podopiecznych wynosil sto procent.

Goście wydali z siebie glosny jek.

– Program adaptacyjny prowadzony przez Towner Whitney w Herbaciarni Koronkowych Wrózb u Ewy utrzymuje sie sam i jest w stanie dostarczyc schronisku pewnych srodkow. Potrzebujemy jednak wiecej pomocy. Ciezkie czasy

potrafią obudzić w ludziach to, co najgorsze. Problem przemocy w rodzinie wzmaga się wraz ze wzrostem bezrobocia. Przemoc narasta. – Zamilkła, wzięła oddech, po czym uśmiechnęła się do publiczności. – Dla większości z nas w ciągu ostatnich kilku lat sytuacja się poprawiła... Dla *większości* z nas – podkreśliła. – Ale nie dla wszystkich. Niestety, rośnie liczba osób, których położenie finansowe nie poprawiło się, podobnie jak życie. Musimy o tym pamiętać. Wiecie, jaką pracę wykonujemy i czego od was oczekujemy. Na stołach znajdziecie blankiety wpłat. Dziękujemy.

– Krótko i celnie – pogratulowała Emily, kiedy Marta usiadła z powrotem przy stoliku. – Dobrze powiedziane.

Callie zobaczyła blankiet i poczuła się zawstydzona, że nie przyniosła ze sobą książeczki czekowej.

– Jutro zrobię przelew – szepnęła do Towner.

– Nie bądź niemądra. Nie po to cię tu przyprowadziłam. – Towner podniosła kieliszek ku Marcie. – Za twoją ogromną pomoc w tym roku – wzniosła toast. – Nie przetrwalibyśmy bez twojego talentu do organizacji funduszy. Zawsze będziemy ci wdzięczni.

Powoli wszyscy wzniesli kieliszki i wszyscy się napili z wyjątkiem jej samej.

– Nie pijesz – zapytała Callie.

– Osoba, za którą wznoszony jest toast, nie powinna pić – odparła Marta.

Callie zamilkła.

Emily zauważyła jej zażenowanie i nachyliła się do niej, jak gdyby mówiła coś w sekrecie.

– Ani nie powinna pić, ani stukać się kieliszkami – wyjaśniła Callie. – Nie wolno też wznosić toastów wodą. Nauczyliśmy się od Marty tyłu zasad! Można by z tego napisać poradnik etykiety, z którego korzystałaby nawet królowa brytyjska.

Powiedziała to z uśmiechem, ale Callie wyczuła ironię.

Marta pojęła aluzję i nie powiedziała już nic więcej, w zamian zwracając uwagę na Callie. Przyglądała się jej wnikliwie.

Dziewczyna niezręcznie wierzyla się na krzesło, próbując odwrócić wzrok, ale cały czas czuła na sobie spojrzenie pani Hathorne.

– Zapomniałam ci powiedzieć, Callie... Whitingowie i Marta są najbliższymi sąsiadami – oznajmiła Towner, by wypełnić czymś niezręczne milczenie. – Historie ich rodzin sięgają wieki wstecz, aż do procesów czarownic w Salem.

– Marta wróciła „na prowincję” kilka lat temu – dodała Emily, pokazując poprzez zaznaczenie w powietrzu cudzysłowu, że jest poirytowana niegrzeczną uwagą wobec Callie. – Jest zbyt obyta jak na nas. Odnoszę wrażenie, że zanudzamy ją na śmierć.

– Ani trochę. – Marta znów była opanowana i słodko uśmiechała się do

Emily. – Szczerze mówiąc, hrabstwo Essex wydaje mi się zarówno ekscytujące, jak dekadentkie.

Zanim Emily zdążyła udzielić trafnej riposty, Towner spróbowała zmienić tok rozmowy.

– Callie niedawno się tu przeprowadziła – wytłumaczyła Emily i Paulowi. – Choć jeszcze nie wiadomo, czy zostanie tutaj na dłużej.

– Ale zatrzymam się tu na jakiś czas – dorzuciła Callie.

– Matka Marty zostawiła jej piękny dom z pierwszego okresu[8] – powiedziała Towner. – Marto, powinnaś go pokazać Callie.

– Z przyjemnością.

Towner mówiła dalej, zwracając się tym razem do Callie:

– Naprawdę powinnaś obejrzeć to miejsce. Emily i Marta zawsze organizują dla turystów zwiedzanie domów w okresie Bożego Narodzenia, aby wesprzeć lokalne organizacje charytatywne. Łącznie w obu posiadłościach znajdują się budynki mieszkalne i gospodarcze z pięciu różnych okresów architektonicznych, choć jedynie saltbox[9] Marty z tysiąc sześćset trzydziestego roku i Pride’s Heart są otwarte dla zwiedzających.

– Co to jest Pride’s Heart?

– To posiadłość Whitingów w samym „sercu” miejscowości Pride’s Crossing – powiedziała Marta, kreśląc w powietrzu własne cudzysłowy.

– To naprawdę zachwycające miejsce! Teren przynależy do miasteczka Beverly, ale kiedyś był częścią Salem. W Boże Narodzenie wygląda bardzo malowniczo. Co roku jemy w Pride’s Heart obiad w Święto Dziękczynienia – wyjaśniła Towner.

– Powinnaś się do nas w tym roku przyłączyć – odparł Paul. – Nie sądzisz, mamo, że Callie powinna spędzić z nami Święto Dziękczynienia? – Nie patrzył na Emily, tylko wpatrywał się w Callie i uśmiechał szeroko. Wyraźnie z nią igrał.

– Naprawdę powinnaś – szybko włączyła się Marta. – Uczty Emily obrosły w tych okolicach legendą.

Callie dostrzegła, jak Towner i Emily wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

– Będzie nam niezmiernie miło – powiedziała ta ostatnia.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale nawet jeszcze nie wiem, czy zostanę tu tak długo...

– Pride’s Heart bardzo ci się spodoba.

– Przyjedź na weekend – rzucił Paul. – Towner i Rafferty zawsze tak robią.

– A nie jedziecie wtedy do May? – Callie zwróciła się do Towner.

– Najpierw zajeżdżamy na kilka godzin na wyspę, ale zawsze zdążamy na obiad – odparła przyjaciółka zachęcającym tonem.

– Doceniam zaproszenie, nie jestem jednak przekonana... – zaczęła Callie.

– Och, musisz się u nas pojawić! – wtrąciła się Marta. – Sama po ciebie przyjadę.

– Ojej – odparła Callie, nie do końca pewna, do kogo powinna się zwrócić, ale wybrała Emily: – Czy mogę ci dać znać za dzień lub dwa?

Kiedy tylko wypowiedziała to zdanie, zdała sobie sprawę, że nie wyraziła się wystarczająco grzecznie. Rose poprawiała ją niemal codziennie, gdy Callie prosiła ją w ten sposób o pozwolenie.

Zawsze możesz, pytanie brzmi, czy mogłabyś.

Callie od razu się poprawiła.

– To znaczy... mogłabym?

– Oczywiście – odparła Emily. – Nie spiesz się. I nie daj mojemu synowi namówić się na coś, na co nie masz ochoty.

– Bardzo bym chciała – odpowiedziała Callie. – Naprawdę. Muszę tylko przejrzeć mój harmonogram. – Wiedziała, że brzmi to niedorzecznie i wręcz niegrzecznie.

Co to za osoba, że nie wie, czy ma plany na Święto Dziękczynienia, które wypada za niespełna tydzień?

Marta przeprosiła wszystkich i poszła porozmawiać z kobietą kilka stolików dalej.

– Daj nam znać. – Emily zdobyła się na uśmiech, po czym odwróciła się z powrotem do syna. – Chyba czas wracać do domu.

Paul nie zaprotestował i wstał, aby odsunąć krzesło matce.

– Miło było cię poznać, Callie – powiedział, jak jej się zdawało, szczerze.

Uprzejmie się pożegnali.

– Było mi bardzo miło cię poznać, Callie – powtórzyła jeszcze na koniec Emily, i jej głos brzmiał naprawdę przekonująco. – Mam nadzieję, że znów się spotkamy.

Kiedy Paul poszedł pospiesznie po płaszcz matki, Emily podała Towner kopertę. Ta otworzyła ją i wydała z siebie cichy jęk. Callie dostrzegła na czeku kwotę: trzydzieści tysięcy dolarów.

Towner była wyraźnie oszołomiona.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Nie ma za co.

Paul pomógł matce założyć płaszcz i podał jej ramię.

– Mam nadzieję, że zastanowisz się nad dołączeniem do nas, Callie.

Emily wzięła syna pod rękę i powoli ruszyli w stronę wyjścia.

– Jezu, co to w ogóle było!? – Callie zapytała Towner, kiedy tylko zyskała pewność, że nikt ich nie podsłucha.

– A jak myślisz? – odparła Towner ze śmiechem. – Po tym zaproszeniu i po tym, co o nim wiem, powiedziałabym, że Paul Whiting się tobą interesuje.

– To akurat szybko sama dostrzegłam – zaśmiała się Callie. – Ale o co chodziło z... całą resztą?

– Resztą? – Towner zgrywała nieświadomą.

– Co się dzieje między Martą a Emily? Cudzysłowy, podteksty i insynuacje. Czulałam się jak na nowej sztuce Edwarda Albee[10].

– Ach, o to ci chodzi. Cóż, to długa historia. – Towner znów się zaśmiała. – Przyjdź w Święto Dziękczynienia, a na pewno dowiesz się więcej.

[6] Cytat pochodzi z Biblii Jakuba Wujka.

[7] Nathaniel Hawthorne (1804–1864), amerykański pisarz, autor powieści *Szkarłatna litera*, której główna bohaterka, purytanka Hester Prynne, zostaje ukarana za cudzołóstwo poprzez noszenie na piersi szkarłatnej litery „A”, co miało być przestrożą dla społeczeństwa.

[8] Pierwszy okres amerykańskiej architektury kolonialnej obejmuje domy wybudowane w latach 1626–1725, najstarsze w kraju.

[9] Domy typu saltbox (z ang. *solnica*) – rodzaj tradycyjnych domów charakterystycznych dla Nowej Anglii z długim spadzistym dachem z tyłu. Domy te od frontu były zwykle jednopiętrowe, a z tyłu parterowe. Swoją nazwę zawdzięczają nietypowemu kształtowi kojarzącemu się z drewnianymi pojemnikami na sól z pokrywką.

[10] Edward Albee – amerykański dramaturg, autor sztuki pt. *Kto się boi Virginii Woolf?*.

ROZDZIAŁ 11

*27 listopada 2014, Święto Dziękczynienia
Salem*

*Czyny czarownic są takiej natury, że nie da się ich popełnić bez pomocy
diabła.*

Malleus Maleficarum, 1487

– Jaką masz stawkę od pacjenta? – Towner zapytała Callie. – Chcę zapłacić tyle, ile zwykle bierzesz.

– Nie, ja stawiam. W końcu zaprosili mnie na weekend. – Terapeutka zerknęła na kartę podarunkową, którą Towner przygotowała dla Emily jako gospodyni wieczoru. Upoważniała ją do jednej sesji muzykoterapeutycznej z Callie O'Neill. Dziewczyna wciąż miała wątpliwości, czy powinna przyjąć spontaniczne zaproszenie na Święto Dziękczynienia, choć już następnego dnia otrzymała zaproszenie na piśmie. Kiedy Towner poprosiła ją o przeprowadzenie sesji terapeutycznej dla Emily, postanowiła zapytać o nowotwór, z którym zmaga się jej

przyszła pacjentka.

– Jest źle?

– Bardzo. Metastatyczny rak piersi. Stadium czwarte.

– Cholera.

– Wspomniała, że stosowali wobec niej muzykoterapię po pierwszej operacji, więc wie, co to jest. Emily jest dość tradycyjna. Nie szalałabym z misami dźwiękowymi.

– Nie ma problemu – oświadczyła Callie.

Znała właściwie dwa różne sposoby leczenia muzyką. Tradycyjna muzykoterapia obejmowała muzykę, pacjenta i terapeutę. Leczenie dźwiękiem poprzez misy natomiast działało bezpośrednio na pacjenta, usuwając pośrednika między nimi. I nawet jeśli Emily Whiting była na to otwarta, zestaw mis Callie nadal znajdował się w Northampton. Tu dysponowała jedynie misą sałatkową Towner. – Ale nie wezmę od ciebie pieniędzy.

– Do zobaczenia w Pride’s Heart! – Towner i tak zostawiła czek na stole. – I przekaz ode mnie Rose życzenia wesołego Święta Dziękczynienia, kiedy się z nią później zobaczysz.

* * *

Rose była w pełni ubrana i siedziała przy stoliku przy oknie, zajęta szkicowaniem drzewa, które rosło na wzgórzu po drugiej stronie parkingu.

Callie przypomniało się inne Dziękczynienie, spędzone w domu Rose na Daniels Street...

Callie siedziała przy stole z innymi, rysując indyka w kapeluszu pielgrzyma, co Rose wydało się dość zabawne, kiedy przerwało im walenie do drzwi.

Olivia przeprosiła wszystkich i wyszła porozmawiać na zewnątrz z umundurowanym policjantem czekającym na ganku. Inne kobiety obserwowały ją przez okno. Callie słyszała, jak jej matka i ten mężczyzna się kłócą. Rose jednak pozostała na swoim miejscu.

Kłótnia robiła się coraz gwałtowniejsza i w pewnym momencie Callie zaczęła płakać.

– Co się stało, moja słodka? – zapytała Rose.

– Czy on ją zabierze do więzienia?

– Nie. – Następnie, zwracając się do Susan i Cheryl, kobieta dodała: – Choć może więzienie wyszłoby im wszystkim na dobre.

To nieoczekiwane wspomnienie zaskoczyło Callie.

– Dlaczego tak marszczysz czoło? – zapytała Rose, przywracając ją do „tu i teraz”.

Callie potrzebowała chwilę, aby się otrząsnąć. Zmusiła się do uśmiechu.

– Bardzo ładne... – Pokazała na rysunek Rose, po czym spojrzała na wzgórze, gdzie stał pojedynczy dąb w zimowej postaci. Rose nie rysowała całego drzewa, a tworzyła raczej impresjonistyczną sugestię w świetle i cieniu, gdzie gałęzie i łodygi spletały się ze sobą, gdy przechodziły na kolejną kartkę. – Wygląda jak koronka – dodała.

Rose obejrzała się na Callie.

– Co jeszcze widzisz?

Dziewczyna utkwiała wzrok w szkicu. W negatywnych przestrzeniach pomiędzy gałęziami Rose umieściła wiele „ptaszków”.

– Co to takiego? – zapytała Callie.

– Ty mi powiedz. Co widzisz?

– Tylko jakieś znaczki.

– Nie ludzi?

– Ludzi? Nie. Gdzie widzisz ludzi?

Rose pokazała na miejsca, które zaznaczyła.

– Nie dostrzegasz tu ani jednej osoby?

– Nie.

– I dobrze – odparła Rose, po czym zrobiła znak, żeby Callie się nie odzywała, i oparła się o okno. – On dla nas śpiewa...

– Kto taki?

– Ten dąb. – Rose zmarszczyła twarz w skupieniu. – Posłuchaj.

Terapeutka nic nie słyszała przez zamknięte okno.

– Co śpiewa? – szepnęła. Przez ostatnie tygodnie odkryła, że zgadzanie się z co bardziej wybujałymi stwierdzeniami Rose zachęcało ją do mówienia. Kwestionowanie ich sprawiało, że chora zamykała się w sobie.

– Tę piosenkę na święto dziękczynienia – powiedziała Rose. – Znasz ją.

– „Zebraliśmy się prosić o błogosławieństwo Boże...” – Callie zaczęła śpiewać. – O tę chodzi?

– Właśnie! – Rose była podekscytowana.

– To jedyna piosenka na Święto Dziękczynienia, jaką znam. I nie usłyszałam jej od drzewa – wyznała.

– Wiem, głuptasku – powiedziała Rose filuternie, tak jak kiedyś. „Głuptasek” był jednym z pieśczętliwych przezwisk, jakie Rose nadała Callie. „Głuptasek, słodyczek, słodki skarb” – wszelkie urocze imiona wypowiedane były z czułością i zawsze łączyły się z głaskaniem po głowie i buziakiem w policzek.

– A skąd to wiesz?
– Bo śpiewasz w zupełnie innej tonacji. – Roześmiała się Rose. – I powinnaś była wiedzieć, że śpiewasz płasko.
– Wiesz, że to nieprawda.
Starsza kobieta uśmiechnęła się.
To Rose kiedyś powiedziała Callie, że ma słuch doskonały, co, jak potem przekonała się Callie, było prawdą. Słuch doskonały przekazywany był dziedzicznie. Musiała go dostać po ojcu-muzyku. Olivia nigdy nie potrafiła niczego zaśpiewać.
– Opowiedz mi więcej o drzewach – poprosiła Callie. – Wiem, że do ciebie mówią. Co jeszcze ci przekazują?
– Doktor Finch kazała ci o to zapytać?
– Nie. A ona też cię o to pyta?
– Od lat. – Rose z westchnieniem zamknęła swój dziennik.
– I co jej mówisz?
– Nic. Nie zrozumiałaby.
– Ale rozmawiałaś o drzewach z Towner.
– Towner to co innego. Ona jest jedną z nas.
– Jak to... jedną z nas? – Callie nachyliła się na krzesło.
– Przecież wiesz.
Dziewczyna pokręciła głową.
– Naprawdę nie wiem. – Ale czy ona wiedziała?
– Jestem dość pewna, że Towner mogłaby je usłyszeć, gdyby naprawdę słuchała.
– Drzew?
– Tylko dębów.
– Co one ci mówią, Rose?
– Wiele rzeczy.
– I najwyraźniej śpiewają lepiej niż ja. – Uśmiechnęła się Callie.
Po twarzy Rose przebiegł cień.
– Czasami.
– Towner twierdzi, że dokumentujesz wszystkie dęby w Salem. Podobno uważasz, że mogą cię doprowadzić do obecnej lokalizacji wisielczego drzewa i do zaginionych szczątków naszych przodków.
– Bo tak zrobią.
– Czy między dębami a banshee istnieje jakiś związek?
– Zawsze był związek.
– Jaki?
– To długa historia – westchnęła kobieta.
– Lubię twoje opowieści. – Callie przypomniała sobie, jak siedziała u stóp

Rose, chłonąc mity i bajki, których nie słyszała nigdy wcześniej ani nigdy później. Epickie historie, które Rose zdawała się wymyślać na poczekaniu.

– Musisz jechać na Święto Dziękczynienia – przypomniała Rose.

– Mam czas.

Starsza kobieta wydawała się niechętna, czego Callie nigdy wcześniej nie widziała. Ostatecznie wzięła głęboki wdech i zaczęła opowiadać:

– To dąb ją więził.

– Tę banshee?

Rose pokręciła głową.

– Wtedy jeszcze nie była banshee. Była boginią.

Callie potaknęła.

– Rozumiem.

– Ci, którzy schwytali boginię, uwięzili ją w drzewie, kradnąc jej moce oraz moce dębu i zmieniając naturę ich obu. Kiedy w końcu uciekła, doznała przemiany.

– Przemiany... – powtórzyła Callie. Rose użyła tego słowa w swoim pisemnym przyznaniu się do winy dla Rafferty'ego. Czy stąd pochodziło? – Co to znaczy?

– Więzienie zmieniło jej naturę, jak to zwykle bywa. Przemieniła się z bogini w banshee.

Callie zaczęła się zastanawiać nad uwięzieniem Rose. Po wyjściu ze szpitala psychiatrycznego już nigdy nie wróciła do siebie. Czy teraz mówiła o sobie? Czy nie wspomniała komendantowi, że to ona jest banshee?

– Ukryła się w wysokich gałęziach drzewa, posyłając swój żałobny lament na wiatr, by zwiastował śmierć. Kiedy skończyła ze Starym Światem, wyprawiła się do Nowego na maszcie powstałym z zakrwawionego pnia powalonego dębu i dotarła do Salem w tysiąc sześćset trzydziestym roku wraz z drugą falą purytanów. To była trudna wyprawa. Jedyne garstka pasażerów i załogi ją przetrwała. Ona przycupnęła na takielunku przekłętego statku i szeptała na mroźny wiatr zgubne przepowiednie, dodając do nich poczucie winy. Kiedy plony nie wzeszły, kiedy dzicy wyrznęli graniczne wioski, jej wiatr szeptał do uszu śpiących purytanów opowieści o diabłach. Szepty zmieniały się w zawrodoenie, a na koniec w wycie. Wraz z nadejściem śniegów wycie słychać było w Salem nad każdym domem, który nastawiał sąsiada przeciw sąsiadowi. A gdy ostatecznie się zemściła, to dąb zapłacił najwyższą cenę. Bo w Nowym Świecie nie palono kobiet skazanych za czary, tak jak w Starym, tylko wieszano je na gałęziach świętego dębu.

Callie zrobiła wielkie oczy. Rose mówiła tak płynnie, jakby znała na pamięć to połączenie poezji i bajek. To było niepokojące.

– Nie wierzysz mi – zorientowała się starsza kobieta.

– Po prostu... zaskoczyłaś mnie, nic więcej.

– Zadałaś pytanie, więc odpowiedziałam.

– Nigdy wcześniej nie słyszałam tej historii – tłumaczyła się dziewczyna, dosyć pewna, że Rose nigdy nie opowiadała jej czegoś podobnego.

– Wielu rzeczy nie słyszałaś. – Kobieta zmierzyła ją wzrokiem. – Nie podoba ci się.

Callie spróbowała powiedzieć coś neutralnego.

– Brzmi jak jedna z opowieści, którym byłaś bardzo przeciwna, kiedy byłam dzieckiem.

Rose spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– To znaczy?

– To znaczy, że tego typu przesady sprawiły, iż nasze przodkinie zostały uznane za wiedźmy i powieszono. Jesteś badaczką, Rose. Przecież wiesz o tym lepiej niż ja.

– Nie mówię teraz o wiedźmach. Tłumaczę banshee.

– A dlaczego ta banshee – ta zła istota – jest kobietą?

– To zmniejszona bogini. Uwięziona przez księdza, który uczynił ją małą, więząc ją i kradnąc jej moce.

– I ona jest diabłem?

– Nie, nie diabłem.

– Ale złem, tak? Złem zamkniętym w ciele kobiety.

– Tak, ale nie w żadnym ludzkim znaczeniu. Kiedyś była boginią. Więc, oczywiście, jest kobietą. Gdy pozbawiono ją wolności, przemieniła się w coś zupełnie innego.

– W banshee.

– Zgadza się – odparła Rose. – Popatrz na mnie, a ją dostrzeżesz.

– Jesteś banshee? – Callie nie kryła swojego niedowierzania.

– Rafferty ci powiedział... Wiesz, że nią jestem.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości, Rose.

Kobieta gwałtownie chwyciła Callie za rękę i mocno trzymała.

– Banshee nie jest kobietą w żadnym tradycyjnym rozumieniu. Reprezentuje zmianę. Przeistoczenie. – Rose wyakcentowała ostatnie słowo, patrząc dziewczynie prosto w oczy. Jeszcze mocniej uściśnęła dłoń Callie i nachyliła się w jej stronę. – Rozumiesz?

Callie pokręciła głową.

– Musisz to zrozumieć.

– Przykro mi – powiedziała Callie. – Naprawdę nie rozumiem. – Callie nigdy nie widziała, żeby oczy Rose były tak intensywne i skupione. – Staram się, ale po prostu tego nie pojmuję.

– Zrozumiesz... – Ta deklaracja Rose brzmiała po części jak ostrzeżenie, a po części jak prośba. – Idź – powiedziała, puszczając dłoń Callie i odwracając się. – Idź na ten swój głupi obiad. Nie chcę już więcej o tym rozmawiać.

I nagle, mrugając oczami i pokazując na Callie palcem, znów się odezwała, ale głosem zupełnie nieprzypominającym jej własnego.

– Bóg da twoją krew do picia!

Straszny głos odbił się od ścian.

Callie zadrżała. Tym razem była pewna, że już słyszała tę frazę. Liczyła na to, że Rose doda coś jeszcze, coś, co ją naprowadzi, ale starsza kobieta już się od niej oddalała, zamykała w sobie. Jej oczy zrobiły się znów tak puste, jak gdy Callie pojawiła się w szpitalu po raz pierwszy.

* * *

Callie przyjęła propozycję Marty, by ta zawiozła ją do Whitingów. Ale nie spodziewała się, że tak szybko wyjdzie od Rose, więc, siedząc w swoim samochodzie przed herbaciarnią, zadzwoniła do Zee.

– Chyba spowodowałam u niej regres – przyznała, opowiadając psychiatrze, co powiedziała Rose. – Żałuję, że tak na nią naciskałam co do banshee. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Nie zrobiłaś niczego złego – zapewniła ją Zee. – Miewa takie wybuchy. Sama widziałaś... W dzień, kiedy się obudziła.

– Tamtego dnia mówiła coś innego.

– Ma swoje powiedzonka. „Szyfry”. „Igranie z piorunem”. „Krew do picia”. Już wcześniej używała podobnego wyrażenia. Kiedy ją o nie zapytałam, odparła, że to słowa, które usłyszała od banshee przed morderstwami.

Przez chwilę Callie wydało się, że nie może oddychać. Boże, czy to tam usłyszała te słowa? W noc morderstw?

Zee nadal coś mówiła, ale Callie wyłączyła się z rozmowy.

– Jesteś tam jeszcze? – zapytała Finch.

– Tak. Przepraszam. Chyba straciłam zasięg – skłamała.

– Słuchaj, nie martwiłabym się tym zbytnio. Zajrzę dziś wieczorem do szpitala i z nią posiedzę, a ty miło spędź Święto Dziękczynienia.

Callie jeszcze długo siedziała w samochodzie po tym, jak się rozłączyła. W głowie miała gonitwę myśli.

– Przestań – powiedziała do siebie na głos.

Marta miała przyjechać lada chwila. Nie mogła być w rozsypce, gdy ta się pojawi. Czemu w ogóle przyjęła to zaproszenie?

– Dasz sobie radę – zapewniła ją Towner, kiedy jeszcze przed wyjściem z domu wyraziła swoje wątpliwości. – Pride’s Crossing może i jest dosłownie za

rogiem, zaledwie jedno miasteczko dalej, ale zobaczysz, że to zupełnie inny świat.

Callie zrobiła kilka głębokich wdechów, aby odzyskać równowagę. Już lepiej.

Włączyła radio. Leciąca w nim dziękczynna piosenka, którą zaśpiewała Rose.

* * *

Volvo Marty było jeszcze starsze niż to, którym jeździła Callie. Kobieta zatrzymała się na podjeździe i sięgnęła ręką, by otworzyć drzwi po stronie pasażera. Callie położyła swoją torbę na tylnym siedzeniu samochodu.

Marta przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, jakby ją oceniała.

– Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia – powiedziała w końcu.

Callie od razu zauważyła, że Marta jest bardziej odświętnie ubrana niż podczas gali dobroczynnej. Dekolt jej sukienki sięgał głęboko. Skromny złoty krzyżyk dyndający nad jej biustem miał celowo skupiać uwagę. Jej czarne włosy, w wieczór gali ciasno spięte z tyłu głowy, teraz były rozpuszczone i sięgały ramion. Usta miała pociągnięte czerwoną szminką, a powieki pokryte siwym cieniem.

Callie nie chciała założyć swojej odświętnej sukienki do szpitala, więc – idąc za wzorem Towner – spakowała ją do torby z zamiarem przebrania się na miejscu.

– Dzięki, że po mnie przyjechałaś.

– Robię to z przyjemnością.

Obie zamilkły.

Dzień był piękny. Wzdłuż płynącej przez Salem rzeki North zaczął wyłaniać się pejzaż i kiedy dojechały już do mostu Beverly, woda otaczała je ze wszystkich stron. Zatoki łączyły się ze sobą i ciągnęły w głąb lądu, usiane pustymi beczkami cumowniczymi. Po prawej stronie mostu widać było niemal cały region Salem Sound: od Marblehead na północ w stronę Gloucester i Rockport, po wysepki graniczne wzdłuż horyzontu. Wybrzeże znaczyły latarnie morskie. Nawet przy zamkniętych szybach Callie czuła w powietrzu sól.

Za mostem Marta skręciła w prawo i skierowała się wzdłuż linii brzegowej na północ. Popołudniowe słońce wisiało nisko na horyzoncie, gdy jechały, mijając stateczne stare dęby i klony stojące na straży rezydencji z minionej epoki. Nagie drzewa rzucały na wodę długie drgające cienie.

– Czy będzie tam starszy pan Whiting? – zapytała Callie, zadowolona, że

jakiś temat rozmowy przyszedł jej do głowy.

– Finn? Oczywiście. Będzie cała rodzina. I mnóstwo gości. To wielka, tradycyjna, dziękczynna uczta: cuda-potrawy, a nie, jak to się zwykle mówi, cuda-wianki. Choć w tym przypadku za cuda należałoby uznać cudaków przy stole.

– Serio? – Callie to rozbawiło.

– Jest kilka indywiduów... z tych uprzywilejowanych.

Dziewczyna natychmiast pożałowała, że przyjęła to zaproszenie. Nie była w nastroju na imprezę, zwłaszcza po tym, co stało się w szpitalu. I nie mogła znieść myśli o ludziach, którzy zapewne byli gośćmi Withingów. Zmusiła się, by się nad tym nie zastanawiać. Nie teraz.

– To bardzo mili ludzie – zapewniła Marta, odgadując jej myśli. – Emily czasem potrafi być snobką, ale przyzwyczaisz się do niej.

– Whiting gada tylko z Bogiem, tak? – Callie pozwoliła sobie na żart, przywołując z pamięci wiersz, jakiego uczyła ją Rose. Zadeklamowała na głos:

*Oto kochany Boston,
Co fasoli i dorsza jest domem,
Tu Lowell pogada z Cabotem,
Lecz Cabot już tylko z Bogiem[11].*

– Chodziło o Cabota, nie Whitinga – odparła Marta poirytowanym tonem. Po chwili, gdy już odzyskała panowanie nad sobą, pokazała na jedną ze stron świata: – Ale Henry Cabot Lodge mieszkał tam, tuż za tamtymi drzewami.

Callie wyteńczyła wzrok, wpatrując się w kierunku wskazanym przez Martę. Mimo że opadła już większość liści, drzewa rosły tak gęsto, że trudno było dostrzec legendarną rezydencję, która się za nimi znajdowała.

– Po prostu rób to, co ja, jeśli nie będziesz wiedziała, którego widelca użyć.

– Racja. Zapomniałam, że jesteś specjalistką od dobrych manier. – Callie nie chciała, żeby to zabrzmiało sarkastycznie.

Mimo to przez twarz Marty przebiegł skurcz.

– Emily próbowała mi utrzcę nosa, pokazać, gdzie moje miejsce w towarzyskim szeregu.

– O Boże – powiedziała Callie. – Taka właśnie jest? Możemy od razu zawrócić? Postawię ci dobry posiłek w Hawthornie.

Marta się roześmiała.

– Będziesz się znakomicie bawić. Dziś rano widziałam aranżację miejsc. Siedzisz koło Paula. Chyba przekonfigurował tradycyjne rozmieszczenie Emily, bo ta zwykle ma syna tuż przy sobie. Nie sądzę, żeby zauważyła zmianę, ale kiedy to odkryje, rozpęta się piekło.

Callie nic nie powiedziała. Teraz naprawdę chciała uciec.

Minęły stację kolejową. Callie przeczytała na drogowskazie: PRIDE'S CROSSING[12].

Nazwa mówi wszystko – pomyślała, zastanawiając się, jaką chorobę może zasymulować, aby przekonać Martę, żeby ją tu wypuściła, by mogła złapać pociąg z powrotem do Salem.

Tymczasem Marta włączyła kierunkowskaz i skręciła w prawo. Jechały teraz długim żwirowym podjazdem, wzdłuż którego z obu stron ciągnął się rząd wiązów. Słońce sączyło się poprzez plataninę ich gałęzi.

– Teren posiadłości został zaprojektowany przez Frederica Law Olmsteda – wyjaśniła Marta. – Potrzeba aż czterech konserwatorów zieleni zatrudnionych na pełen etat, aby utrzymać go na odpowiednim poziomie.

– Piękny – przyznała szczerze Callie.

– Robi wrażenie, prawda? To jeden z ostatnich szeregów wiązów w Nowej Anglii.

Podjazd wił się, prowadząc bezbłędnie do masywnego domu z kamienia, a linia wiązów ustąpiła wkrótce rododendronom i kalmiom szerokolistnym. Dalej rozpostarł się przed nimi widok, rozciągający się aż po graniczne wyspy na wschód, w stronę Wysp Brytyjskich. W końcu Marta zatrzymała się przed domem.

Powiedzieć, że Pride's Heart robiło wrażenie, było ogromnym niedopowiedzeniem. Callie widziała przed sobą ogromną rezydencję w stylu angielskim, która zajmowała niemal akr ziemi, tuż nad brzegiem morza. Dom wyglądał bardzo brytyjsko, co jasno dawało dziewczynie do zrozumienia, że Whitingowie nigdy do końca nie odcięli się od swoich europejskich korzeni.

Na powitanie wyszedł ubrany w uniform lokaj i Marta podała mu kluczyki. Callie chciała wyciągnąć swój bagaż.

– Zostaw – powiedziała jej towarzyszka. – Darren każe komuś zanieść tę torbę do twojego pokoju.

Podeszły do frontowych drzwi, które wspomniany Darren już przed nimi otworzył. Kiedy tylko znalazły się w środku, pokojówka wzięła od nich kurtki i skierowała je do biblioteki.

Na końcu ciemnego, wyłożonego mahoniowym drewnem pokoju, za ogromnym biurkiem siedział atrakcyjny mężczyzna w średnim wieku, o siwiejących włosach. Rozmawiał przez telefon, ale wstał na widok Marty i Callie, dając im gestem do zrozumienia, że zaraz do nich dołączy.

Zakończył rozmowę i podszedł do gości. Pocałował Martę w policzek.

– Tak się cieszę, że mogłaś do nas dołączyć. Pięknie wyglądasz w tej zielonej sukience.

– Callie, poznaj Paula Finniana Whitinga – powiedziała Marta.

Finn spojrzał na nią, po czym rzucił Marcie szybkie spojrzenie, zanim uścisnął jej dłoń.

– Finn – przedstawił się. – Miło cię poznać, Callie.

Dziewczynę od razu uderzył jego urok. I choć Emily Whiting była atrakcyjną kobietą, stało się jasne, że jej syn odziedziczył swoją uderzającą urodę właśnie po ojcu, z wyjątkiem tego, że oczy Finna nie były ciemnoniebieskie jak Paula. Callie nie potrafiła właściwie nazwać koloru oczu starszego mężczyzny, choć utrzymywał z nią kontakt wzrokowy na tyle długo, by dobrze się przyjrzeć. Właściwie to były dość dziwne: głównie brązowe, z ciemnymi obwódkami wokół krawędzi i kilkoma zielonymi i niebieskimi plamkami. Nosił okulary z oprawkami, które odzwierciedlały tę samą kombinację kolorów, i szkła z efektem powiększającym, przez co jego okazałe rzęsy wydawały się jeszcze dłuższe.

– Emily zaraz zejdzie – wyjaśnił. – A w międzyczasie: czego się napijecie?

– Ja to, co zwykle – odparła Marta.

– Callie?

– Pewnie... A co masz?

– Co tylko sobie wymarzysz.

– Nie znam się niestety na alkoholach. – W kwestii picia była zawodnikiem wagi lekkiej. Nie zaczynała się wygłupiać, nie myliły się jej słowa. Za to robiła się niebywale milcząca. Umiejętności towarzyskie, które w najlepszym wypadku były u niej ograniczone, przysłaniała wstydlivość.

– Ja piję old-fashioned – powiedziała Marta. – Jeśli coś ci to pomoże.

Nie pomogło.

– Whiskey, cukier, gorzka wódka, cytryna, pomarańcza i wisienka – wyjaśnił.

– Brzmi pysznie – odparła Callie.

– Aż za bardzo – dorzuciła Marta z uśmiechem.

– W takim razie się skuszę. – Callie usłyszała swoje własne słowa.

Co ja tu, do cholery, robię?

Rezydencja przypominała bardziej plan filmowy niż normalny dom. Wszystko wyglądało jak część dziedzicznej przez pokolenia fortuny. Callie czuła, jak marszczy czoło, rozglądając się po bibliotece i przyglądając kolekcji książek w skórzanych oprawkach; same dwa podwójne biurka z marmuru i mahoni miały niemal ten sam rozmiar, co jej dziecięce sypialnie.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Whiting junior.

– Callie O'Neill – zdążył powiedzieć, zanim jego usta rozciągnęły się w szeroki uśmiech. – Miło cię znów widzieć.

– Napijesz się? – Finn zapytał syna.

– Prowadzę – odparł Paul. – Mam jeszcze coś do załatwienia w Salem.

– W Święto Dziękczynienia?

– Musi na jakąś godzinę pojechać do Ann. Ustalił to ze mną wiele tygodni temu – wyjaśniła Emily, wkraczając do pokoju eleganckim krokiem.

Miała dopracowaną fryzurę, jej granatowy szal z jedwabiu i czółenka były idealne, ale na twarzy malowało się zmęczenie. Jednak kiedy tyko Emily się uśmiechnęła, zmęczenie zniknęło. Ucałowała Martę w oba policzki na styl europejski, po czym odwróciła się do Callie, wyciągając rękę na powitanie.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś. Czy mój mąż zaproponował ci coś do picia?

Finn uniósł drink, który właśnie mieszał.

– Zespół Paula pomaga odnowić kamienne kościoły w Materze... – Emily wyjaśniała Callie. – Ann Chase pomaga Paulowi w badaniach.

– Tak się na to teraz mówi? – zapytał Finn.

– Spóźnię się, a wiem, że zależy ci, bym wrócił najszybciej, jak się da. – Paul rzucił ojcu znaczące spojrzenie.

– Nie inaczej – odparł Finn. – Wiesz, Callie, kilka lat wstecz istniał program o nazwie „Łamiemy miotły”. Złożyłem im ogromną donację.

– Nie z ramienia fundacji! – Emily była przerażona.

– Właśnie że tak. Uznałem to za służbę miastu.

Marta się uśmiechnęła. Było jasne, że słyszała już wcześniej tego typu przekomarzania.

– Tyle wiedźm biega po ulicach i rzuca zaklęcia na młodych mężczyzn. – Długo podtrzymał spojrzenie Callie.

– To nieprawda! – Emily była oburzona.

– Prawda – odparł Finn. – Twój syn jest najwyraźniej na tyle oczarowany, że zostawia nas w Święto Dziękczynienia.

Tylko na godzinę – powiedziała. – Sam rozmawiałeś dziś dłużej przez telefon.

– Godzina, tydzień. Potem idziesz już prosto do piekła. – Finn spojrzał na syna, który jednak nie dawał się sprowokować. – W Salem po raz kolejny pojawił się Szatan.

– Niektórzy uznaliby raczej, że nigdy go nie opuścił – powiedziała Marta.

– Wiedźmy nie czczą diabła – zauważył Paul. Jego ton był pobłażliwy, jakby prowadził niezobowiązującą dyskusję. – To celtyckie poganki w Salem. One nawet nie wierzą w diabła.

– Albo chcą, żebyś tak myślał – odparł na to Finn, machając palcem.

– Pamiętam, jak za czasów młodości bardzo cię interesowało wszystko, co celtyckie – zauważyła Marta z uśmiechem.

– I nic się w tej sprawie nie zmieniło. Jestem wielkim fanem Boston Celtic. – Mrugnął do Callie.

– Poznałaś może Ann Chase? – zapytała Marta. – Najsłynniejszą wiedźmę w Salem?

– Nie. Czy to nie ta sama, która namalowała obraz kupiony przez ciebie na

aukcji?

– To wiedźma jest też teraz malarką? – zdumiał się Finn. – Czy jest coś, czego ta kobieta nie potrafi?

– To był po prostu obraz z jej kolekcji – odpowiedział Paul. – Sama go nie namalowała.

Callie dostrzegła, jak Marta i Finn wymieniają porozumiewawcze spojrzenie.

– Jeśli jeszcze nie poznałaś Ann, powinnaś pojechać z Paułem – zdecydowała Marta. – Ann organizuje dziś jak co roku dom otwarty. A ciekawa z niej postać.

– Chciałabyś udać się ze mną? – zapytał Paul. – Bardzo chętnie zabiorę cię ze sobą.

Callie zobaczyła, jak Emily zaciska usta. Jej uśmiech zaczynał wyglądać jak grymas.

– Ale przecież dopiero przyjechałam... – odparła Callie, śmiejąc się nerwowo. – Nie chcę być niegrzeczna.

– Ależ jedź – namawiała ją Marta. – Zresztą mam pewne sprawy dotyczące fundacji, o których muszę porozmawiać z Finnem i Emily, zanim zaczniesz się przyjęcie.

– Nie krępuj się, moja droga. – Emily znów była opanowana. – Wypijemy kilka drinków podczas twojej nieobecności i kiedy wrócisz, będziemy dla siebie dużo miłsi.

* * *

– Trochę niezręcznie to wypadło, prawda? – powiedziała Callie, kiedy Paul otworzył jej drzwi do samochodu.

– Co?

– No wszystko. To, jak Marta ci mnie wepchnęła.

– Nie wygłupiaj się. Bardzo się cieszę z twojego towarzystwa. – Roześmiał się lekko.

Pomógł jej wejść do starego auta marki MG z odsuniętymi szybami, po czym obszedł samochód, sam wsiadł i odpalił silnik. Callie miała problem ze swoim pasem.

– Nieco się blokuje – wyjaśnił, po czym rozwinął go za nią i zapiął jednym szybkim ruchem, muskając przy okazji jej ręce i wywołując u niej dreszcz, którego się nie spodziewała.

– Twój ojciec zdaje się nie akceptować kobiety, z którą mamy się zobaczyć –

zagaiła Callie. – Domyślam się, że to częściowo powód, dla którego jedziemy.

Uśmiechnął się szeroko.

– Gdyby to było takie proste...

– Chyba nic nie jest takie proste – powiedziała.

– To się akurat zgadza.

Paul wjechał na drogę numer 127 i wcisnął gaz do dechy. Zanim Callie zdążyła zasunąć okno, wszelkie szanse, że uda się poskromić jej dzikie włosy, zostały zniweczone przez wiatr i wilgotne powietrze.

MG przejechał mostem Beverly i Paul skręcił w lewo, na wąską uliczkę przy porcie, wiodącą do centrum Salem.

Ann Chase była właścicielką żółtego domu przy Derby Wharf na Orange Street. Callie mieszkała ze swoją matką, Rose i pozostałymi Boginiami w tej samej części miasta.

Zaparkowali i wysiedli z samochodu. Dziewczyna zauważyła tabliczkę na bocznej ścianie budynku: 1727.

– Kiedyś dom należał do funkcjonariusza pracującego w sądzie – wspomniał Paul. – Niedługo po tym, jak zakończyła się ta histeria. Na ironię zakrawa fakt, że mieszka tu teraz czarownica. Ale takie jest Salem.

Dom był mały. Drzwi zastali otwarte i kiedy weszli do środka, Callie zauważyła najpierw ogromny kominek zajmujący prawie całą ścianę. W kominku płonął ogień pachnący ziołami i sosną, z kociołkiem pełnym grzanego wina, zwisającym z żeliwnego ramienia. Wnętrze pachniało tak, jak dom wystawiany na sprzedaż przez agenta nieruchomości: jak szarlotka i ciasteczka.

W domu było tłoczno. W salonie kilka młodych kobiet, ubranych w różne odcienie czerni, serwowało jedzenie i napoje, niektóre rozmawiały na stojąco. W odległym rogu, obok mężczyzny przebranego za pirata, stała wysoka rudowłosa kobieta, ubrana w długą fioletową pelerynę z gniecionej aksamitu. Mogło to wynikać z tego, jak nachylały się podłogi albo powodowała to jej postura, ale Callie zdała sobie sprawę, że wszystkie drogi i oczy prowadzą bezpośrednio do niej. Wyczuwając obecność nowych gości, Ann Chase odwróciła się do nich. Poważnie zmierzyła Callie wzrokiem, a potem spojrzała na Paula.

Powoli jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

Ann podeszła, pocałowała Paula w usta i wyciągnęła dłoń do Callie.

– Czy my się znamy?

– Gdyby tak było, na pewno bym pamiętała – odparła dziewczyna. To były niemal dokładnie te same słowa, jakie wypowiedział do niej Paul tego wieczoru, kiedy się spotkali, ale sens był zupełnie inny.

Ann się roześmiała.

– Znajdźmy wam coś do picia.

Poprowadziła ich do mniejszego pokoju w kształcie litery L, z niskim

sufitem. Nie było w nim wiele mebli, jedynie fotel bujany i zabytkowy kołowrotek.

Nad kominkiem suszyły się zioła, a na przeciwległej ścianie wisały portrety, które ściemniały z czasem. Przedstawiały bogów, boginie oraz inne pogańskie motywy: Pan, Bachus, pogańskie bestie płodności, wprawnie oświetlone i powieszono półtora metra od ziemi, niczym w galerii.

– Ann kolekcjonuje święte obrazy – wyjaśnił Paul. – Jej kolekcja jest niemal całkowicie celtycka, co tłumaczy, dlaczego oddała obrazy romańskie, ale zdziwiłabyś się, jak wiele tych samych motywów pojawia się we wczesnej sztuce chrześcijańskiej. – Wskazał na niektóre z obrazów. – Święte ryby, drzewa, krzyże... To wszystko pierwotnie pogańskie symbole, które później zawłaszczyli pierwsi chrześcijanie.

– Ciekawe – powiedziała Callie, przyglądając się bliżej obrazowi przedstawiającemu harfę. Wyglądała jak zrobiona z gałęzi drzewa. Tytuł obrazu brzmiał *Czterokątna muzyka*.

– Co to takiego? – zapytała. – Drzewo?

– Uaithne. Dąb dwóch kwieci – odpowiedziała Ann. – Harfa należała do jednego z celtyckich bogów, ale została skradziona przez jego wrogów. Bóg spętał wtedy muzykę i harfa nie chciała grać bez jego nakazu. Kiedy wezwał ją do siebie, instrument nagle ożył i zabił dziewięciu wrogów wydobywaną z siebie muzyką.

– Sądziłam, że muzyka harfy ma działać raczej kojąco! – zastanowiła się Callie. Rozważała nawet kiedyś, czy nie nauczyć się grać na tym instrumencie, a przynajmniej zdobyć jakieś nagrania muzyki harfowej do pracy. Istniały dowody na to, że harfa może wydawać wibrujące dźwięki, które działają uspokajająco zarówno na ludzi, jak i zwierzęta, mimo że ludzkie ucho nie potrafi ich wychwycić.

Paul zauważył skonsternowaną minę swojej towarzyszki.

– Ann dobrze się zna na irlandzkiej mitologii – wyjaśnił. – Podobnie jak na świętych obrazach. Pomogła mi rozpoznać wiele malowideł, jakie znajdujemy w skalnych kościołach, które odnawiamy w Materze. Wbrew projekcjom mojego ojca ona i ja wykonujemy pewną pracę badawczą.

Między innymi.

Ann spojrzała na nią i szeroko się uśmiechnęła, jak gdyby czytała Callie w myślach. Wskazała na młodą kobietę niosącą tacę drinków.

– Częstujcie się.

– Co to jest? – zapytał Paul.

– Oko traszki – odparła Ann. A po chwili dorzuciła. – 7 Up, goździki, hawajski poncz. I tylko odrobinka pyłu wróżek.

– Będziemy po nim latać? – zapytał ze śmiechem Paul. Wziął kieliszek ponczu i podał go Callie.

– Nie, jeśli wcześniej nie zjadłeś czegoś z szafki z lekami matki.

– Nie dziś – odparł Paul.

– Opowiedz mi o sobie. – Ann zwróciła się do Callie.
– Nie ma zbyt wiele do opowiadania.
– Jestem pewna, że to nieprawda.
– Może najpierw ty mi o sobie opowiesz. – Odbiła pałeczkę Callie. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było zwierzenie się tej kobiecie.

– Och, jestem tylko przeciętną małą wiedźmą z przeciętnego małego miasteczka. Spróbujmy inaczej. – Ann wzięła Callie za rękę, jednocześnie patrząc jej w oczy.

Na szczęście nie była to dłoń z blizną. Callie poczuła, jak ciepło pochodzące z dłoni Ann wędruje po jej ręce.

– Jesteś uzdrowicielką – powiedziała Ann. – Czuję mocny związek z muzyką. I jeszcze mocniejszy z Salem.

– Callie mieszka w Salem – wtrącił Paul, choć nikt go o to nie prosił.

– Dopiero od kilku tygodni – odparła Callie. Zdusiła w sobie chęć, by ujawnić, że już wcześniej tu mieszkała, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że Ann wie dobrze, kim jest. Jeśli tak było, to nie zdradziła się z tą wiedzą.

– Masz kolosalny dar. Bardzo cię przeraża... I słusznie. – Ann niby puszczała dłoń Callie, ale trzymała ją jeszcze chwilę dłużej. Przez jej twarz przebiegł dziwny grymas. – Doświadczyłaś w swoim życiu wiele strat. Och, i wielu gorszych rzeczy.

Spojrzała na dziewczynę, jakby chciała powiedzieć: „Doskonale wiem, kim jesteś. Nikogo nie nabierzesz”.

Callie cofnęła dłoń, która opadła bezwładnie. Wydawało się, że Ann potrzebuje chwili, aby się z czegoś otrząsnąć, ale kiedy odzyskała spokój, znów ujęła rękę dziewczyny i trzymała ją tym razem w obu dłoniach, aż powoli, poczynając od koniuszków palców, Callie zaczęła odzyskiwać czucie w zdrętwiałej kończynie.

– Co, do cholery? – chciała wiedzieć Callie. Całe jej ramię mrowiło.

– Takie... zabawy towarzyskie – odparła lekko Ann. – Oprócz tego, że byłam niegrzeczna i nachalna, rzuciłam na ciebie małe wiążące zaklęcie. Przyjmij moje przeprosiny.

Wiążące zaklęcie. Słyszała już takie sformułowanie, podobnie jak przekleństwo, które wcześniej wypowiedziała Rose. I znowu nie miała pojęcia, co oznacza.

– Porozmawiamy później, kiedy nie będzie tu aż tylu ludzi. – Pojawili się kolejni goście i gospodyni poszła ich powitać.

– Nie liczyłabym na to – mruknęła Callie pod nosem.

– Nie martw się, nie zostaniemy tu długo – powiedział Paul, śmiejąc się.

Gdy dokończyli drinki, wróciła Ann, niosąc Paulowi mały pakunek.

– Ziółka dla mamusi – powiedziała. A potem, tak szybko, że Paul nie

zauważył, wsunęła mały pakunek do kieszeni Callie. – Użyj tego – szepnęła jej do ucha. – To działa.

Ann odwróciła się i zaczęła odchodzić. Jej fioletowa peleryna unosiła się za nią.

Paul zerknął na zegarek.

– Powinniśmy już wracać – oświadczył.

Callie nadal była nieco wstrząśnięta i nie zadawała zbędnych pytań, kiedy prowadził ją z powrotem do samochodu. Spojrzała na małą saszetkę w swojej ręce. Z boku przyczepiona była karteczka z notatką: „Co noc wkładaj zioła pod poduszkę, aby powstrzymać złe duchy od wkroczenia w twoje sny”.

Callie wpatrzyła się w nią, a następnie w pakunek, który Paul położył na konsoli między nimi. Podniosła go i powąchała.

– Trawka? Ta czarownica sprzedaje trawę?

– Pośredniczy. Ma ją od pirata. Ale tylko do celów medycznych.

– Jasne – zaśmiała się Callie. – Wszyscy tak mówią.

– Pomaga mamie na nudności po chemioterapii.

Callie zamilkła na te słowa, nagle wzruszona sprawunkiem.

[11] Wiersz *A Boston Toast* Johna Collinsa Bossidy'ego.

[12] Nazwa *Pride's Crossing* (w wolnym tłumaczeniu „rozdroża dumy”) pochodzi od nazwiska właściciela okolicznych terenów, Johna Pride'a.

ROZDZIAŁ 12



*27 listopada 2014, Święto Dziękczynienia
Salem*

Z powodu swojej niezachwianej wiary w dowody spektralne Cotton Mather był w dużej mierze odpowiedzialny zarówno za zasięg, jak i czas trwania hysterii związanej z polowaniem na czarownice w 1962 roku.

Rose Whelan, Czarownice z Salem

– Pracujesz w Święto Dziękczynienia? – odezwał się Rafferty, rozpoznając numer zastępcy prokuratora okręgowego, gdy odbierał telefon. – Mam się martwić?

– Mógłbym powiedzieć to samo. Miałem zamiar zostawić ci wiadomość.

– Jaką wiadomość? – Komendant stał się podejrzliwy.

– Robi się spora burza wokół tej Rose Whelan – powiedział prokurator. – Mam przed sobą petycję podpisaną przez prawie sto osób, które domagają się ponownego otwarcia sprawy morderstw Bogiń. Helen Barnes i niektórzy jej

przyjaciele ponoć dzwonili nawet do gubernatora.

– Świetnie... – prychnął Rafferty.

Tylko garstce osób zdradził, że po cichu bada tę sprawę. Ujawnienie się z tym było ostatnią rzeczą, jakiej chciał.

– Jest jeszcze coś.

– Co takiego?

– Powiedzieli mu, że nie jesteś obiektywny i spowalniasz cały proces, ponieważ Rose z tobą mieszka. Czy to prawda?

– Nie! To znaczy nie do końca – wyjaśnił. – Eva Whitney zostawiła Rose drzewo w ogródku mojej żony – w naszym ogródku. Rose czasem pod nim sypiała, zanim ostatnim razem trafiła do szpitala. – Zaczerpnął powietrza. – Towner przygotowała jej też pokój w herbaciarni. Ale Rose prawie nigdy z niego nie korzystała.

Zapadła długa cisza.

– A siostrzenica Rose?

Rafferty nie odpowiedział.

– Odwiedza Rose w szpitalu. Czy ona przypadkiem teraz u ciebie nie mieszka?

– Właściwie Callie nie jest spokrewniona z Rose.

– Ale przyznajesz, że zatrzymała się u ciebie...

Komendant milczał.

– To nie wygląda najlepiej. – Usłyszał w końcu głos zastępcy prokuratora.

– Nie, nie wygląda – przyznał Rafferty. Bardziej denerwowało go to, że ludzie kwestionują tożsamość Callie niż sugestie jego stronnictwa.

– Daj mi porozmawiać z kilkoma osobami i sprawdzić, co myślą. Odezwę się do ciebie. Udanego Święta Dziękczynienia.

Rafferty odłożył słuchawkę.

Każdy dobry uczynek ma swoją cenę – pomyślał. Nie powinien był zaglądać na posterunek, tylko jechać bezpośrednio na wyspę Yellow Dog z Towner. Na miłość boską, było przecież Święto Dziękczynienia. Co on sobie wyobrażał?

Nie mógł nic poradzić na swoją relację z Rose. I w ten świąteczny weekend nic się w jej sprawie nie wyjaśni. I w tej chwili była to właściwie jedyna rzecz, za którą był wdzięczny.

* * *

Dopłynąwszy na wyspę Yellow Dog, Rafferty musiał poczekać

z cumowaniem, aż jedna z kobiet obniży rampę. To May Whitney kazała podciągać rampę ze względów bezpieczeństwa, bo pływający łódkami ludzie często przejawiali chęć zwiedzenia granicznych wysp. Mieszkanki Yellow Dog nie chciały niepożądanych gości. Stwierdzenie, że kobiety na tej wyspie cierpiały na paranoję, byłoby niedopowiedzeniem, ale, faktycznie, miały powody się bać. Choć to miejsce uchodziło za azyl, od czasu do czasu któremuś z oprawców udawało się namierzyć swoją zbiegłą partnerkę, a to groziło konsekwencjami aż nazbyt dobrze znanymi przebywającym tu kobietom.

Rafferty rozumiał potrzebę bezpieczeństwa. Mimo to dziś wydało mu się to dziwne, bo przecież się go spodziewały. Zwykle kiedy wiedziały, że się pojawi, pozostawiały rampę opuszczoną. Coś było nie tak. Pomyślał, że musi zapytać o to May.

Kobiety zebrały się w czerwonym budynku szkolnym, miejscu zarezerwowanym zwykle dla koronkarek, które w milczeniu siadywały w okręgu z poduszkami na kolanach, przekładając klocek nad klokiem. W takich dniach jedynym dźwiękiem przerywającym ciszę – pomijając okazjonalne zawołanie mewy – był głos lektora, często samej May Whitney, który, stojąc na środku pomieszczenia, recytował tak zwane „przypadkowe fragmenty literackie”. Najbardziej skrzywdzone kobiety, nowo przybyłe, nosiły koronkowe woalki, pod którymi ukrywały swoją tożsamość, ale robiły jeszcze coś lepszego. Patrzenie na życie przez ręcznie plecioną koronkę dawało inną perspektywę. Filtrowało rzeczywistość, sprawiając, że to, co zwykle, stawało się piękne.

Dziś panował tu nieopisany zgłęb. Krąg krzeseł zniknął, a wzdłuż sali stały stoły przygotowane już na coroczny dziękczynny brunch. Rafferty powiódł wzrokiem po wszystkich kobietach i nagle – w ten szczególny dzień – poczuł się źle z powodu swojego wcześniejszego braku wdzięczności. Kiedy ktoś znalazł się już na wyspie Yellow Dog, musiał zostawić za sobą wszystko, prócz samego życia. Brutalnego męża, ale też wszystko inne, w tym dalszą rodzinę i swoją codzienność. A mimo to wszystkie kobiety świętowały, wdzięczne za to, że tu są i nic im nie grozi. Rafferty zauważył też, że w tym roku przy stoliku dla dzieci znajduje się szczególnie dużo nakryć.

– Te z nas, które mają dzieci, radzą sobie najlepiej – powiedziała mu May, kiedy pewnego dnia został wezwany na wyspę, aby zająć się mężem, który zdołał odnaleźć swoją zbiegłą żonę. – Dzieci dają im powód, by mieć nadzieję – dodała. Nosiła ze sobą naładowaną strzelbę na wypadek, gdyby policja nie przyjechała na czas. – Coś, o co warto walczyć.

Zamyślił się.

Tamtego dnia, kiedy odpływał z oprawcą zakutym w kajdanki, jego dzieci stały na szczycie rampy i zanosiły się płaczem.

Te, które mają dzieci, radzą sobie najlepiej.

Wspomniał usłyszane słowa, kiedy sterował łodzią. Może. Nic im już nie groziło. O to przecież chodziło. A mimo to dzieci miały bardzo smutne miny, kiedy patrzyły, jak ich ojca zabiera policjant, być może już na zawsze.

Następnego wieczoru zobaczył światła May: dwie latarnie w jej oknie, sygnał, jakiego używała, kiedy musiała kogoś przenieść w inne miejsce.

Dwie, jeśli morzem.

May i zaufane kobiety kierowały ofiary przemocy do innych schronisk, kiedy sprawy zaczynały wyglądać ryzykownie – to była część operacji, którą May nazywała Nową Koleją Podziemną – sieć ośrodków wzdłuż całej linii wybrzeża. Widząc te światła, Rafferty zrozumiał, że dzieci i ich matka będą musiały opuścić wyspę i stać się nowymi ludźmi w nowym miejscu.

Teraz Rafferty patrzył, jak obecne mieszkanki schroniska wędrują grupkami w tę i z powrotem pomiędzy szkołą a domem i znoszą półmiski pełne smakołyków. Towner przybyła na wyspę przed kilkoma godzinami, aby pomóc przygotować brunch. Każdego roku jego żona zamykała herbaciarnię w Święto Dziękczynienia i każdego roku czuła z tego powodu smutek, bo kobiety, które tam pracowały, pozostawały bez zajęcia. Większość z nich straciła kontakt ze swoimi rodzinami i święta tylko przypominały im o tej ranie. Niemal każda z nich zaczynała nowe życie na Yellow Dog, a potem, kiedy była gotowa wrócić do świata, przenosiła się do herbaciarni. Każda z nich byłaby tu dziś mile widziana – kobiety świętowałyby na ich cześć – ale wyspa nie była miejscem, do którego chciałoby się wracać. One musiały rozpocząć nowy etap...

Towner miała wobec tego miejsca podobne odczucia. Bardzo kochała May. I robiła, co w jej mocy, aby wspierać schronisko. Trudno jednak było jej tu przyjeżdżać. Zbyt wiele miała złych wspomnień. Towner tu dorastała, tutaj padła ofiarą brutalnego ojca, który jej matkę oślepił, a u niej w czasie jednego ze swoich wściekłych ataków spowodował uraz mózgu. Trauma, jakiej doświadczyła Towner, była powodem, dla którego May wykonywała swoją pracę, a Towner jej pomagała. Mimo to przyjeżdżanie tu nawet po to, by odwiedzić May, było trudne.

Tak więc Towner nienawidziła wyspy Yellow Dog, ale May jeszcze bardziej nienawidziła jej opuszczać. Pomijając coroczny brunch na Święto Dziękczynienia, kobiety komunikowały się tylko za pomocą maili i komórek. Po wszystkim Rafferty i Towner zawsze płynęli bezpośrednio na dziękczynny obiad do Whitingów, po czym Towner spędzała zwykle resztę weekendu w Pride's Heart, próbując dojść do siebie.

Rafferty nie miał krewnych na Yellow Dog, ale bywał na wyspie dużo częściej niż Towner: zawsze działo się tu coś, co wymagało interwencji policji. Z May łączyła go skomplikowana relacja. Jej metody ratunkowe, choć skuteczne, często były nielegalne. Nie wahała się używać broni palnej, aby bronić kobiety i dzieci, którym udzielała schronienia, i choć zaprzeczyłaby temu podczas

przesłuchania, częściej niż raz oddała strzał ostrzegawczy w stronę łodzi policyjnej, kiedy ta zbliżała się do jej wyspy. Rozumiał, że większość z tego, co robiła, było niezbędne; w duszy nawet to pochwalał. Ale jako glina żałował, że musi mieć z nią do czynienia.

Poszedł w przeciwną stronę, co tłum, by znaleźć żonę i sprawdzić, jak może pomóc.

– A mówiłam ci, że nie odpowiada mi robienie czegoś takiego! – Usłyszał podniesiony głos Towner, kiedy tylko wszedł do starego wiktoriańskiego budynku, od zawsze stanowiącego dom May.

Zastał obie kobiety w kuchni. Towner stała z rękami na biodrach i czerwoną twarzą, bardzo przypominając w tym momencie nadąsane dziecko, którym kiedyś była pod opieką ciotki.

May westchnęła i wróciła do zmywania naczyń.

– Rób, jak chcesz.

Towner precyzyjnie się obok męża i wybiegła z domu.

– Nie wiem, po co ona wciąż tu co roku przyjeżdża – powiedziała do niego May, kręcąc głową. Długie, kręcone włosy spięła dziś na czubku głowy pałeczkami do chińszczyzny, ale pojedyncze loki wciąż wymykały się z koczka. Choć wyglądała na spokojną, Rafferty wiedział, że była to wystudiowana mina. Świadczył o tym ton głosu, wyższy niż zwykle.

– Wiesz, dlaczego przyjeżdża. Nalegasz na to. Jesteś jej jedyną rodziną. – Rafferty pokazał przez okno na spalony dom na przeciwległym końcu wyspy. – Czemu nie pozbędziesz się tej rudery? – powiedział lekko, jak gdyby nie sugerował jej tego już setki razy. W tym domu, a właściwie tym, co z niego zostało, mieszkały upiory przeszłości.

– Myślisz, że to takie proste? Mam tylko do kogoś zadzwonić i wystarczy? A może założymy kaski i same wszystko zburzymy? To wyspa, Rafferty. Tu nie wszystko jest takie proste.

Mężczyzna nie zaprzeczył. Nie przypomniał też May, że przez lata udało się im zrealizować dużo trudniejsze zadania. Zaproponował, że sam wyburzy dom, ale May odmówiła. Była przywiązana do tej ruiny. Jako czego? Pamiątki najgorszego czasu w życiu Towner? Straciła w tym pożarze kogoś, kogo bardzo kochała.

– Co z oczu, to z serca – powiedział.

May przeszła go wzrokiem.

– Wszyscy są tu chyba nieco spięci. – Spróbował rozluźnić atmosferę.

– Jest Święto Dziękczynienia, Rafferty. Czego się spodziewałeś?

– A o co chodzi z tym wzmożonym bezpieczeństwem? Próbujesz kogoś przenieść?

– Dobrze wiesz, że nie powinieneś o to pytać... – May odwróciła się od niego.

Zostawił ją i wyszedł.

Znalazł Towner tam, gdzie się spodziewał: na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na to, co zostało z letniego domku z czasów jej dzieciństwa.

– Chcesz jechać? – zapytał, kiedy wtuliła się w jego tors. – Możemy wyruszyć od razu. Będziemy w Pride’s Heart, zanim May zdąży się zorientować, że zniknęliśmy.

– Nie – odpowiedziała, zmuszając się do uśmiechu. – Nic mi nie jest. Mogę zostać. Ale pod warunkiem, że będziemy mogli siedzieć przy stole z dziećmi.

– Nie ma sprawy. Dostaniesz nawet kredki.

ROZDZIAŁ 13



*27 listopada 2014, Święto Dziękczynienia
Pride's Crossing*

*Istnieją dowody na to, że z powodu swych grzechów czarownice rzucają uroki na niewinnych, czasem przez ich własne grzechy.
Malleus Maleficarum, 1487*

Callie i Paul wjechali na podjazd w Pride's Heart w samą porę, by zobaczyć, jak Rafferty i Towner wyłaniają się z lasu przy wielkim domu.

– Jak było na Yellow Dog? – zapytała Callie, kiedy wysiadła z auta. Ucieszyła się, że widzi znajome twarze. – Miło upłynęła ci wizyta u May?

– Było w porządku – powiedziała Towner zbyt szybko.

Rafferty przewrócił oczami i pokręcił głową.

– Właśnie zacumowaliśmy przy domku na przystani – oświadczył, bardzo pragnąc zmienić temat. – Nasz Wielorybnik stoi za wielką łodzią. Może być?

– Oczywiście. – Paul ucisnął dłoń Rafferty'emu i przywitał się z Towner. –

Bardzo się cieszę, że do nas dołączyliście.

– Za nic nie chcieliśmy tego przegapić – powiedziała Towner, po czym zwróciła się do Callie: – Dopiero przyjechałaś? Myślałam, że zabierzesz się z Martą.

Szły razem w stronę drzwi, Rafferty i Paul nieco przed nimi. Specjalnie ociągały się, by nie było słyhać ich rozmowy.

– Paul zabrał mnie na małą przejażdżkę – szepnęła Callie.

Towner uniosła brew.

– Przejażdżkę?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Opowiem ci później.

Paul dobiegł do frontowych drzwi przed Darrenem, otworzył je i przytrzymał wchodzącym, po czym zaprosił ich do biblioteki.

Inni goście już przyjechali. Kelnerzy krążyli po pokoju, podając przystawki i szampana, ale, jak zauważyła Callie, Finn nadal bawił się w barmana.

– O, wróciliście! – zawołał donośnie starszy pan Whiting na widok Paula i Callie. – Z Towner i Raffertym! Dołączcie zatem do naszego szemranego towarzystwa.

Ledwo przywitali się z Emily, Paul stwierdził, że musi wrócić do samochodu, bo czegoś zapomniał.

– Chodź ze mną – szepnął do matki. – Mam coś dla ciebie.

Callie zdała sobie sprawę, że zostawił tam, zapewne świadomie, paczkę od Ann, chcąc ją ukryć przed Raffertym. Rozejrzała się po pokoju i rozpoznała kilku gości: autora bestsellerów, mężczyznę, który grał na drugiej bazie w Red Sox czy arcybiskupa McCauleya z Bostonu. Nagle poczuła się bardzo nieodpowiednio ubrana.

– Nie wspominałaś, że to będzie aż tak wystawne przyjęcie... – powiedziała do Towner z wyrzutem.

– Właśnie z tego powodu – odparła przyjaciółka, puszczając do niej oko. – No dobrze, czas się wystroić jak na studniówkę. – Ton jej głosu brzmiał żartobliwie, ale Callie czuła, że jest wymuszony.

Wyszły po cichu z biblioteki i ponownie znalazły się w głównym korytarzu w tej samej chwili, kiedy przybyła kobieta odziana w sięgające do ziemi futro z norek, które uparła się zatrzymać przy sobie, zamiast oddać jednej z pokojówek. Callie i Towner patrzyły, jak kobieta zmusza pokojówkę, by szła za nią, podczas gdy ona sama dołączyła do innych gości.

– Pewnie ściągnie je, kiedy wszyscy zobaczą – domyśliła się Callie.

Towner uśmiechnęła się i odwróciła się w stronę schodów.

– Chodź, pokażę ci twój pokój. Emily wspominała, że da ci ten obok naszego.

Ruszyły do sąsiadujących ze sobą sypialni, najpierw zatrzymując się u Callie. Przy oknie, z którego widać było wodę, stało zabytkowe łóżko z baldachimem. Po drugiej stronie pokoju znajdowała się część wypoczynkowa. Miękkie fotele zostały zwrócone w stronę kominka, w którym palił się z trzaskiem pojedynczy bal drewna. Torba Callie została już rozpakowana, a jej sukienka, wyprasowana parowo, wisiała gotowa do założenia.

– Czy wszystko w tym domu zostało zaprojektowane tak, żeby udawało wielopokoleniowe dziedzictwo? – szepnęła Callie.

Towner zerknęła na nią z uznaniem.

– Wnikliwe spostrzeżenie.

– Każdy mebel, jaki do tej pory widziałam, to drogi antyk, ale wszystko wygląda... zbyt idealnie. Widać, że projektant urządził wnętrza co do najdrobniejszego nawet szczegółu – powiedziała. Meble nie były identyczne – tego błędu projektant nie popełnił – ale wciąż zbyt do siebie podobne. W prawdziwym wielowiekowym majątku pojawiłaby się bardziej przypadkowa zbieranina niepasujących do siebie mebli.

– Masz doświadczenie w projektowaniu wnętrz, Callie?

Pokręciła głową. Jedna z jej byłych matek zastępczych zajmowała się sprzedażą antyków.

– Nauczyłam się tego w jednej z moich lepszych rodzin zastępczych – odparła.

Towner czekała przez chwilę, by dodała coś więcej. Nie zrobiła tego.

– Kryjesz w sobie wiele niespodzianek.

– Nie powinnam była nic mówić. To mi się po prostu wydało zastanawiające i tyle.

– Finn Whiting pochodzi z rodziny rolników. Pieniądze, które utopiono w tych wnętrzach, zarobiono wiele pokoleń później, nielegalnie. Dziadek Finna zasłynął ze szmuglowania rumu i broni. Wybudował Pride's Heart na krótko przed śmiercią. Oryginalny dom z siedemnastego wieku był tam. – Pokazała w kierunku lasu. – Nadal stoi, ale teraz mieszka w nim Paul. Kiedy dziadek umarł, rodzice Finna odziedziczyli majątek i wypełnili dom najlepszymi antykami pochodzącymi z domów aukcyjnych Bostonu, Nowego Jorku i Londynu.

– Przystępstwo chyba jednak popłaca.

– Na jakiś czas. Ojciec Finna stracił resztę fortuny w wyniku kiepskiego interesu. Umarł młodo i bez grosza przy duszy. Ale przed śmiercią zdążył znaleźć żonę dla swojego syna. Taką z okazałą fortuną, którą można było zasilić szkatułki Whitingów, i rodowodem, aby odpowiednio podnieść status rodziny.

– Emily?

– Emily Sprague z Hinghamów. Wywodząca się od ojców założycieli[13] i z pokładu Mayflower[14]. Jej przodkowie nie tylko wrzucali herbatę do Zatoki

Bostońskiej, ale później jej rodzina zabiła fortunę, sprowadzając ją z Chin. Bogatszej nie znajdziesz.

– „Przecież bogate dziewczyny nie wychodzą za biednych chłopców”. – Callie zacytowała filmową wersję cytatu z klasycznej powieści Fitzgeralda[15].

– Wychodzą, jeśli wyglądają jak Finn Whiting – parsknęła Towner. – I kiedy ktoś jest w drodze.

Callie uniosła brew.

– Paul?

– Zaskakujące, prawda? Dowodzi jedynie, że gdy chodzi o ludzi, nigdy nic nie wiadomo.

Po tej opowieści Callie bardziej polubiła Emily. Wydała jej się niemal ludzka.

Ściągnęła swoją sukienkę z wieszaka.

– Nie jest równie elegancka jak to, co mają na sobie goście na dole... – Pokręciła głową, patrząc krytycznie na obcisłą sukienkę w kolano, którą kupiła na galę dobroczynną.

– Nie przejmuj się – pocieszyła ją Towner. – Będzie lepiej wyglądać z naszyjnikiem z pereł, który przywiozłam ze sobą.

– Nie mogę wziąć twojego naszyjnika...

– Odziedziczyłam go po Evie – powiedziała Towner, kierując się do swojego pokoju. – Nie jest w moim stylu, ale na tobie będzie się świetnie prezentować.

Callie założyła sukienkę i zaczęła bawić się włosami, spinając je w koczek, a potem znów rozpuszczając. Były w nieładzie: zbyt pokręcone, zupełnie nieokiełznane. Nadal nie przyzwyczyła się też do bycia blondynką.

Towner wróciła z perłami kilka minut później, przebrana już w swoją sukienkę, długą, czarną i zakładaną, z krótkimi kimonowymi rękawami.

– O rany, wyglądasz bosko – zachwyciła się Callie. Rudawe włosy przyjaciółki, sięgające do ramion, były idealnie proste.

Towner uśmiechnęła się i podała jej perły.

– Jesteś pewna?

– Będą idealnie pasować.

Stały przed lustrem, podczas gdy Towner zapinała naszyjnik. Następnie odgarnęła włosy Callie z jej twarzy i szyi i spięła je w luźny, niski kok.

– Co ty na to? – Przytrzymała je z tyłu. – Będziesz wyglądać świetnie.

Callie posłusznie usiadła przed lustrem toaletki, pozwalając Towner naprawdę spiąć sobie włosy.

– Bardzo wyrafinowanie.

Nagle telefon Callie wydał z siebie krótki sygnał. Towner dostrzegła zmartwioną minę dziewczyny.

Wiadomość pochodziła od Zee: „Z Rose w porządku. Nie śpi i je indyka na

obiad”.

Callie z ulgą odłożyła telefon.

– Wszystko w porządku?

– Teraz dużo lepiej. Rose miała zły dzień. Ale Zee twierdzi, że teraz już jest dobrze. Je dziękczynny obiad i jest wdzięczna.

– Wydaje mi się, że najbardziej jest dziś wdzięczna za twój powrót.

Callie próbowała zbyć komplement wzruszeniem ramion.

– Mówię poważnie – powiedziała Towner. – Zawsze się o ciebie martwiła.

Jej słowa wzruszyły Callie w sposób, którego się nie spodziewała. Oczy dziewczyny wypełniły się łzami. Odwróciła wzrok.

Wyczuwając jej skrępowanie, Towner natychmiast zmieniła temat.

– To co? Masz zamiar mi zdradzić, co robiłaś z Paulem? Gdzie cię zabrał na tę „małą przejażdżkę”?

– Co wiesz o Ann Chase?

– Ach – odparła Towner. – Poznałaś Ann!

– Na moje oko coś ją łączy z Paulem.

– Ann coś łączy z wieloma ludźmi.

– Ile ona ma lat?

Towner się roześmiała.

– Jest po pięćdziesiątce, ale tego po niej nie widać.

– To chyba jakieś niesamowite zaklęcie.

– Jesteś zainteresowana Paulem... – Zaczęła się z nią droczyć Towner.

– Właściwie nie – skłamała Callie. – Jest chyba dla mnie zbyt młody.

– Ma dwadzieścia pięć lat!

– O pięć lat za mało.

– Prawie dwadzieścia sześć.

– I nie podoba mi się, że jest w związku z... wiedźmą.

– Paul od lat sypia z Ann. Odkąd skończył osiemnaście lat. To nic poważnego, ale Emily tego nie znosi.

– Rozumiem, dlaczego. Czy on w ogóle skończył studia? Mógłby być jej synem!

Towner zaniósła się śmiechem.

– Nie ma wątpliwości, że Paul lubi starsze kobiety...

Callie przewróciła oczami.

– Tak naprawdę Ann jest miła – powiedziała Towner i dziewczyna poznała, że mówi szczerze. – Ma jedynie postępowe podejście do seksu. Wiesz, wolna miłość i tym podobne. Wychowała się w neohipisowskich czasach. Muszę przyznać, że tutejsi mężczyźni bardzo ją cenią.

– Nie wątpię.

Towner znów się zaśmiała.

– Naprawdę jest w porządku. Pomogła Johnowi przy wielu kryminalnych sprawach.

– Jak?

– Ma bardzo silną intuicję i dar jasnowidzenia. Czyta z koronek, co jest powodem, dla którego podarowałam jej większość rzeczy Evy. Czasem nawet czyta dla mnie w herbaciarni.

– Co rozumiesz przez słowa: „czyta z koronek”?

– To trochę tak, jakby czytała z kryształowej kuli, tylko używa do wróżb innego narzędzia. Wpatruje się we wzory i miewa różne wizje. Moja babcia, Eva, też to robiła. Tak więc Ann czyta z koronek, po czym mówi Rafferty’emu, co widzi. Czasem pomaga mu to rozwikłać sprawę, czasem nie.

– Ty też czytasz z koronek? W herbaciarni?

– Nie – odparła krótko Towner. – Już nie. Choć czasem miewam wizje.

– Naprawdę?

– Och, nie zachowuj się tak, jakbyś nie wiedziała, o czym mówię.

Callie utkwiała w niej wzrok.

– Salem jest pełne ludzi, którzy mają „dar” i wiedzą rzeczy, których nie powinni albo które jeszcze się nie zdarzyły. Wyraźnie jesteś jedną z nas.

– Nas? – Callie nie wiedziała, co myśleć o tym, że ją zdemaskowano. – Mówisz jak Rose.

– Swój pozna swego. Całymi latami walczyłam ze swoimi wizjami. – Towner wepchnęła głębiej szpilkę do włosów. – Tak mocno, że prawie doprowadziłam do ich zaniku. Teraz są bardziej jak przebłyski. Ann zrobiła odwrotnie. Przez lata doskonaliła swoje umiejętności i teraz jest pewnego rodzaju wieszczką.

– I wiedźmą.

– To też.

I dealerką narkotyków.

– Ale tylko do medycznego użytku – zastrzegła Towner. – Aż w końcu otworzą się odpowiednie poradnie.

– Wow... – prychnęła Callie. – Jestem pod wrażeniem.

Towner się uśmiechnęła.

– Mały dowód dla sceptyczki.

Callie się zamyśliła.

– Więc czytasz w myślach? – Dziś po południu zrozumiała, że Ann robi to samo, i to było niepokojące.

– To przychodzi i odchodzi. Myśli niektórych ludzi łatwiej zobaczyć, innych trudniej. Ann osiągnęła w tym mistrzostwo. Jest także uznaną zielarką. Opracowała kurację na zatruciu rtęcią i ołowiem, chelatację, która daje mniej skutków ubocznych. W tej dziedzinie także nie ma sobie równych.

– Nie wątpię – odparła Callie, myśląc o Paulu.
– Towner, jesteś tam? – Usłyszały, jak Rafferty woła z sąsiedniego pokoju. Jego żona otworzyła łączące sypialnie drzwi.
– Jeśli chcesz, możesz tu na nas poczekać – powiedziała do Callie. – John potrzebuje tylko kilku minut, żeby się wyszykować, a wiem, że nie chcesz wracać na dół sama.

* * *

– W piwniczce na wina był w czasach prohibicji bar typu speakeasy[16] – opowiadał Finn grupie gości, którzy czekali, by zjechać windą. Miał odbyć już trzecią wycieczkę w ciągu tego wieczoru i właśnie prowadził kilka osób za obudowany bar, skąd windą można było pojechać na dół.

Callie została rozdzielona z Towner i Raffertym zaledwie kilka chwil po powrocie do biblioteki. Teraz piła już swój trzeci old-fashioned. Powinna była odmówić kolejnego drinka, ale Finn cały czas je jej podawał, nie pytając nawet, czy ma ochotę. Gapił się na nią tak, że przez chwilę zastanawiała się, czy nie próbuje z nią flirtować. Zerknęła na Paula, który był pogrążony w rozmowie z grupką starszych kobiet, bogatych, co było widać już na pierwszy rzut oka.

Szczerze mówiąc, Callie miała kłopot z całą tą ostentacyjnością. Fundacja Whitingów mogła finansować wszystko, od szkół po jadalnię, ale styl życia tej rodziny wydawał jej się nie w porządku. „Kłujący w oczy konsumpcjonizm” – mawiały zakonnice o ludziach, którzy nie ślubowali życia w ubóstwie, tak jak one. W posiadłości Whitingów panował taki właśnie kłujący w oczy konsumpcjonizm. Callie zdała sobie sprawę, że marszczy czoło.

– Lekka przesada, co? – zapytał domyślnie Rafferty, podchodząc do niej. Zauważyła, że nie pije. W jego szklaneczce była tylko gazowana woda z limonką.

Powinna wziąć z niego przykład.

– Odrobinę.

– Poczekaj, aż zobaczysz obrazy w jadalni. Kolekcja mistrzów holenderskich. Słyszałem, że niedługo ma objechać europejskie muzea.

– Wszystko to wydaje się dość nieprzyzwoite – mruknęła pod nosem, nie przestając wpatrywać się we właścicielkę futra z norek.

– Chcesz zobaczyć bar dla wtajemniczonych, Callie? – zapytał Finn, szukając palcem ukrytego przycisku przywołującego windę.

Rafferty już wcześniej obserwował Finna, kiedy ten wpatrywał się we własne odbicie w ściennym lustrze. Klasyczny narcyz – pomyślał komendant, choć

nie mógł odmówić gospodarzowi pewnego czaru. To, co nie było czarujące, to sposób, w jaki stary Whiting zerkał na Callie, której sylwetka odbijała się w tym samym lustrze.

– Ja chciałbym go zobaczyć – odpowiedział zamiast dziewczyny Rafferty, przerywając długą ciszę, która nastąpiła po zaproszeniu Finna.

W tym samym momencie pojawił się Paul i wziął Callie pod rękę.

– Przejdź się ze mną – powiedział, prowadząc ją do drzwi. – Nie miałem jeszcze okazji cię oprowadzić.

Wyszli razem z biblioteki i przeszli przez korytarz do kuchni i dalej, do przedsionka z kredensem.

– Zasada numer jeden. – Paul odebrał jej wypity do połowy drink. – Nigdy nie staraj się dotrzymać mojemu ojcu tempa w picciu. Ma wątrobę ze stali i dopiero się rozkręca.

Zarumieniła się.

– Dzięki za ostrzeżenie.

Wylał jej napój do miedzianego zlewu, a następnie napełnił dwa kubki kawą.

– Mleko? Cukier?

– Wystarczy czarna – odparła.

Podał jej parujący napój, po czym wyprowadził przez drzwi przedsionka, przytrzymując je przed dziewczyną. Dzień był ciepły jak na listopad, ale na zewnątrz mimo wszystko było chłodno. Paul ściągnął marynarkę i podał ją Callie.

– Chyba że chcesz, abym wrócił po norki. W szopie znalazłaby się jakaś czerwona farba.

A więc ją podsłuchał.

– Nie powinnam pić.

– Wszyscy powinni pić – powiedział. – Choć pewnie nie tyle, co mój ojciec. Gdyby nie alkohol, nic z tego by nie istniało. – Rozejrzał się wokoło. – Ale ty byś pewnie po tym nie płakała.

– W twoich ustach wychodzę na straszną krytykantkę – powiedziała.

– Tak? – Zgrywał niewinnego, ale wzrok miał psotliwy.

Szli po żwirowym podjeździe. Callie czuła unoszący się z kominów zapach dymu drzewnego. Kiedy zaczęli zbliżać się do stajni, na powitanie wybiegły im psy myśliwskie, które wyglądały, jakby dopiero co wyłoniły się z litografii Currier & Ives[17] wiszącej w bibliotece.

– Uważaj na Jaspiera, bo będzie próbował ukraść ci to z ręki. Jest kawoholikiem.

Callie uniosła kubek wysoko i śmiała się, widząc, jak pies próbował do niego doskoczyć.

– Zostaw, Jasper – rozkazał Paul, na co pies niechętnie przestał i poszedł za nimi z miną wyrażającą rozczarowanie i wstyd.

Callie zauważyła to i odezwała się niby za zwierzę smutnym, ale niepoważnym głosem, pochodzącym głęboko z brzucha.

– Nie mam z tym problemu. Mogę przestać, kiedy zechcę.

– Jesteś brzuchomówczynią? – Paul miał rozbawioną minę.

– Mam liczne talenty.

– To jeden z elementów leczenia dźwiękiem?

– Mógłby nim być. Jeśli jest w stanie ocalić psa od nałogu.

– Wygląda na to, że mój pies przechodzi przez głęboką fazę zaprzeczenia.

Jak się tego nauczyłaś?

Westchnęła. Zapewnienia Towner o jej „darze” nadal były dla niej nowe.

– Zawsze potrafiłam bawić się dźwiękiem.

Minęli opustoszałe stajnie.

– Nadal trzymacie konie? – zapytała Callie, ciesząc się, że Paul przestał ją wypytywać.

– Mama ostatnimi czasy niewiele jeździ. Trzyma teraz swoje wierzchowce w klubie myśliwskim Myopia. Szczyt snobizmu dla koników – mruknął, naśladując jej głos.

– Ja tego nie powiedziałam.

– Uprzedziłem cię. – Zaśmiał się.

Wzniosła do niego toast kubkiem kawy. Paul miał naprawdę zniewalający uśmiech.

Przez kilka minut szli w ciszy, a ich kroki chrzęściły na żwirowym podejździe. Jasper oddalił się, pewnie podłapał jakiś kuszący zapach.

– Chodź, pokażę ci, gdzie mieszkam, kiedy jestem w domu. – Paul odbił na prawo.

Callie rozpoznała to miejsce – wcześniej wyłonili się z niego Towner i Rafferty. W rzędach rosły wysokie sosny, jak gdyby zostały posadzone tu po to, by ściąć je na świąteczne choinki, ale potem pozwolono im rosnąć. Zobaczyła długą ścieżkę wijącą się wśród drzew i znikającą w bajkowej scenerii lasu.

Zrobiła pierwszy krok i nagle pod jej stopą złamała się gałązka.

Ten dźwięk ją sparaliżował. W tym samym momencie po jednej z sosen wdrapała się wiewiórka. Callie zmusiła się, by nie panikować, ale nie mogła się ruszyć.

– No chodź! – Jej towarzysz stanął z nią twarzą w twarz, uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Wziął od niej kubek i postawił go na pobliskim pniaku.

Dała radę wejść na ścieżkę, nie biorąc go za rękę. Serce biło jej jednak zbyt szybko.

Paul ruszył przodem.

Chciała zawrócić, ale wiedziała, że zachowuje się niedorzecznie. Trzymała się więc tuż za nim na wąskiej ścieżce, zmuszając się do tego, by iść do przodu,

jednocześnie unikając korzeni drzew oraz stawania na miękkim mech i sosnowe igły. Była już kiedyś w podobnym miejscu, wśród dużo bardziej powykręcanych drzew, w najbardziej przerażającej chwili swojego życia. Gdzie on ją, do cholery, prowadził i dlaczego za nim szła?

Nagle ścieżka zrobiła się bardziej stroma i wygięła w dół. Paul odwrócił się i wziął ją pod rękę, zamiast zaoferować swoje ramię.

– Ostrożnie. Uważaj, jak idziesz.

Zawahała się.

– Nie bój się. Mam cię. – Z jedną dłonią na ramieniu dziewczyny i drugą na jej biodrze powoli opuścił ją na ziemię. – Już – powiedział, kiedy jej stopy dotknęły podłoża.

Zatrzymał się na chwilę, zanim ją puścił, przyciągając jej ciało na tyle blisko, że Callie czuła na twarzy ciepły oddech mężczyzny. Pachniał solą i szalwią. Odsunął się nieco i wtedy oczom Callie ukazała się ukryta zatoka. Opadająca łączka i głęboka, nieskoszona trawa, która wyginała się w stronę oceanu, wyglądała jak cofająca się fala. Callie natychmiast pomyślała o obrazie Andrew Wyetha *Świat Christiny*, przedstawiającym dziewczynę wyciągniętą na trawie, a w tle dom na wzgórzu.

Pierwszy budynek, który zobaczyła, wyglądał jak mała latarnia morska z wąską wieżą obserwacyjną. Była wkomponowana w skalny blok z czerwonego granitu: poziom główny znajdował się na wysokości porośniętej trawą ziemi, a niższe piętro stało na plaży, zaledwie kilka kroków od krawędzi wody. Latarnia morska była wysoka na kolejne cztery piętra, w górnej partii wykonana w całości ze szkła przypominała raczej iglicę kościelną niż wieżę ostrzegawczą. Drugi budynek prawie całkowicie wtapiał się w krajobraz. Dach w maskujących kolorach skał i morskiej trawy nachylony był pod tym samym kątem, co zbocze.

– Tędy... – Paul prowadził Callie ścieżką wysypaną drobnymi kamyczkami, po czerwonym granicie i na tył domu, do drzwi ukrytych od strony oceanu.

Do lotu zerwała się wielka mewa, która upuściła małża Venus na skały, próbując rozłupać skorupę.

Weszli do domu wtopionego w zbocze wzgórza. Callie zrozumiała, że został zaprojektowany tak, aby wszystkie okna wychodziły na ocean. Paul podciągnął żaluzje, by mogli podziwiać zachód słońca. Nawet w półświatle nadciągającego zmierzchu miejsce zdawało się być zrobione ze srebrzącej się wody i złotego słońca.

Rzuciły się jej w oczy mosiężne kompasy i starodawny hełm do nurkowania, które wyglądały jak eksponaty z muzeum steampunku[18]. Zaś w centrum dużego centralnego pomieszczenia z zaskoczeniem zobaczyła coś, co wyglądało jak kolejny dom: jedno pomieszczenie z kominkiem na całą ścianę, podobnym do tego, który widziała u Ann, oraz otwartymi oknami ze szkła łączonego ołowiem.

– Ten dom był tu pierwszy – wyjaśnił Paul. – Został wybudowany w tysiąc sześćset czterdziestym roku. Mój pradziadek pragnął mieć większy dom, ale nie chciał naruszać historycznej wartości tego, więc po prostu go otoczył. Teraz mieści się tam kuchnia.

Callie musiała się nachylić, by przejść pod niską deską stropową.

– Z sześćset czterdziestego, tak?

– Mieszkała tu jedna z czarownic oskarżonych w procesie w Salem.

– Rozumiem, że była członkinią twojej rodziny.

– Obawiam się, że tak. – Uśmiechnął się.

Przeprowadził ją przez małe pomieszczenie do wyjścia po drugiej stronie, schylając się także przezornie w progu. Drzwi na drugim końcu prowadziły do salonu, w którym znajdowało się więcej steampunkowych gadżetów.

– Mój dziadek miał żylkę kolekcjonera. Wydał fortunę na te przedmioty i na wiele innych. Chodź, obejrzymy zachód słońca – powiedział Paul, kierując kroki przez salon, w stronę spiralnych schodów wiodących do szklanej wieży.

Na końcu dziewięćdziesięciu stopni znajdował się mały ośmiokątny pokój z widokiem na każdą stronę świata. Widać stąd było całe Salem Sound oraz sporą część Północnego Wybrzeża od Beverly po Manchester i na południe, do Marblehead Light. Na wprost nich znajdowały się wyspy graniczne: Miseries, Baker's, Children's i Yellow Dog.

– A to Norman's Woe. – Pokazał na skałę wystającą z morza w oddali, trzy miasteczka dalej.

– *Wrak Hesperusa* Longfellowa...

– Znasz ten wiersz?

Skinęła głową. To był jeden z jej ulubionych.

Widok zapierał dech w piersiach: słońce zachodziło nad lądem na zachód od Beverly Harbor i jego czerwienie i pomarańcze płonęły, gdy opuszczało się coraz niżej.

Paul i Callie przyglądali się, jak wschodnie niebo przygasa i zlewa się z wodą, a rozprzestrzeniający mrok zbiera nad i pod horyzontem aż – wraz z zacieraniem się dzielącej je linii – niebo pociemniało i wyłoniły się gwiazdy.

Callie czuła, że Paul stoi tuż za nią w pogrążającym się w mroku pokoju, naruszając jej osobistą przestrzeń, której zazwyczaj strzegła.

Najczęściej mężczyźni chcieli od niej jednej rzeczy i zazwyczaj ze wzajemnością. Nie uznawała trwałych związków, raczej kręciły ją przelotne romanse. Lubiła podchody, podsycanie wzajemnej fascynacji. Ale związki były zbyt skomplikowane. Jej terapeuta nazywał to strachem przed intymnością. Może tak było. Ale Callie dostrzegła w tym same korzyści. Szybkie akcje, żadnych zobowiązań – taką wyznawała filozofię.

Czy Paul Whiting też tego oczekiwał? Była właściwie przekonana, że tak.

Odwróć się, a się przekonasz – pomyślała. To byłoby bardzo proste.

Coś ją jednak powstrzymało. Nie cofnęła się ani nie odwróciła do niego twarzą. W zamian kilka dobrych minut wpatrywała się w horyzont, aż w końcu zniknął.

– Będą nas szukać... – Paul przerwał zakłęcie. Na schodach nie było oświetlenia i musieliby poruszać się w kompletnej ciemności. – Zaczekaj tu – powiedział.

Jego kroki poniosły się echem po metalowych stopniach i zrobiły tępe, kiedy wszedł na drewnianą podłogę. W końcu Callie usłyszała pyknięcie i świst, a potem zobaczyła, jak do życia budzi się stara lampa naftowa. Wrócił i schodząc po kilku ostatnich zaciemnionych schodkach, wziął dziewczynę za rękę. Lampa gazowa wypełniła główne pomieszczenie ciepłą poświatą.

Callie weszła do środka i od razu zauważyła biurko w kącie: laptop Paula był otwarty, książki i kartki rozłożone na całym blacie. Nad biurkiem wisiał obraz Minerwy, zakupiony na aukcji.

– A więc tu skończyła – powiedziała Callie.

– Bogini mądrości. Pomyślałem, że może pomoże mi w pracy. To także rzymska bogini muzyki – dodał Paul. – Co powinno cię zainteresować.

– Oraz lecznictwa, o ile dobrze pamiętam. Mądrość, lecznictwo i muzyka? – Callie przypomniała sobie opis licytatora. – Całkiem sporo. Mam nadzieję, że sowa jest skuteczna. – Przymrużyła oczy, wpatrując się w obraz. – Z bliska wygląda nieco złowieszczo.

– W wielu kulturach jest uważana za zwiastun śmierci.

– Jak banshee?

– W pewnym sensie. W języku szkockim gaelickim sowa to „cailleach”, starowina w odniesieniu do „potrójnej” bogini, czyli takiej, która łączy w sobie trzy różne role i za każdym razem jest przedstawiana jako inna kobieta. „Cailleach” czasem utożsamiana jest z banshee. Ale to celtycka mitologia. – Wzruszył ramionami. – Nie rzymska.

Callie raz jeszcze przyjrzała się sowie.

– Nie chciałabym, żeby te oczy gapiły się na mnie dzień w dzień.

– Sowa zbiera złą sławę. A tak naprawdę jest to stworzenie, które widzi to, co inni przegapiają. Niektórych można zwieść, ale jej nigdy.

– Jej?

– O tak. – Paul pokiwał głową. – Ta sowa to zdecydowanie „ona”.

Ze swojego miejsca Callie widziała sypialnię za podwójnymi drzwiami i niepościelone łóżko. Zauważył, że na nie patrzy.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Wyciągnął ją z kieszeni, zerknął na numer i wyłączył dzwonek. Ale Callie zdążyła dostrzec na wyświetlaczu imię Ann. Zaraz potem zadzwonił telefon domowy.

Rany, jaka ona natarczywa!

Tym razem Paul podniósł słuchawkę.

– Cześć, mamó.

Słuchał w skupieniu słów Emily, po czym odpowiedział:

– Oczywiście.

Rozłączył się.

– Podano do stołu.

Na zewnątrz koc mgły opadł na chłodniejszą wodę i ułożył się tam na noc.

[13] Ojcowie założyciele – amerykańscy myśliciele i działacze polityczni z trzynastu oryginalnych kolonii, którzy przywodzili Rewolucji Amerykańskiej mającej na celu odseparowanie się od Korony Brytyjskiej i przyczynili się do utworzenia niezależnych Stanów Zjednoczonych. Należą do nich między innymi Thomas Jefferson, George Washington i Benjamin Franklin.

[14] Mayflower – żaglowiec, na pokładzie którego w 1620 roku do Ameryki Północnej dopłynęli pierwsi purytańscy pielgrzymi.

[15] Mowa o powieści *Wielki Gatsby* F.S. Fitzgeralda.

[16] Speakeasy – rodzaj baru z czasów prohibicji w USA, w którym prowadzono nielegalną sprzedaż alkoholu. Nazwa wywodzi się od tego, iż klientom takich miejsc zalecano mówienie szeptem, by nie przyciągnąć uwagi policji głośnym zachowaniem (z jęz. angielskiego *speak easy* – mówić cicho, łagodnie).

[17] Currier & Ives – amerykańska firma działająca w latach 1834–1907, zajmująca się reprodukcją ilustracji. Litografie przedstawiały różnego rodzaju sceny z życia amerykańskich obywateli: pejzaże zimowe i letnie, wyścigi konne, polowania, sceny morskie, krajobrazy wiejskie, portrety itp.

[18] Steampunk – nurt w kulturze nawiązujący stylistyką do maszyn parowych i mechaniki (w odróżnieniu od pokrewnego cyberpunku, w którym tę samą rolę odgrywają maszyny elektroniczne).

ROZDZIAŁ 14



*27 listopada 2014, Święto Dziękczynienia
Pride's Crossing*

Religia jest westchnieniem uciśnionego stworzenia, sercem nieczulego świata, jest duszą bezdusznych stosunków. Religia jest opium ludu[19].

Karol Marks

Przepastną jadalnię oświetlało wyłącznie światło świec, rzucające cudowną aureolę na każdą powierzchnię z ciemnego drewna. Przestrzeń otaczały srebrne lichterze marki Sterling, przenosząc Callie w czasie do jeszcze wcześniejszego okresu niż lampa gazowa w domku nad przystanią. Na każdej możliwej powierzchni stały świeczniki ze złota, srebra i brązu, a setka małych płomieni rzucała nakładające się na siebie kręgi złotego światła. Grała łagodna muzyka. Dźwięki skrzypiec i harfy zagłuszały akompaniament syren mgłowych z odległego portu.

Kiedy tylko wszyscy usiedli do stołu, pojawiło się trzech młodych, roślących

kelnerów. Stanęli w ciszy, gotowi wyprzedzać potrzeby zebranych. Tak jak przewidziała Marta, Callie znalazła swoją winietkę obok Paula. Nawet jeśli Emily miała coś przeciwko, nie dała tego po sobie poznać. Uśmiechnęła się do swojego syna z drugiej strony stołu.

Arcybiskup McCauley wygłosił błogosławieństwo. Nie był to cytat z Biblii, a tradycyjny wiersz Carla Sandburga na Święto Dziękczynienia zatytułowany *Ogniste sny*:

*Pamiętam tu przy ognisku
Wśród tańczących czerwieni i szafranów,
Przy płynęli rozpadającą się lodzią
Pielgrzymi w wysokich kapeluszach,
Pielgrzymi o żelaznych szczękach,
Dryfujący tygodniami po wzburzonych morzach,
A w księgach jest zapisane
Że byli szczęśliwi i śpiewali Bogu.*

Callie poznała po minach swoich gospodarzy, że ten wiersz obudził duchy wspomnień. Kiedy rozejrzała się wokół, zobaczyła nagle, co pamiętają, bo na chwilę w pokoju pojawiło się więcej osób niż goście i milczący kelnerzy.

Dziewczyna patrzyła, jak cofa się czas, a historia się rozwija: Finn miał spuszczone oczy i patrzył na lewo. Obok niego siedział jego nieżyjący ojciec, teraz znów młody. Miał ten sam dołeczek w podbródku i podobny szelmowski uśmiezek. Sceneria się zmieniła i Callie była świadkiem, jak ojciec Finna we wczesnym, szemranym rodzinnym interesie zbiera pieniądze z barów w Dorchester.

Kolejna odsłona i znów byli przy stole. Dziewczyna poczuła miły zapach psiej sierści, zanim zauważyła ukochanego psa. Nie Jaspera, którego poznała dziś po południu, ale tego, którego kochali, lecz stracili – czarnobiałego springer spaniela. Leżał teraz pod stołem u stóp swojego pana, a obok niego przycupnął golden retriever. Finn zajmował miejsce u szczytu stołu, wyglądając równie majestatycznie, co celtyccy bogowie, których Callie widziała w galerii Ann. Pomiędzy Finnem a Emily siedziała babcia Paula ze strony ojca. Callie odwróciła się do Emily i jej historia stała się jasna, jakby została spisana: Córka Amerykańskiej Rewolucji, kotyliony, a potem studia i pospieszne małżeństwo wymuszone przez katolicyzm, religię, do której nigdy nie przywykła. Wyczuła także chorobę Emily, czyhającą w cieniu, którego nie dosięgało światło świec.

Callie spojrzała na Martę i wyłonił się kolejny obraz. Twarz kobiety stała się delikatniejsza, a jej oczy iskrzyły młodzieńczą niewinnością. Była w wieku nastoletnim i siedziała na pomoście przed domkiem na przystani, spuściwszy nogi

do wody. Naprzeciw niej Callie widziała plecy młodego mężczyzny. Czy to był Finn? Jego włosy były jaśniejsze, ale miały tę samą gęstość i falowaną teksturę.

– Przepraszam... – Paul zwrócił się do Callie, wydobywając ją z jej wizji. – Nie dosłyszałem, co powiedziałaś.

– Nic – odparła, machając lekceważąco ręką, nieświadoma, że odezwała się na głos.

Co takiego powiedziałam?

Rozejrzała się wokół stołu, widząc wszystkich tak jak wcześniej – nikt się na nią nie gapił. Uff. Wtedy podeszli kelnerzy z ostrygami i kawiozem.

– No dobrze. Skoro wszyscy tu są – powiedziała Emily do swojego syna – powiedz gościom, co robisz w Materze. – Callie zauważyła, że gospodyni mówi z ożywieniem, a oczy ma nieco przekrwione. – Mamy szczęście. Paul zostanie w domu aż do lutego, ponieważ trwają jakieś roboty w skalnych kościołach, które renowuje. Wszystko przez zalanie czy coś podobnego, co trzeba będzie posprzątać, zanim mój syn będzie mógł wrócić do Włoch.

Paul uśmiechnął się, czekając cierpliwie, aż matka skończy ten wywód.

– Jak większość z was wie – kontynuowała Emily – Paul pisze pracę doktorską na temat renowacji starożytnych kościołów Materzy. Ma w tym niemały udział. – W tym momencie z dumą zwróciła się do syna: – Proszę, powiedz wszystkim, co odkryła twoja ekipa.

– To przedsięwzięcie mojego promotora z Harvardu i Watykanu, wsparte grantami od włoskiego rządu. Ogólnie mówiąc, odnawiamy freski w niektórych ze skalnych kościołów – wyjaśnił Paul. – Jak dotąd odkryliśmy kilka starożytnych malowideł Jezusa i jedno Marii oraz liczne symbole wspólne dla wielu religii na całym świecie.

– Przerzuciłeś się na archeologię, Paul? – zapytała kobieta w norkach.

– Nadal koncentruję się na historii sztuki i religioznawstwie porównawczym, ale specjalizuję się w starożytnych symbolach i relikwiach religijnych. Pracuję z archeologami, aby zinterpretować to, co znajdują.

– Brzmi fascynująco – zainteresowała się właścicielka futra. – Twoja matka wspomniała, że to skalne kościoły, tak?

– Słyszałem o nich – włączył się do rozmowy Rafferty. – Czy nie są to właściwie jaskinie? Ponoć są ich setki.

– Zgadza się – przytaknął Paul. – Wszystkie wykute ręcznie w skale zwanej tufo. Ponoć nauczał w nich sam święty Piotr.

– No proszę. – Rafferty uniósł brwi. – Są aż tak stare?

Paul pokiwał głową.

– Matera jest jeszcze starsza. Na terenie dzielnicy Sassi znajdowała się prehistoryczna osada troglodytów. To jedno z najstarszych nieprzerwanie zamieszkiwanych miejsc na ziemi.

– Tufo osusza łyzy – wtrącił arcybiskup. – Nie tak się mówi?

– Właśnie tak. – Paul był podekscytowany. – Ale ludzie uważają, że ma również inne uzdrawiające właściwości. Ponoć pierwsi chrześcijanie odprawiali tam ceremonie z zastosowaniem metod, jakich nauczył ich sam Jezus.

– O jakie uzdrawianie chodzi? – zainteresowała się kobieta w futrze. – Poprzez przykładanie dłoni?

– Głównie poprzez dźwięk – wyjaśnił Paul. – Różne tonacje i długości trwania. Ważną rolę odgrywały też specyficzne śpiewy.

– Brzmi jak twoja dziedzina, Callie – zauważyła Towner.

Wszyscy przy stole spojrzeli na nią, a arcybiskup zapytał:

– A czym właściwie się zajmujesz?

– Callie leczy dźwiękami – wyjaśniła Towner.

– Jak to mówił Stephen King: „Muzyka ma w sobie magię, która koi dzikie bestie”? – zapytał McCauley, nabierając łyżkę zupy.

– Z wykształcenia jestem muzykoterapeutą – odezwała się Callie. – Ale w leczeniu dźwiękiem chodzi o coś innego. Dźwięk działa bezpośrednio na pacjenta, z pominięciem terapeuty. Często korzystam z mis podczas sesji.

– Misy są lepsze do leczenia niż na sałatki. – Towner puściła do Callie oko.

– Używasz misek sałatkowych, żeby leczyć ludzi? – zapytał Paul.

– Nie zwracaj na Towner uwagi. – Roześmiała się Callie. – Wykorzystuję mis z kryształu kwarcowego. Mam takie do każdej czakry. Różnią się rozmiarem i tonem.

Arcybiskup wydawał się być zmieszany.

– Nie rozumiem. Misy grają jakiegoś rodzaju muzykę?

– Czy przypominają te małe, mosiężne miseczki, jakich używa się w Tybecie podczas medytacji? Przejeżdżasz różdżką po obwodzie, aby uzyskać dźwięk? – zainteresował się Paul.

– Dokładnie – odparła Callie, czując większą przyjemność, niż byłaby skłonna przyznać. Jej sąsiad się uśmiechnął, a ona wiedziała: to był jego uśmiech. Nie idealnie błękitne oczy czy piaskowe włosy. Właśnie tym uśmiechem, nieco krzywym z prawej strony, zdobywał dziewczyny.

– Jedna z nich wybudziła Rose Whelan – oznajmiła Towner.

– Tak naprawdę nie wiemy, co wybudziło Rose – odparowała Callie.

– Obawiam się, że wciąż nie rozumiem. – Arcybiskup zmarszczył brwi.

Kelnerzy zabrali miseczki po zupie i zastąpili je porcjami orzechów, selera i oliwek.

Paul zanurzył palec wskazujący w szklance z wodą i przejechał nim po brzegu swojego kieliszka, aż wydał wibracyjny dźwięk.

– O tak?

Kobieta w norkach wydała z siebie bezgłośny jęk.

– Nie zrób krzywdy temu pięknemu naczyniu.

Paul się zawahał, ale Emily zlekceważyła jej troskę.

– Nie martw się. Ten kryształ jest niemal nie do zbiccia. Mamy go w rodzinie od zawsze. – Gestem nakazała synowi kontynuować.

Raz jeszcze poprowadził palec wokół brzegu, aż dźwięk stał się czysty i silny.

– To nuta G. – Callie spojrzała na arcybiskupa. – Kojarzy się ją z czakrą gardła. Uważa się, że tony mają kojący wpływ na odpowiadające im źródła energii w ciele. Gdyby więc miał ojciec zapalenie oskrzeli, mogłabym użyć dźwięków G oraz F, aby leczyć czakrę serca, która odpowiada za płuca.

– I nie jest to normalny element muzykoterapii? – zagadnęła Marta.

– W tradycyjnym ujęciu nie. Leczenie dźwiękiem to stosunkowo nowa metoda.

– Nie taka znów nowa, skoro święty Paweł posługiwał się nią w jaskiniach Matery – wtrąciła Emily.

– Święty Piotr – poprawił ją natychmiast Finn.

– A co ja powiedziałam?

– Święty Paweł – odparł, uśmiechając się na jej przejęzyczenie.

* * *

Zaserwowano gęś, dziczyznę i każdą inną potrawę, która mogła zostać podana w Nowej Anglii podczas pierwszej dziękczynnej uczyty.

Paul miał rację co do tempa picia alkoholu. Wino lało się niewyczerpanym strumieniem, z każdym daniem inny rocznik. Callie była już teraz mądrzejsza i idąc za wzorem swojego towarzysza, piła małymi łydkami.

W końcu rozmowa zeszła na Rose.

– Masz jakieś poufne informacje na temat tego morderstwa z Halloween na Gallows Hill, Rafferty? Dużo o nim piszą w internecie – zapytał Finn komendanta policji.

– To się dopiero nazywa fikcja literacka... Kobieta, która go zabiła, twierdzi, że jest banshee – wtrącił swoje trzy grosze pisarz.

– Ona go nie zabiła – szybko sprostował Rafferty. – Dzieciak umarł z powodu wylewu krwi do mózgu wywołanym przedawkowaniem narkotyków.

– Mimo wszystko – odparł na to Finn – na stronie internetowej Salem pojawiają się szalone opinie. Komentarze są coraz ostrzejsze. Ludzie domagają się ekshumacji ciał dziewczyn, które zamordowano przed laty. Jakby nie mogli się

doczekać, żeby zrzucić winę na tę kobietę.

– Co takiego? – zdumiała się Callie. Słyszała, że w Salem krąży petycja w sprawie wniosku o badania DNA. Czytała o tym w gazecie. Ale nie miała pojęcia, że ludzie tak bardzo nienawidzą Rose. Czowała, że Towner ją obserwuje.

Rafferty miał minę, jakby chciał przywalić Finnowi, ale jego żona rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie i wtrąciła się w rozmowę:

– Nie ma dowodów na to, że Rose miała cokolwiek wspólnego z tymi morderstwami. Nigdy takich nie było.

– W takim razie dlaczego nie przeprowadzić badań DNA? To jedyny sposób, żeby się upewnić, prawda? – powiedziała kobieta w norkach.

– Niekoniecznie – pospieszyła z wyjaśnieniami Towner. – Na ciałach mogą znaleźć DNA każdego, z kim ofiary weszły w bliższy kontakt tamtej nocy, w której je zamordowano. Zgadza się? – Spojrzała na męża. Po jego grymasie jasno można było poznać, że nie chce o tym rozmawiać.

– Jak mogą znaleźć jakiegokolwiek DNA dwadzieścia lat po fakcie? – zastanawiał się na głos arcybiskup. – Czy do tej pory ciała się już nie rozłożyły?

– Mogły przetrwać jakieś namacalne dowody – dołączył się pisarz. – Na przykład włosy. A jeśli morderca sam zostawił włos albo coś w tym stylu...

– Słyszałam, że pochowano je w ich halloweenowych kostiumach – powiedziała kobieta w norkach. – Że nikt nie zapłacił za to, by je zabalsamować. Czy nie przetrwałyby przynajmniej fragmenty ubrań? Na nich na pewno można by znaleźć DNA...

– Nie pochowano ich w kostiumach – odezwał się Rafferty.

– Cóż, i tak niewiele przetrwało, jeśli ciała nie zostały zabalsamowane.

Rafferty nie połknął przynęty. Zamiast tego uniósł dłoń w wymownym geście, aby wstrzymać dalszą rozmowę.

– Dobry Boże! – zawołała Emily. – Zostawmy ten temat. I znajdziemy coś mniej makabrycznego, o czym można by pomówić.

Nie po raz pierwszy Callie była wdzięczna pani Whiting za ratunek. Trzęsła się jej ręka, kiedy sięgała po widelec. Czy to się działo naprawdę? Myśl o tym, że mieszkańcy miasta wykopią ciało jej matki i pozostałych Bogiń wywoływała w niej panikę. Dlaczego Rafferty nie poinformował jej, że poważnie rozważają ekshumację? Czowała, jak on i Towner na nią patrzą. Sięgnęła po kieliszek i upiła duży łyk wina.

Przy stole zapadła długa cisza.

W końcu Finn spełnił prośbę żony.

– A jakie są inne wieści zza mostu? Słyszałem, że mój przyjaciel, Mickey Doherty, otworzył dwa nowe nawiedzone domy – zagał.

– Och, uwielbiam Mickeya Doherty'ego – włączyła się natychmiast Emily, zachęcona nowym tematem. – To taki zabawny człowiek.

– Każdy, kto zarabia na życie, odgrywając pirata, jak dla mnie jest w porządku. Pochwalam kreatywne zarobkowanie – skomentował Finn.

– Słyszałam, że otworzył nowy interes na boku i sprawdza genealogię turystów aż do procesów czarownic z Salem – powiedziała Towner.

– Zrobił z tego biznes? – Emily wydawała się zaskoczona.

– Pewnie. Sześć stopni oddalenia i tym podobne. Założę się, że wielu turystów może znaleźć jakiś związek, jeśli poszukają wystarczająco głęboko. Podobnie jak każdy, kogo rodzina mieszka w tej okolicy wystarczająco długo – powiedział Paul, zwracając się do Callie z wyjaśnieniem.

Finn zgodnie pokiwał głową, dodając ze względu na Callie:

– Wiele osób, których rodziny mieszkają tu od pokoleń, jest spokrewnionych ze straconymi czarownicami.

– Niektórzy mieszkający tu od pokoleń ludzie mają w rodzinie zarówno oskarżonych, jak i oskarżycieli... – Marta patrzyła bezpośrednio na Finna.

– Marta ma i jednych, i drugich – wyjaśniła Emily. – Stara pani Hathorne była po obu stronach w różnych momentach trwania tej historii. Jeśli się nie mylę, jest też spokrewniona z Rebeccą Nurse.

Callie spojrzała na Martę. Rafferty też.

– Nie, nie z Rebeccą Nurse – wyjaśniła Marta. – Ale faktycznie, na naszym drzewie genealogicznym były inne skazane, podobnie jak u Whitingów. Wystarczy odpowiednio daleko się cofnąć, a wszyscy moglibyśmy zostać oskarżeni o spiskowanie z diabłem.

– Chyba nie trzymasz się tej błędnej mitologii – odezwał się do niej Finn. – Nadal uważasz, że w Salem wywołano szatana?

– Osobiście nie – odparowała Marta. – Ale nawet wielu oskarżycieli zaczęło wierzyć, że mylili się co do oskarżonych, choć nadal trwali w przekonaniu, że wywołano złego ducha. Doszli do wniosku, że cały ten epizod to były „szatańskie omamy”. A oni zostali, jak by to powiedzieć, wysłani pod niewłaściwy adres.

– Co masz na myśli? – zapytał Paul.

– Diabeł to słynny oszust – wtrącił się arcybiskup.

– Niech ojciec uważa, co mówi – ostrzegł go Finn, po czym zwrócił się do Marty: – Wy, protestanci, lekką ręką przyczepiacie etykiety. My jesteśmy katolikami, a katolicy byli dla tych ludzi diabłem. Katolicy i rdzenni Amerykanie. I nie zapominajmy o kwakrach. Wieszali ich z miejsca jako sługi szatana.

Marta wzruszyła ramionami.

– To nie są moje religijne przekonania. – Popatrzyła na Callie. – Mówię ci jedynie, że, ich zdaniem, szatan się wymknął. Nie było go tylko w miejscach, w których szukali. Scysja z katolikami zapowiadała się już od dawna – dodała. – Jeszcze w Anglii katolicy sądzili i skazywali ludzi, głównie purytanów. Więc wraz z purytanami do Nowego Świata przyplęnęła głęboka nienawiść i chęć zemsty.

– Po reformacji Anglia nie była najlepszym miejscem dla katolików – podsumował Finn. – Moja katolicka rodzina przyłączyła się do trzeciej wyprawy statku Mayflower, żywiąc błędne przekonanie, że w Nowym Świecie uniknie prześladowań na tle religijnym. Gdy znaleźliśmy się w Salem, zastaliśmy w nim samych purytanów – ludzi, którzy nienawidzili nas najbardziej ze wszystkich. Whitingowie szybko się stamtąd przeprowadzili i osiedlili w miejscu, które dziś zwie się Pride’s Crossing. Mimo to musieli praktykować swoją religię w sekrecie. W pobliżu nie było żadnego duchownego, bo za głoszenie katolickich nauk groziły stryczek.

– Pride’s Crossing stało się enklawą wyrzutków – wtrąciła Emily.

– Nadal nią jest – zażartował Paul.

– Ale mówiłaś, że twoja rodzina była purytańska... – powiedziała Callie do Marty.

– Tyle że rodzinę Marty już raz wcześniej podejrzewano o czary – wyjaśniła Emily. – Zgadza się?

– Jak miło, że znów o tym wspomniałaś. – Marta uśmiechnęła się do pani Whiting, po czym zwróciła do Callie: – Mimo że członkowie mojej rodziny byli spokrewnieni z jednym ze skazujących sędziów, postanowili, że w tych okolicznościach będzie najlepiej, jeśli nieco oddalą się od centrum miasta.

– Podobnie jak moja rodzina – odezwał się Finn.

– Ale żona Whitinga i wdowa Hathorne zaczęły oskarżać się nawzajem – dodał Paul. – I obie skończyły w więzieniu.

– Czy sąd w Salem chciał w ogóle wysłuchać oskarżenia wysuwanego przez katoliczkę? – McCauley wydawał się zszokowany.

– Wtedy już wszyscy oskarżali wszystkich i nikt nie czuł się bezpieczny. Purytanie uważali, że diabeł może czaić się wszędzie. Wszyscy wiedzieli, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Ale procesy dobiegały końca, więc nikogo nie stracono. Sąd karny został rozwiązany, zakwestionowano też dowody spektralne[20]. Wszystko się skończyło, kiedy oskarżono żonę gubernatora.

Callie czuła się coraz bardziej niezręcznie. Rozmowy o ekshumacji uaktywniły mrok z jej przeszłości: wokół niej czaiły się jej najgłębsze lęki, próbując dołączyć do niej przy stole: morderstwa, koszmary, to zawsze obecne coś... Upiła kolejny łyk wina, którego właśnie dolał jej kelner.

– A co z banshee? Czy one też nie są na usługach diabła? – zapytała kobieta w norkach.

– I znów zaczynamy... – Emily była sfrustrowana.

– Zgodnie z historią Kościoła banshee wywodzą się od opłacanych płaczek – wyjaśnił arcybiskup McCauley. – To pozostałość po religiach pogańskich. Im więcej płaczek mogła opłacić rodzina, tym wyższy miała status. Kiedy do Irlandii przybyli pierwsi księża, zakazali tej praktyki. Płaczkami były głównie kobiety.

Miały długie włosy, których nie zakrywały, co w tamtych czasach było zabronione. A potrafiły niewiarygodnie głośno lamentować. Mit o banshee wywodzi się właśnie od tych kobiet. Księża zabronili lamentu, przez co płaczki stały się żebraczkami.

– Pozwolili im umrzeć z głodu? – Kobieta w norkach miała na tyle przyzwoitości, by okazać swoje oburzenie.

– Nie, ale te kobiety musiały odtąd zdać się na łaskę Kościoła, aby przeżyć.

Przez twarz Marty przebiegł cień.

– Uroczo...

– Łatwiej im było przyjąć nową wiarę. A o to właśnie chodziło – kontynuował McCauley. – Nie pochwalam tego zachowania, tak jak nie pochwalam głoszenia wiary poprzez programy misjonarskie jakiegokolwiek zorganizowanej religii.

– I to wszystko w kwestii legendy o banshee? Jakieś odtrącone przez społeczeństwo płaczki, które zostały nawrócone? – Właścicielka futra była wyraźnie rozczarowana.

– Historia, którą ja słyszałam, głosi, że one należały do panteonu celtyckich bogiń odsuniętych przez wczesnochrześcijański kler. – Paul włączył się do ogólnej rozmowy.

Zabrzmiało to podobnie do historii, którą Rose opowiedziała Callie tego samego popołudnia.

– To może być prawda – przyznał arcybiskup. – Księża z pewnością chcieli, by Celtowie porzucili pogańskie zwyczaje. Ale niektóre z rodzin zatrudniających płaczki twierdzą, że one nadal istnieją. Kościół może i próbował wymazać, a nawet wchłonąć wczesne wierzenia, ale one często się utrzymały albo... przekształciły w coś nowego. W tym wypadku jako omen: banshee stała się postacią ze świata duchów, zwiastującą śmierć.

– Ale nigdy nie uznawano banshee za ludzi, prawda? – zapytała Towner, powtarzając coś, o co wcześniej zapytał Rafferty.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. – Arcybiskup wzruszył lekko ramionami.

– A ja słyszałam, że mówi się o nich jak o duchach przewidujących śmierć. – Kobieta w norkach wydała z siebie jęk.

Milczący dotąd baseballista włączył się, nucąc muzykę ze *Strefy mroku*.

Towner zerknęła na Rafferty'ego, jak gdyby mógł coś w tej kwestii dodać, ale komendant nic nie powiedział.

– Niezależnie od tego, czy są ludźmi, czy duchami, nikt nie wierzy, że to morderczynie – powiedziała Towner.

– Sądzisz, że w środku każdy z nas jest mordercą? – Kiedy Callie wypowiedziała te słowa, wszystkie pary oczu spoczęły na niej.

– Co takiego? – zdumiała się Towner.

Callie nie była świadoma, że wypowiedziała te słowa na głos. Była zszokowana. Nie miała pojęcia, skąd się w niej wzięły ani co oznaczały, ale czuła na sobie uporczywy wzrok Rafferty'ego.

Świetnie. Teraz podejrzewa mnie komendant policji.

– Nic – mruknęła. – Przepraszam.

* * *

Była prawie północ, kiedy skończyli jeść i Finn zaprosił wszystkich z powrotem do biblioteki na porto i sery. Callie znalazła się w ogniu grupy. Potknęła się o próg.

– Jesteś zmęczona – zauważyła Towner. – Chyba nikt się nie obrazi, jeśli zrezygnujesz z porto.

– Rzeczywiście, jestem zmęczona – powtórzyła Callie, natychmiast wylapując podtekst Towner.

– Zapewniam cię, że niewiele mnie wyprzedzisz. – Emily dołączyła do nich. – Bardzo nam miło gościć cię w naszym domu, Callie. Zobaczymy się rano. – Uśmiechnęła się. – Ale nie za wcześnie. Uroda potrzebuje snu. – Zdawała się mówić szczerze, choć jej słowa i mina zdawały się sobie przeczyć.

– Jadę do domu. – Marta podeszła do rozmawiających.

– Paul ma cię odprowadzić przez las? – zapytała Emily w tej samej chwili, gdy jej mąż przyszedł zgarnąć maruderów.

– Ja mogę cię odprowadzić – zareagował na to Finn.

– Nikt nie musi mnie odprowadzać. – Ton Marty był stanowczy. – Mój samochód stoi tuż przed domem.

Callie przeprosiła towarzystwo, podziękowała wszystkim i życzyła dobrej nocy. Była na wpół świadoma spojrzeń, które odprowadziły ją po schodach. Próbowała iść, nie trzymając się poręczy, ale było jej trudno. Miała nadzieję, że nie przysporzyła sobie zbyt wiele wstydu przy obiedzie. Towner miała słuszość, podsuwając jej wymówkę, aby opuścić gości.

Wróciła do swojego ciepłego pokoju, rozjaśnionego teraz delikatną poświatą kominkowego ognia. Łóżko zostało pościelone i leżał na nim miękki szlafrok. Nie była tylko zmęczona. Była wyczerpana. W dodatku pijana. Przebrała się w koszulę nocną, myśląc o tym, że obiecała Emily spotkać się na wspólnej sesji następnego ranka. Oby nie miała kaca. Kiedy wieszala sukienkę w szafie, straciła kurtkę z wieszaka i coś wypadło na podłogę: pergaminowa koperta od Ann.

Wkładaj je co wieczór pod poduszkę, aby złe duchy nie pojawiały się w twoich snach.

Callie prychnęła. Niedoczekanie.

Wyjrzała za okno w samą porę, by zobaczyć, jak Paul wycofuje samochód i zatrzymuje się na moment, po czym skręca w lewo i kieruje się w stronę Salem. Jak przypuszczała, jechał na spotkanie z Ann Chase.

Usiadła na łóżku i wypuściła powietrze z płuc, opadając na poduszki i wpatrując się w saszetkę. Potrząsnęła ziołami i przyłożyła kopertę do nosa. Pachniała konopiami. Bez niespodzianki. I czymś jeszcze. Anyżkiem. To nie pomogłoby jej zasnąć. Nic nie pomagało.

Przynajmniej medytacja ją odpręży. Usiadła na łóżku i oparła się na poduszkach, pozwalając swojemu ciału zanurzyć się w transie. Robiła tak każdego ranka i wieczoru. Ale dziś to nie działało. Zapach ziół był zbyt wyraźny.

Callie, nie zastanawiając się wiele, wrzuciła kopertę do kominka i patrzyła, jak zaczyna się palić, a po chwili wybucha płomieniami. W pokoju eksplodował błysk czystego światła, niemal jej dosięgając, kiedy omiótł kanapę naprzeciwko, nie pozostawił jednak po sobie śladu. Płomień zgasł równie szybko, jak zapłonął, gasząc jednocześnie ogień w kominku i pogrążając pokój w całkowitej ciemności. Odgłos wiatru wyjącego w kominie brzmiał jak banshee Rose.

Callie mogłaby przysiąc, że w oddali słyszy dzwony kościoła świętego Jakuba...

Nikt po nią nie wrócił.

Przez całą noc robiła to, co kazała jej Rose. Nie otworzyła oczu i nie wyszła ze swojej kryjówki. Palce zaciskała na różańcu, raniąc sobie dłoń, przez co krwawiła i szczypała. Ale teraz czuła ciepło słońca poprzez liście krzewu i słyszała, jak w oddali biją kościelne dzwony. Powoli wygramoliła się z krzaków i zaczęła przedzierać przez splątane drzewa, idąc po żwirowej ścieżce. Tak doszła do rozpadliny.

Na początku myślała, że żyją. Ruch gałęzi, którymi bawił się wiatr, przeszedł w hipnotyczny rytm i przez chwilę ich nieruchome ciała zdawały się tańczyć, a krew z ich ran pulsowała wraz z biciem jej własnego serca. Wschodni wiatr niósł zapach nadciągającej pogody. Muzyka sfer grała żałobne requiem na splątanych gałęziach i w końcu to muzyka sprawiła, że zrozumiała, co widzi.

To była jej matka i pozostałe Boginie. I wszystkie, które były przed nimi. Oskarżone i stracone kobiety z Salem. Krwawa mogiła.

Kołodowski.

[20] Dowody spektralne – materiał dowodowy oparty na snach i wizjach, dopuszczony przez sędziego Williama Stoughtona podczas procesów o czary.

ROZDZIAŁ 15

28 listopada 2014
Pride's Crossing

Te, które skazano na śmierć przez powieszenie, nigdy nie przyznały się do odprawiania czarów.

Te, które się przyznały, oszczędzono.
Rose Whelan, Czarownice z Salem

Bon podarunkowy zrobiony przez Towner stał oparty na szklanym stoliku w oranżerii, gdzie Callie umówiła się tego ranka z Emily. Pomieszczenie, wykonane ze szkła, pełne było światła i oceanicznego powietrza. Wzdłuż wyglądającego na południe okna stały donice z roślinami cytrusowymi, a ich aromat łączył się z zapachem oceanu.

– Przepraszam cię, że mój syn zachowuje się dziś rano tak niegrzecznie.

– To znaczy? – zapytała Callie.

Czuła się wyczerpana przez nocne koszmary, a mimo to nie umknęło jej

uwadze, jaki żółty odcień ma skóra Emily w porannym świetle.

– Okazuje się, że ostatnią noc spędził w Salem. – Emily wyjrzała przez okno na rozległy trawnik, soczyście zielony na tę porę roku. – Obawiam się, że nie jest zbyt dobrym gospodarzem. Zaprosił cię, powinien się więc tobą zająć.

– Do tej pory zabawiał mnie wystarczająco. – Callie ucięła rozmowę.

Podejrzewała, że Emily lubi ją nie bardziej niż Ann Chase. Na wspomnienie, że Paul spędził noc z Ann, powróciły do Callie przebłyski z jej snu: dzwony, hipnotyczny rytm drzew oraz... saszetka ziół, która wybuchła płomieniami. A może to nie był element jej snu?

– Nie musisz tego robić – powiedziała Emily, wskazując ręką na bon podarunkowy. – Tej całej... muzyki.

– Z tego, co wiem, próbowałaś już wcześniej tradycyjnej muzykoterapii, tak?

– Po jednej z operacji.

– Pomogła?

Emily wzruszyła ramionami.

– Nie bardzo.

Callie dłużej przyjrzała się pani Whiting w naturalnym świetle.

– Twoja cera kiepsko wygląda.

– Mam niewydolność wątroby, co oznacza, że wstrzymają moją chemioterapię. Ale mój mąż nie spocznie, dopóki nie znajdzie kolejnej metody leczenia, której nie będę miała ochoty znosić.

– Medytujesz?

– Nie jestem w stanie ćwiczyć jogi. – Emily uniosła brwi. – Mam zbyt kruche kości.

– Nie myślałam o postawach jogowych, a raczej o ćwiczeniach relaksacyjnych na leżać, jeśli chciałabyś spróbować.

– Niech będzie – odparła Emily, wzruszając ramionami.

– Usiądź tutaj – zaproponowała Callie, pokazując na puchaty fotel w rogu.

Emily podeszła do niego i przysiadła sztywno na krawędzi siedziska. Robiła wrażenie, jakby sprawiała przyjemność idiotce.

Terapeutka włączyła łagodną muzykę: utwory solowe Bacha na wiolonczelę.

– Yo-Yo Ma. – Emily bezbłędnie rozpoznała grę słynnego wiolonczelisty.

– Dobry wybór?

– To się okaże.

– Osiągnęłam przy nim wiele pozytywnych rezultatów. – Wiolonczela dawała idealną równowagę metrum nieparzystego i parzystego. Równomiernie temperowane kompozycje Bacha odnosiły odwrotny efekt. Ale Callie lubiła Bacha. Jego zmiany tonacji często pomagały w wydobyciu konkretnych blokad energii u pacjenta. I w opinii Callie nikt nie wyrażał kompozycji Bacha na wiolonczeli lepiej niż Yo-Yo Ma.

Callie dostosowała kontrolki dźwięku, podkreślając lekko basy, a potem wzięła z kanapy małą poduszkę i delikatnie umieściła ją za plecami Emily.

– Lepiej?

– Tak.

– Czujesz jakiś ból albo dyskomfort?

– Nie.

– No to w porządku. Zamknij oczy i przez kilka minut wsłuchaj się w muzykę. – Ten utwór zawsze kojarzył się Callie z wodą. – Zanurz się w nią.

Niedawno słyszała wywiad z Yo-Yo Ma. Artysta powiedział, że w *Suicie numer 1 G-dur* chodziło przede wszystkim o to, by płynęła. Terapeutka ujęła dłonie Emily i położyła jedną na niej kolanie, a drugą na oparciu fotela, wnętrzem do góry. Następnie cofnęła się i zaczęła obserwować pacjentkę.

Po kilku minutach Emily oparła się wygodniej na fotelu. Zamiast cokolwiek powiedzieć, Callie zaśpiewała składowe harmoniczne: trzecie i piąte. Następnie zamknęła oczy i zaczęła wydobywać przypadkowe tony, próbując znaleźć nutę bazową, która wibrowałaby w trzonie jestestwa Emily. W przeciwieństwie do nuty bazowej Rose Callie z łatwością określiła nutę pani Whiting: nadal była bardzo silna. Ale ludzie potrzebują równowagi wszystkich częstotliwości, by doświadczyć stabilności. Podobnie jak w przypadku wielu innych chorych ludzi, z którymi Callie miała do czynienia, dla dziewczyny stało się jasne, że Emily brakuje niektórych z nich. Poprzez śpiewanie różnych nut i budowanie dźwięków z otwartych samogłosek Callie była w stanie uzupełnić brakujące tony.

Szybko zauważyła, że ma to dobry wpływ na Emily. Mięśnie kobiety się rozluźniły, głębiej zapadła się w fotel.

– Jak się czujesz? – zapytała miękko Callie.

– W porządku.

– Świetnie. Więc muzyka zostaje.

Yo-Yo Ma nadal grał suitę, a Callie przestała śpiewać, w miarę jak dźwięki stawały się niższe. Patrzyła, jak muzyka porywa Emily. Kiedy tony wiolonczeli zaczęły się podnosić, Emily zharmonizowała się z nimi po raz drugi, jakby unosiła się nad wodą. Oddech chorej zwolnił, najwyraźniej naprawdę relaksowała się w fotelu. Na zewnątrz fale rytmicznie rozbijały się o granitowy klif, tworząc poniżej własny kontrapunkt.

Callie usiadła w fotelu naprzeciwko i szybko zapadła w trans. Pozostała w nim przez chwilę, zanim pozwoliła swojemu oddechowi zsynchronizować się z oddechem Emily. Zapach pomarańczy stał się głębszy, a Callie rozpoznała uczucie spadania, jakie często towarzyszyło procesowi łączenia się z pacjentem. Pozwoliła mu sobą zawładnąć. Szukała nowotworu, rozglądała się za nieuniknionym wstrzymaniem oddechu, tam gdzie muzyka przeskakiwała i chwyciła się szorstkich krawędzi choroby. Klatka piersiowa była czysta. Jeśli

kiedyś trawił ją rak, teraz nie było po nim śladu. Raz i drugi Callie przeszła przez ciało Emily. Może nie czuła nowotworu, ale wiedziała, że coś zagnieździło się w wątrobie pacjentki. Dwa płyty. Jeden był zielony jak trawnik za oknem, miał też podobną teksturę. W zieleni znajdowała się łąka czegoś brązowego, a głębiej jeszcze ciemniejszy przedmiot, którego terapeutka nie była w stanie rozpoznać. Kiedy próbowała rozszyfrować jego znaczenie, muzyka zmieniła się ze suity Bacha w głośniejszą kakofonię dźwięków. Muzyka organowa? Przypominała jej kościół. Nie – przeciwieństwo kościoła. Dźwięk wyrwał ją z transu, oczy nagle się otworzyły. Muzyka organowa zniknęła, Bach powrócił.

Co, do cholery, się tu przed chwilą stało?

Z ulgą zorientowała się, że cokolwiek to było, nie miało wpływu na Emily, która nadal siedziała z zamkniętymi oczami, trzymając dłonie tam, gdzie Callie je umieściła. Jej mięśnie były wiotkie, twarz złagodniała. Callie wyłączyła muzykę i otworzyła okno szerzej, na ocean znajdujący się poniżej, biorąc kilka głębokich wdechów, aby się opanować. Dzień był ciepły, a słońce wypełniało pokój światłem. Jedynym odgłosem przerywającym ciszę był szum fal uderzających o skały.

W końcu Emily otworzyła oczy.

– Jak się czujesz? – zapytała Callie.

Na policzkach Emily znów pojawił się kolor, kobieta była rozluźniona.

– Bez zmian – brzmiała odpowiedź. – Nie widzę żadnej różnicy. Jak długo już tu siedzę?

– Krótko – odparła Callie. – Nieco ponad godzinę.

Emily miała zaskoczoną minę.

– No cóż, przynajmniej muzyka była wspaniała.

Callie nie przeszkadzało to, że Emily nie chce się przyznać do odczuwanej poprawy. Nie było to niczym niespotykanym, że pacjent nie zauważał subtelnej zmiany, jaka w nim zachodziła.

– Powinnaś teraz odpocząć – powiedziała Callie. Ona też potrzebowała wytchnienia. Często odczuwała energię uwolnioną podczas sesji terapeutycznych i zwykle była w stanie szybko się z niej otrząsnąć. Ale ta sesja przebiegała nietypowo. Co takiego widziała? I, co ważniejsze, co słyszała? – Chcesz zamknąć okno?

– Nie. – Emily odrzuciła propozycję Callie. – Zostaw otwarte. Przyda mi się świeże powietrze.

– O, świetnie! – Usłyszały głos Paula, który wszedł poprzez frontowe drzwi, kiedy Callie zbierała się do swojego pokoju. – Szukałem cię. Towner i Rafferty musieli nagle wyjechać wcześniej rano. Coś w związku z Yellow Dog.

Callie była zaskoczona tą nieoczekiwaną zmianą planów.

– Nic im nie jest?

– Chyba nie. Prosimy tylko, żebyś dał ci znać.
– Aha – odparła, zastanawiając się, co teraz zrobić. Czy ma mimo wszystko zostać na weekend? Czy Rafferty i Towner zamierzali wrócić?
– Chodźmy się przejechać.
Zmarszczyła czoło. Naprawdę powinna znaleźć trochę czasu dla siebie.
– Jestem zmęczona.
Spojrzał na nią z niedowierzaniem.
– Niemożliwe. Jest dopiero południe.
– Potrzebuję odpoczynku po sesji.
– Wyglądasz na wypoczętą.
– Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego... – Callie zmierzyła go wzrokiem. – Ciężka noc?
– Co? – Zrobił minę niewiniątka.
– Twoja mama uważa, że jesteś niegrzeczny.
Roześmiał się lekceważąco.
– Moja matka twierdzi, że jestem idealny.
Callie pokręciła głową i rzuciła mu porozumiewawczy uśmiešek.
– Co innego opowiada za twoimi plecami.
– Daj spokój. Daj mi odkupić winy. – Uśmiechnął się.
Ach, ten uśmiech!
– Chcę ci coś pokazać.
– Co? – zapytała podejrzliwie.
– To niespodzianka. – Wziął ją za rękę i poprowadził do wyjścia. Jego stary MG stał zaparkowany na podjeździe.

Zatrzymała się przed drzwiami. Może przejażdżka oczyści jej umysł? Odkąd pojawiła się w tym domu, miała dziwne wizje. A słyszała jeszcze dziwniejsze rzeczy. Odgłos wiatru wczoraj w nocy... Wzdrygnęła się na samą myśl. Miło byłoby się stąd wydostać. Pojedzie, ale tylko z tego powodu.

Paul otworzył jej drzwiczki pasażera, po czym obszedł auto i wsiadł od drugiej strony.

Na końcu długiego zwirowego podjazdu skręcił na drogę numer 127, wzdłuż wybrzeża w stronę Gloucester. Urokliwa trasa, od czasu do czasu usiana największymi latarniami morskimi, jakie Callie widziała w życiu, prowadziła pomiędzy lasami a połacią oceanu. Wydawała się bardzo znajoma. Czy jechała tędy z matką, kiedy była dzieckiem? Mało prawdopodobne. Jej matka nie miała samochodu, a przynajmniej Callie tego nie pamiętała, choć zachowała przelotne wspomnienie tego, jak ktoś prowadzi samochód. Tak czy inaczej droga wzdłuż brzegu była znajoma w sposób, który ją zaskoczył, a każdy wiraż odsłaniał widok, jakiego nigdy przedtem nie widziała, choć w jakiś sposób przewidywała, że tam będzie.

Przejechali przez Pride's Crossing, Beverly Farms i Manchester-by-the-Sea. Za Magnolią i jej baldachimem z konarów drzew znaleźli się w Gloucester. Paul skręcił w prawo na boczną szosę, wzdłuż brzegu, po czym zjechał w lewo na pusty parking. Zatrzymał auto na końcu pod wielkim dębem i wyłączył silnik.

– Jesteśmy na miejscu. – Wychylił się, żeby otworzyć jej drzwi, po czym podbiegł do niej.

Poprowadził ją po stromych schodach. Po lewej minęli wielki gmach. Schody prowadziły dalej w dół, im niżej, tym bardziej stromo. Wziął ją za rękę.

– Co to za miejsce?

– Hammond Castle – powiedział.

Kiedy znaleźli się na dole schodów, spojrzała na lewo, po raz pierwszy zauważając gotycką konstrukcję zamku. Stała jak wryta. Był to obraz, który od lat nawiedzał ją w snach. Wiedziała, co jest za tymi drzwiami: ogromny pokój z rozetą w oknie i wielkimi organami, które niosły się tak głośnym echem, że doprowadzały ją do płaczu. Zawsze zakładała, że wizja pochodzi z bajek, które co wieczór czytała jej Rose, z historii o bogach i boginiach, królach i bitwach.

Puściła rękę Paula.

– Callie? Coś się stało?

– Już tu byłam – szepnęła.

– Aha – odpowiedział rozczarowanym tonem. – Cóż, możemy wrócić. Poza sezonem zamek i tak jest zamknięty. Zostanie otwarty dla turystów dopiero w kwietniu.

– Nie rozumiem – odparła. – W takim razie po co tu przyjechaliśmy?

– Nie przywiozłem cię tu, aby oglądać zamek. Przywiozłem cię tu, by robić coś innego. Ale jeśli już byłaś...

– Nie musimy wracać – przerwała mu Callie. – Mam tylko déjà vu. – Uśmiechnęła się, odzyskując nad sobą opanowanie. – Pokaż mi to, co chciałeś, bym zobaczyła.

Paul odwrócił się w lewo i poprowadził ją na dziedziniec pełen wysokich kamiennych łuków, z których każdy tworzył ramę dla zachwycającej połaci oceanu. Znów wziął ją za rękę, ale tym razem odwrócił się w prawo, prowadząc swoją towarzyszkę po kolejnych schodach, aż znaleźli się na trawniku przed rezydencją mieszkalną. Poznała to miejsce. Był to ten sam zielony obszar, który widziała wcześniej na wątrobie Emily i ta sama brązowa plama na środku trawnika na zboczu. Poniżej znajdował się zacieniony przedmiot, nad którym tak bardzo chciała się skoncentrować podczas sesji terapeutycznej. Był on, jak się teraz przekonała, małą wyspą kilkadziesiąt metrów poniżej.

– To Norman's Woe – powiedział Paul, wskazując na skały. – Zginęło tam dwudziestu ludzi. Podczas strasznej burzy szkuner o nazwie Favorite osiadł na mieliźnie przy skale. Do części wraku była przywiązana kobieta...

– *Wrak Hesperusa...* – Odetchnęła z ulgą. – Wspominałeś o nim wczoraj.

Wróciły do niej strofy wiersza Longfellowa, które Rose tak często jej recytowała.

Złożyła razem dłonie na wysokości talii wnętrzami do siebie, palce lewej dłoni zwracając w prawo, a palce prawej w lewo, przeplatając je tak, że jedne były na górze, a drugie pod spodem, jak nauczyła ją Rose, i zaczęła recytować ze staromodnymi pauzami i wyrazistą modulacją:

*Na piersi sól zmrożoną miała
A w oczach lzy słone
Włosy zaś jak brunatne algi
Przez kłęby fal wznoszone.*

*Tak legł wrak Hesperusa
Pośród zamieci, w ciemności!
Chryste, zachowaj nas od śmierci
Na morskich skał wyniosłości[21].*

– Nie tylko brzuchomówczyń, ale i deklamatorka... – Paul wydawał się rozbawiony.

– Mówiłam ci, że mam wiele talentów – odparła, z lekka dygając, tak jak zawsze kazała jej Rose po zakończonej recytacji.

– Masz jeszcze jakieś talenty, o których nie wiem? – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Będziesz musiał poczekać, żeby się przekonać – odpowiedziała, odwzajemniając uśmiech.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się sławnej skale.

– Jest mniejsza, niż sobie wyobrażałam – przyznała.

Pewnego dnia, kiedy wyjątkowo tęskniła za matką i Rose, Callie wyszukała gdzieś ten wiersz. Odkryła, że Henry Wadsworth Longfellow pozwolił sobie na pewne modyfikacje, czyniąc ze starszej kobiety młodą i piękną córkę kapitana. Została przywiązana do masztu statku po to, by nie utonęła, ale rezultat okazał się nieoczekiwanie tragiczny. Kiedy odnaleziono dziewczynę nadal przywiązaną do szczątków wraku, była już martwa. Zamarzła.

– Trudno sobie wyobrazić, że statek osiadł tutaj na mieliźnie – powiedziała Callie.

– Nie daj się nabrać. Miejsce jest zdradliwe. Pod wodą znajduje się rafa. Od tysiąc sześćset trzydziestego roku na tych skałach rozbiło się przynajmniej dwadzieścia okrętów. Zatonął tu jeden z pierwszych purytańskich statków, co samo w sobie stanowi epicką historię. I są jeszcze samobójstwa.

– Samobójstwa?
– I to liczne. Między innymi ojciec Marty Hathorne. Skoczył prosto w kłęby wody. – Głos Paula brzmiał chłodno.
– Ojciec Marty Hathorne...
– Musisz to zobaczyć – powiedział, zmieniając temat i prowadząc dziewczynę pospiesznie przez wielki trawnik na drugą stronę zamku i na granitowe zbocze. Wspięli się po nim, ile tylko zdołali, po czym usiedli na skałach.

Callie zdała sobie sprawę, że ma tę samą perspektywę na krajobraz jak wtedy, kiedy medytowała z Emily. Poczowała ulgę, że jest w stanie go umiejscowić. Rzeczy często przydarzały jej się w ten sposób, bez kontekstu czasowego. I nie chodziło tylko o to, co ludzie mieli zamiar powiedzieć. Widywała też obrazy. W jej wizjach działały się rzeczy, zanim miały miejsce w czasie rzeczywistym. Uznawała to za pewnego rodzaju odwrócone déj à vu. Przez lata zdołała się już przyzwyczaić do tej osobliwości.

Długo siedzieli na skałach. Słońce było hipnotyzujące. Callie przyglądała się przez chwilę morzu, a potem, nadal nie mogąc dostrzec zdradliwej rafy pod powierzchnią, zerknęła w górę, na drobne kłęby chmur, które powoli przemieszczały się z zachodu na wschód, i pozwoliła ciepłu rozprzestrzenić się po całym ciele. Czowała, że zaczyna przysypiać i nie walczyła z tym...

– A kim ty jesteś, dziewczynko? – Nachylała się nad nią kobieta w czerwieni. Na twarzy miała wyszywaną koralikami maskę.

Callie stała na środku sali balowej zamku. Muzyka organowa rozbrzmiewała z sąsiedniego pomieszczenia, a wysokie sufity odbijały dźwięk echem, tworząc kościelny nastrój, który wyraźnie kontrastował z odzianymi w maski i kostiumy uczestnikami przyjęcia.

– Jestem Alicją z Krainy Czarów.

– Wiesz, kim ja jestem? – Kobieta miała wielokolorowe włosy: złote, niebieskie i w kilku odcieniach czerwieni. – Znam cię – dodała.

– Królową Kier? – zapytała Callie, mając nadzieję, że się myli. Leah planowała się za nią przebrać i nie byłaby zadowolona, gdyby ktoś inny wpadł na ten sam pomysł. Callie rozejrzała się dookoła. Leah nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

– Nie, nie jestem Królową Kier, ale to dobry pomysł. Podejdź bliżej, a ci podpowiem. – Czerwona kobieta wyciągnęła z torebki małe lusteczko. – „Lustereczko, powiedz przecie...”. Pamiętasz, co było dalej?

– „Kto jest najpiękniejszy w świecie”?

– Zgadza się. Wiesz teraz, kim jestem?

– Złą Królową – domyśliła się Callie.

– Mam jeszcze inne imię – oświadczyła Zła Królowa. – Zgadniesz, jakie?

– Nie jesteś miła – odparła Callie, przypominając sobie wszystkie wersje „Królowny Śnieżki”, które czytała jej Rose, od braci Grimm po oryginalną wersję celtycką zatytułowaną „Złote drzewo i srebrne drzewo”. Baśń nigdy dobrze się nie kończyła dla Złej Królowej. Dlaczego ktoś chciałby nią być?

– Potrafię być miła – zaśmiała się Zła Królowa. – Pod warunkiem że nie jesteś Królowną Śnieżką.

– Nie jestem Królowną Śnieżką! Już ci mówiłam, jestem Alicją!

– Oczywiście – przytaknęła Zła Królowa, nachylając się do niej i dając jej powąchać zawartość swojego kielicha. Pachniał lukrecją, ulubionymi słodyczami Callie.

Dziewczynka pociągnęła nosem.

– Czy to trucizna? – zapytała, przypominając sobie baśniowe zatrute jabłko.

– W pewnym sensie. – Zła Królowa zaniósła się śmiechem. – Ale to dobra trucizna. Nazywa się Zielona Wróżka.

– Lubię wróżki – przyznała Callie. Rose czasem opowiadała jej historie o irlandzkich wróżkach. Dziewczynka nachyliła się, próbując upić łyček, ale Zła Królowa cofnęła kielich.

– Jezu, przecież ona ma dopiero pięć lat! – krzyknęła jej matka, biegnąc, by chwycić kielich, kiedy Callie wyciągnęła po niego rączki.

– Mogłabym ci zarzucić to samo, Olivio – odparowała Zła Królowa. – Co sobie myślałaś, przyprowadzając dziecko na taką imprezę?

– Wychodzimy – ucięła Olivia.

– Jeszcze nie! – Cheryl-Mysz pojawiła się nie wiadomo skąd. Mówiła cicho, tak by nie usłyszała ich Zła Królowa. – Musimy się z nim najpierw spotkać. I mam samochód.

– Jestem bardzo spóźniona, jestem bardzo spóźniona – zaśpiewała z podekscytowaniem Susan, przebrana za Marcowego Zająca. Ona również pojawiła się jakby znikąd.

Zła Królowa rzuciła jej pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Spóźnimy się na spotkanie z Rose. – Olivia przypomniała przyjaciółkom.

– Rose może poczekać – powiedziała Cheryl. – To nie będzie trwało całą noc.

– Może – skwitowała głośno Susan, wiedząc, że Królowa ich słucha. Zachichotała. – To znaczy, jeśli będzie tak, jak poprzednim razem.

– Musimy być wszystkie w komplecie – oświadczyła Olivia. – I nie ma z nami Leah.

– To, że Leah zrobiła coś głupiego, nie oznacza jeszcze, że wszystkie musimy cierpieć.

– Mamy zasady – dodała Mysz. – A Leah złamała je pierwsza.

– Rose kazała nam przestać...

– Ale Rose tu teraz nie ma – zauważyła Mysz. – A jutro wyrzuci nas z domu,

więc nie ma już prawa wypowiadać się w tej kwestii. Poza tym nie jest naszą matką.

Mysz zaczęła iść po schodach, a za nią Marcowy Zajęc, który zawołał przez ramię do Złej Królowej:

– Może do nas dołączysz? – A po chwili: – Och, zapomniałam, że to nie wchodzi w rachubę. Gad chce tylko nas.

– Nie rób tego. – Zła Królowa próbowała powstrzymać Olivię. – Dla odmiany przynajmniej raz pomyśl o dziecku.

Dwie kobiety zniknęły, a Olivia wzięła Callie na ręce i zaniósła ją do sąsiedniego, ale mniejszego pomieszczenia. Posadziła dziecko na krześle, które wyglądało jak tron.

– Zostań tutaj – nakazała. – I nie ruszaj się stąd. Z nikim nie rozmawiaj. I na miłość boską, niczego nie pij!

Zanim Callie zdążyła się odezwać, matka zniknęła na schodach za pozostałymi Boginiami.

Callie gapiała się przez szklane drzwi na trawnik przed domem, gdzie zebrala się grupa gości. Tej nocy nie świecił księżyc i dziewczynka nie była w stanie powiedzieć, gdzie kończyła się ziemia a zaczynało morze. Krzesło było twarde i bolały ją przez nie plecy. Ktoś zaczął grać akordy na organach. Dźwięki były nie tylko paskudne, ale i zbyt głośne. Aż uszy bolały. W oczach wezbrały jej łzy, ale siedziała cicho i posłusznie, zasłaniając tylko dłońmi uszy. Czy matka ją zostawiła? Krzesło wydało się jej teraz większe i jakby wyższe. Organy miały oczy i ogromne wykrzywione w grymasie usta. Rury instrumentu zamieniły się w zęby.

Callie zeszła z krzesła i zaczęła iść w stronę schodów, mijając po drodze innych gości. Kiedy raz jeszcze weszła do wielkiego pokoju, zobaczyła, jak Zła Królowa rozmawia z inną kobietą w podobnym czerwonym kostiumie. Leah płakała, coś mówiła w zapamiętaniu i krztusiła się łzami. Zła Królowa próbowała ją pocieszyć.

Nagle obie zauważyły Callie.

W oczach Leah było szaleństwo.

– Gdzie one są? – władczo zapytała Leah. Callie nigdy nie widziała nikogo tak wściekłego. – Powiedz mi, dokąd poszły!

Callie pokazała na schody.

Leah ruszyła tam, a Callie za nią.

– Zostań tu ze mną... – Zła Królowa słodko się uśmiechnęła. Callie pokręciła głową i poszła za Leah.

Schody były strome i Callie musiała iść powoli. Kiedy w końcu doszła na piętro, zobaczyła długi i ciemny korytarz z wieloma zamkniętymi drzwiami. Szła po cichu, przystając, aby posłuchać. Przy ostatnich drzwiach usłyszała podniesione, zapłakane głosy kobiet i Leah wykrzykującą oskarżenia. Na korytarzu zrobiło się strasznie. Słyszała, jak głos Złej Królowej i jej przyjaciół niesie się po schodach.

Pchnęła drzwi i krzyki wydostały się na korytarz.

– Zdradziłyście mnie! – Leah wrzeszczała do pozostałych dziewczyn.

Wszystkie tam były: Cheryl, Susan i Olivia. Na środku pokoju znajdowało się łóżko otoczone czerwonymi zasłonami z aksamitu. Mężczyzna leżący na nim próbował uspokoić Leah, która nagle przestała krzyczeć i zaczęła płakać.

– Gad – błagała Leah. – Gad, proszę. – Umilkła, kiedy zobaczyła Callie, po czym wybiegła z pokoju, odslaniając pełen profil mężczyzny na łóżku.

Callie utkwiała w nim przerażony wzrok: nigdy nie widziała nagiego mężczyzny. Za nim stała Susan, również naga, z kostiumem Białego Królika u stóp. Jej blada skóra odbijała światło świec. Mężczyzna gapił się na Callie takim wzrokiem, że dziewczynka nie była w stanie się ruszyć.

Wtedy na jego ustach powoli wypełził szelmowski uśmiech.

Krew zaczęła płynąć powoli, ściekając po ścianach cienkimi stróżkami szkarłatu. Gęstniała, otaczając wszystkich obecnych, a stróżki zamieniały się w fale rozlewające się po pokoju i zbierające w kałużę u stóp Białego Królika. Jedynym niezbrukany krwią pozostał mężczyzna na łóżku. Cheryl bezskutecznie próbowała rzucić zakłęcie magicznego kręgu, obracając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, z wyciągniętym palcem wskazującym, szybko wciągając Callie w jego ochronną przestrzeń. Nie powstrzymało to jednak biegu zdarzeń. Krew spływała coraz szybciej.

– Co robisz? – zapytała Olivia.

– Rzucam zakłęcie wiążące. Dla ochrony.

– Za późno na to – powiedziała smutno matka dziewczynki.

Krew była coraz wyżej i wyżej, a mężczyzna wciąż się uśmiechał niczym kot z Cheshire. Callie próbowała uciec, ale jego niebieskie oczy uniemożliwiały jej ruch. Rozpoznała je od razu. To były oczy Paula Whitinga...

Callie zerwała się z krzykiem.

Paul nachylał się nad nią. Wydała z siebie bezgłośny jęk i wygramoliła spod niego.

– Przepraszam! Nie chciałem cię przestraszyć – powiedział. – Chyba przyśnił ci się jakiś koszmar.

Nie myliła się. To jego oczy widziała w swoim śnie.

– Przepraszam – powtórzył Paul, teraz wyraźnie zaniepokojony. – Miałś otwarte oczy. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy śpisz, czy nie.

Wstała, starając się zapomnieć te okropne obrazy, ale nie mogła się od nich wyzwolić.

– Muszę się stąd wydostać... – Odsunęła się od niego.

– Zrobiłem coś nie tak? – zapytał zmieszany.

Choć starała się wymyślić racjonalną odpowiedź, nie potrafiła. Chciała

jedynie oddalić się od niego tak szybko, jak tylko było to możliwe. Była zarówno przestraszona, jak i zażenowana. Nie potrafiła tego ukryć.

W milczeniu pospiesznie wracali do auta.

– Przepraszam, że cię tu przywiozłem – powiedział, gdy odjeżdżali. – To był pomysł Ann. Twierdziła, że jest coś, co, jej zdaniem, powinnaś zobaczyć.

– Słucham?

– Wczoraj wieczorem. Ann powiedziała mi, że miała wizję. Że muszę cię tu przywieźć, byś zobaczyła Norman's Woe.

Callie nie odpowiedziała. Już się nie bała. Teraz czuła jedynie wściekłość.

Wracali do Pride's Heart w absolutnej ciszy.

Callie w jednej chwili wypadła z samochodu i ruszyła do drzwi przedsionka kredensowego, zanim Paul zdążył wyłączyć silnik. Kiedy sięgała po klamkę, zobaczyła Martę przy zlewie, trzymającą w dłoni jeden z kryształowych kieliszków z wczorajszej kolacji. Kobieta przyglądała mu się z zainteresowaniem, po czym, jak gdyby o czymś zdecydowała, roztrzaskała go o zlew, w tej samej chwili odskakując do tyłu, jak gdyby natychmiast pożałowała swojej impulsywności. Wyciągnęła mały odłamek szkła z dłoni i po palcach spłynęła jej cienka strużka krwi.

Krew.

Callie zacisnęła mocno powieki, broniąc się przed obrazem, który widziała na ścianie zamku, tym samym, który teraz tworzył się na ścianie przedsionka. Kiedy otworzyła oczy, obraz zniknął.

– Co to było? – W kuchni rozległ się głos Finna.

– Zbiłam jeden z kieliszków Emily. – Marta zdawała się być jednocześnie zaskoczona, jak i zmartwiona.

Finn wszedł do środka.

– Nic ci nie jest? – Spojrzał najpierw na roztrzaskane szkło, a potem obejrzał jej dłonie. – Zraniłaś się.

– To nic – odpowiedziała, cofając dłonie. Nagle zauważyła Callie stojącą w drzwiach, nieruchomą i bladą. – Ale jej nie... Callie, co się stało?

Dziewczyna się rozejrzała.

– Towner wróciła?

– Oni już nie przyjadą – powiedziała Marta. – Czy coś się stało? Gdzie Paul?

– Tutaj jestem – powiedział mężczyzna, doganiając Callie.

– Co się dzieje? – Finn zapytał syna.

– Muszę wracać do Salem – oświadczyła Callie. – Czy ktoś wie, kiedy odjeżdża najbliższy pociąg?

Finn spojrzał wymownie na Paula, czekając, by syn zaoferował pomoc. Kiedy Paul się nie odezwał, sam powiedział:

– Mój syn cię odwiezie. Prawda, Paul? – Przyglądał mu się czujnie.

– Oczywiście – płasko odpowiedział mężczyzna.

Była to ostatnia rzecz, na jaką którekolwiek z nich miało ochotę.

Ale Callie już poszła na górę i zebrała swoje rzeczy. Dłonie jej się trzęsły, gdy byle jak wpychała je do torby. W ostatniej chwili rozejrzała się po pokoju za paczuszką ziół, zastanawiając się, czy naprawdę wrzuciła ją do ognia, czy może to też była część koszmaru, jaki śniła, odkąd się tu znalazła. Nigdzie nie mogła ich znaleźć.

Zniosła swoją torbę na dół i Paul włożył ją do bagażnika. Tym razem nie obszedł auta, aby otworzyć dziewczynie drzwi, ani nie sięgnął po pas, żeby pomóc jej go zapiąć. Siedzieli na podjeździe w grobowej ciszy przez długi czas, zanim uruchomił silnik.

– Powiesz mi, co się dzieje?

– Nie mogłabym, nawet gdybym chciała.

Paul włączył radio i podkręcił głośność, wykluczając jakąkolwiek możliwość dalszej rozmowy. John Hammond śpiewał cover piosenki Roberta Johnsona *Come on in my kitchen*. Zamknęła oczy, próbując dać się opanować muzyce, kiedy jechali na południe. Powietrze robiło się coraz chłodniejsze. Próbowała się odprężyć, wymazać z pamięci wcześniejsze wspomnienie, ale było to niemożliwe.

Leah.

Nie знаła odpowiedzi, kiedy Rafferty zadał jej to pytanie, ale teraz wiedziała... Leah zdecydowanie tkwiła po uszy w tym, co robiła jej matka i dwie pozostałe Boginie.

Przypomniała sobie czerwoną sukienkę, jaką miała na sobie Leah jako Królowa Kier. Pasowała do przewodniego motywu Alicji, który je obowiązywał. Callie przeszedł dreszcz na wspomnienie ostatniego widoku matki, Susan i Cheryl, leżących na dnie rozpadliny w wymyślnych kostiumach przesączonych krwią. Najpierw zauważyła cylinder Szalonego Kapelusznika, należący do jej matki, dopiero potem ciała...

Callie zmusiła się, aby zaczerpnąć oddechu, czując przeszywający chłód głębokich wód Salem Sound sięgających daleko na wschód, w lodowate prądy Atlantyku.

[21] Fragment wiersza H.W. Longfellowa pt. *Wrak Hesperusa*.

ROZDZIAŁ 16

*28 listopada 2014
Salem*

W to, że istnieje diabeł, nikt nie wątpi, ale jednocześnie ludzie, którzy są o tym przekonani, pozostają pod jego wpływem.

Cotton Mather, On Witchcraft

Rafferty wjechał cruiserem na podjazd. Graffiti wymalowane na dębie nadal było widoczne, przebijając się przez farbę, której użyła Towner. Wsiadł z samochodu, czując się tak, jakby był po podwójnej zmianie.

Rano odebrał telefon od May. Tak jak podejrzewał, starały się kogoś wywieźć, ale nie udało się. Dostały cynk, coś, co zasugerowało May, że kobieta jest w niebezpieczeństwie, i, niestety, okazało się to prawdą.

Rafferty nadal nie wiedział, jak rozległa jest siatka May. Kiedyś uznała, że tak jest lepiej i akurat w tej kwestii się z nią zgadzał. Gdyby kiedyś był przesłuchiwany, może po prostu powiedzieć, że został wezwany, by pomóc

w poszukiwaniu zaginionej kobiety, która uciekła od maltretującego ją mężczyzny – nie musiał niczego ukrywać. Im mniej wiedział o ich siatce, tej Nowej Kolei Podziemnej, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Towner za to wiedziała bardzo dużo. Właśnie jechała do innego schroniska z kobietą, której udało się uciec tylko dzięki May, która odparła napastnika swoją strzelbą, aż przyjechał Rafferty i zabrał go do aresztu.

Chciał zadzwonić do żony, ale wiedział, że lepiej tego nie robić. Nie mógł zadawać zbyt wielu pytań, a ona nie powinna udzielać odpowiedzi. Miał jedynie nadzieję, że do transferu doszło bez dalszych incydentów. Nie mogli przecież przetrzymywać tego gościa wiecznie. I mimo że wiedział, iż jego obawy są bezpodstawne, bo były mąż nie miał pojęcia, dokąd Towner zabiera jego żonę, Rafferty czuł, że nie odetchnie, dopóki jego własna małżonka nie wróci do domu.

Pojechał na Yellow Dog prosto z Pride's Heart, a potem od razu na serię zebrań.

W pierwszym uczestniczył co rano przed pracą: podczas wszystkich lat abstynencji jedyną rzeczą, której na pewno się nauczył, było to, by „ciągle wracać”. Drugie było spotkanie informacyjne w kościele metodystów, na które zabrał Jay-Jaya, choć w opinii komendanta zdecydowanie nie był na to gotowy. Jeszcze nie dotknął dna. Kilka tygodni wcześniej przyszedł parę razy pijany do pracy i dlatego wylądował za biurkiem. Tej kary Jay-Jay nie mógł ścierpieć. Mimo to nadal pił i przez większość poranków był tak skacowany, że nie chciało mu się nawet mówić, co jak na niego było nietypowe, bo zwykle mówił za dużo.

Był chudszy niż zwykle, co oznaczało, że nie odżywia się prawidłowo, i wyglądał na zaniedbanego, choć to akurat trudniej było zauważyć, bo Jay-Jay nigdy nie grzeszył elegancją. Zdradzał wszystkie klasyczne objawy nałogu. I miał też obciążenia rodzinne. Zarówno jego ojciec, jak i brat byli alkoholikami.

Rafferty opowiedział więc Jay-Jayowi swoją historię, a przynajmniej jej część. Jak poczucie winy powstrzymywało go od trzeźwości: poczucie winy z powodu krzywdy, jaką jego picie wyrządziło jego córce i pierwszemu małżeństwu. Jak nadal codziennie się z tym zмага.

– Poczucie winy jest wrogiem trzeźwości. Jednym z powodów, dla którego nie dobrzejesz, jest to, że sądzisz, iż ci się to nie należy – powiedział mu.

Jay-Jay słuchał, ale nie reagował.

Rafferty'emu zadzwoniła komórka i wydał z siebie westchnienie ulgi, gdy zobaczył, kto dzwoni.

– Nic ci nie jest? – Dzięki Bogu, powiedziała, że nie. – Jadę z powrotem.

Nie mieli zamiaru więcej na ten temat rozmawiać.

Rafferty był tak zatopiony we własnych myślach, kiedy szedł po podjeździe, że prawie wpadł na Callie i Paula.

– Co się stało? – zapytał, patrząc na ich twarze. Na twarzy dziewczyny

malował się strach.

- Nic – powiedziała, mijając go i wchodząc do domu.
- Zrobiłeś jej coś? – Rafferty zapytał Paula.
- Najwyraźniej, choć nie mam pojęcia, co.

Mina Paula wyrażała poczucie winy i złość. Rafferty zawsze miał Paula Whitinga za dobrego chłopaka. Mimo to był przecież mężczyzną i robił wrażenie zainteresowanego Callie. Między nimi mogło zajść właściwie wszystko. Może to zdarzenia tego dnia wywołały w nim podejrzliwość? Coś go gnębiło...

Słowa Callie, a raczej słowa Rose wypowiedziane przez nią podczas wczorajszego dziękczynnego obiadu.

Sądziś, że gdzieś w środku każdy z nas jest mordercą?

Czy Callie usłyszała to od Rose? Czy Rose powiedziała jej to, co wie na jego temat? Rafferty w to wątpił. Najbardziej gnębiło go to, że myślał o słowach Rose na moment, zanim Callie wypowiedziała je na głos. Dziewczyna nie zdawała się kierować tych słów do niego, a kiedy na nią spojrział, szukając jakichkolwiek oznak, że wie, co mówi, żadnych nie dostrzegł. Mimo wszystko to wciąż było dziwne. Czy czytała jego myśli w ten sam sposób, w jaki czasem umiała to robić Towner?

– Co się wydarzyło? – Rafferty zapytał młodego Whitinga.

– Zabrałem ją do Hammond Castle – powiedział Paul. – Na teren posiadłości i do Norman's Woe. Ktoś mi podpowiedział, że będzie chciała zobaczyć te tereny.

To prawdopodobnie ostatnie miejsce, jakie miałyby ochotę oglądać – pomyślał Rafferty.

Czytał akta. Wiedział, że Boginie uczestniczyły w imprezie w Hammond Castle tuż przed morderstwami i że Callie była tam z nimi. Pytał ją o to przyjęcie, nie zdradzając, że wie, gdzie miało miejsce, jednak ona patrzyła na niego tylko pustym wzrokiem.

– Nie pamiętam żadnej imprezy.

Na schody wiodące do herbaciarni wyszły trzy kelnerki, które cicho ze sobą rozmawiały. Rafferty i Paul wymienili porozumiewawcze spojrzenia i odsunęli się, by dać im przejść.

– Pewnie powinienem już jechać – powiedział Paul.

– Tak będzie najlepiej – zgodził się z nim Rafferty.

Patrzył, jak mężczyzna odjeżdża.

Zdusił w sobie ochotę, by natychmiast odnaleźć Callie i zadać jej kilka pytań, ale obiecał sobie, że wkrótce to zrobi. Cokolwiek widziała albo sobie przypomniała, najwyraźniej mocno nią wstrząsnęło.

To był pod każdym względem ciężki dzień. Kiedy Rafferty i Jay-Jay wyszli ze spotkania, drogę zaszła im Helen Barnes z McIntire District. Wyprowadzała swojego springer spaniela. Choć Helen znana była powszechnie jako prawa

tradycjonalistka, Rafferty wiedział o jej innej stronie: kobieta piastowała funkcję przewodniczącej sekretnego koła szwaczek. Wiedział o przynajmniej dwóch takich grupach: pierwszą stworzono tuż po procesach czarownic. Przez wiele lat po wybuchu hysterii kobietom w Salem nie wolno było zbierać się w grupy. Jeśli chciały się spotkać, musiały to robić w sekrecie, i choć później nie było to konieczne, tradycja przetrwała po dziś dzień. Nie żeby na spotkaniach tych grup działo się coś szczególnie zakazanego. Towner mówiła, że sponsorowały kilka organizacji charytatywnych, w tym wyspę Yellow Dog. Ale cała ta aura tajemniczości wciąż wywoływała u ludzi niepokój. Sekret był tak ścisły, że gdyby nie Towner, Rafferty nigdy nie dowiedziałaby się, że takie koła istnieją.

Mimo potajemnych spotkań, z tego, co mówił mu zastępca prokuratora okręgowego, Helen nie miała skrupułów, by domagać się ekshumacji zwłok Bogiń.

– Rose Whelan to przeklęta satanistka – obwieściła dziś rano Helen, nie dając przejść Rafferty’emu i Jay-Jayowi. – Była nią wtedy i jest nią teraz. Nie chcesz z tym nic zrobić, ale jest tu mnóstwo ludzi, którzy zrobią to za ciebie.

– Uważaj, co mówisz, Helen – ostrzegł ją Rafferty.

– Wszystkie tak zwane Boginie były spokrewnione z wiedźmami z Salem – odparowała Hellen.

– W Salem nie było żadnych wiedźm – przypomniał jej. – Mieszkali tu niewinni ludzie, którzy padli ofiarami bezpodstawnej hysterii. – Rafferty miał nadzieję, że Helen wyłapie podtekst.

– Cóż, wiedźmy są teraz wszędzie! – Pokazała na Dom Czarownic po drugiej stronie ulicy – jeden z ostatnich budynków w mieście bezpośrednio związanych z procesami. Właśnie kiedy to mówiła, przed zabytkowym domem przemaszerowały dwie współczesne wiedźmy. – Możesz za to wszystko podziękować Rose Whelan! – dodała Helen. Jej pies wybrał ten moment, żeby załatwić swoje potrzeby.

– Ona nie jest wiedźmą, ona jest banshee – poprawił ją Jay-Jay, próbując pomóc.

Rafferty spojrział na niego z ukosa. Helen zaczęła odchodzić.

– Posprzątaj to. – Wskazał na psią kupę.

Utkwiła w nim wzrok.

– Chyba że wolisz mandat na pięćdziesiąt dolarów. Z radością ci go wlepię – powiedział, klepiąc psa po głowie. Patrzył, jak kobieta szuka po kieszeniach kurtki plastikowego woreczka i jak z zachmurzoną miną schyla się, aby posprzątać po psie.

– Wykopiemy je. Co do jednej – obiecała. – To się wydarzy i nie możesz tego powstrzymać.

* * *

Callie próbowała znaleźć jakiś sens w wizjach, które miała nad Norman's Woe. Na miłość boską, przecież ściany nie krwawią. I logika podpowiadała, że mężczyzną na łóżku nie mógł być Paul. Chyba jest mu winna przeprosiny za swoje niegrzeczne zachowanie. Ale te jego oczy były przerażające...

Jasne słońce odbijające się od wody oślepiło ją, kiedy w drodze z herbaciarni na Derby Street skręciła w porcie na lewo. Na Daniels Street poszła dla odmiany w prawo i zaczęła się rozglądać za budynkiem z szarym gontem.

Dom, w którym kiedyś wszystkie mieszkały, stał zabity deskami, pozostając w rażącym kontraście z rzędem odnowionych budynków z osiemnastego wieku. Do drzwi przyczepiono wielki pomarańczowy znak z napisem: BUDYNEK PRZEZNACZONY DO ROZBIÓRKI. Frontowe schodki zapadły się, a na gonce widniało graffiti: słowa wydawały się pochodzić z łaciny, a u dołu wejściowych drzwi napisano numer 666 i powtarzano go co jakiś czas na listwach fasady.

Callie stanęła przed domem od strony przystani i zignorowała znak o zakazie wstępu. Na zaniedbanym trawniku leżały porozrzucane śmieci. Ganek, na którym kiedyś bawiła, przechylił się, odstając od głównej bryły budynku.

Rozejrzała się dla pewności, że nikt jej nie obserwuje, po czym chwyciła się jedynej belki, która wyglądała na w miarę pewną, i wspięła się po niej. Powoli stąpała po ganku, bojąc się, że się załamie, po czym równie ostrożnie przeszła do szklanych drzwi, które prowadziły do jej pokoju. Zerknęła do środka. Panował tam nieopisany bałagan pozostawiony albo przez ostatnich najemców, albo dzikich lokatorów.

Rozglądała się za murałem, dla którego tu przyszła. Starszy mężczyzna, Henry, namalował w tym domu portret Bogiń. Był przyjacielem Rose, kobieta dała mu na to swoją zgodę. Callie pamiętała jednak, że Rose była mocno zdenerwowana tym, co ostatecznie powstało, mimo że, jak pamiętała, portret był piękny.

Callie liczyła na to, że zobaczy twarz Leah, a to pomoże jej przypomnieć sobie więcej informacji o kobiecie, która powinna pewnie zostać główną podejrzaną Rafferty'ego – piątym płatkim róży.

Jednak portret zniknął. Ktoś zamalował ścianę na biało, i to dość dawno, bo farba zaczynała już żółknąć. Czy to sprawka Rose? Bez dwóch zdań. Była zła na dziewczyny, mogła to zrobić. Napięcie między Rose i Boginiami narastało przez całe lato aż do jesieni. Starsza kobieta nie akceptowała ich zachowania, Callie dobrze to pamiętała. Pewnego razu Rose straciła nad sobą panowanie do tego stopnia, że wrzeszczała i obrzucała młode kobiety najróżniejszymi wyzwiskami, aż sąsiedzi wezwali policję.

Callie przypomniała sobie teraz, że policję wezwano do tego domu również przed imprezą w Hammond Castle. Rose darła się na nie, gdy wychodziły w haloweenowych przebraniach, mówiąc im, że są „tanie i obrzydliwe”, i przypominając, że zobowiązały się w ten wieczór do czegoś innego. Poszła nawet za nimi do samochodu Cheryl i nie przestawała krzyczeć, gdy wsiadały do środka: „Pakujcie się! Jutro macie zniknąć z mojego domu!”. Kiedy odjeżdżały, Olivia krzyknęła: „Zobaczymy się na wzgórzu, ciociu”. Radiowóz podjechał w tej samej chwili, gdy skręcały za rogiem.

Callie zeszła z chylącego się ganku w samą porę, by zobaczyć, jak sąsiadka wychodzi po pocztę.

– Na twoim miejscu trzymałabym się z daleka od tego domu – zawołała.

Callie jej nie rozpoznała. Kobieta najwidoczniej nie mieszkała w czasach jej dzieciństwa na Daniels Street.

– Tylko się rozglądam – powiedziała Callie.

– Ten dom jest przeklęty. Kiedyś czczono w nim szatana.

Callie gapiła się na nią z niedowierzaniem.

– To prawda – dodała kobieta. – Przywódczyni kultu została właśnie aresztowana. Mówią na nią Banshee z Salem. Sąsiedzi wspominali mi, że zabiła wszystkich, którzy tu mieszkali. Nawet małą dziewczynkę. – Wyciągnęła pocztę. – Całe to miejsce to siedlisko zła – mruknęła i wróciła do swojego domu, idealnie zachowanego saltboxa z widokiem na przystań.

Wstrząśnięta Callie przeszła przez podwórko w stronę ulicy. Na tylnej fasadzie zobaczyła jeszcze więcej graffiti: rysunek czarnej róży o zwiędłych, opadających płatkach, z pomarszczonymi, wysuszonymi liśćmi. W kolcach było jednak życie i kolor: ich czerwone czubki ociekały krwią. Callie rozpoznała w nim rysunek, który Towner próbowała zmyć z drzewa Rose na dziedzińcu własnego domu. Na róży, wzdłuż łodygi, widniał napis: ŚMIERĆ BANSHEE!

Callie dwa razy próbowała się dodzwonić do Rafferty’ego. Nie odebrał.

Przeszła przez Daniels Street i, skręciwszy w lewo, dotarła do Derby. Szła szybko, a każdy jej krok pełen był gniewu i niedowierzania. Prawie przewróciła starszą kobietę idącą o lasce. Nieznajoma odwróciła się, zmierzyła ją wzrokiem i zeszła jej z drogi. Callie nie była pewna, dokąd idzie, aż znalazła się na Orange Street.

Zaczęła się dobijać do ciężkich drzwi domu Ann. Nikt jej nie otworzył, wróciła więc na Derby Street i skierowała się do Sklepiku Cieni na Pickering Wharf.

Ann Chase stała na drabinie i poprawiała dekorację z bożonarodzeniowych skarpet pełnych cukierków, z których na każdej wyszyta była wiedźma na miotle. Na szyldzie napisane było: DOSTARCZANIE PREZENTÓW DLA WŁOSKICH DZIECI OD BEFANY, ZGODNIE Z TRADYCJĄ ŚWIĘTA OBJAWIENIA

PAŃSKIEGO.

Ann odwróciła się, gdy tylko usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.

– Callie!

– Kazałaś Paulowi Whitingowi zabrać mnie do Norman's Woe. – Dziewczyna nie była w stanie nad sobą zapanować i teraz kilka młodych wieźm, które również dekorowały wystawę sklepu, spojrzało na nią z niepokojem. – Po co, do cholery, to zrobiłaś?

– Wszystko w porządku – powiedziała Ann swoim towarzyszkom. – Wracajcie do pracy. – Gestem poprosiła Callie, aby poszła za nią, i poprowadziła ją do swojego biura, mijając po drodze kilka czytelni ozdobionych ciężkimi zasłonami.

– Powiedz mi, co się dzieje.

– Ludzie myślą, że Rose zabiła wszystkie Boginie... W tym małą dziewczynkę, która z nimi mieszkała.

Ann miała zdziwioną minę.

– Kto tak uważa?

– Prawdopodobnie wszyscy! – powiedziała Callie, wchodząc do biura.

Ann patrzyła na dziewczynę z niedowierzaniem.

– To nieprawda!

Nagle odezwał się telefon Callie. Sprawdziła numer i odebrała, gdy zobaczyła, że dzwoni Rafferty.

– Cześć, Callie. Co tam?

– Musisz coś z tym zrobić.

– Co się stało?

– Nie wiem... – Próbowwała powstrzymać łzy. – Nie wiem, co się dzieje. – Oni myślą, że to był jakiś satanistyczny kult.

Słyszając głos Rafferty'ego, Ann wyjęła Callie komórkę z ręki.

– Możesz tu przyjechać? – zapytała.

– Ann?

– Tak.

– Co się dzieje?

– Nie wiem. Możesz po prostu przyjechać do mojego sklepu?

Wszystkie obrazy, które Callie ujrzała przy Norman's Woe, wirowały jej w głowie, a w uszach pobrzmiwały echem słowa Złej Królowej.

– Dlaczego kazałaś mu mnie tam zabrać? – zapytała Callie tonem dziecka.

– Myślałam... Miałam wizję, kiedy patrzyłam w koronki. Dowiedziałam się z niej, że jest coś, co musisz zobaczyć – mówiła Ann. – Nie miałam złych zamiarów.

– Nie wierzę ci.

Ann nie powiedziała Callie, że w tej chwili wyglądała dokładnie jak dziecko,

które widziała w swojej wizji: mała dziewczynka w niebieskim fartuszku, która stoi nad krawędzią głębokiego wąwozu, a z jej dłoni ścieka krew.

* * *

– Rose nikogo nie zabiła – upierała się Callie.

Małymi łykami piła herbatę, którą na uspokojenie zrobiła jej Ann. Siedziała na rozkładanym krześle tuż obok jej biurka.

Rafferty usiadł za biurkiem, w zwyczajowym miejscu Ann, a gospodyni stanęła w drzwiach, niepewna, czy ma zostać, czy sobie pójść.

– Powiedz mi raz jeszcze, dlaczego chciałaś, żeby Callie pojechała do Hammond Castle – zapytał Ann, zapraszając ją gestem do środka.

– Właściwie nie wysłałam jej do zamku, tylko pod Norman's Woe.

– A dlaczego właśnie tam?

– Myślałam, że jest coś, co musi sobie przypomnieć.

– I było? – Rafferty zwrócił się teraz do Callie.

Stało się jasne, że dziewczyna nie chce rozmawiać w obecności Ann.

– Gdybym była potrzebna, znajdziecie mnie w sklepie – powiedziała kobieta, znikając za kotarami z koralików.

– W noc morderstw w Hammond Castle odbywała się impreza – zaczęła Callie. – To chyba było to przyjęcie, o które mnie pytałeś.

W aktach sprawy Rafferty odnalazł zeznania świadków, którzy twierdzili, że na imprezie doszło między Boginiami a inną kobietą ubraną w czerwoną suknię do jakiejś sprzeczki. Ale z tego, co zrozumiał, policja nie potraktowała tego zdarzenia poważnie i nie zgłębiała go dalej, co go zaszokowało. Im więcej się dowiadywał, tym bardziej wyglądało na to, że policjanci byliby szczęśliwi, gdyby mogli zrzucić całą winę na Rose i zamknąć sprawę.

– Była tam kobieta w czerwonym kostiumie – opowiadała Callie. – A właściwie dwie kobiety. – Jedna była przebrana za Złą Królową z *Królewny Śnieżki*. Drugą była Leah.

Rafferty spojrzał na nią.

– Leah.

Callie pokiwała głową.

W aktach nie było wzmianki o Leah.

– Teraz sobie przypomniałam. Była na tym przyjęciu. – I nagle w głowie Callie pojawiło się nazwisko:

– Leah Kormos.

– Tak się nazywała? Kormos?

– Tak. Tak się nazywała. I była jedną z Bogiń. Ale o coś się pokłóciły tamtego wieczoru...

Rafferty zostawił kartkę w linie w swoim biurze. Wcześniej napisał nazwiska pozostałych Bogiń na płatkach narysowanej na niej róży wraz z odpowiadającymi im przodkiniami: Olivii i Callie, Rose, Cheryl i Susan. Imię Leah umieścił u góry. Teraz zapisał sobie jej nazwisko w telefonie. Fakt, że Leah miała tak samo na imię, jak jego córka, był czymś, z czym Rafferty'emu trudno było się pogodzić. Czuł się lepiej, znając jej nazwisko. Od teraz mógł wymawiać je razem i pozbyć się prywatnych skojarzeń.

– Tak sędzę... – Callie z trudem próbowała sobie przypomnieć. – Pamiętam, że przez jakiś czas ją widywałyśmy, a potem zniknęła. O coś się posprzeczały.

– O tego mężczyznę?

– Może... Nie wiem.

– A co z Norman's Woe? – zapytał raz jeszcze.

Callie patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Czy Norman's Woe wiązało się jakoś z tamtym wieczorem?

– Nie wiem.

– Czy coś się wydarzyło na tych skałach?

– Nie wiem. Nic, co bym pamiętała.

– Zastanów się. Może istnieje jakiś związek?

– Nie wiem – powtórzyła Callie z rozdrażnieniem. – Jedyńm związkiem, jaki przychodzi mi do głowy, jest to, że kiedy byłam mała, Rose nauczyła mnie wiersza o tych skałach – odparła, starając się znaleźć jakiś sens we wszystkim, co zaszło. – *Wrak Hesperusa*. Tylko tyle przychodzi mi do głowy. Uczyła mnie na pamięć wielu wierszy. To jednak nie miało miejsca w dzień imprezy, tylko wcześniej.

– Ale nigdy tam nie byłaś.... To znaczy przed tą imprezą.

– Nie sędzę. Nie pamiętam nawet, żebym w tamtą noc widziała Norman's Woe. Pamiętam tylko zamek.

Rafferty zawołał Ann.

– Słyszałaś kiedyś o Leah Kormos?

– Nie. – Pokręciła głową.

– Wszystko wskazuje na to, że była jedną z Bogiń.

– Nie znam tego nazwiska.

– Ale, jak sędzę, wiesz, kim jest ona. – Rafferty wskazał na Callie.

– Callie O'Neil – powiedziała gładko Ann.

– Daruj sobie, Ann...

Chase milczała.

– Powiedz mi raz jeszcze, dlaczego wysłałaś Callie nad Norman's Woe.

Jesteś pewna, że to o skałę chodziło, a nie o zamek?

– W ogóle nie jestem niczego pewna. Poza ogólnym położeniem może nie było w tym żadnego znaczenia. – Brzmiała odpowiedź Ann. – Możliwe, że moje wizje łączą obrazy z dwóch różnych okresów – kontynuowała, jakby wiedziała dokładnie, o czym mówi Rafferty. – To się zdarza. Wszyscy wiemy, że czas nie płynie linearnie.

– Nie wszyscy to wiemy – odparł Rafferty. – Nie wszyscy wierzą w magię, Ann.

– Czas nieliniowy to nie magia, tylko fizyka. A dokładnie mechanika kwantowa. Zasada nieoznaczoności Heisenberga. Każdy obserwujący ma swój własny układ odniesienia wobec czasu. To także matematyka, jeśli chcesz się wdawać w kwestię techniczną.

Ann przyjęła coś, co określała jako „filozoficzne postrzeganie czasu”. Coś o spontanicznej absorpcji światła, czego Rafferty nawet nie starał się zrozumieć.

Odwrócił się znów do Callie.

– Co jeszcze widziałaś? Zanim przyśniły ci się wspomnienia?

– Nic – powiedziała Callie.

– A o czym rozmawiałaś z Paulem?

– O samej skale.

Komendant patrzył na nią wyczekująco.

– Ponoć w jej pobliżu jest rafa, tuż pod powierzchnią wody.

Rafferty przytaknął.

– Paul powiedział, że wiele statków rozbiło się o te skały.

– Wszyscy o tym wiedzą – rzuciła Ann.

– Co jeszcze?

Callie zastanowiła się, próbując odtworzyć przebieg rozmowy.

– Wspomniał też, że wiele osób odebrało sobie tam życie. Na przykład ojciec Marty Hathorne.

– Wtedy pracował dla Whitingów – wtrącił Rafferty. – Słyszałem, że zrzucano na niego winę za jakiś lewy kontrakt, który kosztował Whitingów ich fortunę. Dlatego się zabił. – Według obiegowej opinii Hathorne był tylko kozłem ofiarnym. Wszyscy wiedzieli, że tak działo się od pokoleń, począwszy od procesów czarownic, że Hathorne'owie i Whitingowie wzajemnie obarczali się winą za wszystko, co w ich życiu potoczyło się nie tak. Ale powróćmy do przyjęcia. Mówiłaś, że to był bal maskowy.

– Tak. W tematyce baśniowej.

– Więc była tam orkiestra?

Nie pamiętała żadnej muzyki. Tylko dysonansowe akordy organów.

– Nie wiem. Może i była.

– Czy pojawił się tam jeszcze ktoś dla ciebie znajomy? Poza matką i jej

przyjaciółkami? – zapytał. – A mężczyzna w łóżku? Miał jakieś imię?

Zauważył jej wahanie. Zrobiła głęboki wdech.

– Chyba mówiły do niego Gad.

– Gad? – powtórzył Rafferty, żeby się upewnić, czy dobrze usłyszał.

Callie pokiwała głową.

– Tak mi się wydaje.

– Trochę to upiorne – rzuciła Ann.

– Opowiedz mi jeszcze raz o wszystkim, co widziałas na przyjęciu.

Callie posłusznie raz jeszcze zrelacjonowała swoją wizję: maskowy bal kostiumowy, Zła Królowa, która dała jej powąchać zielony napój pachnący jak lukrecje, reakcja Olivii... Powiedziała mu o tym, jak przyszła Leah kipiąca ze złości i jak Callie poszła za nią do sypialni na piętrze.

– Krzyczała na nie, że ją zdradziły.

– Z mężczyzną leżącym na łóżku – upewnił się Rafferty.

– Tak.

– Z kimś, z kim łączyły je związki seksualne.

– Tak. – Callie zmagala się z tym obrazem. – Teraz pamiętam. Pamiętam, kiedy do tego doszło. Poszłam schodami na górę i usłyszałam, jak na siebie krzyczą.

– Wygląda na to, że ta Leah powinna być twoją główną podejrzaną – powiedziała Ann do Rafferty'ego.

– Nie miałam pojęcia, co tam robią ani dlaczego mężczyzna jest nagi.

– Nigdy wcześniej nie widziałas, żeby robiły coś takiego? – zapytał Rafferty.

– To chyba byłaś jedyna w tym mieście – rzuciła cierpko Ann.

Rafferty spojrzał na Ann spod brwi, na co ta wzruszyła ramionami.

– Wszyscy o tym wiedzą – powtórzyła.

– Ona miała wtedy pięć lat – odpalił komendant. – Twoja matka i pozostałe... – Starał się mówić najdelikatniej, jak tylko umiał, nie wiedząc, ile plotek słyszała. – Boginie mały reputację... – Szukał odpowiedniego słowa. – Kusicielek.

– Wielkich kusicielek – dorzuciła Ann. – Zrobiły z tego dyscyplinę sportową. Czasem nawet ze sobą rywalizowały.

– Coś niecoś słyszałam. Ale rywalizacja... – Callie wlepiła w nią wzrok. – Żartujesz sobie.

Rafferty pokiwał głową.

– Ludzie tak to wspominają.

Callie spojrzała na Ann, szukając w jej wzroku potwierdzenia.

– Hej, ja nikogo nie oceniam! Uważałam, że były ekstra. – Ann uśmiechnęła się słodko.

Callie miała ochotę jej przyłożyć.

Nagle zadzwonił telefon Rafferty'ego.

– Zróbmy sobie pięć minut przerwy – powiedział i wyszedł na zewnątrz.

Callie rozejrzała się po biurze Ann i sklepie, który znajdował się za nim. Wzdłuż ścian, w małych kopertach z etykietami leżały zaklęcia, jedno na utraconą miłość, inne na bogactwo, kolejne na męską impotencję. Za zaklęciami znajdowały się pojemniki pełne suszonych ziół, również opatrzone tajemniczymi etykietami: tojad, oko traszki...

Mikstury stworzono chyba tylko po to, by pomóc turystom pozbyć się pieniędzy – pomyślała z przekąsem Callie.

Kryształowe różdżki leżały w witrynie, a z sufitu zwisały robione ręcznie miotły. I były też rozmaite koronki: łapacze snów, delikatne serwetki, przypadkowe, na wpół skończone robótki. Callie przyglądała się młodej kobiecie siedzącej w korytarzu, ubranej na czarno. Trzymała przed klientką fragment koronki i utkwiała w niej wzrok tak, jak czarnoksiężnicy ze starych filmów wpatrują się w kryształową kulę. Dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby coś czytała z tkaniny. Callie przymrużyła oczy, próbując dostrzec, na co patrzy.

Kiedy wrócili do rozmowy, Callie napomknęła Rafferty'emu o portrecie namalowanym na ścianie jej starego domu, którego Rose nie znosiła. O tym, jak Callie poszła tam, żeby sprawdzić, czy nadal tam jest, ale niestety został zamalowany.

Raz jeszcze opowiedziała mu o kłótni, która miała miejsce tamtego wieczoru, jak Leah przyszła szukać pozostałych, jak poszła na górę i kłóciła się z nimi, jak po ścianach płynęła krew...

Potem przypomniała sobie jeszcze coś... Spojrzała na Ann.

– Myślisz, że były czarownicami?

– Kto? – zapytała Chase.

– Boginie – odparła dziewczyna.

– Dlaczego pytasz?

– Jedna z nich próbowała coś zrobić w moim śnie. Rysowała koło na podłodze sypialni – odpowiedziała Callie. – Mówiła coś o wiązaniu.

– Zakłęciu wiążącym? – zapytała Ann.

– Czy to takie zaklęcie, jakie ty rzuciłaś na mnie? – odparowała Callie.

Ann zastanowiła się.

– Ale w moim śnie to miało być dla ochrony – dodała dziewczyna.

Ann wzruszyła ramionami.

– Zaklęcia wiążące zwykle służą ochronie.

– Myślisz więc, że były czarownicami? – Callie ponowiła pytanie.

– Były? – Rafferty też się zainteresował.

Wzruszyła ramionami.

– Podobno myślały, że ich przodkinie z Salem były „prawdziwymi”

wiedźmami. Nie ofiarami hysterii, tylko praktykującymi czarownicami. To niebezpieczne i, szczerze mówiąc, dość niemądre przekonanie. Krążyły plotki, że jedna z nich często odwiedza Ścieżkę Lewej Ręki.

Rafferty wiedział, że swego czasu miasto próbowało zamknąć Ścieżkę Lewej Ręki. Właścicielka lokalu obnosiła się z praktykowaniem czarnej magii – Hollywood kocha takie rzeczy. Ale inne współczesne czarownice w mieście postulowały jego zamknięcie po tym, jak rozniosła się plotka, że właścicielka składa ofiary ze zwierząt i wykorzystuje części ich ciał w obrzędach. Czarownice były w Salem czymś relatywnie nowym, kiedy pojawił się tu Rafferty, i jeśli miały się tu osiedlić na dobre i stać mile widzianą częścią społeczności, czuły, że muszą zadbać o swoją reputację. Nawet Ann ze swoją szarą magią trochę przystopowała, chcąc zyskać akceptację Salem. Założyła nawet fundację, stowarzyszenie przeciw pomówieniom, która miała edukować opinię publiczną o nieszkodliwych praktykach religijnych czarownic.

– Nigdy się nie dowiedziałam, czy te plotki były prawdziwe. – Ann pokręciła głową. – W tamtych czasach wszyscy mniej lub więcej parali się magią, czytali z kart tarota czy używali eliksirów miłosnych. Ale nawet jeśli od czasu do czasu Boginie rzuciły jakieś zaklęcie, nie były przez nikogo uznawane za prawdziwe wiedźmy.

– Dlaczego nie? – zapytał Rafferty.

– Cóż, nie były samotniczkami ani nie należały do żadnego kowenu. I chyba czarowanie nie wychodziło im najlepiej, mam rację? – Zwróciła się do Callie. – To zaklęcie, jeśli faktycznie było zaklęciem, nikogo nie ochroniło, prawda?

Callie się zjeżyła. Ta uwaga była okrutna, lecz prawdziwa.

– Czytałem akta – odezwał się Rafferty. – Tamtej nocy miała miejsce jeszcze jedna kłótnia, awantura pomiędzy dziewczynami a Rose. Rose poszła za nimi do samochodu. Wrzeszczały na siebie na ulicy. Policję wezwał sąsiad. Callie, pamiętasz, z jakiego powodu się sprzeczały?

– Chyba tak. Przypomniałam sobie tę scenę, kiedy byłam w starym domu. Rose dowiedziała się o nich czegoś bardzo złego. Ktoś chyba doniósł na nie. W samochodzie rozmawiały o tym, jak się zemścić. Cokolwiek powiedziano Rose, wywołało to najgorszą awanturę, jaką zapamiętałam. Ale mówiłam ci, że sąsiedzi cały czas wzywali gliny – ciągnęła Callie. – Policja raz po raz przyjeżdżała do domu z tego czy innego powodu. – Zamyśliła się na chwilę. – Przeszukali dom, prawda?

– Po morderstwach? Oczywiście – powiedział Rafferty, uważnie przyglądając się dziewczynie. Czytał raport: nie znaleźli niczego wartego odnotowania. Ale wciąż brakowało jednego pudła z dowodami, więc w sumie nie mógł być pewien. Nie rozwijał tego wątku – uznał, że Callie nie musi w tym momencie o tym wiedzieć. Jego instynkt gliniarza podpowiadał mu, że jest coś,

o czym dziewczyna mu nie mówi, że coś ukrywa.

– A krew? Wspominałaś, że po ścianach płynęła krew.

– Tak mi się śniło – odpowiedziała Callie. – To nie mógł być prawdziwy obraz.

– Sądysz, że to była krew z późniejszej części wieczoru? Na Proctor's Ledge połało się dużo krwi.

– Nie wiem – odparła. – To możliwe. Ale wydaje mi się, że ją sobie wyobraziłam... Po tym, co powiedziała do mnie wczoraj Rose.

– A co takiego powiedziała?

Callie zawahała się. Nie chciała ściągnąć na Rose kolejnych kłopotów.

– Wczoraj, kiedy była zdenerwowana, Rose krzyknęła: „Bóg da ci krew do picia” – przyznała Callie, czekając na reakcję Rafferty'ego. – Zee uznała, że Rose słyszała, jak ktoś mówił te słowa na wzgórzu w noc morderstw.

Rafferty się zjeżył. O tym jeszcze nie słyszał. Tajemnica lekarska powstrzymywała Zee przed przekazaniem mu tego, ale zasadę poufności można było przecież zignorować w obliczu nadciągającego niebezpieczeństwa. Choć z drugiej strony to niebezpieczeństwo minęło, oczywiście, dwadzieścia lat temu.

– Słyszałaś takie słowa w noc morderstw?

– Nie wydaje mi się – nerwowo odpowiedziała Callie. – Wiem, że już wcześniej je słyszałam, ale nie sądzę, żeby to było właśnie tamtej nocy. Zachodzę w głowę, co to może oznaczać.

– Ja wiem – powiedziała Ann.

– Wiesz? – Rafferty odwrócił się do niej.

– Mogłaś to usłyszeć lub przeczytać praktycznie wszędzie. To słynne słowa Sarah Good, jednej z oskarżonych czarownic. Wypowiedziała je, gdy wiedziała już, że zostanie powieszona. Jej przemowa jest dłuższa, ale to to zdanie cytuje się najczęściej. Możecie sprawdzić...

– Czy Rose wspomniała, kto tamtej nocy wypowiedział te słowa? – zapytał Rafferty.

Callie się zawahała. Nie chciała odpowiadać w obecności Ann, ale Rafferty czekał. To było ważne.

– Rose twierdziła, że wypowiedziała je banshee.

* * *

Rafferty zaproponował Callie, że odwiezie ją do domu. Siedzieli w cruiserze w ciszy, kiedy wyjeżdżał na drogę.

– No to mogę się pożegnać z utrzymaniem mojej tożsamości w sekrecie – mruknęła Callie. – Ann wie, kim jestem.

– Powiedziałbym raczej, że wie już od jakiegoś czasu. I musisz przyznać, że jej uwagi okazały się bardzo przydatne.

Callie nie była wcale do tego przekonana.

– Wiem, że wizyta w Hammond Castle była dla ciebie trudna, ale pomogła wywołać wspomnienie, które może okazać się kluczowe w ustaleniu, kto zabił twoją matkę i pozostałe kobiety. A może jest jeszcze coś, co sobie przypomniałaś?

Callie odtworzyła raz jeszcze swoją wizję w pamięci i zastanowiła się nad nią przez długą chwilę.

– Na przyjęciu moja matka, Susan i Cheryl kłóciły się o Leah Kormos, zanim ta w ogóle tam przyjechała. Olivia powiedziała, że to wbrew zasadom iść do mężczyzny na górze bez Leah, że muszą być wszystkie razem. Cheryl odparła na to, że zasady i tak zostały już złamane, i to przez Leah.

– Zasady? Co to znaczy? One miały jakieś zasady? – zapytał Rafferty.

– Najwyraźniej.

Milczała przez dłuższy czas.

– Myślę, że Ann może mieć rację. Leah Kormos może być zabójczynią.

Więcej już nie rozmawiali po drodze do domu. Callie wyjrzała przez okno, myśląc o oczach, które wpatrywały się w nią z łóżka. Przeszył ją dreszcz.

Rafferty zatrzymał cruisera obok jej samochodu i wyłączył silnik, po czym zwrócił się do niej:

– Czego mi jeszcze nie mówisz?

– Niczego – skłamała.

– Callie... – Podtrzymał jej spojrzenie. – Jestem policjantem od wielu lat.

Dziewczyna westchnęła.

– Każde twoje wspomnienie zbliża nas do odkrycia zabójcy twojej matki.

– To nie było wspomnienie, tylko sen. – Callie pokręciła głową. – Nie łudzę się, że to prawda. Zresztą, to nie jest ważne...

– Może ja zdecyduję, co jest ważne, a co nie?

– To była dziwna impreza.

Odczekał chwilę. Kiedy się nie odezwała, próbował ją naprowadzić:

– A ten facet na łóżku? Ten... Gad? – Callie się wzdrygnęła. – Opowiedz mi o nim raz jeszcze.

Na policzki dziewczyny zaczął wkradać się rumieniec.

– Czego nie chciałaś powiedzieć w obecności Ann?

– Słuchaj... Już ci mówiłam, że nie mam pewności, czy cokolwiek z tego wszystkiego jest prawdą. Czy w ogóle był jakiś mężczyzna albo pokój, albo wiecór! A mężczyzna, którego widziałam na łóżku... Cóż, niemożliwe, żeby był w tamtej sypialni.

– Dlaczego nie?

Callie zaczerpnęła powietrza, zanim znów zaczęła mówić.

– Bo widziałam tam Paula Whitinga.

Rafferty nic nie powiedział, kiedy wysiadła z cruisera i otworzyła drzwi swojego samochodu. W końcu wyjrzał jednak przez okno auta.

– Czy to dlatego byłeś na Paula taka wściekła, kiedy cię tu odwiózł?

Callie pokiwała głową, czując, jak czerwienieją jej policzki.

– Zdajesz sobie sprawę, że urodził się w tym samym roku, ale nieco później?

– Tak.

– Myślę więc, że jesteś mu winna wyjaśnienia. I zapewne przeprosiny.

* * *

Musiała kilka razy zapukać do drzwi domku na przystani, zanim otworzył.

– O co chodzi, do cholery? – Wyglądał na poirytowanego. Ale gdy zobaczył, kto to, stanął jak wryty i wlepił w nią wzrok.

– Okłamałam cię – powiedziała bez ogródek.

– Co takiego?

– Okłamałam cię w kwestii tego, kim jestem.

Callie doszła do wniosku, że powinna opowiedzieć mu o wszystkim, zanim zrobi to Ann, o ile już tego nie zrobiła. Bardzo chciała, aby Paul dowiedział się tego od niej. Kiedy mu już powie, będzie miała jeszcze do zrobienia coś innego, równie ważnego. Ale po kolei.

– Nie nazywam się O’Neill, tylko Cahill. – Przyglądała mu się, szukając znaków, że kojarzy. Patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem. – Jestem tą małą dziewczynką, która przeżyła morderstwa Bogiń.

Stał w progu i patrzył na nią, jak gdyby nie był do końca pewny, czy się nie przesłyszał. W końcu zrobił krok w tył i otworzył drzwi szerzej.

Dwie godziny później, w drodze powrotnej do Salem Callie zatrzymała się w drogerii i kupiła sobie latarkę.

ROZDZIAŁ 17

29 listopada 2014
Salem

Nie większa ze mnie czarownica niż z ciebie czarodziej, a jeśli odbierzesz mi życie, Bóg da ci krew do picia.
Sarah Good, 1692

Rafferty siedział w swoim biurze i wpatrywał się w słowa Sarah Good. Ann miała rację. To był słynny cytat, często wrywany z kontekstu, co sprawiało, że przekleństwo Good stawało się jeszcze groźniejsze.

W pewien sposób można się było spodziewać z jej strony podobnego oskarżenia – Sarah była elokwentna i zawsze trzymała się na uboczu. Miała także długi z pierwszego małżeństwa, które odziedziczył jej drugi mąż (i zarazem oskarżyciel). Ale nie to najbardziej uderzyło Rafferty’ego w historii Sarah. Okazało się, że jej mała córeczka, Dorcas Good, także została oskarżona. Choć miała wówczas zaledwie cztery lata, została aresztowana i przez kilka miesięcy siedziała

porzucona i zaniedbana w areszcie w Salem – jeszcze długo po egzekucji matki. Wprawdzie wreszcie ją wypuszczono, ale nigdy już nie doszła do siebie. Do końca życia wymagała opieki.

W historiach Sarah Good i jej córki oraz Olivii i Callie było wiele podobieństw. Skrzywdzona matka i córka, która cierpiała po jej stracie. Myślał też o Rose. Dorcas Good, która naprawdę miała na imię Dorothy, miała zaburzenia psychiczne, a jej chorobę przypisywano długiemu przebywaniu w areszcie w horrenalnych warunkach. Kiedy w końcu wyszła na wolność, zachowywała się podobnie jak Rose Whelan. Żadna z nich nie wróciła nigdy do zdrowia.

Rafferty zanotował te podobieństwa. Nie znalazł jednak żadnego prawdziwego związku, poza tym oczywistym – datą egzekucji Sarah Good: dziewiętnasty lipca.

Choć dokumentacja dotycząca morderstw Bogiń była, delikatnie mówiąc, powierzchowna, wiedział, że kobiety poszły w tamto Halloween na Proctor's Ledge z zamiarem złożenia hołdu swoim przodkiniom: pięciu oskarżonym kobietom z Salem, które zostały powieszane razem właśnie dziewiętnastego lipca. Callie to potwierdziła. Wiedział też, że każda z Bogiń była spokrewniona z którąś z pięciu kobiet. Jeśli każda reprezentowała jeden płatek róży, to jedna z nich musiała być spokrewniona z Sarah Good.

Bóg da ci krew do picia.

Przekleństwo Sarah Good stało się najwyraźniej powiedzonkiem Rose, które powtarzała, odkąd wyszła ze szpitala psychiatrycznego. Czy naprawdę słyszała, jak ktoś wypowiedział je tamtego wieczoru? Czy może wraz z jej wyobrażeniem, że to banshee dokonała morderstw, stało się kolejnym z urojeń Rose...

To mógł być ślepy zaułek, ale warto było go sprawdzić. Jedna z Bogiń musiała być spokrewniona z Sarah Good. Tylko która?

Przed sobą miał wszystkie raporty, zeznania i zdjęcia z miejsca zbrodni. Przeglądał wszystkie papiery, jeden po drugim, próbując znaleźć coś, co wcześniej przeoczył.

Starł gumką wypisane ołówkiem nazwiska Bogiń ze szkicu pięciolistnej róży, w zamian spisując je jedno pod drugim po prawej stronie obrazka. Teraz spróbował ugryźć zadanie z innej strony, łącząc nazwiska pięciu straconych kobiet, które wcześniej zapisał ołówkiem: Rebecca Nurse, Sarah Wildes, Elizabeth Howe, Susannah Martin i Sarah Good. Tych nazwisk był pewien. Sprawdził pisownię każdego z nich, po czym porównał ją raz jeszcze z dokumentami z Salem, zapamiętując, z jakich miast pochodziły (wszystkie kiedyś stanowiły część Salem) oraz ile miały lat. Z wyjątkiem Sarah Good, która zginęła w wieku trzydziestu dziewięciu lat, kobiety stracone dziewiętnastego lipca tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku były dużo starsze: liczyły sobie od pięćdziesięciu siedmiu do siedemdziesięciu jeden lat. Niektóre nie miały gdzie

mieszkać albo stanowiły ciężar dla społeczności: były zadłużone, gadatliwe bądź w inny sposób uciążliwe dla innych. Przywodziły mu na myśl Rose Whelan.

Napisał długopisem nazwiska Bogiń odpowiednio pod nazwiskami ich antenatów – oczywiście tych Bogiń, co do których był pewien takiego pokrewieństwa. Równocześnie ich nazwiska wykreślił z listy obok. Pod Rebecca Nurse wpisał zatem Callie, Oliwię i Rose.

Przyjmując, że wspomnienia Callie z tamtej nocy o tym, kto wypowiedział jakie nazwisko, są zgodne z prawdą, uzupełniał dalej. Susan Symms znalazła się w płatku Susannah Martin, a Cheryl Cassella pod Sarah Wildes. Callie pamiętała, jak Rose mówiła jej, że jest spokrewniona z więcej niż jedną ze straconych w Salem kobiet i skoro tamtej nocy wypowiedziała nazwisko Elizabeth Howe, początkowo sądził, że była kolejną krewną Rose. Ale Callie wspominała też, że po tym, jak się okazało, iż Leah Kormos nie przyjdzie na ceremonię, Rose niechętnie wypowiedziała również nazwisko Sarah Good. Dziewczyna założyła, że to nazwisko miało zostać wypowiedziane przez nieobecną dziewczynę. Może i tak, ale przecież niekoniecznie...

Rafferty wpisał ołówkiem nazwisko Leah Kormos pod Good, stawiając na koniec zamasyisty znak zapytania. Następnie, spoglądając na całość i wiedząc, że Rose również wypowiedziała to nazwisko, dopisał ołówkiem imię Rose, także z pytajnikiem. Sarah Good mogła w końcu być drugą przodkinią Rose. Przy nazwisku Elizabeth Howe wpisał ołówkiem – wraz z pytajnikami – imiona Rose i Leah. W końcu wykreślił ołówkiem zarówno Leah, jak i Rose z bocznej listy.

SARAH WILDES
Cheryl Cassella

REBECCA NUI
Olivia Cahill
Callie Cahill
Rose Whelan

Susan Symms
SUSANNAH MARTIN

Leah
Rose
ELIZ

Podniósł szkic i spojrzał na niego krytycznie. Atrament dobrze działał na jego psychikę, czuł się tak, jak gdyby naprawdę coś rozwikłał, choć właściwie nie wiedział więcej niż przed kilkoma minutami. Rysunek nadal był tak zagmatwany, jak cała ta sprawa.

Mimo wspomnień Callie, że policja przyjeżdżała do domu Rose „przez cały czas”, był w stanie znaleźć tylko trzy udokumentowane przypadki wezwania. Dwa razy, kiedy Rose i dziewczyny głośno się kłóciły (w tym w noc morderstw), i raz, kiedy anonimowa kobieta skarżyła się, że „o każdej porze kręcą się tam nieletni chłopcy”.

Raz jeszcze zadzwonił do archiwum, prosząc o brakujące dziewięte pudło z dowodami. Jeśli było więcej raportów policyjnych i więcej notatek o wezwaniach, pewnie znajdowały się właśnie w nim.

Przejrzał kilka kartek z zapisanymi odręcznie komentarzami o kobietach.

Krążące po mieście plotki były tak obfite, że graniczyły z obsesją. Boginie narobiły sobie wielu wrogów, rozbijając małżeństwa, zagrażając moralnym zasadom miasta, które i bez tego cieszyło się złą sławą ze względu na swoje zasadnicze purytańskie standardy. W zeznaniach świadkowie kilka razy spekulowali o satanizmie, choć podczas kolejnych przesłuchań żaden z nich nie miał wyraźnych podstaw dla swoich twierdzeń ani dowodów, którymi można by poprzeć oskarżenia.

Ofiary: Olivia Cahill, Susan Symms i Cheryl Cassella.

Miał profile ich wszystkich, wraz z listą żyjących krewnych. Żadna nie pochodziła z normalnej pełnej rodziny i każda wcześniej wyprowadziła się z domu.

Siedemnastoletnia Cheryl przybyła do Salem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku, ponieważ jej matka, zgorzkniała rozwódka, oświadczyła jej, że ze strony ojca jest prawdziwą czarownicą z Salem. Poznała Rose w Centrum, gdzie historyczka pomogła jej znaleźć przodkinię straconą dziewiętnastego lipca tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Przeprowadziła się do jej domu na Daniels Street kilka dni później. Choć Ann twierdziła inaczej, plotki głosiły, że Cheryl była przelotnie związana z jednym z kowenów, w którym studiowała sztukę magiczną, a przynajmniej nauczyła się kilku zaklęć.

Susan – albinoska – pochodziła z Miami, gdzie była dręczona i prześladowana, aż jej rodzina przeniósł się do Marblehead i odkryła swoje pokrewieństwo z oskarżonymi (także w Centrum). Kiedy jej ojciec został przeniesiony, Susan została w miasteczku i wprowadziła się do domu Rose. Zgodnie z zeznaniami świadków to Susan pierwsza wpadła w obsesję na punkcie

tę, że oskarżone w Salem kobiety naprawdę były czarownicami posługującymi się niezwykłymi mocami – w tym z pewnością różniła się od Rose. To z jej ciała w noc morderstw zdjęto trofea. Rafferty spojrzawszy na fotografie jej brakującej skóry i włosów.

Matka Callie, Olivia Cahill, była najbardziej nietypowa spośród Bogiń. Z tego, co opowiadała Rose, przyjechały z Nowego Orleanu w Halloween, kiedy Callie miała trzy lata. Oliwię ciągnęło do Salem, ponieważ wiedziała, że jest spokrewniona z jedną z oskarżonych i zawsze wydawało jej się, że posiada magiczne moce. Nie mając prawie żadnych pieniędzy, wraz z Callie spały w parku, aż Eva Whitney ulitowała się nad bezdomną matką z dzieckiem i dała Olivii pracę kelnerki w swojej herbaciarni. Kiedy usłyszała, że Olivia jest spokrewniona z Rebeccą Nurse, Eva przedstawiła ją Rose w Centrum.

„Wy trzy jesteście rodziną, która odnajduje się po latach...” – miała powiedzieć Eva Rose. Historyczka kazała Olivii i Callie nazywać siebie „ciocią Rose” i tak powstała więź rodzinna i duchowa. Tydzień później matka i córka przenieśli się do domu swojej odnalezionej krewnej.

Odkąd Callie wróciła do Salem, Rafferty nigdy właściwie nie rozmawiał z nią o jej matce. Poza tym, że dziewczyna odwiedzała grób Olivii, nie wiedział, ile Callie pamięta... Z pewnością nie zapamiętała szczegółów jej stylu życia. Widział szok malujący się na twarzy Callie, kiedy Ann opisała, jak się prowadziły Boginie. W aktach Rafferty znalazł wiele śladów wskazujących na to, że Oliwię łączyło coś z wieloma mężczyznami w Salem. I prawdopodobnie z nieletnimi chłopcami też – jak sugerowali niektórzy ze świadków. Rose wyraźnie starała się za wszelką cenę to powstrzymać – kłóciła się o to z nimi wszystkimi. Nie były to jedynie spekulacje świadków – dowodziły tego oficjalne raporty. Rafferty pomyślał sobie, że Rose była pewnie jedynym głosem rodzicielskiego rozsądku, jaki miały.

Mówiło się, że dziewczyny, które nazywały siebie Boginiami, zaczęły dostrzegać, że mają władzę nad mężczyznami w Salem. Wierzyły, że ich moce zostały im przekazane w genach od przodkiń – czarownic.

Rafferty żałował, że nie znał Rose w jej najlepszych czasach. Przyjęła te kobiety, gdy nie miały gdzie się podziać. W sposób oczywisty pomagała wychować Callie. Choć jej inicjatywa obrony wszystkich oskarżonych w Salem obrała kilka dziwnych zakrętów, miała szlachetne pobudki. Poświęciła życie, by oddać sprawiedliwość ofiarom procesów i komendant podziwiał ją za jej hart ducha. Jeśli chodzi o wybór życiowego celu, z pewnością jej był lepszy od egoistycznych potrzeb, za którymi podąża większość ludzi, wliczając w to jego samego.

W aktach Bogiń nie znalazł żadnej wzmianki o Leah Kormos, która, jak domyślała się Callie, była piątym płatkiem. Musiał dowiedzieć się o niej więcej – o tej, która złamała tak zwane zasady. Ktoś musiał widzieć, jak kłóci się z Boginiami i oskarża je o zdradę. Powinna była znaleźć się w gronie

podejrzanych. Ale ślad się urywał...

Rafferty przeszukał lokalne książki telefoniczne, szukając nazwiska Kormos, sprawdził też kilka różnych pisowni, bo Callie prawdopodobnie nigdy nie widziała go na papierze. Znalazł kilka wpisów i wykonał parę telefonów. Nikt nie słyszał o Leah.

Potem zadzwonił do Barry'ego Marcusa.

– Muszę porozmawiać z Rose.
– O czym?
– Szukam kogoś. Podejrzanej. Kogoś, kto, dla odmiany, odwróci od niej uwagę.

* * *

Spotkali się w szpitalu.

Barry spóźnił się piętnaście minut, więc Rafferty zaczekał w korytarzu. Kiedy weszli do środka, Rose siedziała na krześle i pisała coś w swoim dzienniku.

– A to niespodzianka – powiedziała, zamykając dziennik i wstając, żeby ich powitać, jakby byli gośćmi w jej domu.

– Rafferty ma do ciebie kilka pytań – powiedział Barry.

– W porządku – odparła Rose niepewnie na myśl o przesłuchaniu.

Rafferty zachęcił chorą gestem, aby usiadła, a sam oparł się o grzejnik pod oknem.

– Znałaś dziewczynę nazwiskiem Leah Kormos?

Rose przyglądała mu się długo bez słowa.

– Callie powiedziała, że była jedną z Bogiń.

– Tak – odparła Rose.

– Pamiętasz ją?

– Tak.

– Mieszkała z tobą?

– Nie.

– Nie mieszkała na Daniels Street razem z innymi dziewczynami?

– Nie.

– Czy nie była jedną z Bogiń? – zapytał raz jeszcze.

Rose zaczęła się wiercić na krześle. To słowo sprawiało, że czuła się niekomfortowo.

– Nie tak je nazywano?

– Już ci mówiłam, że boginię zmniejszono. Bogini się przemieniła. – Rose

zaczynała ciężko dyszeć.

– Chyba na dzisiaj wystarczy. – Barry zauważył, co się dzieje.

– W porządku – odpowiedział szybko Rafferty. – Przepraszam, Rose. Nie miałem zamiaru cię zdenerwować. Muszę po prostu znaleźć tę dziewczynę. Tę Leah.

Rose odwróciła się od niego plecami.

Stali już w progu, kiedy dobiegł ich głos Rose:

– Wydaje mi się, że mieszkała w akademikach.

Rafferty czekał z nadzieją, że Rose doda jakieś szczegóły, ale kobieta zamilkła.

* * *

Przeszukiwał dokumenty z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku z lokalnych college'ów i uniwersytetów, najpierw Salem State, następnie Endicott i innych. Już miał zacząć sprawdzać listy szkół przygotowawczych, gdy znalazł ją na liście Akademii Sztuk Montserrat. Dostała stypendium i miejsce w akademiku, i studiowała tam w semestrze letnim w osiemdziesiątym dziewiątym roku. Miała dobre stopnie. Wyglądało na to, że zapisała się na semestr zimowy, ale nie wróciła na uczelnię po wakacjach. Rafferty poprosił Montserrat o jej dane, składając wniosek w imieniu policji. Powiedzieli, że to wbrew polityce uczelni, by udostępniać adresy domowe.

– Uzyskajcie pozwolenie albo zdobędę nakaz sądowy – oświadczył w odpowiedzi.

* * *

Rafferty zatrzymał się w pirackim sklepie Mickeya Doherty'ego po drodze do Ann. Mickey, w pełnym kostiumie, zabawiał właśnie grupkę kobiet w średnim wieku.

– Muszę z tobą porozmawiać – dość bezceremonialnie przerwał mu Rafferty.

– To nigdy nie jest dobry znak dla pirata, kiedy chce z nim rozmawiać komendant policji – oświadczył Mickey z rozbawieniem.

Kobiety się rozpierzchnęły.

– Oby to było coś ważnego – mruknął Doherty. – To były moje klientki.
– Nie wątpię – odparł komendant.
Teraz to Mickey miał zmartwioną minę.
– Nie przejmuj się. Nie przyszedłem rozmawiać o interesie, który kręcisz na boku – uspokoił go Rafferty. – Chodzi o twoje nowe zajęcie...
– Mam sprawdzić ci drzewo genealogiczne? Bardziej prawdopodobne, że jesteś spokrewniony z jednym z oskarżycieli niż oskarżonych – parsknął Mickey.
Rafferty zignorował ten komentarz i podał Mickeyowi listę nazwisk, które spisał w notatniku.
– Co to takiego?
– Nazwiska, które chcę, żebyś sprawdził.
Informacje, które Rafferty podał Mickeyowi, były dość wybiórcze. Na kartce pojawiły się jednak imiona i nazwiska Bogiń wraz z personaliami ich rodziców. I oczywiście Rose. Jedyne na temat Leah Kormos nie miał pełnych danych.
– Chcę, żebyś mi powiedział, która z tych kobiet była spokrewniona z Sarah Good.
– Sarah Good, tak? – Mickey spojrzał na kartkę, po czym podniósł wzrok na Rafferty'ego.
– Możesz to zrobić?
– Wszystko kosztuje...
– A co powiesz na to, że cię nie aresztuję?
– Godziwe wynagrodzenie. – Mickey kiwnął głową.
– Zaczynaj od tej. – Rafferty stuknął paznokciem w Leah Kormos.
– Tak jest, kapitanie – odparł Mickey. – Ale będziesz musiał mi dostarczyć więcej informacji niż tylko imię i nazwisko tej pani.
– Pracuję nad tym – uciał Rafferty.
Wyszedł ze sklepu Mickeya i skierował się nabrzeżem do Sklepiku Cieni. Zbliżała się dziewiętnasta i Ann zamykała.
– Wyczuwam, że to nie jest wizyta towarzyska – zagadnęła, kiedy zobaczyła jego minę.
– Musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz o Boginiach. – Zignorował jej komentarz.
Nie składał Ann towarzyskich wizyt. Nie od czasów pewnej nocy, która miała miejsce kilka lat temu... To była pomyłka i całkowicie jego wina. Kiedy próbował przeprosić, zlekceważyła to.
– To się nigdy nie wydarzyło – powiedziała krótko. Od tamtej pory nie wracali do tego tematu.
– Czy myśmy już tego nie przerabiali? Mówiłam, że nie znałam ich dobrze. To wszystko pogłoski...
– Chcę wiedzieć, co masz do powiedzenia, kiedy nie ma w pobliżu Callie

Cahill.

Otworzyła mu drzwi i Rafferty wszedł do środka.

– Nie były satanistkami, prawda?

– Oczywiście, że nie. Wtedy wszystkie czarownice nazywano satanistkami.

Choć nie sądzę też, żeby były czarownicami, a przynajmniej nie do końca. Tak, jak mówiłam wcześniej, nie były samotniczkami ani nie uczyły się w żadnym kowenie w mieście.

– To gdzie się wszystkiego nauczyły?

– Jeśli plotki są prawdziwe, może w Ścieżce Lewej Ręki. Mieli tam duży wybór książek na temat każdego zaklęcia, jakie można sobie wyobrazić. Było mi szkoda, kiedy został zamknięty... To było świetne źródło. Wspominałam już, że w latach osiemdziesiątych magia dopiero robiła się tu popularna. Każdy miał w sobie jakąś pozostałość po czasach hipisowskich, zwłaszcza w tym mieście. Wszyscy wierzyliśmy w magiczne moce: przeprowadzaliśmy seanse, czytaliśmy tarota, wpatrywaliśmy się w gwiazdy. Moi przyjaciele, Wiccanie i ja, czciliśmy boginię. Ale te kobiety... One wierzyły, że same są boginiami.

– Czy to nie był pseudonim nadany im przez innych?

– Ja słyszałam, że to one same tak się nazwały.

– Czytałem, że... przekraczały różne granice.

– Mało powiedziane. Seks daje władzę, a one o tym doskonale wiedziały.

Mężczyźni chodzili za nimi jak psy. Dziewczyny ich uwodziły, niektórzy powiedzieliby nawet, że ich wykorzystywały. Czasem osobno, często razem. To była gra...

– Wiesz coś o „zasadach”?

– Zasadach?

Callie powiedziała, że miały zestaw reguł. Najwyraźniej dotyczących uwodzenia.

– Jeśli były jakieś reguły – Ann wzruszyła ramionami – to nigdy o nich nie słyszałam. Słyszałam za to wiele innych fascynujących rzeczy: były bardzo... otwarte w kwestii tego, co robiły. Zresztą możesz zapytać ich „ofiary”, czy wiedziały o zasadach.

– Ofiary?

– Tak miejscowi nazywali mężczyzn, których uwiodły: ofiarami. Nie ma tego w aktach? Raz na jakiś czas dziewczyny brały sobie faceta, kogoś, kto miał problemy w domu. Znikał wtedy na całe dni, zapominając o pracy i rodzinie. W końcu wracał do żony, chory i wyczerpany. Wiem, że Boginie zarzekały się, iż to im daje energię. Może to była zasada?

– Znasz nazwisko którejkolwiek z tych tak zwanych ofiar? – zapytał komendant z nadzieją w głosie.

– Nie – ucieła Ann. – A nawet gdybym znała, to nie jestem pewna, czy bym

ci je zdradziła. – Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. – Cenię sobie dyskrecję.

Zapadła niezręczna cisza. Rafferty zbierał myśli.

– W osiemdziesiątym dziewiątym rewolucja seksualna należała już do przeszłości. Potępienie tych dziewczyn, o jakim czytałem w raportach, wydaje się mocno przesadzone. Odnoszę wrażenie, jakby to wszystko się działo w siedemnastym wieku.

– Bo to ta sama przesadzona reakcja co w siedemnastym wieku... Strach.

– Strach przed niewiernością? Przed diabłem?

– Tak, może i jedno, i drugie. Na Północnym Wybrzeżu mniej więcej w tym czasie zdiagnozowano wiele przypadków HIV wśród heteroseksualistów. Rewolucja seksualna być może wyciągnęła seks z tak zwanej szafy, ale AIDS sprawiło, że stał się zabójczy. Ktoś puścił plotkę, że to Boginie są nosicielkami.

Rafferty przejechał dłonią włosy.

– A faktycznie tak było?

– Wątpię, ale ludziom łatwo było w to wierzyć, i tylko to miało dla nich znaczenie. Musieli mieć kogoś, kogo można by obarczyć winą. Zdecydowanie nie poprawiło to reputacji dziewczyn w mieście. – Ann spojrzała podejrzliwie na komendanta. Myślałam, że ta sprawa jest zamknięta.

– Wstrzymana, nie zamknięta.

– Masz jakieś nowe tropy? Od tego zdarzenia z Rose?

Nie odpowiedział.

– Problem z tamtymi dziewczynami zaczął się w chwili, kiedy wmówiły sobie, że odziedziczyły magiczne moce po swoich przodkiniach, kobietach, które zostały stracone tego samego dnia.

– Dlaczego?

– Zastanów się. Stąd już krótka droga do przekonania, że oskarżone miały ponadnaturalne moce. To mogłoby usprawiedliwić ich egzekucję i okropieństwa, przez jakie przeszły, czekając na stryczek. Skazane w siedemnastym wieku kobiety nie były czarownicami w żadnym sensie tego słowa. Z pewnością nigdy nie podpisały paktu z diabłem. Co, dla ścisłości, nie ma absolutnie nic wspólnego z wiedźmami, które kiedykolwiek znałam. Osoby oskarżone w Salem były purytankami.

– Podlegającymi purytańskiemu prawu.

– Dokładnie. Na szczęście ono już nie obowiązuje, ale w pewnym sensie w naszym miasteczku niewiele się zmieniło. Oskarżano zwykle kobiety, czasem w podeszłym wieku. Podobno niektóre były chore psychicznie albo bezdomne...

– Jak Sarah Good.

– Tak.

– I Rose.

– A kiedy już zaczniesz demonizować różne grupy osób, kiedy już uczynisz je „innymi”, możesz usprawiedliwić każdą krzywdę, jaką im wyrządzisz, prawda? Historia zna wiele takich przypadków, jeśli mi nie wierzysz.

* * *

Rafferty odebrał wezwanie, kiedy wracał na komisariat.

– Doszło do włamania do domu przeznaczonego do rozbiórki na Daniels Street – powiedział Jay-Jay, wyjaśniając, kto zgłosił sprawę. – Mam wysłać radiowóz czy nadal kręcisz się po tamtej okolicy?

– Jestem właściwie na miejscu – powiedział Rafferty, zawracając z piskiem opon.

– Potrzebujesz wsparcia?

– Nie. Sam sobie poradzę.

* * *

Rafferty uznał, że nie ma ochoty wspinać się na podupadły ganek domu, aby dostać się do środka. Zwyczajnie otworzył łomem frontowe drzwi. Callie wyglądała na bardziej zaskoczoną jego widokiem niż on widokiem jej.

– Mamy jakieś dziesięć minut, zanim praworządny obywatel z naprzeciwka ponownie zadzwoni na policję, a Jay-Jay wezwie wsparcie, choć mówiłem mu, że go nie potrzebuję. – Starał się mówić konkretnie. – Nadal chcesz się rozejrzeć?

Callie stała przed nim ze spuszczoną głową. Wyglądała jak nastolatka.

– Jestem aresztowana? – zapytała.

– Jeszcze nie. – Włączył swoją latarkę, jakieś sto razy mocniejszą od tej, którą przyniosła Callie.

W salonie nie znajdowało się już nic prócz kilku starych toreb z McDonalda. Kuchnia była pusta: usunięto zarówno zlew, jak i kuchenkę, ze ścian ktoś, zapewne złodziej, wyrwał nawet miedziane rury. Wyglądało na to, że zaczęto tu sprzątać, ale porzucono projekt, pozostawiając w rogu stertę śmieci. Ciągnęła się z niej sieć pajęczyn aż do uchwytu podłogowej szafki.

W szafie w sypialni, na tyłach domu, leżał martwy szczur wodny.

– O Boże – powiedziała Callie, szybko wychodząc z szafy. Gdy się

wycofywała, przebiła na wylot przegniłą deską podłogową i prawie się przewróciła.

Rafferty złapał dziewczynę za ramię.

– Nic ci nie jest?

– Nie. Dzięki – powiedziała, nadal wzdrygając się przez widok szczura.

– Uważaj. Wiele z tych desek wygląda na przegniłe. – Oświetlił latarką wyglądający na wilgotny płat gipsu w rogu. – Zalany. – Skierował snop światła z powrotem na podłogę, żeby rozejrzeć się za innymi zgniłymi klepkami. Zobaczył pęknięcie pomiędzy deskami w podłodze, po czym przeszedł nad zgniłym panelem, aby wyciągnąć kopertę, która wpadła w szczelinę. Strzepnął z niej kurz i obrócił w palcach.

– „Dla Dagdy od Morrigan” – przeczytał na głos. – Czy to imiona Bogiń?

Callie pokręciła głową.

– Nie sądzę. Nie pamiętam, żebym wcześniej je słyszała.

– Jest coś jeszcze... – Zmrużył oczy. – Przybliżył latarkę, sprawiając, że koperta stała się przejrzysta i ujawniając wyblakły odcisk szminki.

– Może to list miłosny? – powiedziała, co pobudziło jej pamięć. – Moja matka i pozostałe dostawały dużo „listów miłosnych” od swoich... „przyjaciół”. Czasem je recytowałam.

– Listy miłosne?

Pokiwiała głową.

– Rose uczyła mnie dobrej dykcji. Uczyła mnie też różnych rzeczy na pamięć, więc recytowałam wiersze przed matką i jej przyjaciółkami. W pozycji recytatorskiej. – Położyła jedną dłoń na drugą wewnątrz do siebie, trzymając je na wysokości klatki piersiowej. – A na koniec musiałam dygnąć.

– Brzmi uroczo.

– To miało mi pomóc zachować zimną krew przed publicznością. Nie jestem pewna, czy to działało, ale na pewno pomogło mi uczyć się czytać.

– A te listy miłosne?

– Rose pracowała nocami w Centrum. Większość osób wykonywało swoje badania po pracy albo w soboty. Kiedy jej nie było, matka i Boginie kazały mi czytać fragmenty listów. Męczyłam się nad słowami, których nie znałam. Bardzo je to bawiło.

Callie czuła, jak się czerwieni, przypominając sobie wyrazy, które wówczas musiała wymówić, a które teraz znała aż nazbyt dobrze.

– Nie musiałam przyjmować pozy recytatorskiej, kiedy czytałam te listy, ale musiałam na koniec dygnąć.

W pamięci widziała, jak Boginie chichotały i pohukiwały podczas czytania, ale to to dygnięcie doprowadzało je do całkowitej hysterii. Śmiały się tak, aż nie mogły złapać oddechu, potem milkły, żeby się opanować, aż jedna z nich zaczynała

pękać i po chwili rechot rozlegał się na nowo. Callie wspominała te chwile jako szczęśliwe, kiedy wszystkie Boginie były razem, a ona znajdowała się w centrum zainteresowania. Teraz, kiedy pamiętała kontekst, czuła się zażenowana.

Zauważyła u Rafferty'ego przelotną, pełną dezaprobaty minę, zanim ją ukrył.

– A pamiętasz, żeby któryś z nich nazywał się Morrigan?

– Nie – odparła. – Czy to wskazówka?

– Nie wiem. Być może.

Po ścianie przebiegł snop przednich świateł radiowozu, który właśnie zatrzymał się przed domem. Rafferty wyrzwał przez okno: sąsiad wyszedł porozmawiać z funkcjonariuszami, których, zgodnie z jego przewidywaniami, wysłał Jay-Jay.

– Chodźmy stąd – powiedział Rafferty. – Zanim oboje skończymy w areszcie.

Wyprowadził Callie tylnymi drzwiami, po czym sam wyszedł frontowymi, zatrzymując się, by porozmawiać z sąsiadem, zanim wsiadł do samochodu, dając równocześnie Callie czas, by wymknęła się niezauważona. Następnie skręcił za rogiem i zatrzymał się przy niej, otwierając drzwi od strony pasażera.

– Gdzie zaparkowałaś?

Pokazała w stronę parku.

– Wsiadaj, podwiozę cię.

* * *

Ktoś z Monserrat zadzwonił na komisariat następnego ranka, żeby podać ostatni znany adres Leah.

Dwupiętrowego domu w Beverly, w którym mieszkała, dawno już nie było. Powstawał tam nowy apartamentowiec.

Rafferty rozmawiał z jednym z sąsiadów.

– Dziewczyna była uciekinierką – twierdził mężczyzna. – Chodziła chyba gdzieś do szkoły, ale potem wróciła. Nie została zresztą długo. Ona i ojciec nigdy się nie dogadywali.

Nie pamiętał, kiedy Leah uciekła, ale z całą pewnością nie zdarzyło się to przed morderstwami. Rafferty wiedział przynajmniej tyle.

Sąsiad powiedział, że jej ojciec umarł dawno temu.

– Rak płuc. Była też młodsza siostra, Becky. Wyprowadziła się. Urodziła dziecko. Z tego, co mi wiadomo, mieszka w New Hampshire. – Mężczyzna nie

wiedział, gdzie dokładnie, wspominał jedynie, że słyszał gdzieś, że zostawił ją mąż i wychowywała dziecko sama.

Rafferty nie doszukał się niczego w internecie, ale znalazł kopię aktu urodzenia Leah w ratuszu w Beverly. Oryginał wypisano odręcznie i był właściwie nieczytelny. Udało mu się ustalić imię ojca po dokumentach dotyczących nieruchomości, potem znalazł także jego akt urodzenia. Pochodził z Beverly, jego rodzice przybyli tu z Grecji niedługo po wojnie. O matce Leah i jej siostrze nie było żadnych wzmianek.

Wybrał w komórce numer Mickeya.

– Grecja, co? Nie szukamy więc pewnie rodowodu ze strony ojca. W dodatku w Europie trudno się szuka papierów.

– Spróbuj.

– Załatw mi dokument matki.

– Pracuję nad tym.

W drodze powrotnej do Salem Rafferty zatrzymał się na komisariacie w Beverly, na wypadek gdyby ktoś wcześniej szukał Leah, i złożył zgłoszenie. Porozmawiał ze znajomym detektywem. Tak jak Rafferty’ego, przeniesiono go tu z Connecticut. Kiedy komendant wspominał o Leah Kormos, wydało mu się, że zauważył, jak jeden ze starszych funkcjonariuszy rzucił koledze szybkie spojrzenie.

Detektyw potrzebował trochę czasu, zanim odnalazł rekordy.

– Niezła uciekinierka. Dosłownie rozplynęła się w powietrzu.

– Kiedy zniknęła?

– Sprawdźmy... – Wpatrzył się w monitor. – O, jest. Zaginięcie zgłoszono piątego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

ROZDZIAŁ 18

1 grudnia 2014
Salem

Czary pochodzą z cielesnego pożądania, które w kobietach jest nienasycone.
Malleus Maleficarium, 1487

Stały w „czterech kątach okręgu”, każda ze świecą reprezentującą wschód, zachód, północ i południe.

Rafferty siedział na ławce i obserwował je z odległego końca Derby Wharf. Znad oceanu wiał wiatr i świece co chwilę gasły. Już wcześniej widział tę ceremonię. Ann nazywała ją „wzywaniem mórz”. Kiedy już nakreślono krąg, nie można było przez niego przejść, chyba że wycinając sobie jakiegoś rodzaju pasaż, metaforyczne drzwi.

– Okręgi nie mają kątów – wtrącił, kiedy próbowała wyjaśnić mu cały proces.

– Nie bądź taki dosłowny – odparła.

– A co by się stało, gdybym po prostu w niego wszedł? – zaciekał się Rafferty. – Gdybym wszedł do środka, żeby się przywitać...

– Pewnie zerwałbyś zakłęcie – rzekła. – W najlepszym wypadku.

– A w najgorszym?

– Naraziłbyś stojących w okręgu, a pewnie i siebie, na niebezpieczeństwo. W okręgu jesteś bezpieczny. Dzięki bóstwom, których do niego zaprosiłeś.

– A na zewnątrz?

– Na zewnątrz są ci, których nie zaprosiłeś. Wróżki i nieczne istoty. A to bywa zazdrosna banda. Uwielbiają wpraszać się na imprezę.

Rafferty słuchał z miną niedowiarka. Mimo to zachował odległość i czekał, aż ceremonia zostanie zakończona, a tworzony przez kobiety krąg się rozproszy. Wiedział, że dopiero wtedy będzie mógł porozmawiać z Ann. Przyglądał się, jak skierowała różdżkę i odczyniła krąg przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, mówiąc: *widdershins*[22].

– Trzy razy w jednym tygodniu? – zdziwiła się, gdy szła z czarownicami z powrotem do brzegu, widząc, że czeka na nią. – Zaczną się plotki.

– Znów podnosisz poziom wód? Ludzie od zmian klimatycznych nie dadzą ci żyć – odparł.

– Wręcz przeciwnie. To zakłęcie nazywa się „Przyptywy i odpływy”. Ma zawrócić i to, i to. W formie lekarstwa na zmiany klimatu.

– A działa?

– Czas pokaże – powiedziała.

– Myślałem, że czas nie istnieje.

– Linearny czas nie istnieje – poprawiła go gderliwie. – Wystarczy. O co chcesz mnie zapytać tym razem?

– Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o boginiach.

– Boginiach w sensie ogólnym czy o tych biednych dziewczynach z osiemdziesiątego dziewiątego?

– Ogólnym. Czczysz konkretną boginię, prawda? Z jakiejś wybranej grupy?

– Mój kowen wybrał panteon celtycki, choć mniej więcej przypomina on grecki, rzymski i nordycki. Otaczamy kultem wszystkich bogów i boginie z naszej grupy, ale każde z nas wybiera jedno bóstwo, z którym się identyfikuje. Moją jest Danu, bogini-matka wody i wojny.

– Czy to nie stoi w sprzeczności?

– Ani trochę – powiedziała Ann. – Daję sobie z nią radę. Ale trzeba uważać, kogo się wybiera, i pamiętać, że przywołując swoją boginię, przywołuje się wszystkie jej moce. Dlatego właśnie odradzamy nowicjuszom zbyt pochopne dokonywanie wyboru. – Westchnęła. – Wiem, że w to wszystko nie wierzysz, więc o co naprawdę chcesz zapytać, Rafferty?

Przeszedł do rzeczy:

– Czy sądzisz, że nasze Boginie z osiemdziesiątego dziewiątego mogły mieć szczególną boginię, którą czcili – boginię imieniem Morrigan?

Ann wyraźnie się zainteresowała.

– To twój panteon? – dodał.

– Jest celtycka, ale nie warto jej naśladować.

– Czy to Morgana le Fay[23]?

– Nie, zupełnie inne pochodzenie! Imię Morrigan pochodzi z języka gaelickiego. W wolnym tłumaczeniu to Królowa Widmo.

– Brzmi złowieszczo.

– Oznacza także „terror”. To mocarna kobieta. Trzymałabym się od niej z daleka.

– A Dagda?

– Dagda to bóg, a nie bogini. Legenda głosi, że Dagda potajemnie spotyka się z Morrigan w Samhain[24].

– Zaczekaj chwilę – przerwał jej Rafferty. Wyciągnął telefon, aby zrobić notatki.

– Lubię Dagdę – przyznała Ann. – To dobry bóg. Albo ojciec Danu, albo jej syn.

– Dość szeroki wachlarz możliwości.

– Wszystko zależy od interpretacji. – Ann wzruszyła ramionami. – Czy to ma coś wspólnego z tymi dziewczynami?

– Może – powiedział. – To przypadkowe imiona napisane na kopercie.

– Prawdopodobnie nieprzypadkowe – oświadczyła. – To nic dobrego, moim zdaniem.

Zastanowiła się, zanim znów się odezwała.

– Niektórzy opisują Morrigan jako potrójną boginię w zwyczajowym sensie: dziewica, matka i starowinka. Inni mówią, że jest równocześnie trzema siostrami: Nemain, Macha i Bodb.

Rafferty podał jej swoją komórkę.

– Przeliteruj mi to.

Wpisała imiona i oddała mu telefon.

– Wymówisz je jeszcze raz?

Ann mówiła powoli, akcentując każdą sylabę:

– Ne-main... Ma-cha... – Zatrzymała się, zanim przeszła do ostatniego imienia.

– A ta?

– Bodb... – powiedziała z taką miną, jakby nagle zdała sobie z czegoś sprawę. – Bodb w niektórych rejonach Irlandii nazywana jest tak... – Wpisała imię powoli, po czym odwróciła telefon, żeby Rafferty mógł spojrzeć: – B-E-A-N S-I-D-H-E.

Spojrzał na słowa i próbował je wymówić.

– Bean co?

– Banshee.

[22] Widdershins – słowo pochodzące ze szkockiej odmiany angielskiego, oznaczające ruch przeciwny do wskazówek zegara.

[23] Morgana le Fay – bohaterka legend arturiańskich i celtyckich, przyrodnia siostra Artura, czarodziejka o mocach równych zdolnościom Merlina. Od jej imienia pochodzi słowo „fatamorgana”.

[24] Samhain – święto celtyckie, którego nazwa oznacza koniec lata, obchodzone po zakończeniu żniw.

ROZDZIAŁ 19

*10 grudnia 2014
Pride's Crossing*

Jestem szyfrem. Nie mam ciężaru, wartości, wpływu. Niczego sobą nie reprezentuję. Nie istnieję.

Księga drzew Rose

– Paul i ja jesteśmy przyjaciółmi. Nie sypiamy ze sobą, jeśli o to ci chodzi.

– A tak właśnie myślą wszyscy w Pride's Crossing – odparła Emily.

Callie patrzyła, jak Emily rozgląda się po domku. Prace badawcze Paula do jego pracy doktorskiej były rozłożone na całym stole. Leżały tam też porzucane zdjęcia obrazów odkrytych w jaskiniach skalnych i kilka książek naukowych. Na monitorze komputera znajdował się artykuł o renowacji jaskiń, który napisał promotor Paula, opublikowany w „National Geographic”. Paul też miał swój wkład w jego powstanie.

– Przynajmniej nadal udaje ci się trochę pracować – powiedziała Emily do

Paula, po czym zwróciła do Callie swoją wynędzniałą twarz. – Nadal masz pracę i mieszkanie w Northampton?

– Mam sobie pójść? To właśnie przyszłaś mi powiedzieć?

Odkąd Callie wyznała Paulowi prawdę i go przeprosiła, zaczęli codziennie spotykać się na kawie w Atomic Cafe w centrum Beverly, bo Salem robiło się dla Callie coraz bardziej problematyczne. Doszło tam do kilku incydentów, niektórzy ludzie zaczęli ją rozpoznawać.

Jedna konfrontacja w szpitalu szczególnie mocno wyprowadziła ją z równowagi.

Gdy szła odwiedzić Rose, na schodach zaczął ją śledzić starszy mężczyzna, który ostatecznie zagroził jej drogę.

– Wiedziałem, że to prawda. – Nachylił się do niej tak blisko, że czuła jego oddech i widziała, jak jego oczy napędniają się łzami. – Wiedziałem, że do mnie wrócisz.

Natychmiast powiadomiła o tym zajściu Rafferty'ego.

Słyszała od Towner, że komendant został wezwany na dywanik ze względu na swoją „tendycyjność” na korzyść Rose, a fakt, że Callie mieszka w ich domu, jedynie dolał oliwy do ognia. Na mieście zaczęły się pojawiać kolejne nienawistne graffiti, a na jednym zamieszczono imię Callie. Ktoś kamieniem wybił szybę w herbaciarni. Napastowali ją dziennikarze. Podejrzewała, że to Ann rozpuściła wiadomość o jej tożsamości, bo tylko ona poza Raffertym, Towner i Paulem znała jej prawdziwe nazwisko, ale Towner jej broniła, twierdząc, że Ann by tego nie zrobiła. Callie nie była taka pewna.

Kilka dni później Towner z zatroskaną miną przyszła do niej.

– Bardzo mi przykro, że muszę to zrobić, Callie, ale powinnaś znaleźć sobie inne lokum. Rafferty zawsze się martwił o twoje dobre samopoczucie w Salem, ale, szczerze mówiąc, teraz obawiam się też i o jego.

– Rozumiem. Znajdę sobie coś. – Prawda była taka, że Callie od jakiegoś już czasu szukała w internecie własnego lokum. – I tak zrobiłaś dla mnie więcej, niż wymaga ludzka przyzwoitość, pozwalając mi tu zostać.

– Dziękuję – odparła Towner, po czym dodała: – Proszę, nie przestawaj zachodzić na herbatę. Uwielbiam się z tobą widywać. Traktuję cię jak córkę, której nigdy nie miałam. Problem tkwi wyłącznie w tym, że u nas mieszkasz.

Callie nadal więc zachodziła do Towner na herbatę, ale dużo rzadziej niż dawniej. Całkowicie przestała też zaglądać na cmentarz. Teraz pojawiała się w Salem wyłącznie po to, by odwiedzić Rose. Zostawiała samochód na tyłach szpitala i korzystała z mało uczęszczanego wejścia. Zaczęła szukać mieszkań do wynajęcia na krótki czas w Beverly, niedaleko od Pride's Crossing.

Kiedy Paul usłyszał, co się dzieje, zaproponował, żeby zatrzymała się w domku na przystani.

– W lutym wyjeżdżam do Włoch – oświadczył. – Więc wtedy będziesz miała dom tylko dla siebie. A do tego czasu chętnie się nim z tobą podzielę.

– Ale jako przyjaciele, prawda?

– Oczywiście. Nie miałem zamiaru sugerować czegokolwiek innego.

Odwrócił wzrok, kiedy tylko to powiedział, co prawdopodobnie oznaczało, że brał pod uwagę odmienną opcję, dobrze więc że zawczasu poruszyła ten temat.

W swojej wspaniałomyślności odstąpił dziewczynie swoje łóżko i przez ostatnie trzy dni zajmował kanapę w kątku bibliotecznym w wieży.

Z wyjątkiem pierwszej nocy wszystko szło gładko.

– Spałaś z otwartymi oczami, wiesz o tym? – zagadnął następnego ranka, gdy podawał jej kawę. – Robiłaś tak nad Norman's Woe i raz jeszcze wczorajszej nocy.

– Obserwowałeś mnie, jak śpię? – Przerażona Callie odstawiła kubek.

– Nie. To znaczy... tak. Ale tylko przez kilka minut. Usłyszałem, jak coś mówisz i jakby jęczysz, więc wszedłem sprawdzić, co się dzieje. Myślałem, że to kolejny koszmar.

Wspomnienia wybudzające, jak określił je jej psycholog. Zakonnice nazywały je wizjami, co stało się kolejnym powodem, dla którego się jej bały. Spanie z otwartymi oczami mogło przerażać osoby postronne. Przez krótki czas Callie nawet lunatykowała, co spowodowało, że siostry zaczęły zamykać ją co noc w pokoju, obawiając się, że ucieknie. Jej sny były intensywne, nawet jeśli oderwane od rzeczywistości, i często budziła się zrana potem, nie mogąc ponownie zasnąć. Najczęściej sny były urywkami wspomnień z nocy morderstw, detalami, które wracały nieproszone.

– Nie pomyślałeś, że trzeba mnie obudzić? – zapytała z niedowierzaniem.

– Kiedy dobiegłem na górę, przestałaś jęczeć.

– Ale i tak mnie obserwowałeś.

– Tak – odparł, nie spuszczać wzroku. – Obserwowałem. – Zdecydowanie krył się w tym seksualny podtekst.

– W takim razie przestań – zgałła go.

Pełen dezaprobaty grymas na twarzy Emily przypominał Callie jej własną minę z tamtego poranka.

– Wyniosę się, jeśli chcesz – powiedziała.

Przywykła już do tego, że ktoś każe jej się wyprowadzić. Starła się, by jej głos brzmiał szczerze, ale nie uniknęła pewnej szorstkości.

– Niekoniecznie.

– Jaki jest więc powód tej wizyty, mamó? – zapytał Paul. – Callie stara się pomóc Rose. A to, kogo goszczę w moim domu, nie jest twoją sprawą.

– Biorąc pod uwagę, że to nadal mój dom, a ty nadal jesteś moim synem – Emily zmarszczyła czoło – to jednak jest moja sprawa.

– Kilka dni temu ktoś zaczepił Callie w Salem. Wiedziałaś o tym?

– Nie – powiedziała ostrożnie pani Whiting.

– Tak było. Możesz nie zdawać sobie z tego sprawy, ale wszyscy w Salem już wiedzą. To Callie jest tą małą dziewczynką, która przeżyła morderstwa Bogiń.

Paul zdążył już wyjaśnić Callie, że Emily przeprowadziła się do Pride's Crossing i wyszła za Finna dopiero kilka miesięcy po morderstwach. Niedługo potem urodził się Paul. Nie było ich w mieście, kiedy doszło do zbrodni, ale słyszeli o niej. Wszyscy wiedzieli.

– O mój Boże, Callie. Nie miałam pojęcia. Tak mi przykro. – Emily wpatrywała się w Callie, jak gdyby próbowała zrozumieć pełne konsekwencje tego, co usłyszała. – Dobry Boże, przez jakie piekło musiałaś przejść...

– Ponoć tak bardzo przypomina matkę, że Rafferty i Towner odradzili jej mieszkanie w Salem.

– Co się stało? Kto cię zaczepił?

Callie spojrzała na Paula, który aprobująco pokiwał głową. Opowiedziała więc ponownie całą historię o starszym mężczyźnie.

– „Wiedziałem, że do mnie wrócisz?” – powtórzyła Emily. – Co to oznacza?

– On chyba uwierzył, że jestem Olivią.

– A potem odebrała kilka telefonów z „Dziennika Salem”. Proponowano jej udzielenie wywiadu o morderstwach – wciął się Paul. – Nie chcieli dać jej spokoju. I w dodatku ktoś wybił szybę w herbaciarni. Callie nie może dłużej zostać w Salem. Więc proszę cię, nie przychodź tu i nie mów jej, że nie może też mieszkać w Pride's Crossing.

– Gdybyś przez chwilę był cicho i posłuchał, to może miałabym cię szansy wyjaśnić, po co przyszedłem. – Emily odwróciła się od syna i spojrzała bezpośrednio na Callie. – Jeśli zechcesz zostać z nami dłużej, Callie, to chciałabym, żebyś zamieszkała w głównej posiadłości.

– Ze względu na pozory? – zapytał Paul.

– Nie do końca. – Emily zaczerpnęła powietrza, jak gdyby znów nad czymś się zastanawiała, po czym zaczęła mówić dalej: – Chciałabym poddać się twojej terapii – powiedziała. – Tymi... misami.

Callie próbowała wyczytać coś z miny Emily od chwili, kiedy ta weszła do domku. Początkowo wydawało jej się, że dostrzega dezaprobatę, teraz zdała sobie jednak sprawę, że to co innego.

– Ty cierpisz.

– Tak – przyznała pani Whiting.

Twarz Paula złagodniała.

– Czy to nowa dolegliwość? – chciała wiedzieć Callie.

– Zdarzała się sporadycznie. Aż do niedawna...

– Co mówi doktor Hayes? – zapytał Paul.

– Nic, czego nie mówiłby wcześniej.

Callie zastanowiła się przez chwilę. Tak szczerze, to poczułaby ogromną ulgę, gdyby mogła wydostać się z domku na przystani. Całe to miejsce pachniało Paulem: mydłem, potem i jakiegoś rodzaju przyprawą, którą wyczuwała też w sklepie Ann.

Żaden mężczyzna nie wydał jej się tak atrakcyjny, jak Paul Whiting, od czasu... Cóż, chyba nigdy. Zbyt łatwo byłoby wejść nocą po tych schodach... Jeszcze niedawno tak by właśnie zrobiła. Ale od czasu wspomnienia, które ją wybudziło pod Hammond Castle, wizji nagiego mężczyzny z oczami Paula i opowieści Ann o uwodzicielskich praktykach Bogiń, Callie czuła się coraz bardziej niezręcznie z własną seksualnością. Nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej zachowanie przypominało styl życia Bogiń. Uwodzenie z pełną premedytacją, które kończyło się przygodami na jedną noc, bez zobowiązań. Jej własna preferencja stała się nagle czymś innym. Czy nieświadomie kopiowała zachowania, które widziała jako dziecko? Ta myśl w najlepszym wypadku wydawała jej się niepokojąca. W najgorszym, sprawiała, że robiło jej się niedobrze. Nie była pewna, czy może ufać swoim instynktom w tym domu, przebywając z Paulem pod jednym dachem. No i w końcu był też oczywisty romans Paula z Ann. Rozsądek podpowiadał jej, żeby trzymała się na dystans, mimo że ciało mówiło co innego.

– Nie musisz proponować mi pokoju we własnym domu. Będę cię leczyć. A sama znajdę inne mieszkanie. – Ton Callie stał się łagodniejszy. To wszystko robiło się zbyt skomplikowane, a Emily faktycznie nie czuła się dobrze.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała matka Paula i uśmiechnęła się do Callie. – Chcę, byś z nami zamieszkała.

Kłamała i Callie o tym wiedziała, ale i tak była jej wdzięczna. Poza tym w lutym, kiedy Paul wyjedzie do Włoch, będzie miała domek na przystani tylko dla siebie. A przynajmniej do czasu, aż znajdzie miejsce, do którego będzie mogła zabrać Rose, gdy ta wyjdzie ze szpitala.

– Muszę pojechać do Northampton po swoje misy.

Odniosła wrażenie, że widzi rozczarowanie na twarzy Paula.

* * *

Chłód i deszcz sprawiły, że na Mass Pike zrobiło się ślisko. Callie włączyła radio i słuchała *Alabama* Amy Black, żeby odwrócić myśli od konfrontacji z zakonnicami, której nie mogła już dłużej unikać. Ale prawdę mówiąc, była na nią

gotowa. Potrzebowała odpowiedzi.

Dlaczego powiedziały mi, że Rose nie żyje?

Pamiętnego ranka, po morderstwie, zakonnice ze świętego Jakuba powiedziały jej, że były na dworze ze swoimi uczniami, kiedy usłyszały dziwne nawoływania nad rzeką North. Na początku myślały, że to jakieś zwierzę, kot, który ugrzązł pod ceglanym budynkiem. Kiedy zaprowadzono dzieci do środka, zakonnice przeszukały teren i przekonały się, że odgłos pochodzi ze wzgórza za Boston Street. Znalazły Callie w stanie przypominającym trans, pogrążoną w milczeniu. Dźwięk ustał.

To był cud, mówiły, że przeżyła, chroniona przez różaniec, który tak mocno zaciskała w dłoniach. Ślad, który pozostawił, przedstawiał nie tylko pięć ran Chrystusa, ale samą Matkę Boską.

Piosenka w radiu dobiegła końca i Callie zmieniła pas, mijając radiowóz funkcjonariuszy stanowych, który chował się pod wiaduktem. Zerknęła na prędkościomierz i zwolniła.

W chwili gdy zakonnice w domu dziecka w Northampton dowiedziały się o Boginiach i Rose, zmieniły zdanie. Cud szybko stał się świętokradztwem, a siostry zaczęły obserwować dziewczynkę podejrzliwie, szukając dowodów bezbożności, bojąc się, że cokolwiek stało się w tamtą halloweenową noc, pozostawiło na Callie nie tylko fizyczne piętno.

– Dlaczego na twoim różańcu nie było Chrystusa na krzyżu? – pytały ją. – Czy blizny w kształcie płatków oznaczają pięć oskarżonych wiedźm?

Była taka mała. Nie wiedziała, jak kłamać, a nawet milczeć w kwestiach, które mogą być uważane za dziwne. Kiedy zwierzyła się im, że widzi różne rzeczy, obrazy zdarzeń sprzed tego, co się stało, ich obawy się zwieliokrotniły. Na lekcjach Callie często odpowiadała na pytania, zanim zostały zadane, jak gdyby umiała je odczytać, gdy formowały się w głowach sióstr. To było niespotykane i czasem dostawała za to karę lub była nazywana bezczelną, a nawet gorzej – oskarżano ją o oszustwo. Pewnego razu podczas egzaminu ustnego Callie udzieliła odpowiedzi, zanim został podany temat, i oskarżono ją o to, że ukradła kartkę z pytaniami z biurka siostry Agonii. Były też inne rzeczy, o których po prostu wiedziała. Sekrety o zakonnicach, których nikt jej nigdy nie zdradził. To je martwiło.

W geście samoobrony Callie zaczęła podsłuchiwać ich rozmowy na swój temat.

– Myślicie, że to czary? – Usłyszała trwożliwy głos jednej ze starszych zakonnice.

– Cóż, w Biblii też są wieszczki – odparła młodsza siostra. – Czy prorocy nie byli jasnowidzami?

– Ta mała nie jest prorokinią – oznajmiła starsza zakonnica. Uważano ją za staromodną, zresztą do tego domu dziecka w ogóle trafiały bardziej nieśmiałe

i negatywnie nastawione do świata siostry, wyjątkiem była tylko siostra Agonia.

W kwestii uprzedzeń i lęków zakonnice stanowiły łatwy cel, były dość podobnie do purytańskich obywateli Salem, o których Rose często opowiadała Callie. Szybko można było wywołać grupową histerię i Callie musiała przyznać, że zdarzało się, iż podsycala ten ogień. Aby rozbawić inne dziewczynki, kierowała swój głos do brzucha i odzywała się na pustym korytarzu, zmuszając którąś z zakonnice do odwrócenia się. Dziewczynki chichotały, chowając się w pustej klasie i obserwując, jak któraś z bardziej bojaźliwych zakonnice zaczyna się trząść, czyni znak krzyża i pospiesznie odchodzi. Podopieczne podziwiała psoty Callie, ale nie była dzięki temu bardziej lubiana. Szczerze mówiąc, prawda o Callie przerażała je wszystkie.

Dziewczyna znów zerknęła na prędkościomierz, kiedy zbliżała się do Chicopee, po czym skręciła na północny zjazd z I-91 w stronę Amherst i swojego mieszkania.

Za każdym razem, kiedy zakonnice odsyłały ją do nowej rodziny zastępczej, wydawały się odczuwać ulgę, a gdy wracała, robiły się bardziej nerwowe i przyglądały jej się, szukając „znaków”.

Dlaczego ciągle mnie do nich odsyłano? Dlaczego na to pozwalały?

Z frustracji Callie zaczęła walić rękami o kierownicę, myśląc o tych wszystkich latach, które spędziła w przekonaniu, że nie ma nikogo na świecie, podczas gdy Rose mieszkała niespełna dwieście kilometrów dalej. Kiedy po raz ostatni wylądowała na dywaniku, upierając się, że nie pójdzie już więcej do rodziny zastępczej, zakonnice powiedziały, że pozwolą jej zostać, bo ją „kochają”... Teraz wiedziała, że zrobiły to tylko dlatego, że nie miała się gdzie podziać. Często podejrzewała, że uważały za swoją misję ocalić jej duszę i upewnić się, że nie skończy jak matka. Albo gorzej – jak Rose.

Musiały być wniebowzięte, kiedy poszłam na studia.

W mieszkaniu nie było nikogo, kiedy przyjechała. Jej rzeczy w pokoju stały nietknięte. Wyglądało to tak, jakby nikt w nim nie mieszkał, co częściowo było prawdą. Callie nigdy nie spędzała tu zbyt wiele czasu. Łóżko zawsze było pościelone i wszędzie panował porządek – schludna i czysta wersja pouczelnianego życia. Jedyne przedmiotami, które przeczyły temu obrazowi, były misy. Cztery z nich stały w rzędzie na komodzie, pozostałe trzy zostały w domu opieki.

Callie wyciągnęła z szafy resztę ubrań, używając ich jako miękkiej wyściółki, zanim włożyła misy do volvo. Po opróżnieniu pokoju zostawiła liścik dla swoich współlokatorów z wiadomością, że zostanie na Północnym Wybrzeżu nieco dłużej i w związku z tym mogą używać jej pokoju jako gościnnego. „Wesołych Świąt” – dodała i podpisała liścik imieniem.

Zakonnicom nie miała zamiaru życzyć niczego wesołego. Zbyt wiele żalów nagromadziło się w jej sercu. Jakaś część niej chciała wziąć misy i po prostu sobie

pójść, ale nie miała zamiaru tego zrobić. Gotowała się ze złości z powodu kłamstw, którymi karmiły ją wychowawczynie. Nadeszła pora na konfrontację.

Pojechała do Northampton, zaparkowała na swoim zwyczajowym miejscu przed Domem Opieki pod wezwaniem Wszystkich Świętych i weszła do środka, witając się skinieniem głowy z rozmawiającą przez telefon recepcjonistką. Skierowała się bezpośrednio do gabinetu Agonii i otworzyła drzwi bez pukania, nie przejmując się tym, by je za sobą zamknąć. Zakonnica siedziała za biurkiem z okularami nisko spuszczoneymi na nosie. Czytała. Wyglądała na zmęczoną.

– Callie – powiedziała z uśmiechem, który szybko zbladł, gdy zobaczyła minę dziewczyny.

– Dlaczego mnie okłamałyście?

– Słucham?

– Dlaczego powiedziałyście mi, że Rose Whelan nie żyje?

Przeorysza wstała i zamknęła drzwi, by podniesiony głos Callie nie wydostał się na korytarz.

– To była moja jedyna rodzina.

Agonia znów usiadła i szybko złożyła dłonie. Ten szybki ruch przywołał wspomnienie. Ksywka Agonii pochodziła od linijki, której używała, by karać dziewczynki. Działo się to tak szybko, że prawie nigdy nie można się było na to przygotować. Zakazano używania tej starodawnej kary rok po pojawieniu się Callie w domu dziecka. Wtedy Agonia zaczęła składać ręce i zaciskać je jak do modlitwy, aż bieleły jej knykcie, starając się nie stracić nad sobą panowania. Może i zakon oficjalnie zakazał kar cielesnych, ale linijka nadal leżała na biurku zakonnicy, a Callie wciąż pamiętała jej cios. Większość dziewcząt była bita po palcach. Callie dostawała ciosy w bliznę, bezbożny stygmat.

Teraz dziewczyna patrzyła, jak przeoryszy bieleją knykcie. Siostra długo milczała, zanim znów przemówiła:

– A jak się czuje Rose?

Callie utkwiała w niej wzrok.

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz.

ROZDZIAŁ 20



10 grudnia 2014
Pride's Crossing

Muzyka nie tkwi w nutach, lecz w ciszy pomiędzy nimi.
Wolfgang Amadeusz Mozart

Było już po kolacji, kiedy Callie wróciła do Pride's Crossing. Zatokę zasnęła mgła, żałobne wycie syren niosło się po wodzie. Na podjeździe Pride's Heart spotkała Martę ubraną w prochowiec, skórzane rękawiczki i z żółtą kopertą na dokumenty w ręce.

Przestało padać, ale nadal było ślisko. Callie omal się nie przewróciła na mokrym żwirze, w chwili gdy podchodziła do podestu schodów.

– Ojej... – Marta wyciągnęła do niej rękę. – Pomóc?

– Dam radę – powiedziała Callie, odzyskując równowagę. Niosła wielką misę kwarcową.

– Gdzie są wszyscy? Gdzie Darren? – zapytała Marta.

– Ma dziś wolne – odparła Callie. Emily wspomniała o tym, gdy dawała jej klucz. – Ale nie mam pojęcia, gdzie są Emily i Finn.

– Pozwól mi przynajmniej sobie otworzyć. – Marta wzięła od Callie klucz i otworzyła nim wielkie, drewniane drzwi.

Ich kroki poniosły się echem, gdy weszły do środka, a misa natychmiast podchwyciła wibracje. Callie odstawiła ją na kamienną podłogę i dźwięk rozbrzmiał w korytarzu.

– Niesamowite – zdumiała się Marta. – Czy to żyje?

Callie się roześmiała.

– Czasem wydaje mi się, że tak.

– Zauważyłam, że w samochodzie masz ich więcej. Chętnie ci pomogę.

– Dzięki, ale Paul już tu idzie.

– Aha – odparła Marta z uśmiechem. – Słyszałam, że jesteście parą.

– Nie jesteśmy parą. – Callie się roześmiała. – Raczej przyjaciółmi.

– Okej. – Marta wyraźnie tego nie kupiła. – Tak czy inaczej witaj w sąsiedztwie.

– Dziękuję – odparła Callie, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Bez Emily w pobliżu nie miała pojęcia, co jej wolno. – Muszę napić się wody.

– Przyniosę ci. Hildy też chyba dzisiaj nie ma, ale wiem, gdzie co się znajduje. – Marta już zmierzała do kuchni i wyciągała szklankę z kredensu.

– Butelkowana czy z kranu? – zapytała.

– Wszystko jedno.

Kobieta wyciągnęła z lodówki dwie butelki.

– Z gazem czy bez?

– Co za luksusy – westchnęła Callie.

– Nie natkniesz się tu na nic innego – odparła Marta, wskazując Callie krzesło przy stole. Usiadła naprzeciw niej, podśpiewując nieco zmienioną starą piosenkę Arlo Guthrie'a: – „W restauracji Emily dostaniesz wszystko, co chcesz...”[25]

Callie zaśmiała się, bo знаła ten tekst.

– ... z wyjątkiem Emily – dokończyła.

Marta się uśmiechnęła.

– Wybrałaś sobie do zamieszkania właściwy dom – powiedziała, próbując ukryć w głosie lekką kąśliwość.

W drzwiach do przedsiionka kredensowego pojawił się Paul.

– Jak poszło z zakonnicami? – zapytał. Gdy zdał sobie sprawę, że Callie nie jest sama, dodał: – O, cześć, Marto. – Nie był ani serdeczny, ani zaskoczony.

– Przyniosłam blankiety z deklaracjami wsparcia dla Finna – powiedziała, po czym wstała, szykując się do wyjścia. – Dopilnujesz, aby je otrzymał?

– Jasne – powiedział Paul, biorąc od niej kopertę. – Położę mu je na biurku. Robili właśnie trzeci kurs do domu z misami, kiedy Paul powtórzył pytanie.

– Co się wydarzyło u siostry Agonii? – Miał dziś na sobie wytarte džinsy i niebieski sweter pod kolor oczu. Niebieski jak sukienka Alicji – tak tę barwę określiłaby Rose.

Lazur – pomyślała Callie. Kolor oceanu, choć nie dzisiaj. Dziś niebo było szare, ocean miał kapryśną barwę wymieszanych akwareli, a powietrze smakowało solą.

Spojrzała na niego spod byka.

– Naprawdę tak dobrze?

– Nie odpowiedziała na moje pytanie, jeśli o to pytasz.

– A co powiedziała?

– Twierdzi, że nie wspomniała mi o Rose, żeby mnie chronić, bo chciały stworzyć dystans pomiędzy mną a tym, co się stało. Podobno policja tak długo mnie przesłuchiwała, że nie mogłam spać po nocach, a gdy już zasnęłam, miałam koszmary.

– O czym powszechnie wiadomo – mruknął.

– Agonia wyjaśniła, że planowały mi powiedzieć, że Rose żyje, ale gdy stała się podejrzaną w morderstwie, nie chciały, żebym „po raz drugi doświadczyła traumy”.

– Brzmi logicznie – przyznał Paul. – Nawet jeśli nierozważnie.

– Zgoda. Tylko nie sądzę, żeby to była cała prawda.

Paul czekał, aż coś doda, ale więcej się nie odezwała.

– Porozmawiajmy o czymś innym – powiedziała, spuszczać wzrok na misę, którą Paul trzymał w dłoniach. – Nie odstawisz tego?

– Jeszcze nie. Chcę ci coś pokazać.

– Poważnie? – Udała przerażenie. – Pamiętam, kiedy po raz ostatni powiedziałeś coś takiego.

– Nie martw się. Tym razem to mój pomysł, nie Ann.

Nienawidzę tego imienia.

– Nie będziemy wychodzić z domu. To ma coś wspólnego z twoimi misami.

Zaprowadził ją do biblioteki.

Tego wieczoru w pokoju panowała ciemność. Ponieważ nie było służby, w wielkim kominku nie palił się ogień. Paul włączył lampę na stole, po czym podszedł do przeciwległej ściany i przycisnął guzik, który obracał regał z książkami o dziewięćdziesiąt stopni, ujawniając ukryty bar i windę prowadzącą do piwniczki z winami, którą jego ojciec chwalił się w Święto Dziękczynienia. Paul odstawił misę, otworzył żelazną kratę i przytrzymał ją przed swoją towarzyszką.

– Panie przodem. – Wsiadła do środka. Paul znów wziął misę do rąk. – Masz

coś, czym się na tym gra?

Callie wyciągnęła z kieszeni gumową różdżkę. Czowała się coraz bardziej zaintrygowana. Winda z głośnym szcękaniem pojechała w dół.

Minęli trzy poziomy drewnianych stojaków pełnych zakurzonych butelek. Na pierwszym piętrze Callie zauważyła korytarz wryty w granicie, prowadzący do kolejnych stojaków. Powietrze robiło się chłodniejsze, im niżej zjeżdżali. Na drugim poziomie bliźniaczy korytarz prowadził do ciemnego holu z wielkimi drewnianymi schodami na końcu. Na najniższym poziomie winda zwolniła i w końcu zatrzymała się ze zgrzytem. Paul rozsunął żelazną kratę, po czym otworzył grube, szklane drzwi i zabezpieczył je na mosiężnych zaczepach na ścianie.

– Zaczekaj tu – poprosił.

Chwilę później przestrzeń została skąpana w ciepłym świetle rozjaśniającym ściany z różowego granitu i podłogę ogromnego rotundowego pomieszczenia o przekątnej około dwunastu metrów. Nie było tu stojaków z winami ani mebli z wyjątkiem starej kanapy stojącej pod drzwiami, na której Paul ostrożnie postawił misę. Na przeciwległym końcu znajdowała się jakaś wodna instalacja. W powietrzu czuć było lekką piżmową woń słonej wody i ambry.

– To jaskinia – zdziwiła się Callie, zdając sobie sprawę, na co patrzy.

– Nazywamy to miejsce „spa”. To tutaj moi przodkowie, przemysłowcy alkoholu, przechowywali gorzałę, która przyływała z Kanady. Było to jeszcze zanim wybudowano dom. Jest tu zbyt wilgotno na wina, za blisko oceanu. Stąd te szklane drzwi. – Pokazał na windę. – Gdyby nie one, słone powietrze spowodowałoby korozję mechanizmu.

– Jak na moje ucho to i tak się dzieje – wtrąciła. – Przez zgrzyt, jaki wydaje ta winda, rozboleły mnie zęby.

– Rzeczywiście, nie brzmi najlepiej. – Zaśmiał się. – Ale można się przyzwyczaić. Ta jaskinia przypomina groty, które odnawiam w Materze. Wszystkie tamtejsze domy powstały na ręcznie wyłobionych fundamentach, czasem to zaledwie kilka pomieszczeń, a czasem wielopiętrowy pałac. Kolejne pokolenia, w miarę jak się bogaciły, dodawały następne piętra. Tak jak tutaj.

– Ciekawe... – Callie rozglądała się wokoło.

– Tego nie wykopano jednak ani rękami, ani narzędziami. Granit nie jest miękki jak kamień tufu – to zjawisko naturalne. Konstrukcje pięter i korytarzy – wszystko, co widziałas po drodze – zostały dodane później przez ekipy budowlane.

– Im więcej pieniędzy, tym większy dom?

– Dokładnie. Choć pierwszą fortunę Whitingowie zdobyli nielegalnie.

– Z przemytu alkoholu – domyśliła się. Słyszała też o przemyśle broni.

– Między innymi. Kokaina i heroina we wczesnych latach siedemdziesiątych... Niezła z nas była rodzinka, zanim mój ojciec ożenił się

z matką. Dzięki niej sława, bogactwo i powszechne poważanie stały się naszym nowym fachem.

Callie podeszła do, jak się okazało, otwartej studni w kamiennej podłodze, otoczonej wypolerowaną drewnianą balustradą. Czy do jej uszu dobiegł chlupot?

– Na co to? Na samogon? – Teraz wyraźnie słyszała ocean.

– Można by tak pomyśleć – powiedział. – Nazywamy to studnią morską. Właściwie jest to wczesna próba stworzenia gorących kąpieli z algami. Na ścianach rosną brunatnice, a kiedy woda jest podgrzana, puszczają swoje olejki.

– Kąpiele z algami? Brzmi... oślizgle.

– Ponoć świetnie działają na skórę.

– W jaki sposób uzyskuje się ciepłą wodę?

– Kilka stóp niżej znajduje się piec gazowy, który podgrzewa wodę w wyższych poziomach studni.

– To tu są poziomy?

– Jest tu bardzo głęboko. Poziom wody zależy od przyływów.

– Są tam miejsca do siedzenia?

– Jakiś metr niżej jest obręcz, z której można skorzystać.

Callie przejechała dłonią po krawędzi studni, po czym sprawdziła temperaturę wody. Od wizyty w Northampton paliła ją lewa ręka. Pewnie od szorstkich kwarcowych powierzchni mis. Albo przez spotkanie z siostrą Agonią. Ciepła woda i olejki podziałały kojąco.

– Jest dość ciepła.

– Tylko podczas przyływu. – Zaśmiał się. Kiedy byłem młodszy, nie wolno mi było tu przebywać, było to więc jedyne miejsce, do którego chciałem przychodzić. Zakradałem się tutaj i siedziałem w tej morskiej studni. Raz upaliłem się marihuaną i postanowiłem posiedzieć w wodzie dłużej, niż powinienem. – Wzdrygnął się. – To nie był najlepszy pomysł.

– Zamieniłeś się w suszoną śliwkę?

– Fala się cofała. Poniżej rur i pieca grzewczego ściany są śliskie od brunatnic. Nie można się po nich wspiąć. Pod poziomem pieca jest też dużo chłodniej. Przebywałem w wodzie przez sześć godzin, zanim doczekałem się przyływu.

– O Boże – jęknęła.

– Prawie umarłem wtedy z hipotermii. I porządnie się przestraszyłem. Kiedy ciało zaczyna się poddawać, masz niesamowite doznania. Jakbyś tkwiła w stanie zawieszenia pomiędzy życiem a śmiercią.

Rozumiem to uczucie lepiej niż większość ludzi.

– Im bardziej było mi zimno, tym mocniej zaczynałem wierzyć, że już nie żyję, że chwytają mnie jakieś kościste palce i wciągają pod wodę. Na szczęście wiedziałem, że jeśli zacznę się szamotać, krew popłynie mi do najdalszych miejsc

w ciele i umrę szybciej. W innym wypadku walczyłbym ze swoimi halucynacjami i pewnie by mnie tu dziś nie było.

– Boże, to przerażające. Czy to rodzice cię uratowali?

– Przyszedł przypływ i sam zdołałem się stąd wyczołgać. Nie wiedzieli nawet, że tu byłem.

– Powiedziałaś im?

– Zdołałem dobrnąć do telefonu – powiedział, wskazując na linię domową. – Przez kilka dni musiałem zostać w szpitalu. Kiedy tylko zyskali pewność, że przeżyję, uziemili mnie na miesiąc i zakazali mi kiedykolwiek wchodzić do studni bez ich nadzoru. Co było zupełnie niepotrzebne. Od tamtej pory już nigdy się tu nie kąpałem.

Poprowadził ją od morskiej studni na środek pokoju.

– Tak czy inaczej, to ten pokój, a nie studnia z piekła rodem, jest tym, co chciałem ci pokazać. Panująca tu akustyka przypomina tę w leczniczych jaskiniach w Materze – wyjaśnił. Zaśpiewał jakąś nutę i dźwięk okrążył pokój, odbijając się od granitu. Callie słuchała, po czym dodała harmoniczną nutę i echo znów obiegiło pomieszczenie.

– Dźwięk jest faktycznie niesamowity – przyznała dziewczyna. – Jakbyśmy byli w środku jednej z moich mis.

– Przez granit biegną żyłki kwarcu – powiedział, pokazując na jedną z nich. – I piaskowca. Myślę, że to byłoby świetne miejsce na terapię mamy. Z chęcią wszystko ci tu przygotuję. – Wziął misę z kanapy, przeniósł ją na środek jaskini i ostrożnie położył na podłodze, zachęcając Callie, by zagrała.

Raz uderzyła misę gumową różdżką, aby ją rozśpiewać, po czym zaczęła objeżdżać przyrządem krawędź. Dźwięk był jeszcze bogatszy i głębszy, niż sobie wyobrażała.

– Niewiarygodne.

Zagrała raz jeszcze. Tony niosły się eliptycznie, okrążając pomieszczenie od lewej do prawej, a potem od sklepienia po podłogę. Słuchała, a jej oczy podążały za schematem dźwięku.

– Trzeba go trochę ograniczyć. Dźwięk powinien krążyć zgodnie z ruchem wskazówek zegara, ale porusza się też i w tę stronę. – Pokazała nad głowę i wzdłuż podłogi.

– Zaradzi temu koc? Może dywan? – zapytał Paul.

Raz jeszcze uderzyła w misę, słuchając z uwagą i kiwając z zadowoleniem głową.

– Myślisz, że to podziiała?

– Powinno jej pomóc. Twoja matka ma silną częstotliwość rezonującą.

– Co to właściwie znaczy?

– Wszystko i wszyscy wibrujemy w odpowiedniej częstotliwości mierzonej

tonem i falami dźwiękowymi. Jeśli jesteś w stanie je dopasować, to dźwięk działa na komórki jak kojący masaż.

– Czy to powstrzyma ból?

– Ból to ciekawa kwestia – powiedziała Callie. – Ma szczególną częstotliwość, która jest tak wyjątkowa, jak częstotliwość danego człowieka, ale nasze receptory bólu są w stanie znieść jedynie ograniczoną ilość bodźców. Jeśli będziemy w stanie dopasować częstotliwość bólu, wytwarzając taki sam dźwięk, jaki on wytwarza, receptory zostaną przeciążone, a wtedy często ból znika.

– Jak to robisz?

– Słucham – odpowiedziała.

Paul spojrział na nią dziwnie.

– Myślisz, że jestem stuknięta.

– Wręcz przeciwnie. W Materze zbadano dźwięk w niektórych leczniczych grotach. Próbowano odkryć jego częstotliwość. Nie wiedziałem wtedy, co to oznacza, ale wiem, że we wszystkich ustalono tę samą wartość.

– Pamiętasz, jaka to była częstotliwość?

– Chyba dziesięć i trochę.

– Imponujące – przyznała. – Bardzo niska. Dziesięć i pół hertza stanowi idealną częstotliwość leczniczą.

– Mogę się mylić. Nie zwracałem wtedy na to aż tak dużej uwagi. – Nagle coś sobie przypomniał. – Teraz używa się dźwięku w medycynie, prawda? Wiem, że ultradźwiękami rozbija się kamienie nerkowe. Mój ojciec przeszedł taki zabieg w zeszłym roku.

– Robią to, ustalając wibracyjną częstotliwość kamienia i podkrecając głośność tego samego tonu, a następnie przeciążając go, aż kamień eksploduje.

– Brzmi brutalnie.

– Bo tak jest. To opcja w medycynie alopacyjnej. Chemioterapia, która uderza w konkretny guz wiązką leku, aby go zniszczyć, działa według mniej więcej tej samej brutalnej zasady. Zwalcza raka. Moje podejście jest nieco inne. Najpierw staram się zlokalizować komórki rakowe. Potem ustalam, co jest najzdrowsze dla pacjenta: miłość, współczucie, wdzięczność, a może jeszcze coś innego, i próbuję ustalić częstotliwość tych zdrowych emocji. Następnie podsuwam zdrowe częstotliwości komórkom, które cierpią, starając się, by dzięki wibracjom powróciły do harmonijnego stanu. To przeciwstawne podejście do leczenia dźwiękiem, ale oba działają.

Paul dziwnie się jej przyglądał.

– Jesteś sceptyczny – zauważyła.

– Emocjom odpowiadają konkretne dźwięki?

– Pokażę ci – zaproponowała. – Jeśli tylko chcesz.

– Jasne!

– Zamknij oczy.

Paul zrobił, o co prosiła, i wsłuchał się, jak Callie śpiewa jednostajnie pojedynczą nutę.

– Czujesz coś?

– Masz bardzo ładny głos.

– Dziękuję. Co jeszcze? – Znow zaśpiewała tę nutę, ale przytrzymała dwa razy dłużej. – Co czujesz teraz?

Zawahał się, słuchając przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Jestem odprężony. Muszę przyznać, że to bardzo kojące doznanie.

Pokiwała głową.

– Dobrze. A to?

Tym razem nie zaśpiewała, tylko przejechała różdżką kilka razy wokół misy, pozwalając dźwiękowi nabrać mocy.

– To też jest uspakajające, a nawet więcej. Dzięki temu czuję się naprawdę dobrze.

– To uniwersalny ton miłości.

– Aha.

– Zauważ, jaki jest kojący, kiedy dodam to... – Wydobyła ten sam ton, po czym zagrała tercję małą, tryton lub nutę bluesową.

– Już nie jest taki uspokajający... – powiedział, otwierając oczy i wpatrując się w dziewczynę. – Właściwie to pobudza.

– To miłość, tylko w innej formie – mruknęła.

– Seks! – załapał.

– Właśnie. – Teraz z kolei ona szeroko się uśmiechnęła.

– Chyba muszę się napić – oświadczył.

– Dobry plan.

Nigdy nie widziała prawdziwego baru speakeasy, nie wzięła też udziału w oprowadzaniu urządzonym przez Finna w Święto Dziękczynienia.

Poszła za Paulem na drugi poziom, na którym świeciła ta sama lampa, miękko oświetlając stojaki z winem stojące pod ścianami. Przeszli przez długi korytarz, który wił się wokół szybu windy niczym korkociąg, i dotarli do ciężkich dębowych drzwi, które widziała po drodze na dół. U góry znajdował się mały luk otwierany od środka, przez który można było sprawdzić tożsamość gości.

– W czasach prohibicji było to bardzo popularne miejsce. Łodzie przyływały w czasie przyływu i goście wchodzili do baru przez ukryty tunel. Mój ojciec wyremontował ostatnio całe pomieszczenie, aby umieścić tu swoją kolekcję porto i innych egzotycznych alkoholi. To dlatego wszystkich tak chętnie oprowadzał w Święto Dziękczynienia. Chciał się popisać przy gościach.

– On chyba w ogóle lubi się popisywać, co?

– Nie przez cały czas. – Paul uśmiechnął się od ucha do ucha.

– To wygląda autentycznie – powiedziała, pokazując na lufcik. – Jest jakieś hasło?

– Nie. Ale pewnie powinno. To oczko w głowie mojego ojca.

Paul sięgnął po wielki mosiężny klucz ukryty pomiędzy stojakami z winem. Otworzył drzwi, odwiesił klucz na haczyk i włączył światło. W środku ściany były z mahoniu. Wzdłuż nich znajdowały się wypolerowane mosiężne przedmioty w stylu steampunk przypominające te, które widziała w domku na przystani.

– Ladę barową importowano z londyńskiego pubu.

Jedynie podłoga była kamienna. Sprawiała wrażenie lekko przechylonej.

– Czuję się, jakbyśmy byli na statku – powiedziała Callie. Wyobraziła sobie, że pod nimi są bujające fale.

– Za to doznanie podziękuj mojemu ojcu. Ściany, jak i całe wyposażenie pochodzi ze starego statku z Salem, którym wyprawiano się do Chin na początku dziewiętnastego wieku. Stół znajdował się pierwotnie na mostku kapitana. – Na środku stała stopiona świeca wsadzona w butelkę. – Ten dywan przyplął na tym samym statku po jednej z orientalnych wypraw.

Paul wziął karafkę, podstawił pod beczkę i odkręcił kurek.

– Oto co cię ominęło w Święto Dziękczynienia – powiedział, przynosząc ją z powrotem do stolika i nalewając Callie kieliszek ciemnego czerwono-brązowego płynu. – Stutrzydziestoletnie porto. Ukradzione z portugalskiego statku.

Zbliżył kieliszek do jej nosa. Powąchała. Pachniało ziemią, melasą i garbowaną skórą.

– Więc Whitingowie byli też piratami?

– Zapomniałem o tym wspomnieć?

Zaśmiała się.

– Twoja matka w rzeczy samej naprawiła reputację tej rodziny.

– Mówiłem ci. Zajmowali się nielegalnymi alkoholami, zabytkowymi brandy i absyntem, kiedy tujon był tutaj zakazany. Prohibicja i niedostatek tworzą doskonale okoliczności biznesowe, jeśli jest się skłonny podjąć ryzyko, a moja rodzina była. To, jak im się udało przetransportować siedem beczek zabytkowego porto przez cały Atlantyk i nie zepsuć ich po drodze, zawsze pozostanie dla mnie zagadką. I to w dodatku porto sprzed czasów filoksery wińca. – Postawił kieliszki na stole i usiadł koło niej.

– Tujon? Filoksera? Zaczynam się w tym wszystkim gubić. – Odruchowo przez cały wieczór pocierała o siebie dłonie. Zorientowała się, że to zauważył.

– Tujon jest aktywnym składnikiem absyntu, a filoksera to maleńki owad, który zniszczył winorośle w Europie w dziewiętnastym wieku. To porto, dzięki Bogu, pochodzi sprzed tej tragedii. – Spojrzał na nią poważnie. – Nie bez powodu mój ojciec trzyma to miejsce pod kluczem. Wielbiciele wina zabijali dla mniej cennych rzeczy. Próbowali także podrobić ten trunek.

– Podrobić porto? Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Kolejne niedozwolone rodzinne hobby?

– Tym razem to nie my. To był ojciec Marty. Wymyślił plan, żeby szybko się wzbogacić na sprzedaży podróbki. Ale pracował dla nas i w ten sposób pogrzebał cały nasz interes, bo wybuchł okropny skandal.

– Nie jestem pewna, czy pojmuję wasz model biznesowy. – Wyraziła wątpliwość.

– Wielkie winiarnie używają porto sprzed filoksery jako bazy pod porto, które produkują dzisiaj, naturalnie jeśli mają na tyle szczęścia, by je dostać – wyjaśnił Paul. – Mój ojciec sprzedał kilka lat temu dwie beczki i nowa mieszanka, która z nich powstała, sprzedaje się w cenie kilku tysięcy dolarów za butelkę. – Pokazał kilka skrzynek w rogu. – Tak mu zresztą zapłacono. No, spróbuj – zachęcił, podnosząc do niej kieliszek jak do toastu.

Callie upiła mały łyżeczek. Wino nie smakowało tak, jak się tego spodziewała. Zamiast ziemistego smaku poczuła w ustach słodycz z lekkim posmakiem syropu klonowego i miodu.

– Ojciec Marty nie miał dobrego porto, ale sądził, że nikt się nie zorientuje. Ludzie, którym je sprzedał, znali jednak różnicę i okrzyknęli go oszustem, a w konsekwencji również i nas.

– Stąd skandal – powiedziała, sącząc powoli trunek. Choć w pomieszczeniu było chłodno, Callie już czuła uderzenie ciepła powodowane alkoholem.

Paul wzruszył ramionami.

– Whitingowie i Hathorne'owie nie stanowią dobrego połączenia. Mają zbyt bujną przeszłość.

Siedzieli tak przez dłuższy czas.

Ona pytała go o jego badania w Materze i właściwie wszystko, co mówił, ją intrygowało. On opowiadał jej o historii okolicy i dzielnicy Sassi, w której mieszkał. Przyłapała się na tym, że nie tylko słucha Paula, ale obserwuje, jak mówi. Kiedy poszedł za bar, żeby nalać sobie wody, przyglądała mu się z drugiego końca pomieszczenia. Jego znoszone dżinsy były obcisłe. Zauważyła, jak z każdym krokiem napinają mu się mięśnie ud. Czy była to magia porto, czy Paula? W każdym razie nie potrafiła odwrócić wzroku.

Nalał po drugim kieliszku, a potem jeszcze raz. Odmówiła trzeciego, ale nalegał, pokazując jej karafkę.

– Nie wleję już tego z powrotem do beczki.

W końcu karafka zrobiła się pusta. Zabrał ją wraz z kieliszkami i poszedł za bar, gdzie odkręcił wodę i odczekał, że zrobi się ciepła. Patrzyła na jego dłonie, kiedy mył kieliszki, po czym odkładał je ostrożnie na półkę.

Przytrzymał jej drzwi i wyłączył światło. Czekala, aż zamknie drzwi i odłoży klucz. Następnie z powrotem poprowadził ją korytarzem do spa, gdzie czekała na

nich skrzypiąca winda.

– Nie możemy pójść tędy? – zapytała Callie, pokazując na wijący się korytarz, którym właśnie przeszli.

– Pasaż nie prowadzi na samą górę – wyjaśnił Paul.

– A tunel, z którego korzystali klienci speakeasy?

– Tamto wyjście wiedzie ponoć nad ocean, ale nigdy nie byłem w stanie go odnaleźć.

– Żartujesz.

– Nie. Więc jedyną drogą na górę jest winda. Naprawdę jest bardzo bezpieczna – powiedział, biorąc ją za rękę, żeby dodać jej otuchy.

Jechali w ciszy, słuchając jęków i szcęków mechanizmu. Przestrzeń była ciasna, musieli więc stać blisko siebie, przez co Callie była świadoma jego oddechu i ciała. Nie przeszkadzało jej to w drodze na dół, ale teraz czuła się bardzo skrępowana.

Zatrzymali się przed schodami.

– Dobranoc. Dziękuję za porto.

Ruszyła ku schodom, ale Paul nie poszedł do drzwi. Odwróciła się. Stali, patrząc na siebie przeciągle, po czym Paul wziął ją za rękę. Potrzymał ją przez chwilę, odwrócił wnętrzem do góry i utkwiał w niej wzrok. Powiedziała mu wcześniej o bliznie, ale nie pokazała mu jej, jak Rafferty'emu.

– Jest niesamowita – rzekł jakby w zaskoczeniu. – Niemal idealnie symetryczna. Wiesz, co symbolizuje?

– Powiedziano mi, że pięć ran Chrystusa.

– Wcześniej.

– To nie wiem.

– *Rosa rugosa*, róża pięciolistna. Pochodzi z Rzymu. Nawigatorzy używali jej, by wskazywała drogę. Czasem nazywana jest różą Wenus, ponieważ jej kształt przypomina pentagram – ścieżkę planety na niebie. Najpierw reprezentowała boginię miłości, a potem Matkę Dziewicę.

Wpatrywał się w bliznę przez dłuższą chwilę, a potem spojrzał na Callie.

– Jest piękna.

Skrzywiła się.

– Nie dla mnie.

Nadal trzymał ją za rękę i śledził palcem jej bliznę, jakby czytał brajlem.

– Jest czarująca – wyszeptał.

– Przestań... – Próbowwała cofnąć dłoń.

Paul nie puścił jej ręki.

– Spójrz na nią, Callie – powiedział. – To dzieło sztuki.

A potem, wpatrując się jej w oczy, uniósł jej dłoń do swoich ust i pocałował bliznę.

* * *

Tej nocy w snach widziała Paula. Jak całuje jej bliznę i inne miejsca – szyję, ramiona, piersi i brzuch – przemieszczając się powoli i celowo w dół. Jak patrzy na nią rozpalonymi oczami z jej wizji. Jak jej pożądanie zamienia się w złość, a potem strach, gdy widzi go na łóżku, a po ścianach spływa krew, zbierając się w kałuże i podnosząc coraz wyżej, aż oboje mogą w niej zatonać. Jego przeszywające, hipnotyzujące oczy. „Gad” – zawołała jej matka, a potem Leah. Aż w końcu zobaczyła Paula, martwego, z otwartymi szeroko oczami, leżącego na kamiennej podłodze. Z kącików jego otwartych ust ciekła krew.

O trzeciej nad ranem czuła się pobudzona. O piątej stała już pod prysznicem. Poranek był chłodny.

Z ognia, jaki rozpałała w kominku, został już tylko żar, a w wielkim pokoju z widokiem na ocean panował przeciąg. Odkręciła do oporu kurek z gorącą wodą, przez co płytki i lustra błyskawicznie zaszły parą. Kiedy otworzyła drzwi do sypialni, do środka wpadła chmura mgły, nabierając gęstości w chłodniejszym powietrzu poza łazienką.

Ubrała się pospiesznie i rozpoczęła poranną medytację, ale nie mogła pozbyć się z ciała elektrycznego impulsu, który powstał, kiedy Paul pocałował jej bliznę.

Gad.

Znów usłyszała głos Leah.

Proszę...

Przymrużyła oczy, by nabrały ostrości, wymazując senny obraz.

Na oknie powstała koronka szronu. Za szybą widziała jedynie mleczną biel, która stawała się jaśniejsza, im wyżej unosiło się słońce nad horyzontem, tworząc poświatę nieokreślonego kształtu. Wyglądało to tak, jak gdyby dom, który wydawał się jeszcze bardziej samotny przez odgłosy syren przeciwmgielnych, został nakryty kocem nicości.

Musiła stąd wyjść, żeby oczyścić myśli. Zakładając kurtkę, powoli zeszła po schodach i wyszła drzwiami od strony przedsionka.

Mgła na zewnątrz była taka gęsta, że trudno było stwierdzić, w którą stronę lepiej iść. Nie widziała dalej niż kilka kroków przed siebie. Pusta biel ciągnęła się teraz w każdą stronę i przez sekundę Callie spanikowała w obawie, że nie zauważy krawędzi klifu i wpadnie do oceanu. Wtedy jednak znów usłyszała syreny i cichy odgłos fal, więc odwróciła się i ruszyła w przeciwnym kierunku. Ciaśniej otulając się kurtką, szła drobnymi kroczkami, aż usłyszała chrzęst żwiru, dalej ruszyła więc

podjazdem do stodoły, gdzie stał jej samochód.

Kiedy dojechała do drogi, mgła podniosła się na tyle, że widziała na kilkanaście metrów przed sobą. Wjechała na drogę wiodącą wzdłuż wybrzeża jak gdyby w transie i zamiast skręcić w lewo, w kierunku Salem, skierowała samochód w prawo, w stronę Gloucester.

Droga numer 127 wiła się to w prawo, to w lewo poprzez zamglone lasy i wybrzeżem, krzyżując się wielokrotnie z torami kolejowymi, o które dudniły opony samochodu. Callie jechała, jakby coś ją wzywało, jak gdyby na północ i na wschód w stronę Cape Ann ciągnęła ją magnetyczna siła. Rytm jazdy działał na nią uspokajająco. Nie była pewna, dokąd jedzie, ale wcale jej to nie obchodziło.

Poczuła wibracje pociągu, zanim zobaczyła czerwony sygnalizator i usłyszała brzęk ostrzegawczego dzwonu. Kiedy z całej siły nacisnęła na pedał, hamulce zapiszczały, a przedni zderzak naparł na szlaban, wyginając go do tego stopnia, że prawie się złamał. Przód jej samochodu był tak blisko przejeżdżającego pociągu, że widziała przerażoną minę kobiety, która patrzyła na nią z miejsca przy oknie.

Jeszcze długo po zniknięciu pociągu Callie stała na przejeździe, ciężko oddychając i naciskając obiema stopami na hamulec, i myślała, co, do cholery, jest z nią nie tak.

Dwadzieścia minut później, nadal się trzęsąc, przejechała granicę Gloucester i zatrzymała się na parkingu przy Hammond Castle. Zdała sobie sprawę, że to właśnie przez cały czas było celem jej podróży. Wyłączyła silnik i oparła głowę o kierownicę, próbując wykonać kilka wdechów dla uspokojenia.

– Mogę w czymś pomóc? – Starszy mężczyzna uderzył otwartą dłonią w szybę auta po jej stronie, po czym pokazał jej gestem, by odkręciła szybę.

– Chciałam się tylko rozejrzeć...

– Sezon się skończył i jesteśmy zamknięci – powiedział, pokazując na znak.

– A to jest teren prywatny.

– Przepraszam... – Ponownie odpaliła silnik.

– Proszę wrócić na wiosnę.

Nie mogła się otrząsnąć. Kręciło się jej w głowie. Postanowiła, że musi coś zjeść, pojechała więc do Gloucester i zatrzymała w knajpce nad przystanią. Zamówiła obfite śniadanie złożone z jajek, bekonu, grzanek i soku pomarańczowego.

Kiedy skończyła jeść, poczuła się lepiej. Mgła opadła, a na niebie ukazało się słońce. Mimo to nie wróciła do domu wzdłuż wybrzeża. Wybrała drogę numer 128 i pojechała do szpitala, zobaczyć się z Rose.

* * *

– Nie podchodź – ostrzegła ją Rose. Miała rozbiegany wzrok. – Uciekła. Już jej nie mam.

Pielęgniarki powiedziały, że Rose spędziła cały poranek, chodząc w tę i z powrotem po swoim pokoju. Robiąc jedno kółko, drugie, a potem idąc w przeciwnym kierunku, jak gdyby próbowała odczynić okręgi, które przed chwilą stworzyła. Jak się okazało, zeszłego wieczoru Rose próbowała uciec ze szpitala, żeby wrócić do swoich dębów. Musieli na kilka godzin przywiązać ją do łóżka.

– Kogo nie masz? – zapytała Callie.

– Sidhe.

– Callie spojrzała na starszą kobietę. Szafka, w której znajdowały się jej osobiste rzeczy, była otwarta na oścież, zamek wyłamany. Ubrania Rose zostały podarte na kawałki. Ktoś wydarł i zmiął całe strony z jej dziennika. Callie podniosła jedną z nich. Na górze widniało zdanie, które już wcześniej widziała, napisane drukowanymi literami: ZABIĆ BANSHEE.

– Kto to zrobił? – zapytała Callie.

– Banshee! – odpowiedziała Rose. – Wydostała się i nie mogę jej powstrzymać!

– Nie rozumiem.

– Miałam ją w sobie. Ale uciekła. Widziałam jej twarz. Tu, w moim pokoju!

– Banshee?

– Bogini, która się zmieniła. – Rose cała się trzęsła. – Istotę, która zabiła twoją matkę i pozostałe. Wydostała się tamtej nocy i je zabiła. A potem wskoczyła we mnie. Próbowałam ją tam przytrzymać, próbowałam powstrzymać od ponownego zabójstwa, ale nie mogłam jej więzić na zawsze. Kiedy zobaczyłam chłopca i przemoc, do jakiej był zdolny i co mógłby dla niej zrobić, czułam, jak rośnie w niej żądza krwi. Chciała w nim zamieszkać. Gdybym tego nie powstrzymała, wszyscy wokół niego by umarli – krzyczała Rose. – To było mniejsze zło.

Pielęgniarka i salowa stały w progu i wpatrywały się w Rose.

– Ona nie wie, co mówi – odezwała się Callie, wyciągając ręce do Rose i próbując ją uspokoić.

– Wezwę z powrotem doktor Finch... – Pielęgniarka pospiesznie zniknęła.

Callie próbowała uspokoić Rose, ale ona cofnęła się przed jej dotykiem.

– Nie rozumiesz! Bogini gdzieś tam jest. Próbowała mnie zabić!

W drzwiach pojawił się sanitariusz.

– Podobno potrzebujesz pomocy. – Koło niego stała salowa.

– Nie – krzyknęła Callie. – Nie ruszaj się.

Wiedziała, że to nie jej słowa, tylko jej głos i wyraz twarzy go powstrzymały. Nie spuszczać z niego oka, Callie wzięła swój telefon i znalazła numer Zee.

– Pielęgniarka właśnie mnie wezwała. Już jadę.

Potem zadzwoniła do Rafferty'ego i zgłosiła akt wandalizmu.

– Rose twierdzi, że bogini chciała ją zabić! Albo banshee, sama już nie nadażam! – powiedziała Callie. – Zdecydowanie ktoś tu był. Splądrował pokój. Myślisz, że to mogła być Leah? A może zobaczyła Rose w wiadomościach i wróciła, by zrobić jej krzywdę?

– Czy Rose powiedziała, że to była Leah?

– Nie, ale na pewno ktoś tu był. Dużo rzeczy zostało zniszczonych.

– Zostań tam. Zaraz przyjadę. Niczego nie dotykaj.

Do pokoju wbiegła pielęgniarka.

– Nie ruszaj się – ostrzegła Callie. – Policja jest już w drodze.

[25] Chodzi o piosenkę Arlo Guthriego pt. *Alice's Restaurant*.

ROZDZIAŁ 21

11 grudnia 2014
Salem

W swej książce z 1693 roku pt. „Cuda niewidzialnego świata” Cotton Mather pokazuje, iż nie miał zbyt wielu wyrzutów sumienia co do roli, jaką odegrał w historii. Dla Mathera czarownice były bardzo rzeczywistym zagrożeniem dla kolonii, którą zwał „krajem diabła”. Uważał, że należą one do „biedaków, nikczemników i lachmaniarzy na tej Ziemi”.

Rose Whelan, Czarownice z Salem

– Nam nie chodzi o ojca Leah Kormos – oświadczył Mickey Doherty Rafferty’emu. – To nie on był spokrewniony z Sarah Good. Będziesz musiał mi podać nazwisko jej matki.

– Pracuję nad tym – odparł komendant.

Zadzwoił pod kilka numerów w New Hampshire, szukając siostry Leah, bo przecież sąsiad powiedział, że to tam się przeprowadziła. Choć Kormos było dość

popularnym nazwiskiem wśród greckiej społeczności, w książce znajdowało się dużo mniej Kormosów, niż się spodziewał, zatem zadzwonił do wszystkich. Sprawdził także w internecie transakcje nieruchomości z Vermont i Maine, ale ani one, ani raporty o aresztowaniach czy sprawozdania podatkowe nic nie wniosły do sprawy. Przeszukał więc inne strony internetowe służb departamentu sprawiedliwości. Zakładki dotyczące zaginionych osób, organizacji pomagających ofiarom, dane wojskowe, nawet rejestr pozwoleń na broń, ale nie natknął się na żaden ślad. Opierał się na przekonaniu, że siostra Leah używa panieńskiego nazwiska. Nie miał pojęcia, jak mogłaby się nazywać po mężu.

– Mam się zabrać za inne Boginie? – zapytał Mickey. – Te poszukiwania trochę trwają.

– Tak, śmiało – odparł Rafferty. Wszystko, co wiązało się z tą sprawą, wymagało niestety czasu.

Za to szybko ustalił, kto zdemolował pokój Rose. To na pewno nie była Leah Kormos. Choć istniała niepotwierdzona informacja, że Rose odwiedziła wcześniej jakaś obca lekarka, akt wandalizmu zdarzył się po jej wyjściu i był dziełem sanitariusza, nie tego, który pojawił się w pokoju Rose, gdy przyszła Callie, lecz innego, z długą listą przestępstw na koncie. Jego odciski palców były wszędzie na zniszczonych rzeczach. Lubił sprawiać kłopoty, więc słysząc, co mówią ludzie, postanowił zniszczyć to i owo; przyświecał mu podobny cel, co rosnącej grupie osób, które pisały w internecie nienawistne komentarze albo gromadziły się przed szpitalem, aby protestować przeciw „bezczyńności” policji. Mężczyzna był poszukiwany w związku z kompletnie inną sprawą i został natychmiast aresztowany, po czym osadzony w więzieniu w Middleton.

Rafferty pojechał do Pride’s Heart, by przekazać Callie te wiadomości. Usiadł naprzeciw niej przy biurku w gabinecie Finna i powiedział:

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinnaś wiedzieć, Callie. Chodzi o zwolnienie Rose.

– Wypisują ją? – Dziewczyna miała przerażony głos. Po tym wszystkim, co się stało, martwiła się o bezpieczeństwo Rose. Przed tym atakiem zastanawiała się, czy nie powinna rozejrzeć się za jakimś lokum, w którym mogłyby razem zamieszkać. Ale wszystko działo się dużo szybciej, niż się spodziewała. – Rose nie czuje się na tyle dobrze, by ją wypuścić – dodała.

– Nakaz sądowy obowiązywał tylko przez trzydzieści dni. Teraz Rose zostanie skierowana do przytułku dla osób będących w sytuacjach kryzysowych na Arbor Street, jeśli tylko będą mieć wolne łóżko.

– Kiedy to nastąpi? – Zee opowiadała już Callie o Arbor Street. Pacjentom wolno było swobodnie opuszczać ośrodek w ciągu dnia, ale otrzymywali posiłki, leki, pomoc terapeutyczną i schronienie. „W okolicach Salem są też inne placówki, ale Arbor Street wydaje mi się najlepsza” – twierdziła Zee.

– Koło świąt – odpowiedział Rafferty.

– Słyszałam, że wczoraj Rose znowu próbowała uciec ze szpitala... Na pewno będzie spotykać ludzi z Salem, gdy znajdzie się na Arbor Street. – Callie przez chwilę siedziała w ciszy. – Może powinnam się zgodzić na ten wywiad, na który tak mnie namawiają? Spróbować wpłynąć na opinię ludzi na temat tego, co naprawdę się stało w osiemdziesiątym dziewiątym roku.

– Nawet ty nie wiesz dokładnie, co się wtedy stało – uprzytomnił jej Rafferty. – Co byś im powiedziała?

– Nie wiem – odparła. – Po prostu uważam, że to może pomóc, jeśli powiem coś w imieniu Rose.

Towner mówiła policjantowi o tych propozycjach. Kiedy Rafferty dowiedział się, że Callie odmówiła, poczuł ulgę. Teraz martwił się, że być może zmieni zdanie.

– Trudna decyzja – mruknął. – Rozmowa z prasą może pogorszyć całą sprawę.

– Mówisz jak Rose – zauważyła Callie.

– Pytałaś Rose o wywiad?

– Wspomniałam, że się nad nim zastanawiam.

– I co ci powiedziała?

– Kazała mi nie igrać z piorunem.

Pokiwał głową. Było to jedno z częstych powiedzeń Rose.

– Uważam jednak, że to może nas doprowadzić do informacji na temat Leah. Ktoś przecież musi coś wiedzieć na jej temat. – Callie najwidoczniej była coraz bardziej przekonana do tego pomysłu.

Leah Kormos szybko stała się dla Rafferty'ego podejrzaną numer jeden. Powiedział Callie, że tuż po morderstwach zgłoszono zaginięcie dziewczyny. Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy.

– Może... – Wzruszył ramionami. – Ale może też sprawić, że kobieta zacznie się jeszcze lepiej ukrywać.

– Ale jeśli to miałyby pomóc zapewnić większe bezpieczeństwo Rose... – zastanawiała się Callie.

Rafferty nie odpowiedział. Już i tak wystarczająco mocno martwił się momentem wyjścia Rose ze szpitala.

– Jest za wcześnie, żeby ją wypuszczać – powtórzyła Callie. – Nie dalej jak wczoraj gadała jak katarynka o banshee na wolności.

Rafferty westchnął.

– System nie jest bez wad.

Ostatnimi czasy każdy oficjalny system wydawał się Rafferty'emu wadliwy. Mówiono o cięciach funduszy na leczenie psychiczne, szpitale były zamykane, ale lokalne ośrodki zdrowia psychicznego nie powstawały. Chorzy umysłowo często

kończyli na ulicach jak Rose. Albo jeszcze gorzej, bo w więzieniu. Działaniem systemu sprawiedliwości martwił się jeszcze bardziej. Dlaczego w ciągu dwudziestu pięciu lat od potrójnego morderstwa nie znalazł się żaden policjant, który byłby zainteresowany znalezieniem sprawy? Rafferty nie mógł tego pojąć.

Komendantowi zadzwoniła komórka. Sprawdził numer i przeprosił Callie.

– Muszę odebrać. – Wstał i podszedł do okna.

Dzwonił zastępca prokuratora okręgowego.

– Chciałem cię uprzedzić. Dostaliśmy zgodę na ekshumację. Wykopujemy ciała dwudziestego siódmego stycznia.

– A więc Helen Barnes wygrała... – Rafferty krótko zakończył rozmowę. Wszystko rozegrało się tak, jak w groźbie Helen: jej polityczne wpływy miały wywołać Boginie z grobu. Dosłownie. A dla Rose i Callie pora nie mogła być gorsza.

Wrócił na swoje miejsce.

– Kłopoty... – domyśliła się Callie.

– Dzwonił zastępca prokuratora. Przeprowadzą ekshumację ciała twojej matki i pozostałych kobiet.

Nastąpiła długa przerwa, zanim dziewczyna znów się odezwała.

– Kiedy?

– Z końcem stycznia.

– Co to dokładnie oznacza?

– Niestety, „dokładnie” nie wiem. Może to oznaczać, że znajdziemy dowody, które doprowadzą nas do prawdziwego mordercy. Byłoby świetnie. Ale może się też zdarzyć, że odkryjemy coś, co będzie wskazywać na winę Rose. Albo też niczego nie się nie doszukamy.

Powoli, zlepiając skrawki informacji pozyskane od kolegi detektywa z Beverly i dane z opowieści sąsiada, Rafferty zaczął układać w całość historię Leah.

Jej matka zmarła, kiedy dziewczyna miała czternaście lat. Nią i jej młodszą siostrą opiekował się ojciec. Po zniknięciu Leah młodszą z rodzeństwa, Becky, robiła wszystko, by ją odnaleźć. Miała wtedy dwanaście lat i nikt nie zwracał uwagi na jej nieustanne wołanie o pomoc. Choć przeprowadzono pobieżne poszukiwania, policja nie zgłębiła sprawy. Ojcu najwyraźniej nie zależało. Jak powiedział policji, była typem uciekinierki, zawsze coś ją gnębiło. Więcej go nie przesłuchiwali. Nie istniały też żadne zapisy dotyczące współpracy między policją w Beverly a Salem.

Wracając z Beverly, Rafferty przejechał w Salem przez Rice Street.

Tome Dayle, jego poprzednik, był na swoim podwórku i zabierał właśnie z ulicy puste kubły na śmieci.

Wygląda jak człowiek zmęczony życiem – pomyślał Rafferty. Zgięty w pasie, dotknięty przez artretyzm i stres... Nawet puste kosze wydawały się dla niego problemem.

– Pomóc ci z tym? – Rafferty zaparkował i wysiadł z samochodu.

Tom podniósł na niego wzrok.

– Dam radę. – Zmarszczył czoło.

– Możemy porozmawiać?

– Chodzi o ekshumację tych dziewczyn?

Rafferty był zaskoczony.

– Rany, w tych okolicach wieści szybko się rozchodzą.

– Po to przyjechałeś? Dać mi znać?

– Nie.

Dayle zatrzymał się i spojrzał na niego.

– Brakuje pudła z dowodami.

– I co?

– Pomyślałem, że może wiesz, gdzie go szukać.

– Próbowaleś w archiwum?

– Kilka razy – odparł Rafferty.

– No to nie wiem, co ci poradzić.

– Co wiesz o Leah Kormos?

Tom przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

– Nie znam nikogo o takim nazwisku.

– Była jedną z Bogiń.

– Nigdy o niej nie słyszałem – powiedział, tym razem z większym przekonaniem.

– Nie było jej wprawdzie tamtego wieczoru na wzgórzu, ale widziano ją na imprezie w Hammond Castle. To była ta młoda kobieta w czerwonej sukience, o której mówili ludzie. Ta sama, która pokłóciła się z dziewczynami w noc, kiedy zostały zamordowane... Nie wiem, jak mogliście to wtedy przegapić.

– Nigdy nie słyszałem o Leah Kormos.

Rafferty długo patrzył na Dayle'a.

– Ciekawe, że nie znaleźliście żadnego związku... Zwłaszcza że Leah Kormos stała się teraz moją główną podejrzaną.

– Jestem na emeryturze – powiedział Dayle. – Nie interesuje mnie to.

– Przepraszam – odparł Rafferty. – Pomyliłem się co do ciebie. Wydawałeś się dość mocno zainteresowany ekshumacją.

– Liczę, że ta ekshumacja raz na zawsze udowodni winę Rose Whelan. I ostatecznie zakończy te wszystkie bzdury. – Dale odwrócił się i zaczął kuśtykać w stronę domu. Pusty kubek został na środku trawnika. Rafferty podniósł go i poszedł za emerytowanym policjantem.

– Gdybyśmy mieli ich ubrania, nie musielibyśmy przeprowadzać ekshumacji. Zatrzymaliście kostiumy jako materiał dowodowy, prawda? Chyba nie byliście na tyle głupi, żeby je wyrzucić?

Dayle odwrócił się gwałtownie, wyrwał kubek z rąk Rafferty'ego i cisnął nim w kąt garażu.

– Oczywiście, że zatrzymaliśmy ubrania. Może to nie jest Nowy Jork, do którego jesteś przyzwyczajony, ale nie jesteśmy bandą półgłówków.

Stali tak dłuższą chwilę, wpatrując się w siebie.

– Przepraszam. To było niepotrzebne z mojej strony.

– Są pewnie w tym pudle, którego nie możesz znaleźć – mruknął pod nosem Dale.

– Pewnie tak – odparł Rafferty.

Dayle nadal mu się przypatrywał.

– Domyślam się, że nie zaprosisz mnie do środka – zagadnął Rafferty.

– Chyba śnisz.

– No to wesołych świąt – powiedział komendant i wrócił do swojego auta.

Siedział w swoim samochodzie na końcu ślepej uliczki i przyglądał się, jak Dayle najpierw zamyka za sobą drzwi garażu, a potem wchodzi do kuchni, widocznej dobrze przez frontowe okno. Zobaczył, jak podnosi słuchawkę i wykręca numer.

Zawrócił i przeklął, gdy cruiser nie zrobił idealnego skrętu o sto osiemdziesiąt stopni, przez co musiał się cofnąć i raz jeszcze przejechać przed domem Dayle'a. Zwolnił.

Tym razem ujrzał, jak Dayle otwiera drzwi do piwnicy i włącza światło na schodach...

Tego samego popołudnia Rafferty oficjalnie wznowił śledztwo.

ROZDZIAŁ 22

13 grudnia 2014
Pride's Crossing

Czarownice tchnęły w Komisję Handlową konfederackiego ducha, przez co ta wyrządziła swym sąsiadom wszelkiego rodzaju niegodziwości. Jej niecnym postępków wobec okolicznych ludzi i domów inaczej wytłumaczyć się nie da...

Cotton Mather, Cuda niewidzialnego świata

Zgodnie z obietnicą Paul urządził w piwnicznym spa pokój leczniczy. Kanapę przesunął na środek grotty, wstawił tam też stół do masażu. Umył podłogi i wypolerował drewniany brzeg morskiej studni, granit przykrył zaś dywanem z Abusson, aby wygłuszyć nieco akustykę i wyeliminować ruch energii od podłogi do sufitu, na korzyść ruchu eliptycznego zgodnego z ruchem wskazówek zegara, tak jak powiedziała mu Callie. Na ścianie naprzeciw kanapy powiesił obraz – martwą naturę z jabłkami i pomarańczami, a wokół pomieszczenia rozstawił kilka małych stolików na misy grające.

Emily i Callie były zachwycone efektami jego pracy.

Callie przeprowadziła już z Emily dwie sesje na górze. Dziś miała się odbyć dopiero trzecia, ale terapeutka już widziała oznaki poprawy. Cera Emily nabrała lepszego kolorytu, a ona sama miała więcej energii.

– Wydaje mi się, że to ci pomaga. – Uśmiechnęła się Callie.

Emily przyznała jej rację.

Kiedy stało się jasne, że matka Paula nie rozwinie tego tematu, Callie obeszła pokój, dopasowując misy, a potem sprawdzając cztery maleńkie głośniki, które Paul celowo umieścił w szczelinach skalnych. Uśmiechnęła się do siebie: był niezwykle precyzyjny.

– Zaczynamy?

Pacjentka pokiwała głową i oparła się na poduszkach na sofie.

– Chciałam cię zapytać, jak czuje się Rose? Słyszałam, że nastąpił pewien regres.

– Myślę, że teraz czuje się już lepiej. Miło, że pytasz. – Callie ucięła temat.

Nie chciała stresować Emily swoimi obawami związanymi z planowanym wypisem Rose. Kiedy wczoraj pojawiła się w szpitalu po tym, jak usłyszała o ekshumacjach, wejść inaczej niż zwykle, przez ambulatorium, aby ominąć coraz większą grupę protestujących przed głównym wejściem, którzy odkryli już jej normalną trasę. Demonstranci mieli ze sobą transparenty typu ZABIĆ BANSHEE albo WYPLENIĆ DIABŁA Z MIASTA CZAROWNIC.

– Zanim dziś zaczniemy, opowiedz mi o swoich doświadczeniach z chemioterapią – poprosiła Callie.

– Przerwałam ją.

– Rozumiem. Pamiętasz, co ci dawali?

Pani Whiting gładko wyrecytowała długą listę różnych medykamentów.

– Te dwa ostatnie to były badania kliniczne, na które zapisał mnie mój lekarz.

– Dlaczego przerwałaś terapię?

– Czułam się tak, jakby ktoś mnie truł – odpowiedziała Emily.

– Bo tak było – przyznała Callie. – W pewnym sensie. A przynajmniej rak był truty.

Emily pokiwała głową.

– Właściwie chemioterapia nie różni się tak bardzo od dźwięków – wyjaśniła dziewczyna. – Odpowiednia ilość chemii może cię uleczyć, ale zbyt duża dawka może zrobić ci krzywdę. Fale dźwiękowe działają podobnie.

Emily się zamyśliła.

– Słyszałam o testowaniu przez rząd na pustyni broni operującej falami dźwiękowymi. Są ponoć tak silne, że mogą wywołać trzęsienia ziemi.

Callie nie była tym zaskoczona. Przez lata pracy nabrała przekonania, że

operując dźwiękami, można osiągnąć niemal każdy efekt. Nawet infradźwięki, choć w dużej mierze niewychwytywane przez ludzkie ucho, miały, jak udowodniono, pewien wpływ na naszą percepcję i zachowanie.

– Postanowiłaś więc sama, że przerwiesz badania kliniczne?

– Nie dali mi ostatniej dawki. Pojawiła się niewydolność wątroby. Ale i tak już miałam dość. Ku ogromnej dezaprobachie mojej rodziny.

Callie nie powiedziała, jakie ma zdanie na ten temat. Bez względu na to, czy Emily oczekiwała komentarza, czy nie, nauczyła się nie wyrażać swojego zdania w takich sytuacjach. Prawda była taka, że pochwałała decyzję Emily. Jej obecny kiepski stan bardziej wydawał się efektem chemioterapii niż raka. Trudno było jednak stwierdzić, jak bardzo pomogła jej chemia, zanim zaczęła zbierać swoje żniwo.

Callie przejechała po brzegach mis gumową różdżką. Wibracje zaczęły się nabudowywać wraz z ich śpiewem, na początku delikatnie, potem głośniejsze, aż w końcu grały w harmonii. Im więcej mis włączało się w śpiew, tym bardziej elipsy tworzone przez wibracje zaczęły się na siebie nakładać i krzyżować, kiedy mijały i przenikały każdą powierzchnię, jakiej dotknęły, wibrując i otwierając czakry Emily, odblokowując energię uwięzioną w jej mięśniach i pozwalając jej chi swobodnie się poruszać.

Dziewczyna dołączyła się do harmonii dźwięków, intonując nuty stanowiące uniwersalne częstotliwości dla radości i wdzięczności. Kierowała je w stronę chorych komórek w wątrobie Emily, licząc na to, że dzięki wibracji powrócą do zdrowia i harmonii. Robiło się coraz głośniejsze, dźwięk wypełniał całe pomieszczenie.

Choć sesja przebiegła pomyślnie i Callie widziała dobre efekty, nie mogła się w pełni skupić. Wbrew radom Rose i Rafferty'ego zadzwoniła do reportera i zgodziła się na wywiad. Tłumaczyła sobie, że musi coś zrobić, a komendant nie powiedział przecież, że to *na pewno* nie pomoże. Powiedział, że *może* nie pomóc. Siedzenie i bezczynne czekanie na nieprzyjemności, które pojawią się, gdy Rose zostanie wypuszczona ze szpitala, przerażało ją bardziej niż wywiad. Może jeśli opowie swoją historię, uda się coś zmienić?

* * *

Aby zachować prywatność, zgodziła się spotkać z reporterem „Dziennika Salem” w Beverly. Kiedy w końcu znalazła miejsce do parkowania i weszła do Atomic Cafe, siedział już w łóżu z dyktafonem w ręce.

– Kawy? – zaproponował dziennikarz. – Ja stawiam.

Odmówiła grzecznie. Usiadła i zabrała serwetkę z nakrycia przed sobą.

Wydawało się jej, że minęło więcej niż miesiąc, odkąd opowiedziała Rafferty’emu historię, jak Rose ocaliła jej życie, jak wróciła nad skarpę, by ratować pozostałe kobiety. Dużo trudniej było opowiedzieć to samo dziś, kiedy wszystkie uczucia powróciły, a w brzuchu czuła nieprzyjemny ucisk. Spostrzegła, że reporter zauważył, jak rozdziera na kawałeczki papierową serwetkę w trakcie mówienia. Teraz zmięła ją i odłożyła na stół.

– Twierdzi pani, że pierwsza ofiara upadła, kiedy wszystkie byliście jeszcze razem – dopytywał. – Zgadza się?

– Tak. Jak już mówiłam, myślałam, że Susan zemdlą. Rose stała jakieś półtora metra przed nami, odczytując błogosławieństwo. Nie mogła więc mieć nic wspólnego z morderstwami...

– Co najwyżej z morderstwem Susan Symms.

– Proszę posłuchać. Rose ocaliła mi życie – oświadczyła Callie. – To dlatego zgodziłam się z panem porozmawiać. Chcę, żeby ludzie dowiedzieli się, że zadbała o moje bezpieczeństwo. Ukryła mnie, a potem ruszyła na pomoc. Była bohaterką, a nie...

– Z czasem fakty zmieniają się w legendy, prawda? – wciął się reporter.

– Dokładnie! – Callie wierzyła, że dziennikarz ją rozumie. – Odwiedziłam niedawno stary dom Rose i rozmawiałam z sąsiadką. Nie miała pojęcia, kim jestem. Słyszała, że Rose zamordowała Boginie, a potem zabiła i mnie. Zdziwiająco, jak ta historia się przeobraziła i jak plotki stały się faktami. Mieszkańcy Salem muszą się dowiedzieć prawdy. Byłam tam. Ludzie opowiadają kompletne bzdury...

– Czy myśli pani, że to strach sprawia, iż ludzie wciąż interesują się tą historią?

– W jakim sensie?

– Cóż, mamy tu bezdomną, chorą psychicznie kobietę, która twierdzi, że banshee zabiła trzy pełne energii młode dziewczyny. Teraz uważa, że sama jest banshee. W międzyczasie przewidziała śmierć wszystkich, którzy stanęli na jej drodze. Ludzie mają prawo się jej nieco obawiać...

– Powiedz mi, czego chcesz, a powiem ci, kim myślisz, że jesteś. Powiedz mi, czego się boisz, a powiem ci, kim naprawdę jesteś.

Reporter utkwiał w niej wzrok.

– Rose zwykła tak mawiać – wyjaśniła Callie. – Myślę, że ludzie zawsze boją się rzeczy, których nie rozumieją.

– Uważa pani, że Rose jest źle rozumiana?

– Uważam, że w ogóle nie jest rozumiana – odparła.

– A pani ją rozumie?

– Sądzę, że tak. Rozumiem ją lepiej niż większość ludzi. I wiem na pewno, że nie jest zdolna do tego, o co ją oskarżają.

– Czy Rose cierpi na schizofrenię? Słyszy głosy, rozmawia z drzewami? To podręcznikowe symptomy, prawda?

– Nie posiadam odpowiednich kwalifikacji, aby komentować zdrowie psychiczne Rose.

– Ale nie ma chyba wątpliwości, że jest psychicznie chora. Wielokrotnie trafiała do szpitali psychiatrycznych, a teraz przebywa na oddziale psychiatrycznym w Salem.

– Powtarzam, nie posiadam kwalifikacji, aby postawić diagnozę. Pan też nie.

– W porządku – odparł. – Ale zgodzi się pani, że Rose doznała głębokiej traumy po tym, co zdarzyło się w Halloween osiemdziesiątego dziewiątego?

– A kto by nie doznał? Rose Whelan była dla nas niczym matka zastępcza. Aż w jedną noc straciła wszystkich. Więc owszem, wydaje mi się, że to było dla niej traumatyczne przeżycie. Dla pana by nie było?

– A dla pani?

– Dla mnie też – odparła Callie. – Ale nie rozmawiamy o mnie.

– Ludzie bardzo się panią interesują – kontynuował reporter. – Oraz samymi Boginiami. Zwłaszcza teraz, kiedy dojdzie do ekshumacji ciał. To duże wydarzenie. Skomentuje pani te ekshumacje? Jak pani sądzi, co uda się odkryć?

– Mam nadzieję, że zostaną znalezione dowody, które doprowadzą do aresztowania mordercy mojej matki i jej dwóch przyjaciółek – oświadczyła. Bez serwetki, którą mogła drzeć, nie wiedziała, co zrobić z rękami, a reporter wciąż na nie zerkał. Położyła je sobie na kolanach.

– Kto, pani zdaniem, mógł mieć motyw?

– Nie mnie należy o to pytać. Miałam wtedy pięć lat.

– Podobno miały wielu wrogów.

Callie utkwiała w nim wzrok.

– Nie wiem. Jak już mówiłam, byłam tylko dzieckiem.

– Cóż... To chyba jasne, że miały przynajmniej jednego. – Westchnął. – Nie ma pani pojęcia, kto nim mógł być?

– Trzeba się przyjrzeć Leah Kormos – odparła Callie. – Była jedną z Bogiń, a zniknęła tuż po morderstwach. W tym momencie to ona jest główną podejrzaną, nie Rose.

– Czy ta... Leah była równie rozwiązła, jak pozostałe?

– Słucham?

– Uprawiały seks z wieloma mężczyznami. Niektórzy twierdzą, że uwodzenie traktowały jak dyscyplinę sportową.

A więc reporter rozmawiał z Ann. Niechęć Callie do tej kobiety z dnia na dzień stawała się coraz większa.

– Słyszałem też, że obarczano je winą za epidemię AIDS, która dotknęła Północne Wybrzeże w osiemdziesiątym dziewiątym roku.

– Chce mi pan powiedzieć, że moja matka i inne Boginie miały AIDS? – Callie nie wierzyła własnym uszom.

– Nie twierdzę, że w to wierzę. – Wzruszył ramionami. – Ale tak mówią ludzie...

Jeszcze miesiąc temu obrzuciłaby go wszelkimi możliwymi przekleństwami i wyzwiskami. Ale wiedziała, że wszystko, co powie w gniewie, mogło zostać użyte do zakwestionowania jej wiarygodności, a w konsekwencji jeszcze bardziej zaszkodziłoby Rose.

Wstała więc tylko i wyszła z restauracji.

* * *

Tej nocy sny Callie były bardzo obrazowe i niepokojące, a spośród nich wyłoniło się dawno wyparte ze świadomości wspomnienie...

Wszystkie siedziały na podłodze w sypialni w głębi domu. Ścianę zdobił piękny mural z ich wizerunkami.

– Jak śmiała na nas donieść? – zastanawiała się Susan. – Rose nas wyrzuci, tak powiedziała!

Olivia siedziała na wielkiej aksamitnej poduszce. Obok niej poniewierała się na wpół opróżniona paczka chipsów, a na talerzu leżało ostatnie domowej roboty ciastko z kawałkami czekolady. Olivia oddała Susan łyżkę i litrowe pudełko lodów Haagen-Dazs z rumem i rodzynkami.

– Nie robi tego.

Jedwabna tkanina w egzotyczny wzór przypięta do sufitowej lampy tworzyła nad nimi namiot. Pokój pachniał paczuli i ziołowymi kadzidelkami. Gdyby nie niezdrowe przekąski, ten pokój mógłby znajdować się w haremie. Jak w „Opowieściach z tysiąca i jednej nocy”, które czytała jej Rose.

– Nie było cię tam. Tym razem mówiła serio – upierała się Susan.

Olivia rozejrzała się z żalem po pokoju.

– W takim razie znajdziemy inne miejsce, żeby się z nimi spotykać.

– Ale koniec z nieletnimi chłopakami – ostrzegła Susan. – Po mieście krążą plotki.

Olivia przewróciła oczami.

– Ale to było najlepsze!

– To pewnie to ją wkurzyło, że postanowiła powiedzieć Rose – doszła do wniosku Susan.

– Ostatnio wszystko ją wkurza. Nie możemy jej wyrzucić? Dać jej miotłę i niech spada z miasta? – Susan wyciągnęła z komody kryształową różdżkę i machnęła nią. – Znikaj!

– Jest płatkami róży – zauważyła Olivia z sarkazmem. – Potrzebujemy jej do błogosławieństwa.

– Nie potrzebujemy jej. To co, zaczynamy się pakować? – zapytała Susan.

– Rose nie mówi poważnie. – upierała się Olivia. – Nigdy nie pozbawi Callie dachu nad głową.

Do środka weszła Cheryl z listem w dłoni. Gestem kazała Callie stanąć na środku pokoju.

– Czas na recytację... – Wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z innymi. – Mój podstęp się powiódł. Ukradłam go jej z torebki, kiedy byłyśmy w Centrum. – Przechwalała się.

Olivia zrobiła wielkie oczy.

– Dobra, słuchamy, Callie! – Susan z rozkoszą przyklasnęła w dłonie.

– Potrzynam list – zaproponowała Cheryl. Na kopercie napisane było: „Do Dagdy od Morrigan”. – Tylko musisz do tego zrobić te ręce...

Callie była zachwycona, że znajduje się w centrum zainteresowania. Położyła jedną dłoń na drugiej, a Boginie parsknęły śmiechem z wyczekiwania.

Cheryl kazała im się uciszyć.

– No, dalej – powiedziała do dziewczynki. – Czytaj.

Callie odgarnęła za ucho ciemny loczek i odchrząknęła, tak jak nauczyła ją Rose, aby uciszyć publiczność.

„Mój Najdroższy,

spotkaj się ze mną jutro w naszym sekretnym miejscu, a dam ci zaznać rozkoszy, jakiej dotąd nie znałeś. Nasze ciała będą ciałami boga i bogini. Będę Cię dotykać, tak jak Morrigan dotyka Dagdy. Nasze niebiańskie obcowanie uwolni wszelkie moce wszechświata. Tak orgazmicznych przyjemności może zaznać tylko bóg i bogini. Czekaliśmy wystarczająco długo, mój Ukochany...”

Callie potknęła się na kilku słowach, wymawiając je ostrożnie, sylaba po sylabie: „Dag-da”, „or-gaz-micz-ny”, „Mor-ri-gan”. Boginie ani na moment się nie zaśmiały.

– Mówiłam wam, że to hipokrytka! – syknęła Cheryl.

Susan była wściekła.

– Donosi Rose, że jesteśmy niemoralne i nieprzyzwoite, i że powinna wyrzucić nas z domu, a sama robi to samo?

Ale Olivia się śmiała.

– Już widzę, jak ta stara wiedźma rżnie się i dyszy – powiedziała. – „Och,

Dag!” – Zrobiła krzywą minę. – „Nie przestawaj, Dag!” – Wypchnęła miednicę w powietrze. – „Pokaż ci rozkosze wszechświata, Dag!”.

Susan zasłoniła oczy i powiedziała:

– Nie będę w stanie tego zobaczyć!

– Nazywa siebie boginią? – prychnęła Cheryl. – To my jesteśmy Boginiami.

Olivia odwróciła się do Cheryl.

– Pokaż ten list. – Wzięła go i zaczęła po cichu czytać. W końcu spojrzęła w górę i szeroko się uśmiechnęła. – Wiem, co możemy zrobić.

– Co? – zaciekała się Susan.

– Chcesz zemsty? – zapytała Olivia.

– Tak! – krzyknęła Cheryl.

– A znasz jego adres?

– Błagam, wiem nawet, gdzie jest sekretne miejsce schadzki.

– W takim razie wyślij to.

– Po co?

– Chcesz się na niej odegrać, prawda? – dociekała Olivia.

– No jasne – odparła Susan.

– No to musimy go sobie wziąć – wyjaśniła Olivia.

– O Boże – szepnęła Susan, nagle rozumiejąc. – Tak!

– Zrobimy to – zgodziła się Cheryl – żeby jej pokazać, kto tu rządzi. I że z nami się nie zadziera.

– I żeby pokazać mu prawdziwą moc Bogiń. To dopiero będzie orgazmiczna przyjemność, jakiej nigdy nie zaznał!

– Tak! – zawtórowała Susan.

Olivia przyłożyła kopertę do ust i odbiła na niej purpurowy pocałunek.

– Nie mogę wysłać listu zaadresowanego do Dagdy od Morrigan. I to wymazanego szminką – zauważyła Cheryl.

Olivia westchnęła i wyciągnęła list z koperty, która opadła na podłogę. Poszła do biurka Rose w korytarzu i wróciła z nową kopertą i długopisem. Podala je Cheryl.

– No dobra! – prychnęła Cheryl. – Do dzieła!

ROZDZIAŁ 23

13 grudnia 2014
Salem

To strach osłabił boginię, zamieniając ją z dziewicy w banshee.
Księga drzew Rose

– Kojarzysz mężczyznę na łóżku? Chyba mówiły do niego Dag, nie Gad.
Zasięg był kiepski. Rafferty dla pewności powtórzył imię:

– Dag?

– Tak.

– Skrót od Dagdy, jak się domyślam.

– Tak mi się zdaje. Ostatniej nocy miałam kolejne senne wspomnienie.

Wysłałam ci zawartość listu z koperty, którą znaleźliśmy. Wiesz, pod podłogą – wyjaśniła. – Teraz wszystko pamiętam. Kazały mi go sobie wyrecytować.

Callie czekała na linii, podczas gdy Rafferty otworzył pocztę. Nie skomentował ani słowem podczas czytania.

– Niezły list – stwierdził w końcu.
– Dlatego wysłałam ci go mailem.
– Czy to się naprawdę wydarzyło?
– Boże, mam nadzieję... Nie zniósłabym, gdyby moja podświadomość zmyślała takie banały.

Roześmiał się.

– To oczywiście może nie być prawda – dodała po chwili. – Ale wydaje się, że wspomnienie pasuje.

– Jak do tej pory trafiałaś znakomicie – odparł.

Rafferty został w domu poprzedniego ranka i próbował zlokalizować w internecie każdą osobę o nazwisku Kormos, mieszkającą w stanie New Hampshire – ostatnim znanym miejscu zamieszkania Becky. Nie tylko sprawdzał miasta na południu, ale wszystkie miejscowości, aż do granicy z Kanadą. Najpierw wziął się za Manchester, w drugiej kolejności za Portsmouth. Potem przeszedł do mniejszych miasteczek. Kiedy skończył rozmawiać z Callie, gotowy był już wybrać kolejny numer, kiedy usłyszał, jak Towner rzuca słuchawką domowego telefonu.

– W końcu odebrałaś, co? – zapytał ją Rafferty. – Powiedziałaś jej, że spędzamy Boże Narodzenie z moją córką?

May zostawiła trzy wiadomości, zanim Towner w końcu się z nią skontaktowała.

– Jak co roku – odpowiedziała.

– A ona nadal nie odpuszcza – mruknął pod nosem Rafferty.

May upierała się, żeby spędzali na wyspie wszystkie święta, bez względu na to, jakie mieli plany, ale Towner była uparta. Nie był pewien, kto ma przewagę w tym starciu.

W południe musiał przerwać swoje poszukiwania i pojechał na komisariat. Na prywatną linię w jego gabinecie wydzwaniał ktoś z Yellow Dog. Chciał to zignorować, ale kiedy May miała problemy, zwykle dzwoniła bezpośrednio do niego, nie na numer alarmowy. Zwłaszcza kiedy przenosiła kobiety. Rafferty był jedynym człowiekiem, któremu ufała, że uszanuje ich anonimowość.

– Co tam się dzieje? – zapytał, kiedy odebrała.

– Mam pewien kłopot.

– Jaki?

– Powiem ci, kiedy tu przyjedziesz.

Wziął pistolet i założył kurtkę. Wizyta na Yellow Dog była ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę.

Na wodzie było chłodno. Szary ocean pasował do koloru chmur. Morze było bardziej wzburzone, niż się spodziewał, miał trudności z zacumowaniem.

May czekała na niego w doku, opuszczając hydrauliczną rampę. Łódka

bujała się jak szalona w dole, aż rampa w końcu opadła i Rafferty mógł ją przywiązać do knagi. Podszedł do May.

Przynajmniej nie ma ze sobą strzelby – pomyślał. Może nie było tak źle?

– Co się dzieje? – zapytał.

– Chodź ze mną.

Zamiast skręcić w prawo, w stronę domu, May udała się w przeciwnym kierunku, w stronę Black Beach na odległym końcu wyspy, idąc skrótem przez pole, które kiedyś było boiskiem do baseballa. Rosła tu wysoka trawa, splątana w kołtuny, musieli więc iść jedno za drugim, aby zmieścić się na ścieżce, przez co trudno było im rozmawiać.

Widział grupkę kobiet stojącą przy fundamentach starego domu. Cofnęły się, aby zrobić miejsce, kiedy zobaczyły, że nadchodzi.

Kilka silniejszych kobiet stało po wewnętrznej stronie fundamentów, w kaskach na głowach i z młotami kowalskimi, mocno waląc w konstrukcję i patrząc, jak się rozpada. May skinęła na jedną z nich, która ściągnęła swój kask i podała go Rafferty'emu.

– Tego właśnie chcesz, prawda? – zapytała May.

Na chwilę odebrało mu mowę.

Ulżyło mu, że May w końcu zgodziła się wyburzyć ten chylący się dom. Ale jednocześnie widok rudery uaktywnił trudne wspomnienia o tym, jak Towner wróciła tu, kiedy na jakiś czas się rozstali.

– Co z oczu, to z serca. – May podała mu młot. – Twoje własne słowa.

– I tak nie przyjedzie na Boże Narodzenie...

– Wiem. – May odwróciła głowę w przeciwną stronę wyspy. – Ale kiedyś będzie jej łatwiej. Tylko na tym mi zależy.

Rafferty pracował całe popołudnie, machając młotem, a kobiety na zmianę. Nie mówił podczas pracy, tak jak kobiety miały w zwyczaju przy przedzeniu lnianych nici czy dzierganiu koronek. Gruz zabierały taczkami, których używały w ogrodzie. Rafferty nie widział, gdzie składują odpady i szczególnie go to nie obchodziło.

Co z oczu, to z serca.

Miał nadzieję, że May ma rację. Do zmroku ostała się jedynie mała część przeciwległej ściany.

May przygotowała im wczesną kolację w czerwonym budynku szkolnym: potrawkę wołową z warzywami z ich ogrodu i chlebem kukurydzianym z tegorocznej, uprawianej od pokoleń kukurydzy Golden Bantam. Zauważył słoiki z cukinią ustawione w rzędach na półkach w schowku. W domu May zawsze robiono przetwory i szykowano zapasy na zimę.

Po kolacji kobieta odprowadziła go na przystań. Szedł jak Tom Dayle, cały pozginany.

– Kiedy jej wybaczysz, Rafferty?

To pytanie go zaskoczyło.

– Co takiego?

Nie spuściła z niego wzroku.

– Wróciła do ciebie. Czy to nie wystarczy?

– Wystarczy. Zawsze wystarczało. Źle to odczytujesz. Nie muszę jej wybaczać, bo nigdy nie winiłem ją za nic, co się stało.

– No dobrze. – Patrzyła na niego dłuższą chwilę. – Przeformułuję to pytanie: Kiedy masz zamiar wybaczyć sobie?

ROZDZIAŁ 24

*16 grudnia 2014
Pride's Crossing*

Zaczęły krążyć dziwne plotki, w tym oskarżenia o roznoszenie choroby, czary, a nawet dowody spektralne (żony twierdzą, że ich mężom Boginie składały nocne wizyty). „Mamy lata osiemdziesiąte XX wieku, czy wróciliśmy do 1692?” – zasugerowała Eva Whitney poproszona o komentarz.

„Dziennik Salem”, 15 listopada 1989 roku

Artykuł w „Dzienniku Salem” pod tytułem *Współczesne czarownice*, ukazał się w tym samym tygodniu, w którym Rose została przewieziona do przytułku przy Arbor Street. Odnosił przeciwny rezultat do zamierzeń Callie, tak jak ostrzegał ją Rafferty, i tylko wszystko pogorszył. Teraz ludzie zaczęli obawiać się także i jej. A jeśli dziewczyna liczyła na to, że artykuł doprowadzi ich do miejsca przebywania Leah Kormos, to się myliła. Rafferty nie odebrał ani jednego telefonu w tej

sprawie. Jedyną wzmianką na temat Leah był post na stronie gazety, sugerujący, że Rose pewnie zabiła ją w jakiejś satanistycznej ceremonii.

Szczegóły dotyczące erotycznego życia Bogiń zostały potraktowane w kategoriach sensacji, a matka Callie oraz jej przyjaciółki postawione w ewidentnie złym świetle. Tekst sugerował też, że uwodzenie traktowane jako „dyscyplina sportowa” po prostu musiało się źle skończyć.

Choć reporter nie napisał, że Boginie były czarownicami czy satanistkami (w co, jak nie ulegało wątpliwości, wierzyło wielu mieszkańców Salem), ujawnił, że przynajmniej jedna z dziewcząt z rodziny Rose odwiedzała nieistniejący już sklepik z czarną magią, ten o który Rafferty wypytywał Ann.

Artykuł szczegółowo opisywał niesłabnące przekonanie Rose, że jest banshee. „Dla tych, którzy nie znali wcześniej tego słowa – rozwodził się reporter – banshee to irlandzka zwiastunka śmierci”.

Do odkopanej w archiwach fotografii Rose z Boginiami „Dziennik Salem” dołączył zdjęcie Callie, które zrobiono jej z zaskoczenia, gdy wchodziła do szpitala. W rezultacie rozpoznawano ją teraz niemal wszędzie. Wielu ludzi bez skrępowania gapiło się na nią i, widząc ją, szeptało do siebie, zwłaszcza w herbaciarni i przytułku. Więcej nie odwiedziła już cementarza. Kiedy kupili z Pauliem choinkę do domku na przystani od drużyny skautów w centrum Beverly, jedna z zastępowych matek gapiła się na nich przez całą transakcję. Kiedy tylko uznała, że już jej nie słyszą, powiedziała do innego z rodziców:

– Ta dziewczyna albo żyje w całkowitym zaprzeczeniu, albo jest jedną z nich.

– Jezu... – Pokręcił głową Paul, kiedy wrócili do samochodu. – Co za niewychowana baba.

Callie zlekceważyła jego uwagę wzruszeniem ramion. Nie do końca żałowała, że udzieliła wywiadu. Ktoś musiał wstawić się za Rose. Reporter i tak napisałby ten tekst. Próbował rozmawiać ze szpitalnym personelem, ale oni szanowali prywatność Rose, tak jak wymagały od nich przepisy. Funkcjonariusz, który został postawiony przed jej drzwiami, nie miał jednak żadnych hamulców, poza tymi dyktowanymi mu przez własne wątpliwej jakości sumienie. Był kilka razy cytowany w artykule – opisywał „przypominający trans” stan Rose i jej nagłe wybuchy, „jakby była przez coś opętana”.

Szczegółowo omawiał też „nieziemski dźwięk” mis dźwiękowych Callie oraz to, jak te „mistyczne zabiegi” ożywiły Rose. „Jak na mój gust, ta dziewczyna jest równie dziwna, co ta starucha”.

Rafferty powiedział Callie, że funkcjonariusz został zawieszony. Ale mleko już się rozlało.

Najbardziej wichrzycielskie były plotki w internecie. Anonimowi komentatorzy ze strony „Dziennika Salem” nie przebierali w słowach:

DOBRYCHRZEŚCIJANIN101 napisał na przykład: „Diabeł raz jeszcze wychylił łąb w Salem”, a AMATORŻEGLUGI poszedł jeszcze dalej, wstawiając cytat: „Czarownicy żyć nie dopuścisz”.

– To nawet nie jest dokładne tłumaczenie – mruknął Paul, spoglądając Callie przez ramię na ekran swojego laptopa, kiedy wrócili do jego domu. – Chodzi mi o ten ostatni komentarz.

– Naprawdę? – Dłonie Callie nieco się trzęsły. Już sama liczba komentujących internautów była przerażająca.

– Król Jakub miał obsesję na punkcie czarownic. Uczestniczył nawet w pierwszym poważnym procesie czarownic w Szkocji. Jak wiesz, ludzie panicznie boją się wszystkiego, czego nie rozumieją. Tłumaczenie Biblii, choć cudownie poetyckie, nie było najlepsze. Wielu uczonych wierzyło, że oryginalnym słowem nie była wiedźma, lecz truciciel. Otrucia bano się bardziej niż czarownic. Aż do tego tłumaczenia.

– Chcesz powiedzieć, że źle przetłumaczony cytat z Biblii rozbudził zainteresowanie polowaniami na czarownice?

– Tak. I to w dodatku jedno złe tłumaczenie z oryginalnego tekstu na niemiecki. W oryginale rzeczowniki nie miały formy żeńskiej ani męskiej, więc słowo „czarownica” tak naprawdę oznaczało osoby obu płci. Ale wtedy tekst przetłumaczono na niemiecki, tłumacz wybrał formę żeńską i czarownice zaczęto postrzegać jako kobiety. Biblia króla Jakuba była produktem reformacji i opierała się o wersję tekstu Marcina Lutra. Kiedy niemiecka wersja została przetłumaczona na angielski, skojarzenie żeńskie zostało jeszcze mocniej utrwalone, co, jak możesz sobie wyobrazić, doprowadziło do wszelkiego rodzaju okropieństw wyrządzanych kobietom.

– Nie muszę sobie wyobrazać...

Paul pokiwał głową.

– Przepraszam. – Po chwili dodał: – Bestseller z tysiąc czterysta osiemdziesiątego siódmego roku pod tytułem *Malleus Maleficarum*, co można luźno przetłumaczyć jako *Młot na czarownice*, dodał metodologię potrzebną do wyplenienia tych tak zwanych „czarownic”. Książka usprawiedliwiała okropne prześladowania, które miały miejsce w Starym Świecie, a potem, dużo później, także w Nowym. Po raz kolejny zaczął się panoszyć strach.

– W Salem nadal jest on obecny – odparła Callie. – Spójrz tylko na te komentarze.

– Salem było zwykle bezpieczną przystanią dla wszelkiego rodzaju praktyk pogańskich i New Age, które w tym kraju nie są akceptowane nigdzie indziej. – Wzruszył ramionami Paul. – Tutejsi ludzie mają zwykle szerokie poglądy. Tym bardziej jest to dla mnie zaskakujące. Jestem pewien, że za tym wszystkim kryje się kilka osób, które, jak by to ująć, chcą namieszać w kotle czarownic.

– Helen Barnes i spółka?

– Prawdopodobnie. – Paul zamknął laptopa i zaczął masować kark Callie.

Jej mięśnie były bardziej przykurczone, niż zdawała sobie sprawę: całe napięcie trzymała w ramionach.

Cały świat na barkach.

– Chętnie skopałabym Helen Barnes ten jej kościsty, uprzywilejowany tyłek.

– Zapłaciłbym, żeby to zobaczyć. – Zaśmiał się Paul, wodząc dłońmi po jej szyi i ramionach. – Masz zbite mięśnie – szepnął zaskoczony.

– Zawsze. – Nachyliła się w jego stronę, kiedy zintensyfikował masaż. Miał mocne dłonie.

– W porządku? – zapytał, naciskając bardziej.

– Tak.

Zabrał się do najgorszych miejsc, nie potrzebując wskazówek, by je znaleźć, co chwila lekko przesuwając dłonie, podążając za napięciem, aż każdy mięsień zaczął się rozpręzać. Jego dotyk stał się wtedy delikatniejszy, aż w końcu już tylko muskał palcami szyję i ramiona dziewczyny.

– Wiesz, czego nadal nie potrafię zrozumieć? – zagadnęła Callie.

– Czego?

– Za każdym razem, kiedy słyszę słowo „banshee”, ma ono inną definicję. Rafferty wspomniał, że banshee to widmo wysłane, by zwiastować śmierć bliskiej osoby. Arcybiskup McCauley twierdził, że banshee to raczej opłacane płaczki potępione przez Kościół katolicki. Rose natomiast mówi, że banshee przybrała postać ludzką, że kiedyś była odsuniętą od wpływów boginią uwięzioną w dębie, później uwolnioną przez piorun, niosącą zniszczenie... Która wersja jest słuszna?

– Wszystkie – powiedział Paul. – Albo żadna z nich.

– Bardzo pomocne.

Zaśmiał się.

– Nie, mówię poważnie, to wszystko ma charakter tradycji ustnej. Przekazywanej z pokolenia na pokolenie. To się często dzieje – powstaje wiele różnych wersji tej samej historii. Tak właśnie rodzą się mity i to tłumaczy też fakt, dlaczego odpowiadający sobie bogowie i boginie z różnych panteonów są jednocześnie niewiarygodnie do siebie podobni i tak bardzo różni.

Skończył masować jej ramiona.

– Lepiej?

– Dużo lepiej. – Westchnęła, pozwalając sobie odchylić się w tył i oprzeć o niego tylko na chwilę, zanim się podniosła.

Stali, patrząc na siebie, przez dłuższą chwilę.

– Dziękuję.

– Nie ma problemu... – Nie spuszczał z niej wzroku.

Stała tak blisko, że czuła jego oddech. Wiedziała, o czym myśli. Myślała

o tym samym.

– To nie jest dobry pomysł.

– Nie? – zapytał, nie wierząc jej do końca.

– Nie. Proszę. Chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi, dobrze?

– W takim razie przyjaciele... – Paul zrobił krok w tył i poszedł do kuchni.

Żałowała, że to zrobił. Ale naprawdę byli przyjaciółmi. A teraz, kiedy opublikowano artykuł, tę przyjaźń ceniła sobie jeszcze bardziej. Niektóre ze szczegółów na temat jej matki innych trudno było czytać, nie tylko ze względu na morderstwa, ale też dlatego, że wykazywały nieprawdopodobne wręcz podobieństwo do przeszłości Callie. Było w jej życiu kilku młodych mężczyzn, których zraniła. Chodzili za nią w ten sam sposób, co mężczyźni z Salem za Boginiami.

I było coś jeszcze.

Każdy erotyczny sen, jaki miała o Paulu – a śniły jej się co noc – kończył się w ten sam sposób. Budziła się spocona, ze skopaną kołdrą zrzuconą na podłogę, wciąż czując go w sobie i starając się wymazać z głowy ostatni obraz: martwy Paul na kamiennej posadzce, a wokół niego zbierająca się kałuża krwi. Ostatnio w snach pobrzmiwał głos kobiety, którego nie była w stanie rozpoznać. Może to jedna z zakonnic? Kimkolwiek była, recytowała zdanie, które przypiął jej jeden z ojców zastępczych: „Nogi jej stępują do śmierci...”. I czasem dodawała kolejne, które martwiło ją jeszcze bardziej: „Bóg da ci krew do picia”.

– Za przyjaźń! – Paul wrócił i wznosił toast ajerkoniakiem zaprawionym brandy Napoleon z piwniczki ojca. – W sumie to marnotrawienie rewelacyjnej brandy, ale co tam, ciekawiej będzie się ubierało drzewko.

– Już pora?

– Owszem. – Upił duży łyk trunku.

Choinka była duża i żeby zmieściła się pod niskim sufitem, pod który ją wstawili, musieli odciąć i czubek, i trochę z dołu. Wyglądała teraz, jakby przebijała dach.

– Powinniśmy byli postawić ją tam – Callie pokazała na katedralne sklepienie w gabinecie.

– Zawsze stała tutaj – odpowiedział. – Tradycja zobowiązuje.

Przewróciła oczami.

– W tych okolicach to świętość.

Drzewko było naprawdę absurdalne. Paul rozwiesił lampki choinkowe, a Callie włączyła je do kontaktu. Kiedy tylko zaczęły migać kolorowymi światełkami, w pokoju zapanowała prawdziwie świąteczna atmosfera.

– Rozumiem, że te światełka też są elementem tradycji?

– Oczywiście – zapewnił.

Przeszukał jakieś pudła i pokazał jej drewniane ozdoby wystrugane przez

jego ojca i dziadka. Następnie wyciągnął skądś figurkę mewy, którą zrobił jako mały chłopiec.

– Przechowuję wszystkie rodzinne ozdoby.

Ajerkoniak rozgrzewał ją od środka, a ogień, który rozpałił Paul, rumienił policzki. Na końcu języka miała nieprzyzwoity dowcip o posiadaniu przez niego rodzinnych klejnotów, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

– A twoi rodzice? – zapytała w zamian. – Czym dekorują swoją choinkę.

– Rękami dekoratorów – powiedział.

– No tak... – odparła, unosząc ku niemu szklaneczkę z ajerkoniakiem. – Nie spodziewałabym się niczego innego.

– Właściwie to zatrudniają florystów. Co roku wybierają innego na Świąteczne Zwiedzanie Domów.

– Zapomniałam o tym oprowadzaniu na cele dobroczynne. – Widziała plakat reklamujący inicjatywę tego samego ranka, kiedy wstąpiła na pocztę po znaczki.

Odłożyła szklanekę i wzięła ozdobę ze srebrzonego szkła. Kiedy szła, by ją powiesić, poślizgnęła się przez grube skarpety, które miała na stopach, i prawie ją upuściła, rzucając się w ostatniej chwili, zanim uderzyła o podłogę. Złapała ozdobę, a Paul ją.

– Uważaj. Prawie pociągnęłaś za sobą całe drzewko.

Zauważyła, że się kolebie.

– To nie ja! Nie umocowałeś stojaka porządnie.

– Oczywiście, że umocowałem!

– Paul, drzewko wyraźnie jest przechylone na prawo, prawie pod takim samym kątem, co...

– Kąt był celowy – upierał się. – Żeby pasował do podłóg z siedemnastego wieku.

– Mogłam się spodziewać, że powiesz coś takiego – odparła z udawanym zniecierpliwieniem, siadając na kanapie.

Paul zaczął nalewać po kolejnej szklaneczce ajerkoniaku, ale po chwili stwierdził, że to nie najlepszy pomysł i usiadł koło niej.

W milczeniu patrzyli, jak lampki nadają pokojowi kolorów. Był tak blisko, że czuła ciepło jego nogi na swojej i zapach jego skóry. Nie była pewna, jak długo jeszcze zdoła wytrzymać. Brandy obniżała jej odporność. Czuła, jak serce wariuje jej w piersi, jak krew szybciej płynie... I jeszcze to delikatne pulsowanie, które zawsze stanowiło przepustkę do rozkoszy.

Litościwie Paul wstał i podszedł do drzewka, przechylając głowę w bok, aby lepiej ocenić kąt.

– To dopiero dziwaczna choinka – parsknął.

– Nie da się ukryć – zdołała z siebie wykrztusić, nachylając głowę pod tym samym kątem, by zyskać odpowiednią perspektywę. – Podoba mi się.

* * *

– Znalazłam ją dziś rano na podwórku sąsiadów – powiedziała pracownica opieki społecznej, kiedy następnego dnia Callie przyszła do przytułku na Abor Street. – Spała pod drzewem.

– Niedobrze – szepnęła Callie.

Kobieta pokręciła głową.

– Właśnie. A nie to jest najgorsze. Proszę za mną.

Otworzyła drzwi wiodące do jej gabinetu, jedyne go pokoju z niskimi oknami. Kilka z nich było rozbitych, a wszędzie wałały się odłamki potłuczonego szkła.

– Rose to zrobiła?

– Nie... – Opiekunka pokręciła głową. – Ale ten, kto to zrobił, wie, że ona tu jest. Kamienie, którymi wybito szyby, zawinięte były w kartki ze pogrózkami. Policja zabrała je jako dowody.

– Mają jakichś podejrzanych?

– Twierdzą, że to mógł być każdy. Źle się stało, że ludzie dowiedzieli się, że tu mieszka. Ale nie może już dłużej spać na zewnątrz. Boję się tego, co może jej się stać. Uważamy, że w ogóle nie powinna wychodzić, ale to wbrew naszym zasadom. Jeśli jednak nie możemy chronić Rose, nie może tu zostać. Będzie musiała wracać na noc. Albo przenieść się do innego przytułku.

* * *

– Nie będę siedzieć w środku. Tam nie słyhać drzew. – Rose wzruszyła ramionami. – Nie widać ich też z mojego okna.

– Nie rozumiesz? – tłumaczyła Callie. – Nie pozwolą ci tu zostać, jeśli nie będą w stanie zapewnić ci bezpieczeństwa.

Rose była niewzruszona.

– Sama potrafię się o siebie zatroszczyć.

– Wyślą cię z powrotem do szpitala, Rose. Albo jeszcze gorzej...

Callie nie była pewna, co chciała powiedzieć przez to „gorzej”, ale najwyraźniej głęboko wstrząsnęło to Rose. Zamilkła.

– Musisz przynajmniej spać w środku.

– Dobrze – odpowiedziała pokornie.

Choć jej leki zdawały się działać i personel zapewniał, że nie miewa napadów szału, Rose wyznała Callie w zaufaniu, że drzewa mówią do niej ostatnio jeszcze więcej.

Czuła wewnętrzny przymus, by je szkicować, dlatego wszędzie nosiła ze sobą *Księgę drzew* i ołówki, rysując tak szybko, jak tylko potrafiła, bo każdy dąb w tej części miasta przekazywał jej informacje, które przybliżały ją do „rozwiązania łamigłówki”.

– Widzę, że rysujesz... – Callie próbowała porozmawiać o czymś przyjemniejszym, co pozwoliłoby Rose zapomnieć o trudnych sprawach, które omawiała z nią wcześniej. Dziennik w dłoniach historyczki wydawał się przepełniony. – Pokażesz mi, nad czym pracujesz?

Nie zdradziła Rose, że już wcześniej zajrzała do środka w szpitalu. Starsza kobieta bez najmniejszego skrupowania podała jej dziennik.

– Czekałam, aż mnie o to poprosisz.

Callie zaczęła przeglądać notatnik. Wyrwane kartki zostały wklejone z powrotem na miejsce. Nowe rysunki Rose były bardziej szczegółowe i w najmniejszych detalach pokazywały każdą odrobinę światła na korze, każdy prążek na nagich gałęziach. Na jednym ze szkiców kobieta przedstawiła oderwany konar i miążgę pod spodem, ujawniając coś, co, o dziwo, przypominało ludzki układ krążenia. Żywica płynęła jak krew.

– Wspominałaś, że drzewa do ciebie mówią – powiedziała Callie.

– Zgadza się.

– Ale w twoim notesie nie ma żadnych słów.

– Drzewa nie mówią słowami – odparła Rose, jakby stwierdzała fakt, który powinien być Callie znany.

Dziewczyna przerzucała kartki notesu z większą uwagą. Widziała konary, gałęzie, witki, nagie i pełne liści, ale nie dostrzegła żadnej wiadomości, którą mogłaby rozszyfrować.

– Nie potrafię niczego odczytać. – Posmutniała. – Ale to naprawdę piękne. Masz prawdziwy talent.

Przerzuciła kilka kolejnych stron i wtedy natknęła się na harfę. Była to inna wersja obrazu, który widziała w domu Ann, a który stanowił część jej kolekcji świętych malowideł. Na szkicu Rose harfę wykonano niewątpliwie z dębu, bo z końca każdej struny wystawały dębowe liście. I coś, co przypominało dwa kwiaty.

– Dąb dwóch kwieci – domyśliła się Callie.

– Znasz go? – Rose była zachwycona, że dziewczyna rozumie jeden z jej rysunków.

- To harfa.
- Harfa Dagdy. – Starsza kobieta uśmiechnęła się do niej.
- Callie kazała jej powtórzyć to imię, aby się upewnić, że dobrze usłyszała.
- To celtycki bóg – dodała Rose.

Jeszcze zanim wysłała Rafferty'emu treść starego listu miłosnego, który przed laty kazały jej wyrecytować Boginie, policjant powiedział jej o swojej rozmowie z Ann. O tym, że Dagda był jednym z celtyckich bogów, który spotykał się z Morrigan – takiego pseudonimu używała zapewne Leah Kormos. To by wyjaśniało list i plan Bogiń, aby „go wziąć”, podobnie jak wściekłość Leah na przyjęciu. Ale teraz Callie zaczynała się denerwować... Czy Ann nie wspominała, że muzyka harfy zabiła jej wrogów? Czy to możliwe?

Oczywiście, że nie. To przecież tylko legenda – uspokoiła samą siebie. Choć rysunek z *Księgi drzew* Rose nadal wydawał jej się niepokojący.

Starsza kobieta była rozczarowana, kiedy Callie nagle się pożegnała. Schowała notatnik do swojej torby.

– Nie możesz spać na zewnątrz, Rose. Nieważne, co mają do powiedzenia drzewa, będą musiały poczekać z tym do rana. Rozumiesz?

Rose pokiwała głową.

– Nie igraj z piorunem.

– Dokładnie – odpowiedziała dziewczyna.

* * *

Callie nie mogła się dodzwonić do Rafferty'ego, więc poszła do wozowni, żeby mu powiedzieć o harfie.

– Nie wiem, co to znaczy, ale czuję, że to coś niepokojącego.

Rafferty zapewnił, że porozmawia o tym z Ann, po czym zapytał, czy chce jechać z nim.

– Poczekał tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedziała. Im bardziej lubiła Paula, tym bardziej nie mogła jej ścierpieć. Potrafiła myśleć jedynie o tym, jak Paul dotyka Ann, masuje ją po szyi i ramionach, i na tym nie poprzestaje... – Wiesz, że rozmawiała z dziennikarzami...

Nawet jeśli Rafferty o tym wiedział, to teraz tego nie skomentował.

– Zadzwoń, jeśli dowiem się czegoś nowego.

Była dopiero szesnasta, Callie poszła więc do herbaciarni spotkać się z Towner i Zee.

– Mam nadzieję, że Rose przestanie spać na zewnątrz... – powiedziała

Callie, sącząc Problematę. Przez ostatnie kilka tygodni zaczęła ją nawet lubić. – Musi stawiać się w ośrodku przed wyznaczoną godziną. Jeśli tego nie zrobi, odeślą ją do szpitala. Albo oddadzą jej łóżko komuś, kto będzie przestrzegał zasad.

– Nie może wrócić do was. – Zee zwróciła się do Towner. – Twój mąż zbiera baty, bo całe miasto myśli, że oskarżona mieszka w jego domu.

Callie wpatrywała się w swoją filiżankę. Nie chciała rozmawiać z Towner o tym, co ludzie wypisywali o nim w internecie, choć podejrzewała, że wie. Niektórzy domagali się rezygnacji Rafferty’ego. Wielu żądało jeszcze gorszych konsekwencji. Nie do wiary, jak nienawistne rzeczy potrafili mówić ludzie, kiedy ich tożsamość była chroniona.

– Muszę znaleźć gdzieś w okolicy własne mieszkanie – oświadczyła nagle. – Wtedy będą mogli oddać Rose pod moją opiekę.

– Powinnaś zostać tam, gdzie jesteś – skontrowała Zee. – Nie rozumiesz, jakim ciężarem byłoby dla ciebie mieszkanie z Rose. Ona musi być pod stałą opieką, żeby ktoś regularnie podawał jej leki i monitorował jej zachowanie.

Callie pokręciła głową.

– Nie sądzę, by potrzebowała tego wszystkiego.

Zee westchnęła.

– Nie ma to jak negacja...

Callie upiła łyk herbaty.

– Po prostu na razie zostań tam, gdzie jesteś – poprosiła Zee.

– A zresztą nie chcesz pewnie zostawiać Paula... – rzuciła Towner, tłumiąc śmiech.

* * *

Callie zwracała uwagę na każdy dąb, który mijała w drodze powrotnej do Pride’s Crossing. Nawet bez liści łatwo je było rozpoznać dzięki grubej, przypominającej skórę słonia korze. Rose miała rację – dęby rzeczywiście zdawały się stać same. Podczas gdy inne drzewa tworzyły zagajniki, dęby najwyraźniej miały naturę samotników. Rose twierdziła, że igrają z piorunami. Fakt, iż stoją osobno, sprawia, że dużo częściej niż w inne drzewa uderza w nie piorun. Czy to była prawda, czy kolejne z jej urojeń? Być może opis ten bardziej pasował do Rose niż do drzew – pomyślała Callie. Rose izolowała się od innych przez bardzo długi czas, a jej samotnicza natura przyciągała kłopoty.

– Czy ktoś wie, skąd pochodzi wyrażenie „igrać z piorunami”? – zapytała Callie Whitingów przy obiedzie. – Czy dęby są z tego właśnie znane?

Tylko Finn zareagował:

– Chyba nie zajmujesz się dendrolatrią tak jak Rose?

– Dendrolatrią? – Nie rozumiała Callie.

– Kultem drzew.

– Dąb zajmuje szczególne miejsce w celtyckiej tradycji ustnej – wyjaśnił jej Paul, kiedy Finn poszedł po kolejną butelkę wina i nie mógł ich usłyszeć. – Ale nie wspominaj o celtyckich powiązaniach mojemu ojcu. Dla niego te wierzenia równają się satanizmowi.

Callie westchnęła.

– Historia kładzie się tu długim cieniem.

Zostali na deser i kawę. Kiedy pokojówka sprzątała ze stołu, Emily wstała. Paul i Finn poszli za jej przykładem.

– Wybaczcie – tłumaczyła się Emily – ale idę na górę. Jestem wyczerpana.

Rzeczywiście wyglądała na zmęczoną. Wraz z Finnem spędzili cały dzień w Bostonie na wizytach lekarskich.

Finn odprowadził żonę do schodów, po czym wrócił do stołu.

– Jak wam dziś poszło? – zapytał ojca Paul.

– W porządku. Nic nowego. – Wstał i wyszedł z salonu do biblioteki.

Callie usłyszała charakterystyczny zgrzyt windy.

– Gdzie on jedzie?

– Podejrzewam, że po kolejną tarczę obronną. Tak sobie radzi z trudnymi dniami. Spadajmy stąd, zanim wróci – powiedział chłopak.

– Poważnie?

– Zapewniam cię, nie będzie tęsknił za naszym towarzystwem.

– Gdzie idziemy?

– John Pizzarelli gra dzisiaj w Scullers.

– Ostatni raz słyszałam go, kiedy byłam w Nowym Jorku.

– To znaczy, że chcesz, czy że nie chcesz pójść?

Wstała, pokazując kciuk do góry.

– Chcę.

Uśmiechnął się. Wyszli cicho przez pokój kredensowy w tej samej chwili, w której Finn wrócił z zakurzoną butelką Barolo.

* * *

Zostali w Scullers na dwa sety, po czym przenieśli się do Beverly, do nocnego baru – prywatnego, zadymionego klubu w piwnicy. Zalatywał ziołem

i serwował wykwintne desery tym, który wypalili wystarczająco dużo, by potrzebować takich frykasów. Kiedy wychodzili, w drzwiach minęli się z Ann i jej kowenem młodych wiedźm. Chase pozdrowiła Paula, a potem, z ociąganiem, przywitała się z Callie.

– Później – odezwała się bezgłośnie do chłopaka. Roześmiał się, ale nie odpowiedział.

Callie resztkami sił powstrzymała się, by nie przyłożyć czarownicy.

Paul przytrzymał drzwi i Callie wsiadła do samochodu. Obszedł auto i uruchomił silnik. Zapaliły się przednie lampy, oświetlając grupkę czarownic i stojącą w ich środku Ann. W świetle reflektorów Ann odwróciła się i posłała Paulowi całusa.

– Nie do wiary. – Callie wlepiła w nią oczy.

– Co?

– Skąd ona wie, że nie jesteśmy na randce?

– A nie jesteśmy? – Paul udał przerażenie i rozczarowanie.

– Nie rozumiesz, o co mi chodzi? Skąd ona wie, że nic nas nie łączy?

– Po prostu wie.

Co to niby znaczy?

– Rozmawiasz z nią o mnie? – Callie kipiała ze złości.

Czy Paul opowiadał Ann o ich związku? A może było to coś, co Ann po prostu wiedziała w ten sam sposób, w jaki intuicyjnie wyczuwała osobiste sprawy innych ludzi, o których nie powinna była wiedzieć? Callie nie potrafiła zdecydować, który pomysł podoba się jej mniej.

– Co to, liceum? – W jego głosie pobrzmiwała złość.

Może nie liceum, ale na pewno studia. Dziewczyna z przyjemnością wzięłaby się z Ann za łby z powodu faceta. Ale teraz nie był odpowiedni moment.

– Nie sądzę, żeby Ann pamiętała liceum. Przecież dla niej to było tak dawno.

To był miły wieczór, niemal jak prawdziwa randka, ale Ann Chase i jej straszna świta sprawiły, że nastrój Callie gwałtownie się pogorszył.

Wracali do Pride's Heart w ciszy.

Zamiast pojechać do domku na przystani, Paul podwiózł dziewczynę bezpośrednio pod główną posiadłość. Opony zachrzęściły na zwirowym podejździe, gdy zahamował. W domu panowała ciemność, a okna odbijały czarne niebo.

– Dziękuję za *uroczy* wieczór. – Callie nie kryła sarkazmu. Przeszukała torebkę. – Cholera, zapomniałam klucza.

– Ja mam. – Paul powiedział spokojnie, ale nie ruszył się, by jej go dać.

Zaczęła otwierać drzwi po stronie pasażera. Paul wychylił się, jakby chciał je otworzyć, tak samo, jak zrobił tamtego pierwszego dnia, tylko że tym razem jego dłoń nie sięgnęła drzwi, tylko spoczęła na jej ramieniu. Przyciągnął ją bliżej.

- Co ty robisz?
- A jak myślisz?
- Ann na ciebie nie czeka?
- Zamknij się.

Pocałował ją, a potem jeszcze raz. Objął ją ciasno. Odsunął się lekko, aby spojrzeć jej w oczy. Jego usta ledwie dotykały jej, oddech mężczyzny był słodki od brandy i czekolady, którą jedli w klubie.

Na drugim piętrze nagle zapaliło się światło, a następnie rozświetlił się korytarz.

Puścił ją i sięgnął w końcu po klamkę. Następnie obszedł auto i odprowadził dziewczynę do schodów, wyciągając klucz w tej samej chwili, w której Darren otworzył drzwi.

– Liceum. – Westchnął, skinąwszy lekko głową Darrenowi, po czym odwrócił się i zaczął schodzić powoli po schodach.

– Dobranoc... – Głos jej drżał, gdy to mówiła.

Na dole schodów Paul odwrócił się i rzucił jej jeden ze swoich zabójczych uśmiechów.

ROZDZIAŁ 25

17 grudnia 2014
Salem

Jeśli nadciągające zdarzenia mogą rzucić cień na rzeczywistość, zanim się jeszcze pojawią, to zdarzenia minione nie mogą nie pozostawić za sobą swojego odcisku.

Helena Bławatska, *Doktryna tajemna*

– Przykro mi, Rafferty. To nie jest żadna z nich – powiedział Mickey. – Trochę mi to zajęło, ale sprawdziłem drzewo genealogiczne każdej z dziewczyn. I to dwa razy. Żadna z Bogiń, ani nawet sama Rose, nie była spokrewniona z Sarah Good. To musi być ta jakaś Leah. Masz już nazwisko jej matki?

Rafferty westchnął.

– Pracuję nad tym.

– Musisz sobie znaleźć inny tekst, John. Ten brzmi dość słabo.

Nie – pomyślał z frustracją Rafferty. To stanie w sklepie pośród dekoracji

świętecznych z Mickeyem w pełnym pirackim rynsztunku i rozmawianie o relacjach rodzinnych Bogiń było słabe.

Czuł, że doszedł do ściany.

To był długi dzień.

Odwiedził lokal na Essex Street, w którym niegdyś mieściła się Ścieżka Lewej Dłoni. Całe pierwsze piętro było teraz opuszczone. Choć w okresie halloweenowym co roku otwierały się tu tymczasowe sklepy z kostiumami, tandetne nawiedzone domy i gabinety spirytystyczne, nikt nie wynajął sklepu na stałe i lokal zaczynał podupadać.

Sklep został niedawno posprzątaný. Nie pozostały żadne ślady po poprzednich najemcach, a gdyby nawet się znalazły, trudno byłoby stwierdzić, co pochodzi z lokalu, a co jest pozostałością po sezonowych halloweenowych interesach. Miał za to okazję porozmawiać z właścicielem budynku o Ścieżce Lewej Dłoni.

– To było dziwne miejsce – mruknął mężczyzna. – Kobieta, która je prowadziła, u wszystkich wywoływała koszmary. Wykonywała zaklęcia w tylnej uliczce i – proszę mi wierzyć – odgłosy były straszne.

– Słyszałem, składano tu ofiary ze zwierząt – przytakiwał Rafferty. To było w zgłoszeniach policyjnych. – I dlatego miasto chciało zamknąć lokal. To prawda?

– Nie wiem. Ktoś kiedyś zostawił zdechłego kota przed wejściem – przyznał jednak po chwili. – Pamiętam, bo to ja musiałem go posprzątać.

– Milutko.

– Jedyne, co wiem na pewno, to to, że inne czarownice były mocno zainteresowane zamknięciem tego sklepu. Rozpuszczały plotki, które odstręczały klientów, a potem je podsycaly, aż właścicielka spakowała manatki i wyjechała, dosłownie w środku nocy. A zalegała mi z czynszem za dwa miesiące...

* * *

Na stole Rafferty'ego w jego domowym biurze rosła sarta książek. Od Ann pożyczył kilka pozycji na temat celtyckiej mitologii, kilka kolejnych woluminów o czarnej magii kupił w Piramidzie, ignorując uporczywe spojrzenia niektórych klientów. Już sobie wyobrażał, co napiszą jutro w sieci: „Komendant policji wchodzi w konszachty z diabłem”.

Starł dowiedzieć się wszystkiego w internecie, ale informacje, jakie znalazł, były ograniczone, a często ze sobą sprzeczne. Ann także uważała je za mało wiarygodne.

– Jeśli szukasz dogłębnych informacji na temat celtyckich bogów i bogiń, będziesz musiał zajrzeć do książek.

Na szczęście Chase miała obszerną bibliotekę, a księgarnia Piramida oferowała jeszcze większy wybór. Studiował więc teraz celtyckie książki w poszukiwaniu dodatkowych informacji na temat Dagdy i Uaithne, morderczej harfy. Nie było tego wiele.

Dagda miał seksualny apetyt i był doskonałym wojownikiem. Po jednym ze starć wrogowie Dagdy ukradli harfę. Ale bożek skrępował muzykę zaklęciem, więc harfa przestała grać. Kiedy bóg w końcu wezwał harfę, to zgodnie z legendą „odbiła się od ścian, zabijając dziewięciu wrogów Dagdy”, po czym wróciła do swojego pana.

Historia była niejasna. Nie opisywała dokładnie, w jaki sposób „dąb dwóch kwieci” popełnił ten morderczy czyn. Kiedy szukał wyrażenia „czworokątna muzyka” – bo taki też tytuł nosił obraz, który Callie widziała w domu Ann – nie znalazł prawie niczego. Wyrażenie to było synonimiczną nazwą dla harfy.

Książki piętrzyły się też na nocnej szafce komendanta. Zaczął czytać te o czarnej magii. Zarówno Ann, jak i Towner ostrzegały go przed spędzaniem zbyt dużej ilości czasu z tymi książkami, każda z innego powodu. Ann powiedziała, że boi się, by nie wpadło mu coś głupiego do głowy. Oczywiście raczej żartowała, choć nigdy nie można było mieć co do tego pewności. Towner zwyczajnie bała się takich książek.

– Możesz zabrać je do biura? – poprosiła. – Śnią mi się przez nie koszmary.

Żona miała rację, te książki były nieco upiorne, zwłaszcza ich mroczne i dramatyczne okładki. Zabrał je do gabinetu, żeby nie musiała na nie patrzeć. Znalazł w nich w końcu coś użytecznego. W książce pod tytułem *Światowa historia czarnej magii*, w sekcji na temat Afryki, przeczytał rozdział o magicznych mocach „włosów człowieka pozbawionego pigmentu”. Ponoć były wszechmocnym składnikiem zaklęć, zwłaszcza eliksirów miłosnych. Od razu pomyślał o białych włosach Susan – stanowiących jedno z trofeów pobranych z jej ciała.

Najwyraźniej przesądne wierzenia dotyczące albinosów także i teraz stanowiły problem w podsaharyjskiej części Afryki. Prowadziły do morderstw i brutalnego okaleczania takich ludzi. Ze skóry albinosów (a przecież drugim trofeum był kawałek skóry Susan) często robiono amulety, które miały przynosić bogactwo i powodzenie.

Kiedy Rafferty dowiedział się od Mickeya, że żadna z pozostałych Bogiń nie była spokrewniona z Good, wpisał długopisem imię Leah na piątym płatku, pod Sarah. Gdyby tylko był w stanie natrafić na jakiś ślad Leah albo jej siostry...

ROZDZIAŁ 26

*17 grudnia 2014
Salem*

Drzewo jest mediatorem pomiędzy żywymi i martwymi. Tam, gdzie konar jest źle ukształtowany, gdzie gałęzie się wykrzywiają i splatają ze sobą albo gdzie rana na korze pozostaje niezaleczona, tam znajduje się święte miejsce przejścia pomiędzy tymi światami.

Księga drzew Rose

– Jakie ma pani plany na święta? – Pracownica ośrodka zapytała Callie. – Zwykle nasi goście dołączają do swoich rodzin na świąteczny obiad...

– Jeszcze nie wiem – ociągała się dziewczyna. – Towner i Rafferty jechali do Nowego Jorku, żeby spędzić święta z jego córką Leah, więc herbaciarnia będzie zamknięta. A zabranie Rose do ich domu, nawet na kilka godzin, aby ugotować jej świąteczny posiłek, nie wchodziło w grę.

– Rose może przyjechać do Pride's Heart na świąteczny obiad – zasugerował

Paul, kiedy Callie zwierzyła mu się ze swojego dylematu.

– Sama nie wiem... – Callie wyobraziła sobie Rose w eleganckiej sukni siedzącą podczas składającego się z nieskończonej ilości dań obiadu i opowiadającą okolicznej elicie o rozmowach, jakie przeprowadza z drzewami.

– Nasz bożonarodzeniowy obiad nie jest taki, jak w Święto Dziękczynienia – zapewnił ją. – To spokojny posiłek w gronie rodziny i kilku najbliższych przyjaciół.

– Mimo to... – wahała się Callie – ...nie wiemy, czy... starczy jej odwagi. Może powinnam zabrać ją gdzieś na obiad?

– Gdzie? – zapytał Paul. – Gdzie możesz ją zabrać, żebyście obie czuły się swobodnie? Już wystarczająco dużo przeszła. Nie mówiąc o tobie. Zorganizujmy jej miły bożonarodzeniowy obiad.

* * *

– Z radością donoszę, że Rose sypia w środku – oświadczyła pracownica przytulku następnego dnia. Przez ostatnie kilka nocy przelotnie padało. – Cokolwiek jej pani powiedziała, najwyraźniej podziałało. Pewnie cieszy się, że nie sterczy na deszczu.

Callie uśmiechnęła się wymijająco, a Rose, ubrana w czarne spodnie i czerwony sweter, które siostrzenica dała jej podczas ostatniej wizyty, stęknęła.

Dziewczyna nigdy nie powiedziałaaby tego na głos, ale rozumiała, dlaczego Rose woli spać na świeżym powietrzu. Przytułek trudno było nazwać przytulnym. Była to dostosowana przestrzeń industrialna. Ktoś najwyraźniej przekonał właścicieli, że biel jest lepsza od szpitalnej zieleni, i teraz miejsce oślepiało wręcz jasnością ścian, potęgowaną przez świetlówki. Wielkie fabryczne okna znajdowały się zbyt wysoko, by można było przez nie wyjrzeć, a mała sztuczna choinka była jedynym ukłonem w stronę grudniowych świąt i wydawała się jeszcze mniejsza, umieszczona w ogromnej przestrzeni.

– Łóżko jest nierówne – poskarżyła się Rose. – Pełno w nim kamyków.

– Nieprawda. – Uśmiechnęła się opiekunka. – Dobrze sobie radzi.

Rose przewróciła oczami. Kiedy opiekunka wyszła, Callie powtórzyła werdykt:

– Dobrze sobie radzisz.

– Nie wiem, dlaczego zawsze mówi o mnie, jakby mnie tu nie było.

Callie zastanawiała się nad tym samym.

– Chcesz pojechać do Pride's Heart na bożonarodzeniowy obiad, Rose?

Whitingowie cię zapraszają. – Paul skonsultował już ten pomysł z Emily. Mogę im przekazać, że przyjedziesz?

– Nie wiem, to zależy...

– Od czego?

– Od tego, co będzie na obiad i czy będę miała się w co ubrać.

– O ubrania się nie martw – uspokoiła ją Callie.

Obawy Rose nie różniły się znów tak bardzo od tych, które ona sama miała w chwili otrzymania zaproszenia na Święto Dziękczynienia. Gdyby ktoś poznał Rose w obecnym stanie, wydałaby się normalna. Callie poczuła, jak w sercu wzbiera jej radość, gdy dopuściła do siebie pewną myśl:

Może Rose wraca.

– To nie jest oficjalne przyjęcie. Możesz założyć to, co masz teraz na sobie. I przyjadę wcześniej, żeby cię uczesać.

– Będzie ciasto?

Callie zaśmiała się.

– Na pewno.

– Lubię ciasto. – Rose się uśmiechnęła.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz? Pojedziesz do Pride's Heart?

Wzruszyła ramionami.

– Ale nie zostanę tam. Możesz być tego pewna.

* * *

– To całkiem dobry interes, jeśli się nad tym zastanowić – oświadczył Paul, biorąc kęs homara Newburg, którego przygotowała kucharka. – Marta nie płaci czynszu ani podatków, a o teren dbają nasi ogrodnicy – z wyjątkiem jej ogródka warzywnego. Jedyne, co jest od niej wymagane, to uczestnictwo w oprowadzaniu. Mogła trafić gorzej. I jeszcze śmie narzekać?

– Nie wiem, skąd ten pomysł, że Marta narzeka. – Emily poprawiła syna. – Zachowała się bardzo uprzejmie.

– I powinna – odparł Paul.

Finn w milczeniu nalał sobie kolejny kieliszek Meursaulta.

Przez ostatnie kilka dni wszyscy rozmawiali jedynie o zaplanowanym na sobotę Świątecznym Zwiedzaniu Domów.

Paul wprowadził Callie w historię Marty. Najwyraźniej Whitingowie byli właścicielami ziemi, na której znajdował się dom Hathorne, od czasów procesów czarownic, kiedy przodkini Marty nie była w stanie uiścić opłat za swoje

uwięzienie. Dla Hathorne'ów od dawna było to solą w oku, choć posiadają dożywotnie, przechodzące z pokolenia na pokolenie prawo do użytkowania posiadłości. Przez lata pobierano za to różne opłaty, niektóre w formie pracy, inne mniej namacalne. Ostatnimi czasy wymagano jedynie udostępnienia domu dla zwiedzających.

Dziś wieczorem, jak zwykle, przepastną jadalnię oświetlały głównie świece, a ogromny srebrny żyrandol został przygaszony tak, by dawał podobne światło.

W domu było widać oznaki nadciągającej wycieczki. Florysta z Ipswich z czteroosobową ekipą pracował od rana, umieszczając aranżacje w strategicznych miejscach i na powierzchniach stolików. Jutro spodziewali się kolejnego projektanta, tym razem z Bostonu. Jego zadaniem miało być ozdobienie ogromnego, wysokiego na dwa piętra świerka, który czekał już w holu, otoczony sześcioma nawilżaczami wydmuchującymi mglistą parę od wejścia aż po bibliotekę. Dzisiaj z samego rana prywatna ekipa Emily obniżyła też i wypolerowała żyrandol oraz kinkiety w całym pokoju.

Pośród wszystkich tych zajęć Emily uparła się, aby Paul i Callie dołączyli do nich na ostatniego homara w tym sezonie. Pułapki Whitingów znajdowały się tuż za skałami i nazajutrz miały zostać wyciągnięte z wody, wyczyszczone i schowane aż do wiosny.

– Ten Newburg jest bardzo dobry – powiedziała Emily. Darren stał koło niej, podając jej dokładkę. – Przekaż Hildy komplement.

Callie cieszyła się, widząc, że Emily wraca apetyt: to był dobry znak.

– Spodoba ci się zwiedzanie, Callie – zapewniła Emily.

– Nie mogę się już doczekać.

– Rozmawiałś z Rose o świętach? – zagadnął Paul.

– Tak – odpowiedziała Callie, zwracając się do Emily: – Powiedziała, że będzie jej bardzo miło. Zwłaszcza jeśli podacie ciasto.

– O co chodzi? – zainteresował się Finn.

– Zaprosiłam Rose Whelan na bożonarodzeniowy obiad – oświadczyła Emily. – A jakie jest jej ulubione ciasto?

– Nie rozumiem... – Finn odłożył sztućce.

– Callie zaprosiła w naszym imieniu Rose Whelan na bożonarodzeniowy obiad. – Paul wyjaśnił ojcu. – Rose się zgodziła. I najwyraźniej ma słabość do ciast.

Finn nic nie odpowiedział.

– Hildy robi pyszne mięso w cieście, o słodkich wypiekach nie wspominając. Myślisz, że Rose lubi wytrawne wypieki?

– Zapytam. – Callie uśmiechnęła się, wspominając sobie wcześniejszą rozmowę ze starszą kobietą. Zgodziła się przyjechać, pod warunkiem że dostanie ciasto. Teraz dostanie wiele ciast.

– Dlaczego nie zapytałaś mnie o zdanie, zanim zaprosiłaś dodatkowych ludzi? – Finn zapytał żonę.

– To nie są „dodatkowi ludzie”, to ciotka Callie. I nie mam w zwyczaju pytać cię o pozwolenie, zanim zaproszę kogoś na obiad.

– Marta nie będzie chciała przyjść, jeśli ta kobieta tu będzie. Ani inni nasi goście. – Nie patrzył w kierunku Callie, a bezpośrednio na swoją żonę.

– Marta Hathorne i inni goście, których najwyraźniej zaprosiłaś, nie informując mnie o tym, nadal są u nas mile widziani.

– Nie będą się czuli swobodnie w towarzystwie bezdomnej wariatki.

– W takim razie powinieneś ich uprzedzić, żeby nie przychodzili. – Emily wstała, delikatnie odłożyła serwetkę na stół i wyszła z jadalni.

Kilka sekund później wstał Finn, zostawiając Paula i Callie bez słowa, po czym wyszedł z domu, trzaskając za sobą ciężkimi frontowymi drzwiami.

Kiedy tylko jego rodzice zniknęli, Paul przysunął się o jedno krzesło do Callie. Wydawał się nie przejmować sceną, której właśnie byli świadkami.

– Co się tu przed chwilą stało? – zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

– Nawet nie pytaj.

* * *

– Gdzie cię boli? – Callie zapytała Emily następnego ranka.

Kobieta pokazała na prawy bok. Callie grała na misach, celując w trzecią czakrę, aby pomóc wątrobie. Emily starała się zrelaksować dźwiękiem, ale była słaba i wyraźnie cierpiała. Zaczęła się wiercić, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję.

Tego ranka było zimno i Callie przyszła do spa wcześniej, żeby podkręcić termostat. Pacjentka się spóźniała, więc dwadzieścia minut po czasie Callie skorzystała z domowej linii telefonicznej, żeby potwierdzić, że na pewno przyjdzie.

– Pani już schodzi – wyjaśnił Darren.

Callie była zaszokowana zmianą w wyglądzie Emily. Musiała nie spać całą noc. Włosy miała rozczochrane, była nieumalowana. Trzymała się za prawy bok, kiedy wychodziła z windy, i dziewczyna musiała jej pomóc położyć się na stole do masażu.

– Trzymaj się, Emily.

Dziewczyna zagrała drugą czakrę, starając się skierować energię Emily w dół i na zewnątrz, tak samo jak uczył ją pewien akupunkturzysta, z którym pracowała w Northampton. Ani drgnęła. Był pewien dźwięk, którego nie mogła

osiągnąć, czuła to: nuta pomiędzy trzecią a piątą czakrą, pomiędzy czystym E i D.

Zaczęła śpiewać, pozwalając swojemu głosowi zjechać o pół tonu z mocnego E do Es i kolejne ćwierć tonu niżej, szukając miejsca, w którym krył się ból.

– Och! – jęknęła Emily i Callie wiedziała, że go znalazła.

Odśpiewała nutę ponownie, a pokój ze swoją idealną akustyką podłapał ton i wprawił go w wibrację. Poruszający się dźwięk rozbił się na cząstki, które krążyły teraz po pokoju, zbliżając się do siebie, to znów oddalając, odbijane od granitowych ścian. Pokój stał się wielką misą dźwiękową.

Rozdzielanie się dźwięków było czymś, czego Callie nigdy wcześniej nie udało się osiągnąć. Wciąż trzymając oryginalną nutę, położyła dłonie na prawym boku Emily. Miejsce zaczęło się rozgrzewać i wibrować, najpierw z przerwami, a następnie bardziej jednostajnie.

Callie przesunęła się do stóp Emily i ściągnęła jej pantofle.

– Prześlij to, co cię boli, do mnie – powiedziała, delikatnie dotykając palców u stóp Emily. – Uwolnij ten ból.

Terapeutka zaśpiewała i rozbity ton znów zaczął krążyć po pokoju. Nie czuła żadnej energii pochodzącej od stóp Emily.

Niespodziewanie cząstki dźwięku znów się połączyły, umożliwiając wybuch energii i powodując odczucie, jakie w wyobrażeniu Callie powodowało uderzenie pioruna. Jego siła prawie zwała ją z nóg. Chwyciła się stołu dla równowagi i poczekała, aż ton zupełnie zamilknie, zanim znów ośmieliła się odezwać.

– Czułaś to?

Emily była tak nieruchoma, że Callie bała się, że ją zabiła. Wtedy jednak otworzyła oczy i powiedziała w zadziwieniu, próbując złapać oddech.

– Ból zniknął.

Z pomocą terapeutki kobieta usiadła. Nadal była zbyt słaba, by wstać, zwróciła się więc do Callie, poprawiając szmaragdowy pierścionek na swojej prawej dłoni. Podniosła wzrok i przeciągle spojrzała dziewczynie w oczy.

– Dziękuję.

* * *

Callie niełatwo było pozbyć się energii, którą Emily uwolniła podczas sesji. Próbowana medytować, ale nie mogła się odprężyć. Zrobiła sobie gorącą kąpiel, a potem w końcu ucięła sobie drzemkę.

Śnił jej się krzew.

Miała wrażenie, że jest uwięziona w labiryncie gałęzi, w gęstym płynie,

który sączył się niczym krew. Wszystkie jej koszmary były zamknięte wraz z nią w tej czeluści. Widziała trzy rany drzewa – w miejscach, gdzie powinny rosnać konary, a w oddali słyszała muzykę harfy, którą szybko zagłuszył inny dźwięk.

Przeszywający ciszę krzyk miał tak wysoki ton, że czuła, jak pękają jej naczynka. Kiedy nie mogła go już dłużej znieść, zwyczajnie odpuściła i poddała się jego sile.

ROZDZIAŁ 27

*20 grudnia 2014
Pride's Crossing*

To, że banshee potrafi zabijać, jest rzeczą wiadomą. Ale każda śmierć zadana w złości zbiera obfite żniwo. Banshee i umierający jednoczą się. Czas się zmienia, a potem staje się wieczny w chwili, kiedy połączone duchy przechodzą pomiędzy światami.

Księga drzew Rose

Świąteczne Zwiedzanie Domów było wydarzeniem charytatywnym, na które bilety kupili ludzie z całego Północnego Wybrzeża. Teraz swobodnie spacerowali po Pride's Heart, zaglądając w każdy zakamarek, który nie był odgradzony linami.

Finn nazywał to zwiedzanie „ imprezą dla pań”. On i Paul zawsze schodzili gościom z drogi i wyjeżdżali do Bostonu na świąteczne zakupy, po których udawali się na obiad do Harvard Club. Dziś byli spóźnieni, ponieważ ojciec wciąż przeczesał bibliotekę w poszukiwaniu swoich okularów.

– Jeszcze ich nie znalazłeś? – W głosie Emily pobrzmiwała dezaprobata. – Przy twojej jaskrze nie wiem, dlaczego nie kupiłeś zapasowej pary.

– Mam kiepski wzrok – powiedział. – I posiadam zapasową parę, ale nie jest już wystarczająco mocna. I wiesz równie dobrze, co ja, że cholerne okulary wcale nie pomagają na jaskrę.

– Bierzesz dwa rodzaje leków, a twój wzrok wciąż się pogarsza. Powinieneś pójść do Callie na sesję z misami.

– Chętnie ci pomoże, tato – poparł ją Paul.

– Nie jestem zainteresowany.

– Czym nie jesteś zainteresowany? – zapytała Callie, wchodząc do pokoju.

– To oni nie są zainteresowani, by pomóc mi znaleźć moje okulary – mruknął Finn.

– Zgubiłeś okulary?

Zawsze uważała je za część stylizacji. Sądziła, że Finn znalazł markowe oprawki, które wyjątkowo dobrze harmonizowały z jego brązowymi oczami, zrobione ze skorupy żółwia, z tymi samymi plamkami zieleni, żółci i niebieskiego. Zastanawiała się, czy zostały wykonane na specjalne zamówienie. Wydawało się jej, że to bardzo w jego stylu.

– Najwyraźniej tak. Nie widziałaś ich nigdzie, prawda?

– Nie, ale pomogę szukać. – Callie zaczęła sprawdzać na półkach, na kominku i wszelkich płaskich powierzchniach, na które mógł je odłożyć bez zastanowienia.

Wszyscy przez kilka minut bezskutecznie przetrząsali pomieszczenie w ciszy, zanim Finn się poddał.

– Wezmę te – powiedział, wyjmując starszą, słabszą parę z szuflady w biurku. – Znikajmy stąd, zanim rozpocznie się cała „zabawa”.

Mężczyźni zaczęli się zbierać do wyjścia, kiedy Callie zauważyła, że Finn ma przekrwione oczy.

Obie kobiety poszły za nimi do holu. Postawiona tam choinka sięgała aż do sklepionego sufitu.

– Miej na uwadze, że żaden z nich nie prowadzi. – Emily pokazała na limuzynę z szoferem, która czekała na zewnątrz. – Co się dobrze składa, biorąc pod uwagę to, w jakim stanie zobaczysz ich po powrocie. Powiedzieć, że trochę się dziś napiją, to ogromne niedomówienie.

Według Callie Emily wyglądała dziś zdecydowanie lepiej, choć wszyscy, łącznie z Paulem, ostrzegali ją, by na siebie uważała, bawiąc się dziś w gospodynię.

Kiedy dziewczyna z podziwem przyglądała się choince, pojawili się przewodnicy i kołędnicy, niedługo potem zaś obsługa, która miała podawać bożonarodzeniowy poncz.

– Widziałaś już dom Marty? – zagadnęła Emily.

– Nie.

– A powinnaś. Fundacja skrzyknęła w tym roku lokalnych projektantów do jego dekoracji. A już sam budynek jest wyjątkowy. Od nowości niewiele się zmienił, dobudowano jedynie do niego kuchnię z niskim dachem. A i to miało miejsce lata temu.

– Obejrzę go innym razem. Dziś chcę ci pomóc z tymi tłumami gości.

– Daj spokój. Czuję się wspaniale. I mam tu mnóstwo pomocy. Idź i zerknij na niego. Będę tutaj, kiedy wrócisz.

Callie chciała osobiście dać Marcie znać o tym, że Rose przyjdzie na bożonarodzeniowy obiad, ale Hathorne złapała grypę i na razie odmawiała wszelkich wizyt. Rzeczywiście, miała schorowany głos, kiedy Callie do niej zadzwoniła.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? Przynieść ci rosół czy coś?

– Po prostu daj mi odpocząć – powiedziała Marta, co Callie uszanowała. – Zadzwoń, jeśli będzie mi coś potrzebne.

Ale telefon milczał.

Callie poczekała, aż zwiedzanie się rozkręci, zanim poszła do domu Marty. Szła przez gęsty las ścieżką, która wyglądała niemal identycznie, jak ta prowadząca do domku na przystani. Drzewa były starsze na tej części posesji, i rosły tu nie sosny, a jakieś gatunki liściaste. Na końcu ścieżki znajdował się ogród warzywny, teraz leżący odłogiem, poza dwoma krzewami oczaru wirginijskiego rosnącymi w pobliżu bocznych drzwi i porzuconej dyni nieoderwanej od łodygi, z którą kęś po kęsie rozprawiły się wiewiórki. Reszta ziołowego ogródka, podobnie jak kilka małych krzewów obok oczaru, obłożona była słomą dla ochrony przed zimmem.

Kiedy Callie zbliżała się do małego domku Marty z oknami szczytowymi i szybami łączonymi ołowiem, łatwo jej było sobie wyobrazić siebie w siedemnastym wieku.

Zauważyła kuchnię w parterowej dobudówce, z długim ściętym dachem, i weszła do środka. Choć dziewczyna nie należała do wysokich, sufit znajdował się jedynie kilka centymetrów nad jej głową. Pomieszczenie robiło przytulne wrażenie. Większą jego część zajmował kominek, po jego obu stronach suszyły się kwiaty łądogami do góry, a z wysięgnika zwisał wielki żeliwny kocioł. Trafiła w sam środek wycieczki.

– A przyczyna śmierci pani domu? Ktoś zgadnie?

Nikt się nie odezwał.

– Pożar w kuchni – wyjaśnił przewodnik. – Bycie gospodynią w tamtych czasach wiązało się z wieloma niebezpieczeństwami, najgorszymi były jednak poparzenia. Te zabiły wiele kobiet. A nawet jeśli samo poparzenie nie było bezpośrednią przyczyną śmierci, to infekcja, która wywiązywała się w jego wyniku – owszem. W tamtych czasach nie znano antybiotyków.

Callie zerknęła za grupkę zwiedzających, po czym przeniosła wzrok w głąb następnego pomieszczenia, gdzie stała Marta pogrążona w rozmowie z mężczyzną z innej grupy.

– Proszę ostrożnie wchodzić do głównej izby – uprzedziła przewodniczka, robiąc miejsce dla Callie. – Dom jest nachylony z każdej strony belki. – Pokazała na podłogę: opadała jak namiot.

– Z tą belką wiąże się ciekawa historia. Była kiedyś częścią Statku Widma.

Grupa wpatrywała się w nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Czy ktoś z państwa słyszał o Czarnym Widmie?

Ludzie pokręcili głowami.

– Nie – powiedział jedyny mężczyzna w pokoju.

– Ze Starego Świata przyływały liczne statki, wioząc pielgrzymów i purytanów szukających wolności religijnej. Wiele z nich – finansowanych przez Massachusetts Bay Company – na początku siedemnastego wieku płynęło do Salem, wśród nich dwa żaglowce: Arabella i Mayflower. Była to długa podróż w zamkniętych kajutach, wielu pasażerów umierało na ospę lub inne zakaźne choroby, wówczas nieuleczalne. Ten statek, o nazwie Purveyance, odniósł największe straty. Wszyscy pasażerowie pomarli na dżumę, która zabiła jedną trzecią mieszkańców Europy w czternastym wieku i przez stulecia powracała co kilka pokoleń. Kiedy w końcu jednostka dopłynęła do Salem Sound, żyli tylko kapitan, pierwszy oficer oraz chłopiec okrętowy. Tamtego dnia dał gwałtowny wiatr, fale zalewały mostek. Kapitan, który był już w gorączce i pokrywały go pęcherze, nie zauważył portu i wpadł na mieliznę na Norman's Woe. Choć na pokładzie zostało jedynie trzech żywych, ludzie zarzekali się, że przez całą noc słyszeli jęki i krzyki umierających. Kiedy wiatry się uspokoiły i można było wysłać łódzie ratunkowe, było już za późno. Nikt nie ocalał.

Zapadła długa cisza, podczas której zwiedzający wyobrażali sobie scenę, którą właśnie opisała przewodniczka.

Callie była równie przerażona tą historią, co rozbawiona faktem, że przewodniczka w tak krótkim czasie potrafiła zabić bożonarodzeniowy nastrój i sprawić, że powiało haloweenową grozą.

– Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z belką? – zapytał jedyny mężczyzna.

– Właśnie do tego zmierzam. – Uśmiechnęła się przewodniczka. – Uszkodzony statek został odholowany do Beverly Harbor, gdzie stał przez wiele lat. Nikt nie ośmielił się do niego podejść, obawiając się zarażenia. Ale w koloniach szybko kończyły się zasoby. Anglia domagała się, aby tarcicę odsyłać co Londynu, a purytańskim osadnikom zostawało niewiele na budowę ich rozrastającej się osady. W końcu miejscowi zaczęli rozbierać stary okręt, a drewna użyli do budowy domów tu i w Salem. Belka w kuchni to maszt tamtego statku.

– Czy purytanie przypadkiem nie wierzyli, że dzuma jest dziełem szatana? – wyszeptała do mężczyzny jego żona.

Przewodniczka dosłyszała to pytanie.

– Purytanie wierzyli, że wszystko jest dziełem szatana. Ale konieczność sprawiła, że schronienie przed ostrymi zimami w Nowej Anglii stało się ważniejsze niż strach. – Uniosła brwi w teatralnym geście. – Przynajmniej na jakiś czas...

Callie poczuła, że robi jej się niedobrze, jakby cierpiała na morską chorobę.

Przewodniczka zachęciła grupę gestem, by przeszła dalej. W rogu stał kołowrotek i mały stoliczek, a właściwie krzesło. Na jego blacie leżał katechizm otwarty na lekcji dla dzieci.

– Tutaj, w zimie, podczas gdy matka przędła włókno lniane, dzieci siedziały przy stole i uczyły się.

– A co w tym czasie robił ojciec? – zainteresowała się jedna z kobiet.

– W przypadku rodziny Hathorne'ów matka była wdową.

Kilka osób wymamrotało słowa współczucia.

– Co w tamtych czasach prowadziło do nędzy – dodała przewodniczka. – No chyba że miało się silne, zdrowe dzieci, które mogły pomagać w polu. W tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku, po najgorszej jak dotąd zimie, purytanie zaczęli o wszystko oskarżać dyżurnego winowajcę – diabła. Pani Hathorne oskarżyła matkę Whitingów o czary – opowiadała przewodniczka.

Teraz grupa wydała mniej współczujące odgłosy.

– Konkretnie twierdziła, że pani Whiting zabiła jej krowę, rzucając na nią zaklęcie, które spowodowało, że dawała kwaśne mleko, po czym zmusiła zwierzę, by rzuciło się do oceanu, gdzie utonęło.

Niektórzy goście prychnęli.

– Być może była to wczesna wersja choroby wściekłych krów, przypisywana wówczas czarnej magii – zasugerowała przewodniczka. – Ale pani Whiting w odpowiedzi wysunęła własne oskarżenia. Twierdziła mianowicie, że pani Hathorne rzuciła czar na jej męża, używając ziół ze swojego ogrodu.

– W naszym sąsiedztwie też się to ostatnio przydarzyło – powiedziała jedna z kobiet ze śmiertelną powagą, co zostało skwitowane wybuchem śmiechu.

– Obie kobiety spędziły sporo czasu w więzieniu w Salem, ale żadna z nich nie została stracona. W końcu egzekucje się zakończyły, a tymczasowy sąd karny został rozwiązany.

– Sędziowie skazujący i dowody spektralne... Tak zostały zapamiętane tymczasowe sądy karne – wtrąciła inna uczestniczka wycieczki.

Przewodniczka pokiwała głową.

– Po tym, jak oskarżono żonę gubernatora, że wchodzi w konszachty z diabłem, nowo wybrany sąd zakończył procesy i przetrzymywane osoby zostały zwolnione. Ale wyjście z aresztu wcale nie oznaczało wolności. Trzeba było

zapłacić za czas spędzony w więzieniu – za wikt i opierunek. Pani Hathorne musiała sprzedać swoją ziemię rodzinie Whitingów – utraciła wszystko, prócz domu, w którym się znajdujemy.

W tym samym momencie do kuchni weszła Marta.

– Emily uwielbia tę część opowieści – powiedziała do Callie, przewracając oczami i odciągając dziewczynę od grupy. Poprowadziła ją do małej sypialni.

– To nie jest pomieszczenie przeznaczone do zwiedzania.

Marta wydawała się nieco szczuplejsza, niż Callie zapamiętała. To pewnie skutek grypy – pomyślała dziewczyna. Nie wyglądała jednak na zmęczoną, jak można się było tego spodziewać. Pole energetyczne, które czasem Callie wyczuwała wokół ludzi, u Marty było mocniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, choć jej wibracje zmieniły ton. Zawsze była lekko dysonansowa. Teraz dysharmonia wydawała się nieco mocniejsza. Choroba potrafiła robić ludziom takie rzeczy. Gdyby to nie była Marta, Callie zaproponowałaby pomoc, ale w przypadku tej kobiety czuła, że leczenie dźwiękiem, podobnie jak medytacja, nie jest terapią, jaką Marta kiedykolwiek by zaakceptowała.

– Masz piękny dom. – Callie przerwała ciszę.

– Jest uroczy i prosty – odpowiedziała Marta. – Z praktycznym, nowoangielskim podejściem. Podobnie jak jego mieszkanka.

Callie nie wyobrażała sobie, by Martę można było opisać jako uroczą i prostą.

– Wszystkie znajdujące się tu meble pochodzą z odpowiedniego historycznego okresu, aż po każdą linę do naciągania pod materacem w łóżku w rogu – wyjaśniła Marta. – Tylko w nim nie śpij.

Poprowadziła swojego gościa do jeszcze mniejszego pokoju, w którym stały dwa krzesła z wysokimi, prostymi oparciami i łóże z baldachimem oraz koronkową narzutą.

– Jedyne anachronizm w całym domu. – Gospodyni wskazała na łóżko. – A przynajmniej jedyny, które możesz zobaczyć. Zwyczajowe udogodnienia codziennego życia są skrzętnie schowane. – Zamknęła za nimi drzwi, wskazując Callie jedno z krzeseł. – Uwaga na głowę.

Krzesła stały pod skosem, na którym znajdowało się jedyne okno szczytowe, i Callie musiała się schylić, aby do nich dojść. Marta usiadła na drugim krześle i naląła im po szklaneczce świątecznego ponczu z karafki ustawionej na pobliskim stoliku.

– Wszyscy myślą, że sufity są takie niskie, bo ludzie w siedemnastym wieku mieli niższy wzrost.

– A nie?

– Wielu było niskich, ale nie sądzę, by o to chodziło. Sufity budowano tak a nie inaczej, aby łatwiej było utrzymać ciepło.

W kominku w sypialni palił się ogień. Obok stały zwyczajowe narzędzia: szufla, hak i lanca do obracania szczap drewna oraz szczotka, by uprzątnąć popiół. Na haku znajdowała się pleciona w warkocz lina, która wyglądała jak uwita z gałęzi oczaru wirginijskiego rosnącego przed domem. Jedna z Bogiń, choć nie pamiętała która, powiedziała jej przed laty, że oczar wirginijski symbolizuje życie wieczne.

– Co to takiego? – zapytała Callie, kiedy Marta zauważyła, jak przygląda się plecionej linie.

– To różga – odparła z nutą goryczy. – Moja matka mawiała, że każdy dobry dom w Nowej Anglii taką posiada.

– Czy była kiedyś używana?

– Oczywiście. Matka była wielką zwolenniczką kar cielesnych. – Śpiewny ton głosu Marty zdradzał jej dezaprobatę. – Często mawiała, że różga to klucz do dobrego wychowania.

Callie się skrzywiła.

– W domu dziecka była taka zakonnica. Ale ona używała linijki.

– Matka kazała mi ją pleść. Mocną i ciasną. – Marta dodała ponuro.

Callie nie kryła zaskoczenia.

– Dlaczego jeszcze ją trzymasz?

– Bo... – Marta na chwilę zamilkła. – Właściwie sama nie wiem. – Podeszła do kominka, ściągnęła różgę z haka i przyjrzała się jej. – Powinam ją była pochować razem z matką. – Szybkim ruchem nadgarstka wrzuciła ją do ognia. – A masz, stara wiedźmo.

Obie patrzyły, jak zajmuje się ogniem i powoli zaczyna płonąć.

– Wnioskuje, że nie byliście z matką blisko.

Marta wybuchała śmiechem. Usiadła.

– A więc, Callie... – powiedziała dużo lżejszym tonem. – Co nowego w świecie Whitingów?

Wyczuwając swoją szansę, Callie przeszła do rzeczy.

– Mam nadzieję, że nie pozwalam sobie na zbyt wiele. Chciałam z tobą porozmawiać o Bożym Narodzeniu. Finn uznał, że możesz nie chcieć przyjść na obiad, jeśli pojawi się na nim Rose. Czy to prawda?

– Nie przyjdę – przytaknęła Marta. – Przykro mi. Ale to cię nie powinno powstrzymać od zaproszenia jej.

– Nie chcę, by cię zabrakło. W hotelu Hawthorne organizują bożonarodzeniowy obiad. Tam zabiorę Rose.

Marta znów się zaśmiała.

– Proszę, nie myśl sobie, że jestem niegrzeczna. Po prostu nie chcę być kojarzona z rozmowami o wiedźmach i niesprawiedliwości. Wystarczająco nasłuchiwałam się w Święto Dziękczynienia. Z wielu powodów, niektórych

sięgających całe pokolenia wstecz, jak już dziś słyszałaś... Czułabym się niezręcznie, przebywając z nią w jednym pokoju, wiedząc, jakie ma przekonania i jak niektórzy mogą je postrzegać.

– Rose próbuje wszystko zakończyć. Chce znaleźć ciała powieszonych, aby wszyscy mogli zacząć żyć dalej. Kiedy mówi o dębie...

– Nie interesuje mnie kultywowanie tej mrocznej historii. W żaden sposób.

Wydawało się to śmieszne... Marta, która mieszkała w muzeum przeszłości, twierdziła, że nie chce kultywować historii. Callie chciała podać jej swoje argumenty i przypomnieć o wszystkim, przez co przeszła Rose. Ale gospodyni знаła już tę historię.

– Nie chcę, aby przeze mnie ominął cię bożonarodzeniowy obiad – powiedziała Callie napiętym tonem.

– Jeśli mogę mówić szczerze, nie masz nawet pojęcia, jaka jestem szczęśliwa, że będę mogła posłużyć się Rose jako wymówką i nie pojawić się w tym roku u Whitingów.

Ta uwaga zaskoczyła Callie, ale Marta szybko złagodniała i zmieniła temat:

– A wiedziałaś, że w siedemnastym wieku obchodzenie Bożego Narodzenia było w Massachusetts zakazane?

– Ponieważ wywodziło się od pogańskiego święta?

– Częściowo z tego powodu, a częściowo dlatego, że Kościół anglikański opowiadał się za nim. Ależ jestem dziś pedantyczna. To jedna z moich największych wad.

– Nie uważam cię za pedantyczną. Sądzę natomiast, że masz niezwykle rozległą wiedzę na temat przeszłości.

Może nawet zbyt rozległą.

– Cóż, miło mi, że tak mówisz.

Przerwało im pukanie do drzwi.

– Czy może pani na chwile do nas dołączyć? – Przewodniczka zajrzała do środka. – Mamy pytanie dotyczące kołowrotka.

– Och, mam też ogromną wiedzę o przędzeniu i tkaniu – powiedziała Marta. Pokazała na talerz świątecznych ciasteczek na bocznym stoliku.

– Poczęstuj się. Wróć, jak tylko wszyscy zaczną ziewać.

Callie napiła się więcej ponczu, wzięła sobie ciasteczko i rozejrzała się po pokoju.

W rogu stała dziwnie wyglądająca kołyska, ręcznie wydrążona i prawdopodobnie przekazywana z pokolenia na pokolenie. Wyobraziła sobie, że Marta kiedyś w tym spała. Spojrzała na okno ze szkła łączonego ołowiem znajdujące się za kołyską i nagle uderzyła ją niepokojąca myśl: Marta i jej rodzina wybrali życie w cieniu mrocznej przeszłości i trwali tak przez ponad trzysta lat. Podtrzymywali ją przy życiu. Z wyjątkiem zniszczenia przez Martę różgi kilka

minut temu można było odnieść wrażenie, że w tym domu nic się nigdy nie zmieniało. I że – przynajmniej do teraz – nikt nie chciał uwolnić tej ciemności. Może teraz, kiedy różga spopieliała się już w kominku, Marta zgodzi się na otwarcie okna?

Callie spojrzała na łóżko i jego piękną koronkową narzutę, jedyną rzecz w całym domu, która wydawała się nie na miejscu. Wtedy zauważyła jeszcze coś, co zupełnie tu nie pasowało.

Na szafce nocnej leżały okulary Finna.

ROZDZIAŁ 28



*22 grudnia 2014
Salem*

Dla purytanów wszystko za zachodnią granicą wioski Salem budziło przerażenie, bo tam mieszkali dzicy. Ale diabła można też było spotkać w tych, których widywano w Salem: w heretyckich i bluźnierczych kwakrach oraz w katolikach.

Rose Whelan, Czarownice z Salem

- Czy Paul o tym wie?
- Wszyscy wiedzą. To trwa już od kilku lat. – Towner wzruszyła ramionami.
- Emily przymykała na to oko, ale ostatnimi czasy... Cóż, Finn i Marta znają się od dziecka. Wszyscy myśleli, że się pobiorą i tym samym zakończą spór między ich rodzinami, ale jego ojciec nie chciał na to pozwolić, bo wybranka syna nie była katoliczką.

Siedziały naprzeciw siebie w herbaciarni nad imbrykiem Problematy.

– To dziwne – przyznała Callie. – W obecnych czasach...

– Rzeczywiście. Ale nie był to prawdziwy powód.

– Nie?

– Tak naprawdę chodziło o pieniądze. Przez ojca Marty Whitingowie stracili swoją firmę. A to na nowo wzniesiło konflikt między rodzinami. Ojciec Finna musiał czymś wypełnić rodzinne sakiewki. Marta nie tylko była, że się tak wyrażę: „rodzina non-grata”, nie miała też grosza przy duszy. Emily także nie wyznawała religii katolickiej, ale na to byli skłonni przymknąć oko ze względu na jej majątek. Oczywiście pozostawała też niebłaha kwestia związana z tym, że Emily... była przy nadziei.

– Wspomniałaś mi o tym, kiedy ją poznałam – zauważyła Callie.

– Tak? Ależ ze mnie plotkara! – Towner się uśmiechnęła.

– A zatem związek z Martą nigdy się właściwie nie zakończył?

– Zakończył się. Na dość długo. Marta przez wiele lat tu nie mieszkała. Była w Nowym Jorku. Nie mogli się więc widywać. Ale kiedy jej matka zachorowała, Marta przeprowadziła się tu. Z tego, co słyszałam, wrócili do starych nawyków... i zbytnio się z tym nie kryli.

– Dla Emily to musi być bardzo trudne.

– Delikatnie powiedziane.

– Dlaczego ona akceptuje jego niewierność?

Po twarzy Towner przebiegł cień.

– Przekonasz się, że kiedy bardzo kogoś kochasz, jesteś w stanie znieść wiele rzeczy, co do których byłaś pewna, że nie będziesz ich tolerować – prawdziwych czy wymyślonych.

Callie spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie rozmawiamy już o Emily, prawda?

Towner nie odwróciła wzroku i nie odpowiedziała na pytanie. Westchnęła tylko i zaczęła sprzątać ze stołu.

* * *

– Swego czasu matka mówiła nawet o rozwodzie – powiedział Paul. – Ale to było, zanim zachorowała.

Callie zadreżczała się, zanim podjęła ten temat z Paulem. Towner jednak zapewniła ją, że chłopak wie o Marcie i swoim ojcu. Z tej perspektywy jego niezbyt serdeczne zachowanie wobec Marty nabierało teraz sensu.

– Matka kazała mi się w to nie mieszać. Ale nie zawsze jest łatwo –

przyznał.

Zanim zaczęli rozmawiać o Marcie, dyskutowali o częstotliwościach fal dźwiękowych. Paul badał symbol, który jego zespół znalazł w jaskini. Zdaniem badaczy z Watykanu, odpowiadał on starożytnym częstotliwościom solfeżowym, a przynajmniej z matematycznej perspektywy.

Callie czasem używała tych częstotliwości w leczeniu dźwiękiem: solfeggio było starożytną skalą sześciu nut – czystych dźwięków, które wibrują na różnych częstotliwościach: *ut, re, mi, fa, sol, la*. Ostatecznie przekształciła się ona w skalę siedmionutową, którą stosuje się współcześnie.

– Skali używano we wczesnych łacińskich hymnach kościelnych do uzdrawiania i duchowego przebudzania. Potem wiele z nich w tajemniczy sposób zaginęło. Pozostało tylko kilka, ale interesuje nas wszystko, co może do nich doprowadzić. Jak ten symbol.

Fakt, że Kościół katolicki był zainteresowany czymś, czego ona sama używała w leczeniu dźwiękiem, był dla Callie zaskoczeniem. Uznała to jednak za zachęcającą oznakę rosnącej akceptacji metody.

Siedzieli i patrzyli na ogień w kominku, aż pozostał z niego sam żar. Paul dołożył dREW i przyniósł koc z sypialni.

Ostatnio mieli w zwyczaju obściskować się jak licealiści.

– Czy to przynajmniej oznacza, że będziemy ze sobą chodzić? – zażartował.

W liceum nie chodziła z żadnym chłopakiem i nigdy nie dała się obmacywać, bo to, jak ostrzegały zakonnice, było śmiertelnym grzechem. Podarowała sobie więc zupełnie ten etap. Tu, z Paulem, czuła się, jakby przeżywała swoje życie w odwrotnej kolejności.

Przychodziła do niego niemal co wieczór, odkąd pocałowali się w samochodzie, i co wieczór wyrywała się z jego objęć, jak najdalej od jego ust, po czym biegła z powrotem do *Pride's Heart*, zanim wybiła północ, co Paul określał mianem „godziny policyjnej”.

– Muszę wracać – szepnęła tuż przed dwunastą, wyzwalając się z jego objęć.

– Śpij tutaj – mruknął, kiedy wstała.

– Śpię z otwartymi oczami, pamiętasz? I miewam koszmary.

– Sprawię, że znikną – powiedział poważnie, śledząc kciukiem linię jej szyi.

Roześmiała się.

– Odprowadzisz mnie?

– Niestety, raczej nie.

– Okej. – Ruszyła do drzwi.

Z westchnieniem wstał, żeby z nią pójść.

– Dobijasz mnie, Callie – mówił tylko na wpół żartobliwym tonem. – Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Słyszając zmianę w tonie jego głosu, odwróciła się.

- Nie chodzi o to, że nie chcę się z tobą przespać.
- Nie mów, że chcesz, byśmy byli tylko przyjaciółmi.
- Nie. Nie mogę już tak dłużej mówić.
- No to na co, do cholery, czekamy?

Postanowiła powiedzieć mu prawdę. Nie całą. Okropne podejrzenie, że jeśli się z nim prześpi, stanie mu się coś strasznego, postanowiła zachować dla siebie. Porównywanie seksu ze śmiercią było poza tym zbyt freudowskie. W zamian wyjaśniła mu:

- Nie chcę być jak moja matka.
Naprawdę się tego obawiam?
- Masz na to niewielkie szanse.
- Zanim się poznaliśmy, zachowywałam się bardzo podobnie do niej.
Wydawał się tym zaskoczony.
- Żałuję, że cię wtedy nie znałem – próbował zażartować.
- Nie masz czego.

Kiedy w końcu zasnęła, śnił jej się seks z Paulem: dziki i perwersyjny. Jej ciało płonęło i mrowiło, a ona zaciskała w dłoniach wilgotną pościel. Sen skończył się tak jak za każdym razem, z Paulem, który leży na kamiennej posadzce z otwartymi oczami i ustami, w kałuży krwi, która z nocy na noc stawała się mniej czerwona, a bardziej fioletowa.

ROZDZIAŁ 29

*25 grudnia 2014
Pride's Crossing*

Kościół katolicki przyjął grudzień jako czas narodzin Chrystusa, aby ulagodzić bezbożników, a tym samym zdobyć nawróconych na chrześcijaństwo. Purytanie zaś wzgardzili tym świętem, które nie tylko przypominało im o pogańskich czcicielach diabła, ale i katolikach, którzy niegdyś prześladowali ich w Anglii.

Rose Whelan, Czarownice z Salem

– Piękny dzień – powiedziała Rose, kiedy przejeżdżały przez most do Pride's Crossing w bożonarodzeniowy poranek. Patrzyła na ocean, który zdawał się je otaczać. Było cieplej niż w Święto Dziękczynienia, termometr wskazywał osiem stopni.

Emily zaproponowała im kierowcę, na którego Callie i Paul się zgodzili. Pojechali razem, żeby odebrać Rose z przytułku. Chłopak czekał na dole w pokoju

rodzinnym, podczas gdy Callie zaplotła dziką grzywę Rose w warkocz, przypominając sobie z nostalgią, jak niegdyś ona robiła to samo dla niej.

Następnie nadeszła pora, by przedstawić sobie dwoje najważniejszych ludzi w jej życiu. Callie się martwiła, jak na siebie zareagują, ale – jak się okazało – niepotrzebnie. Kiedy tylko się przywitani, Rose powiedziała:

– Spójrz tylko, jakie piękne trzewiki przyniosła mi Callie. – Wydawała się czuć dość swobodnie.

Paul skomplementował buty, jednocześnie pomagając jej wsiąść do samochodu, po czym usiadł koło niej.

– Piękny dzień – zgodziła się Callie. – Dziwnie ciepło jak na końcówkę grudnia.

Paul i Callie wypełnili resztę podróży lekkimi rozmowami, a Rose z zadowoleniem słuchała i patrzyła przez okno. Ale kiedy skręcili na podjazd i zobaczyła Pride's Heart, nagle się ożywiła.

Kiedy samochód pokonał zakręt pod gałęziami starych wiązów, powiedziała zniemacka:

– Ono tu jest.

– Co?

– Drzewo.

– To są wiązy – odezwała się Callie. – Nie dęby.

– Nie chodzi mi o te drzewa – wyjaśniła Rose, pochylając się do przodu na swoim miejscu. – Ono tu jest. Jeszcze go nie widzę, ale czuję je. Wisielcze drzewo.

Callie i Paul wymienili spojrzenia.

Kiedy podjechali pod drzwi domu i kierowca obszedł auto, żeby otworzyć drzwi, Rose wyskoczyła z samochodu i pobiegła na trawnik, w stronę rozciągającego się za nim oceanu.

Paul i Callie zaczęli ją gonić. Znaleźli ją w pobliżu oranżerii na krawędzi klifu, przed samotnym dębem zdobiącym posesję Whitingów.

– To ono... – Rose przyłożyła ucho do jego rozległego pnia. – To musi być ono.

– Co się dzieje? – szepnął Paul.

– Myśli, że to wisielcze drzewo – ściszym głosem niepewnie odparła Callie.

– Wiem, że to ono. Widziałam we śnie, jak płynie w dół rzeki North. – Rose robiła się coraz bardziej podekscytowana. – Rzeka North wpływa do Beverly Harbor i uchodzi tutaj.

– To drzewo zasadził mój pradziadek pod koniec dziewiętnastego wieku – łagodnie wyjaśnił Paul. – Zanim wybudowano posiadłość, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w domku na przystani. Ono nigdy nie było w rzece North, Rose.

Rose pokręciła głową.

– Twierdzi, że jestem we właściwym miejscu.
– Bo jesteś we właściwym miejscu. – Callie mówiła powoli, jak gdyby do dziecka. – Whitingowie zaprosili nas na świąteczny obiad. – Spojrzała na drzewo, to był piękny, wiekowy dąb. – Wejźmy teraz do domu. Wrócimy tu później.
Rose usiadła przy pniu.
– Dziękuję, ale zostanę tutaj.
Callie przez chwilę zabrakło słów. Aż do tej chwili nie martwiła się zbytnio skalą obsesji Rose.
– Może i jest ciepło jak na grudzień, ale jednak jest zima. Wejź do środka.
– Sama wejź. Ja zostaję.

* * *

– Bardzo przepraszam... – Callie zwróciła się do Emily.
Hildy wstrzymywała obiad ze względu na Rose, a teraz groziło tym, że się rozgotuje. – Nie wiem, jak mam ją skłonić, by weszła do środka.
Przyjechali już dobrą godzinę temu i razem z Paulem próbowali wszystkiego, co tylko przychodziło im do głowy, aby zwabić Rose do środka. Nie chciała się ruszyć. Ze względu na nalegania Emily Callie zaniósła jej grubszy płaszcz i koc.
– Chyba powinniśmy zjeść bez niej – powiedziała Callie, nie potrafiąc spojrzeć Emily w oczy. – Naprawdę nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić.
– Uważam, że powinniśmy do niej dołączyć – oświadczyła Emily. – Nigdy nie jedliśmy świątecznego obiadu na świeżym powietrzu.
Paul utkwiał wzrok w matce.
– Ojciec będzie zachwycony...
– Cóż, Finn jest chory i nie zje z nami. – Emily rozwiała jego obawy.
– Co mu jest? – zapytał Paul.
Matka nie odpowiedziała.
– Włóżcie kurtki z powrotem i chodźmy na zewnątrz.
Paul po raz kolejny wymienił z Callie spojrzenia, ale nie ciągnął tematu. Służbie wydano kilka krótkich instrukcji i zaczął się proces przenoszenia. Pod dębem Rose postawiono stół ze szkła i kutego żelaza, który stał pod oranżerią, oraz cztery nakrycia. Nawet jeśli służba uważała, że to dziwne świąteczne zachowanie, ich miny tego nie zdradzały.
Rose nie chciała odejść od swojego drzewa, aby usiąść z nimi przy stole, więc nałożyli jej posiłek na talerz i podali na tacy tam, gdzie usiadła. Stół stał

jednak na tyle blisko, by mogła włączyć się w rozmowę.

– Jak się pani miewa – zapytała Rose, kiedy przedstawiono jej Emily.

– Całkiem nieźle. Bardzo miło mi cię poznać, Rose.

Posiłek był dużo prostszy niż w Święto Dziękczynienia: pieczone żeberka z dzikim ryżem i jabłkami, maślane bułeczki, słodkie ziemniaki i brukselka. Wziąwszy pod uwagę świąteczne strzelające niespodzianki, czapki i prezenciki, które ze sobą przynieśli, można było odnieść wrażenie, że to dziecięce przyjęcie urodzinowe. Ponieważ nie było Finna, Emily nie zwracała sobie głowy modlitwą przed posiłkiem.

Rose jako jedyna nie założyła czapeczki, a mimo to wydawała się bardzo rozbawiona widokiem współbiesiadników. Sprawiała jednak wrażenie zajętej i szybko zamilkła, jakby koncentrowała się na tym, co mówiło do niej drzewo. Nie chcąc przerywać zadumy Rose, siedzieli cicho, co jakiś czas urozmaicając bezruch krótką niezobowiązującą rozmową.

Emily co chwilę zerknęła w stronę domu, jak gdyby spodziewała się, że Finn jednak się pojawi, i robiła się coraz bardziej poirytowana, kiedy to się nie ziszczało.

– Jak już wspominałam – powiedziała do Callie, siłąc się na pogodny głos – będzie nam bardzo miło, jeśli wprowadzisz się do domku na przystani, kiedy Paul wyjedzie w lutym do Włoch.

– Dziękuję. To bardzo miłe – odparła płaskim tonem. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była rozmowa o wyjeździe Paula.

– A gdyby Rose chciała się od czasu do czasu u ciebie zatrzymać, na pewno dałoby się to zorganizować.

Paul spojrzał na matkę.

– Tacie spodoba się ten plan – powiedział pozornie szczerze, lecz jego matka wychwyciła podtekst.

– Myślę, że wyjdzie to na dobre wszystkim zainteresowanym.

Callie milczała. Na szczęście Rose ignorowała tę wymianę zdań.

Jeśli rozmowa była zdawkowa przed tą uwagą, po niej przestała właściwie istnieć.

Zostali na zewnątrz jeszcze długo po deserze, aż słońce zaczęło zachodzić i zrobiło się ciemno. Rose zjadła dwa kawałki szarlotki oraz mięsny pasztecik.

– Obiecałam, że odwiozę cię do Salem przed szóstą – przypomniała Callie Rose. – Musimy się zbierać.

– Nigdzie nie jadę – oświadczyła starsza kobieta.

– Możesz przyjechać do nas, kiedy tylko zechcesz, Rose – zaproponowała Emily. – Przyślę po ciebie kierowcę. To może być twoje drzewo. Wiem, że masz już jedno w Salem. Teraz będziesz mieć też jedno w Pride's Crossing. Będziesz mogła pod nim siadywać, kiedy tylko zechcesz.

Rose zastanowiła się nad propozycją, ale jej mina wyrażała nieufność.

– Kiedy tylko zechcę?

– Tak – potwierdziła Emily.

– W takim razie dobrze – odparła, przyjmując dłoń Paula, który pomógł jej wstać.

Wsadzili Rose do czekającego na nich auta i kiedy przejeżdżali przez Beverly Bridge w drodze do Salem, Paul zapytał:

– Co powiedziało ci drzewo, Rose? Widziałem, że go słuchasz.

– Są tutaj – rzekła Rose.

– Są tutaj? – powtórzyła Callie. – To właśnie powiedziało drzewo?

– Brakujące szczątki straconych w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku? – zapytał Paul.

– Tak, szczątki – potwierdziła Rose, wyglądając przez okno. – I ich niespokojne dusze.

– To ci przekazało drzewo?

– To i coś jeszcze.

– Co? – zapytała Callie, szykując się na odpowiedź i nie wiedząc, czy naprawdę chce ją usłyszeć.

– Czasem jedynym lekarstwem jest śmierć.

* * *

Paul potrzebował trochę czasu, aby uspokoić Callie po tym, jak odwieźli Rose do przytułku.

– Muszę się pogodzić z tym, że Rose jest bardziej chora, niż myślałam – szepnęła.

– Zawsze brałaś pod uwagę taką możliwość, prawda?

– Zee ma rację, żyję w zaprzeczeniu. I o co właściwie chodziło z pomieszkowaniem Rose w domku na przystani? Jak by to w ogóle miało się sprawdzić? – Callie czuła się skołowana.

– To była co najmniej interesująca propozycja – odparł Paul.

Teraz nastrój Callie zupełnie opadł.

– Nie chcę myśleć o twoim wyjeździe do Włoch.

– Nie rozmawiajmy dzisiaj o tym.

Żadne z nich nie chciało od razu wracać do Pride's Heart. W zamian Paul kazał kierowcy Emily zabrać ich do Nahant, zatrzymując się przy starym forcie, skąd rozciągał się widok na ocean aż po linię dachów Bostonu.

Wrócili dopiero po ósmej.

– Idziemy do mnie?

– Najpierw chyba sprawdzę, jak się ma twoja matka.

Paul odprowadził ją do drzwi, ale sam nie wszedł do środka.

– Mój ojciec nie jest chory – powiedział. – Jest tylko okrutny. Chciał, żeby Marta przyszła na obiad, a kiedy odmówiła, udał, że coś mu dolega. Nie obchodzi go, co na ten temat uważa moja mama. Nigdy go to nie obchodziło. Boję się tego, co mu powiem, jeśli go spotkam.

– Wygląda na to, że to nie są radosne święta.

– Masz rację, są zdecydowanie niewesołe.

* * *

Callie zastała Emily w oranżerii.

– A gdzie Paul? – zapytała.

– Poszedł do domku na przystani. Próbuje unikać Finna.

– Mądry chłopak. – Emily na chwilę zamknęła oczy. Kiedy ponownie je otworzyła, spojrzała bezpośrednio na dziewczynę. – Wiesz, nie boję się śmierci.

Callie była zszokowana wyznaniem, zwłaszcza że Emily czuła się o wiele lepiej.

– Nie sędzę, żebyśmy potrzebowały rozmawiać o twojej śmierci.

– Och, moja droga – odpowiedziała Emily, zapadając się w puchate poduszki kanapy. – Obie wiemy, jak to się skończy.

W przypadku raka śmierć zawsze wchodziła w grę. Ale, zdaniem Callie, nie dotyczyło to sytuacji Emily. Oczywiście parę razy dała się nabrać. Znała pacjentów, którym, jak się wydawało, pomagała, a którzy poddali się chorobie szybciej, niż się spodziewała, jednak Emily była inna... Od dnia, kiedy Callie udało się usunąć jej ból, pani Whiting prezentowała się coraz lepiej. Dziś, gdy siedziała tu na kanapie, wyglądała jak okaz zdrowia.

– Powiem ci, czego się boję.

– Czego?

– Boję się, że zostawię mojego syna... niedokończonego.

– Niedokończonego? – To słowo wydało się jej dziwne. – Nie jestem pewna, czy rozumiem.

– Uprzywilejowane dzieci – wyjaśniła Emily – myślą posiadanie pieniędzy z zaradnością. Boję się o mojego syna. Nie jestem pewna czy ma... umiejętność przetrwania, jakiej będzie potrzebował. To dobry człowiek – ciągnęła. – Jeśli ma

jakieś wady, wynikają one z jego młodego wieku i nadmiaru pieniędzy. Co jest moją i Finna winą, nie jego.

Fakt, że Emily myślała, iż niedługo umrze, zmartwił Callie bardziej, niż by się tego spodziewała. W jakiś sposób w minionych tygodniach bardzo przywiązała się do tej kobiety. To samo czuła wobec swojej pierwszej matki zastępczej. I nie chciała sobie przypominać, jak to się skończyło.

ROZDZIAŁ 30



27 stycznia 2015

Salem

Dęby odpoczywają tylko w zimowych miesiącach. Zima to jedyny czas, kiedy mogą zapomnieć o utracie tych, których kochały.

Księga drzew Rose

– Nie wiem, dlaczego jesteś taki zadowolony – powiedziała Towner. – Ta burza może ci przysporzyć więcej kłopotów niż sama ekshumacja.

Ekshumacja Bogiń została zaplanowana na dwudziestego siódmego stycznia. Teraz odroczone ją ze względu na gęste opady śniegu. Nikt nie wiedział, jaka będzie kolejna data.

A masz, ty stara ropucho. – Rafferty mówił w duszy do Helen. Może Rose ma w sobie jednak odrobinę magii? – zastanowił się jeszcze. Bez dwóch zdań, pogoda jej sprzyja.

Rafferty zdążył na spotkanie AA w kościele metodystów na szesnastą, po

czym kupił chińszczyznę na wynos i wrócił piechotą do powozowni. Towner zdołała już rozpalić w kominku i szykowała się właśnie do opiekania pianek. W planach mieli obejrzenie ulubionego filmu Rafferty'ego, rzadkiej kopii starego klasyka, którego Towner kupiła mu pod choinkę, ale zanim mężczyzna wrócił do domu, wysiadł prąd.

– Kocham taką porządną zamieć, a ty? – zagadnęła.

– Ja kocham ciebie. – Nachylił się, by pocałować ją w szyję.

Całe święta aż do Nowego Roku spędzili z jego córką Leah w Nyack w Nowym Jorku. Leah miała nowego chłopaka i teraz kazała mówić do siebie: Lee.

– Mam nadzieję, że się o to nie gniewasz – powiedziała w święta do Rafferty'ego. Zawsze czuła się niezręcznie ze swoim imieniem, tak różnym od imion jej przyjaciółek, wszystkich Brittany i Amand, z którymi chodziła do szkoły. Jeszcze jako dziecko sprawdziła jego pochodzenie.

– Wiesz, co ono oznacza? – domagała się. – Znaczy „zmęczona” albo „wyczerpana”. A na dodatek to imię żydowskie, co nie byłoby problemem, gdyby nie fakt, że nie jesteśmy Żydami.

– To imię pochodzi ze Starego Testamentu – wyjaśnił.

Długo o tym rozmawiali, a Rafferty tłumaczył, jak Leah była żoną Jakuba, matką siedmiorga jego dzieci. Jego wyjaśnienie nie pomogło udobruchać jego dwunastoletniej córki.

Rafferty miał kilka tygodniu urlopu, który przepadłby, gdyby go nie wykorzystał, więc urządzili sobie wspaniałe krótkie wakacje. Po Nyack, zamiast pojechać do miasta, jak planowali, zatrzymali się w pensjonacie niedaleko Sleepy Hollow. Ten wyjazd dobrze zrobił Rafferty'emu. To był romantyczny weekend, z długimi kolacjami w świetle świec, bez niespodzianek. Drugiego dnia Towner wzięła go za rękę.

– Jest coś, co od dawna chciałam ci powiedzieć. Tylko nie wiedziałam właściwie, jak to zrobić – zaczęła. – Nigdy cię nie zdradziłam – powiedziała. – Nigdy nie spałam z innym mężczyzną, choć wiem, że myślisz inaczej.

Między nimi wciąż było wiele niedopowiedzianych spraw dotyczących tamtego czasu. Słowa Towner były ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał.

– Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć.

Przyglądała się mężowi. Jeśli spodziewała się z jego strony ulgi, to wiedziała, że nie to zdradzała jego twarz.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś. – Tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

Po powrocie do domu nie podejmowali tego tematu, zaczęli za to wyczekiwać nieuniknionej w Nowej Anglii zimy. Opady w tym roku nieco się spóźniały, co sprawiło, że niektórzy mieszkańcy cieszyli się, jakby coś uszło im na sucho. Inni, jak Rafferty, wiedzieli, że to nie jest dobry znak. Opóźnienie oznaczało, że kiedy zima w końcu przyjdzie, zrobi to z nawiązką.

Teraz Towner roześmiała się i pocałowała go.

– Pachniesz śniegiem.

Oboje przebyli długą drogę, by znaleźć się w tym miejscu. Rafferty nigdy nie myślał o sobie jako o kimś, kto będzie zadowolony z życia. Starał się żyć każdym dniem, tu i teraz, cieszyć się wspólnymi chwilami i nie rozpamiętywać czasu, gdy byli w separacji, aby Towner nie mogła odczytać tych myśli. Nigdy nie byli tacy szczęśliwi jak ostatnio, a on nie chciał tego zepsuć.

Mimo to, teraz, kiedy wrócili do miasta, dręczący go uporczywy strach, że to nie może trwać wiecznie, powrócił. Dzisiaj świadomie go od siebie odsuwał, co było powodem, dla którego musiał pójść na spotkanie AA. Chciał raz jeszcze usłyszeć tę całą gadkę o życiu „dzień po dniu”. Musiał w nią wierzyć.

* * *

Rose ubrała się grubo, wkładając pod swój wielki, czerwony płaszcz kilka warstw ciepłych ubrań. Trzewiki, które Callie dała jej na Boże Narodzenie, nie były jeszcze rozchodzone, założyła więc dodatkowe pary skarpetek, aby dodać miękkości piętom.

Pociąg skończył bieg.

Była trzecia nad ranem, za późno, aby wezwać kierowcę Emily, jak robiła kilka razy w ciągu ostatnich tygodni. Dziś wieczorem będzie musiała dotrzeć tam piechotą. Na zewnątrz nie zobaczyła żadnych pojazdów z wyjątkiem pługa od czasu do czasu przejeżdżającego głównymi ulicami. Po przejeździe maszyn siła wiatru nawiewała śnieg z powrotem, wypełniając odśnieżone trasy równie szybko, jak zostały oczyszczone.

Wicher ciał ją w twarz, kiedy szła wzdłuż rzeki North trasą 1A. Musiała się schylić, żeby nie pchał jej do tyłu. Napotkała kilka porzuconych aut, przykrytych czapami śniegu, które wyglądały jak maleńki łańcuch górski na białej połaci.

Kiedy doszła do Beverly Bridge, siła wiatru wzmogła się dwukrotnie, dmąc znad otwartej wody i na moment Rose całkowicie straciła równowagę. Pełna determinacji wyprostowała się i napierała dalej, pochylając tors aż był niemal równoległy z ziemią. W swoim najwyższym miejscu, gdzie most tworzył łuk, wycie wiatru zamieniło się nagle w upiorną ciszę.

Rose czuła się zawieszona w czasie i przestrzeni.

Biel rozciągała się po horyzont.

Kiedy schodziła w dół, wiatr znów się wzmógł i chwilowa cisza ustąpiła na nowo obudzonej furii. Przez chwilę Rose żałowała swojej wyprawy.

Za mostem skręciła w prawo, na Cabot Street. Kiedy dotarła do drogi 127, nie czuła już stóp. Śnieg zamienił się w śnieżną breję i droga zrobiła się śliska. Bolały ją palce, więc zwinęła je w pięści w środku rękawiczek, aby choć odrobinę je zagrzać.

Kiedy w końcu doszła do Pride's Crossing, grube pnie drzew dały jej odetchnąć od szczypiących ataków wiatru. Zanim znalazła podjazd Whitingów, błoto pośniegowe znów zamieniło się w śnieg.

Świat był tu cichy, wytłumiony, tak idealny, że jego zamrożone piękno i biała cisza przeraziły ją. W poświęconym słonecznego światła prowadzącego do Pride's Heart Rose patrzyła, jak płatki śniegu tańczą w cichej muzyce wiatru, przedzierając się przez nagie gałęzie wiązów. Zasypane latarnie świeciły przytłumionym światłem. Droga wyglądała tak, jakby oświetlały ją papierowe lampiony.

Mijając rezydencję, Rose zajrzała przez okno biblioteki i zobaczyła Emily siedzącą samotnie przy kominku i czytającą książkę przy świetle świecy. Następnie starsza kobieta skierowała się do oranżerii. Szklana struktura pokryta była śniegiem, jej żebrowana rama tworzyła wzór przypominający gałęzie drzew.

Kiedy doszła do dębu, zaczęła płakać. Jej łzy niemal od razu zamarzały na jej policzkach. Objęła drzewo rękami, a jego gałęzie zdawały się przechylić do przodu, jakby dąb wciągał ją pod schronienie swoich ciężkich konarów.

Kobieta usiadła, opierając o pień wyczerpane ciało, zatapiając się w jego silnych objęciach. Odwróciła twarz do ciemnej i poszarganej skóry dębu, zaciskając palce na korze. Czuła pulsowanie życia w trudnych początkach drzewa, śledziła je od narodzin, poprzez odrodzenia kolejnych wiosen, wraz z rozwijającym się seledynem każdego nowego liścia.

– Matko Boża, uświęć tę ziemię – zaczęła recytować, przypominając sobie noc na Proctor's Ledge sprzed tylu lat.

Uniosła ręce niczym gałęzie drzewa i rozczapierzyła palce, wyobrażając sobie, jak przebijają się przez nie drobne kielki życia: jak wyrastają na nich pąki, kwiaty, jak zielenieją, a potem tryskają kolorem, by w końcu zwiędnąć i opaść. Poczowała, jak jej żywicza krew chłodnieje i spowalnia, aż przestała ją czuć, a wtedy położyła się pod drzewem z rękami rozłożonymi szeroko niczym gałęzie świętego dębu.

* * *

Konserwator Whitingów zauważył ze szczytu wzgórza kolory: czerwień,

soczystą zieleń, żółć, jaskrawe na tle śniegu.

Rose była wyspą koloru w oceanie bieli. Jej zamrożone ciało dryfowało na śniegu, z dłońmi rozłożonymi jak skrzydła anioła. Wydawała się być jak posąg utrwalający moment, gdy przechodziła między światami. Stała się piękna w sposób, w jaki rzadko bywała w życiu: jej przejrzyste niebieskie oczy patrzyły w dal, usta były uśmiechnięte, policzki w najbledszym odcieniu różu. Jej długie białe włosy, niegdyś dzikie i nieokiełznane, teraz otaczały jej głowę niczym aureola.

– Śnieżny anioł – rozповідаł wszystkim konserwator. – Tak właśnie wyglądała. Jak Boga kocham, prawdziwy śnieżny anioł...

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 31

20 lutego 2015
Salem

Uważany za święty niemal w każdej kulturze, dąb znany jest jako obrońca. To, że został zmuszony, by uczestniczyć w morderstwach z 1692 roku, nie tylko było wbrew jego naturze, ale stanowiło niewybaczalny grzech, od którego drzewo nigdy nie zostało uwolnione.

Księga drzew Rose

W lutym śnieg padał tak długo, aż zagnieździł się w świadomości wszystkich mieszkańców. Zasyły rosły coraz wyższe i wyższe. Lód pokrywał gałęzie tak, że przez kilka dni, podczas których postanowiło wyłonić się słońce, lśniły światłem bardziej oślepiającym niż latem. Nocą wszystko błyszczało i migotało. Kiedy w końcu nadeszła coroczna krótkotrwała odwilż, śnieg i lód zaczęły topnieć, tworząc kałuże wody. Niektóre drzewa dały się nabrać i próbowały ugasić pragnienie. Kiedy woda znów zamarzła, rozdarła je na pół.

W całym mieście ludzie nie korzystali z samochodów, przez co zabytkowe ulice stały się jeszcze węższe. Spychacze obrzucały je śniegiem niezliczoną ilość razy. Nie mając innego wyjścia, mieszkańcy ślizgali się na chodnikach, skręcając kostki i tłukąc sobie żebra. Starzy ludzie łamali biodra i umierali na zapalenie płuc, którego nabawili się na mrozie. Na jednym z wypisanych ręcznie transparentów wiszących na którejś z ulic Salem widniała odezwa: MÓDLMY SIĘ O GLOBALNE OCIEPLENIE. Ten przekaz został przekreślony i zastąpiony nabazgranym na czerwono dopiskiem: TO WŁAŚNIE JEST GLOBALNE OCIEPLENIE, GŁUPTAKU.

– To, co czujesz, to nie depresja, Callie – powiedziała Zee Finch. – To żałoba.

Callie patrzyła przez okno na padający śnieg.

Wspaniale, jeszcze więcej śniegu.

Trudno było jej w to wszystko uwierzyć. Po świętach Rose sprawiała wrażenie zdrowej. Kilka razy przyjechała do Pride's Heart do swojego drzewa, wydawało się nawet, że zaprzyjaźniła się w przytułku z kilkoma osobami, czego Callie nigdy by się nie spodziewała. Dziewczyna mogła skoncentrować swoje troski na Emily, która wraz z nadejściem lutego wciąż była w całkiem niezłej kondycji.

Spędziła też miły miesiąc z Paulem. Z uwagi na zimę zaszyli się w domu, jak mieli w zwyczaju mieszkańcy Nowej Anglii, gotując obiady i grzejąc się przy kominku. Było wspaniale i romantycznie. Aż do nocy, gdy spadł pierwszy śnieg.

Nadal nie mogła uwierzyć, że Rose już nie ma. Nie mieściło się jej w głowie, że ledwie zdołała ją odnaleźć, a Bóg znów jej ją zabrał.

Callie umówiła się na kilka sesji z Zee. Od śmierci Rose wybuchała płaczem w najmniej spodziewanych momentach. Jej koszmary także się zmieniły. Teraz widziała w nich płataninę drzew, zamarznętej ciemności i rozbujane, poodcinane konary, spętane i wiszące. W jej wizji cały czas, wciąż od nowa, ścinano wszystkie gałęzie, aż został sam pień. Za odciętymi konarami znajdowała się nicość, która ciągnęła się w nieskończoność.

Ale jeszcze gorsze były wspomnienia z nocy morderstw, które zaczęły do niej wracać nieproszone.

Upadek Susan i rana na jej policzku, z której na ziemię lała się krew.

Labirynt splątanych drzew, przez który nie da się przejść.

Krew na umierającej trawie.

Czarny gąszcz krzewów, w których ukryła ją Rose.

Rozpadlina i krwawa mogiła w dole.

– Jak długo byłaś w żałobie po tym wszystkim? – Chciała wiedzieć Zee.

– Właściwie nie było czasu na żałobę. Za bardzo bałam się tego, co może zdarzyć się dalej.

Zee pokiwała głową.

– A jak się czujesz przez te przebłyski wspomnień, które miewasz?

– Smutna i przestraszona – odparła Callie. – Bardzo przestraszona. – Obrazy te były bardziej intensywne niż koszmary. Znow zaczęła płakać.

* * *

– Na litość boską, przecież ta kobieta nie żyje!

Rafferty siedział za swoim biurkiem i rozmawiał przez telefon, rzucając lotkami w nakaz ekshumacji, który przypiął do tablicy korkowej jako prowizoryczny cel. Rzutka poleciała za wysoko i wyglądało na to, że w ogóle nie trafi w tarczę, ale nagle zapikowała, wbijając się w sam środek.

– Nie dacie jej spokoju nawet teraz?

Rzucił słuchawką.

Przez ostatnie kilka tygodni spadło tyle śniegu, że nie byli w stanie nikogo pochować, a co dopiero wykopać.

– Nie wierzę, że nadal chcą otworzyć te groby – powiedziała Towner później tego samego dnia.

Mimo skarg Rafferty'ego kierowanych do zastępcy prokuratora okręgowego jego nastawienie w stosunku do ekshumacji lekko się zmieniało. Prawda była taka, że teraz, gdy Rose nie żyła i wyniki nie mogły jej bezpośrednio zaszkodzić, był ciekawy, co może ujawnić procedura. Coraz bardziej pragnął rozwiązać tę sprawę. Popelnił błąd i zwierzył się Towner ze swoich uczuć.

– Sądziłam, że się boisz, iż wyniki wskażą na winę Rose.

– Rose nie żyje.

– Więc już cię to nie obchodzi? A co z Callie, na litość boską? Czy nie mówiłeś, że znajdą tam i jej DNA?

– Nikt przecież nie wierzy, że zbrodnię popełniła pięcioletnia dziewczynka.

– W tym mieście ludzie są skłonni uwierzyć w wiele szalonych rzeczy.

– Posłuchaj, ja muszę rozwiązać tę sprawę, okej?

Odkąd spadł pierwszy śnieg, poziom napięcia u Rafferty'ego wyłącznie wzrastał. Czytał internetowe wpisy, a prawda była taka, że większość komentarzy była teraz wymierzona w niego za niedoprowadzenie sprawy do końca. Ale nikt nie chciał zamknąć tej sprawy bardziej niż on.

– Zmieńmy temat. – Towner odpowiednio odczytała jego minę. Wiedziała już, dokąd to wszystko zmierza. – Co jeszcze się dzisiaj wydarzyło?

Rafferty musiał się porządnie wysilić, żeby coś wymyślić.

– Mówiłem ci już, na co wpadli co bardziej zapobiegliwi mieszkańcy, żeby móc dalej korzystać ze swoich samochodów?

– Nie...

– Odśnieżają miejsca na ulicy, a potem je „zajmują”: widzieliśmy krzesła ogrodowe, wiadra z drewnem, kubły na śmieci. W McIntire District ktoś zobaczył stoliczek kawiarniany z krzesłami, dwa nakrycia, a z nimi butelkę wina i świece.

– To nawet zabawne.

– Zgadza się, ale Boże dopomóż temu, kto spróbuje ukraść miejsce parkingowe. Wczoraj w nocy Jay-Jay zgarnął gościa, który rozbijał szyby i przebijał opony aut zaparkowanych na „jego” miejscu. Był uzbrojony w zastrzony śrubokręt i machał nim w powietrzu niczym szermierz. I jeszcze się chwalił: „Przekłułem cztery opony w niespełna minutę!”.

* * *

– Nie mogę uwierzyć, że tego nie przewidziałam. – Callie zwierzyła się Zee, wspominając słowa Rose wypowiedziane w Boże Narodzenie: „*Czasem jedynym lekarstwem jest śmierć*”.

– Musisz sobie odpuścić – tłumaczyła lekarka. – Byłam terapeutką Rose, a też nie zakładałam takiego scenariusza.

Zee szybko wyciągnęła z Callie, dlaczego zarezerwowała godzinne spotkanie. W poprzedni weekend miał miejsce pewien incydent. Upuściła w kuchni filiżankę, która rozpadła się równo na dwie połowy. Kiedy schyliła się, aby posprzątać bałagan, zauważyła krew – na początku tylko kilka kropel, które spadły na świeżo wytartą podłogę. Rozprostowała rękę i zobaczyła, że przecięła sobie wnętrze lewej dłoni, dokładnie na jednym z płatków blizny w kształcie róży. Trzymając miejsce zranienia pod kranem, patrzyła, jak woda zmienia kolor na czerwony. Wyciągnęła dłoń spod strumienia i przycisnęła do niej papierowy ręcznik, by powstrzymać krwawienie, ale bezskutecznie. W końcu zrobiło się jej słabo i zawołała Paula, który spał na górze.

– Daj mi to obejrzyć. – Ujął jej dłoń, którą zaciskała na ręczniku.

– Jak źle to wygląda? – zapytała, zaciskając mocno powieki, nie mogąc spojrzeć z obawy, że zemdleje.

Paul przez długi czas nie odpowiadał. Kiedy w końcu otworzyła oczy, nadal trzymał ją za rękę, ale patrzył na nią ze strapioną miną. Spojrzała na swoją dłoń. – Nie było krwi, żadnego śladu choćby najmniejszej rany. Kawa ze stłuczonego kubka nadal pokrywała podłogę i mężczyzna przykucnął, by ją posprzątać.

– Myślę, że to ci się przyśniło – powiedział. – A może znów lunatykowałeś?

Pokiwała głową. Ale przecież nie spała, była całkowicie przytomna. I nie był to pierwszy raz w tym tygodniu, kiedy miała wizję. Wcześniej wydawało się jej, że widzi Rose siedzącą pod dębem, pod którym umarła. A potem w poniedziałek przy tym samym drzewie zdarzył się dużo poważniejszy wypadek... Natychmiast umówiła się na spotkanie z Zee w obawie, że jeśli nie dowie się, z czego to wynika, jej wizje mogą, jak w przypadku Rose, przejąć niezdrową kontrolę nad jej czynami.

– Opowiedz mi więcej o tych wizjach.

– Zawsze je miałam – przyznała Callie. Po śmierci Rose bardziej jej dokuczają: chwile olśnienia stały się tak ekstremalne, że unaoczniały widoki i obrazy, czyniąc je niemożliwymi do odróżnienia od siebie i sprawiając, że wszystko, co widziała, robiło się zbyt hałaśliwe i intensywne. Serce waliło jej tak głośno, że czuła swój puls w dłoniach, od blizny po koniuszki palców. – Ale teraz się nasilają. Nigdy tak impulsywnie nie zareagowałam na żadną z nich, nigdy nie zachowywałam się tak, jak tego dnia, kiedy zaczęli ścinać stary dąb.

– Czemu Finn to zrobił? – zapytała Zee.

– Twierdził, że nie chce, by cokolwiek przypominało mu o tym, co stało się z Rose. A potem dodał, że Emily czuje się odpowiedzialna. A przecież tak nie było! To ja przywiozłam tam Rose na święta...

Zee pozwoliła milczeniu wybrzmieć.

– To, co zrobiłam, wszystkich przeraziło.

Odgłos piły łańcuchowej był taki głośny i tak brutalny... Miała wrażenie, że rozerwie jej głowę na pół.

– Przestań! – krzyknęła na konserwatora, nie mogąc ścierpieć tego ani chwili dłużej.

Nie słyszał jej przez ten hałas. Stała przed nim w tej samej chwili, gdy uniósł piłę, i próbowała wyrwać mu ją z rąk. Kiedy piła w końcu umilkła, nieskazitelnie biały śnieg zabarwił się jego krwią.

– Wszyscy próbowali mi pomóc. – Callie trzęsła się, gdy opowiadała tę historię. Rana mężczyzny nie była tak poważna, jak sugerowała ilość krwi, dzięki Bogu, choć potrzebował założenia kilku szwów na lewej ręce. Na szczęście nie chciał wnosić oskarżenia. – Wzdrygnęła się. – Następnego ranka Paul zabrał mnie, żeby mi pokazać, co zostało.

– Dlaczego to zrobił?

– Chciał mi pokazać pierścienie drzewa. Żebym zobaczyła, że nie jest tak stare, jak twierdziła Rose. To znaczy było stare, ale z pewnością nie miało trzystu lat. Myślał że, wiedząc o tym, poczuje się lepiej.

– A poczułaś?

– Nie – przyznała Callie. – Ta wiadomość... Ona całkowicie zaprzeczyła temu, w co wierzyła Rose. Przez wszystkie te lata szukała dębu i w końcu myślała,

że go znalazła. A teraz... – Zaczęła płakać.

Psychiatra podała jej pudełko chusteczek, które trzymała na biurku.

– Opowiedz mi o dźwięku towarzyszącym ścinaniu drzewa.

– Nie chcę już rozmawiać o tym drzewie. – Callie była zirytowana. – Chcę porozmawiać o moim poczuciu winy. Że życie Rose zostało zmarnowane...

– Zrób mi tę przyjemność.

Callie skrzyżowała ramiona i zmarszczyła czoło.

– Powiedziałaś, że to ten dźwięk wywołał twój wybuch.

– Tak było.

– Co to był za dźwięk.

– Odgłos piły łańcuchowej.

Zee czekała.

– To był jęk, pewnego rodzaju wycie.

– Przypominał ci coś?

Zastanowiła się przez chwilę, ale tego, o czym myślała, postanowiła nie mówić głośno.

– Co? Nie cenzuruj się, tylko powiedz, co ci przyszło do głowy.

– Drzewa.

– Jakie drzewa? – Zee ciągnęła ją za język.

– Dęby Rose – mruknęła Callie. – Wszystkie, których szukała w Salem, zanim znalazła ten.

– A obrazy, które do ciebie wracają? Skąd one pochodzą?

– Z nocy, w której dokonano morderstw – szepnęła Callie.

Zee czekała.

– Drzewa... – Callie mówiła z trudem. – Na Proctor's Ledge.

– Co takiego było w tych drzewach?

– To nie były dęby. To był tylko gąszcz splątanych gałęzi nisko nad ziemią, tak że z trudem mogliśmy się przez nie przedrzeć. Jakby nas powstrzymywały. A potem krzew, w który wpełchnęła mnie Rose, uratował mi życie.

– W jaki sposób? – zapytała Zee.

– Byłam uwięziona. – Callie czuła, jak przytrzymują ją kłujące gałęzie. Rose kazała jej się nie ruszać i nie wydawać z siebie ani słowa. Ale nie mogłaby, nawet gdyby chciała. Było tak, jak gdyby krzewy ją uwięziły, jakby rzuciły na nią wiążące zaklęcie, tak jak zrobiła Ann Chase w dzień, w którym się poznali. – Nie mogłam się ruszyć. Nawet kiedy zaczęły się krzyki.

– Kto krzyczał?

– Rose twierdziła, że to banshee.

– Ty też tak uważasz? To była banshee?

– Nie wiem.

Lekarka spojrzała na nią.

– Czy to był krzyk jednej z Bogiń?
– Nie... Nie wydaje mi się. – Upadek Susan był cichy. Jej matka krzyczała tylko przez chwilę, ale ten długi, przeszywający dźwięk...
– A jak to, twoim zdaniem, brzmiało? Te piski i jęki?
– Jak piła łańcuchowa – odpowiedziała Callie, tworząc związek.
Zee, siedząc na krześle, nachyliła się do przodu, nie spuszczając wzroku z Callie.
– Skąd pochodził ten dźwięk?
– Nie wiem.
– Wiesz.
– Nie wiem! – upierała się Callie.
– Wiesz – powtórzyła Zee, tym razem łagodniej, ani na moment nie odwracając wzroku.
Callie gapiła się na nią, ale przez długi czas milczała.
– O Boże – jęknęła w końcu, zdając sobie sprawę, że zakonnice musiały to wiedzieć przez cały ten czas. – On pochodził ze mnie. Lamentująca banshee... to byłam ja.

* * *

Siostry były na nieszpórach, kiedy przyjechała.
Usiadła na kamiennej ławce przed kaplicą, skąd słyszała ostatnie słowa *Magnifikatu*, po którym usłyszała modlitwę *Ojcze nasz*.
Zakonnice mijaly ją w ciszy. Callie unikała spojrzeń.
Siostra Agonia wyszła z kaplicy jako ostatnia. Na początku wyglądała na zaskoczoną widokiem Callie. Ale kiedy zauważyła jej minę, zaskoczenie zamieniło się w troskę.
– Co się stało?
– Rose nie żyje. Tym razem naprawdę. – Callie bez powodzenia starała się powstrzymać łzy.
– Jak?
– Zamarzła pod drzewem.
Agonia wpatrywała się w nią w milczeniu.
– To moja wina – dodała dziewczyna.
Agonia uważnie przyglądała się Callie, próbując zrozumieć.
– Zawsze myślała, że w noc morderstw słyszała banshee, ale to nie była prawda. – Callie zaczynała się dusić płaczem. – Od początku wiedziałas, że to

byłam ja, prawda?

– Wejź do środka – powiedziała zakonnica, biorąc Callie za rękę i prowadząc ją w kierunku jednej z drewnianych ławek na tyłach kaplicy. Dziewczyna wzięła głęboki wdech, próbując zapanować nad łkaniem.

Zakonnica złożyła dłonie w taki sam sposób, co ostatnim razem, gdy Callie przyszła się z nią skonfrontować. Tym razem jednak nie po to, by powstrzymać swój gniew, a by się modlić. Kiedy skończyła modlitwę, przeżegnała się i zaczerpnęła powietrza.

– Zakonnice ze świętego Jakuba przez całą noc słyszały twoje krzyki.

– Nigdy mi tego nie mówiły.

– To prawda.

– Dlaczego nie wezwały policji?

– Sama od dawna zadaję sobie to pytanie – rzekła siostra Agonia tonem delikatniejszym, niż Callie miała okazję kiedykolwiek od niej usłyszeć. Złożyła razem dłonie w geście skruchy. – Wydaje mi się, że były przekonane, że to jakiś halloweenowy żart.

Callie patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Kiedy znalazły cię następnego dnia, byłeś w przerażającym stanie. – Zakonnica zerknęła na stygmat. – Policja tylko pogorszyła sprawę. Tyle razy cię przesłuchiwali, że siostry bały się o twoje zdrowie psychiczne. Zostałaś sierotą, więc kościelne organizacje pomocowe zaczęły współdziałać z opieką społeczną i w końcu postanowiono przenieść cię tu, z dala od śledztwa. Naprawdę myślałyśmy, że w którymś momencie znów będą chcieli cię przesłuchać... Mieli do tego pełne prawo. Ale wtedy Rose Whelan zaczęła mówić o banshee. Chciałyśmy ci powiedzieć, że Rose żyje, ale bez wątpienia cierpiała na urojenia, a może nawet była morderczynią. Postanowiłyśmy więc zataić to przed tobą. Co było drugim grzechem zaniedbania popełnionym przez ludzi, którzy chcieli ci jedynie pomóc. Niestety, ludzie nie zawsze podejmują najlepsze decyzje, Callie. Nawet jeśli mają najszczerze intencje.

Callie tylko na nią patrzyła.

– Potem trafiłaś do rodziny zastępczej. Tak samo, jak wszystkie inne nasze sieroty. – Zakonnica zmusiła się, by nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ale wyraźnie miała problem z wytrzymaniem mrożącego spojrzenia swojej podopiecznej.

Callie wydała z siebie odgłos przypominający coś pomiędzy śmiechem a łkaniem.

– Tylko że mnie zwrócono.

Bo otaczała mnie śmierć.

Teraz zakonnica śmieiej spojrzała jej w oczy.

– Nie pamiętasz wszystkiego, co się stało, prawda?

– Opowiedz mi, proszę.

Mówiła powoli.

– Twoja matka zastępcza zmarła na raka. Jej mąż nie mógł sobie poradzić ze swoją stratą i oddał cię nam. Do tego czasu rozniosły się już różne pogłoski i zaczął się ciebie trochę bać. To on stwierdził, że otacza cię śmierć, nie my.

– „Nogi jej stępują do śmierci, a kroki jej przechodzą do piekła”. – Callie wygłosiła cytat z Księgi Przysłów, z rozdziału piątego, werset piąty, ten sam, który miała tamtego dnia przypięty do koszulki.

– To akurat pamiętasz dokładnie, choć twoja prezentacja jest nieco inna, niż kiedy wyrecytowałaś nam to po raz pierwszy.

– Byłam tylko dzieckiem – broniła się Callie.

– To prawda.

– A wy mnie przerażałyście.

– Przepraszam. – Siostra wydawała się mówić szczerze. – Myślę o tym, odkąd przyjechałaś tu po raz ostatni. Powinnyśmy były wtedy wszystko to z tobą omówić. Oczywiście, że tak. Naprawdę myślałyśmy, że to dla twojego własnego dobra. – Miała minę, jakby chciała wziąć Callie za rękę, ale dziewczyna wyprostowała się i splotła razem palce, przyjmując tę samą groźną pozę, którą tak często stosowała Agonia.

– Jesteśmy staromodnym zakonem. Zdecydowanie nie pasujemy do nowego millenium. Niektórzy twierdzą, że nie należymy nawet do dwudziestego wieku. Twoją sprawę otaczało dużo lęku i przesądów, zwłaszcza ze strony starszych sióstr. Na początku wydawało nam się, że byłyśmy świadkami cudu, zadziwiającego przykładu boskiej interwencji. Twoja dłoń, kiedy już się zagoiła, od czasu do czasu krwawiła. Niektórzy wierzyli, że to cud i znak boski jednocześnie. Minęło sporo czasu, zanim się zorientowałam, że pewnie się tniesz. W tamtych czasach nie byłyśmy wyczulone na takie rzeczy. Niedługo potem pojawiły się różne plotki o morderstwach i stygmat zaczął budzić obawy, nie tylko w związku z tamtą tragedią, ale i z tobą. Byłaś dziwnym dzieckiem, spałaś z otwartymi oczami, lunatykowałaś. I wiedziałaś rzeczy, o których nie mogłaś wiedzieć. Ale to twoja reakcja wszystkich przeraziła. Kiedy wróciłyśmy tamtego ranka z mszy, zastałyśmy cię na szczycie schodów domu dziecka. Kiedy zapytałyśmy, co się stało, wstałaś jakby w transie i zaczęłaś recytować psalm, trzymając dłonie o tak... – Siostra Agonia położyła jedną dłoń nad drugą, w pozie recytatorskiej. – Skończywszy psalm, uśmiechnęła się. A na koniec dygnęłaś.

ROZDZIAŁ 32

*27 lutego 2015
Matera, Włochy*

Na rozkaz Pana Boga wyrosły z gleby wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące oraz drzewo życia w środku tego ogrodu i drzewo poznania dobra i zła[26].

Rdz 2, 9

Polecieli do Rzymu nocnym samolotem i wylądowali w sobotę rano. Następnie ruszyli pociągiem do Bari, gdzie Paul wynajął kierowcę, który zawiózł ich do Matery, jako że do celu ich podróży nie kursował żaden pociąg. Kiedy oddalali się od wybrzeża, perspektywa się poszerzyła, ujawniając malownicze gaje oliwne, winnice i od czasu do czasu miasto na wzgórzu. Jazda zajęła prawie godzinę. Callie była wyczerpana po całej podróży i jej umysł ogarnął błogostan pustki: był zbyt zmęczony, by gościć nawiedzające ją obrazy.

Widok znów się zawęził, kiedy dojechali do granic Matery. Wyglądała jak

inne europejskie miasta: stara architektura kontrastująca z nową, sprzedawcy na ulicach, skutery i samochody. Ale wtedy samochód skręcił i zaczęli jechać pod górę do dzielnicy Sassi. Ulica stała się niemożliwie wąska, kierowca musiał wrzucić niższy bieg. Wygląd budynków zaczął się zmieniać: sprawiały wrażenie, jakby powstały z kamienia i światła. To tufo. – Zdała sobie sprawę Callie. Kamień, o którym tyle słyszała od Paula.

Dziewczyna opuściła szybę. Zapachy niesione przez wiatr przypominały jej bryzę oceanu w Pride's Crossing, ale tu powietrze było w jakiś sposób lżejsze. Ciszę od czasu do czasu przerywała... Co to była za muzyka? Wyteńczyła słuch i wtedy rozpoznała śpiewne dźwięki skrzypiec. Ktoś ćwiczył gamy.

– Słyszysz to?

– Skrzypce? – zapytał Paul. – Słyszę.

Teraz usłyszała róg. A równocześnie na jednym z budynków zauważyła logo szkoły muzycznej.

Kierowca znów zredukował bieg, harując sprzęgłem. Samochód szarpnęła tak mocno, że gwałtownie poleciała do przodu. Minęło ich większe auto jadące w przeciwnym kierunku, trąbiąc klaksonem i zmuszając ich kierowcę, aby zjechał na bok i przerwał jazdę pod górę. Obrazy z teraźniejszości zalewały umysł Callie, jak gdyby robiła zdjęcia rzeczy, które chce zapamiętać.

Kierowca wrzucił w końcu jedynekę i zjechał w dół o kilka metrów, kiedy puścił sprzęgło, co wywołało siarczyste przekleństwo. Agresywnie ruszył dalej, rozganiając spacerowiczów.

Na szczycie wzgórza stał kościół, którego wejście blokowało rusztowanie. Za nim znajdowało się kilka palazzi[27], jeden nawet przekształcony w hotel.

– Tu będzie w porządku – przerwał ciszę Paul. – Proszę nas wysadzić.

Kierowca zjechał na bok.

Paul otworzył Callie drzwi. Wsiadła i z ulgą rozciągnęła zeszywniałe mięśnie. Za górującą nad krajobrazem okolicy katedrą dostrzegła głęboki wąwóz a jeszcze dalej kolejne wzgórze.

Nigdy nie widziała takiego światła ani nie odczuwała powietrza w taki sposób, jak tu. Muzyka przycichła i teraz nie słychać było żadnych dźwięków. Ujrzała ptaki po drugiej stronie kanionu, ale nie słyszała ich odgłosów. W tym miejscu było coś nie z tej ziemi, obcego i znajomego jednocześnie.

Paul zapłacił kierowcy. Stali jeszcze przez chwilę i patrzyli, jak samochód zjeżdża ze wzniesienia. Z hotelu wyszedł mężczyzna i skinął do nich głową na powitanie, po czym przeszedł przez plac i zniknął w alejce. Jego kroki poniosły się echem po kamieniu, po czym ucichły.

Paul wziął ich walizki i gestem poprosił Callie, by poszła za nim uliczką oznaczoną jako Via Riscatto. Wzdłuż niej ciągnęły się kamienne domy, których fundamenty zostały wyłobione w skale. Jedynie niektóre były zamieszkane, wiele

stało pustych. Callie usłyszała niosący się echem odgłos młota. Narastał, im bardziej się zbliżali, a potem, kiedy już go minęli, zaczął cichnąć.

Skręcili w lewo za rogiem i uliczka zaczęła wíć się w dół, a widok wylaniał się co jakiś czas, ukazując barwy kanionu. Minał ich pies, stanął, by napić się wody z kałuży, po czym zniknął na schodach.

Zatrzymali się w starym klasztorze, który przebudowano na hotel. Przy wejściu widniały donice z kwiatami oraz znak: CASA DEL PELLEGRINO LE MONACELLE. Callie poszła za Pauliem do środka. Kobieta za biurkiem czytała książkę, ale na ich widok podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Przywitała Paula po włosku, lecz gdy usłyszała, jak tłumaczy jej słowa Callie, przerzuciła się na angielski i podała dziewczynie rękę w íście amerykańskim stylu.

– Witamy w Materze – powiedziała i zwróciła się do Paula: – Na jak długo zostaje pan tym razem?

– To zależy od tego, ile zajmie dokończenie prac renowacyjnych – odparł. – Nie jestem pewien, jakie postępy zrobiła ekipa bez mojej pomocy. Pewnie kilka miesięcy.

Wynajął Callie apartament na dwa tygodnie, które dziewczyna zamierzała spędzić we Włoszech.

– Chodź za mną – powiedział teraz. – Pokażę ci, gdzie będziesz mieszkać.

Poprowadził ją po kamiennych schodach do dwupoziomowego apartamentu. Niższy poziom zajmowało biurko z ciemnego drewna oraz kilka krzeseł, mały zestaw wypoczynkowy i niewielka kuchnia. Po schodkach wchodziło się na antresolę, na której mieściła się sypialnia. Kolejne schody prowadziły stamtąd do niebieskich drzwi.

– Mogę tu zostać? – zapytała Callie.

– Jeszcze nie! Chodź ze mną... – Paul poprowadził ją za rękę po schodach. Otworzył drzwi, za którymi znajdował się prywatny ogród na dachu oraz bardziej strome, syjące się schodki wiodące do kampanili z dzwonem.

– Moje pokoje są tam. – Pokazał gestem. – Po drugiej stronie dziedzińca. Tylko my mamy apartamenty z wyjściem na dach.

Nie poprowadził jej jednak do swojego pokoju, lecz ku kamiennym schodkom. Było ich chyba ze czterdzieści.

– Tylko nie kolejne schody! – zaśmiała się Callie, ale posłusznie ruszyła za nim, zdyszana i wyczerpana, aż na samą górę.

Przed nimi rozciągały się dwa stojące naprzeciw siebie wzgórze Sassi. Callie chwyciła się poręczy dla równowagi. Była zachwycona. Wzniesienia wyglądały jak ptak w locie. W dole w wąwozie wíła się rzeka. Zaś po jego drugiej stronie, na wzgórzu w oddali, dostrzegła czarne plamy.

– Co to jest? – zapytała zaciekawiona.

– To wejścia do jaskiń wyżłobionych w tufo. Przez wieki mieszkały tam całe

rodziny, aż szerzące się tam choroby i bieda zmusiły rząd, by ich stąd przesiedlić. Wybudowali mieszkania i przenieśli do nich ludzi.

Paul wskazał jej inne jaskinie i wkrótce Callie widziała je wszędzie.

– Kiedy do jaskiń zaczęli wprowadzać się artyści, niektóre rodziny także postanowiły wrócić, ignorując zagrożenia wynikające z życia w stałej wilgoci. Tak bardzo tęsknili za swoimi domami.

Paul wziął Callie za rękę. Od śmierci Rose nie pozwalał sobie na wiele więcej i Callie była za to wdzięczna. Zbyt pogrążyła się w depresji, zgromadziła w sobie zbyt wiele złości. Ostatnim razem, kiedy widziała się z Raffertym, nakrzyczyła na niego bezlitośnie.

– Znajdź Leah Kormos! – żądała. – Wsadź morderczynię do więzienia!

– Nie jestem pewien, czy to ona jest winna – odparł wtedy Rafferty.

– Po prostu ją, kurwa, znajdź!

Z pewnością zraziła do siebie Rafferty'ego, ale nie mogła nic na to poradzić. W jakim świecie policja była tak niekompetentna, że w ciągu dwudziestu pięciu lat nie mogła zlokalizować jednej kobiety?

Obawiała się, że jej wybuch zniechęcił też do niej Towner. Ich ostatnia rozmowa była uprzejma, ale zdawkowa.

I nawet sesje z Zee nie pomagały.

Paul otaczał ją troskliwą opieką, ale dał jej też przestrzeń. Był w pobliżu, kiedy go potrzebowała, a jednak nie naciskał.

– Dlaczego wszystkiego nie rzucisz i nie pojedziesz ze mną do Matery? – powiedział w końcu.

Zaskoczyło ją to.

– Obawiam się, że nie będę najlepszym towarzystwem.

– Nie ma to dla mnie znaczenia.

Była sceptyczna.

– To ci pomoże – przekonywał. – Zaufaj mi. Bez zobowiązań.

Emily poparła ten pomysł. Ona i Finn także planowali wyjazd – do ich domu w Palm Beach.

– Jedź – powiedziała. – Oderwij się od tego wszystkiego. To ci pomoże.

I faktycznie niemal od razu, z dala od Pride's Crossing, Callie poczuła, jak poprawia się jej nastrój. Stojąc oko w oko ze wzgórzami Sassi, zrozumiała, że jej ożywienie po części ma związek z tufo i jej towarzystwem. Ale gdy podziwiała przeciwną część wąwozu, zdała sobie sprawę, że w największej mierze wynika to z faktu, iż z wyjątkiem małej pomarańczowej rośliny na balkonie sąsiedniego domu, jak okiem sięgnąć nie było widać żadnego drzewa.

* * *

Paul towarzyszył jej przez pierwsze kilka dni. Oprowadzał po mieście, zwracał uwagę na zabytki.

Pokazał jej skalne kościoły, w tym ten, nad którego renowacją pracował. W całej okolicy było ich około stu pięćdziesięciu, wydrążonych w zboczach wąwozów prymitywnymi narzędziami. Świątynie wykopane w miękkich osadowych skałach, w których w ścianach i sufitach wylaniały się skamieniałe muszle świętego Jakuba, jako że kiedyś było to dno oceanu... Kiedy religia wyszła z ukrycia, na wzgórzach wybudowano widoczne kościoły, podobnie jak domy na sklepieniach jaskiń w Sassi.

Paul zabrał Callie do wielu z tych starych kościółków. Większość z nich miała pod spodem dodatkowe pomieszczenia – czasem małe komnaty dla bazylikańskich czy benedyktyńskich mnichów, którzy używali ich do medytacji, a czasem krypty dla wiernych, których zgodnie z miejscową tradycją pochowano na siedząco w trumnach wydrążonych w ścianach z tufo. Jeden cały poranek spędzili, zwiedzając ogromną starożytną cysternę znajdującą się pod Sassi.

– To miejsce, w którym gdzie się nie obrócisz, natrafisz na jakieś cuda – powiedział jej Paul.

Trzeciego dnia musiał wracać do pracy. Rozstali się na placu, on poszedł w dół wzgórza, do cywilizacji, a ona skierowała się jak najdalej do niej – w odleglejsze rejony Sassi, pełne ukrytych schodków i wydmuszek domów. Nie obchodziło ją, gdzie się znajdzie, wchodziła więc po wszystkich schodach, na jakie się natknęła, aż uda piekły ją od nieustannego wspinania się i schodzenia. Kiedy była już całkowicie zagubiona i wyczerpana, zawracała.

Codziennie znajdowała nową ścieżkę i codziennie spotykała się z Paulem w pizzerii na późny obiad, po czym, trzymając się za ręce, wracali na wzgórze do klasztoru, gdzie on mówił jej dobranoc i szedł do swoich pokoi spisać wyniki badań z danego dnia, ona zaś kładła się do łóżka i, zbyt zmęczona, by zapalić świecę, rozbierała się w świetle księżyca i porzucała ubrania na podłodze.

Były i wizje. Te same okropne, co wcześniej, które wyrywały ją z głębokiego snu, choć w tym miejscu koszmary wydawały się bardziej odległe, przytłumione niczym światło na tufo.

Tej nocy obudziła się ze snu, którego nie mogła sobie przypomnieć. Księżyc się schował. Po drugiej stronie dziedzińca, na dachu, Callie widziała świecę, którą Paul pozostawił zapaloną w oknie.

– Na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała – powiedział jej.

Powietrze pachniało stęchlą wilgocią. Przez długi czas wpatrywała się w płomień, nie mrugając powiekami, aż oczy zrobiły się suche i zaczęły swędzieć.

W końcu płomień zamigotał i zgasł, i zastąpiło go migotanie innej, jaśniejszej świecy...

Drzwi otwały się i zamknęły. Dom Rose. Sypialnia w głębi domu. Callie patrzyła ze swojego materaca na podłodze w salonie, jak mężczyźni wchodzą i wychodzą. Słyszała ich szepty, ciche akordy muzyki harfy, kiedy Boginie ich witały. Powietrze było duszne i pachniało wodą różaną i paczuli.

*W domu, gdy zapadnie noc,
A mama pod brodę naciągnie mi koc,
Patrzę, jak tłum ludzi kroczy,
Widzę ich na własne oczy.*

Scena się zmieniła i Callie, już jako dorosła kobieta, stała naga przed sypialnią w Hammond Castle, czując pod stopami chłód kamiennej podłogi i recytując list od Morrigan do Dagdy.

„Mój Najdroższy...”

Jej dłonie złożone były w pozie recytatorskiej. Miała nagie piersi.

„Spotkaj się ze mną jutro w naszym sekretnym miejscu...”

Płonące policzki.

„... a dam ci zaznać rozkoszy, jakiej dotąd nie znałeś”.

Kołatanie serca.

„Nasze ciała będą ciałami boga i bogini”.

Fale gorąca zmierzające w dół. Przeszywające niebieskie oczy, od których nie może odwrócić wzroku.

„Będę Cię dotykać, tak jak Morrigan dotyka Dagdy”.

Oczy Paula.

„Nasze niebiańskie obcowanie uwolni wszelkie moce wszechświata”.

Wpatrzone w nią oczy trzymają ją w miejscu.

Callie ocknęła się, zdając sobie sprawę, że naprawdę stoi nago, tyle że nie w Hammond Castle, ale w pokoju Paula, a świeca wcale nie zgasła.

Mężczyzna leżał nieruchomo jak kamień, trzymając swoje nagie, umięśnione ramiona na kocu, i obserwował ją. Choć chciała odwrócić się i uciec, dłonie nadal miała zacisnięte, a stopy nie mogły się ruszyć. Zdając sobie sprawę, że wypowiedziała te wszystkie słowa na głos, zamilkła, a twarz oblał jej rumieniec wstydu, rozprzestrzeniając ciepło po całej skórze. Nie mogła wydusić z siebie kolejnej linijki listu, słowa były dla niej zbyt krępujące i bardzo różniły się od jej własnych. W zamian przypomniała sobie ostatnie zdanie i wyrazy pojawiły się w jej głowie, jakby sama je napisała.

Jej głos zmienił się z lirycznego w zdecydowany. Każdą sylabę wypowiedziała oddzielnie i wsłuchiwała się w nią, jak gdyby słyszała ją po raz pierwszy:

– „Czekaliśmy wystarczająco długo, mój ukochany...”

Nie myślała dłużej o śnie. W zamian utkwiała wzrok w Paulu, robiąc maleńki krok w jego stronę, i jeszcze jeden, aż w końcu stanęła nad nim.

– Znów koszmary? – zapytał ochryple.

Pokiwała głową. Widziała swoje odbicie w lustrze na ścianie, była blada niczym duch.

– Spraw, by zniknęły – poleciła.

Nie spuszczać z niej wzroku, odrzucił koc, odsłaniając swoje ciało, silne i gotowe.

* * *

Wyszli z klasztoru dopiero późno po obiedzie, aby nacieszyć się niedzielnym wieczorem. Kilka restauracji na szczycie wzgórza było już zamkniętych. Na placu podobnie, w pobliżu kręciło się jedynie kilka osób. Paul przypomniał sobie, że na dole jednych z bocznych schodów widział pizzerię i spojrzał na dziewczynę, czekając, czy przystanie na tę propozycję.

– Pizza to świetny pomysł.

Kręte schody wily się kolejne sto stopni w dół, przecinając po lewej dachy pustych budynków. Przez chwilę szli po płaskim, ale potem kolejne stopnie poprowadziły ich jeszcze niżej, na obrzeża Sassi. Ich kroki niesły się echem po kamieniach.

– Naprawdę coś tam jest?

– Nie wiem. Ale mam nadzieję... – Paul zaczynał wątpić w swoją pamięć.

Callie odmierzała drogę za pomocą kroków. Pięć w dół, trzy w górę. Wyżej i niżej. Dwadzieścia kolejnych, wzdłuż ciemnych skorup opustoszałych kamiennych rezydencji.

– Jeśli nie będzie jej za rogiem, to się poddam – westchnął Paul.

A jednak była. Nad wejściem do lokalu, jaskini, która, jak zauważyła Callie, służyła za fundament domu powyżej, wisiała girlanda białych światełek.

Właściciel wyglądał na zdziwionego, że widzi ich tak późno, ale był zachwycony, kiedy Paul melodyjnie odezwał się do niego po włosku. Zgodził się obsłużyć niespodziewanych gości i poprowadził ich do głębokiej komnaty wyłobionej w miękkim kamieniu, wskazując w oddali stolik.

Jaskinia była słabo oświetlona i pachniała pizzą oraz wilgocią. Siedząc naprzeciw Paula, Callie przekonała się, że trudno jej patrzeć mu prosto w oczy. Nie miała zbyt wielkiego doświadczenia, jak to jest *potem*. Rzadko zostawała na tyle długo, by się przekonać. Ale seks z Pauliem był inny niż wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyła. To było tak intymne, tak inne – z poczuciem, że coś ich łączy.

Paul wziął ją za rękę i skłonił, by na niego spojrzała.

– Sprawilem, że koszmary zniknęły?

Rozbawił ją tym zdaniem.

– Za wcześnie, by to stwierdzić. Właściwie to nie dałeś mi się jeszcze przespać.

– Taki miałem plan.

Callie zjadła większość pizzy, nie protestowała więc, kiedy Paul zamówił następną. Była okropnie głodna i spragniona. Wypili butelkę Aglianico i kolejną, tym razem gazowanej wody.

Girlanda światełek zgasła, kiedy tylko wyszli, pogrążając ich w ciemności. Paul trzymał ją za rękę podczas długiej wspinaczki na szczyt wzgórza. Czują, jak bolą ją uda na długo, zanim dotarli na Via Riscatto. Kiedy droga znów powiodła w dół do klasztoru, poczuła wdzięczność.

Czekał, aż otworzy drzwi. Następnie poszedł za nią do środka i, po pięciu stopniach, do jej łóżka. Tym razem oboje spali.

To była pierwsza wolna od koszmarów noc, jaką Callie pamiętała w swoim życiu.

* * *

W ostatnią niedzielę przed jej odlotem Paul powiedział, że chce ją zabrać do kościoła.

– Spowiedź? – zapytała, wskazując gestem na pomiętą pościel, w której leżeli.

– Wręcz przeciwnie. Chcę cię zabrać na mszę solfeżową, zanim odjedziesz.

– Naprawdę? To jest taka msza?

– Dopiero co się o tym dowiedziałem – wyjaśnił. – Będą śpiewać średniowieczną pieśń do Jana Chrzciciela po łacinie, skomponowaną w skali solfeggio. To nabożeństwo uzdrawiające.

– Wow. Kościół katolicki robi się naprawdę postępowy.

– Albo się uwstecznia – odparł. – To zależy, jak na to spojrzeć. Tak czy

inaczej ludzie wydają się tym dość mocno podekscytowani.

– Czy to się odbędzie w jednej z jaskiń?

– Nie. Zapowiada się naprawdę duże wydarzenie, więc na miejsce wybrano pewien piękny, stary kościół. Uczestniczą w nim uczniowie szkoły muzycznej oraz mnisi gregoriańscy.

– Bardzo chciałabym to zobaczyć. A raczej usłyszeć.

– Tak właśnie pomyślałem.

Kościół znajdował się na szczycie Sassi, gdzie światło było najsilniejsze. Jak wyjaśnił Paul, był to jeden z najstarszych kościołów w okolicy, powstały niedługo po tym, jak chrześcijaństwo przestało chować się w ciemnościach jaskiń i zaczęło publicznie odprawiać msze. Wybudowano go z tufo wysoko na wzgórzu, a zatem w przeciwieństwie do większości kościołów w Sassi, które wciąż były ciemne i przepastne, ten miał rząd okien, które zalewały całą konstrukcję światłem.

W świątyni było tłoczno. Paul zaproponował miejsce w połowie długiej środkowej nawy, gdzie akustyka była najlepsza.

– To jakby siedzieć w jednej z twoich mis – zauważył.

Najpierw pojawili się uczniowie szkoły muzycznej. Poświęcili kilka minut na strojenie instrumentów, wracając do nieco innych tonów starożytnej skali. Kiedy zaczęli grać, zebrani zamilkli. Dźwięki średniowiecznej pieśni odbijały się od ścian.

Callie nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego. Zamknęła oczy i pogрузyła się w prostej medytacji. Czas przestał płynąć, podczas gdy nuty krzyżowały się i przenikały przez siebie. Mrowienie czuła nawet na czubku głowy.

Było to jedno z najprostszych i najgłębszych doświadczeń medytacyjnych w jej życiu i zdecydowanie podziałało uzdrawiająco. Otworzyła oczy dopiero, kiedy przestali grać i mogła łagodnie powrócić do świata. Zerknęła na Paula, a on wziął ją za rękę.

Jeżeli sądziła, że muzyka działa uzdrawiająco, to modlitwa do świętego Jana Chrzciciela podziałała na wszystkie jej zmysły. Kiedy mnisi zaczęli wyśpiewywać łacińskie frazy, powietrze się poruszyło. Kościół wypełniło światło, jak gdyby słońce wyłoniło się zza chmury, a słuchacze, uspokojeni delikatną muzyką, jaka rozbrzmiewała w tym wnętrzu jeszcze kilka minut temu, zostali naraz pobudzeni. Ku zaskoczeniu Callie tonami starożytnej gamy wibrowało nie tylko powietrze: wibracje zdawały się odbijać od jej skóry, począwszy od blizny na dłoni. Unosiły włoski na rękach i karku, by przenieść się na kolejną osobę, pobudzając wszystkich słuchaczy do życia i wiążąc ich razem niewidocznymi nićmi.

Najpierw doszedł ją zapach jaśminu, potem sosny, choć żadnej z tych roślin nie było w pobliżu. I ledwie wyczuwalny aromat pomarańczy. Czuła też na języku smak gałki muszkatołowej i cynamonu.

Wtedy stało się coś jeszcze dziwniejszego. Białe ściany, które jeszcze przed

chwilą przypominały niezamalowane płótna, zaczęły wypełniać się kolorami i wzorami, jak ze zdjęć wodnych kryształów, które widziała, albo jak płatki śniegu, ale z kolorami i ruchem, niczym mandale tworzone przez nuty. Słyszała o ludziach, którzy potrafią „widzieć” dźwięki, ale nie rozumiała tego aż do teraz. Wraz ze zmianą tonów mandale – bo tym właśnie były – również się zmieniły, rysując wielokrotnie swoje wzory, podczas gdy muzyka sfer – którą czasem delikatnie słyszała podczas medytacji – całkowicie wypełniła kościół.

I nagle oczami wyobraźni zobaczyła Olivię i jej przyjaciółki, tak jak wyglądały ostatniej nocy. Ubrane w kostiumy. Młode. Wolne. Może niezbyt mądre. Na pewno naiwne. Nieświadome konsekwencji. I uświadomiła sobie coś, czego nie wiedziała wcześniej. Nie były złe. Były pełne życia. I nie otaczała ich śmierć. Callie też nie.

Otworzyła oczy. Spojrzała na Paula. Był tutaj, tak jak ona. Byli razem. Oboje byli żywi w każdym tego słowa znaczeniu. To nie działało się dwadzieścia pięć lat temu. To nie działało się nawet miesiąc temu. To się działo teraz.

Pojutrze miała wracać za ocean, ale była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęła.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała – szepnęła jej do ucha. – Zostań.

Przechyliła głowę, jak gdyby chciała spojrzeć na niego z innej perspektywy, by ocenić szczerść jego słów.

– Zostań ze mną.

– Dobrze.

* * *

W następnych tygodniach zaczęli poważnie rozmawiać o tym, by pozostać w Materze na dłużej. Prace konserwatorskie trwały, a promotor Paula mówił o kilku kolejnych okolicznych kościołach, które również potrzebowały renowacji, i zaczął nawet starać się o kolejne granty. Zapytał swojego doktoranta, czy jest zainteresowany kontynuowaniem projektu.

Callie spędzała dni jak poprzednio, włócząc się po porzuconej dzielnicy Sassi. Wspinając się po każdym zapuszczonych schodach, na jakie tylko się natknęła, odkrywając cudowne miejsca i widoki. Każda ścieżka wydawała się magiczna, jak gdyby pojawiła się dopiero w chwili, gdy Callie do niej doszła. Jasność światła i cisza kamienia najpierw ukoila, a potem wymazała przeszłość. Zaczęła wierzyć w stare powiedzenie: tufo naprawdę osuszało łyzy.

Jeśli w *Pride's Crossing* Paul wyglądał, jakby uciekł z okładki magazynu „GQ”, to teraz przeobraził się w Indianę Jonesa. Szczerze mówiąc, jego wygląd

zdawał się lekko modyfikować za każdym razem, gdy na niego patrzyła, jakby był istotą zmiennokształtną albo kameleonem, który zmienia kolory zależnie od środowiska. W tym miejscu podobał się jej najbardziej.

Pod koniec każdego dnia była tak zmęczona, że nie miała siły myśleć, a to było dla niej błogosławieństwem. Niemal co wieczór, kiedy Paul wracał z pracy, spotykali się na obiad z jego przyjaciółmi i wspólnie opróżniali butelkę Aglianico, po czym padali razem na łóżko, a ich ciała były zarazem wyczerpane i elektryzujące. Koszmary zniknęły, senne wspomnienia zostały wymazane.

Była świadoma, że jego przyjaciele mają ją za dziwną i że pewnie na taką wygląda. Nie mówiła po włosku, a jej samotne spacerunki po dzielnicy nie przechodziły bez echa. Paul wyznał jej, że wymyślili dla niej różne przezwiska: „dziewczyna z różą na dłoni”, „włóczykijka”, „dziewczyna, która boi się drzew”.

Właściwie jedyne drzewo, na które spojrzała Callie od swojego przyjazdu, to było to namalowane na ścianie Cripta del Peccato Originale, czyli Krypty Grzechu Pierworodnego – jednej z nielicznych skalnych świątyń, które zostały w pełni odrestaurowane. Jak później głosiło jej przezwisko, kiedy po raz pierwszy zobaczyła drzewo wiedzy, rzeczywiście trochę się przestraszyła, ale szybko zapomniała o strachu. Była już dwa razy w Krypcie Grzechu Pierworodnego z Paulem i jego przyjaciółmi. Pierwsza wizyta miała na celu oględziny drzewa. Za drugim razem chcieli porównać malunek z freskami, które odnawiał zespół Paula. Podobieństwo było niewielkie. Styl artysty i zastosowane kolory bardzo się różniły, uznali więc, że freski odnawiane przez Paula i malowidło drzewa prawdopodobnie pochodzą z różnych okresów.

W jaskini, nad którą pracował Paul, była tylko raz. Musieli się wyprawić na dół, aż do zbocza wąwozu, by się do niej dostać. Nie prowadził tam żaden udeptany szlak, nie było poręczy, a klify były strome. Raz się poślizgnęła, a w dół niepokojąco osunęły się kamienie. Gdyby Paul nie chwycił jej za rękę, spadłaby za nimi. Kilka dni później wynajęto ekipę, której zadaniem było utworzenie lepszej ścieżki i zamontowanie sznurowej poręczy.

Prace Paula, które miała okazję widzieć, były intrygujące. Na trzech ścianach jaskini odsłonięto freski religijne, ale ściana wschodnia pozostała nietknięta. Woda spływająca z pobliskiego wzgórza spowodowała spore szkody i kiedy ekipa zaczęła sprzątać, całe fragmenty fresków uległy zniszczeniu. Należało zamknąć jaskinię i zmienić bieg wody, co było powodem, dla którego Paul wrócił do Pride's Crossing na święta. Choć na wiosnę wznowiono prace w jaskini, nie było jasne, czy ta ściana kiedykolwiek zostanie naprawiona. Wszystkie powierzchnie pokrywała sadza, którą trzeba było najpierw ostrożnie usunąć, ta jednak była szczególnie delikatna.

– Czy to po świecach mszalnych? – zapytała Callie, wskazując na warstwy tłustego osadu z dymu, który ekipa ostrożnie ścierała ze ścian.

– Głównie po pasterzach – odpowiedział Paul. – Wprowadzili się tu ze zwierzętami po tym, jak chrześcijaństwo wyszło z ukrycia i przeniosło się do bardziej wystawnych miejsc. To przez ogniska, przy których się ogrzewali.

Wyszło z ukrycia. Czy to właśnie robię? – zastanawiała się Callie. Ukrywam się?

Poprzedniego dnia odwiedziła kościół San Pietro Caveoso, aby zobaczyć portyk Matki Boskiej Bolesnej, która pod swoją peleryną ukrywała potrzebujących schronienia. Odziani w kaptury suplikanci wyglądali jak pozbawione twarzy dzieci. Dowiedziała się od Paula i jego przyjaciół, że Sassi ma wieloletnią tradycję ukrywania ludzi, którzy nie chcieli być znalezieni: od tych prześladowanych za przekonania religijne po Hannibala, który chował się przed wrogami. Nawet klasztor, w którym mieszkali razem z Paulem, był niegdyś miejscem schronienia dla kobiet, które przed czymś uciekały.

Czy ja też przed czymś uciekam? Pewnie tak. I to działa.

Paul wyjaśnił jej, że włoski rząd przewiduje dofinansowania dla ludzi, którzy chcą przeprowadzić się do Sassi i odnowić niektóre z porzuconych domów. Nie jaskinie, a struktury nad nimi, skorupy dawnych domostw, teraz w większości opustoszałe.

– Mogłbym to zrobić – powiedział. – Moglibyśmy zrobić to razem. Byłoby fajnie.

Bez wątpienia miał wszystko, co potrzeba. Płynnie mówił po włosku, a jego praca z jaskiniami zaznajomiła go z biurokracją związaną z uzyskiwaniem pozwoleń i rządowymi ograniczeniami.

– Moglibyśmy zamieszkać tu na stałe, gdybyś chciała.

Wspomniął o tym pomysle tak nonszalancko, jak gdyby ją sprawdzał.

Bardzo spodobał się jej ten pomysł. Sassi było pierwszym miejscem, w którym poczuła się jak w domu. Może po raz pierwszy w życiu.

Zaczęli więc oglądać niezamieszkałe budynki, wyobrażając sobie, co by zrobili z tym czy z tamtym. Callie snuła fantazje na temat życia tutaj. Mieszkaliby w jednym ze starych domów, Paul odnawiałby skalne kościoły. A ona uczyłaby się włoskiego i zaczęła udzielać w szkole muzycznej, organizując pewnego rodzaju praktykę terapeutyczną.

Tego dnia Paul pracował, a ona zwiedzała kolejne opuszczone domy. Od wczesnego ranka nie spotkała nikogo na ulicy. Zastanawiała się, po których schodach pójść, kiedy zaniepokoiły ją odgłosy zbliżających się szybko kroków.

– Szukam cię już od ponad godziny... – Paul wyłonił się zza rogu. – Chodź ze mną, musisz coś zobaczyć.

Z nową linową poręczą wyprawa na dół do jaskini stała się dużo prostsza. Callie zauważyła, że przy wejściu zamontowano też lampę łukową, tworząc jakby sztuczne słońce. Freski nabrały przez to upiornej świetlistości. Pieta na północnej

ścianie miała teraz poświatę, która zdawała się emanować bezpośrednio od twarzy Chrystusa. Paul wziął dziewczynę za rękę.

– Tutaj – powiedział, prowadząc ją do wschodniej ściany. – Pod pierwszym freskiem znaleźliśmy kolejny, starszy...

Wschodnia ściana, ta zniszczona przez wodę.

Kiedy pracownicy zobaczyli Callie, rozstąpili się, by miała lepszy widok. Zebrali się za jej plecami i Callie wyczuwała ich podekscytowanie. Na początku nie była pewna, co widzi. Po chwili, powoli zaczęła dostrzegać krzyżujące się linie.

– To drzewo.

– I to nie byle jakie – odparł Paul.

Nie zostało jedynie namalowane na kamieniu, ale też w nim wyryte, co tłumaczyło sypanie się fresków naruszonych przez wodę. Jego korzenie sięgały do samej ziemi, a gałęzie pięły się ku górze. Całe malowidło wyglądało, jakby rozciągało się na każdy centymetr wschodniej ściany.

– Uważamy, że to bardzo wczesna wersja drzewa świata – wyjaśnił Paul. – Yggdrasil.

– Jak drzewo, które widzieliśmy w Krypcie Grzechu Pierworodnego?

– Nie! Tamto to drzewo wiedzy. To jest drugie drzewo z Edenu opisane w Księdze Rodzaju: drzewo życia. Znane też jako drzewo świata. Można je nawet nazwać drzewem nieśmiertelności. Zgodnie z nordycką mitologią Yggdrasil było miejscem, w którym Odyn wisiał do góry nogami, aby zdobyć runę władzy.

– Czekaj... Uważasz, że to nordyckie malowidło?

– Nie, mezopotamskie.

Teraz naprawdę się pogubiła.

– Wizerunek drzewa świata z doliny Indusu przeniknęło do wielu później powstałych religii. W tym do naszego Starego Testamentu. Ogród Eden na przykład. – Ucisnął ją. – Tu łączą się wszystkie starożytne religie. Jeśli mamy rację, to jest to ogromne odkrycie!

Drzewo przedstawiało niemal idealną symetrię od korzeni po gałęzie.

– Jak na górze, tak na dole – ekscytował się Paul. – To powiedzenie wywodzące się z filozofii hermetycznej[28]. Ann korzysta z niego czasem w swojej praktyce magicznej, ale fraza ta, jak i koncept pojawiają się w różnym stopniu niemal w każdej kulturze i religii. Nawet fraza „tak w niebie, jak i na ziemi” z *Ojciec nasz* odnosi się do tej symetrii.

Jego entuzjazm był zaraźliwy. Paul był w swoim żywiole. Jeśli wcześniej Callie *myślała*, że go kocha, teraz była tego pewna.

– To może być jedno z najstarszych udokumentowanych przedstawień motywu. Mój promotor poprosił już Watykan o przysłanie dwóch swoich specjalistów od antyku, którzy sfotografowaliby malowidło i je zbadali.

* * *

Znakomite wieści dotarły też do Emily i Finna, którzy wysłali telegram z gratulacjami. Właśnie wrócili z Florydy i twierdzili, że Emily czuje się jak nowo narodzona.

Paul i jego ekipa postanowili uczcić sukces w hotelu Palazzo Gattini. Impreza zakończyła się późno w nocy, była muzyka i tańce, które, im robiło się później, stawały się coraz bardziej dzikie. Wino lało się strumieniami. W ekipie powstawały też nietypowe pary, co kojarzyło się Callie z nieco bardziej powściągliwą wersją *Bachanaliów* Rubensa.

Paul na chwilę opuścił imprezę, a kiedy wrócił, wziął dziewczynę za rękę i odciągnął na moment od rozszalałego tłumu na balkon, z którego roztaczał się widok na dachy Sassi. W dłoni trzymał kopertę.

Wręczył jej list.

Pochodził od włoskiego rządu. Spojrzała na niego zagubionym wzrokiem. Pomijając oficjalny nagłówek, nie rozumiała ani słowa.

– Sprawdzalem, co musielibyśmy zrobić, żeby się wprowadzić i odrestaurować jeden ze starych domów – oznajmił.

– I co powiedzieli?

– Że możemy zacząć się rozglądać.

– Naprawdę?

– Nadal chcesz tu mieszkać?

– Tak.

Uśmiechnął się.

– Ja też. – Pocałował ją. – Kocham cię, Callie Cahill.

– Ja też cię kocham.

* * *

Następnego dnia wybrali dom. Wielokrotnie go podziwiali. Znajdował się niedaleko od klasztoru i już od jakiegoś czasu mu się przyglądali. Został usytuowany na krawędzi wąwozu, w miejscu, w którym łączyły się trzy partie schodów. Widać było z niego rzekę poniżej i jaskinie po drugiej stronie kanionu. Choć była to właściwie tylko skorupa starego domu i wymagała ogromnego

nakładu pracy, zanim mogliby się wprowadzić, widzieli potencjał. Lokalizacja była idealna.

Callie i Paul zaczęli też odwiedzać wszystkie skalne kościoły: nieliczne, które zostały odnowione, i wiele innych, którymi można by się zająć. Pracy było na lata. I ta myśl sprawiała, że Callie czuła się szczęśliwa.

Drugiego kwietnia udali się do Krypty Grzechu Pierworodnego po raz trzeci. Kościół, który został odrestaurowany w najdrobniejszych szczegółach, miał odgrywać znaczącą rolę pracy doktorskiej Paula. Stanowił wspaniały przykład możliwości renowatorów.

Stali obok siebie w ciemności, słuchając prezentacji, gdy jedno po drugim zapaliły się światła wokół jaskini, oświetlając każdy fresk, aż w końcu zatrzymując się nad tym, który przyszli zobaczyć. Chodziło nie o drzewo życia Paula z jaskini po drugiej stronie wąwozu, a drugie święte drzewo z Edenu. Callie wstrzymała oddech. Za każdym razem, gdy widziała drzewo wiedzy, coraz bardziej była pod jego wpływem. Nie mogła oderwać oczu od węża owiniętego wokół pnia, oddzielającego jasność od ciemności, Adama od Ewy.

– Nie jest to dokładnie drzewo wiedzy, które opisuje Biblia. Stosowniejszym tłumaczeniem byłoby drzewo poznania dobra i zła. Decydując się poznać drzewo, decydujesz się wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. – Pokazał na węża, który wił się pomiędzy korzeniami. – Grzech pierworodny to granica oddzielająca niewinność od odpowiedzialności.

Callie akceptowała teorię grzechu pierworodnego, bycia urodzonym w smutku, a nawet zepsuciu, które już na człowieka czekało. Zdawało się jej, że taka jest kolej rzeczy, odzwierciedlająca niezadowolenie, zapewniająca postęp ludzkości. Tego, czy chrzest jest w stanie to wymazać, nie była do końca pewna. Chciała wierzyć, że taka jest prawda. Ale może chrzest bardziej maskuje grzech, niż go wymazuje? Tak jak jeden fresk zasłania to, co leży pod nim. Podobnie jak wszystko zasłonić może sadza z ogniska.

Kiedy tak przed nim stała, ujrzała wizję drzewa Rose rosnącego na podwórku Towner niczym cichy świadek historii. Wydawało się jej, że teraz rozumie przywiązanie Rose. To nie była dendrolatria, jak uważał Finn. To było coś wspanialszego. Ludzie są wrośnięci w ziemię jak drzewa. I Callie miała nadzieję, że jakaś forma heliocentryczności ciągnie ludzkość w stronę światła.

Mocniej zacisnęła rękę na dłoni Paula.

Nagle zawibrował mu telefon. Zerknął na numer i wyszedł z jaskini, by złapać lepszy zasięg, pokazując Callie, by została aż do zakończenia prezentacji.

Światło południowego słońca było oślepiające, kiedy dziewczyna wyszła z cieniejszej krypty. Powoli przemierzała kolejne stopnie schodów, czekając, aż przyzwyczają się jej oczy. Na szczycie zobaczyła gaj oliwny. Jak to się stało, że wcześniej go przegapiła? Zauważyła tylko winnicę tam, gdzie Paul zaparkował

samochód. Nie widziała jednak żadnych drzew.

Znalazła go nad krawędzią wąwozu, z drzewami i winnicą w tle. Była to kompozycja podobna do starożytnych krajobrazów, jakie Paul odkrywał w jaskiniach. Zaczęła mu o tym mówić, gdy zorientowała się, że nadal trzyma w dłoni telefon, lecz jego ręka wisi wzdłuż boku. Z jego miny trudno było cokolwiek odczytać.

– Dzwonił ojciec. Dziś rano zmarła mama.

[26] Cytat pochodzi z Biblii Tysiąclecia.

[27] Palazzo (wł., l. mn. palazzi) – budynek, kamienica.

[28] Hermetyzm – renesansowa myśl mistyczna, zakładająca jedność wszechświata, w którym wydarzenia zachodzą na różnych poziomach w tym samym czasie. Opiera się na grupie osiemnastu traktatów z hellenistycznej Aleksandrii pt. *Corpus Hermeticum*.

ROZDZIAŁ 33

*8 kwietnia 2015
Pride's Crossing*

Banshee nie zawsze była przerażającą istotą. To jej uwięzienie i zmniejszenie wywołało przemianę, czyniąc z niej budzącą postrach staruchę, którą rozpoznajemy dopiero, gdy po nas przyjdzie.

Księga drzew Rose

Rafferty był zadowolony, że widzi Callie i Paula razem, choć oboje wyglądali mizernie. Był pewien, że Paul czuje się winny za to, że przebywał za granicą, kiedy jego matka zmarła. Wraz z Towner kilka razy widzieli się z Emily i Finnem po ich powrocie z Florydy i wyglądała tak dobrze, że Rafferty zaczął się nawet zastanawiać, czy nie jest to całkowita remisja.

Spojrzał na Martę stojącą obok Finna. Zbyt blisko, jak na oko Rafferty'ego. Nigdy nie przepadał za starym Whitingiem. Nabożeństwo na cmentarzu trwało dłużej, niż Rafferty się spodziewał. Na szczęście powiedział Jay-Jayowi, że mogą

zacząć ekshumację bez niego. Na ziemi nadal leżały płachty śniegu, a zaspy zepchnięte przez pługi nie stopnieją pewnie aż do maja. Był to pierwszy dzień, kiedy ziemia została na tyle odsłonięta, że można było pochować zmarłych – albo wykopać ich ciała – i wszystkie te rzeczy działały się naraz.

A jakby jeszcze było za mało nieszczęść, dziś dostałby monetę w AA za dwadzieścia pięć lat wytrwania w trzeźwości. A tymczasem jego nowa rocznica będzie jutro. I dopiero druga.

Towner trzymała go pod rękę, uczestnicząc w modlitwie i próbując powstrzymać łzy.

Choć msza miała być ekumeniczna, przewodniczył arcybiskup McCauley. Zamiast zacząć od pierwszej modlitwy w tradycyjnym nabożeństwie żałobnym, skończył nią:

– *Requiem aeternam dona eis, Domine.* – Zwrócił się do zebranych i przetłumaczył: – Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie.

– A światłość wiekuista niechaj jej świeci. – Rafferty włączył się w tradycyjną odpowiedź, czyniąc na koniec znak krzyża.

– Przykro mi, że nie mogę zostać na stypę – powiedział do Towner, kiedy opuszczali cmentarz.

– Wszyscy to zrozumieją – odparła.

Wsiadł do cruisera i jako pierwszy odjechał z miejsca pochówku. Nie chciał, żeby zrobiono za duże postępy w robocie bez jego udziału. Jay-Jay nie był zbyt stanowczy, Rafferty musiał sprawdzić, że zespół przeprowadzający ekshumację nie przekroczy swoich uprawnień. Chciał też mieć pewność, że gapie będą trzymani na dystans.

Wyjechał z Pride's Crossing przez most i zaparkował pod cmentarzem Greenlawn. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był tłum otaczający trzy groby.

W bezpośrednim pogwałceniu procedury dwie pierwsze sosnowe trumny zostały otwarte na miejscu i kiedy wysiadł z samochodu, ekipa zabierała się właśnie do ostatniej. Fotograf z „Dziennika Salem” nachylił się, aby pstryknąć zdjęcie.

– Hej! – zawołał Rafferty. Pobiegł ile sił w nogach do otwartych trumien, spojrział i poczuł nagły napływ adrenaliny.

Wszystkie trumny były puste.

* * *

Callie nie była na grobie Olivii od listopada zeszłego roku. Teraz, kilka

godzin po szoku, jakim był dla niej pogrzeb Emily, stała w gasnącym świetle późnego popołudnia i wpatrywała się tępo w miejsce, w którym powinno było spoczywać ciało jej matki. Przywiodło to wspomnienia poranka po morderstwach, kiedy stała nad krawędzią rozpadliny. Wszystko wydawało się zniekształcone, wirowało. Przez chwilę wydawało się jej, że zemdleje.

– Kto to zrobił? – zapytała, próbując odzyskać równowagę.

Nikt nie odpowiedział. Towner wzięła Callie pod rękę i wszyscy w milczeniu ruszyli z powrotem do cruisera.

– Co za chory wariat zrobiłby coś takiego? – Chciała wiedzieć Callie.

– Ktoś, kto próbował zatrzeć za sobą ślady. – Rafferty nie miał wątpliwości.

Tego dnia zdarzyło się stanowczo zbyt wiele.

Po pogrzebie Emily Paul zaczął pić i wciągnął arcybiskupa McCauleya w głośną rozmowę na temat poglądów Kościoła co do niewierności. Duchowny szybko zdołał się z niej wyplątać, ale Finn powiedział:

– Musisz się nauczyć, kiedy nie otwierać gęby, synu.

– A ty musisz się nauczyć, kiedy nie rozsuwać rozporoka, tato.

Wszyscy zamilkli. Po chwili Paul wyszedł, zostawiając Callie samą. Dokładnie wtedy odebrała telefon od Rafferty'ego z informacją, że ciało jej matki zniknęło.

– Proszę, nie przestawaj szukać mordercy – poprosiła go teraz z oczami pełnymi łez. – Nigdy sobie z tym wszystkim nie poradzę, jeśli nie dowiem się, kto to zrobił. – Taka była smutna prawda i oboje z Raffertym dobrze o tym wiedzieli. Callie odwróciła się i powoli poszła do samochodu.

Rafferty patrzył, jak odchodzi. Towner, która przyjechała z nią, poczekała na niego, gdy rozmawiał z grabarzem.

Choć ziemia wokół grobów nie wyglądała na niedawno skopaną, zauważył, że trzydziestometrowy pas trawy wokół grobów ciągnący się na pobliskie wzgórze jest nieco jaśniejszy niż pozostała zieleń.

– Na całym tym obszarze położono nową murawę, niedługo przed tym, jak dostałem tę pracę – wyjaśnił grabarz.

– Kiedy to było? – zapytał Rafferty. Na pewno niedawno. Dzieciak wyglądał, jakby ledwie skończył liceum.

– W drugim tygodniu grudnia – wyjaśnił. – Gość, który pracował tu przede mną, postanowił wtedy przejść na emeryturę, więc dostałem jego posadę.

– Czy grudzień to nie za późno na sianie trawy? – zainteresował się Rafferty.

Dzieciak podniósł ramiona do góry.

Rafferty właśnie położył nowy trawnik przed swoim domem w Willows, który wynajmował. Jak się przekonał, jesień jest najlepszym czasem na sadzenie trawy. Przetrawanie zimy dawało źdźbłom szansę, by odpowiednio mocno zapuścić korzenie. Ale zwykle robiło się to wczesną, a nie późną jesienią.

– Był jakiś konkretny powód, dla którego położono trawę na całym tym pasie? – zapytał Rafferty.

Dzieciak znów wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Rafferty wrócił do Towner.

– Wszystko będzie w porządku – powiedziała, widząc jego frustrację.

– Chciałbym, żeby to była prawda. – Nie był już wcale pewny, czy to Leah Kormos była morderczynią. Wspomniał już o tym Callie, ale teraz miał jeszcze więcej wątpliwości. Leah zniknęła wiele lat temu, a ten, kto zabrał ciała, zrobił to dość niedawno, zdecydowanie zanim spadły pierwsze śniegi. Mimo to coś mu mówiło, że jeśli znajdzie Leah, odkryje też klucz do rozwiązania całej zagadki.

ROZDZIAŁ 34



9 kwietnia 2015

Salem

Powiedz mi, czego chcesz, a powiem ci, kim myślisz, że jesteś. Powiedz mi, czego się boisz, a powiem ci, kim naprawdę jesteś.

Księga drzew Rose

Następnego dnia po ekshumacjach Rafferty niespodziewanie otrzymał rocznicowy tort. Ten zwyczaj był relatywnie nowym fenomenem w AA, czymś, co zasugerował jakiś uczestnik spotkań w Los Angeles. „Tak to się robi na Zachodzie” – miał powiedzieć. Ale w Salem pełno były nowicjuszy i tort nie zdarzył się od tak dawna, że Rafferty zapomniał, iż w ogóle istnieje taka możliwość. Nie zapomniał jednak nawet na moment, co to był za dzień, albo raczej: jaki to miał być dzień, ale nie był.

Kiedy moderator wniósł tort z zapalonymi dwudziestoma pięcioma świeczkami, Rafferty zerwał się z miejsca. Ignorując protesty grupy i zaskoczone

miny współtowarzyszy, wyszedł tylnymi drzwiami, po czym zbiegł po schodach, zostawiając Jay-Jaya bez słowa wyjaśnienia, nawet się nie odwracając.

Nie wziął nowej monety AA, od kiedy tamtego wieczoru sięgnął po kieliszek, choć więcej się już nie napił. Ale też nigdy nie wspomniał o swoim potknięciu na żadnym ze spotkań ani nawet swojemu sponsorowi, choć wiedział, że z wielu względów źle robi. Racjonalizował swoje milczenie: jest komendantem policji, ludzie nie mogą wiedzieć, że złamał się w trzeźwości. Tak sobie to tłumaczył, ale nie była to prawda. Gdyby to się stało komuś, kogo sponsorował, od razu wygarnąłby mu, jaki to kit.

– Szefie, zaczekaj! – Jay-Jay przywołał Rafferty’ego z powrotem do teraźniejszości. Policjant był cały zziębnięty, gdy w końcu go dogonił. – Co to, do cholery, było? Nie lubisz tortu czy co? Jak można nie lubić tortu?

Rafferty mruknął coś pod nosem.

– G.W.S.Z! – powiedział Jay-Jay.

Rafferty zatrzymał się poirytowany.

– Głodny, wściekły, samotny, zmęczony – zaintonował policjant, wsadzając dłonie w kieszenie spodni, które były o rozmiar za duże, i równając krok z Raffertym. – Nie wolno nam pozwolić sobie czuć którejkolwiek z tych rzeczy, a ty czujesz wszystkie cztery. Gdybyś zjadł kawałek tortu, wyeliminowałbyś przynajmniej jedną z nich.

Jay-Jay traktował AA z ogromnym entuzjazmem, który był niemal obezwładniający. Była to ostatnia rzecz, jakiej spodziewał się po nim Rafferty.

– Nie jestem samotny.

– Jeśli myślisz, że zostawię cię w takim stanie, to nie znasz mnie zbyt dobrze.

Prawda była taka, że Rafferty znał Jay-Jaya LaLiberte dużo lepiej, niż by chciał.

– Wracaj na spotkanie.

– Jesteś tak chory, jak twoje sekrety – powiedział Jay-Jay, cytując kolejną mantrę AA.

Gdybyś tylko wiedział, jakie sekrety ukrywam – pomyślał Rafferty. Z każdym mijającym dniem czuł się z tego powodu coraz gorzej.

Jego potknięcie trwało tylko jeden dzień. A właściwie jedną noc.

Zaczął się od restauracji na Pickering Wharf na gali dobroczynnej Rady Edukacyjnej Czarownic z Salem, organizacji działającej przeciw zniesławieniu, mającej na celu edukację społeczeństwa na temat religii Wicca i dobrych uczynków czarownic wobec całej społeczności. Jako komendant Rafferty zawsze miał obowiązki reprezentacyjne i listę wydarzeń, na których musiał się pokazywać. Nie znosił tej części swojej pracy.

– Wystarczy, że się pojawisz – mówił mu burmistrz. – Potem możesz się

wymknąć.

Było to ostatnie miejsce, w które powinien się udać. Ale był tak załamany po tym, jak razem z Towner legalnie zatwierdzili stan separacji tego dnia, że nie myślał logicznie. Jakby nie wystarczyło, że już się wyprowadził, Towner czuła potrzebę opuszczenia miasta i przeniosła się na Yellow Dog. Jak gdyby oddzielenie się wodą w jakiś sposób ostatecznie przypieczętowało rozstanie... Tego wieczoru oczekiwano jednak jego obecności, zatem nie wiedząc, co innego ze sobą zrobić, pojawił się na gali. I kiedy tylko wszedł do środka, zdał sobie sprawę, że to pomyłka.

Ann od razu zorientowała się, że coś jest nie tak.

– Co cię trapi? – zapytała, widząc jego minę.

– Nic – odparł. Nie mógł o tym rozmawiać z Ann. Nie tak, by całkowicie się nie załamać. Poszedł na drugi koniec sali, jak najdalej od jedynej osoby, która, jak wiedział, jest w stanie go przejrzeć.

Kiedy Finn podał mu zielony płyn, myślał, że to poncz. Ann zawsze serwowała jakiś magiczny ziołowy napój i coś, co nazywała pyłem wrózek. Dopytał o to za pierwszym razem, kiedy próbowała mu go podać.

– Na litość, przecież to cukier puder! – wyjaśniła ze śmiechem. – Nie jestem na tyle głupia, żeby dać ci coś mocniejszego.

Nigdy jej się nie przyznał, że ma problem z alkoholem – ona zawsze po prostu wiedziała. Była to jedna z wielu rzeczy, którą wiedziała, choć nikt jej nie powiedział: ta umiejętność nie raz nieźle go wystraszyła.

– Nie powinno cię to zaskakiwać – powiedziała do niego Towner w czasach, gdy dopiero zaczynali się spotykać. – Ann nie tylko jest czarownicą, ale potrafi też czytać.

– W myślach?

– W myślach, w koronkach, z dłoni, z guzów na czole. Niewiele spraw jej umyka.

Rafferty był najbliżej uwierzenia w paranormalne zjawiska w dzień śmierci swojej matki, kiedy słyszał i widział banshee. Owszem, wierzył, że niektórzy ludzie są obdarzeni silną intuicją i Ann zdecydowanie do nich należała, podobnie jak Towner. Wolał jednak myśleć o tego typu darach w sposób naukowy, jakby wynikały z aktywności niezbadanego do końca obszaru mózgu. Albo nielinearnej teorii czasu, którą Ann zawsze próbowała pożenić z nauką. Zawsze jednak zdecydowanie odrzucał istnienie duchów i zjaw, choć tego dnia był pewien, że już zawsze będą go nawiedzały myśli o Towner.

Tamtej nocy nie chciał o niej myśleć. Zupełnie by się załamał. Próbował odepchnąć ją gdzieś na bok, choć wiedział, że wszystko na próżno. Zamieszkała w jego głowie od pierwszego dnia, kiedy się poznali, i nie miał pojęcia, co ma teraz robić.

Wziął drinka od Finna i podniósł do ust. Smakował jak lukrecja, tylko nieco lepiej.

– Co, do cholery? – Zdał sobie sprawę, że to absynt od razu, gdy tylko spróbował. Przeklęta „zielona wróżka”. Z powrotem wepchnął Finnowi szklankę w rękę.

– Pij – odparł Whiting. – Ona nie jest warta twojego cierpienia.

Później, gdy o tym myślał, wydawało mu się, że patrzył wtedy w twarz samemu diabłu. Wziął szklankę.

Tamtego wieczoru Marta pomachała do Rafferty’ego z odległego końca restauracji. Skinął do niej głową, ale nie podszedł bliżej.

– Co tu robi Marta? – zapytał Finna.

– Ann płaci jej, żeby zebrała środki dla Rady Edukacyjnej Czarownic – odpowiedział.

Była to jedna z najdziwniejszych rzeczy, jaką Rafferty kiedykolwiek słyszał: Marta zbierająca pieniądze dla wiedźm? Wszyscy wiedzieli, że ich nienawidzi i nie może znieść tego, że porównywały się ze skazanymi z tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. „To podobieństwo nie istniało wtedy i nie powinno istnieć teraz” – zwykła mawiać.

Mimo to, odkąd Marta przeprowadziła się z powrotem na Północne Wybrzeże, nie miała sobie równych w zbieraniu dotacji. A poza tym łączyło ją z Ann coś, czego Rafferty nie mógł do końca zrozumieć. Ann powiedziała mu kiedyś:

– Większość moich ziół pochodzi z jej ogrodów.

– A co dostaje od ciebie w zamian?

– Nigdy tego nie zdradzę.

– Pewnie jakiś miłosny eliksir – zażartował Rafferty. – I chyba wiemy, komu go dolewa.

Pił właśnie drugą szklaneczkę absyntu. Rozpoznał uczucie spadania i rozluźnianie się mięśni, które zawsze witał z taką przyjemnością. To uczucie było jak stary przyjaciel, o którym dobrze wiesz, że nie ma na ciebie dobrego wpływu. Dostrzegał coś pocieszającego w tym rozpoznaniu, ale też coś nierozpoznanego, jak obcy kryjący się w ciemnościach, ktoś, na kogo nie chcesz bezpośrednio patrzeć z obawy przed tym, co możesz zobaczyć.

– Moja rodzina zabiła na tym fortunę. – Usłyszał, jak Finn tłumaczy innemu gościowi. – Najwyższa jakość. Piołun i w ogóle. Tujon nieruszony. Przeszmuglowany z Hiszpanii, kiedy we Francji był nielegalny.

Rafferty mógł wtedy przestać, ale nie chciał. Zstąpiła na niego błogosławiona nieświadomość, tworząc emocjonalną pustkę, której tak pragnął. Bardziej niż czegokolwiek innego. Chciał zapomnieć.

Finn nalał mu kolejną szklaneczkę.

Ale ta znowu przyniosła odmienny rezultat. Z każdym łykiem jego zmysły się wyostrzały. Na pierwszy ogień poszedł smak. Nie tylko był w stanie wyczuć bukiet mieszanki ziół, ale potrafił też odróżnić składowe: lekka goryczka szybko zniknęła, odsłaniając anyżek i koper włoski, które znajdowały się pod spodem.

Następnie poprawił mu się wzrok i wszystko wydało się wyraźniejsze. Kolory na aksamitnej sukni Ann zaczęły migotać, a twarz Finna błyszczała w świetle górnego reflektora.

Kiedy Ann dotknęła jego ramienia, jego ciało przeszło wibrujące uczucie, jakby stał się instrumentem strunowym. Zrobił krok w tył i wpadł na kelnera niosącego tace z przystawkami.

– Co jest z tobą, do cholery? – zapytała.

Zobaczył, jak Marta zbliża się w jego stronę z grupą koleżanek i wykonał kolejny krok w tył, tym razem niemal potykając się o innego gościa za swoimi plecami.

– Wyjdźmy na powietrze – zaproponowała Ann. Wyjęła mu z dłoni szklanekę i podała ją kelnerowi, po czym wzięła go pod rękę i zaprowadziła do drzwi.

Letnie powietrze tylko pogorszyło sytuację. Rafferty poczuł słoną bryzę znad przystani i zapach morza zalał jego nozdrza. Pachniało jak dzieciństwo, starymi domami na plaży na Long Island Sound i statkami, które niegdyś pływały po tych północnych wodach. I czy było to skojarzenie, czy urojenie, Rafferty mógł przysiąc, że czuje zapach papryki, którą kiedyś transportowano na tych starych łajbach. Wrażenie było tak mocne, że musiał się powstrzymać, by nie kichnąć.

Spojrzał w stronę wyspy Yellow Dog, ale dostrzegł jedynie ciemność. Wypełniało go przerażenie na wspomnienie tego, co zrobili z Towner kilka godzin wcześniej. Ponownie zdał sobie sprawę z tego, co to oznacza.

Ann poprowadziła go w stronę swojego sklepu i przez tylne drzwi wprowadziła do biura, dla pewności że nie zobaczą go młode czarownice pracujące od frontu. Za jej gabinetem znajdował się pokój, o którym słyszał, ale nigdy go nie widział, i to właśnie do niego zaprowadziła go tamtej nocy. Wygląda jak wiccański burdel – pomyślał. – Z tymi koralikowymi zasłonami, mosiężnym łóżkiem, poduszkami z czerwonego aksamitu na podłodze i symbolami natury. W rogu stał stolicek z kryształową kulą i koronką, z której Ann wyczytywała przyszłość. Określała to miejsce mianem pokoju medytacyjnego, ale mężczyźni nazywali go inaczej. Aż do tamtej nocy nie wierzył, że pokój istnieje naprawdę.

– Wypij to. – Podała mu filiżankę ziołowej herbaty.

Usiadł niepewnie na skraju łóżka.

– Co to? – zapytał.

– Powiedzmy, że antidotum.

Myślał, że odnosi się do absyntu, więc wypił. Jak na faceta, który nie wierzy w czary, zaczął powoli wierzyć, że to możliwe. Kręciło mu się w głowie. Zrobiło

mu się gorąco, miał świadomość każdego bodźca, miękkości łóżka i muśnięcia aksamitnej sukni Ann, kiedy podawała mu herbatę.

Usiadła naprzeciw niego i spojrzała na niego uważnie, jakby próbowała coś zrozumieć.

– Co się dziś stało?

Pokręcił głową, starając się ją zbyć. Nie był w stanie o tym rozmawiać.

Przyglądała mu się jeszcze przez dłuższą chwilę i poznał, że go odczytuje. Widzi to, czego nie chciał powiedzieć na głos.

– Myślisz, że twoje życie się skończyło.

– Bo się skończyło. – Był śmiertelnie poważny.

Patrzyła przez niego na wylot, widząc wszystko. Jej mina zmieniła się, gdy zrozumiała.

Podeszła do niego wtedy, usiadła obok na łóżku i wzięła za rękę.

– Znam twoją przeszłość. To nie koniec.

– Już to widzę.

– Musisz uwierzyć.

– W co? W magię?

– Jeśli chcesz...

Ten pomysł nappełnił go gniewem. Ta sama gwałtowna frustracja, przez którą wybił pięścią dziurę w ścianie w domu, do którego niedawno się wprowadził, zdzierając sobie do krwi knykcie prawej ręki, znów się wyłoniła. Ale zamiast się wyładować, Rafferty zrobił coś, co zaskoczyło go jeszcze bardziej. Objął Ann i przyciągnął ją do siebie, wsuwając dłoń pod jej suknię.

Zerwała się.

– Pij dalej.

Posłuchał jej i opróżnił filiżankę do ostatniej kropli. Jego pragnienie wydawało się nie do zaspokojenia. Odstawiwszy filiżankę, znów wyciągnął do niej rękę, czując, jak bardzo pobudzone są jego zmysły. Samo dotknięcie jej skóry posyłało fale ciepła do wszystkich jego komórek. Była to ostatnia rzecz, jaka normalnie przyszlaby mu do głowy, a mimo to w tamtym momencie Ann Chase była jedynym, czego pragnął.

– Tak – powiedziała. – Tak, oczywiście. Ale musisz zaczekać.

Wyszła z pokoju i długo jej nie było. W końcu światła przygasły, wyłączono sztyld nad sklepem i Rafferty zrozumiał, że Ann zamyka interes na noc. Słyszał, jak młode czarownice rozmawiają na zewnątrz po drodze do swoich samochodów. I wtedy, kiedy sklep był już pogrążony w ciszy, usłyszał coś jeszcze: głos Ann intonujący zaklęcie, rodzaj muzyki, jakiej nigdy wcześniej nie słyszał, niesionej dźwiękami wiatru i wody, które łączyły się, aż osiągnęły stan niskiego pulsowania bijąc wraz z rytmem jego serca. Hipnotyczna muzyka go ukołysała. Położył się na łóżku i czekał.

Kiedy Ann do niego wróciła, miała na sobie inną suknię, która wyglądała jak czarne jedwabne kimono. Stojąc przed nim, pozwoliła kimonu opaść. Była naga. Przez chwilę wyglądała dokładnie jak Towner albo raczej tak, jak zawsze wyobrażał sobie, że Towner wygląda, zanim zostali parą, w tym długim czasie, kiedy była wyłącznie tylko jego fantazją. Gdy tylko spostrzegł wizję, zniknęła, a jego ogarnęła czysta ekstaza i wciągnęła w swój wir. Dał się jej ponieść, wiedząc, że nie prowadzi, a jedynie reaguje, obcując tu i teraz z jakimś zaklęciem, które przed chwilą rzuciła Ann.

To był seks, choć jednocześnie w ogóle go nie przypominał.

I dawał się mu ponieść za każdym razem, gdy go porywał.

Czas płynął inaczej. Rafferty nie wiedział, czy trwało to moment, czy całą wieczność. Czas krążył i zawracał, aż oboje opadli na łóżko zbyt zmęczeni, by się ruszyć, i w końcu razem zasnęli.

Poranek przyszedł zbyt wcześnie i Rafferty obudził się jakby ze śpiączki. Usiadł prosto, chwytając się za głowę i walcząc z poczuciem winy.

– Nie rób sobie tego – powiedziała Ann. Była już na nogach, ubrana, wyglądała na wypoczętą i gotową na nowy dzień. Podała mu butelkę wody. – Idź do domu. Ona na ciebie czeka. I cokolwiek zrobisz, nie przyznawaj się.

Nie przyznawaj się Towner – pomyślał. Mała szansa, że kiedykolwiek ją zobaczy. A co dopiero, że się jej przyzna.

– Nikomu – dodała Ann, czytając w jego myślach.

Niedługo potem w sklepie zaczęły się pojawiać młode czarownice. Ann krzyknęła w ich kierunku, że za chwilę przyjdzie.

– Idź! – Wypchnęła Rafferty'ego za drzwi, przez które wprowadziła go tu poprzedniej nocy.

Przekraczał próg, kiedy stanął twarzą w twarz z Helen Barnes, wychodzącą z kwaciarni Petera Bartera z naręczem lwich paszcz, które trzymała w ramionach jak niemowlę. Spojrzała mu w oczy, a po chwili zerknęła w stronę sklepu Ann. Rafferty zrozumiał, że wie. Kwiaty nagle zapachniały obezwładniająco, pogrzebowo.

Wrócił do Willows piechotą, nie spiesząc się do pustego domu. Pomyślał, że go sprzeda. Opuści to absurdalne miejsce i nigdy nie obejrzy się za siebie. Pojedzie gdzieś, gdzie Towner nigdy się nie wybierze. Może na południe, w głąb kraju. Daleko od mroźnych zim i zapachu morza.

Kiedy skręcił za rogiem w Bay View Avenue, zauważył Towner siedzącą na progu jego wiktoriańskiego chylącego się domu. Podwinęła pod siebie długie nogi, a ręce skrzyżowała na piersi, jakby było jej zimno. Skąd Ann wiedziała, że ona tu będzie? Towner wyglądała na równie wyczerpaną, co on. Nie powiedziała do niego ani słowa, gdy wchodził po schodach. Wstała tylko, kiedy otwierał drzwi, i weszła przed nim do środka, nie odwracając się ani na morze, ani na wyspę.

ROZDZIAŁ 35

*14 maja 2015
Salem*

Jestem przekonana, że przekleństwo winy w Salem będzie dawalo o sobie znać, aż prawdziwe miejsce, w którym dokonano powieszń, zostanie upamiętnione i w odpowiedni sposób pobłogosławione, a szczątki straconych w 1692 roku w końcu złożone do grobu.

Rose Whelan, Czarownice z Salem

– Jak ukryć kobietę, która chce zniknąć? – Rafferty zapytał kiedyś May. – Co zrobić, żeby się nie wyróżniała?

May mu nie odpowiedziała, za to Towner tak:

– Trzeba ją ukryć na widoku.

– Czyli?

– Cytując May: chowaj swego między swymi.

Rafferty nadal był przekonany, że Leah Kormos była jeśli nie morderczynią,

to na pewno osobą, z którą musi porozmawiać, kiedy tylko ją znajdzie. Jednak za każdym razem trafiał w ślepy zaułek. Po raz kolejny prześledził wszystko, co wie o Leah. Miała ciemną, śródziemnomorską urodę. Grecką. Poprzez skoordynowane serwery policyjne i przestępcze bazy danych przeszukiwał rejestry nie tylko z Nowej Anglii, ale z całego kraju i dzwonił do wszystkich Kormosów, na jakich tylko trafił, starając się zlokalizować Leah albo jej siostrę Rebeccę. Większość Kormosów mieszkała w Massachusetts lub w New Jersey. Rozmawiał z wieloma osobami, ale jak na razie nie miał szczęścia.

Gdzie byś się schował, gdybyś naprawdę nie chciał, żeby cię znaleźli? – zadał sobie pytanie. Wróciły do niego słowa May.

Sprawdzał każdą osobę o nazwisku Kormos w graniczących z Massachusetts miastach, ale żadna nie miała na imię Leah. Ani Becky. Ani Rebecca. A szukanie po imionach było mało efektywne. Potem przypomniał sobie, jak jego córka powiedziała, że Leah to żydowskie imię. To była prawda: Leah i Rebecca nie były tradycyjnymi greckimi imionami, ale zdecydowanie pochodziły ze Starego Testamentu. Może więc ich matka, której nazwiska nie był w stanie rozszyfrować z ich aktu urodzenia, była Żydówką?

Szukał już aktu ślubu ojca. W Beverly nic takiego nie było. Teraz poszerzył poszukiwania o sąsiednie miasta. Próbując różnych pisowni nazwiska ojca, w końcu znalazł coś w Peabody: Courmos. Panięskie nazwisko matki brzmiało Rosenfeld i zgodnie z dokumentami wyszła za ojca Leah w Beabody w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku.

Rafferty zaczął szukać nazwiska Leah Rosenfeld, najpierw w Peabody, a potem w sąsiednich miastach Wybrzeża Północnego. Znalazł dwa dopasowania: pierwszym była wdowa po osiemdziesiątce, a drugim dwuletnie dziecko. Żadne nie miało związku z Leah Kormos ani jej matką czy siostrą.

Poszerzył zakres poszukiwań, raz jeszcze przyglądając się granicznym miastom Massachusetts i przypominając sobie słowa Towner: „Chowaj swego między swymi”. Może i Leah była po części Żydówką, ale wychowała się w społeczności greckiej. Nie znalazł Leah. Ale przeszukując mieszkańców Lowell, w końcu odszukał Becky.

Najpierw zadzwonił do Mickeya i dał mu nazwisko, na które od dawna czekał, a potem pojechał do Lowell.

Mieszkała w greckiej dzielnicy, w dwupiętrowym domu, który był niemal identyczny jak ten zburzony w Beverly, pod nazwiskiem Becky Rosenfeld, a pracowała w restauracji.

Nie zamierzała z nim rozmawiać. Wiedziała, czego chce, kiedy tylko się przedstawił.

– Ona tego nie zrobiła – powiedziała krótko, stawiając na ladzie barowej kubek kawy, którą zamówił.

– To znaczy?

– Jesteś gliną. Już przez to przechodziłam z glinami. Moja siostra nie zabiła tych dziewczyn.

– Nie oskarżam jej – powiedział Rafferty, upijając łyk. Za dużo śmietanki i za dużo cukru. – Ja ją tylko próbuję znaleźć.

– Ja próbuję ją znaleźć od dwudziestu pięciu lat – odparła Becky. – Żaden z waszych mi w tym nie pomógł.

Rafferty wiedział, że Becky naciskała na policjantów w Beverly, a ci, mówiąc krótko, zignorowali dziewczynę.

– Twój ojciec zbytnio się nie starał, żeby ją znaleźć – mruknął Rafferty.

– Nic w tym dziwnego – skwitowała. – Leah i mój ojciec nigdy się nie dogadywali.

– Dlaczego.

– Nie będę o tym rozmawiać – odparła Becky i zaczęła odchodzić.

– To dla ciebie trudne – domyślił się Rafferty.

– Oczywiście, że tak! Straciłam siostrę!

– A ja próbuję ją znaleźć – mówił spokojnie.

– Po co? Żebyś mógł ją aresztować i zrobić z siebie bohatera? Superglinę, który rozwiązał sprawę, jakiej nikt nie podolał?

– Nie sądzę, żeby to zrobiła... – Rafferty nie przestawał patrzeć Becky w oczy. – Ale myślę, że ona może wiedzieć, kto jest mordercą.

Patrzyła na niego, jakby próbowała go przejrzeć.

– Jak masz zamiar do niej dotrzeć, skoro ja nie dałam rady?

– Ciebie znalazłem, prawda?

Klient siedzący na końcu lady podniósł kubek. Becky wzięła dzbanek z kawą i poszła mu dolać.

Odłożyła dzbanek na płytę i odwróciła się do Rafferty'ego, który wciąż na nią patrzył.

– Pięć minut – powiedziała, pokazując na narożną łożę. Wziął kubek i przesiadł się. Becky zajęła miejsce naprzeciw niego.

Pytał o historię Leah, o jej związek z Boginiami.

– Nie znałam ich – mówiła. – Ale wiem, że miała jakichś przyjaciół w Salem.

– A co z magią?

– Słucham?

– Wiesz, czy praktykowała magię?

– Litości – prychnęła Becky.

– Jesteś spokrewniona z którąś z czarownic z Salem, straconych w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku?

– Jeśli tak, to nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Twoja siostra nigdy ci o tym nie wspominała?
– Nie.
– Naprawdę nie jesteś mi w stanie powiedzieć, gdzie mogłaby przebywać Leah? – Rafferty zapytał w końcu wprost.
– Nie – powiedziała Becky, a jej oczy zaczęły wypełniać się łzami. Komendant czuł jej smutek.
– Nadal za nią tęsknisz.
– Oczywiście. – Wytarła oczy. – To moja jedyna siostra.
– I naprawdę nie wiesz, gdzie jest? – Rafferty czekał na jej odpowiedź.
– Nie widziałam jej, odkąd zaszła w ciążę i ojciec wyrzucił ją z domu. To była nowość dla Rafferty’ego.
– Leah była w ciąży?
– Nie udawaj, że nie wiedzieliście. Stałam tuż przy ojcu, kiedy opowiadał policji tę historię.

Już przez to przechodziłam z glinami.

Dlaczego nic nie było na ten temat w aktach?

Rafferty pojechał bezpośrednio na Rice Street w Salem. Stał pod drzwiami domu Toma Dayle’a i dzwonił dzwonkiem przez prawie pięć minut, zanim Tom w końcu otworzył. Miał na sobie szlafrok i kapcie, ale nie wyglądał, jakby spał.

– Dobrowolnie zaprowadzisz mnie do piwnicy i pokażesz pudło numer dziewięć, czy mam załatwić nakaz?

Emerytowany detektyw powoli otworzył drzwi.

Tom z trudem szedł po schodach do piwnicy. Tak mocno trzymał się poręczy, że aż zbiełały mu knykcie, a drugą dłonią przesuwał po ścianie.

Pudło numer dziewięć nie było zabezpieczone jak pozostałe, tylko stało otwarte na blacie stołu roboczego. Rafferty przepchnął się przed Dayle’a i sięgnął do środka. Zauważył kartkę papieru, na której wielkimi literami napisane było u samej góry:

ZASADY BOGIN

- 1. Nigdy nie bierz sobie mężczyzny wbrew jego woli.*
- 2. Wszystkie Boginie muszą być obecne, gdy bierzemy mężczyznę.*
- 3. Uprawiaj bezpieczny seks.*
- 4. Nigdy więcej nie przyprowadzaj nikogo do domu Rose.*
- 5. Nie zajdź w ciążę.*

Następnie Rafferty wziął do ręki zdjęcie muralu, na którym znajdowały się cztery dziewczyny: Leah, Olivia, Susan i Cheryl. Artysta uchwycił ich urodę i młodość. Tak, jak opisała je Callie, było to piękne malowidło, ale patrząc na nie, Rafferty od razu domyślił się, co tak bardzo rozłościło Rose. Choć portret był

wyjatkowy, to nie osoby, a jego sceneria najbardziej przykuwała uwagę widza.

Artysta ubrał Boginie w skąpe stroje i przedstawił je prężące się na mosiężnym łóżku, które opisała Callie. Wyglądały, jakby pracowały w burdelu.

Rafferty nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia. Na środku łóżka, ubrana w koronkową halkę, która nie pozostawiała niczego dla wyobraźni, leżała najpiękniejsza z dziewczyn: Leah Kormos.

Minęła dłuższa chwila, zanim Rafferty zdołał oderwać się od zdjęcia. Wtedy zauważył listy. Wszystkie zaadresowane do Bogiń i najwyraźniej kiedyś zawiązane różową wstążką, która nadal leżała powiązana w supełki obok w pudełku.

Już na pierwszy rzut oka wiedział, że ma przed sobą listy miłosne, o których wspominała mu Callie. Że Boginie je kolekcjonowały. Rozmazane ślady szminki na kopertach ilustrowały, jakie były młode. Ten widok poruszył Rafferty'ego w sposób, którego nie był w stanie wytłumaczyć. Liczba listów wydawała się znacznie mniejsza, niż mogła pomieścić wstążka. Aby się upewnić, nasunął ją z powrotem na plik kopert. Przerwa wynosiła przynajmniej dwa centymetry.

– Gdzie jest reszta?

– Nie chcesz wiedzieć.

Ale już wiedział. Zaczął to podejrzewać, kiedy tylko porozmawiał z siostrą Leah.

Raport o ciąży Leah nie znalazł się w żadnych aktach policyjnych, które widział Rafferty. Nie było też o tym wzmianki w bazie stworzonej przez policję po to, aby śledzić rozwój śledztwa. Callie mówiła mu, że radiowozy przyjeżdżały do nich cały czas, lecz istniały tylko trzy wzmianki o oficjalnych wezwaniach. A to oznaczało, że reszta policyjnych wizyt musiała mieć czysto towarzyski charakter. Brakujące listy należały do funkcjonariuszy.

– Ilu policjantów było w to wplątanych? – zapytał Rafferty.

– Wielu – odpowiedział Tom. – Z obu miast.

– A ty?

– Nie. – Pokręcił głową. – Ja nigdy.

– Zacierali ślady, bo dowiedzieli się, że była w ciąży?

– To dziecko mogło być każdego z nich.

Rafferty pokręcił głową z obrzydzeniem.

– Policja nie mogła sobie pozwolić na skandal. Nawet gdyby nie chodziło o dziecko.

Rafferty policzył listy, które nie zostały zniszczone. Zostało ich trzydzieści, każdy z ich autorów mógł być podejrzany, a przynajmniej mieć jakiś związek z morderstwami. Nie wspominając o samych policjantach – nawet jeśli ich listy zostały zniszczone. Kiedy ruszy to gniazdo os, wiele osób ucierpi.

– A ich przebrania?

– Nimi zajęliśmy się w pierwszej kolejności – powiedział Dayle, spoglądając

wymownie na piec.

* * *

– Powiedziałem kilka rzeczy, których nie powinienem. I mój ojciec też. Na tym porzestańmy – powiedział Paul.

Odkąd przyjechali z Włoch, mieszkali w domku na przystani, wciąż jednak nie rozpakowali bagaży. Za każdym razem, gdy na nie spoglądała, Callie czuła przypływ nadziei: jak tylko wypełnią swoje zobowiązania, wrócą do Matery. Te spakowane torby napawały ją optymizmem.

Nie była obecna przy odczytywaniu testamentu Emily. Paul zapewnił ją, że obejdzie się bez niespodzianek. Jego rodzice dawno powierzyli domy i ziemię w ręce funduszu powierniczego. Owdowiały małżonek przejmie nad nimi kontrolę, a pewnego dnia wszystko zostanie przekazane Paulowi. Jediną kwestią podlegającą dyskusji będą prywatne rzeczy matki.

Ale sprawy nie potoczyły się ani dobrze, ani według oczekiwań. Paul i jego ojciec potwornie się kłócili.

– Czemu chcesz się awanturować? – zapytała.

Westchnął.

– Przynajmniej tym razem nikt nie pił. – I wtedy zaczął się rozpakowywać i wkładać ubrania z powrotem do komody.

Ogarnęło ją rozczarowanie, gdy przyglądała się, jak chowa swoje rzeczy i robi jej miejsce w dwóch górnych szufladach. Nagle przystanął, ściągnął pierścionek z małego palca i podał go Callie.

– Co to takiego?

– Można uznać, że to znak aprobaty od mojej matki – odpowiedział.

Callie nie miała pojęcia, o czym mówi. Rozpoznała jednak pierścionek ze szmaragdem i diamentem, który Emily zawsze nosiła na prawej ręce.

– Zmieniła testament zaraz po tym, jak wyjechaliśmy do Matery. Ten pierścionek zawsze miała dostać dziewczyna, którą będę chciał poślubić. Zapisala go tobie.

Callie stała, wpatrując się w niego.

– Pytasz mnie, czy za ciebie wyjdę?

Paul się uśmiechnął:

– Tak.

ROZDZIAŁ 36

20 maja 2015
Salem

Wszak mężczyzn przyciąga żelazo[29].
Homer, Odyseja

– Leah Kormos nie jest spokrewniona z Sarah Good. Jest spokrewniona z Elizabeth Howe.

Rewelacje Mickeya nie były dla niego kompletnym zaskoczeniem. Od jakiegoś czasu, a z pewnością od rozmowy z jej siostrą, Rafferty nabrał pewności, że Leah nie jest już główną podejrzaną. Ale jeśli Leah nie była spokrewniona z Sarah Good, jeśli nie była piątym płatkim, to kto nim, do cholery, był?

Wyarł już imię Rose spod nazwiska Good. Kazał Mickeyowi sprawdzić przodków pozostałych, poza Sarah Good, ale potwierdził on jedynie odpowiadające sobie nazwiska, już zapisane na każdym płatku. Wszystko się zgadzało: przyporządkowania były prawidłowe. Teraz usunął imię Rose z płatka Elizabeth

Howe i w zamian połączył ją z Leah. W końcu stał napisane ołówkiem imię Leah spod Sarah Good, ale gumka tak pobrudziła papier, że nie dałoby się tam wpisać kolejnego nazwiska, nawet gdyby je znał. W szufladzie biurka znalazł korektor w płynie i zamalował platek, aż stał się biały jak albinoska skóra Susan Symms, przez co jeszcze bardziej się wyróżniał. Cztery płatki miały teraz prawidłowe połączenia przodków z kobietami z czasów współczesnych. Brakowało jedynie nazwiska potomkini piątego płatka, Sarah Good, która stała się teraz większą tajemnicą niż kiedykolwiek.

SARAH WILDES
Cheryl Cassella

REBECCA NUN
Olivia Cahill
Callie Cahill
Rose Whelan

Susan Symms
SUSANNAH MARTIN

Leah K
ELIZ

Jedna rzecz zaczynała robić się oczywista. Tamtej nocy na wzgórzu nie brakowało tylko jednego płatka do odprawienia błogosławieństwa. Dwie osoby były wtedy nieobecne: Leah Kormos i ktoś jeszcze.

– Bez powodzenia? – powiedziała Towner, zerkając mu przez ramię na pusty biały płatek.

– Nie mam pojęcia, co robić. – Wzruszył ramionami. – Wiem, że każda z tych dziewczyn była spokrewniona z jedną ze straconych, a Callie powiedziała, że Rose była spokrewniona z więcej niż jedną z nich. Tylko że Rose nie była bliską Sarah Good, Mickey ustalił to ponad wszelką wątpliwość.

– Zastanawiałam się nad tym – przyznała Towner. – Wydawało mi się, że słyszałam kiedyś, że Rebecca Nurse miała siostrę, która także została oskarżona. Więc sprawdziłam to w internecie. Właściwie miała dwie siostry, które zostały oskarżone o czary, i jedna z nich została stracona. Ale nie dziewiętnastego lipca.

– Rose nigdy nie mówiła Callie, że chodzi o dziewiętnastego lipca, tylko że jest spokrewniona z więcej niż jedną skazaną. To chyba oznacza, że Callie i Olivia także były spokrewnione z więcej niż jedną.

– Ale to nadal ci nie mówi, kto był piątym płatkiem.

– Tamtej nocy na wzgórzu był ktoś jeszcze. Ktoś spokrewniony z Sarah Good. Czy istniała jeszcze jakaś Bogini, o której nie wiemy?

Towner zamilkła na dłuższą chwilę.

– A dlaczego zakładasz, że to musi być kobieta? Czy błogosławieństwo nie wymagało po prostu przodka?

– Słuszna uwaga – odparł Rafferty. Nie żeby nie przyszło mu to na myśl, miał jednak nadzieję, że nie będzie musiał brać tej opcji pod uwagę. Jeśli to był mężczyzna, istniało tak wielu jeszcze nieujawnionych podejrzanych, że Rafferty musiałyby sprawdzić połowę populacji Salem, żeby znaleźć tego, którego szukał.

Zdążył już powiedzieć Callie, że nie sądzi, by to Leah zabiła Boginie.

– Leah zaszła w ciążę, Callie. Tę zasadę złamała.

Musiał szukać innego podejrzanego.

Rozpoczął od listów miłosnych.

Jeśli Rafferty był poruszony młodzieńczą romantycznością listów, kiedy zobaczył je po raz pierwszy, czytanie ich odniosło przeciwny efekt.

Były bardzo osobiste i poczuł się nimi zażenowany do tego stopnia, że zamknął drzwi biura. Każdy z listów zawierał opis fantazji nadawcy i tego, jak Boginie spełniły ją, w sposób który nigdy mu się nawet nie śnił. Nie były to stricte listy miłosne. To były podziękowania. Fakt, że jeden z mężczyzn podpisał list swoim pełnym imieniem i nazwiskiem, wydał mu się jeszcze bardziej

zadziwiający. Nawet jeśli młode kobiety nie były czarownicami, to na pewno umiały oczarować.

Rafferty znalazł numer i zadzwonił do mężczyzny, który podpisał list.

– Ludzie, przecież całe lata temu już wam o tym opowiadałem. – Usłyszał.

– Ludzie, jak pan to grzecznie określił, zostali zastąpieni nowymi ludźmi. Co oznacza, że powinien pan zmienić nastawienie, bo będzie pan musiał z nami znowu porozmawiać.

– Okej – zgodził się mężczyzna, czując się przywołanym do porządku. – Ale nie u mnie. Przyjadę do was. – Obniżył ton głosu. – Nie chcę, żeby żona się dowiedziała.

Mężczyzna nazywał się Donald Booth, był prawnikiem po pięćdziesiątce, który ożenił się po raz drugi. Kiedy zaczął opowiadać o Boginiach, nabrał energii i nie był taki znów powściągliwy, jak spodziewał się Rafferty.

– To była tylko jedna noc, ale za to jakże pamiętna. I nie chodziło o to, ile ich było. Te dziewczyny miały w sobie coś magicznego.

Rafferty nie zareagował.

– Jeśli chodzi o kłopoty, które powodowały w mieście – ciągnął – to nie chodziło wcale o seks, tylko o obsesję.

– Może pan to rozwinąć?

– Tej nocy, kiedy z nimi byłem, dwa razy do drzwi dobijali się jacyś faceci. Za każdym razem błagali, żeby zobaczyć się z nimi po raz kolejny, a one odmawiały. Godziły się tylko na jedną noc. Potem trzeba było napisać do nich list. Takie były reguły tej gry. Słyszałem wprawdzie, że od „zasady jednego razu” robiono odstępstwa, ale nie miałem szczęścia, by się na to załapać.

– Wie pan, kto należał do tych „wyjątków”?

– Nie.

– A ci dwaj prześladowcy, którzy przyszli, gdy pan był w środku? – zagadnął Rafferty. – Znał ich pan?

– Nie nazwałbym ich prześladowcami – odpowiedział prawnik. – Określiłbym ich raczej mianem... zakochanych uczniów. Trudno być zaborczym w stosunku do czterech kobiet jednocześnie.

– Czterech? Jest pan pewien tej liczby? Nie było ich pięć?

– Kiedy uwodzą cię cztery kobiety, to raczej to pamiętasz – powiedział. – Nawet kiedy jesteś na haju.

– Od czego?

– Właściwie od wszystkiego, co wpadło nam w ręce. Trawy, ecstasy, środków uspakajających, koki, szkockiej. W tamtych czasach można było dostać wszystko. Tak czy inaczej, tych dziewczyn nie można było osiąść, nawet gdyby ktoś bardzo chciał.

– Nie jestem pewien, czy ktoś dałby sobie z nimi radę – powiedział Rafferty

szczerze.

Mężczyzna zaśmiał się, przyznając mu rację.

– Myślę, że ci faceci chcieli po prostu spędzić z nimi jeszcze jedną noc.

– Pan też tego chciał?

– Oczywiście. Czemu nie? Byłem wtedy singlem. To był zresztą najlepszy seks w moim życiu. Właściwie nie tylko seks. To było coś więcej. Jakby transcendentalne przeżycie.

Rafferty nie skomentował.

– Prosił pan Boginie, by znów się z panem spotkały?

– Kilka razy. Ale odmówiły, i chyba dobrze. Pewnie nie skończyłbym studiów prawniczych, gdyby się zgodziły. – Po jego twarzy przebiegł cień smutku.

– Straszne, co się z nimi stało.

– To prawda.

– Ale można tu zauważyć pewne podwójne standardy, nie sądzi pan? Gdyby mężczyźni zachowywali się tak, jak one, grupa facetów z jedną kobietą, to nazwano by to gwałtem zbiorowym.

– Chce pan powiedzieć, że zmusiły pana do stosunku?

– Nie. Ani trochę.

– Czyli to się nie zdarzyło wbrew pana woli.

– Ależ skąd! – Roześmiał się mężczyzna.

– Więc to nie jest gwałt grupowy, prawda? – Ostatnimi czasy Rafferty widział zbyt wiele takich przypadków. Zdjęcia robione komórkami, umieszczane w internecie, z kompletnie pijanymi młodymi kobietami i nakręconymi przez alkohol mężczyznami.

– Nie. Nie w przypadku Bogiń. Ale proszę mi wierzyć, to one miały władzę.

– Zamilkł na chwilę. – A przynajmniej na jakiś czas.

– Znał pan jakichś innych mężczyzn, których coś z nimi łączyło?

Pokręcił głową.

– Szczerze mówiąc, były bardzo dyskretne co do swoich podbojów.

Rafferty podziękował za rozmowę i dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Prawnik ruszył do drzwi, ale nagle zawrócił, przypominając sobie coś.

– Był jeden facet, który często pojawiał się u nich w domu – powiedział. – Wiem to tylko dlatego, że słyszałem, jak o nim rozmawiają. To on namalował ich portret, ten na ścianie. On mógłby być, jak to pan nazwał, prześladowcą.

– Kto taki?

– H.L. Barnes.

– Jakiś krewny Helen?

– Jej mąż.

Rafferty nie krył zdziwienia. H.L. Barnes mężem Helen? Nigdy by nie pomyślał, że Helen kiedykolwiek była mężatką. Wyglądała na stereotypową starą

pannę.

- Ale nie będzie można z nim porozmawiać.
- Dlaczego?
- Nie żyje.

Rafferty nigdy nie był w domu Helen na Chestnut Street. Wnętrze bardziej przypominało muzeum niż dom, z elementami wystroju nawiązującymi do kultury chińskiej i meblami w stylu federalnym, zajmującymi każdą dostępną przestrzeń. Architektura odzwierciedlała subtelną elegancję lojalistów, w szczególności Samuela McIntire, którego prace w drewnie zdefiniowały całą nazwaną po nim dzielnicę historyczną. Rafferty zorientował się, że prócz reprodukcji telefonu z tarczą w holu wejściowym żaden z mebli nie miał mniej niż dwieście lat.

Widać, że to dziedziczona fortuna – pomyślał.

Zaprowadzono go do saloniku, by poczekał na panią domu, i przez dwadzieścia minut siedział na krześle, które było zdecydowanie zbyt delikatne jak na jego postawną sylwetkę. Starał się nie ruszać, gdyż bał się, że złamie ten przeklęty mebel.

– Jest szesnasta. Może napijesz się herbaty? – zapytała, gdy w końcu się zjawiła ze spanielem springerem u stóp. Tacę przyniesiono, zanim skończyła mówić.

– Chętnie, dziękuję.

Kazała gosposi zostawić srebrny serwis i sama naląła herbatę, pytając, jaką pije, po czym podając mu ją. Nie potrafił chwycić palcami delikatnej filiżanki w kwiaty, więc trzymał ją w obu dłoniach, pijąc tak, jak ona, po czym odstawił ją delikatnie na boczny stoliczek, by przypadkiem nie szcęknać o spodek.

Odczuwał dzieciinną chęć, by zacząć się przechwalać, że on i Towner mieszkali w dużo bardziej eleganckiej posiadłości niż ta, na Washington Square, i że była w stylu jeffersońskim, miała bliźniacze marmurowe kominki i podwieszane spiralne schody, i że jeśli w ogóle pił herbatę, to raczył się nią w herbaciarni, gdzie umieli zaparzyć lepszą. Helen nie mogła go w żaden sposób onieśmielić.

– Zostawiłeś mi wiadomość, że chcesz porozmawiać o moim mężu. – Zrobiła srogą minę.

– H.L. Barnes – wyjaśnił Rafferty. – Do niedawna nie miałem pojęcia, że to twój mąż.

– Spodziewam się, że dowiedziałeś się również o tym, jak skończył?

– Tak.

– Powinieneś więc wiedzieć, że biedny Henry nie był w najlepszym stanie. To ostatnia osoba, o której powiedziałabym złe słowo.

– Nigdy nie spodziewałbym się, byś o kimkolwiek miała mówić źle –

odpowiedział Rafferty.

A mimo to regularnie ma to miejsce.

– Masz do mnie jakieś pytania? – Zignorowała jego uwagę.

– Kilka. – Rafferty podał jej zdjęcie portretu, który Henry namalował na ścianie w domu Rose. Pod portretem postawił swoje inicjały: H.L.B.

Spojrzała przelotnie na fotografię, a na jej twarzy odmalował się ból, lecz nie zaskoczenie. Zdał sobie sprawę, że już wcześniej widziała malowidło. Oddała mu zdjęcie i podeszła do swojego biurka.

– Są różne rodzaje oczarowania – powiedziała, sugerując tonem głosu, że ze wszystkich ludzi on najlepiej powinien rozumieć, co ma na myśli.

Przejrzała dokumenty w ukrytej szafce, po czym wróciła z odręcznie zaadresowaną kopertą z przyklejonym znaczkiem. Rafferty poznał po stanie papieru, że list czytany był wielokrotnie. Podała mu go.

– Możesz go zatrzymać – powiedziała. – Jak na jedno życie widziałam go już wystarczająco dużo razy.

*Najdroższa Helen,
nie mogę tak dalej.*

Wybacz mi...

Henry

Rafferty zastanawiał się przez dłuższą chwilę, zanim znów się odezwał.

– Dlaczego, na Boga, uparłeś się na tę ekshumację? Musiałś wiedzieć, że to z powrotem ściągnie uwagę na twojego męża i ciebie...

– Henry nie zabił tych dziewczyn.

– Nie sugerowałem, że to zrobił. Ale poprzez naleganie na ponowne otwarcie dochodzenia wpisałaś siebie i swojego męża na listę podejrzanych.

– Na pewno nie mojego męża.

– Dlaczego nie?

Podala mu kopertę.

– Spójrz na datę.

List nadano trzynastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, czyli na kilka tygodni przed morderstwami.

– Mój mąż był bardzo chorym człowiekiem, detektywie.

Był zaskoczony empatią, którą słyszał w jej głosie.

– Ten list przysłano z pewnego hotelu w Bostonie. Henry był na tyle łaskawy, że nie odebrał sobie życia tutaj, wiedząc, że nie mogłabym pozostać w tym domu z takim wspomnieniem.

– Nadal nie rozumiem twojej motywacji, Helen – drażył Rafferty. – Chciałaś w ten sposób zwrócić na siebie uwagę? Po co ściągać takie kłopoty? Nie mówiąc

już o możliwym skandalu...

– Ona zabiła syna mojego bratanka.

– Wiesz, że to nieprawda.

– Przyznała się do zbrodni!

– Nie było żadnej zbrodni. – Rafferty zaczerpnął powietrza, zanim dokończył. – Wiesz równie dobrze, jak ja, Helen, że chłopak umarł w wyniku wylewu krwi do mózgu wywołanego narkotykami.

Helen siedziała przez dłuższą chwilę w milczeniu, zanim odpowiedziała:

– Te dziewczyny, które przygarnęła i chroniła, te tak zwane Boginie, zabiły mojego męża. Rose może nie zrobiła tego bezpośrednio, ale możesz mi wierzyć: to była jej wina. Mój mąż miał AIDS, detektywie.

Rafferty wpatrywał się w nią.

– Zaraziły go nim te dziewczyny z burdelu, który Rose Whelan prowadziła na Daniels Street.

[29] Homer, *Odyseja*, tłum. L. Siemieński, Kraków 2004.

ROZDZIAŁ 37



*25 maja 2015
Pride's Crossing*

Przemiana odbywa się niemal niezauważalnie. Pewnego dnia widzisz siebie, jak wykonujesz mały akt zemsty. Albo zauważasz swoje podekscytowanie okropieństwami oglądanymi w wieczornych wiadomościach. Będiesz zaszokowany, gdy zobaczysz, jak podnosisz ostrze. Będiesz dużo mniej zaskoczony, gdy pewnego dnia w końcu go użyjesz.

Księga drzew Rose

– Uprzedzili nas – jęknął Paul.

Zaproszenie, by uczcić małżeństwo zawarte w tajemnicy przez Finna i Martę, przyszło, kiedy Paul i Callie komponowali powiadomienie o swoich własnych zaręczynach. Paul, po swoim pierwszym, niezręcznym podejściu, oświadczył się Callie bardziej oficjalnie przy łagodnej muzyce i szampanie, klękając na jedno kolano, otoczony poświatą księżycy wschodzącego nad Salem

Sound. Mieli zamieszkać w Materze, jak zaplanowali.

– Długo i szczęśliwie – mówił Paul, kiedy wsuwał jej pierścionek na palec. Pasował idealnie.

Przeżyli kilka magicznych dni. I wtedy przyszło zaproszenie na uczenie zawartego w tajemnicy małżeństwa Finna i Marty.

Paul udawał, że nie ma to dla niego znaczenia.

– Pobrali się. Wielka niespodzianka.

Nie minęło jeszcze półtora miesiąca od śmierci Emily.

Callie nie została wychowana według zasad, które dyktowałyby czas trwania żałoby. Mimo to nawet ona rozumiała, że to zachowanie jest skandaliczne. Mogła sobie jedynie wyobrazić, co mówią ludzie. Finn i Marta nie powiedzieli im ani słowa o swoich zamiarach.

– Myślę tylko... Nie wiem, dlaczego nie mogli poczekać. – Próbowала wydusić z siebie coś rozsądnego.

– Może jest w ciąży – prychnął Paul.

Jeśli to był żart, to wypadł blado.

Callie raz jeszcze spojrzała na zaproszenie:

Pan i Pani Whiting serdecznie zapraszają do Pride's Heart 18 lipca 2015 roku o 13.00 na wspólne uczenie ich niedawno zawartego związku małżeńskiego.

Towarzyszący zaproszeniu liścik informował, że nowożeńcy potajemnie opuścili Pride's Crossing kilka dni wcześniej i przez cały najbliższy miesiąc będą podróżować po Europie.

– Posłuchaj – rzekł Paul. – A ta ziemia, którą nasza rodzina wyrwała Hathorne'om w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym szóstym? Jednym sakramentalnym „tak” Marta zdołała to zniweczyć.

– Paul...

– Nie rozumiesz. Wszystkie własności są w funduszu powierniczym. Wszystkie domy, budynki gospodarcze. Cały mój majątek.

– Czy ona może zlikwidować fundusz?

– Skoro moja matka nie żyje, ojciec jest jedynym powiernikiem i Marta może go przekonać, aby rozwiązać fundusz. Ludzie robią to codziennie. Może też sprzedać wszystko...

Callie pokręciła głową przerażona.

– Nie zrobiłby tego.

– Nie byłbym tego taki pewien. Na odczytaniu testamentu matki zapytałem prawnika o fundusz. Ojciec powiedział – i tu cytuję: „Lepiej się trochę opanuj, bo wszystko zlikwiduję”.

Paul nic jej o tym wcześniej nie wspominał.

– To był trudny czas. – Callie próbowała ukryć zaskoczenie. – Nikt nie był do końca sobą...

Paul wydał z siebie pełen obrzydzenia pomruk.

– Może darujemy sobie tę uroczystość? Nie musimy tu zostawać aż do lipca. Albo możemy w porę wrócić. Co ty na to, jeśli natychmiast wyjedziemy do Włoch?

– I ułatwimy Marcie sprawę?

Przez dłuższą chwilę Paul nic nie mówił.

– Moja matka czuła się coraz lepiej, prawda? – zapytał. – Mówiłaś mi, że widzisz u niej poprawę.

Callie nie od razu zrozumiała, do czego zmierza.

– Tak, wydawała czuć się lepiej – odpowiedziała ostrożnie. Ale czasem zastryk sił przychodził tuż przed końcem. Widziała to wiele razy w domu opieki.

– Ale czasem...

– Może więc mojemu ojcu i Marcie znudziło się czekanie i postanowili przyspieszyć sprawę? – przerwał jej.

Wlepiała w niego wzrok.

– Nie mówisz poważnie.

Patrzyli na siebie w ciszy.

– Chyba nie. Ale przyznam, Callie, że mam teraz ochotę zabić ich oboje.

ROZDZIAŁ 38

15 lipca 2015
Pride's Crossing

Śpiew banshee różni się w zależności od słuchaczy. Umierający słyszą muzykę sfer. Ci, którzy pozostają na Ziemi, słyszą coś zgoła innego.
Księga drzew Rose

– Za dużo pijesz – zarzuciła mu Callie. – Musisz zwolnić.

– Nie chcesz zrozumieć, jakie to jest poważne – krzyknął Paul. – I na co to zakrawa!

– Paul, już się nasłuchałam.

Minęło półtora miesiąca, odkąd otrzymali informacje o ślubie, a Paul nadal miał obsesję. Łączył śmierć matki z ziemią, którą Whitingowie odebrali rodzinie Marty tyle pokoleń wstecz.

Nie poruszano tematu powrotu do Matery.

– Nie rozumiesz. Oskarżenie Sarah Hathorne w stosunku do mojej przodkini

było aktem okrutnej i morderczej religijnej nietolerancji! Gdyby procesy czarownic się nie skończyły, ona też by zawisła.

– Rozumiem! Naprawdę. Ale Sarah także została powieszona. Twoja przodkini z Whitingów złożyła kontroskarżenie przeciw Sarah Hathorne, pamiętasz? – Callie przypomniała sobie, co tłumaczyła przewodniczka w domu Marty kilka miesięcy wcześniej. – W związku ze zbrodnią polegającą na użyciu miłosnej mikstury, by uwieść jej męża. Też by ją powiesili.

Upił łyk brandy.

– Okej, może i tak – przyznał. – Ale ja próbuję ci uświadomić coś innego. – Nachylił kryształową szklankę ku Callie, nie zauważając nawet, że trochę się z niej wylało. – Sarah Hathorne łączyło pokrewieństwo z jednym z sędziów. Ponieważ była purytanką, sprawy potoczyłyby się dla niej dużo łatwiej niż dla mojej katolickiej przodkini.

Callie powstrzymała się przed stwierdzeniem oczywistego: historia potwierdzała, że to Sarah Hathorne ucierpiała najwięcej. Poszła do więzienia, a nie mając czym zapłacić za areszt, została uznana za bankrutkę i straciła całą swoją ziemię na rzecz Whitingów.

– To wszystko zdarzyło się dawno temu... – Chciała zakończyć tę dyskusję. – Kto wie, co mogło się stać, jeśli historia potoczyłaby się inaczej. Zapomnijmy już o tym.

– Zapomnijmy? – warknął Paul. – Dość dobrze znam Martę i gwarantuję ci, że do Bożego Narodzenia każe nam „zapomnieć” o domku nad jeziorem.

– I co z tego? Wróćmy do Włoch. Tego chcemy, prawda? A przynajmniej ja tego chcę.

Nie skomentował jej ostatnich słów.

– Nie jestem już jednak pewna, czego ty chcesz – dodała.

Paul nadal milczał. Był zbyt mocno opętany myślami o swoim „dziedzictwie”, by zastanawiać się nad czymkolwiek innym.

Callie zaczęła nucić uspokajający ton i policzyła do dziesięciu. Paul nie był rozbawiony, a ona nie miała zamiaru go bawić. Ton miał ukoić zarówno jej skołatane nerwy, jak i jego.

Spojrzał na nią spod byka i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

* * *

Trudno było się pogodzić ze zmianami, które Callie zauważyła w swoim narzeczonym w tym krótkim czasie, jaki upłynął od ich powrotu z Matery. Bez

wątpienia strata Emily zrobiła swoje. Jej brak odczuwany był w każdym kącie pustej rezydencji po drugiej stronie lasu, w której pod nieobecność ojca i Marty Paul zaczął spędzać teraz długie godziny. Callie widywała go czasem, jak siedzi samotnie w oranżerii, ulubionym miejscu matki.

Z wyglądu też się zmienił. Nie był już Indianą Jonesem. Ale nie wrócił też do wcześniejszego wyglądu wprost z okładki „GQ”, który kiedyś wydawał jej się zabawny. Zaciskał szczękę w sposób, jakiego wcześniej u niego nie widziała. W nocy, podczas snu, zgrzytał zębami. Pił więcej niż kiedykolwiek do tej pory i zaczynał dużo wcześniej w ciągu dnia. Wściekłość, jaka w nim narastała od przeczytania powiadomienia o ponownym małżeństwie ojca, była niepokojąca.

Musiała jednak przyznać, że w pewnej kwestii Paul miał rację: Marta rzeczywiście przejmowała kontrolę. Choć nadal była w Europie, kazała przesadzić swój ogród warzywny na tyły Pride’s Heart. Nowy ogródek był trzy razy większy od poprzedniego i zajął część podwórka, na którym lubiły bawić się psy. To rozwścieczyło Paula i stanowiło pożywkę dla jego szalonych podejrzeń co do przyczyn śmierci matki.

Ale Paul nie był jedynym, który spekulował na temat śmierci Emily. Towner powiedziała o tym Callie, kiedy spotkały się na herbatę.

- Inni też sądzą, że Finn mógł nieco... pomóc żonie.
- Ty i Rafferty w to nie wierzycie, prawda? – upewniła się Callie.
- Nie – odpowiedziała Towner. – To byłoby trochę głupie, skoro Emily była już umierająca.

Callie po raz pierwszy usłyszała te słowa od Towner. Z wyjątkiem samej Emily nikt nie chciał potwierdzić jej nadciągającej śmierci.

* * *

Finn i nowa pani Whiting wrócili z końcem czerwca z wielką pompą. W kolejnych dniach zaczęły przychodzić paczki – zakupy, które Marta poczyniła we Francji i Włoszech: florenckie świeczniki ze złota, pościel z egipskiej bawełny o tysiącu splotów z Rzymu, paryski srebrny serwis do herbaty, który należał ponoć do Ludwika XIV. Marta nie żałowała sobie, jeśli chodziło o wydawanie pieniędzy Emily. Rzeczywiście, dzięki styliście, który towarzyszył parze z Paryża do Mediolanu, Marta i Finn byli teraz ubrani lepiej, niż Callie widziała kiedykolwiek wcześniej.

Callie musiała przyznać, że wyglądają na szczęśliwych. Finn wydawał się odprężony i jakby młodszy. Callie zajęło chwilę, zanim zorientowała się, jaki jest

tego powód. Szczęście bez wątpienia odgrywało w tej metamorfozie swoją rolę, ale także siwe włosy, które zauważyła, kiedy spotkali się po raz pierwszy, zniknęły na rzecz blond pasemek. Zastanawiała się, które z nich zasugerowało pasemka: Finn czy Marta. Żadna z odpowiedzi by jej nie zaskoczyła.

Zakupy Marty nie ograniczyły się do nowożeńców. Zaczęły także spływać prezenty dla Callie i Paula. Callie otrzymała długi kaszmirowy płaszcz z Mediolanu i komplet złotych bransoletek z Florencji. Ale o ile dziewczyna podziękowała Marcie i Finnowi, o tyle prezenty przeznaczone dla Paula nadal leżały nieotwarte na stole.

Marta zaplanowała rodzinny obiad na kilka dni przed przyjęciem weselnym i gdy nadszedł wyznaczony dzień, Callie jako pierwsza dotarła do Pride's Heart. Kiedy wchodziła do środka, minęła się z elektrykami niosącymi sterlinga, który wisiał w jadalni, odkąd wybudowano dom. Zastąpiono go dużo większym i zdobnym żyrandolem z kryształu i złota, który para zakupiła w Hiszpanii. Nie był brzydki, ale zmienił wygląd pomieszczenia w sposób zauważalny już od progu, co było bez wątpienia zamiarem Marty.

Kiedy Paul wszedł do domu i po raz pierwszy zobaczył nowy żyrandol, od razu ruszył do barku i zrobił sobie mocnego drinka. Jego niepewny krok wskazywał, że nie był to jego pierwszy tego dnia.

Obiadu nie podano przy górnym świetle, a przy świecach, i wtedy Paul wydał się nieco bardziej rozluźniony. Celowo nie spoglądał na ostentacyjny żyrandol i raczej spuszczał wzrok. Raz czy dwa widziała, jak zerka na puste krzesło, które jeszcze niedawno zajmowała jego matka. Marta siedziała zaraz obok Finna, a nie po przeciwnej stronie stołu, jak miała w zwyczaju Emily.

Obiad przebiegł gładko. Podano prosty chłodnik z awokado z mięsem kraba, następnie pieczeń z polędwicy wołowej, jedno z ulubionych dań Paula. Chłopak ledwie ją tknął, co Marta od razu zauważyła.

– Nie smakuje ci wołowina?
– Może być – odparł zdawkowo.
– Jest pyszna. – Callie starała się zrekompensować niegrzeczną odpowiedź narzeczonego.

Rozmowa przebiegła dość miło. Głównie odzywał się Finn, opowiadając o ich podróżach.

Callie przyglądała się odmienionemu Finnowi. Od czasu do czasu milkł i uśmiechał się do swojej nowej żony. Przynajmniej nikt nie mógł powiedzieć, że Marta go nie uszczęśliwia.

Aż to deseru wszystko toczyło się dobrze, ale nagle Paul wstał i poszedł w kierunku biblioteki.

– Gdzie idziesz? – zapytał ojciec.
– Zejdę do speakeasy po porto.

– Nie dzisiaj – powiedziała Marta.

Finn uśmiechnął się do syna.

– Marta ma klucze do speakeasy – wyjaśnił. – Używa baru jako swojego biura.

Paul wyglądał na zaskoczonego.

– Od kiedy?

– Odkąd wróciliśmy do domu – wyjaśnił Finn. – Siadaj z powrotem. Chcę cię o coś zapytać.

Paul nachylił się nieco, kiedy siadał na krzesło.

Marta zmarszczyła czoło, ale nie skomentowała. Finn zdawał się tego nie zauważyć. Mówił dalej:

– Chciałbym cię prosić, abyś wygłosił toast na naszym ślubnym przyjęciu. – Uśmiechał się do syna od ucha do ucha, jak gdyby był dumny, że wpadł na ten pomysł. Marta z uwagą obserwowała ich obu.

Paul patrzył na ojca i macochę przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

– Uważam, że to byłoby niestosowne.

– Jak to? Przecież to zupełnie...

– Chyba będzie najlepiej, jeśli jeszcze się nad tym zastanowisz, Finn – przerwała Marta.

Callie widziała, że kipi ze złości.

– Nie chcę się jeszcze zastanawiać. Chcę, żeby mój syn wzniosł toast. – Finn zwrócił się do Paula, czekając na odpowiedź. – Zrobisz to?

Callie próbowała pochwycić spojrzenie chłopaka, ale on nie chciał na nią spojrzeć. Wbijał wzrok jedynie to na ojca, to na Martę.

– Kiedy piekło zamarznie. – Odepchnął swoje krzesło i wyszedł bez słowa.

Rozsierdzony Finn rzucił serwetkę na stół i gniewnie wbiegł po schodach, zostawiając Callie i Martę same.

– Przepraszam – szepnęła Callie.

– A niby za co? – obruszyła się Marta. – Niczego nie zrobiłaś.

Callie się zarumieniła. Nie wiedząc, co powiedzieć, wstała z zamiarem wyjścia.

– Mogę ci udzielić pewnej rady? – Marta patrzyła na szmaragdowy pierścionek na lewej dłoni Callie. Skłoniła dziewczynę, by podeszła do okna i popatrzyła na narzeczonego, który chwiejnym krokiem szedł wzdłuż linii lasu.

– On cię zdradzi – zapewniła ją. – Whitingowie zawsze zdradzają osoby, którym ufają najbardziej.

Callie utkwiała w niej wzrok.

– To nieprawda.

– Oczywiście, że prawda.

– Zostałaś zdradzona?

– Tak, wiele razy.

– Cóż, wygląda jednak na to, że koniec końców dostałaś wszystko, czego chciałaś. – Callie odbiła piłeczkę.

– To się jeszcze okaże – powiedziała Marta, nie spuszczać z niej wzroku.

– Naprawdę, to jeszcze nie wszystko? – Callie także się w nią wpatrywała. Zaczynała myśleć, że Paul ma co do niej rację.

Marta pokręciła głową i westchnęła, jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że Callie jest bardzo naiwna.

Po chwili przywołała na twarz uśmiech, a ton jej głosu złagodniał.

– Posłuchaj, wiem, że dla mnie historia dobrze się skończyła, ale to trwało bardzo długo. Po drodze przeżyłam wiele rozczarowań. Wiele... upokorzeń. – Spojrzała na Callie i wydawało się, że mówi szczerze. – Nie chcę, żebyś przechodziła przez to samo, co ja. Paul jest bardzo rozpuszczony i sądzi, że wszystko mu się należy. Będziesz musiała długo czekać, zanim dorośnie.

Callie czuła, jak jej policzki robią się czerwone.

– Złosisz się, bo wiesz, że mam rację – dodała Marta.

Gdyby to ktoś inny dał jej taką krytyczną uwagę, Callie nie puściłaby tego płazem, ale Marta i Finn mieli być jej teściami. Paul i tak stworzył już przepaść, którą trudno będzie zniwelować. Choć bardzo chciała powiedzieć Marcie, żeby zajęła się własnymi sprawami, trzymała język za zębami. Było to podwójnie trudne, bo Callie wiedziała, że to, co powiedziała Marta, częściowo było prawdą. Nie ulegało wątpliwości, że Paul zachował się dziś niegrzecznie i dziecinnie, ale biorąc pod uwagę okoliczności, nietrudno było jej zrozumieć, jaki jest tego powód.

– Przyjmij moją radę. – Usłyszała jeszcze głos Marty. – Oddaj mu ten pierścionek i bierz nogi za pas.

ROZDZIAŁ 39

16 lipca 2015
Pride's Crossing

Senny koszmar, sen erotyczny, jakiekolwiek widzenie senne, w którym oskarżona nawiedzała lub dręczyła ofiarę, stawały się argumentami przemawiającymi za potępieniem. Jeśli ktoś miał o coś żal do sąsiada, samo oskarżenie często stawało się najbardziej obarczającym dowodem.

Rose Whelan, Czarownice z Salem

– Co to jest, do cholery? – jęknął Paul następnego ranka, nakrywając głowę poduszką.

Callie też słyszała przenikliwy szcęk maszyn.

– Dowiem się – powiedziała, zadowolona, że ma wymówkę, aby się od niego na chwilę oddalić.

Kiedy wróciła wczoraj do domu, wybuchła między nimi awantura, pierwsza tak poważna. Callie próbowała jej uniknąć, ale Paul wychylił jeszcze kilka

drinków, po tym jak ostentacyjnie wyszedł z domu, i łąził za nią z pokoju do pokoju, nie przestając mówić o ślubie i o Marcie.

– Nie mam zamiaru iść na to wesele! – powiedział, niewyraźnie i z wściekłością wymawiając słowa. Wygłaszał niekończące się tyrady o swoim ojcu i Marcie.

– Jesteś pijany. – Nie wytrzymała w końcu. – Idź spać.

Poczuła ulgę, gdy posłuchał jej rady i nieprzytomny zwałił się na łóżko. Była tak spięta, że w ogóle nie mogła zasnąć. Dziś czuła się wzburzona zarówno z powodu zachowania Paula, jak i słów Marty. Nie chciała rozmawiać z żadnym z nich.

Wciągnęła szorty i poszła przez las, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Tego się nie da zrobić! – Usłyszała męski głos.

– Nie obchodzi mnie to. – Mówiła Marta. Rozmawiała z mężczyzną, który kierował jakąś maszyną. Stali obok tego, co zostało z dębu, pod którym umarła Rose. Reszta ekipy kręciła się w pobliżu z nietęgimi minami. – Chcę, żeby to stąd zniknęło. Usunąć cały system korzeniowy i zasiejcie trawę. Po południu ma być po wszystkim. – Odwróciła się i poszła z powrotem do domu.

– Ta frezarka do pni nie jest wystarczająco mocna – skarżył się jeden z konserwatorów zieleni.

– Zamówiłem koparkę – odparł kierownik pracowników.

Jak na zawołanie pojawiła się wielka maszyna.

Callie została, aby popatrzeć, przysiadła jednak na zboczu klifu, aby nie wchodzić nikomu w drogę. Pień dzięki koparce usunięto z łatwością, ale z korzeniem sprawa okazała się bardziej skomplikowana. Maszyna wykopywała coraz większą dziurę, a korzeń nadal pozostawał głęboko wrośnięty w ziemię. Promień powstałego dołu wynosił już przynajmniej piętnaście metrów.

– To jakiś absurd! – jęknął jeden z mężczyzn. – Nigdy go całkiem nie wykopujemy.

– Ale ona zamierza usunąć całe to cholerstwo – odparł jeden z konserwatorów. – Jeśli chcesz tu nadal pracować, to lepiej rób, co ci każą.

W końcu pojawił się Paul, wykąpany i ubrany.

– Idę się przejechać – oświadczył.

Callie pokiwała głową.

– Okej. A ja chyba zajrzę do herbaciarni i zobaczę się z Towner.

I miło spędzę czas bez ciebie.

– To jakieś szaleństwo, co? – dodała.

– Nie większe niż całe to wesele.

Paul odjechał, a Callie siedziała w słońcu, próbując się odprężyć... Nie mogła jednak przestać się gapić na rozwartą paszczę ziemi, która pośród przekleństw robotników robiła się głębsza i szersza, a końca wciąż nie było widać.

Gdy zerkała w czarną otchłań, rozumiała, dlaczego korzeń sprawiał tyle problemów. Ciągnął się w stronę domu i był splątany z innym podziemnym systemem korzeniowym. Kiedy w końcu spróbowano go wyciągnąć, ziemia pękła, a korzeń zaczął rozrywać ją, jakby to było trzęsienie ziemi. Rozpadlina ciągnęła się przez cały trawnik, znikając z boku bocznych schodów.

– Stać! – krzyknął konserwator.

– Cholera – zaklęli inni pracownicy, kręcąc z niedowierzaniem głowami.

– Koniec! Wystarczy! Zasypać to. Wszystko. I niech ktoś naprawi te przekłete schody, zanim zobaczy to pani Whiting.

Główny konserwator wrócił do pick-upa i odpiął łańcuch, którego użył do wyrwania pnia. Callie zerknęła na korzeń: splątana masa była równie gruba, co kiedyś pień nad ziemią, i ciągnęła się przez całą długość posesji, aż pod dom. Gdy na to patrzyła, wykopana dziura zaczęła wypełniać się wodą. Czy woda morska szukała tu swojego poziomu? Ale nie, ocean znajdował się przynajmniej piętnaście metrów niżej. Nawet przy najsilniejszym przypływie nie byłby w stanie sięgnąć tak wysoko, żeby wypełnić dziurę. Może pracownicy uszkodzili jakąś rurę?

– Panowie! – Chciała im to pokazać.

Nie słyszeli jej. Wstała z miejsca i pobiegła do nich. I wtedy zauważyła coś dziwnego. Woda, która groźnie wypełniała otwór, miała kolor ciemnego szkarłatu. To nie była woda. To krew! Napęliająca otwór centymetr po centymetrze.

– Uwaga! – Ktoś z ekipy zepchnął ją z drogi na moment, zanim uderzyłaby ją koparka.

Nie słyszała, jak się zbliża. Czowała na sobie spojrzenia wszystkich mężczyzn, kiedy odchodziła szybko w stronę domku na przystani.

W domu wzięła długi prysznic, próbując się uspokoić. Nie potrafiła uciszyć swoich myśli. Nie mogła też powstrzymać wzbierającej w duszy złości. Po co tu wrócili? Dlaczego nie polecili do Matery zaraz po pogrzebie? Paul stawał się innym człowiekiem, innym niż ten, którego poznała w Pride's Crossing i zupełnie innym od rozluźnionego, szczęśliwego mężczyzny, którym był we Włoszech.

Ubrała się i wysuszyła włosy. Następnie pojechała do Salem. Kiedy wjeżdżała na szczyt Beverly Bridge, na jej pas wjechał jakiś samochód. Wcisnęła klakson, ale auto nie zjeżdżało. Kierowca w końcu umknął na prawo, choć niewystarczająco szybko. Nie chciała hamować. Z premedytacją uderzyła w jego boczne drzwi.

Oboje wysiedli i przyjrzeni się swoim samochodom.

– Byłaś w mojej martwej strefie! – wyjaśnił jej drugi kierowca.

Bez słowa podała mu dokumenty ubezpieczeniowe.

Widziała, że mężczyzna zorientował się, iż celowo wjechała w jego auto. Nie czuła jednak z tego powodu żadnych wyrzutów. Nie zapytała nawet, czy nic mu nie jest, co nie było w jej stylu i wydawało jej się dziwne. Potem pojechała

prosto do Towner.

– Wszystko w porządku?

– Właściwie to nie – odpowiedziała Callie. – Przed chwilą miałam stłuczkę.

– Jesteś ranna?

– Na szczęście nikomu nic się nie stało. Jestem tylko w lekkim szoku.

– Usiądź i napij się herbaty.

Callie piła gorący napój i ze zdziwieniem uświadamiała sobie, że już od jakiegoś czasu nie czuła się tak dobrze, jak teraz. Czy to przez dawkę adrenaliny? Sprawiała, że czuła się wręcz przeciwnie, niż wskazywałyby okoliczności. To było *dobre* uczucie, w dziwny sposób kojące. Serce przestało nieprzyjemnie kołatać.

– Masz już sukienkę na przyjęcie? – zagadnęła Towner. – Chcesz znów pożyczyć moje perły?

– Nie trzeba – podziękowała Callie. Nie zamierzała jej tłumaczyć, że jeśli Paul postawi na swoim, być może w ogóle nie pójdą.

– A co o tej całej sytuacji myśli Paul? – Towner była ciekawa.

To naprawdę dziwne, jak potrafiła czytać jej w myślach.

Callie wzruszyła ramionami. Nie chciała w ogóle rozmawiać na ten temat.

– Oboje chcemy tylko przeżyć tę sobotnią imprezę.

Naraz dziewczynie zadzwoniła komórka. Dzwonił Rafferty z prośbą, żeby przyjechała na komisariat.

– Chcę ci coś dać – oświadczył. – Coś, co należało do Rose.

* * *

W nadawaniu nazwy domowi było coś strasznie pretensjonalnego. Pride's Heart podnosiło poprzeczkę. Ktoś zdecydował, że jako największy dom w okolicy jest w sercu miasta albo przynajmniej powinien, i nadał mu stosowne imię.

Nie mógł za to winić ego Finna Whitinga, choć tego żałował. Dom został ochrzczony na długo przed pojawieniem się Finna. Raz jeszcze spojrzął na zaproszenie.

– „Pycha przychodzi przed upadkiem”[30] – mruknął do siebie, przywołując cytaty z Biblii.

Była jeszcze jedna biblijna fraza o dumie i sercu – pomyślał, próbując ją sobie przypomnieć. Jako student w Fordham, który rozważał kapłaństwo, byłby w stanie podać księgę i wers. Ale teraz, po latach, musiał sprawdzić. Poszukał w internecie biblijnych cytatów o dumie.

Jest! Księga Abdiasza rozdział pierwszy, wers trzeci: „Pycha twojego serca

zawiodła cię...”[31].

Rafferty nie cieszył się na uczestniczenie w świętowaniu tego małżeństwa. Ann wspomniała Towner, że Marta planuje mieć sto dziewczynek z kwiatami, które będą podawać lunch, najwyraźniej ze szkoły, dla której Marta zbierała fundusze. Nikt nie powiedział tego wprost, ale było jasne, że próbuje przebić poprzednią panią Whiting.

Biedna Emily. W jaki sposób po raz pierwszy dowiedziała się o Marcie? Dlaczego nie zostawiła wtedy Finna? Rafferty potarł dłońmi oczy. Niewierność. Chciałby móc wymazać to słowo z zasobów umysłu. Tak wiele energii musiał poświęcić, aby nie myśleć o tamtej nocy w nadziei, że Towner nie odczyta jego myśli. To było wyczerpujące.

* * *

Jay-Jay zadzwonił do Rafferty’ego, by mu powiedzieć, że Callie czeka w recepcji.

– Przyślij ją – polecił, zapominając aż do ostatniej chwili, że zawartość pudeł z dowodami leżała rozłożona na całym jego biurku i po różnych miejscach w gabinecie.

Udało mu się znaleźć i przesłuchać szesnastu mężczyzn, z którymi zadawały się Boginie, w tym dwóch starszych funkcjonariuszy z jego własnego komisariatu. Musiał postraszyć ich zawieszeniem, ale, koniec końców, zgodzili się współpracować. Jeden podejrzany prowadził do kolejnego, a każdy dodawał coś do całej historii, choć nigdy wystarczająco dużo, aby rozwiązać zagadkę.

Był w stanie potwierdzić jedną rzecz, która dowodziła, że Helen Barnes się myli. W domu Rose nie działał burdel. Kiedy zapytał, czy Boginie pobierały pieniądze za świadczone usługi, każdy z mężczyzn zaprzeczał. Wierzył im.

Jednak w kwestii tego, kto popełnił zbrodnię, nie miał pojęcia, komu ufać. Piąty płatek róży, którą narysował, kiedy Callie pojawiła się w mieście, płatek Sarah Good, miał teraz tyle wykreślonych i przepisanych nazwisk, że kartka się przetała i komendant musiał przykleić kolejny kawałek za pomocą taśmy, po czym narysować strzałkę od płatka do listy podejrzanych, która była tak długa, że trzeba było złożyć ją na pół, żeby zmieściła się w szufladzie biurka. Wyglądało na to, że każdy z wypisanych na niej mieszkańców Salem miał jakiś motyw. A jeśli ktoś nie miał, to miała jego żona. Teraz miał zbyt wielu podejrzanych i nie robił postępów w szukaniu Leah Kormos.

Ale w tym całym zamieszaniu Rafferty miał jeden pomysł, który go gnębił

i o którym nie mógł zapomnieć. Jeśli miał rację, mógł wywołać jeszcze więcej kłopotów, niż gdyby zostawił pudła z dowodami w archiwum, jak sugerował Tom Dayle.

SARAH WILDES
Cheryl Cassella

REBECCA NURSE
Olivia Cahill
Callie Cahill
Rose Whelan

Susan Symms
SUSANNAH MARTIN

Leah Korn
ELIZABETH

Starał się pochować dokumenty, które rozłożył na biurku, ale było za późno. Callie zauważyła zdjęcie, kiedy tylko weszła do biura.

– Mural! – krzyknęła, podnosząc fotografię i wpatrując się w nią w napięciu przez długi czas. – Wyglądały niesamowicie, prawda?

– Prawda – potwierdził.

– Pamiętam tego malarza. Był przyjacielem Rose.

– To jeden z ich partnerów? – zapytał Rafferty.

– Nie, nie był jednym z nich. Pamiętam, że był bardzo miłym starszym panem. Wydaje mi się... No cóż, byłam wtedy dzieckiem, ale wydaje mi się, że mógł być gejem.

Rafferty słyszał to też od jednego ze swoich funkcjonariuszy i wydawało się, że to najlepiej strzeżona tajemnica w mieście. Jedną z niewielu osób, które nie wiedziały, była Helen.

– Cieszę się, że to znalazłeś – powiedziała. – Nie posiadam żadnych ich zdjęć.

– Właściwie to nie z tego powodu cię wezwałem, choć z przyjemnością zrobię ci kopię. – Sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął małe pudełko. Na odwrocie ktoś napisał: ODDAĆ ROSE WHELAN.

– Nie jestem pewien, dlaczego nigdy jej tego nie oddano, ale na pewno chciałyby, żebyś to dostała.

Callie powoli otworzyła pudełeczko. Kiedy zobaczyła, co jest w środku, zaczęła płakać.

To był różaniec.

– Oj, nie chciałem cię zasmucić.

Uniosła dłoń.

– Nie, wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Dziękuję, że mi to dałeś.

Wzięła go do ręki, pięć płatków pasowało do jej ręki, która od tamtego czasu urosła, więc róża, która kiedyś ledwie mieściła się jej w dłoni, teraz wydawała się malutka.

– Ładny, prawda?

– Tak – przyznał Rafferty.

Zawiesiła sobie różaniec na szyi, tak jak przed laty nosiła go Rose.

– Dziękuję – powiedziała raz jeszcze. – Jestem dzięki temu bardzo szczęśliwa.

– Nie wyglądasz na szczęśliwą. – Miał nadzieję, że nie popełnił błędu, dając jej tę pamiątkę. Zauważył pierścionek na jej palcu. Wiedział o zaręczynach, zdążył już im obojgu pogratulować, ale teraz nic nie powiedział. – Chcesz pogadać?

– Nie chodzi o nic poza tym, co oczywiste – przyznała. – „Uzczenie małżeństwa”. – Callie zaznaczyła cudzysłowy w powietrzu. – Cieszę się, że przyjdziecie z Towner.

– Nie mogę się doczekać – powiedział, słysząc, jak pusto brzmi jego kłamstwo.

Callie się roześmiała.

– Czuję dokładnie to samo. I Paul też. – Spojrzała na niego z zaciekawieniem. – To nie był jedyny powód, dla którego mnie tu poprosiłeś, prawda? – Nie przestawała gładzić palcami różańca.

– Jezu, co jest z kobietami w tym mieście? Do cholery, każda z was czyta w myślach!

Wydawała się zaskoczona jego wybuchem, ale milczała.

– Nie – dodał. – To nie był jedyny powód. Nie do końca. – Zawahał się, po czym wyciągnął listę zasad. – Widziałas to kiedykolwiek?

Callie przyjrzała się notatce skreślonej dziewczęcym pismem, zatytułowanej: ZASADY BOGIN.

– Nie – przyznała cicho.

– Tak, jak mówiłem, Leah była w ciąży. Wiemy więc na pewno, że złamała przynajmniej jedną z tych zasad. Mam przeczucie, że mężczyzna, którego widziałas we śnie, niebieskooki facet w łóżku, o którego się kłóciły... Myślę, że mógł być ojcem dziecka Leah.

Callie milczała.

– Jest jeszcze jedno pytanie, które chciałem ci zadać. Wspomniałaś, że w swojej wizji, a właściwie śnie, z Hammond Castle kobieta w czerwieni dała ci do powąchania jakiś alkohol. Powiedz mi jeszcze raz, czym pachniał.

– Lukrecją – odparła. – Mówiła, że są w nim wróżki.

– Czy to mógł być absynt?

– Podejrzewam, że tak – odpowiedziała Callie. – Jeśli można ufać jednemu zaciągnięciu się zapachem wiele lat temu. Do czego zmierzasz?

– Właściwie do niczego szczególnego – skłamał. – To pewnie kolejny ślepy zaulek....

– Absynt... – Callie zastanowiła się przez chwilę. – Ale oczy Finna są brązowe, nie niebieskie... – szepnęła, czując, jak po plecach przebiega jej dreszcz.

– To prawda – odparł. – I jest wiele miejsc poza domem Whitingów, u których można dostać absynt. Ktoś się mógł o niego wystarać na imprezę. W końcu Whitingowie zajmowali się sprzedażą alkoholu.

– Słusznie – powiedziała, dotykając różańca dla uspokojenia.

– Dzięki, że przyjechałaś.

– To wszystko?

– Tak.

* * *

Kiedy tylko Callie wyszła, Rafferty otworzył w internecie wyniki swojego dochodzenia przeprowadzonego zaraz po nagłej śmierci Emily.

Ponieważ wszyscy dobrze wiedzieli, że pani Whiting ma raka, nie wykonano autopsji, co często miało miejsce w podobnych przypadkach. Zadzwoił jednak do jej aptekarza, gościa, którego znał z AA i poprosił o wykaz wszystkich leków zapisywanych Whitingom. Poświęcił kilka dni na sprawdzenie każdego z nich. Wyglądało na to, że Emily była w remisji aż do dnia śmierci. Rafferty nie musiał być geniuszem, by wiedzieć, że istnieją sposoby na przyspieszenie śmierci pacjentów z nowotworem, jeśli na tym właśnie komuś zależy. Rozmawiał z lekarzem pracującym na oddziale ratunkowym, którego poznał jeszcze w Nowym Jorku. Powiedział mu, że opiaty byłyby tu oczywistym wyborem i że prawdopodobnie zapisano jej, by złagodzić ból. Ale na liście, którą dostał od aptekarza, nie było tego typu leków – w ogóle żadnych środków przeciwbólowych. Dziwne – pomyślał. – Zwłaszcza jeśli rak rozprzestrzeniał się tak szybko, by ją zabić.

Inne odkrycie wydało mu się jeszcze bardziej niepokojące.

Wśród leków Finna znajdowały się dwa środki na jaskrę. Pierwszym medykamentem był latanoprost, który w ciągu ostatnich kilku lat stał się domyślnym środkiem na tę przypadłość. Drugi, bimatoprost, przepisano wcześniej. Dawał on właściwie ten sam efekt, ale był nieco mniej skuteczny. Dlaczego więc Finn nadal go brał? – zastanawiał się Rafferty. Drażąc temat, przeczytał o nietypowym efekcie ubocznym powodowanym przez oba leki, choć nieco mocniejszym w przypadku bimatoprostu, przez co ten środek stał się popularny z powodów zgoła niezwiązanych z jaskrą i to tak popularny, że rekomendowały go gwiazdy filmowe. Sprzedawano go pod nazwą Latisse. Stosującym go osobom rosły długie i gęste rzęsy. O Finnie Whitingu można było powiedzieć wiele, ale nie to, że był skromny. Miał długie rzęsy, a zaprzestanie brania leku wstrzymałoby efekt, co, jak wywnioskował Rafferty, było powodem, dla którego wciąż go zażywał.

Teraz jednak zaświtało mu coś jeszcze. Przystudiował ponownie listę efektów ubocznych: branie bimatoprostu mogło przyciemnić tęczówki, a tym samym zmienić kolor oczu z niebieskich na brązowe.

Wyciągnął rysunek róży i napisał długopisem imię, które kilka razy wcześniej wpisywał ołówkiem, a zaraz potem ścierał. Następnie zadzwonił do

Mickeya.

– Jak myślisz, ile czasu zajęłoby ci sprawdzenie przodków Finna Whitinga?

– Masz szczęście – odparł Mickey. – Bo już nad tym pracuję. Choć pewnie nie wyrobię się na wesele. Zamierzam podarować im ich połączone drzewa genealogiczne w prezencie ślubnym.

[30] Prz 16, 18; cytat pochodzi z Biblii Tysiąclecia.

[31] Ab 1, 3; cytat pochodzi z Biblii Tysiąclecia.

ROZDZIAŁ 40

18 lipca 2015
Pride's Crossing

15 stycznia 1697 roku w Salem zarządzono dzień postu ku czci ofiar, znany jako Dzień Oficjalnego Upokorzenia.

Rose Whelan, Czarownice z Salem

Rafferty i Towner zajęli miejsca. Marta posadziła z nimi Ann i Mickeya oraz Zee i jej chłopaka Hawka, takielarza na statku Friendship. Siedzieli jeden stolik dalej od głównego stołu, który został usytuowany niedaleko krawędzi klifów, niespełna dwadzieścia metrów od domu. Cieszyli się szeroką panoramą na wyspy graniczne i Salem Sound.

– Czyż to nie idealny dzień na przyjęcie? – zauważyła Towner, spoglądając na Ann.

Przy dwudziestu sześciu stopniach Celsjusza i bezchmurnej aurze wyglądało to niemal tak, jakby Marta i Finn kazali usunąć na tę okazję wilgoć, która była

plagą okresów letnich w Nowej Anglii. Gości najpierw poczęstowano napojami i przystawkami w oranżerii, a potem zaproszono na zewnątrz na lunch.

Ann pokiwała głową.

– Jak się ma stary Finch, Zee? – zapytał Mickey. Doherty’ego rzadko można było spotkać, gdy nie miał na sobie kostiumu pirata. Dziś świetnie prezentował się w garniturze.

– Właściwie bez zmian – odparła lekarka. Jej ojciec miał parkinsona. – A to generalnie najlepsza wiadomość, jakiej moglibyśmy się spodziewać. – Rozejrzała się wokoło. – Czy ktoś oprócz mnie uważa jeszcze, że to wszystko jest nieco dziwne? – Przechyliła głowę w stronę Finna, Marty, Paula i Callie siedzących przy głównym stole. Finn i Marta wyglądali na niebywale szczęśliwych. Paul i Callie mieli kwaśne miny.

– Po mieście krąży mnóstwo plotek o ich pospiesznym małżeństwie – mruknął Mickey, a Ann próbowała go uciszyć. – Słyszałem, jak nasza najbardziej zagorzała purytańska krytykantka Helen Barnes oświadczyła: „Cóż, bardzo po europejsku, prawda?”.

Na szczęście Helen Barnes siedziała przy stoliku po przeciwnej stronie nowożeńców, poza zasięgiem głosu Mickeya.

– Teraz wasza kolej, by stanąć przed ołtarzem – powiedział Mickey do Zee.

Hawk się uśmiechnął.

– Mnie nie musisz przekonywać.

– Następni są Callie i Paul. Nie widziałeś pierścionka na jej palcu? – zapytała Zee Mickeya.

– A tak poważnie, kiedy zobaczę pierścionek na twoim palcu? – drążył Mickey.

– Strasznie jesteś grubiański, nawet jak na pirata – zaśmiała się lekarka.

– Jako twój wujek zwyczajnie troszczę się o twoje dobro.

– Mickey, mam do ciebie pytanie – wtrącił Rafferty.

Zee rzuciła Rafferty’emu spojrzenie pełne wdzięczności.

– Nie ważne, o co zapytasz, nic nie powiem bez adwokata – odparł Doherty.

– Spokojnie. Nie jestem dziś na służbie. To tylko zwykła ciekawość – zripostował Rafferty, spoglądając na Pride’s Heart. – Od dawna żeglujesz po tych morzach. Skoro rodzina tu mieszkała, jak ty i twój gang mogliście cokolwiek przemycić do piwnicy? W Święto Dziękczynienia miałem okazję zwiedzić piwniczkę na wina, ale nie widziałem wejścia do jaskiń spod poziomu domu.

– Mam ci zdradzić sekrety mojego fachu?

– Obiecuję, jeśli będę musiał cię aresztować, zrobię z ciebie świadka koronnego.

– Znam swoje prawa. Na te rzeczy obowiązuje przedawnienie.

Rafferty się uśmiechnął.

– Poważnie, jestem ciekaw, jak dostałeś się do środka.

– *Jeśli* coś wciąż było szmuglowane, kiedy zacząłem pracować dla Whitingów (a to wielkie przypuszczenie), to podejrzewam, że ekipa, która z pewnością nie była moją ekipą wesołych, przestrzegających prawa piratów, korzystała z tylnego wejścia. – Mickey pokazał na zbocze klifu. – Jakies piętnaście metrów pod nami znajduje się mała plaża. Można tam dopłynąć tylko wtedy, gdy fala jest na tyle wysoka, że da się zacumować. A przynajmniej tak słyszałem.

Rafferty nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Jak ty ich nazwałeś? Weseli, przestrzegający prawa piraci?

– Zgadza się.

– To chyba oksymoron, nie sądzisz?

Wszyscy się roześmiali.

– Wymień choć jednego z twojej ekipy, który przestrzega prawa.

Mickey musiał się przez chwilę zastanowić.

– Jake O'Brien?

– Jake O'Brien zmarł sześć lat temu! – wykrzyknął Rafferty.

– To nie znaczy, że nie przestrzega prawa, tylko że nie żyje.

– Nie liczy się.

– Okej, daj mi chwilę. – Mickey porządnie się koncentrował. – Patch Willis!

Rafferty uniósł brew.

– Próbujesz mi wmówić, że Patch Willis nie ma kartoteki?

– Wyłącznie za drobne wykroczenia. I w dodatku to było dawno temu. Patch Willis od ostatnich dziesięciu lat jest szanowanym obywatelem.

Prawdą było, że Rafferty nie widział go od mniej więcej tego samego czasu.

– A co teraz porabia?

– Do niedawna był grabarzem na cmentarzu Greenlawn. Właśnie przeszedł na emeryturę.

Bingo! – pomyślał Rafferty. Uważał Finna za głównego podejrzanego, ale nie miał wystarczających dowodów. Związek pomiędzy Willisem a Finem, jak również między jego nagłą emeryturą jako grabarza w Greenlawn w grudniu zeszłego roku zdecydowanie mogły okazać się przydatne. Może i dziś odbywało się przyjęcie, ale jutrzejszy ranek będzie zupełnie inny. Miał wiele pytań do Finna Whitinga, na które nie znał odpowiedzi.

Mickey zwrócił się do Ann:

– A co my w ogóle pijemy?

– To Bordeaux – powiedziała Ann, nalewając mu kieliszek. – Ale podobno toast weselny będziemy wznosić porto.

– Dość już mam tej podróby... – jęknął Mickey.

– Tym razem będzie prawdziwe – odparła Ann. – Tysiąc dolarów za butelkę...

Wyglądało, że Mickey jest pod wrażeniem. Wszyscy przy stole wiedzieli, że razem z innymi wrzucił beczki podrabianego porto do Beverly Harbor podczas skandalu wywołanego poprzez nieudany interes ojca Marty. Mickey miał wtedy jeszcze mleko pod nosem, ledwie wyemigrował z Irlandii. Przebrana za piratów grupa – za zgodą ojca Finna – spuściła do wody dziesięć pełnych beczek. To zdarzenie stało się tak sławne, jak bostońskie picie herbaty, i dało Mickeyowi licencję, by od tamtej pory już zawsze odgrywać rolę pirata.

– Podobno wznoszenie toastów nie jest takie proste – rzuciła Towner. – Nie wolno na przykład wznosić ich wodą. I nie pijesz, jeśli ktoś wznosi toast za ciebie. Marta nauczyła nas tego podczas gali dobroczynnej na rzecz schroniska na Yellow Dog.

– To podobno przynosi pecha – potwierdziła Ann.

– I nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno się stukać kieliszkami.

– Ale ktoś się zrobił mądry – zaśmiała się Ann.

– Mówię wam tylko, jak się prawidłowo zachować, żeby nikt nie narobił sobie wstydu.

– A kto wzniesie toast? – zainteresowała się Zee.

– Mam nadzieję, że nie Paul – mruknął Mickey. – Popatrz na niego: już wygląda, jakby wypił za wiele.

Zaczęła grać muzyka i sto małych dziewczynek, wszystkie przystrojone w kwiaty, wyszło z oranżerii. Miały na sobie długie lekkie pastelowe sukienki, a we włosach stokrotki. Każda, ze stroikiem z żółtych pąków róży na nadgarstku, niosła talerz z jedzeniem.

Goście wydawali z siebie westchnienia zachwytu na widok uroczych dzieci. Dziewczynki podawały główne danie, risotto z homarem, również ozdobione kwiatami.

– Kwiaty pochodzą z ogrodu Marty. – Ann pochyliła się do Towner. – Żółte róże, pomarańczowe nasturcje, fioletowe bratki. I wiedzcie też, snoby i cynicy, że ta urocza procesja dziewczynek zapewnia artykuł w „The Boston Globe” i „Vanity Fair”.

– Mamy zjeść te kwiatki? Mickey skrzywił się, patrząc na talerz risotto, który ostrożnie postawiła przed nim jedna z dziewczynek.

– Oczywiście! – Callie zjawiała się przy ich stoliku. Nadal miała na szyi różaniec, który zwrócił jej Rafferty, ubrana zaś była w długą lawendową sukienkę. Włosy miała rozpuszczone i przyozdobione kwiatami niczym hipisowska księżniczka. – Ostatnio urządzamy prawdziwe uczyty ze wspaniałości z ogródka Marty: bratki z naleśnikami, kwiaty cukinii z rukolą w sałatce, kwiaty bazylii z makaronem.

– Witaj, Callie – zwróciła się do niej Ann.

Dziewczyna skinęła głową. Wiedziała, że Ann pomagała Marcie przy

kwiatach i z całych sił starała się jej przypadkiem nie spotkać. Paul zupełnie nie zauważył obecności Ann w ich rezydencji, co by ją ucieszyło, gdyby nie fakt, że tak się o niego martwiła. Nie potrafił poradzić sobie ze złością, pod jej wpływem przestawał być sobą.

Ann nie próbowała porozmawiać z Paulem wcześniej, ale teraz patrzyła w jego stronę.

– Wszystko z nim w porządku? – szepnęła.

– Tak, ma się świetnie – skłamała Callie, zwracając się w kierunku Rafferty’ego.

Komendant pomyślał, że Callie wygląda dziś dokładnie jak swoja matka. Przebarbowała włosy z powrotem na naturalny kolor. Potrzebowała tylko bosych stóp i olejku z paczuli.

Widząc, jak oczy Rafferty’ego przesunęły się na jej stopy, Callie też spojrzała w dół.

Dziura w trawniku została całkowicie przykryta metalową płytą, na której starannie rozwinięto murawę, z zamiarem ponownego otworzenia jej po przyjęciu weselnym i dokończeniu prac naprawczych. Zadanie wykonano tak precyzyjnie, że ledwie było widać zniszczenia, jakie usunięcie korzenia uczyniło temu zazwyczaj idealnemu trawnikowi.

– Słyszałem, że jesteś odpowiedzialna za całą tę procesję. – Rafferty zwrócił się do Ann.

– Tylko częściowo – odparła Ann. – Wynajęli własnego kierownika muzycznego. A dziewczynki same wybrały sobie kwiaty.

Callie obserwowała dziś rano ze swojego okna, jak dzieci zbierają kwiaty do przyozdobienia talerzy. Przeciskały się przez labirynt letnich rabatek, przystając na chwilę, by zerwać to i owo i włożyć do koszyka, który ze sobą niosły. Z perspektywy domku na przystani dziewczynki wyglądały jak motyle albo małe wróżki, o których Rose opowiadała w irlandzkich historiach. Nie te uwięzione w drzewach, ale te piękne, mieszkające we wzgórzach i rzucające zaklęcia dla wędrowców, którzy na nie zasłużyli. Ten widok uspokoił nerwy Callie i zdawał się mieć podobny wpływ na Paula, niwelując ślady ich niedawnej kłótni, która trwała prawie cały wczorajszy wieczór.

Pogodzili się, zanim poszli spać, ale się nie przytulili. Callie przewracała się z boku na bok, aż w końcu postanowiła wstać.

Wzięła *Księgę drzew* z półki, gdzie stała obok prochów Rose, i zabrała ją do kącika bibliotecznego na szczycie schodów w latarni morskiej. Zanim ją otworzyła, stała dłuższą chwilę, patrząc na Barker’s Island i roztaczając się za wyspą ciemność.

Dużo myślała o Rose, odkąd konserwatorzy odkryli korzenie drzewa. Przez moment miała pomysł, że rozrzuci prochy starszej kobiety pod pniem. Ale po wizji

z krwią wiedziała, że nie jest to dobry wybór na miejsce wiecznego spoczynku cioci. Tak wiele rzeczy, których ostatnio doświadczyła, było ukrytych... Leżały gdzieś pod spodem: rafa Norman's Woe, zanurzona i zdradliwa; freski schowane przez wieki pod warstwami czarnej sadzy, dziura po korzeniu nakryta murawą. Były też jaskinie pod domami w Sassi i grotty pod Pride's Heart. Rzeczywiście, tuż pod powierzchnią życia zdawały się istnieć różne rzeczy, ujawniające swoją obecność w najdziwniejszych momentach albo kiedy przypadkowo lub intencjonalnie ktoś zaburzył ich spokój.

Chciała wymyślić jakieś lepsze miejsce dla Rose i miała nadzieję, że dziennik podsunie jej pomysł. Zapadła się więc w fotel w kąciku czytelnicy i włączyła światło, wygaszając panoramiczny morski krajobraz i tworząc wielokrotne odbicia siebie w ustawionych pod kątem szklanych ścianach latarni.

Zaczerpnąwszy głęboki wdech, otworzyła *Księgę drzew* Rose, bojąc się, że natknie się na podszyty paranoją manifest, nagryzmołoną prozę chorego umysłu. W zamian odkryła dzieło sztuki. Splecione w niekończący się wzór były tam szkice drzew, ich gałęzi wychodzących z jednej strony na drugą, czasem ogołoczone przez zimę, czasem tonące w liściach. Przeszyte żyłkami liście dębu wyrastały z koniuszków gałązek. I wtedy to, co uważała za kolekcję wielu drzew, połączyło się i Callie z lękiem zdała sobie sprawę, na co patrzy. To było pojedyncze drzewo rozciągające się na wszystkie strony: drzewo życia, podobne do tego z włoskiego fresku. Jego gałęzie pięły się ku niebu, a korzenie wrastały w ziemię, sięgając równie głęboko, jak wysokie były konary.

Jak na górze, tak na dole.

Jedynymi słowami w dzienniku były imiona. W korzenie wpisane były imiona zarówno oskarżonych i skazanych w lipcu tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku: Rebeki Nurse, Sarah Wildes, Elizabeth Howe, Sarah Good i Susannah Martin – pięciu płatków różańca, który miała na sobie. Spojrzała na odpowiadające im konary i zobaczyła nazwiska, których nie rozpoznała, umieszczone na gałęziach prowadzących wyżej i wyżej po drzewie. Na samej górze znajdowały się imiona Olivii, Cheryl, Susan, każda na gałęzi, która została złamana. W pobliżu korony Callie znalazła imię Rose, a tuż nad nim, na łodyżce wyrastającej ze złamanej gałązki Olivii – swoje własne. Praca była nieskończona: istniało wiele luk, miejsc, których Rose jeszcze nie uzupełniła, ale przekaz był prosty. To było drzewo rodzinne.

Callie pozostała w fotelu całą noc, jak w transie przeglądając setki imion, aż wschodzące słońce wyrwało ją z zadumy.

Teraz pytania Zee przywołały ją z powrotem w rzeczywistość weselnego przyjęcia.

– Widziałas kiedyś coś równie uroczego? – zapytała, pokazując na dziewczynki, które dalej roznosiły talerze gościom.

– Są...

– Przepraszam – przerwała jej Ann. Nie mówiąc nic więcej pospieszyła przez trawnik i zrzuciła z jednego talerza fioletowy kwiat z długą łodygą. – Skąd to masz? – zapytała dziewczynkę, która podawała danie. – To są naparstnice. Widzisz te kwiaty przypominające dzwonki? Nie nadają się do jedzenia, skarbie. Można się przez nie bardzo rozchorować.

Dziewczynka się rozplakała, a ludzie zaczęli się interesować zajściem.

Podeszła do nich Marta.

– Co robisz, Ann? – Nie kryła zdumienia.

– Wracaj do stolika. – Ann odsunęła ją ruchem ręki. – Zajmę się tym.

– Możesz mi pokazać, gdzie dokładnie znalazłaś te rośliny? – Ann zagadnęła dziewczynkę, jednocześnie rozglądając się po stolikach. Odkryła jeszcze dwie naparstnice i szybko zgarnęła je z talerzy.

Dziewczynka skinęła głową.

– O co chodzi? – zapytała Towner, gdy Ann wróciła do stolika.

– O nic. Kryzys zażegnany.

Callie utkwiała w niej wzrok.

– Kryzys?

– Lisie dzwonki. Naparstnice. Te fioletowe kwiaty rosną dziko w tym regionie. Są piękne, ale bardzo trujące.

– Gdzie dokładnie rosły? – zainteresowała się Callie.

– Na trawie tuż za ogrodem warzywnym, w miejscu, które musiał pewnie zasłaniać ten wielki pień, usunięty niedawno – wyjaśniła Ann.

Mickey spojrzał na swój talerz, jakby miał ochotę go ugryźć.

– Śmiało, jedzmy, wszystko jest już w porządku – uspokoiła Ann.

Callie wróciła do głównego stołu.

Marta wzięła swój widelec i zaczęła jeść, więc goście zrobili to samo, zapewnieni, że jakikolwiek kryzys zwrócił uwagę Marty, już mu zaradzono.

Dziewczynki skończyły roznosić danie, usiadły przy długim stole obok oranżerii i też jadły lunch.

Po deserze kelnerzy wypełnili gościom kieliszki porto za tysiąc dolarów za butelkę do toastu weselnego. Wcześniej na stole nowożeńców znalazł się jeszcze droższy trunek. Callie wiedziała, że pochodzi z beczki, z której Paul poczęstował ich w tamtą noc w speakeasy. Finn i Paul już dość sporo wypili. Kiedy kelner uzupełnił im kieliszki, Finn wziął swój i wstał. Przemówił bezpośrednio do Marty:

– Wznoszę toast za moją żonę, Martę. To byłaś ty. To zawsze byłaś ty. – I jednym haustem opróżnił cały kieliszek alkoholu.

Zapadła niezręczna, paraliżująca cisza. W końcu Helen Barnes uniosła swój kieliszek i za jej przykładem reszta zszokowanych tym wyznaniem gości przyłączyła się do toastu.

Czując na sobie spojrzenie Marty, Callie upiła łyczek.

Marta uśmiechnęła się, ale nie tknęła swojego kieliszka.

Paul nie spuszczał z ojca wzroku. Choć wypił już tego dnia sporo porto, nie dołączył do toastu.

– A teraz, drodzy goście, dołączcie do państwa Whitingów na tańce w sali balowej – ogłosił Darren.

Marta wstała, wzięła męża za rękę i oboje skierowali się w stronę domu, przez francuskie drzwi do sali balowej. Paul stanął na chwiejnych nogach i ruszył za nimi. Nie wziął Callie za rękę, więc dziewczyna szła kilka kroków za pozostałymi. Inni goście pozostali na swoich miejscach i patrzyli na nich, aż pojawił się lokaj i delikatnie zaczął ich kierować w stronę domu.

– Gdzie idziesz? – Callie zapytała Paula. Podczas gdy większość gości skręciła w lewo do sali balowej, Paul poszedł na prawo do biblioteki.

Winda czekała z odsuniętą kratą, gotowa do jazdy.

– Dziś, dla odmiany, piwnica z winami jest w końcu otwarta. Idę po więcej porto. – Przytrzymał jej drzwi, prawie tracąc równowagę. – Alkohol to jedyny sposób, żebym jakoś przetrwał tę farsę.

– Wracajmy – poprosiła go Callie. – Do Matery. Natychmiast. Pojedźmy samochodem do Logan, a jeszcze dziś wieczorem złapiemy samolot. Rano będziemy już w klasztorze.

– Nie ma mowy – odparł Paul i pokazał jej, by wsiadła do windy. Pokręciła głową, na co wzruszył ramionami. Drzwi uderzyły go, gdy się zamykały.

Stała przy podwójnym biurku, słuchając trzasków i skrzypnięć windy. Miała złe przeczucia. Instykt podpowiadał jej, żeby uciekała stąd i nigdy nie wracała. Zerknęła przez okno i przez moment wydawało się jej, że widzi dziurę w trawniku, która została przykryta. Pulsowała.

Ze smutkiem zdała sobie sprawę, że Paul nigdy stąd nie wyjedzie. Wybierze swoje dziedzictwo zamiast szczęścia. To było rodzinne przekleństwo, przekleństwo zarówno Hathorne'ów, co Whitingów, sięgające całe pokolenia wstecz. Ciężko nad nim i Callie zrozumiała, że nigdy nie będzie mógł się go pozbyć. Posiadłość i majątek były dla niego ważniejsze niż długie i szczęśliwe życie, które jej obiecał. Marta miała rację. Zdradził ją.

Wyszła z biblioteki i ruszyła do domku na przystani. Wyszła na samą górę latarni, popatrzeć na Norman's Woe w jasnym letnim świetle, i nagle wyczuła obecność czegoś dużo mroczniejszego, niż sobie kiedykolwiek wyobrażała.

Przycisnęła do piersi notes Rose, zabrała jej prochy, po czym zeszła po schodach.

Zza lasu oddzielającego domek od Pride's Heart usłyszała muzykę, którą orkiestra zaczęła grać w sali balowej.

Szybko zapełniła bagażnik. Ręce spuchły jej przez dzisiejszy upał, musiała

więc włożyć dłoń pod strumień zimnej wody i namydlić palce, żeby ściągnąć pierścionek ze szmaragdem, który dał jej Paul. Kiedy w końcu puścił, potoczył się przez cały pokój i wpadł pod kanapę. Uklęknęła, żeby go stamtąd wyciągnąć. W końcu ostrożnie odłożyła go na stół, wiedząc, że tam go zobaczy.

Pojechała bocznymi drogami, mijając stodołę i budynki gospodarcze, a dalej plażę, na drodze 127 skręciła w lewo. Przejechała przez most, pilnując się, by nie spojrzeć w lusterko wsteczne. Nie miała siły wrócić do Amherst, skierowała się więc do hotelu Hawthorne i wynajęła pokój. Wyszła na piąte piętro i dopiero wtedy załamała się i zaczęła płakać.

* * *

Rafferty stał w drzwiach sali balowej i rozmawiał z Ann i Towner, czekając na Mickeya, który szukał toalety. Podeszła do nich Helen Barnes i przez długą chwilę przyglądała się ich trojgu.

– No proszę, pierwszy raz widzę takie rzeczy – oświadczyła. – Mężczyźni i ich kochanki! Zainspirowałyście się Emily i Martą? Bardzo to europejskie!

Rafferty gapił się oniemiały najpierw na Helen, a potem na Towner. Mickey powrócił do grupy w chwili, kiedy Helen poszła dalej.

– Co się dzieje? – zapytał, kiedy zobaczył ich miny.

– Chodź. – Ann chwyciła go pod ramię. – Obiecałeś mi walca.

ROZDZIAŁ 41

18 lipca 2015
Salem

Sfera pomiędzy życiem i śmiercią, czas, jak wszyscy wiemy, nie istnieje.
Księga drzew Rose

Towner i Rafferty nie rozmawiali podczas drogi powrotnej do Salem. Szli po schodach starej powozowni w ciszy, a dystans między nimi z każdą minutą się powiększał.

- Idę do łóżka – szepnęła w końcu Towner. – Idziesz ze mną?
- Musimy porozmawiać – oświadczył.
- Potem. Chodź do łóżka.

– Musimy porozmawiać teraz. – Szedł za nią po schodach wiodących do sypialni. Wiedział, co wydarzy się potem. Zawsze wiedział, co się stanie, kiedy się przyzna. Rozumiał zbyt dobrze, jak wygląda to „potem”. Pustka. Miejsce, którego bał się najbardziej. „Potem” oznacza, że ona odchodzi, a on zostaje bez niej.

Kiedyś już to przeżył i prawie go to zabiło. Nie był pewien, czy wytrzymałby po raz drugi.

– W sprawie tego, co powiedziała Helen... Ann i ja... – zaczął.

Podniosła dłoń, chcąc go powstrzymać.

– To nigdy nie miało miejsca. – Mówiąc to, ściągnęła z siebie sukienkę, zrzuciła buty i założyła szlafrok.

To samo powiedziała Ann, kiedy próbował z nią porozmawiać o tamtej nocy. Czy one ze sobą o tym rozmawiały? Poczuł w sobie uczucie zdrady oraz wstyd, które wytworzyły dziwną mieszankę.

– Tylko że to się zdarzyło. Byłem tam.

– Przestań. – Przyłożyła mu palec do ust.

Kiedy go zabrała, znów się odezwał:

– Poszedłem do Ann.

– Wiem.

– Myślałem, że mnie zostawiłaś.

– Bo zostawiłam.

Usiadł na brzegu ich łóżka, a po twarzy płynęły mu łzy frustracji i żalu.

– *Poszedłem* do Ann. – Zaakcentował pierwsze słowo, czekając, aż uderzy ją z pełną siłą.

– Wiem – powtórzyła. – A ona przyprowadziła cię do mnie z powrotem.

Przypomniał sobie wtedy, jak siedziała na jego ganku wczesnym rankiem.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. – Ujęła jego twarz w dłonie i otarła łzy rękawami szlafroka. –

Ale to właśnie zrobiła.

Po raz pierwszy zauważył, że Towner ma na sobie czarne kimono, to samo kimono, które widział tamtej nocy na Ann. Właściwie wszystko w Towner było takie samo, jak tamtego wieczoru: wygięcie jej szyi, moment, w którym czarne kimono zsuwało się jej z ramion.

– To byłaś ty.

Pokiwała głową, nadal patrząc mu w oczy.

– Jak?

– Czas nie jest linearny.

Rozwiązała szlafrok i podeszła do niego tak samo jak tamtej nocy.

ROZDZIAŁ 42

18 lipca 2015
Salem

Banshee ukazuje się albo jako piękna, młoda dziewczica, zdolna zwabić swoją ofiarę ku śmierci, albo starucha – oto dwa oblicza potrójnej bogini. Żaden człowiek nie jest w stanie spostrzec trzeciego i najczęstszego aspektu: matki, choć cały czas tu była.

Księga drzew Rose

– Tak bardzo cię przepraszam – mówił Paul. – Nie wiem, co jest ze mną nie tak. Możemy polecieć do Matery. Chcę tam jechać. Potrzebuję cię. Tylko wróć. – Jego głos brzmiał dziwnie, jak gdyby stał w tunelu.

– Gdzie jesteś? – zapytała Callie. Żałowała, że odebrała telefon.

– W domku na przystani. – Znów zakaszłał. – Szukałem cię i wtedy znalazłem pierścioneł na stole... – Jego urywany szloch stawał się głęboki i dławiący.

– Dobrze się czujesz?

– Nie – odpowiedział. – Serce dziwnie mi bije. A wokół księżycy zrobiła się jakaś zielona poświata.

Wyjrzała przez okno w pokoju hotelowym wychodzącym na wschód, skąd właśnie wyłonił się księżyc. Nie dostrzegła żadnej poświaty.

Wtedy usłyszała, jak wymiotuje.

– Jestem chory – dodał jeszcze. – O, cholera...

– Co?

– W tym jest krew. Mnóstwo krwi.

* * *

Jechała tak szybko, jak tylko mogła i zatrzymała się na tylnym podjeździe, tym najbliższym domku na przystani.

– Paul? – Z salonu pobiegła do sypialni, kuchni i łazienki, zanim wspięła się po schodach do latarni morskiej.

Nie było go tam, ale na podłodze obok telefonu widniała plama krwistych wymiocin. Na stole znalazła napisaną przez niego kartkę: „Przyjdź do spa. Finn też chory. Marta nie da rady zanieść go na górę. Przyjedzie tam do nas lekarz”.

Chwyciła liścik i pobiegła przez las do rezydencji, czując, jak kłują ją gałęzie wielkich sosen wskazujących swoimi cieniami ku niebu, przywołując wspomnienia baśniowych lasów i zbłąkanych w nich dzieci.

Frontowe drzwi były zamknięte, więc weszła przez spiżarnię. Wołała ich imiona. Bez odpowiedzi. Nie zauważyła nikogo ze służby, ani śladu Marty i Finna. Pewnie nadal byli w spa. Callie poczuła, jak narasta w niej strach, kiedy biegła przez bibliotekę do windy. Nacisnęła guzik i podczas gdy winda powoli i ze szczękiem ruszyła do góry, myślała o tym, co się stało. Zatrul się risotto? Coś gorszego?

Czuła narastającą panikę, kiedy winda powoli obniżała się do spa. Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła słabo oświetlone, lecz puste wnętrze. Nie było ich tu. Już miała ponownie wsiąść do windy, gdy zauważyła ciemną postać na podłodze, blisko morskiej studni.

– Paul! – Podbiegła do niego.

Nie reagował. Jedyne odgłosy pochodził z dębowej studni morskiej, gdy fale, wzbierające wraz z przyływem, uderzały w jej ściany.

Paul leżał nieprzytomny twarzą do ziemi w kałuży krwawych wymiocin.

– Paul – powiedziała raz jeszcze, potrząsając nim, by go obudzić. Próbowwała

wyczuć puls – bił jak oszalały, choć nieregularnie.

Próbowała zadzwonić z komórki. Brak zasięgu. Pobiegła do domowego telefonu, podniosła słuchawkę, ale usłyszała zajęty sygnał. Odłożyła ją i spróbowała raz jeszcze. Kiedy w ogóle słyszy się taki sygnał? Ktoś pewnie źle odłożył słuchawkę na górze. Cholera.

Odwróciła Paula na bok, żeby się nie udławił, gdyby znów zaczął wymiotować, po czym raz jeszcze sprawdziła telefon... nadal zajęty. Wsiadła do windy i zamknęła za sobą ciężkie szklane drzwi. Ale kiedy tylko wcisnęła guzik, zgasły światła, pogrążając pomieszczenie w całkowitej ciemności. Winda ani drgnęła.

Wróciła po omacku do leżącego Paula.

* * *

Rafferty spał splątany w pościeli, kiedy rozdzwonił się telefon.

– Która godzina? – zapytał, gdy przyłożył aparat do ucha. Zegar pokazywał trzecią nad ranem. Na dźwięk głosu po drugiej stronie poderwał się do siadu. – Co się dzieje? – Słuchał uważnie. – Dzwoniłeś na przystań, do Pride’s Heart i na obie komórki? Okej. – Rozłączył się.

– Co się stało? – zapytała Towner.

– Dzwonili Mickey i Ann. – Rafferty w pośpiechu zakładał spodnie i buty. – Muszę natychmiast jechać do Pride’s Heart.

– Ann miała wizję? – zapytała Towner, na co Rafferty pokiwał głową. – Co widziała?

Rafferty zawahał się, zanim odpowiedział.

– Twierdzi, że badb.

Towner utkwiała w nim pytający wzrok.

– Co takiego?

– Banshee.

– Widziała banshee?

– Słyszała jej lament. I jest coś jeszcze... – zaczął, ruszając do drzwi. To było coś, co powiedział Mickey, ale teraz nie było czasu na zagłębianie się w szczegóły. Po nocy, którą razem spędzili, zostawienie Towner samej było ostatnią rzeczą, na jaką Rafferty miał ochotę. Ale jeśli Mickey miał rację...

– O Boże! – krzyknęła Towner. – Szybko! Też ją słyszę. Callie ma kłopoty.

* * *

– „Zdrowaś Mario, łaski pełna...”

Odpyływ cofnął wodę z morskiej studni. Uderzenia fal o dąb umilkły i świat Callie stał się esencją nicości. Podczas godzin, które tu z nim spędziła, Paulowi nawet na moment nie wróciła świadomość.

Nie słyszała już jego oddechu.

Pocieszała się tym, że nadal ma puls, choć teraz był tak powolny i słaby, że ledwie go wyczuwała.

Wołała o pomoc tyle razy, że zdarła sobie gardło. Sama też zwymiotowała, pewnie ze strachu. Co chwilę sprawdzała telefon domowy, mając nadzieję, że ktoś odkryje źle odwieszoną słuchawkę, ale słyszała tylko to samo miarowe „pip, pip”. W końcu zaczęła się modlić. Odmówiła każdą modlitwę, jakiej jej kiedykolwiek nauczono, a następnie zaczęła przekładać w palcach różaniec i recytować *Zdrowaś Mario*, aż zdała sobie sprawę, że tak mocno zaciska w dłoni dębową różę, iż dłoń zaczęła krwawić.

Pewnie zrobiłam sobie nową bliznę, mniejszą różę w środku większej.

Nagle, niczym w odpowiedzi na swoje modlitwy, zobaczyła, jak winda budzi się do życia i jedzie do góry. Słyszała, jak ktoś wsiada do niej i zjeżdża w dół.

– Och, dzięki Bogu! – Zerwała się na niepewne nogi, kiedy drzwi się otworzyły, a lampy nagle zapaliły. – Gdzie się podziewaliście? Sprowadziłaś lekarza?

Dlaczego jej głowa ma zieloną aureolę? Dziwna wizja.

– Musimy go natychmiast zawieźć do szpitala. Pomóż mi go przenieść.

– Nie wydaje mi się – powiedziała spokojnie Marta.

W jednej dłoni trzymała karafkę fuksjowego porto oraz kieliszek na wysokiej nóżce, a w drugiej nóż. Spojrzała na krwawe wymiociny.

– Ciekawe.... Nie spodziewałam się krwi. Pierwsza faza zatrucia lisim dzwonkiem objawia się wymiotami i nierównym biciem serca. Potem wiotczeją mięśnie. A na koniec serce zwalnia, aż w końcu się zatrzymuje. Żałuję, że małe dziewczynki zostaną obwinione o zerwanie trujących kwiatów. – Wcisnęła kieliszek w dłoń Callie. – Nie piłaś porto przy obiedzie i nie wzniosłaś entuzjastycznego toastu za naszą przyszłość, jak wymaga etykieta. Więc teraz okaż maniery i pij.

ROZDZIAŁ 43

19 lipca 2015
Pride's Crossing

Grzesznik może szybciej tutaj niż gdzie indziej stać się ofiarą zemsty Tego, który „ma oczy jak płomienie piekiel” i „chodzi pośród złotych świec”.
Cotton Mather, Cuda niewidzialnego świata

Rafferty walił w drzwi domku na przystani. W środku paliły się wszystkie światła, ale nikt się nie odezwał. Poszedł do drugiego wejścia, po drodze ślizgając się na czymś, co początkowo wziął za odchody mewy. Dopiero po chwili zorientował się, że to wymiociny. Zaniepokojony, zajrzał przez okna, ale nikogo nie zauważył. Drugie drzwi ustąpiły i wszedł do środka.

– Callie? Paul?

Zobaczył jej pierścionek na stole w kuchni. Na podłodze nieopodal zauważył jeszcze więcej wymiocin, tym razem krwawych. Szybko rozejrzał się po pokojach, po czym wspiął do latarni morskiej. Gdy i tam nikogo nie znalazł, zbiegł na dół

i pobiegł przez las do Pride's Heart.

Próbował frontowych drzwi. Zamknięte. Dom był pogrążony w całkowitej ciemności. Zadzwoił do drzwi, a potem zaczął się do nich dobijać. Pobiegł od boku domu, próbując po drodze wszystkich innych wejść. Bezskutecznie. Francuskie drzwi sali balowej również były zamknięte, ale one najlepiej nadawały się do sforsowania. Wystarczyło naprzeć na nie biodrem, a skobel wyskoczył.

Sala była nieskazitelnie uporządkowana. Trudno było uwierzyć, że jeszcze kilka godzin temu miało tu miejsce wielkie przyjęcie. Pobiegł do holu, po drodze włączając światła.

– Marta? – zawołał, oznajmiając swoją obecność. – Finn?

Żadnej odpowiedzi. Żadnego odgłosu poza wiatrem wyjącym znad oceanu.

Najpierw zajrzał do kuchni, potem do biblioteki. Nikogo. Pobiegł do saloniku, zajrzał do oranżerii, wykrzykując ich imiona, zanim udał się na górę, pokonując po dwa stopnie naraz.

– Finn? – zawołał, tym razem głośniej.

Nic. Czy wyjechali na kilka nocy jak tradycyjni nowożeńcy? Otworzył drzwi do sypialni. Pusto.

Przebiegł przez korytarz, sprawdzając każdy pokój i wypowiadając na próżno imiona wszystkich członków rodziny Whitingów. Dobiegł na drugie piętro, do skrzydła służby i zapukał do wszystkich drzwi w długim szeregu.

Tam również nikogo nie było. Służba, widać, dostała wolne.

Pozostała jeszcze piwnica z winami.

Wrócił do pustej biblioteki i włączył więcej światel. Bar, zwykle schowany za regałem z książkami, był odwrócony w stronę pokoju pod kątem prostym i Rafferty dostrzegł zapalone pod nim światło. Albo zaniedbali zamknięcie tego miejsca po przyjęciu, albo ktoś był na dole.

Podszedł do windy za barem i nacisnął guzik przyzywający. Nic. Zerknął do szybu na windę na dole. Jeszcze kilka razy przycisnął guzik, lecz wciąż nic się nie wydarzyło.

W speakeasy był telefon. Pamiętał, że w Święto Dziękczynienia Finn dzwonił z niego do kuchni po więcej kieliszków. W spa też pewnie go mieli.

Podszedł do burka. Słuchawka była odwieszona. Odłożył ją na widelki, po czym podniósł i przycisnął guzik z napisem: SPA. Dzwonił, ale nikt nie odebrał. Zrobił krok do przodu i nagle dotknął stopą czegoś miękkiego.

Finn miał siną twarz, a koło niego na dywanie znajdowała się strużka krwistych wymiocin, prowadząca w stronę kanapy. Pewnie próbował doczołgać się do telefonu, zanim przewrócił się na podłogę. Rafferty ukląkł przy nim, próbując go obudzić, ale ciało Finna stawiało opór. Zaczynało je już ogarniać stężenie pośmiertne.

Ze swojej komórki Rafferty zadzwonił pod numer alarmowy. Następnie

przekręcił zamek we frontowych drzwiach, żeby policja z Beverly mogła wejść.

Nocne powietrze było zimne i wilgotne, gdy szedł w stronę klifu. Jeśli ktoś rzeczywiście był w piwnicy z winami, to on musiał znaleźć drogę, by się tam dostać. Nie miał ze sobą innej latarki niż w telefonie, ale gwiazdy świeciły jasno na bezchmurnym niebie, mógł więc zobaczyć szacunkową lokalizację jamy, którą Mickey wskazał mu na wąskiej, skalistej plaży w dole. Fala była bardzo niska i dopiero zaczynała się zmieniać. Nie miał wyjścia, jak tylko zejść na dół.

Klif był stromy, a ocean znajdował się dobre piętnaście metrów poniżej. Rafferty stanął na granitowej półce skalnej i spojrzał w dół na sypiące się schody usytuowane za zamkniętą na kłódkę bramką. Ostatnich piętnastu metrów schodów całkowicie brakowało. Jeśli tam zejdzie, być może nie będzie miał jak wrócić na górę. Mimo to nadal wiedział, co musi zrobić. To było jedyne alternatywne wejście do piwnicy.

Czując, jak skacze mu adrenalina, wspiął się na żelazną furtkę i przesadził na drugą stronę, schodząc z krawędzi klifu na sypiące się schody wykute w zboczu mocno zniszczonym przez erozję.

Nierówne stopnie opadały stromo, kiedy zmierzał w stronę oceanu. Z każdym krokiem ze stopnic osypywały okruchy granitu, które odbijały się od plaży majaczącej w dole.

Uskok od ostatnich schodków do plaży był większy niż wydawał się z góry. Komendant spadł na ręce i kolana, zdzierając sobie skórę do krwi. Powoli wstał, po czym spojrzał na klif i dom nad sobą.

Być może właśnie zrobił coś bardzo głupiego.

* * *

– Pij – zażądała Marta.

Callie patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Dlaczego to robisz?

Kobieta się uśmiechnęła.

– Naprawdę musisz pytać?

Callie nie piła zbyt wiele porto z lisim dzwonkiem podczas przyjęcia, tak jak zrobili to Finn i Paul, ale wzniosła toast i wiedziała, że wypila wystarczająco dużo, by powoli zacząć odczuwać jego trujący efekt, począwszy od wymiotów, przez wizję Marty w zielonej łunie, po wiotczenie mięśni, jak przed chwilą zostało jej to opisane. Nie będąc w stanie utrzymać kieliszka, Callie upuściła go na podłogę. Rozbił się na tysiące maleńkich odłamków.

Marta cmoknęła językiem, pokazując ostrze, które miała przed sobą. Jego srebro zdawało się mienić. Ciemne włosy Marty też migotały i zmieniały kolory z każdym jej ruchem.

Gdzie ja to wcześniej widziałam?

Pod Callie ugięły się kolana i dziewczyna osunęła się na potłuczone szkło, raniąc się boleśnie.

– Na litość boską, nie bądź nieuprzejma. – Marta przyłożyła karafkę fioletowego porto do ust Callie. – Etykieta tego wymaga. Podpowiem ci nawet toast. Za małżeńską beztroskę – cedziła – która nastąpiła zdecydowanie za późno.

Callie odwróciła głowę.

– Co za sprzeczność – parsknęła Marta. – Jak chętnie rezygnujesz z dobrej zabawy. A myślałam, że wdałaś się w matkę...

Callie utkwiała w niej wzrok.

Mam jeszcze inne imię. – Zapach lukrecji.

Jezu, przecież ona ma dopiero pięć lat!

Kamienna podłoga. Krew spływająca po ścianach, zbierająca się w kałużę u stóp Callie.

– To byłaś ty...

Mam jeszcze inne imię. Zgadniesz, jakie?

– To naprawdę byłaś ty – powtórzyła Callie. – Z nami na tej imprezie.

– Byłam z wami w kilku różnych miejscach – wolno mówiła Marta. – Ty mogłaś mnie nie pamiętać, ale ja zapamiętałam ciebie.

Zła Królowa nachyliła się do niej i dała jej powąchać zawartość swojego kielicha.

– Zła Królowa.

– Nie zła. Upokorzona, zdradzona, niekochana, ale nigdy zła.

Callie zrobiło się niedobrze.

– Byłam przyjaciółką Rose – mówiła Marta. – Z centrum. Nigdy nie należałam do grona Bogiń. Ale zdołały przekonać Rose, że to, co robiłam, było gorsze od wszystkiego, co robiły one. Próbowałam ją ostrzec, ale nastawiły ją przeciwko mnie.

„Mój Najdroższy...”

Cheryl, Susan i Olivia chichoczą.

Callie na środku pokoju, z dłońmi w pozie krasomówcy, czyta na głos list miłosny, a pozostałe ryczą ze śmiechu.

Boginie poprzysięgają zemstę za ściągnięcie na nie kłopotów, za poinformowanie Rose, co robią w jej domu.

– *No to musimy go sobie wziąć.* – Matka Callie podpowiada sposób zemsty.

To nie Leah była piątym płatkim róży. Była nim Marta.

– Powinnaś była być tamtej nocy na błogosławieństwie.

– Rose postarała się, by do tego nie doszło. Wzięła stronę twojej matki zamiast moją.

– Postanowiła wyrzucić nas z domu! Przez ciebie! Doniosłaś na moją matkę i inne...

– Zabroniła mi tamtej nocy przyjść.

– Na błogosławieństwo? – Callie nie była pewna, o czym Marta mówi.

– Do niego.

Mężczyzna na łóżku. Krew.

– To, co robiły, było złe. Zwłaszcza w obecności dziecka. Twoja matka przekonała Rose, że brałam we wszystkim udział i sprowadzam im mężczyzn: burdelmama Bogiń. Ale masz rację. Miałam się pojawić na błogosławieństwie. Więc przyszedłam...

Rozłam pomiędzy Boginiami a Martą stał się rozpadliną dużo głębszą niż ta na Proctor's Ledge. Może to Rose wypowiedziała imię Sarah Good tamtej nocy... Ale przerażona coraz bardziej Callie właśnie zdała sobie sprawę z tego, że Marta, prawdziwa potomkini Sarah Good, mogła równie dobrze zrobić to sama, bo była na tej polanie od samego początku.

Przekleństwo, które tamtej nocy usłyszała Rose, nie pochodziło od banshee, a od Marty. Wypowiedziała je na chwilę, zanim podcięła gardło Susan. Kiedy Rose zeznawała, że widziała, jak bogini się zmienia, nie chodziło jej o tę uwięzioną w dębie. Ona mówiła o Marcie...

Bóg da ci krew do picia...

W uszach Callie pobrzmiwały słowa, które lata temu wymazała z pamięci.

– Mam jeszcze inne imię – powtórzyła Marta.

Callie wpatrywała się w nią w napięciu.

– Zabiłaś moją matkę... i pozostałe dziewczyny.

– Zasługiwały na śmierć.

– I Paula...

– Paul nie był ciebie wart. To Whiting. Zdradziłby cię w ten sam sposób, w jaki Finn zdradził mnie. Whitingowie tak właśnie robią, to dziedziczne. Próbowałam cię ostrzec. Nie powinnaś była wracać, Callie. Mogłaś posłuchać mojej rady i wziąć nogi za pas.

Callie nie spuszczała z niej oczu.

– Kochałaś go. Wiem, że tak było.

– Kiedyś – odpowiedziała. – Dawno, dawno temu, kiedy byłam głupią dziewczyną, która myślała, że miłość wszystko zwycięży. Byłaś tam, znasz więc moje imię.

Callie poczuła, jak ziemia usuwa jej się spod nóg. Czowała, że zaraz zwymiotuje.

– Wypowiedz je.

– Morrigan.

Callie widziała teraz, jak po ścianach ścieka krew, ta sama krew, którą widziała tamtej nocy, najpierw w zamku, a potem w lesie. Gwałtownie zwymiotowała i Marta z odrazą zrobiła mały krok w tył.

Zbierając w sobie siłę, Callie podniosła się na nogi i pobiegła w stronę windy. Marta złapała dziewczynę, przejeżdżając srebrnym ostrzem po jej gardle. W tej samej chwili Callie przeraźliwie krzyknęła, a jej głos, natychmiast odbity od ścian, sprawił, że Marta straciła na moment równowagę. To wystarczyło, żeby, zamiast na skórze, ostrze oparło się na różańcu, przecinając go i posyłając koraliki na kamienną podłogę.

Marta wymachiwała nożem i Callie poczuła nagle, jak stał przecina jej skórę na ramieniu, a po palcach cieknie jej krew, gdy zatoczyła się do tyłu, prosto na morską studnię. Chwyła Martę tak mocno, jak tylko mogła, w wyniku czego obie przewróciły się, wpadając w lodowatą wodę pięć metrów pod nimi.

* * *

Rafferty szedł po plaży, przyglądając się granitowemu klifowi i szukając otworu. Wiedział, że musi tu gdzieś być. Kiedy plaża się skończyła, znalazł się w wodzie, najpierw po kolana, potem po biodra. Nadchodzące fale sprawiały, że trudno mu było się poruszać, a potem stało się to niemożliwe, wspiał się więc na wystającą półkę skalną, jakieś półtora metra nad wodą. Półka była szeroka tylko na kilkanaście centymetrów, ustawił więc stopy bokiem, trzymając się mocno skał, aż zbielały mu knykcie, gdy posuwał się centymetr po centymetrze w poszukiwaniu wejścia.

Nie dostrzegł go do chwili, aż prawie je minął. Kilkadziesiąt centymetrów wyżej, tam, gdzie skała tworzyła naturalne wgłębienie, znajdował się około czterdziestocentymetrowy otwór. Wyglądał jak ślad po odłamanej skale, która w wyniku erozji spadła do morza. Początkowo uznał, że to nie to, ale światło z telefonu pomogło mu dostrzec schody. Nie miał właściwie o co oprzeć stóp, aby się wspiąć, pierwszy stopień, na którym postawił stopę, załamał się pod jego ciężarem i zniknął w czarnym kłębowisku fal.

Poprawił pozycję i podciągnął się, aż sięgnął do przelamania. Kiedy wczołgał się do środka, zobaczył kolejny niewielki otwór, do którego ledwie zmieściłoby się dziecko. Kuląc się i wyciągając rękę przed siebie w ciemności, po omacku posuwał się do przodu. Gdy po jego dłoni przebiegła stonoga, na plecach poczuł dreszcze.

Doliczył się dziesięciu kroków, zanim, schodząc wciąż w dół, doszedł do obramowanego otworu i znalazł się w czymś, co można było opisać jedynie jako postawioną na sztorc trumnę: drewnianą, cuchnącą stęchlizną i wilgotną. Nie mógł iść dalej. Znalazł się w pułapce.

ROZDZIAŁ 44

*19 lipca 2015
Pride's Crossing*

Nie ma ani jednej kultury i ani jednej osoby, która nie żywiłaby uprzedzeń wobec tych, których uważa za „innych”.

Księga drzew Rose

Callie tkwiła głęboko w lodowatej czerni. Brunatnice oblepiały dębowe ściany, pusty pień był obślizgły od morskiej roślinności. Z wydrążonego pnia tworzącego studnię morską sterczały odcięte gałęzie, odsłonięte przez niską falę. Boki były zbyt śliskie, by się po nich wspiąć, Callie unosiła się więc na wodzie, przekonana, że czuje, jak uchodzi z niej krew, wyciągana przez lodowatą morską wodę. Czuła też obecność koszmarnych istot, które opisał jej Paul: ich kościste palce chwytaly ją i dotykały z każdej strony. Szamotała się i próbowała odwrócić w porę, by stanąć z nimi twarzą w twarz, ale za każdym razem znikaly, zanim zdążyła je zobaczyć.

Co Paul mówił o hipotermii? Walka sprawia, że krew płynie do najodleglejszych zakamarków ciała, przyspieszając zgon. Powinna poczekać, aż uniesie ją fala przyływu, tak jak Paul, ale nie potrafiła. Wciąż się poruszała, próbując uciec od chwytających ją kościstych palców.

Doznała niemal ulgi, gdy poczuła na swoim ciele ludzkie ręce Marty – do chwili aż znalazły jej szyję, zacisnęły i zaczęły ciągnąć na dno.

Callie walczyła, by wypłynąć na powierzchnię, z trudem próbując zaczerpnąć oddech, by za chwilę znów zostać wciągnięta pod wodę, kiedy doświadczyła dziwnej wizji.

Stały na krawędzi pustki, przed nimi rozciągała się tylko nicość. Nie mogła oddychać ani się ruszyć. Była uwięziona z Martą w otchłani, pustka była wieczna.

Nie. Nie w ten sposób.

Przycisnęła brodę do piersi i ostatnim wysiłkiem mięśni chwyciła zaciskające się palce Marty, siłą pchające je głębiej pod wodę. Przesunęła dłoń do łokcia kobiety, rozluźniając uścisk i, używając jej nadgarstka i ręki jako lewara, próbowała odwrócić Martę, aż znalazły się twarzą w twarz. Callie spojrzała w jej puste oczy, które tępo się w nią wpatrywały, i po raz pierwszy zobaczyła to samo, co tamtej nocy na Proctor's Ledge widziała Rose: nie Martę, nie banshee, ale sam moment przemiany.

Callie nie zamknęła oczu. Zmusiła się, by patrzeć.

Zaczęło się powoli, od spadania, niczym we śnie. Poczuła, jak woda się cofa, pozostawiając za sobą zapach pomarańczy. Wtedy rozległa się muzyka, pojedyncze nuty. Czy to harfa? Kiedy tylko go rozpoznała, dźwięk ustał i zastąpiły go inne tony, oba odległe i dysonansowe – nuty, których nigdy wcześniej nie była w stanie usłyszeć.

To, co wcześniej było kościstymi palcami Marty, teraz stało się warkoczem uplecionym z oczaru wirginijskiego.

Callie czuła na sobie każdy bat, jaki kiedykolwiek otrzymała Marta. Chłosta przerodziła się w rytm i wraz z uderzeniami różgi pustka się pogłębiała, a dysonansowe dźwięki stawały coraz głośniejsze, najpierw w chaotycznej harmonii, potem krystalizując się w słowa:

– Co zrobiłaś?

Bat.

– Nic, mamó.

– Nie okłamuj mnie!

Bat.

– Kocham go.

– Odebrali nam wszystko. Nie mogą wziąć i ciebie!

Bat.

– On mnie kocha.

– On cię zdradzi! Whitingowie zawsze tak robią!

Bat.

– On chce się ze mną ożenić.

– Głupia, głupia dziewucho.

Bat. Bat. Bat.

Callie czuła, jak pulsująca krew płynie do czerwieniejących obrzęków na nagich udach Marty.

– On cię zdradzi jeszcze nie raz! Tak samo, jak jego ojciec zdradził twojego, a wcześniej ojciec jego ojca!

Bat.

I wtedy po raz pierwszy Callie zrozumiała prawdziwe znaczenie słów Rose. Marta igrała z piorunem, prosiła się o chłostę. Występując sama z Whitingiem przeciw całej swojej rodzinie, ściągała na siebie gniew pokoleń.

Bat.

Muzyka ciosów była rytmiczna. Callie czuła, jak z każdym uderzeniem jej ciało się trzęsie.

Teraz zobaczyła Martę jako młodą kobietę, gdy kłóci się z Rose.

– Dlaczego mi to powiedziałaś? – domagała się Rose. – Oskarżasz ją o straszne rzeczy.

– Musisz wiedzieć, co robią w twoim domu. Ze względu na dziecko.

– To znaczy co ty robisz.

Marta utkwiała w niej wzrok.

– Powiedziały mi – ciągnęła Rose – że to ty nazwałaś siebie Boginią. To ty pierwsza sprowadziłaś do nich mężczyzn.

– Nie, przyrzekam! Ja nigdy... – upierała się Marta.

– Zejdź mi z oczu! – Rose była wściekła.

Bat.

Marta trzyma Leah za rękę i prowadzi ją przez serię ciemnych jam, a potem długim tunelem do spa.

– Jesteś pewna, że Finn chciał się tu ze mną spotkać?

Marta się odwróciła, a Leah zobaczyła błysk ostrza.

Cięcie. Mnóstwo krwi.

Marta wepchnęła pozbawione życia ciało Leah do morskiej studni.

Bat.

Błysk ostrza. Trzy ostatnie cięcia. Rozpadlina i odziane w przebrania, zakrwawione ciała w dole.

Bat.

Marta rozejrzała się dla pewności, że nikt nie widzi, jak wchodzi do Ścieżki Lewej Ręki. Odwinęła chusteczkę i oddała białe włosy Susan oraz płat jej skóry starej czarownicy.

Wiedźma spojrzała najpierw na włosy, potem na skórę. Na koniec podniosła wzrok na Martę.

– Coś ty zrobiła? – Czarownica cofnęła się o krok, odsuwając się ze wstrętem od zdobywcy.

– Dałam ci to, czego żądałaś, a nawet więcej. A teraz mi go oddaj.

– Nie mogę.

– Możesz.

– Musisz stąd iść, bo ktoś cię może zobaczyć. – Wiedźma gapiała się na Martę, widząc wszystko, czego się dopuściła. – Ta starsza zorientowała się, kim się stałaś.

– To *on* mnie taką uczynił. – Marta mówiła przez zaciśnięte zęby. – A teraz oddaj mi go, tak jak obiecałaś. Albo powiem, że mi pomogłaś. Bo przecież tego chciałaś. – Pokazała na trofea.

– Nie mogę – powiedziała stara czarownica.

– Co takiego?

– On się ożeni z tą, która nosi jego dziecko.

– Już się tym zajęłam. On się z nią nie zwiąże.

– Nie – przerwała stara czarownica z zaszokowaną miną, gdy w szklanej kuli zobaczyła rzeź. – Ona żyje.

– Niemożliwe. – Marta pokręciła głową.

– Zabiłaś niewłaściwe rywalki.

Bat.

Nagle rytm batów zmienił się w dźwięk fal uderzających o skały w dole.

Marta stała na klifach w Hammond Castle i patrzyła na światło reflektora, obserwując, jak nieruchome ciało jej ojca jest wyciągane z wody.

Whitingowie też tam byli, nie z Martą i jej matką, lecz na uboczu, po drugiej stronie klifu: młody Finn ze swoją matką i ojcem, obejmując ramieniem ciężarną Emily. Kobieta miała na palcu błyszczącą obrączkę.

Oczy Finna i Marty spotkały się nad przepaścią. Po chwili mężczyzna odwrócił wzrok.

Kiedy ciało jej męża zostało wyciągnięte z wody, matka Marty zaczęła lamentować, wydając z siebie nieludzki krzyk, który poniósł się echem po klifach, aż do krawędzi wody. Pokazała palcem na Whitingów i przeraźliwym głosem zawyła:

– Bóg da wam krew do picia!

Callie jęknęła, krztusząc się morską wodą, która smakowała jak krew, wciąż słysząc niosącą się echem kłótwę Sarah Good. Muzyka była teraz głośna, aż nie do zniesienia, to właściwie nie była już muzyka, tylko czysty hałas. Callie starała się przywołać kojące nuty skali solfeggio, które słyszała w Materze, ale muzyka była związana jak kiedyś harfa Dagdy.

Callie unosiła się w lepkiem basenie morskiej wody i ludzkiej krwi, gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią. Czuła obecność swojej matki i innych Bogiń, które, jak się domyśliła, skończyły w morskiej studni wraz z Leah, ale gdy próbowała wyciągnąć do nich ręce, dotykała tylko kości. Wtedy od swojej matki usłyszała jedną nutę, niższą, przebijającą się przez hałas.

– Ut.

Była to tylko pierwsza nuta starożytnej skali, ale miała przynajmniej to.

Dźwięk rozpoczął się delikatnie, żalobnie, jak gdyby zawierał każdą kroplę smutku, jaka kiedykolwiek istniała na świecie. Callie otworzyła usta, by przyłączyć się do dźwięku, pozwalając mu ponieść się przez nią echem, nabudowując wibrację. Czas zmienił się i rozciągnął. I w tych chwilach wieczności, kiedy stanęła z Martą twarzą w twarz, zobaczyła innych, którzy umarli w następstwie ogromnego grzechu, który przez pokolenia utrzymywano przy życiu. Czas rozciągnął się i otoczył ich wszystkich, po czym całkowicie zniknął, pozostawiając ich uwięzionych w otchłani – oskarżeni i oskarżyciele razem, unoszący się w płynie, w którym więcej było teraz krwi niż morskiej wody, krwi żyjących i krwi ich przodków. Zaczęła grać harfa.

Callie zobaczyła, że otchłań, nicość, wobec której stanęła, nie była *niczym*, lecz *wszystkim*: każdą możliwością, jaka kiedykolwiek istniała na świecie i każdym dokonany wyborem. Doświadczała bólu Marty, jakby był jej własnym. I w tej chwili wróciły do niej ostatnie słowa Rose:

Czasem jedynym lekarstwem jest śmierć.

Smutek, jaki czuła Marta, i gniew, który ją pochłoniął, teraz zamieniły się w coś innego – coś, co Callie słyszała wcześniej tylko raz. Tym razem dźwięk zabrzmiał dużo głośniejszy, stawał się coraz wyższy i bardziej dziki. Krążąc, wijąc się i piszcząc, wciągnął je obie w wir furii.

ROZDZIAŁ 45

*19 lipca 2015
Pride's Crossing*

To uderzenie pioruna w końcu uwolniło uwięzioną i zupełnie odmienioną boginię. W zadziwiającym akcie poświęcenia, z którego nie można się już było uratować, dąb oddał swoje życie, aby ocalić banshee.

Księga drzew Rose

Przesuwając dłonie po drewnie i przedzierając się przez pajęczyny, Rafferty znalazł w końcu otwór. Zaczął pukać w boki „trumny” i w rogu usłyszał pusty dźwięk. Błądził rękami u góry tak długo, aż znalazł haczyk i podniósł go. Wtedy dno „trumny” się otworzyło, ujawniając za sobą kolejną, nieco większą.

Przeszedł tam i zdał sobie sprawę, że jest we wnętrzu szafy. Za nią znajdowała się następna, a dalej jeszcze jedna. Wszystkie były puste i na tyle wąskie, że można było w nich wyłącznie stać, a razem tworzyły łańcuch jakby

małych pionowych pokoików. Przechodząc bokiem przez otwory, przesuwał się do przodu. Każdy kolejny „pokój” był nieco większy od poprzedniego, aż znalazł się przy plecach prawdziwej szafy, której otwarcie blokowało coś ciężkiego.

Uderzył w drzwi z całej mocy, by ustąpiły, i nagle obsypał go grad papierów i książek, które spadły z regału opartego od zewnątrz. Poznał, gdzie się znajduje, po zapachu porto, którym przez ostatnie stulecie przesiąkły ściany. Był w speakeasy.

Otworzył drzwi na korytarz i w tej samej chwili potężny dźwięk uderzył go jak alarm syreny, powalając na kolana. Miał wrażenie, jakby cały gniew, jakiego kiedykolwiek doznał, każda zniewaga i każdy niehumaniczny czyn zawierały się w tym dźwięku. Przycisnął dłonie do uszu, patrząc z przerażeniem, jak pod wpływem pisku na stojakach roztrzaskują się wszystkie butelki z winem. Wtedy hałas ustał, pochłaniając wszystkie możliwe dźwięki w ciszę tak wszechobecną, że przez chwilę Rafferty nie był pewien, czy przeżył gniew banshee.

* * *

Towner, Ann i Mickey przyjechali do Pride’s Heart razem i zajrzeli do biblioteki w chwili, gdy koroner zasuwał zamek w plastikowej torbie z ciałem Finna.

– Co się tu dziś, do cholery, stało? – Jeden z policjantów z Beverly zapytał sanitariusza, podczas gdy ratownicy medyczni wynosili na noszach Paula i Callie.

Przeczuwając, co było źródłem ich choroby i, w związku z tym, jakie może być na nią lekarstwo, Ann wsiadła do karetki i pojechała z nimi do szpitala, Mickey natomiast ruszył za nimi samochodem Ann.

Towner czekała na Rafferty’ego.

Beverly nie było pod jego jurysdykcją, ale znalazł się na miejscu zdarzenia i, biorąc pod uwagę wszystkie związki z Salem, lokalni policjanci chcieli, by z nimi współpracował. Rafferty dołączył więc do funkcjonariuszy z Beverly podczas oględzin biura Marty w speakeasy. Znaleźli kilka książek o truciznach, w tym jedną autorstwa Ann Chase, z indeksem powszechnych roślin i ziół, i szczegółowo opisanymi leczniczymi zastosowaniami oraz zagrożeniami ich stosowania. Odkryli też mały tomik wierszyk Longfellowa z romantyczną dedykacją od Finna z okazji dwudziestych piątych urodzin Marty: „Dla Morrigan od Dagdy”. Nie miało to znaczenia dla nikogo prócz Rafferty’ego. Kartkował tomik, aż znalazł *Wrak Hesperusa* i odniesienie do Norman’s Woe.

Dołączył do Towner stojącej w głównym holu Pride’s Heart.

– O Boże... – Wtuliła twarz w tors Rafferty’ego i mocno się przytuliła. – O mój Boże.

Ann zadzwoniła, gdy przejeżdżali przez Beverly Bridge. Rafferty włączył głośnik, by Towner też ją słyszała.

– Callie nic nie będzie. Leży w szpitalu w Salem – powiedziała Ann.

– A Paul? – zapytała Towner.

– Paula przewieziono helikopterem do Mass General. Jego serce jest poważnie uszkodzone.

ROZDZIAŁ 46

27 września 2015
Pride's Crossing

Okazało się, że od początku to nie była ta bezdomna wariatka, tylko bogata suka. Nie jest to szczególnym zaskoczeniem.

AMATORŻEGLUGI

Kości zaczęły się wyłaniać po śmierci Marty. Odkryto dziurę w ziemi, aby grupa robotników mogła dokończyć usuwanie korzenia i kiedy fala się cofnęła, na czarnej ziemi zostały ludzkie szczątki. Gdy pojawiła się ręka szkieletu, wezwano policję z Beverly. A oni z kolei zadzwonili po Rafferty'ego.

Odkrycie wywołało sensację. Boginie zostały odnalezione, podobnie jak częściowy szkielet Leah Kormos, której kości cudem się zachowały ze względu na – jak spekulowali kryminolodzy – wysokie stężenie węglanu wapnia w wodzie morskiej. Klify wokół Pride's Heart zawierały najwyraźniej spore złoża piaskowca, który wypłukiwał się do studni morskiej w wyniku erozji skał.

Rafferty spekulował, że Finn i Marta przenieśli ciała z grobów do studni morskiej gdzieś pomiędzy Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem. Rozmowa przy obiedzie na temat DNA i tego, jak łatwo można je przekazać, musiała wystraszyć Finna, który miał intymny kontakt z przynajmniej jedną, jeśli nie ze wszystkimi ofiarami morderstwa. Callie miała później wizję, że to Marta namówiła Finna, by przenieść ciała i tym samym uniknąć oskarżeń o zbrodnię, której nie popełnił. Wszystko wskazywało na to, że Finn nawet nie podejrzewał, iż to Marta była morderczynią. Prawdopodobnie opłacił też Patcha Willisa, grabarza z cmentarza Greenlawn. Willis przeszedł na emeryturę i wyjechał z miasta, nie pozostawiając nikomu żadnego adresu.

Szczałki Leah znajdowały się w morskiej studni dużo dłużej od ciał pozostałych Bogiń.

Wizje Callie, których doznała podczas przebywania w morskiej studni, pozwoliły uzupełnić brakujące detale okropnej historii Marty, ale prawda była taka, że Rafferty zdał sobie sprawę, że to ona zamordowała Boginie, już w dzień przyjęcia weselnego – dzięki telefonowi Ann i Mickeya. Sama wizja Ann byłaby dla niego wystarczającą mobilizacją, by pojechać do Pride's Heart i upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Ale to, co powiedział Mickey, dosłownie zmroziło mu krew w żyłach. Po przyjęciu Doherty pracował nad spóźnionym prezentem dla Finna i Marty – połączonymi drzewami obu ich rodzin. Badając pochodzenie Marty, odkrył jej pokrewieństwo z Sarah Good.

Mimo to wiele pytań nadal pozostawało bez odpowiedzi.

– Nigdy się wszystkiego nie dowiemy. – Rafferty powiedział do Callie.

– Mnie wystarczy świadomość, że to Marta zabiła Boginie – odparła dziewczyna. – I że moja matka i pozostałe ofiary w końcu zaznają spokoju. Cieszę się też, że Rose nie tylko została zrehabilitowana, ale że okazało się, iż od początku miała rację.

– To znaczy?

– Miała rację co do dębu. Miała rację co do tego, że szczątki zostały ukryte w posiadłości Whitingów, choć były to zwłoki Bogiń, a nie pierwszych straconych.

Callie opowiedziała Rafferty'emu o wizji Rose, jak wisielcze drzewo zostało ścięte i płynęło rzeką North do posiadłości Whitingów. Nie wspomniała o swoich mistycznych doświadczeniach, które od nocy w studni stały się wyraźniejsze: dąb Whitingów, ten, który, jak twierdziła Rose, przemówił do niej, zapuścił tak rozległe korzenie, że splątał się z pnem dużo starszego dębu. A kiedy w jednym z nich wzrastała i opadała woda przyływów, drugi to odzwierciedlał, dzięki wodnemu połączeniu, które działało od pokoleń.

Były to tylko spekulacje, coś, z czego nigdy by się nikomu nie zwierzyła, bojąc się, że zostanie uznana za równie szaloną, co Rose, ale w opinii Callie Rose miała rację. Drzewa przekazały sobie wielowiekową wiadomość. Wykonały swoje

zadanie.

* * *

Zebrali się wokół dębu, który Eva Whitney zapisała w testamencie Rose. Arcybiskup McCauley odmawiał właśnie błogosławieństwo, by poświęcić to miejsce.

Rose właśnie czegoś takiego by chciała – pomyślał Rafferty.

Nastał dwudziesty siódmy września dwa tysiące piętnastego roku. Ann wspomniała Rafferty'emu, że tego wieczoru kończyła się tetrada zaćmień księżyca. Miał wejść superksiężyc i krwawy księżyc jednocześnie, przez co ludzie spodziewali się dziwnej energii i dziwnych wydarzeń. Zarówno odział ratunkowy, jak i policja zmobilizowały dziś posiłki. Ale według Ann dzisiejszy wieczór oznaczał właśnie koniec dziwnej energii, która pojawiła się rok temu wraz z pierwszym zaćmieniem. Rafferty miał nadzieję, że Ann miała rację. Mimo to było już bardzo blisko do Halloween, więc dziwna energia była czymś normalnym. Musiał powstrzymać się z osądami do czasu, aż zobaczy, co przyniesie tegoroczny październik.

Callie wyglądała jego zdaniem inaczej: w ostatnich miesiącach jakby się postarzała, choć może to nie było dobre słowo. Raczej po prostu coś się w niej zmieniło. Paul nadal był w szpitalu, więc to ona wzięła na siebie organizację pogrzebów Finna i Marty. Musiała też radzić sobie z lekarzami Paula i spotykać z Fundacją Whitingów, aby mieć pewność, że jej misja będzie kontynuowana.

Towner powiedziała mu w zaufaniu, że Callie i Paul planują się pobrać latem przyszłego roku, kiedy Paul całkowicie wyzdrowieje. Rafferty modlił się, aby tak się rzeczywiście stało i żeby w końcu mogli zaznać szczęścia. Oboje na to zasługiwali.

Jak gdyby w odpowiedzi dąb poruszył się wraz z morską bryzą, a wśród szelestu liści Rafferty usłyszał słowa:

Czasem jedynym lekarstwem jest śmierć.

Nie słyszał głosu Rose. Nie słyszał też wcześniej tego zdania. Głos zdawał się pochodzić od szeleszczących liści i morskiego wiatru. Ale mimo to po plecach przebiegły mu ciarki. A może wzdrygnął się tylko z zimna? Uznał, że zachowuje się niedorzecznie. Rose była jedyną osobą, która słyszała mowę drzew.

Postanowił skoncentrować się bardziej na słowach arcybiskupa, aż zobaczył, jak Callie zerka w górę, jak gdyby ona również słuchała drzewa. Następnie skinęła głową, wysunęła się do przodu i zaczęła opuszczać urnę zawierającą prochy Rose

do otworu, który Rafferty wykopał kilka godzin wcześniej.

Wszyscy po kolei podchodzili bliżej, brali po garści ziemi i zasypywali nią otwór, jednocześnie odmawiając razem *Ojcze nasz...*

Nie spotkali się po ceremonii. Callie musiała od razu jechać do szpitala do Paula, a arcybiskup wracał do Bostonu.

Rafferty próbował zapomnieć o słowach, które szepnęło drzewo. Kiedy wszyscy pośpiesznie się ze sobą żegnali, odebrał telefon z komendy w Beverly. Wróciły wyniki autopsji Marty.

– Przyczyna zgonu? – zapytał dla porządku. Wszyscy podejrzewali, że utonęła. Autopsja miała być jedynie formalnością.

Głos w słuchawce wymówił dwa słowa, których Rafferty wolałby nie usłyszeć, choć, prawdę mówiąc, obawiał się, że padną:

– Krwotok śródmózgowy.

EPILOG



*31 października 2016
Pride's Heart*

*Banshee ma podwójną rolę: śpiewać duszom nad przepaścią pomiędzy życiem a śmiercią i dawać ulgę sercom tych, których pozostawia.
Księga drzew Rose*

Callie siedziała za wielkim biurkiem w bibliotece, podczas gdy jej mąż ucinął sobie drzemkę na skórzanej kanapie. Paul nadal powracał do zdrowia. Codziennie leczyła go misami muzycznymi – nie w spa, a w oranżerii. Kiedyś był to ulubiony pokój Emily, a teraz stał się jej. Już nie rozmawiali o powrocie do Matery. Pride's Heart zbyt mocno ich przyciągało. Odkąd się tu wprowadzili, odkryła w domu wiele miejsc, które pokochała, ale w piwnicy na wino jej stopa już nigdy więcej nie powstała. Wątpiła, czy jeszcze kiedykolwiek tam wejdzie.

Czuła w sobie zmiany, zacieśnioną więź ze wszystkim, co się tu znajdowało:

dębem posadzonym niedawno w miejscu, gdzie niegdyś stał dąb Rose, i sową, która zamieszkała w jego młodych gałęziach. Słyszała ich szepty niesione przez morską bryzę od portu. Odczuła je niczym przyływy i odpływy pulsujące w jej krwi.

Teraz widziała także śmierć ludzi, których spotykała. Wiedziała, jak i kiedy umrą, ale w przeciwieństwie do Rose nie mówiła im prawdy, której – co do tego miała pewność – nie byliby w stanie zrozumieć. Dziś podczas rozmowy z Raffertym zobaczyła kres jego życia. Będzie wiódł długie i szczęśliwe życie, a umrze po dziewięćdziesiątce, mając przy boku dorosłą córkę i wnuki oraz Towner.

Myślała o bogini Rose, prawdziwej czy też wymyślonej, o jej pomniejszeniu i przemianie. Wiedziała, że zdrowe komórki potrafią dzięki wibracjom przywrócić chorą komórkę do stanu równowagi, zastanawiała się więc, czy byłoby możliwe „wyleczyć” w ten sam sposób boginię, która kiedyś była morderczynią, do stanu, gdy posiadała i moc, i współczucie – i czy byłoby możliwe przytrzymać ją w jednym miejscu odpowiednio długo, by tego spróbować.

W międzyczasie otworzyła gabinet w Salem i wróciła do pracy z osobami starszymi i chorymi. Zaczęła też pomagać umierającym, poświęcając czas każdego dnia na muzykoterapię z pacjentami hospicjów, przynosząc ulgę w bólu i poprawiając komfort ich odchodzenia.

Dziś kończyła właśnie pisać maila z podziękowaniami do burmistrza Salem i kolejnej grupy badaczy, którzy definitywnie potwierdzili, że – jak zawsze twierdziła Rose – to na Proctor's Ledge, a nie Gallows Hill powieszono ofiary w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim roku. Ci sami badacze planowali umieszczenie tam tablicy upamiętniającej tragedię. W centrum miasta znajdowało się już wprawdzie większe miejsce pamięci, które mogli odwiedzać turyści, jednak Proctor's Ledge już dawno należało się stosowne oddanie czci.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Callie, kiedy przejęła Fundację Whitingów, było przekazanie środków na doprowadzenie do tego upamiętnienia. Miała nadzieję, że odwróci to klątwę, która zdawała się nadal dręczyć tę okolicę, i zmniejszy poczucie zbiorowej winy, jakie nadal nękało miasto. Czy turyści będą je kiedykolwiek odwiedzać, czy nie, Salem potrzebowało tego dla siebie i dla potomków osób, które zostały stracone.

Callie dokończyła maila, kliknęła „wyślij” i sprawdziła, jak się ma Paul. Spał twardo.

Zrobiła sobie filiżankę herbaty i usiadła, patrząc na wodę. Następnie otworzyła *Księgę drzew* Rose. Wpatrując się w przestrzeń pomiędzy gałęziami, w końcu zobaczyła to, co Rose opisywała od nocy morderstw. Wzięła długopis, przewróciła kartkę na pustą stronę i zabrała się za tłumaczenie tekstu zagadki, którą dopiero zaczynała rozumieć.

Jestem szyfrem...

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję mojemu mężowi, Garry'emu Wardowi, za jego nieustające wsparcie i „utrzymywanie mnie przy życiu” podczas procesu pisania tej książki, która jest bez dwóch zdań najbardziej wymagającą historią, jaką dotąd „odkryłam”. Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś, abym przez ostatnie pięć lat mogła pisać.

W tym samym duchu dziękuję Dorian Karchmar z WME, która zawsze dokładnie wiedziała, co zrobić, począwszy od sugestii dotyczących fabuły przez kwestie prawne, po znalezienie najlepszego domu dla mojej powieści w Wydawnictwie Crown. Dorian, jesteś cudowna! Trzeba to powiedzieć. Dziękuję za to, że z Twoją pomocą to wszystko mogło się wydarzyć.

Dziękuję też Jamie Carr i Laurze Bonner z WME za pomoc. Becce Oliver, która wspierała mnie na początku. Wielkie wyrazy wdzięczności kieruję też do Allison McCabe, której literacka wrażliwość ogromnie wpłynęła na moją i której nieustające redakcyjne rady sprawiły, że utrzymałam właściwy kierunek i mogłam się skoncentrować na prawdziwej historii, jaką chciałam opowiedzieć, głęboko osadzonej w dziejach Salem. Dziękuję Ci za to, jak i za wiele innych rzeczy. I owszem, Alison, w Salem naprawdę znajduje się sklep monopolowy Bunghole

Liquors. Na dowód masz koszulkę.

Ogromne podziękowania kieruję na ręce Hilary Rubin Teeman, mojej redaktorki z Crown, którą teraz nazywam „najlepszą redaktorką na świecie”. Jej rozległa wiedza, dostępność i uwaga, jaką przywiązuje do szczegółów, są elementami, które czynią ją wyjątkową. Na zawsze pozostanę Ci wdzięczna za niesamowitą i wytrwałą pracę nad maszynopisem powieści, który poznałaś przynajmniej tak dobrze, jak ja, a może nawet i lepiej. Wszystkim pisarzom lamentującym nad zanikaniem redaktorów dawnej szkoły, którzy kiedyś pracowali ramię w ramię z pisarzem nad stworzeniem możliwie najlepszej fabuły, zaświadczam, że oni nadal istnieją. Ogromnie Ci dziękuję, Hilary.

Dziękuję także Rose Fox z Crown, która wielokrotnie czytała powieść i znajdowała podobieństwa, jakich ja wcześniej nie dostrzegłam, i której znajomość historii stanowiła ogromną pomoc w procesie redakcyjnym. Dziękuję Ci oraz wszystkim w Crownie, którzy przyczynili się do powołania tej książki do życia. A są to: Molly Stern, Maya Mavjee, David Drake, Annsley Rosner, Rachel Meier, Rebecca Welbourn, Rachel Rokicki, Shannon McCain, Kayleigh George, Kevin Callahan, Joyce Wong, Linnea Knollmueller, Elizabeth Rendfleisch, Tal Goretsky, Andrea Lau, i Sally Franklin oraz Susan Brown i Meredith Hamilton.

Dziękuję wszystkim moim czytelnikom na całym świecie, bez których to wszystko nie byłoby możliwe. Tym, którzy czytali już mój manuskrypt (czasami więcej niż jeden raz) i podsunęli swoje bezcenne wskazówki. Mojemu mężowi, oczywiście. Sarah Dithoff. Susan Marchand, mojej oddanej przyjaciółce, która czytała tę powieść niezliczoną ilość razy, i zawsze znajdowała dla mnie słowa zachęty. Therese Walsh, z którą dzielę muzę. Emily Bradford Nuell, która czytała liczne szkice wszystkich trzech powieści. Davidowi i Cheryl Monhan. Markowi Barry’emu, którego fachowa wiedza prawnicza pomogła mi zweryfikować pracę Rafferty’ego. Mirandzie Spittle za jej biegłość w dziedzinie psychologii i wielokrotną dobrowolną lekturę książki. Whitney Barry. Leli Clawson-Miller. Joanne Bailey. Jeannine Zwobodzie. Christianie Bailey i Pamelii LaFrance za ich wiedzę na temat muzykoterapii i leczenia dźwiękiem. Grupie Warren Street Writers: Jacqueline Franklin i Ginni Spencer. Katherine Howe za pisarską przyjaźń oraz za jej *Penguin Book of Witches*, lekturę obowiązkową dla każdego, kto zajmuje się tego typu badaniami. Alexandrze Seros, wspaniałej przyjaciółce i pisarce, która zawsze pomaga mi ruszyć... Evie Bridburg i wszystkim moim przyjaciółom z Grub Street za ich niezliczone rady i wsparcie.

Na koniec dziękuję miastu Salem w Massachusetts, mojemu domowi, bez którego nie byłoby tej historii. Pomijając poczucie winy, które żyje tu od pokoleń, jest to wspaniałe miejsce do osiedlenia się, do czego z pewnością przyczyniają się jego mieszkańcy. Można przyjąć, że współczesny wątek powieściowy miałby prawdopodobnie większe szanse wydarzyć się tutaj niż gdziekolwiek indziej na

świecie tylko dlatego, że pamiętamy naszą mroczną historię, a w rezultacie akceptujemy naszą „inność”. Szczególne podziękowania kieruję do Gallows Hill Project, którego członkowie w końcu i ponad wszelką wątpliwość dowiedli, gdzie tak naprawdę powieszono ofiary procesów z 1692 roku. Dziękuję Kate Fox z Destination Salem i pani burmistrz, Kim Driscoll. Dziękuję Salem Athenaeum, House of Seven Gables i PEM. Teri Kalgren i innym czarownicom ze współczesnego Salem, które z ogromną cierpliwością odpowiadały na moje niekończące się pytania. Dziękuję też Pride’s Crossing, gdzie kiedyś mieszkała moja babcia – ukochanemu miejscu pełnemu wspaniałych wspomnień.

Z myślą o fabule dokonałam pewnych modyfikacji (choć niezbyt wielu) rzeczywistych miejsc: zmieniłam odrobinę wnętrze biblioteki publicznej w Salem, postawiłam kilka budynków na nieistniejących ulicach. „Dziennik Salem”, który jest fikcyjny, nie powinien być mylony z „Salem News” – naszą bardzo dobrą lokalną gazetą. Pride’s Heart jest zlepkiem ulubionych miejsc w Pride’s Crossing i jego okolicach. Imiona i nazwiska niektórych bohaterów pochodzą bezpośrednio z mojej rodziny. Helen Barnes została tak nazwana po jednej z moich prababek, podobnie jak Emily Sprague – reprezentująca część rodziny, która przyплыnęła do Salem z Anglii w 1630 roku na pokładzie Arabelli. Irlandzcy katolicy z mojej rodziny, którzy przybyli tu dużo później, mają odzwierciedlenie w personaliach innych bohaterów, jak np. Mickey Doherty. Pozostałe nazwiska są wymyślone. Muszę też zaznaczyć, że ogromnie szanuję zarówno policję w Salem, jak i w Beverly. Jeśli chodzi o Salem i jego okolice, pomijając fragmenty służące rozwinięciu fabuły, starałam się opisać wszystko w sposób tak rzeczywisty, jak to tylko możliwe, choć, proszę pamiętać, że patrzę na wszystko okiem pisarki. Perspektywa jest *najważniejsza*.

SŁOWO OD TŁUMACZKI

Niewiele jest chyba książek, które potrafią zawrzeć w sobie wątki dotyczące czarownic, piratów, muzykoterapii, produkcji porto, irlandzkiej mitologii, zielarstwa, poezji, amerykańskiej architektury, pogaństwa, purytańskich obyczajów i dendrologii, z sukcesem połączyć je z kryminalną opowieścią o morderstwie trzech kobiet i historią dwóch miast, a na dodatek kompletnie oczarować czytelnika. Powieść Brunonii Barry zawładnęła moją wyobraźnią i tym bardziej zależało mi, żeby w jak najbardziej przystępny sposób oddać zawartą w niej szczegółową wiedzę z jakże odległych dziedzin. Z tego powodu zdecydowałam się wzbogacić tekst o przypisy, których nie zawiera oryginał. Mam nadzieję, że ułatwią one pełne zrozumienie powieści, bez konieczności odkładania książki i korzystania z zewnętrznych źródeł.

Autorka kilkakrotnie cytuje w swojej powieści fragmenty *Malleus Maleficarum* z 1487 roku – traktatu na temat magii spisane po łacinie przez dwóch inkwizytorów: Heinricha Kramera i Jacoba Sprengera. W Polsce *Malleus Maleficarum* ukazał się w 1614 roku pod tytułem *Młot na czarownice*. Na język polski dzieło to zaadaptował krakowianin, Stanisław Ząbkowic. Jego tekst to nie tyle przekład z łaciny, co napisane w rodzimym języku obszerne, lecz nieco

wybiórcze streszczenie traktatu. Choć istniejąca wersja *Młota na czarownice* jest uwspółcześniana w kolejnych wydaniach, pełne tłumaczenie *Malleus Maleficarum* nigdy się w Polsce nie ukazało. Ze względu na różnice i nieścisłości pomiędzy oryginalnym tekstem dzieła oraz jego polskim wydaniem zawarte w powieści cytaty przełożyłam na podstawie wersji angielskiej.

Joanna Dziubińska

O AUTORCE

Brunonia Barry jest autorką bestsellerowych powieści z listy „New York Times’a”: *Wróżby z koronek* oraz *Powrót do Salem*. Jej książki zostały przetłumaczone na ponad trzydzieści języków. To pierwsza autorka ze Stanów Zjednoczonych, która wygrała Baccante Award, przyznawaną podczas Women’s Fiction Festival w Materze, otrzymała także Strnad Invitational Fellowship od Ragdale Artists Colony oraz nagrodę za najlepszą powieść przyznawaną podczas New England Book Festival. Jej recenzje i artykuły na temat pisarstwa ukazały się w takich tytułach, jak londyński „Times”, „Washington Post” oraz „Huffington Post”. Brunonia Barry jest współprzewodniczącą stowarzyszenia pisarskiego Salem Athenaeum Writer’s Committee i dyrektorką wykonawczą Salem Literary Festival (festiwalu literatury). Mieszka w Salem wraz z mężem Garym Wardem i ich psem, który wabi się Angel.

SPIS TREŚCI



Okladka

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

SŁOWO OD TŁUMACZKI

O AUTORCE

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Fifth Petal*

Copyright © 2017 by BruBar LLC

All rights reserved

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: © Monica Lazar / Trevillion Images

Redakcja i korekta: SEITON, www.seiton.pl

Skład i łamanie: Graphito, www.graphito.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-366-2

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

BRUNONIA BARRY

Współczesne Salem, malowniczo położone
na chłostanym wichrami wybrzeżu Atlantyku.
Historia kilku pokoleń kobiet i opowieść
o przeszłości zakłętej w teraźniejszości.

PIĄTY PŁATEK RÓŻY

Powieść autorki „Wróżb z koronek”

FILIA

